

Przez świat

**Informacje turystyczne
z całego świata**

Tom XVII

pod redakcją naukową

Andrzeja Urbanika

Macieja Brożyny

Łukasza Godka



**UNIWERSYTET RZESZOWSKI
WYDZIAŁ WYCHOWANIA FIZYCZNEGO
RZESZÓW 2013**

Autorzy: Katarzyna Anoszczenko, Maciej Brożyna, Paweł Burchard, Tomasz Cukiernik, Leszek Czmur, Sławomir Drozd, Ewa Flak, Zbigniew Hauser, Jarosław Kociel, Radomir Kolmas, Anna Kolmas, Jan Komorowski, Jerzy Kowalik, Joanna Kusiak, Beata Gwóźdź, Rafał Gwóźdź, Agnieszka Lipecka, Tomasz Lipecki, Ewa Lisowska, Krzysztof Lisowski, Anna Manczyk, Paweł Manczyk, Piotr Masicz, Ryszard Oszał, Aleksandra Podgrudna, Rafał Robak, Jasio Robak, Krystyna Rynkowska, Bogumił Rzucidło, Adam Stępiński, Jacek Strejch, Tomasz Szymkiewicz, Maciej Sliż, Natalia Tokarczyk, Mariusz Tokarczyk, Piotr Wiland, Danuta Wojciechowska, Walenty Zajkowski, Rafał W. Zarębski

Projekt okładki

Andrzej Urbanik

Fotografia na okładce

fot. A. Olej/K. Kobus – TravelPhoto

Przygotowanie do druku

Natalia Koczążb

Korekta

Janina Dubiel

Wydanie I

ISBN 978-83-903830-0-2 (całość)

ISBN 978-83-7338-941-0 (tom XVII)

CIP – Biblioteka Narodowa

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego
Rzeszów 2013

Autorzy i wydawca tej książki starali się, by jej tekst był rzeczowy, i aktualny. Należy zdać sobie sprawę, że podane fakty i dane mogły ulec zmianie. Autorzy i wydawca nie mogą wziąć odpowiedzialności za jakiegokolwiek skutki wynikające z korzystania z podanych w książce informacji. Wydawca nie odpowiada za treść zamieszczonych w tej książce reklam.

WYDAWNICTWO UNIwersYTETU RZESZOWSKIEGO

35-959 Rzeszów, ul. prof. S. Pigoń 6, tel. 17 872 13 69, tel./faks 17 872 14 26

e-mail: wydaw@univ.rzeszow.pl; <http://wydawnictwo.univ.rzeszow.pl>

wydanie I, format A5, ark. wyd. 28, ark. druk. 23,75, zlec. red. 119/2013

Druk i oprawa: Drukarnia Uniwersytetu Rzeszowskiego

Drodzy Czytelnicy

Książka, która trafia do Waszych rąk, jest niezwykła, niezwykli bowiem są jej autorzy. Na pozór są zwyczajnymi ludźmi, zanurzonymi w szarej codzienności, ale w sercach noszą tęsknotę za dalekimi wożażami, którą zaspokajają w czasie wakacji, przemieniając się w wytrawnych podróżników. Dla nich podróż to sztuka życia, pozbawiona jałowości masowej turystyki. Co więcej, potrafią oni dzielić się swoimi doświadczeniami, a często i bezcennymi informacjami. Z relacji ich podróży powstała ta oto książka, która pozwoli Wam wyruszyć w świat bez niepewności dokąd, jak i za ile. Nie zastępuje ona przewodników, ale je uzupełnia, podpowiada bowiem, jak zrealizować konkretne podróże w ciekawe zakątki świata, zarówno bliskie, jak i dalekie.

Język relacji jest prosty, ale bardzo konkretny, dlatego staraliśmy się zachować specyficzny charakter tej książki, ograniczając korekty redakcyjne do minimum. W tekście zachowano pisownię nazw geograficznych podaną przez autorów.

Tom pierwszy „Przez świat” był swego rodzaju eksperymentem, ponieważ na polskim rynku nie ukazała się dotąd książka tego rodzaju. Jednak powodzenie, jakie osiągnął tom I, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Książka zniknęła błyskawicznie z księgarń, a w mediach ukazały się znakomite recenzje. Jeszcze lepiej wypadły kolejne tomy. Co jednak najbardziej nas cieszy, otrzymaliśmy ogromną liczbę listów zarówno od podróżników, jak i tych, którzy marzą o dalekich podróżach. Otrzymujemy także kolejne relacje, którymi dzielimy się z Wami. Kiedy książka ta trafi do Was, będziemy pracować nad kolejnym tomem, do którego współtworzenia serdecznie zapraszamy.

Tradycyjnie zapraszamy na imprezy przez nas organizowane (informacje o nich znajdziecie na kolejnych stronach), a także na naszą stronę www w Internecie.

Życząc ciekawej lektury, mamy nadzieję spotkać Was na globtroterskim szlaku.



Andrzej Urbanik



www.travelbit.pl

To adres internetowy travelbit-u.

Już od 1997 roku zapraszamy wszystkich podróżników-internautów do odwiedzania naszej strony. Znajdziecie tam informacje o nas, o imprezach przez nas organizowanych, wiadomości zebrane przez OSOTT-owiczów, a także informacje o książkach „Przez świat” (książki te, a także wiele innych można kupić za pośrednictwem internetowej księgarni). W dziale „Relacje z wypraw” zebrano ciekawe sprawozdania z eskapad po całym świecie. Bardzo przydatny jest dział „Spotkania podróżników” będący kalendarium najważniejszych imprez podróżniczych i turystycznych w Polsce oraz na świecie. Zebraliśmy także dla was ponad 2700 (!) użytecznych adresów internetowych związanych z podróżowaniem (podzielonych na działy), co pozwoli wam zaplanować każdą podróż. Co więcej, za pośrednictwem kamer zainstalowanych w najciekawszych punktach świata możecie obejrzeć, jak wyglądają miejsca, do których chcecie się wybrać. Osobny dział poświęcono najważniejszemu spotkaniu globtroterskiemu w Polsce, jakim jest Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów (OSOTT).

Jednak chyba najcenniejszą możliwością jest nasza Lista dyskusyjna. Jest ona najbardziej dostępnym i najszybszym sposobem wymiany informacji. Jeżeli zdobyłeś ciekawe wiadomości, po prostu prześlij je do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli szukasz towarzyszy podróży, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u. Jeżeli masz jakieś problemy związane z podróżowaniem, napisz o tym do Listy dyskusyjnej Travelbit-u.

Im więcej będzie nas uczestniczyć w naszej Travelbitowej liście dyskusyjnej, tym łatwiej będzie nam się kontaktować i na bieżąco wymieniać informacje.

W świecie globtroterów

Trudno z całą pewnością ustalić, kiedy w Polsce powstał ruch globtroterski. Najpewniej wszystko zaczęło się w latach siedemdziesiątych w środowisku akademickim, gdy powszechne stało się organizowanie wyjazdów turystycznych, nazwanych wkrótce trampingowymi. Ich uczestnicy organizowali je sami, wymyślając trasę, a wędrowali bez pomocy biur turystycznych.

Na trampingowy szlak wyruszali także coraz śmielej podróżnicy indywidualni, korzystając z oficjalnych przydziałów dewizowych (po wielu zabiegach można było wykupić, po oficjalnym kursie, niższym pięciokrotnie od czarnorynkowego, równowartość kwoty 150 USD). Hasło „Świat za 150 dolarów” stało się modne i z tą magiczną kwotą wędrowali po nim polscy globtroterzy.

W 1976 roku w Krakowie, w studenckim biurze podróży Almatu, Andrzej Urbanik, jeden z głównych organizatorów trampingowych eskapad, stworzył BIT, czyli Bank Informacji Trampingowej. Początkowo był to zwykły skoroszyt, do którego wpinał relacje z podróży własnych i swoich znajomych. Pomysł okazał się znakomity i wkrótce BIT rozrósł się do rozmiarów sporego archiwum, a w 1994 przekształcił się w Travel BIT – Centrum Podróżnicze, które działa w sposób niekomercyjny i specjalizuje się w informacji globtroterskiej. Często jednak okazywało się, że w czasie zdobywania informacji konieczny jest bezpośredni kontakt z tymi, którzy wędrowali w rejonie, do którego chcielibyśmy się właśnie udać. Dotarcie do właściwych osób nie zawsze było proste, a często nie gwarantowało także sukcesu. Przekonał się o tym Andrzej Urbanik, kiedy nie udało mu się uzyskać informacji o Indonezji, a jedynym argumentem „życzliwego” informatora było stwierdzenie, że najlepiej się jest uczyć na własnych błędach. Kiedy Andrzej dotarł wraz ze swoim przyjacielem – podróżnikiem Krzysztofem Kmiecikiem do Indonezji, podzielił się z nim pomysłem zorganizowania mityngu globtroterów. Było to na Bali w 1985 roku. Po powrocie do kraju „rozpuścili wici” i w listopadowy wieczór do podkrakowskich Harbutowic zjechało ponad 50 podróżników. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę i odtąd co roku w listopadzie, w różnych miejscach w Polsce, spotykają się na OSOTT (Ogólnopolskie Spotkania Organizatorów Turystyki Trampingowej), czyli głównym mityngu podróżniczym, zarówno polscy, jak i zagraniczni globtroterzy.

Ma on formę sympozjum, w czasie którego prezentowane są przezrocza z całego świata, plakaty fotograficzne oraz omawiane są różne problemy związane z podróżowaniem (najważniejsza jest sesja „Geografia Podróżowania”). W sumie OSOTT to forum wymiany informacji i spotkanie o specyficznej atmosferze, przeznaczone dla doświadczonych podróżników, ale i tych, którzy planują wyruszyć w świat. Warto podkreślić, że impreza ma całkowicie niekomercyjny charakter. Co bardzo cenne – OSOTT-owicze coraz częściej organizują podobne imprezy o charakterze lokalnym lub regionalnym, umożliwiając przekonywanie do podróżowania kolejnych marzycieli.

Ważną rolę od początku istnienia ruchu globtroterskiego w Polsce odgrywały wydawnictwa. W latach 1987–1991 na łamach Ilustrowanego Magazynu Turystycznego „Światowid” ukazywały się rubryki „Vademecum Globtrotera” i „Klub Globtroterów”, redagowane przez Liliannę Olchowik i Andrzeja Urbanika, które były głównym forum wymiany informacji podróżniczej. Od roku 1989 BIT wydawał własne pisma – najpierw „Globtroter”, potem „Travel”. Uczestnicy OSOTT-ów stali się autorami pierwszych globtroterskich przewodników w Polsce. Najpopularniejszy, będący już klasycznym przykładem, to wydany w 1987 roku „Przewodnik Trampingowy: Birma, Tajlandia, Malezja, Singapur, Indonezja” autorstwa Andrzeja Urbanika, z którym powędrowało w ten piękny rejon świata już kilka pokoleń podróżników (ciekawostką jest wydanie plagiatu). Chyba najwięcej zamieszania (w pozytywnym tego słowa znaczeniu) w podróżniczym światku wywołała książka Ediego Pyrka pod znamienym tytułem „Niech cały świat myśli, że jestem szalony, czyli do Indii za 30 dolarów”. Po jej przeczytaniu wielu dotąd niezdecydowanych marzycieli wyruszyło na globtroterski szlak. Od roku 1996 rozpoczęto wydawanie serii wydawniczej „Przez świat”. Jest ona w pewnym sensie kontynuacją pism „Globtroter” i „Travel”. Książki tej serii spełniają nie tylko zadanie informacyjne, ale także pełnią rolę integracyjną dla środowiska podróżników.

To tyle historii, a teraz odpowiedź – jak trafić do świata globtroterów. Najlepszą okazją jest przyjazd na OSOTT – Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów. Spotkanie przeznaczone jest dla podróżników i tych, którzy marzą o dalekich podróżach.

Od roku 2013 OSOTT rozszerza swoją formułę, jako że organizowany jest wspólnie przez serwis www.travelbit.pl oraz Uniwersytet Rzeszowski. Więcej informacji na stronie www.osott.pl.

OSOTT

Ogólnopolskie Spotkanie Obieżyświatów, Trampów i Turystów

**Uniwersytet Rzeszowski
oraz serwis podróżniczy www.travelbit.pl
serdecznie zapraszają na OSOTT 2013,
który odbędzie się w Rzeszowie w dniach 9–11 listopada 2013.
Do udziału zapraszamy nie tylko doświadczonych podróżników,
ale i tych,
którzy marzą o dalekich podróżach.**

Informacje:

www.osott.pl

www.travelbit.pl

www.ur.edu.pl



Impreza odbędzie się pod honorowym patronatem Prezydenta Miasta Rzeszowa
oraz Rektora Uniwersytetu Rzeszowskiego

Konkurs na relację z wypraw

Uniwersytet Rzeszowski oraz Travelbit zapraszają do przesyłania relacji z podróży. Zamieszczone będą na stronie www.travelbit.pl w dziale „Relacje z wypraw”. Mogą one mieć dowolny układ, jednak proponujemy, aby zamieszczać w nich jak najwięcej informacji praktycznych – takie relacje są najchętniej czytane i oceniane najwyżej. Autorzy najlepszych relacji będą nagradzani książkami z serii „Przez świat”.

Mamy także przyjemność poinformować, że jeżeli nadesłane relacje spełnią warunki regulaminu (patrz poniżej), będą automatycznie brały udział w konkursie z nagrodami, a najlepsze z nich znajdą się w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w corocznym konkursie.

Konkurs na relację do tomu XVIII książki „Przez świat”.

Każdy uczestnik może nadesłać dowolną liczbę sprawozdań/relacji z podróży odbytych w latach 2013–2014. Termin nadsyłania prac – na adres mailowy **travelbit@travelbit.pl** – upływa w dniu 20 lutego 2014. Relacje będą oceniane pod kątem wartości praktycznych informacji, czyli na ile po ich lekturze będzie można zrealizować taką samą podróż.

Zaleca się, aby maksymalna objętość dziennika/sprawozdania wynosiła 12 stron A-4 (12 stron po 1800 znaków); zwięzłość mile widziana. Prosimy także autorów, aby relacje były pisane w tym samym czasie (teraźniejszym lub przeszłym), a także aby nie zamieszczać tabel. Jako wyróżnień tekstu prosimy nie używać WERSALIKÓW, wystarczy **Bold**.

Preferowany układ:

Przejazd – na trasie – za ile – ile trwał – jaki środek komunikacji – ew. firma – uwagi,

Noclegi – nazwa hotelu – adres – cena – uwagi,

Zwiedzanie – nazwy obiektów – lokalizacja – dojazd – ceny wstępów – uwagi,

Dodatkowo – termin odbytej podróży, kursy walut (najlepiej w stosunku do USD lub Euro), ceny żywności oraz inne podstawowe, ważne informacje (np. szczepienia, wizy...). Najlepiej jeżeli te informacje będą podawane w układzie opis podróży dzień po dniu. Jeżeli jednak uznacie, że opracowana przez Was inna forma będzie lepsza – zaproponujcie własny układ. Prosimy o niezamieszczanie informacji opisowych i historycznych, jakie można znaleźć w przewodnikach (chyba że są to nieznane fakty albo są na tyle ważne, że trzeba o nich napisać).

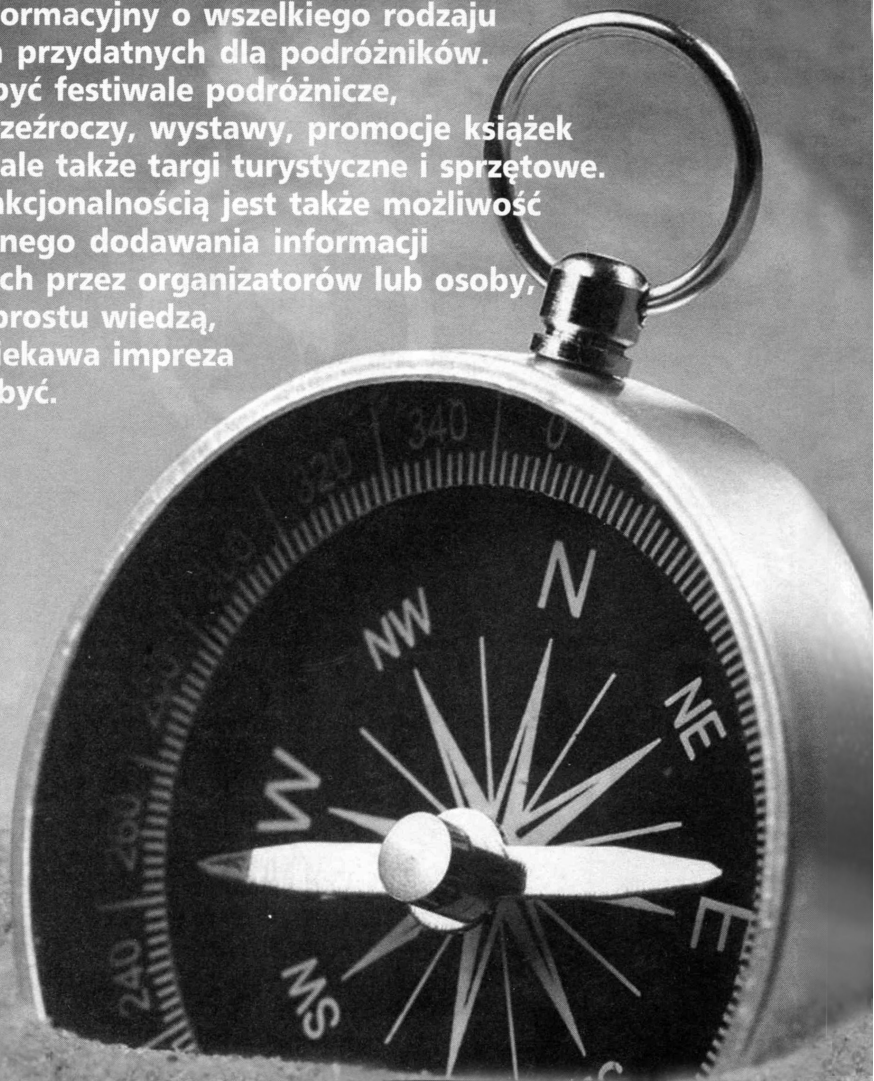
Najlepsze prace zamieścimy w kolejnym tomie książki „Przez świat”. Przewidujemy umieszczenie prac na stronie **www.travelbit.pl**, a także współpracujących z nami portali (jeżeli uczestnik konkursu nie zgłosi w tej sprawie zastrzeżeń). Za nadesłane, a także opublikowane relacje nie są wypłacane honoraria – autorzy biorą udział w konkursie.

Z naszej strony nie czynimy przeszkód, aby teksty zamieszczone w książce „Przez świat” były później publikowane w innych mediach.



imprezy-dla-podroznikow.pl

Serwis informacyjny o wszelkiego rodzaju imprezach przydatnych dla podróżników. Mogą to być festiwale podróżnicze, pokazy przeźroczy, wystawy, promocje książek i sprzętu, ale także targi turystyczne i sprzętowe. Cenną funkcjonalnością jest także możliwość samodzielnego dodawania informacji o imprezach przez organizatorów lub osoby, które po prostu wiedzą, że jakaś ciekawa impreza ma się odbyć.



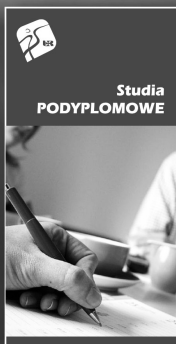
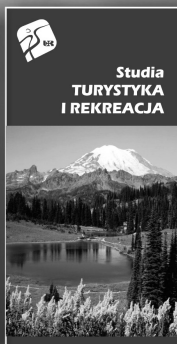
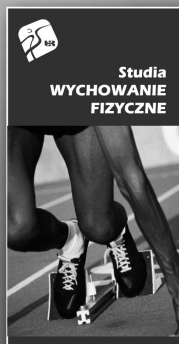


Wydział Wychowania Fizycznego

Uniwersytet Rzeszowski

35-959 Rzeszów, ul. Towarnickiego 3, tel. 17 872 1861

<http://wf.univ.rzeszow.pl>



W ofercie edukacyjnej:

- * studia licencjackie i uzupełniające
- * tryb stacjonarny i niestacjonarny
- * studia w jęz. angielskim
- * letnie i zimowe obozy programowe
- * kursy doskonalące
- * zajęcia w sekcjach sportowych
- * praktyki i staże w krajach Unii Europejskiej
- * studenckie koła naukowe



Absolwencie, czy znalazłeś już swój wymarzony kierunek?
Zapraszamy na Wydział Wychowania Fizycznego!

W krainie chaczapuri, chaczkarów i nafty



Armenia, Gruzja i Azerbejdżan – każde z tych państw różni się pod względem religii (kościół ormiański, prawosławie i muzułmanie), kuchni, języka czy kultury.

Gruzję zwiedzaliśmy już wcześniej, a więc obecnie głównie skoncentrowaliśmy się na ormiańskich klasztorach (najciekawsze w Armenii) oraz na kosmopolitycznym Baku.

Termin: 16.05 – 26.05.2012 roku

Wiza:

Armenia – wiza na 21 dni za 3000 AMD bez problemu na lotnisku lub granicy lądowej z Gruzją (należy wypełnić tylko formularz bez zdjęcia) – od 10.01.2013 roku obowiązuje ruch bezwizowy.

Gruzja – ruch bezwizowy na okres do 360 dni.

Azerbejdżan – wizę można uzyskać w Ambasadzie Republiki Azerbejdżańskiej w Warszawie (ul. Zwycięzców 12, tel. 22 616 21 88) – koszt 60 euro za wizę na okres 5 dni (opłatę należy uiścić w banku Millennium) i oprócz wniosku (od XII 2012 obowiązuje e-visa) należy przedstawić 1 zdjęcie, zaświadczenie o zatrudnieniu oraz opłaconą rezerwację hoteli na cały okres pobytu (nie jest weryfikowane, czy została rezerwacja opłacona). Na wizę czeka się około 10 dni roboczych.

Białoruś – wizę można uzyskać w Ambasadzie Republiki Białorusi w Warszawie przy ul. Wiertniczej 58, koszt 10 euro za 2-dniową wizę tranzytową – należy przedstawić dokumenty na dalszą podróż lub wizy kraju docelowego, jedno zdjęcie + polisę ubezpieczenia medycznego „Europa” (za 2 dni około 8 PLN). Na wizę czeka się około 5 dni roboczych.

Czas:

Armenia, Gruzja, Azerbejdżan – +2 h w stosunku do Polski (w okresie zimowym +3 h)
Białoruś – +1 h w stosunku do Polski (w okresie zimowym +2 h)

Pieniądze: (kurs na dzień 16.05.2012 roku):

Armenia 1 USD = 396 dram (AMD) 1 EUR = 499 AMD

Gruzja 1 USD = 1,61 lari (GEL) 1 EUR = 2 GEL

Azerbejdżan 1 USD = 0,78 manatów (AZN) 1 EUR = 1 AZN

Białoruś 1 USD = 8192 rubli białoruskich (BRY) 1 EUR = 10 365 BRY

Komunikacja: W Armenii, Gruzji i Azerbejdżanie transport publiczny jest tani, w szczególności jeśli chodzi o minibusy (marszrutki). Użyteczny może być pociąg na trasie Tbilisi–Batumi czy na trasie Tbilisi–Baku. Można również wynajmować na dłuższe przejazdy poza miasto samochód z kierowcą (np. z hotelu) lub taksówki, co w Gruzji czy Armenii wychodzi nawet stosunkowo tanio. Wynajęcie samochodu z kierowcą w Azerbejdżanie czy przejazd taksówką w Baku są raczej drogie.

Noclegi: Ceny noclegów w hotelach w Erywaniu czy w Tbilisi (na Starym Mieście z wyjątkiem hosteli) czy w Baku (na Starym Mieście najtańszy pokój około 50 euro) są raczej wysokie. Można szukać tańszych noclegów na kwaterach w prywatnych domach (nie są one zbyt liczne w Baku).

Koszty: W szczególności ceny wstępu do muzeów czy ceny transportu publicznego należy zakwalifikować jako tanie. Ceny jedzenia w restauracjach mniej więcej takie jak w Polsce. Do Erywania czy Tbilisi można tanio polecieć bezpośrednio z Warszawy poza sezonem liniami PLL „LOT” (około 500–600 PLN w jedną stronę, przy czym w 2013 roku „LOT” nie będzie już latać do Erywania). Do Baku można tanio dolecieć liniami „Belavia” przez Mińsk (około 900–1000 PLN w jedną stronę).

Dziennik podróży

16 maja

22.30 – przelot „LOT”-em z Warszawy do Erywania, ok. 3 h 30. Lotnisko w Erywaniu bardzo nowoczesne – w 2011 roku oddano do użytku nowy terminal (szkło i metal).

17 maja

W kawiarni na lotnisku – kawa za 1600 AMD za sztukę. Z lotniska przejazd taksówką za 2500 AMD do centrum Erywania. W Erywaniu nocleg w Hostelu „Envoy” – 20.000 AMD za pokój 2-osobowy ze wspólną łazienką i ze śniadaniem – dobre warunki, czysto. Przejazd taksówką za 700 AMD z centrum Erywania na dworzec autobusowy Kiliya. Na dworcu kupujemy bułki z czekoladą – 150 AMD za sztukę. Przejazd minibusem („marszrutka”) do Wanadzoru – 2 h, 1200 AMD. Droga do Wanadzoru w bardzo złym stanie – pełna dziur.

Ogólnie Armenia sprawia wrażenie państwa, w którym od kilkunastu lat nic się nie zmieniło – puste i niszczące fabryki, samochody z czasów ZSRR (łady i moskwicze), stare i rozwalające się bloki mieszkalne – oprócz Erywania nie widać nowoczesnych budynków.

W centrum Wanadzoru w kawiarni – 2 chaczapuri adżarskie (placek z serem i z jajkiem na wierzchu), sok z granatu, 2 kawy ormiańskie (tureckie) – 3500 AMD. Przejazd taksówką za 4000 AMD do Dilidżanu + przejazd z Dilidżanu do klasztorów Goshavank i Haghartsin za 6000 AMD + przejazd z Dilidżanu do Sewan za 4000 AMD. Dilidżan pomimo zachęcających opisów w przewodniku (tzw. „Szwajcaria Armenii”) nie zrobił na nas wrażenia – jedna ulica Sharambeyan z domami z kamienia z drewnianymi balkonami.

Najpierw jedziemy do klasztoru Goshavank z XII/XIII w., położonego w centrum górskiej wioski – wejście za darmo – wokół klasztoru pełno tzw. chaczkarów (kamienne płyty z krzyżem ormiańskim, bogato zdobione). Następnie jedziemy do położonego w lesie klasztoru Haghartsin z XIII w. (razem z Goshavank na liście światowego

dziedzictwa UNESCO) – klasztor niedawno odnowiony i przez to pozbawiony uroku. Jedziemy przez Dilidżan do Sewan, w tym tunelem przez Przełęcz Sewan na wysokośći ponad 2100 m n.p.m. Zwiedzamy klasztor Sewanavank położony na wzgórzu na Półwyspie nad Jezioro Sewan – wspaniały widok na góry otaczające jezioro. Wokół klasztoru pełno chaczkarów. Woda w jeziorze bardzo zimna. Przejazd minibusem za 100 AMD od osoby na dworzec autobusowy w Sewan i następnie przejazd minibusem za 600 AMD od osoby do Erywania, ok. 1 h. Droga do Erywania w dobrym stanie (droga szybkiego ruchu). W Erywaniu można wysiąść w centrum miasta. Obiad w restauracji „Panorama” – elegancka z widokiem na miasto – mutabal, humus, lavash (chleb), piwo „Kilikya”, woda mineralna, 2 kawy ormiańskie, shish tauk (szaszłyk z kurczaka), kofta z kaszą gryczaną – 13 100 AMD.

Wieczorem spacer po Erywaniu – na Placu Republiki można zobaczyć pokaz fontann „światło i dźwięk”.

W sieciowej, ormiańskiej kawiarni „Jazzve” – wino z granatów (niezbyt dobre), lody, ciastko czekoladowe – 5000 AMD.

18 maja

Śniadanie w hostelu – parówki, ser, dżem, chleb, kawa.

Zwiedzanie Erywania: Opera (tak jak większość budynków w Erywaniu wybudowana z wulkanicznego kamienia – tufu), deptak Hyusisayin Poghota, Plac Republiki z Muzeum Historii Armenii (wejście 1000 AMD od osoby) – napisy tylko po ormiańsku, chaczary, dużo ceramiki i można zobaczyć najstarszy but na świecie (mający ponad 5500 lat).

Jedziemy metrem ze stacji Hanrapetutyán Hraparak do stacji Barekamutyun za 100 AMD od osoby (metro niezmiennie od czasów ZSRR) i następnie taksówką za 700 AMD do Tsitsernakaberd. Zwiedzanie Tsitsernakaberd, czyli Muzeum Ludobójstwa Ormian (wejście za darmo) – muzeum ze zdjęciami dokumentującymi ludobójstwo, pomnik z tzw. wiecznym ogniem, park z drzewami zasadzonymi przez zagranicznych polityków. Ze wzgórza, na którym usytuowane jest Muzeum, dobry widok na Ararat.

Powrót taksówką za 700 AMD do centrum i zwiedzanie tzw. Błękitnego Meczetu w stylu irańskim. Przejazd taksówką w dwie strony do Eczmiadzynu i do Zwartnoc za 8000 AMD.

Najpierw zwiedzamy Katedrę w Zwartnoc (Zvartnots) – wejście 700 AMD od osoby – ruiny kościoła z VII wieku, częściowo zrekonstruowanego (ciekawe, bogato zdobione kolumny). Dalej jedziemy do Eczmiadzynu – siedziby Katolikosá – najświętszego miejsca dla Ormian. Najciekawsza jest Katedra (Mayr Tachar) pochodząca z V–VII w., w której przechowuje się włócznie, którą przebito bok Chrystusa na krzyżu – w środku jest surowa (z wyjątkiem fresków na suficie). Wokół Katedry ustawionych jest dużo, bogato zdobionych chaczkarów. Ponadto zwiedzamy kościół św. Gayane i kościół św. Hripsime z niszą, w niej przechowuje się kamienie, które służyły do ukamienienia świętej.

Powrót do Erywania i obiad w restauracji gruzińskiej „Caucasus Tavern” – bardzo dobra – roladki z bakłazaną z orzechami, chaczapuri, 6 chinkali, kurczak w sosie pomidorowym, woda, butelka wina „Saperavi”, baklava, kawa – 12 500 AMD.

Wieczorem spacer po Erywaniu – nowoczesny, ogromny kościół św. Grzegorza Oświeciciela (mało ciekawy) oraz na Plac Republiki.

19 maja

Śniadanie w hostelu.

Przejazd taksówką za 1000 AMD do miejsca (GAI Poghots koło salonu Mercedesa), skąd odjeżdżają marszrutki do Garni. Przejazd minibusem do Garni – 30 min., 250 AMD od osoby.

Zwiedzamy grecką świątynię w Garni – wejście 1000 AMD od osoby. Świątynia z I w. n.e. (w części zrekonstruowana) położona nad wąwozem rzeki Azat – miejsce klimatyczne (z głośników rozbrzmiewa muzyka klasyczna). Przejazd taksówką za 2000 AMD do klasztoru Geghard. Wokół klasztoru pełno ludzi sprzedających suszone owoce, miód oraz okrągłe ciasto z orzechami i miodem (małe za 1000 AMD za sztukę). Klasztor Geghard to miejsce klimatyczne, pełne pielgrzymów z całej Armenii – kaplice wykute w skale z rzeźbieniami, kościół na zewnątrz zdobiony, chaczgary. Z Geghard jedziemy taksówką boczną drogą (kręta i pełna dziur) do Khor Virap – taksówka do Khor Virap i następnie do Erywania za 10 000 AMD. Klasztor Khor Virap słynie z tego, iż przez około 15 lat był więziony w studni św. Grzegorz Oświeciciel. Z klasztoru położonego tuż przy granicy z Turcją wspaniały widok na Ararat (zwykle po południu Ararat zakryty jest chmurami). Kościół mało ciekawy – można zejść na dno studni, gdzie więziony był św. Grzegorz.

Powrót do Erywania i w kawiarni koło Opery – 2 kawy, sok z granatów, lody – 5800 AMD. Spacer po Kaskadzie (schody z fontannami i rzeźbami) z Muzeum Sztuki – z górnego tarasu wspaniały widok na Erywań.

Obiad w restauracji „Caucasus Tavern” – 10 chinkali, roladki z bakłażana z orzechami, kurczak w sosie pomidorowym, szaszłyk z kurczaka, woda mineralna „Jermuk”, butelka wina „Saperavi” – 11 500 AMD.

W sklepie koło Placu Republiki zakup pamiątek – koszula za 3500 AMD, naczynie na przyprawę za 2200 AMD, bombka na choinkę za 3000 AMD, aniołek z drewna za 3000 AMD.

20 maja

Śniadanie w hostelu.

Przejazd taksówką za 700 AMD na dworzec autobusowy Kilikya. 8.00 – minibus do Alaverdi, 1500 AMD, 3 h (docelowo jedzie na granicę z Gruzją). W Alaverdi – woda „Jermuk”, batonik, słodkie bułki – 780 AMD. Przejazd taksówką do klasztorów Sanahin i Haghpata za 4000 AMD, a następnie przejazd za 5000 AMD na granicę z Gruzją i po drodze zwiedzanie klasztoru Akhtala.

Najpierw zwiedzamy klasztor Sanahin (wejście za darmo) – bogaty przedsiönek (gavit), chaczgary – najciekawszy z wszystkich klasztorów – kupujemy ubranka na jajka za 500 AMD za sztukę.

Klasztor Haghpata (wejście za darmo) z X w. położony na wzgórzu nad wąwozem – duży, zdobiony gavit. Klasztor Akhtala słynie przede wszystkim z kolorowych fresków z XIII w. Na granicy z Gruzją w Sadakhlo musimy czekać ponad 2 h, gdyż z uwagi na brak prądu Gruzini nie mogą odprawiać pasażerów i samochodów.

W restauracji na granicy po stronie Armenii obiad – pasta z bakłażanów, chleb (lavash), sałatka z pomidorów i ogórków, 2 kawy ormiańskie, lemoniada, khorovats (karkówka z grilla) – 8000 AMD. Granica po stronie gruzińskiej bardzo nowoczesna.

Z granicy przejazd taksówką do Tbilisi – 1 h 30, 40 USD. W Gruzji bardzo dobre główne drogi – szerokie i bez dziur.

W Tbilisi nocleg na Starym Mieście w hotelu „Charm” – 55 USD za pokój z łazienką i ze śniadaniem. W sklepie – woda 1,5 l za 1 GEL, a mała butelka wody za 0,80 GEL. Kolacja w kawiarni „Qala” – roladki z bakłazaną z orzechami, chaczapuri, butelka wina „Pirosmani”, herbata – 59 GEL (wszystkie lokale na Starym Mieście bardzo drogie).

Wieczorem spacer po Starym Mieście – dużo domów i ulic jest remontowanych. Robią wrażenie stare domy z drewnianymi balkonami i z klimatycznymi restauracjami na dole. Spacer podświetlonym kolorowymi światłami nowoczesnym Mostem Pokoju nad rzeką Kurą.

21 maja

Śniadanie w hotelu – mortadela, ser sulguni, dżem, kawa.

Spacer po Starym Mieście w Tbilisi: Bazylika Anchiskhati, Wieża Zegarowa, Most Pokoju, kościół Metechi (z tarasu widok na rzekę Kurę i na twierdzę Narikala), łaźnie siarkowe, katedra Sioni. Idziemy do nowszej części miasta – Plac Wolności, Parlament i Aleja Rustaweli. Zwiedzamy Galerię Narodową – wejście 5 GEL od osoby – duży zbiór obrazów Niko Pirosmaniego przedstawiających zwierzęta oraz gruzińskie ucztę (supra). Muzeum odnowione, nowoczesne. W kawiarni w Galerii Narodowej – kawa za 7 GEL za sztukę. W okolicach stacji metra Rustaveli na straganie kupujemy rogi na wino – 20 GEL za 2 sztuki. Przejazd metrem ze stacji Rustaveli do stacji Didube – 2 GEL za kartę (kartę można zwrócić w kasie i odzyskuje się 2 GEL) + 0,50 GEL za jednorazowy przejazd. Metro częściowo odnowione i bardzo głębokie. Z dworca Didube (bardzo chaotyczny, rodzaj bazaru, trudno się zorientować skąd dokładnie odjeżdżają minibusy w wybranym przez nas kierunku) minibus do Gori – 1 h, 4 GEL od osoby. W Gori można wysiąść w centrum miasta koło Muzeum Stalina. Zwiedzamy Muzeum Stalina – wejście 15 GEL od osoby wraz ze zwiedzaniem wagonu, którym podróżował po ZSRR, i domu, w którym się urodził. Muzeum zwiedza się z przewodnikiem – na zdjęciach pokazana jest historia życia Stalina, począwszy od jego nauki w seminarium duchownym w Tyflisie do śmierci w 1953 roku. W osobnym pomieszczeniu umieszczona jest maska pośmiertna. Na ulicy w Gori kupujemy chaczapuri – 1,80 GEL za sztukę. Taksówką za 20 GEL jedziemy do Mcchety – 40 min.

Zwiedzamy w Mcchecie katedrę Świętej Cchoweli (wejście za darmo) – w środku odnowiona – ściany pokryte freskami, na podłodze groby królów gruzińskich. Zwiedzamy również kościół Samtavro.

Powrót taksówką za 12 GEL do Tbilisi do stacji Didube. Ze stacji Didube jedziemy metrem do centrum do stacji Tavisuplebis Moedani (Plac Wolności).

Obiad w restauracji „Shemoikhede Genatsvale” – butelka wina „Pirosmani” (11 GEL), roladki z bakłazanów z orzechami, lobio (zupa z fasoli), 6 chinkali, kurczak z grilla z sosem orzechowym, sałatka z pomidorów – 53 GEL (restauracja godna polecenia).

22 maja

Śniadanie w hotelu.

Z hotelu załatwiamy samochód z kierowcą na przejazd do Signaghi – ok. 2 h, 65 GEL. Signaghi to miasteczko otoczone murami i położone na wzgórzu – brukowane ulice z domami z drewnianymi balkonami – ogólnie bardzo zadbane i odnowione.

Spacerujemy po Sighnaghi – zwiedzamy kościół Tsminda Giorgi – wspaniały widok na Dolinę Alazani oraz na okoliczne wzgórza. Przejazd taksówką za 35 GEL do klasztoru Bodbe i następnie do Lagodekhi na granicę z Azerbejdżanem. Klasztor Bodbe to miejsce pielgrzymek dla Gruzinów ze względu na grób św. Nino. Obok klasztoru znajduje się nowoczesna samoobsługowa restauracja.

Na granicy duży ruch (głównie samochody, tiry), ale na piechotę można szybko przejść przez kontrolę gruzińską i następnie azerbejdżańską (całość zajmuje około 30 min.). Z granicy przejazd taksówką za 18 GEL (można zapłacić w GEL lub w AZN) do Zaqatala – ok. 1 h (przejazd do Balakan kosztował 6 GEL).

Azerbejdżan, w szczególności prowincja jest mniej więcej na takim samym poziomie jak Gruzja (wyjątkiem jest Baku, które to miasto prawie tworzy się od nowa – wznosi się nowoczesne wieżowce w miejsce starych budynków). W niektórych miastach widać nowo powstałe hotele czy restauracje. Na drogach widać dużo plakatów przedstawiających byłego Prezydenta Hajdara Alijewa.

W restauracji w Zaqatala – 2 lahmaçun z mięsem, kawa nescafe, sałatka z pomidora i ogórka – 7 AZN.

13.15 – minibus z Zaqatala do Szeki – 2 AZN od osoby, 2 h. Z dworca autobusowego w Szeki przejazd taksówką za 2 AZN do hotelu „Karavansaray”. Nocleg w hotelu „Karavansaray” – 30 AZN za pokój z łazienką bez śniadania – hotel w dawnym zajęździe kupieckim, położony w ogrodzie z restauracją i herbaciarnią – klimatyczne miejsce. Szeki słynie z baklawy (paxlava) – dużo lokali oferujących herbatę i słodycze – kawałek paxlavy z herbatą za 1 AZN.

Szeki jest jednym z ciekawszych miejsc w Azerbejdżanie – najciekawszy jest Pałac Chanów Szeki (Xan Sarayi) – wejście 2 AZN od osoby – zachował się mały budynek z dawnego Pałacu Chanów z malowidłami wewnątrz (sceny bitewne, kwiaty) z XVIII w. Charakterystyczne również są tzw. sebeke – kolorowe witraże obramowane drewnem w oknach. Pozostałe muzea w ramach kompleksu Pałacu Chanów np. Etnograficzne nie zachęcają raczej do wizyty – mało ciekawe.

Obiad w Szeki w restauracji „Çelebi Xan” – sałatka grecka, 10 chinkali, lule kebab, butelka wina azerbejdżańskiego „İvanovka”, woda „Borjomi”, herbata z paxlavą – 25 AZN.

23 maja

W centrum Szeki w hotelu „Sheki Saray” – kawa z ekspresu za 2 AZN za sztukę (jedno z niewielu miejsc w Azerbejdżanie poza Baku, gdzie można napić się dobrej kawy). Przejazd taksówką w 2 strony za 4 AZN do Kish. W Kish znajduje się Kościół Albanii Kaukaskiej – wejście 2 AZN od osoby – przypominający kościoły ormiańskie, położony w ogrodzie z drzewami z owocami khaki. Samo Kish jest ciekawą, górską wioską z domami otoczonymi wysokimi kamiennymi murami. Powrót do Szeki na dworzec autobusowy. 10.30 – minibus do Baku – 6 AZN, 4 h 30 – droga kręta i dopiero przed Baku dwupasmowa.

Z dworca autobusowego w Baku przejazd taksówką za 4 AZN do stacji metra 20 Janvar. Przejazd metrem do stacji 28 May i następnie przesiadka do stacji „İcheri Sheher” – karta do metra kosztuje 2 AZN (nie udało się nam jej zwrócić) + jeden przejazd 0,20 AZN – w automacie można doładowywać na kartę kolejne przejazdy.

Nocleg w hotelu „Altstadt” na Starym Mieście – 46 AZN za pokój z łazienką i ze śniadaniem – dobre warunki, czysto (jak na Baku jeden z tańszych hoteli).

Obiad w restauracji „Tandir” na Starym Mieście – 8 qutab (naleśnik z mięsem lub ze szpinakiem), kawa, jogurt – 10 AZN.

Spacer po Bulwarze z nowoczesnym centrum handlowym, wieżą zegarową, Teatrem Marionetek oraz kawiarniami i restauracjami. Ma być oddane do użytku niebawem nowoczesne Muzeum Dywanów w kształcie zrolowanego dywanu. W tzw. Małej Wenecji można popływać gondolą po kanałach. Na Bulwarze jest również usytuowany najwyższy maszt na świecie z flagą Azerbejdżanu.

W sklepie – woda „Borjomi” za 0,80 AZN oraz butelka wina azerbejdżańskiego za 7 AZN.

24 maja

Śniadanie w hotelu – chleb, ser, parówki, dżem, kawa.

Zwiedzanie Pałacu Szachów Szirwanu – wejście 2 AZN od osoby – kompleks z meczetem, mauzoleum Szachów oraz muzeum – w większości odnowione budowle. Następnie zwiedzanie tzw. Baszty Dziewiczej – wejście 2 AZN od osoby – jedna z zachowanych baszt w murach obronnych otaczających Stare Miasto – z górnego tarasu wspaniały widok na Zatokę Bakijską oraz na całe miasto schodzące kaskadowo w stronę Zatoki. Ciekawie prezentują się tzw. Flame Towers (wieże w kształcie płomieni) podświetlane wieczorem. Spacer po wąskich uliczkach Starego Miasta do ulicy Nizami – głównego handlowego deptaku z eleganckimi sklepami. W „Travellers Coffee” – kawa za 5 AZN za sztukę.

Obiad w restauracji „Karavanseraj” – 4 roladki z bakłażana z orzechami, lule kebab, sałata z ogórkiem, chleb, woda „Borjomi” – 23,30 AZN. Przejazd metrem ze stacji Sahil do stacji Karoğlu za 0,20 AZN i następnie ok. 20 min. autobusem nr 184 za 0,20 AZN do Suraxani.

Aby dojść do tzw. Świątyni Ognia, należy z końcowego przystanku autobusu w Suraxani przejść przez stację kolejową i skręcić w pierwszą ulicę w lewo. Wejście do Świątyni za darmo ze względu na trwające prace remontowe – na środku dziedzińca otoczonego murami pawilon z płonącym wiecznym ogniem. Suraxani to komunistyczne blokowiska, rozwalające się domy oraz szyby naftowe – ogólnie brud i bałagan.

Powrót do Baku i wieczorem spacer po Bulwarze.

25 maja

Śniadanie w hotelu.

Z hotelu wynajęcie samochodu z kierowcą za 50 AZN do tzw. wulkanów błotnych oraz do Gobustanu (wycieczka trwała około 5 h 30). Najpierw jedziemy autostradą, a następnie szutrową drogą pełną dziur i kolein do tzw. wulkanów błotnych. Małe wulkany co jakiś czas wyrzucają na zewnątrz błoto i wodę – wokół nie ma żadnych zabudowań, słychać tylko „pracujące” wulkany. Miejsce jest ciekawe ze względu na swoje usytuowanie na całkowitym pustkowiu (wejście za darmo; brak jakichkolwiek oznaczeń dojazdu z głównej drogi). Następnie jedziemy do Gobustanu – wejście 2 AZN od osoby + 1 AZN za samochód. Najpierw można zwiedzić nowoczesne Muzeum przedstawiające historię i znaczenie poszczególnych petroglifów. Później wjeżdża się samochodem na górę i ogląda się petroglify przedstawiające ludzi, zwierzęta czy łodzie. Wspaniały widok na Zatokę i na szyby naftowe. Obok znajduje się zachowana inskrypcja rzymska.

Powrót do Baku w okolice Bulwaru i obiad w azerbejdżańskiej, sieciowej restauracji samoobsługowej „Çudo Peçka” – 4 pierogi z mięsem, 4 qutab z mięsem, jogurt, kawa, woda, baklava (1 AZN) – 7,20 AZN.

Spacer po Starym Mieście i w okolicach ulicy Nizami.

Kolacja w gruzińskiej restauracji położonej w bocznej uliczce od ulicy Nizami – kurczak w sosie orzechowym, chaczapuri, mała karafka wina gruzińskiego, woda, kawa, sałatka z pomidorów – 23 AZN.

26 maja

Przejazd samochodem z hotelu na lotnisko za 25 AZN – ok. 30 min. Lotnisko w Baku małe – zmodernizowane, ale niewiele restauracji i sklepów. 4.45 – przelot liniami „Belavia” do Mińska – 3 h 10 – do jedzenia kanapka oraz napoje. 7.20 – przylot do Mińska. Lotnisko w Mińsku małe i w starym stylu. Brak bankomatu na lotnisku (pieniądze można wymienić tylko w jednym kantorze) oraz nie działają telefony komórkowe.

Z lotniska przejazd autobusem za 11 850 BRY do stacji metra Urucze (jedzie do Centralny Dworzec Autobusowy) – ok. 40 min.

Przejazd metrem do stacji Plac Lenina (lub Plac Niepodległości) – żeton na jeden przejazd za 1700 BRY.

W kawiarni – kawa za 26 000 BRY + placki z serem i śmietaną za 25 000 BRY za jedną porcję. Zwiedzamy Mińsk: Plac Niepodległości z pomnikiem Lenina oraz kościołem św. Szymona i św. Heleny, Prospekt Niepodległości, budynek KGB z pomnikiem Dzierżyńskiego, Plac Październikowy z siedzibą Prezydenta Łukaszenki, Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, Ratusz, Kościół św. Piotra i Pawła, tzw. Wyspa Łez na Świsłoczy z pomnikiem poległych w Afganistanie, Plac Zwycięstwa (Peramohi) z tzw. wiecznym ogniem.

W barze samoobsługowym – placki ziemniaczane ze śmietaną za 16 000 BRY za porcję + woda 0,5 l za 9000 BRY. Przejazd metrem ze stacji Pl Peramohi do stacji Uskhod (Vostok) i zwiedzanie z zewnątrz nowoczesnej Biblioteki Narodowej o dziwnym kształcie. Z Mińska można tanio pojechać autobusem do Wilna (117 000 BRY, 4 h).

Powrót na lotnisko najpierw metrem do stacji Urucze, a następnie autobusem. 15.40 – wylot liniami „Belavia” do Warszawy, 1 h 15.

• Rozmaitości ze świata •

Malezyjscy handlarze zaoferowali nową usługę: shoes dating. Łączy przyjemne z pożytecznym: zakupy i szybkie randki. Pomysł jest prosty: mężczyźni rejestrują się w portalu randkowym i wybierają 20 par butów z oferty sklepu „Shoes Shoes Shoes”, za które są gotowi zapłacić od 10 – 100 procent ceny. Natomiast kobiety, które kupią obuwie w tym modnym sklepie, mogą następnie wejść na stronę portalu, by przejrzeć profile panów gotowych za nie zapłacić. Jeśli któryś z kandydatów im się spodoba i umówią się z nim na randkę, dostaną zwrot pieniędzy.

Podróż do kraju kiwi i koali – Nowa Zelandia i Australia



Osoby biorące udział: podróżowałem przez kilka dni w pojedynkę, a w pozostałym czasie z moim synem Jackiem, który w tym czasie studiował w Sydney; wyjazd odbył się na przełomie kwietnia i maja 2012 roku.

Ważne informacje dotyczące Australii i Nowej Zelandii

AUSTRALIA

Wiza: Jest wymagana, można ją załatwić elektronicznie i otrzymuje się poprzez odpowiednią aplikację (eVisitor), którą należy złożyć przynajmniej dwa tygodnie przed planowanym wyjazdem do Australii (lepiej znacznie wcześniej). Radzi się, aby wpierv uzyskać potwierdzenie otrzymania wizen, a dopiero potem kupować bilet lotniczy. Można się o nią starać, wyłącznie przebywając poza Australią. Należy podać m.in. numer paszportu ważnego przez kolejne 6 miesięcy w momencie uzyskania wizen oraz aktualny adres e-mailowy. Po zaaplikowaniu powinno się otrzymać w ciągu 12 godzin status aplikacji. Zwykle otrzymuje się zgodę bardzo szybko, ale w niektórych szczególnych przypadkach można się spodziewać, iż się przedłuży do około 2–10 dni roboczych.

Ludność: Australia – 22 mln mieszkańców (1.10.2009), co czwarty mieszkaniec urodził się za granicą, populacja Sydney 4 293 000 mieszkańców, Melbourne 4 000 000 mieszkańców; powierzchnia łączna 7 617 930 km²; dla porównania w Australii żyje dwa razy więcej kangurów niż ludzi (około 40 milionów kangurów).

Różnica czasu: Pomiędzy Australią a Polską wynosi 8 h.

Pieniądze: Kurs: 1 dolar australijski = 1,0649 USD, kurs 1 USD = 3,27 PLN. Bardzo niekorzystne jest wymieniać w Australii pieniądze na dolary australijskie, np. w kantorze przy nabrzeżu promowym w Sydney 1 dolar australijski = 1,0649 USD, ale do tej wartości dochodził tzw. *service fee* 8,12 % oraz tzw. *compliance fee* 3,95 AUD, czyli przykładowo za sumę 700 dolarów otrzymałem 600 dolarów australijskich (Circular Quay The Change Group Australia PTY Ltd).

Natomiast w Polsce przed wyjazdem kupowałem dolary australijskie po kursie – 1 AUD = 3,290 PLN. Stąd wynika, iż płaciłem około 16% więcej niż gdybym wymienił w Polsce.

Klimat: Na przełomie kwietnia i maja temperatura w stanie Nowej Południowej Walii (Sydney) w ciągu dnia waha się pomiędzy 10 a 22 stopni Celsjusza, ale w Melbourne zwykle o kilka stopni mniej, w nocy spada do około 10–12 stopni, w Melbourne do 7–8 stopni, choć w Alpach Australijskich wieczorem i rano jest bliska zeru, zależy od wysokości nad poziomem morza.

Inne ważne informacje

Kontakty do gniazdek są podobne do tych, które się używa w Nowej Zelandii, na wyspach Fidżi, Tonga, w Argentynie i Chinach.

Telefon komórkowy sieci Plus GSM – działa – można było dzwonić do Polski i odbierać oraz wysłać esemesy.

Ceny podane w dolarach australijskich:

Wyżywienie:

Sklep spożywczy: jabłka – 5–6 dolarów za kg, banany – 3,50 za kilogram, sześć piw – 18–23 dolarów, jedna butelka – 3,50–4,50 dolarów.

Restauracja: spaghetti – 22 dolary – w uczęszczanym miejscu w Sydney – nad zatoką; piwo – 7 dolarów; falafel – talerz – pita, warzywa – 15 dolarów.

Zwiedzanie: Wstęp za samochód do Royal National Park na południe od Sydney – 11 dolarów, ale nikt od nas tego nie wymagał.

Transport

Na autostradach w Australii nawet na tych 3- lub 4-pasmowych obowiązuje maksymalna prędkość 100 km/h – 110 km/h; 1 litr benzyny 95 – 1,60 dolara.

Opłaty za przejazd własnym samochodem po Sydney – ściągane są elektronicznie poprzez odczytywanie rejestracji – cena około 5,50 dolara za przejazd mostem na drugą stronę; taksówka – wczesnym rankiem – kurs Bondi Beach – Lotnisko Sydney – Kingsford – 56 dolarów + 2,50 za rezerwację; bilet autobusowy w Sydney – na drugą strefę – 3,50 dolarów.

Noclegi

Park Squire Motor Inn & Serviced Apartments, North Melbourne, Parkville, 94 Fleming Rd – 105 aus. dol., Tathra – Tathra Beach House Apartments – 110 aus. dol.

NOWA ZELANDIA

Wizy: Do Nowej Zelandii nie jest wymagana wiza.

Ludność: Nowa Zelandia 4,2 mln mieszkańców, w tym 15% Maorysów, powierzchnia łączna 268 680 km².

Różnica czasu: Pomiędzy Nową Zelandią a Polską wynosi 11 h (ale może być mniejsza o 2 godziny w czasie, gdy jednocześnie w Polsce jest czas letni, a w Nowej Zelandii tzw. według norm europejskich zimowy).

Pieniądze

Kurs: 1 dolar nowozelandzki = 0,849–0,868 USD.

Klimat: Na przełomie kwietnia i maja temperatura na Wyspie Południowej w ciągu dnia waha się pomiędzy 15 a 20 stopni Celsjusza, w nocy spada do około 4–7 stopni, choć są i okolice, w których nad ranem jest bliska zeru, zależy od wysokości nad poziomem morza.

Inne ważne informacje

Kontakty do gniazdek są podobne do tych, których się używa w Australii, na wyspach Fidżi, Tonga, w Argentynie i Chinach.

Telefon komórkowy sieci Plus GSM – działa – można było dzwonić do Polski i odbierać oraz wysyłać esemesy.

Ceny podano w NZ\$

Wyżywienie: Artykuły spożywcze – Supermarket 4 (four) Square: czynny w dni powszednie od 8–18, sobota 9–19, niedziela 9–17: avocado – sztuka 1,79 NZ\$; sześciopak (0,3 litra) piw Stella Artois – 16,50 NZ\$; Monteiths Org Beer – 14,50 NZ\$;; 1,5 kg gruszek – 5 NZ\$; 1 kg jabłek – 3,40 NZ\$; 1 kg owoców kiwi – 3,50 NZ\$, 1 kg bananów – 3,30 NZ\$;; 0,55 kg wiejskiego chleba – 4,70 NZ\$; Philadelphia ser – 0,25 kg – 4,45 NZ\$; 2 małe jogurty a 125 ml – 1,45 NZ\$, wino Chardonnay Whitecliff – 0,7 l – 9 NZ\$ – białe wino Chardonnay 2010 www.whitecliff.co.nz

Restauracje, bary: 1 pizza LP – 12,50 NZ\$,, druga pizza 4,90 NZ\$; sałatka grecka – 11,50 NZ\$; stek z sosem 31,50 NZ\$; piwo – do 18.00 – 4 NZ\$, po 18 – 7,50 NZ\$.

Zwiedzanie

Cena za wejście na teren Willowbank – 25 NZ\$.

Willowbank – Hussey Rd 60, Christchurch, www.willowbank.co.nz (9.30–19.00 – lato (październik – kwiecień), 9.30–17.00 – zima (maj – wrzesień), występy Ko Tane Cultural Performance – można posmakować ich kuchni – Hangi Meal i oglądnąć występ poświęconemu Tane Mahuta – maoryjskiemu bogowi lasu, www.kotane.co.nz (występ zaczyna się około 17.30).

Kiwi Breeding Centre – Kiwi Breeding Tour godzinne oprowadzanie w pomieszczeniu, gdzie inkubowane są jaja kiwi i dorastają one do momentu wypuszczenia na wolność.

Oglądanie wielorybów Kaikoura – 145 NZ\$.

Milford Sound Encounter Nature – 1 osoba 72 NZ\$- rejs trwa 2 h 15 minut.

Transport

Dopuszczalna prędkość w Nowej Zelandii na autostradach czy innych drogach poza zabudowaniami i nie wymagającymi jakichś ograniczeń ze względów bezpieczeństwa – 100 km/h, na Wyspie Południowej nie ma autostrad, poza dwoma krótkimi odcinkami w pobliżu dużych miast; w terenie zabudowanym 50 km/h, ale często znaki zezwalają na prędkość od 60–80 km/h; zwykłe drogi są bardzo dobrze oznaczone, szczególnie w nocy, gdy na drogach ścielą się mgły, są bardzo dobre światła zarówno na pasie na szosie, jak i na słupkach przy drodze; najczęściej poza miejscowością spotyka się znaki zalecające przy różnych zakrętach prędkość, natomiast stosunkowo rzadko spotyka się znaki nakazujące dopuszczalną prędkość; pozwala to na dość szybką jazdę.

Pociąg Christchurch – Picton (7.00–12.13); Kaikoura – Wellington – 119 NZ\$, Christchurch – Wellington 129 NZ\$; Pociąg Auckland – Wellington – 12 godzin (wyjazd 7.25 rano – 19.25), o podobnych porach z Wellington –Auckland, można też wykupić Scenic Rail Pass – ważny na 7 lub 14 dni.

Jucy Rentals – wynajęcie samochodu z napędem na 4 koła – 604 NZ\$ + 158 NZ\$ ma okres 9 dni – Toyota RAV4; parking /h – Dunedin – 2 NZ\$.

Benzyna – cena za 91-oktanową – 2,199 NZ\$, ale bywała również do 2,3 NZ\$.

Noclegi

Blenheim – Admiral's Motor Lodge 161 Middle Renwick – 110 NZ\$; Kaikoura – Comfort Inn – 85 NZ\$; Christchurch – Rosewood Court Hotel 95 Sherbourne Street St Albans – 125 NZ\$; Fox Glacier – Bella Vista Motel – Haast Highway Fox Glacier – 120 NZ\$; Queenstown – Bella Vista 36 Robins Road (www.bellavistamotels.co.nz) 125 NZ\$

Pierwszy i drugi dzień podróży. Lot do Bangkoku i oczekiwanie

Gdy wylatywałem z Wrocławia, fala gorącego powietrza natarła z dużą stanowczością (było chyba około 30 stopni w słońcu). W Bangkoku było podobnie, ale nie zaryzykowałem wyjścia na miasto. Na lotnisku przyzwicie się można było czuć jedynie w pobliżu większych klimatyzatorów; siedziałem więc w knajpkach, posilając się przede wszystkim płynami, w oczekiwaniu na drugą noc w samolocie. Na lotnisku w Bangkoku był Starbucks Coffee, gdzie zawsze jest dostępny wi-fi. Był dostępny, ale za sumę 250 bahtów (10 USD) za godzinę.

Trzeci dzień podróży. Lot z Bangkoku do Sydney – wyprawa w Góry Błękitne

Tym razem czekało mnie już tylko osiem godzin i trzy kwadranse lotu. Na lotnisku w Sydney celnik przystawił mi stempel do paszportu, nawet nie spoglądając na mój wydruk przyznania wizy, który pieczołowicie ze sobą wziąłem. Jediną osobą, która się tym zainteresowała podczas mojej podróży, był człowiek wydający mi bilety na lotnisku we Wrocławiu. Wizy do Australii na rok 2012 nadal potrzebujemy, ale nie wymaga to niczyjego pośrednictwa. Miesiąc wcześniej więcej czasu zabrało mi zapoznanie się ze wszystkimi rodzajami wiz, jakie można otrzymać (na stronie internetowej ambasady Australii w Berlinie, która przejęła na siebie wszystkie procedury przyznawania), niż samo wypełnianie wniosku o e-visitor. Po kilkunastu minutach wpisywania swoich danych – bez konieczności skanowania zdjęć czy paszportu – otrzymałem potwierdzenie przyznania wizy, czego ukoronowaniem była pieczęć wjazdu na lotnisku w Sydney. Pomny poprzednich doświadczeń z Australii sprzed 5 lat tym razem nie miałem ze sobą niczego do jedzenia z innych kontynentów. Zamiast skanowania moich bagaży przez maszynę dostąpiłem zaszczytu obwąchiwania przez pieska. Kiedy radośnie pomachał on ogonem był to dla mnie znak, iż mogę już spokojnie wyjść na płytę lotniska.

W tym czasie mój syn Jacek krążył pożyczonym samochodem niedaleko lotniska, gdyż za wjazd na teren lotniska na dłużej niż 15 minut trzeba było płacić 15 dolarów australijskich. Pieniądzy nie wymieniałem, gdyż udało mi się kupić ponad 1000 dolarów australijskich jeszcze we Wrocławiu.

Ceny w Australii poszybowały sporo do góry w porównaniu do pięciu lat wstecz, albo też i miasto Sydney przoduje pod tym względem. Takie było moje pierwsze wrażenie z Australii. Kawa była za 3,50 dolarów, jakiegokolwiek proste śniadanie nie dało się zamknąć kwotą niższą niż 10 dolarów za osobę. Niedługo po jedenastej ruszyliśmy w kierunku Blue Mountains. To był niezły pomysł na jednodniową wycieczkę z Sydney. Mieliśmy przed sobą ponad 100 kilometrów do pokonania. Miasto Sydney jest chyba jednym z najbardziej rozległych powierzchniowo miast świata. Przedmieścia stanowią już osobne miasta, choć wciąż się określa je jako przedmieścia wielkiego Sydney.

Przez kilkadziesiąt kilometrów jechaliśmy wzdłuż dziesiątków ustawionych jedna obok drugiej stacji benzynowych, myjni samochodów czy „restauracji” McDonald’s. Krajobraz łączy amerykański, bo aby gdziekolwiek dotrzeć, to samochód jest niezbędny.

Po przeszło pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu kilometrach droga zaczęła się wznosić coraz wyżej, aby osiągnąć ponad tysiąc metrów w miejscowości Katoomba. Stanowi ona bramę wypadową w Błękitne Góry. Do zgrupowania skał zwanych Trzema Siostrami można było dojść z Echo Point, wybierając trasę wzdłuż Giant Stairway, olbrzymich schodów wykutych w latach trzydziestych XX wieku. Ale gonił nas czas, a auto było zaparkowane w miejscu, gdzie dłuższy postój mógł skończyć się mandatem. Mijane wioski zasmakowały w zaspokajaniu wrażeń estetycznych turystów. Zapraszano za kilka czy kilkanaście dolarów, aby odwiedzić ogrody, w których można było kontemplować barwy nadciągającej jesieni czy pozierać sobie owoców. I tak oto z wiosny trafiłem na jesienne barwy drzew liściastych, które na tej wysokości – zasadzone przez przybyszy z Anglii – znajdowały właściwe dla siebie warunki.

Do Sydney trafiliśmy grubo po zmroku, a mnie żadne znużenie jeszcze nie brało. Wieczór zakończyliśmy we włoskiej restauracji nad zatoką, choć, jak się okazało, ceny mieli wybujałe.

Czwarty dzień podróży. Royal National Park – Sydney

Rankiem ruszyliśmy w drogę na południe do najstarszego na świecie parku narodowego – po Yellowstone NP – Royal National Park. Jest on położony około 60 kilometrów na południe od Sydney. I znowu kolejne kilkadziesiąt kilometrów miejskiego krajobrazu, który skończył się dopiero, jak przekroczyliśmy granice parku. Przez park wiedzie droga, od której prowadzą odgałęzienia na wybrzeże pełne skalistych klifów, przedzielonych mniejszymi czy większymi zatoczkami z przepięknymi plażami.

Pogodę mieliśmy wymienioną. Dopiero tam poczuliśmy tę inną Australię, gdzie wśród szpilkowatych krzewów buszu przeświecały żółte szyszki kwiatostanu przypominającego Banksję. Czasu nie mieliśmy zbyt dużo, a plany – jak to zawsze – rozległe. Aż tu nagle trzeba było zwolnić. Na tylnym kole złapaliśmy gumę, ale żaden z nas nie miał śmiałości wymiany opony. Skorzystaliśmy więc z pomocy drogowej i po kilkunastu minutach można było ruszyć w dalszą drogę. Gdy po tych perypetiach dojechaliśmy już nieco spóźnieni do wypożyczalni, to nas ta guma chyba jednak nieco kosztowała. Mieliśmy zapłacone *excessive damage*, ale od sumy około 350 dolarów. Mogli nas na taką sumę obciążyć, szczególnie jeśli okaże się, że koło może się nie nadawać do dalszej jazdy; ponadto wezwanie pomocy drogowej było też po naszej stronie do płacenia. Czasami tak bywa.

Następnego dnia linie lotnicze Emirat zalecały, abym się pojawił na 3 godziny przed odlotem. O piątej rano wezwana taksówka czekała już na mnie pod domem i bladym świtem przybyłem na lotnisko.

Piąty dzień podróży. Sydney – Nowa Zelandia. Lot do Christchurch i droga do Blenheim

Do Nowej Zelandii leciałem w tym dniu sam. Mój syn, Jacek miał do mnie dolecieć za 2 dni. Miejscem naszego spotkania miało być Christchurch. Korzystając z tych trzech dni na Południowej Wyspie, postanowiłem zajrzeć do Marlborough, w rejon słynący z win, przepięknych zatoczek i turkusowych wód. Miałem już zarezerwowane dwa hotele w systemie www.booking.com: w pierwszym dniu w Blenheim oraz w trzecim dniu

w Christchurch, gdzie miałem odebrać Jacka z lotniska. Najważniejsze, że miałem już potwierdzoną rezerwację wynajmu samochodu w firmie Juicy Rent na lotnisku – zresztą dokonaną jeszcze w dniu mojego wyjazdu z Polski.

Różnica czasu pomiędzy Nową Zelandią a Australią wynosi dwie godziny, sam lot około trzech, stąd też zbyt dużo czasu nie miałem w tym dniu. W sam raz aby dotrzeć już po zmroku do Blenheim, 300 kilometrów na północ od Christchurch. Takie były plany. Lecieliśmy nad szczytami Alp Południowych. Jeden z najcudowniejszych widoków. Wpierw pojawiła się linia wybrzeża, a zaraz później ośnieżone górskie szczyty wznoszące się chyba ponad trzy tysiące metrów w górę. Nowa Zelandia powitała mnie, jak i wszystkich innych pasażerów, z klasą. Po wyjściu z samolotu przeszliśmy korytarzem będącym imitacją lasu deszczowego, a ćwierkania ptaków pozwalały choć przez chwilę przenieść się na łono natury. Szybko jednak ten ekologiczny nastrój prysł. Miałem jedno z tylnych miejsc w samolocie i jako jeden z ostatnich dotarłem na punkt kontroli paszportu. Pół godziny odstałem w kolejce, potem czekał mnie szereg pytań urzędniczki, „Co mnie tu sprowadza?, dlaczego jestem sam?, gdzie będę mieszkał?”. Wreszcie uzyskałem uprawnioną pieczętkę. Od kilku lat nie potrzeba bowiem polskiemu obywatelowi starać się wcześniej o wizę Nowej Zelandii.

Moja walizka czekała w tym czasie na poboczu. Czekala ją jeszcze inspekcja podobna do australijskiej, czyli sprawdzanie, czy nie wwożę jakiejś „zarazy”. Urzędnik tylko spojrzał na mnie i rzekł: wyjście nr 5. Czyżbym był kimś uprzywilejowanym? W pewnym sensie tak. Czekala mnie kontrola dla kogoś wyjątkowego. Chciałem szybko wyjść, aby choć przez pewien czas jechać za dnia. Nici z tych planów. Musiałem pocwiczyć sztukę cierpliwości, chociaż frustracja rozrywała mnie z minuty na minutę.

W obroty wzięła mnie celniczka, która rozpoczęła swoje procedury. Wpierw musiała wszystko wpisać w swój notatnik, aby dać mi do podpisania po raz kolejny spory formularz, czy niczego podejrzanego nie przewożę. To chyba po to, aby w razie czego wymierzyć mi od razu surową karę za przewożenie czegoś zakazanego i za krzywo-przyszłość. Celniczka wyjęła wszystko z mojej walizki, obejrzała każdą stronę moich książek, obejrzała moje wizytówki, ale nadal nie wyglądała na przekonaną, iż nie mam ukrytych w drugim dniu jakiejś spluwy czy narkotyków. Zaniosiła jeszcze moją walizkę do prześwietlenia i dopiero wtedy mogłem poczuć się wolnym człowiekiem. Cóż z tego, cenne minuty i nawet godziny minęły. Biuro Jucy Rental znajdowało się poza budynkiem lotniska, więc musiałem jeszcze poczekać, aby mnie tam dowieziono. Potem poszło już sprawnie. Dowiedziałem się przynajmniej, iż biuro jest codziennie czynne do 17, a potem jeśli coś się stanie z samochodem, pozostaje mi czekać do następnego dnia. Tak samo wezwanie pomocy drogowej, do przykładowo wymiany koła, może mnie kosztować od 150 do 300 dolarów NZ\$. Nikt z biura nie mógł mi zaś objaśnić, jak się wymienia oponę. Musiałem więc zaryzykować i ruszyć w drogę.

Po pół godzinie zapadł zmrok. Czekaly mnie jeszcze ponad cztery godziny (ponad 300 kilometrów) przedzierania się drogą przez góry i wzdłuż brzegu morza. Wpół do dziesiątej wieczorem dotarłem do Blenheim, gdzie miałem zarezerwowany motel. Byłem już ostatnim gościem; nie upłynęło pięć minut po otrzymaniu klucza, jak już nie mogłem się doprosić kodu aktywacji na Internet. Musiałem się więc obyć bez okna na świat.

Przyjazd bez uprzedniej rezerwacji o tej porze źle by mi wróżył. Zwykle motele czynne są od godziny 8 do 20, i tylko wcześniejsza rezerwacja powoduje, iż czekają

na takich późnych ptaszków jak ja. Stąd też lepiej było płacić już wieczorem, aby, jeśli przyjdzie ku temu ochota, można było ruszyć bladym świtem, czyli około 7.20.

Szósty dzień podróży. Picton – Zatoka Królowej Charlotty – Nelson – Jeziora Nelsona – Kaikoura

Jesienny poranek. Rankiem zdrapywałem drobną warstewkę lodu z szyby. A byłem prawie na samej północy, czyli w potencjalnie najcieplejszej części Wyspy Południowej. Pierwsze kilometry, pierwsze wrażenia. Zacząłem od małego śniadania we wszechobecnym lokalu firmy Subway. Zamówienie czegokolwiek trwa tam bardzo krótko, więc będzie to jeszcze parę razy mi pomocne, gdy spieszno mi będzie do kolejnych atrakcji tej krainy.

Droga do Picton, będącym głównym portem dla wszystkich przyjeżdżających z Wyspy Północnej, była pełna wielkich ciężarówek podążających na południe do dwóch największych miast po wschodniej części wybrzeża Wyspy Południowej – Christchurch i Dunedin. Moja Toyota z napędem na cztery koła i automatyczną skrzynią biegów sprawowała się bez zarzutu. Miasteczko Picton wyglądało jak spod igły, a na małą plażę wchodziło się przez miniluk triumfalny, upamiętniający mieszkańców Picton poległych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej.

Wczesnym rankiem nad małą zatoczką jedynie kilka osób rozkoszowało się słońcem, które będzie mi towarzyszyć przez kolejne dni. Dla mnie był już najwyższy czas ruszać widokowo wspaniałą drogą biegnącą wzdłuż zatoczki Królowej Charlotty. Co rusz wzdłuż Trasy Królowej Charlotty ukazywały się coraz inne zatoczki, wysepki czy cieśniny; istny labirynt, gdyby spojrzeć na to z lotu ptaka. Po ponad 30 kilometrach oderwałem się od brzegu morza, w pobliżu miejscowości Havelock, aby potem w konwoju wielkich ciężarówek posuwać się drogą wijącą się serpentynami w kierunku miasteczka Nelson. Nie zabawiłem tam zbyt długo. Czas był nieubłagany, a odległości spore. Wracając, chciałem choć trochę zawadzić o Park Narodowy Jezior Nelsona. Kolejna górską drogą, choć tym razem zupełnie pusta. Po drodze minąłem zaledwie kilka samochodów, podobnych jak ja wielbiciele widoków. W miejscowości St. Arnaud nic jeszcze nie zapowiadało zimowej atmosfery przyciągającej licznych narciarzy.

Powrotna droga prowadziła mnie wzdłuż doliny rzeki Wairau. Doliny rzek w Nowej Zelandii są niewyobrażalnie szerokie, zniesiony materiał skalny, mniejsze i większe kamienie zajmują pas nieraz i kilometrowej szerokości. Stąd w zwyczaju mieszkańców tego kraju, dla oszczędności, buduje się długie mosty drogowe tylko z jednym pasem. Dlatego trzeba zwracać uwagę na znak zwężenia drogi „one lane” i popatrzeć, czy ktoś nie wjeżdża na most z drugiej strony rzeki. Gdy tylko skończył się las, zaczęły się ciągnąć kilometrami wzdłuż drogi plantacje winogron. Dolina rzeki Wairau to główne centrum uprawy winnej latorośli; stąd pochodzi podobno prawie połowa nowozelandzkich win, w tym *sauvingon blanc*, rzekomo trudnych do podrobienia.

Wracałem do Blenheim, gdzie w tym dniu, czego dowiedziałem się rano od moich gospodarzy, nie było szans na znalezienie wolnego pokoju. Wszystko zostało bowiem zajęte przez uczestników jakiejś konferencji naukowej. Stąd na każdym motelu rozświetlał się napis *No vacancy*. Kolejną miejscowością na południe była dopiero Kaikoura oddalona o około 130 kilometrów. Ponownie więc musiałem jechać już po zmroku. Szczęście mi jednak sprzyjało. Dojechałem około 19, i w pierwszym motelu Comfrot Inn, za 85 NZ\$ znalazł się dla mnie pokój z bezpłatnym dostępem do Internetu. Przez Internet mogłem zapłacić za wycieczkę w poszukiwaniu morskich stworów w Kaikoura. Koszto-

wała sporo – 145 NZ\$, ale przynajmniej mogłem zacząć ją już o 11.00. Zapowiadało się, że nie będę musiał wstawać skoro świt.

Siódmy dzień podróży. Kaikoura – Christchurch

Kaikoura jest miejscem, gdzie kiedyś polowano na wieloryby. Obecnie ich dobrostan jest podstawą egzystencji większości mieszkańców tego miasteczka. Prawie każdy tu przybywający – własnym pojazdem, autobusem czy pociągiem ma w planie wziąć udział w wyprawie małym stateczkiem, aby krzyknąć „Ach, ach”, gdy ujrzy w wodzie cielsko największego ssaka naszej planety.

Biuro „Whales Watch” dzieli swój budynek z kolejną i dworcem kolejowym. To bardzo wygodne dla podróżnych, wysiąść z pociągu i od razu wstąpić do biura, gdzie sprzedają bilety na rejs. W momencie gdy zaparkowałem samochód, pociąg Kiwi Rail, zwany Coastal Pacific, stawał na stacji. Był zgodnie z planem o 9.54. Przejazd z Christchurch zabiera mu niespełna 2 godziny. Wagony zapewniają pasażerom maksimum komfortu i cieszenia się widokami podczas całej podróży bez zwracania uwagi na spory ruch drogowy na szosie nr 1. Ci, którzy wysiedli, mogli załapać się nawet na wycieczkę o 10 rano, aby wrócić z powrotem za jakieś 3 godziny i jeszcze zdążyć o 15.28 na powrotny kurs do Christchurch, gdzie byli już po zmroku.

Nie od razu mogliśmy wejść na statek. Wpierw była sesja wideo w „Sali Odpraw”. Tam przeszliśmy szybki kurs o tym, co tu zrobić, aby się nie utopić; wycieczka zaczyna się zawsze pół godziny później, aby uczestnicy mogli wchłonąć w siebie te wszystkie wiadomości. Potem na wszelki wypadek połknąłem tabletkę przeciw chorobie morskiej (sprzedawali ją obok w sklepie z pamiątkami za 3 dolary), bo miało się zapowiadać wietrznie. Mogłem więc ruszać.

Stateczek nie był zbyt duży, ale wypełniony po brzegi miłośnikami przyrody. Najtrudniej było wypłynąć. Czuć było niezłą kołyskę, ale na ten czas zakazano nam wychodzić na pokład. Dopiero po jakiejś pół godzinie, gdy byliśmy daleko od brzegu, i kapitan dał odpocząć silnikom, aby porozglądać się za wielorybami, pozwolono nam na wyjście na pokład.

Niedługo później zbliżyliśmy się do unoszącego się na wodzie wieloryba, który zwykle potrzebuje około 10 minut, aby przebywać na powierzchni. W tym czasie co kilkanaście sekund oddycha, co czyni całkiem widowiskowe zjawisko. Jak zapewniają organizatorzy wyprawy, ryzyko, że nie zobaczymy wielorybów, szacuje się na około 5%. Wtedy można spodziewać się zwrotu 80% zapłaconej sumy albo też poczekać na kolejny rejs.

Czasem można się spodziewać odwołania rejsu z powodu niekorzystnej pogody, ale w tym dniu mnie to nie groziło. Na niebie nie było jakiegokolwiek chmurki. Gdy plan minimum został zrealizowany i udało się dopaść choć dwa wieloryby, podплыliśmy do kolejnej atrakcji. Statek wpłynął wprost w środek liczącego kilkaset sztuk stada delfinów, czyli tzw. Dusky Dolphins, które na powierzchni wody, w odróżnieniu od wielorybów, wykazywały zespół nadmiernej aktywności. Podpływały pod statek, wyskakiwały z wody, czyniąc przeróżne salta, dając popisy istnie cyrkowe. Po wylądowaniu nie omieszkalem zasiąść w pobliskiej kawiarni przy ulubionej dużej filiżance cappuccino. Przede mną zostało jedynie 180 kilometrów drogi biegnącej wzdłuż skalistego wybrzeża, omywanego przez fale tylko z pozoru Spokojnego Oceanu. Kierowany przez GPS, dojechałem po raz drugi do Christchurch; motel, który zarezerwowałem, był położony w pobliżu Beavenly Road, w północnej części miasta.

W tym czasie nie było to zwykłe miasto. Drugie pod względem wielkości miasto Nowej Zelandii doświadczyło w poprzedzających dwóch latach trzech bardzo silnych trzęsień ziemi, które szczególnie dotknęły samego centrum. Próbowałem znaleźć jakąś przyzwoitą knajpkę. Z tym jednak był duży problem. W mieście przestało istnieć centrum kulturalne miasta; knajpki były porozrzucane, i trudno je było znaleźć. Wieczorem przyleciał z Sydney mój syn Jacek; nie miał żadnych kłopotów z przekraczaniem granicy czy kontrolą bagaży.

Ósmy dzień podróży. Droga na Zachodnie Wybrzeże

Przed nami było magiczne, dzikie Zachodnie Wybrzeże. Fantastyczne krajobrazy i widoki, ale za to spodziewać się można było największej ilości opadów deszczu; średnio to około 2575 mm przy liczbie słonecznych 1845 godzin w roku. Tak brzmią statystyki. Nam los okazał się łaskawy i prognozę pogody na ten dzień mieliśmy wyśmienitą.

Wpierw trzeba było przekroczyć Alpy Nowozelandzkie przez przełęcz Arthura (Arthur Pass). Nie była to jakaś przepastna wysokość – zaledwie 924 m n.p.m. Gdy jednak budowano drogę i linię kolejową, było to olbrzymie przedsięwzięcie. Pasażer, który wsiądzie do pociągu linii Transalpine (www.transcenic.co.nz) o godzinie 8.15, będzie mógł się napić kawy – najlepiej Flat Milk na Zachodnim Wybrzeżu w Greysmouth. W sam raz na lunch, na który ma równo godzinę (od 12.45 do 1.45). Potem można wsiąść z powrotem i wrócić na kolację do Christchurch, tuż po zmroku (18.05).

Gdy już zjechaliśmy na równiny Zachodniego Wybrzeża, wstąpiliśmy do Shanty Town, które okazało się budkami stylizowanymi na miasteczko poszukiwaczy złota. Stworzone je wyłącznie dla turystów, a za wejście trzeba było zapłacić 30 dolarów. Pomachaliśmy więc tylko odjeżdżającej ciuchci i pojechaliśmy szukać miejsca na lunch. Za posiłek w Nowej Zelandii trzeba zapłacić podobną liczbę dolarów jak w Australii; pocieszające jest to, iż dolar nowozelandzki ma mniejszą wartość o około 20%, więc można wydawać nieco lżejszą ręką. Poza tym potrawy prawie takie same jak w Australii. Droga była pustawa. Poza turystami mało kto tu jeździ. Nikt tutaj już nie przyjeżdża, jak kiedyś przed ponad stu laty, aby wypłukiwać wodę w strumieniach w poszukiwaniu złota. Teraz role się odwróciły. Można samemu się splukać z pieniędzy, stołując się w tutejszych restauracjach czy mieszkając w hotelach. Oferta noclegowa wcale nie była oszałamiająca. Zwykli turyści wpadają tu na jeden dzień zobaczyć przynajmniej jeden z lodowców. Ich marką jest łatwa dostępność. Nigdzie na świecie nie da się bowiem wykopać w morzu, a następnie wsiąść do auta i wjechać o 250 metrów wyżej i dotknąć lodowca, który kończy swój bieg zaledwie 250 metrów nad poziomem morza.

Pierwszy na naszej drodze był Lodowiec Franciszka Józefa. Z parkingu położonego kilka kilometrów od malutkiego miasteczka mieliśmy trzy kwadransy spaceru, aby dojść do jezora lodowca. Do tak zwanego zachodu słońca, bo zrobiło się już pochmurno, mieliśmy jeszcze może z półtorej godziny. Po krótkim spacerze ścieżką w gęszczu pełnym palm wyszliśmy na rozległą zwirową dolinę wyrzeźbioną przez rzekę czerpiącą swoje początki z lodowca.

Inny lodowiec, Fox położony jest w odległości osiemnastu kilometrów. Nie rozczarował nas, a może i zachodzące słońce sprawiło, iż nabrał szczególnego charakteru. Na nocleg zostaliśmy w miejscowości położonej w pobliżu lodowca o tej samej naz-

wie. Nie próbowaliśmy jazdy przez kolejne 100 kilometrów w ciemnościach. Skusił nas swym widokiem Bellavista Motel z zachęcającym ogłoszeniem *Free Wi Fi*.

Dziewiąty dzień podróży. Z Zachodniego Wybrzeża do Queenstown

Trudno wyjechać z Fox Glacier, nie widząc o wschodzie słońca zarysów najwyższego szczytu Nowej Zelandii Mount Cook 3764 m n.p.m. Byliśmy w pobliżu jeziora Matheson, co wcale nie znaczy, iż mogliśmy je zobaczyć. O godzinie ósmej rano nieprzenikniona mgła zalegała nad taflą jeziora. A ponadto od parkingu trzeba się przejść 40 minut w mlecznej mgle.

Ponad sto kilometrów dalej mieliśmy śniadaniowy przystanek w Haast Junction. Była tam też ostatnia stacja benzynowa przed wjazdem w góry. A nasz samochód palił jak smok. Benzyna była znacznie droższa niż w Australii (2,20 NZ\$ vs 1,55 AU\$). Stąd też to, co zaoszczędziliśmy w Nowej Zelandii na jedzeniu, przepalał nasz samochód (1 dolar nowozelandzki wart był około 0,8 dolara australijskiego). Przed wieczorem mieliśmy zamiar dotrzeć przynajmniej do Queenstown. To upragniony cel wszystkich gustujących w działaniach przyprawiających o wyrzut adrenaliny do krwiobiegu za własne zarobione pieniądze. Droga biegła wzdłuż jezior ukształtowanych przez lodowce; zwykle miały one kształt rynny czy też – jak to się fachowo nazywa – litery U.

Miejscowość Wanaka, przy jeziorze o tej samej nazwie, pasowała nam na krótką przerwę. Na przedmieściach tego miasteczka dla satysfakcji dużych i małych turystów postawiono wioseczkę z poprzewracanymi domkami, zwaną Puzzling World. Jesień była szczególnie widoczna w małych miasteczkach, gdzie sadzono drzewa pochodzące z Europy. Dla mnie dosłownie wszystko stanęło też do góry nogami. Down Under. Drzewa pokryte były liśćmi o barwach „złotej polskiej jesieni”, tylko że dziwne, iż w maju.

Przed nami było ostatnie siedemdziesiąt parę kilometrów drogi nieomal górskiej przez tereny narciarskie Cardrona. W maju było jeszcze za wcześnie na szusowanie po zboczach. Ale dla zmotoryzowanych jazda tą drogą była prawdziwą gratką. Sztuki tej próbowali nawet cykliści, bo z przyjemnością zjeżdża się kilkaset metrów w dół do doliny rzeki Kawarau. Co chwilę zatrzymywaliśmy się, aby uchwycić w kadrze regularne prostokąty zielonych pastwisk z maciupkimi białawymi punkcikami, czasem zlewającymi się w jedną białą masę. Chociaż owce nie są już towarem eksportowym numer 1, to wciąż żyje ich tutaj kilkadziesiąt milionów. Pod wieczór dotarliśmy do Queenstown. Uzbrowieni w kupon uprawniający nas do 10% zniżki w motelu Bella Vista, nie uzyskaliśmy jednak żadnego rabatu. Były za to przynajmniej wolne miejsca, o co byłoby trudno w szczycie sezonu, gdzie do tego miasteczka zwałają się tłumy turystów.

Dziesiąty dzień podróży. Queenstown – Milford Sound – Invercargill

To był chyba nasz rekord porannego wyjazdu. Godzina siódma rano. Ale terminy mieliśmy napięte. Stateczek mieliśmy nie tylko zarezerwowany, ale i już opłacony. Szkoda byłoby stracić te 149 ($72 \times 2 + 5$) dolarów nowozelandzkich.

Wrażenia z drogi były niesamowite. Również o godzinie dziewiątej wjechałem w mgłę i wyjechałem z niej dopiero za kolejne pięćdziesiąt kilometrów, gdy od Milford Sound dzieliło nas jedynie sto dwadzieścia kilometrów. Gdy już przejechaliśmy ponad połowę drogi, okazało się, iż poziom paliwa jest już niski. Wracać niedobrze, jechać dalej też niedobrze. Może jednak w tak sławnej miejscowości jak Milford Sound

znajdzie się parę stacji benzynowych. Jak mają paliwo na tyle statków, to dla jednego samochodu się zawsze coś znajdzie.

Na godzinę przed terminem odpłynięcia naszego statku powitaliśmy słońce u wylotu fiordu Milford Sound. Zanim jednak pomyśleliśmy o urodzie tego miejsca, zaczęliśmy myśzkować w poszukiwaniu stacji benzynowej. Udało się. Można było wyłącznie płacić kartą kredytową, ale paliwo popłynęło do baku. Nie wypłuło z siebie żadnego kwitu, a później okazało się, iż automat zaokrąglił z 70 NZ\$ na 100 NZ\$.

Od parkingu do przystani dzielił nas kilkuminutowy spacer. Wybraliśmy mniejszy stateczek, który płynął nieco dłużej, ale mógł zabrać mniej pasażerów i znacznie bliżej dopływał do brzegu. Fiord liczy sobie 18 kilometrów długości. Stateczek przez jakiś czas miał wypłynąć na pełne morze. Otaczające z obu stron skały wznosiły się ostro do góry na wysokość ponad półtora kilometra. Cały otaczający nas obszar – czyli Fiordland był zupełnie niezamieszkały.

Szczególniej urody temu miejscu nadawał Mitre Peak, którego zarys łeb w łeb idzie o palmę pierwszeństwa z Górą Cooka nad jeziora Mathesona jako ikony Wyspy Południowej. Ale tym razem mgły nie były dla nas przeszkodą.

Gdy tylko wypłynęliśmy na otwarte morze, stateczkiem zaczęło mocno bujać. Zrobiliśmy małe kółko i wróciliśmy na spokojne wody fiordu. Dla tych, którym mało było atrakcji, sternik proponował kąpiel w wodospadzie. Wystarczyło ubrać czerwoną kurtkę i wyjść na pokład i z tego prysznic można było wyjść suchą nogą. Na sam koniec stateczek odstawił kilku pasażerów do przystani przy małej zatoczce, gdzie znajdowało się Podwodne Obserwatorium. W wodach fiordu bytują całkiem dziwne i niespotykane gdzie indziej gatunki, jak czarne i czerwone koralowce oraz inne unikatowe morskie stworzenia. Do tego obserwatorium nie można było dotrzeć łodem; czasu mieliśmy mało, zresztą za tę atrakcję trzeba byłoby wcześniej dodatkowo więcej dopłacić.

W drodze powrotnej do Te Anau nie omieszkaliśmy przystanąć przy Mirror Lakes. Choć jeziora są małe, to w ich zwierciadle spokojnie zmieścił się zarys całego łańcucha górskiego. A ponadto są tuż przy drodze. Wieczorem ponownie nad drogą unosiły się mgły. Dobrze przynajmniej, że nie było zbyt dużego ruchu. Przyjechaliliśmy do Invercargill około wpół do ósmej. Recepcja pierwszego napotkanego motelu była jeszcze czynna. To spory problem w Nowej Zelandii: pomiędzy godziną 19 a 20 zwykle motele są już zamykane, czasem trafi się jakieś *vacancy*, który urzęduje jeszcze po 21, ale po tej godzinie można już niczego nie znaleźć otwartego.

Wieczorem trudno znaleźć jakąkolwiek knajpkę. Dużo łatwiej, w tym i w niedzielę, o otwarty sklep spożywczy niż wypełnioną ludźmi restaurację. O godzinie 20 centrum Invercargill wyglądało na wymarłe. Kto szuka, ten znajdzie. O dziwo, było otwarte, klienci tłoczyli się przy kolejnych rundkach piwa, pogryzając to frytkami, a nawet nie była jeszcze zamknięta kuchnia.

Jedenasty dzień podróży. Powrót do Christchurch

Przez pierwsze pięćdziesiąt kilometrów od Invercargill okolica pełna była pastwisk, przedzielonych, jak to zwykle w Nowej Zelandii, rzędami drzew. Niekiedy były to wysokie topole o złoto-czerwonych liściach, czasem gęste szpalery drzew szpilkowych, które były przeszkodą nie do pokonania dla wałęsających się wielkich stad owiec i krów.

Wjechaliliśmy w krainę zwaną Catskills. Wpierw zaglądali tutaj łowcy wielorybów, później tereny te zasiedlili hodowcy owiec, i tak już zostało do dnia dzisiejszego. Do

większości atrakcji na wybrzeżu prowadziły boczne drogi szutrowe. Nas pociągnął za sobą Slope Point – najdalej na południe położony punkt Wyspy Południowej. Po przejechaniu kilku kilometrów bocznych dróg zaparkowaliśmy przy pastwisku dla owiec. Dalej czekało nas przejście przez pastwisko. Byliśmy zupełnie sami, nie licząc tych trzystu czy czterystu owiec, traktujących nas jak intruzów. Trzymały się od nas w bezpiecznej odległości. Idąc wzdłuż płotu, patrząc się bardzo pod nogi, aby nie wdepnąć w mocno użyźnioną glebę, doszliśmy do wysokiego klifu. Nasz wysiłek został nagrodzony. Była odpowiednia żółta tabliczka: 5103 kilometrów do równika i 4803 kilometrów do bieguna południowego.

Za kolejne kilkadziesiąt kilometrów znajdował się tzw. Nugget Point. Ścieżka z parkingu prowadziła do latarni morskiej Tokata. O nieco innej porze roku, bo późnym latem, sto czy dwieście metrów poniżej czasem odwiedzają to miejsce słonie morskie (*ihupuku*). Wszystkiego odwiedzić się nie da, ale koło południa koniecznie trzeba się było zatrzymać na dobrą kawę; w małej cafe-bar był nawet Internet, choć o godzinie dwunastej w południe według czasu nowozelandzkiego z Polski nikt raczej nie prześle mi mejla. Była nawet i stacja benzynowa, ale również na kartę. Od czasu tankowania w Milford Sound unikałem takich transakcji.

Kolejny przystanek na lunch zastał nas w drugim pod względem liczby ludności mieście Wyspy Południowej – Dunedin. Miasto szczyci się swoim dworcem kolejowym, zwanym z racji swej specyficznej architektury piernikowym Georgem; odchodzi z niego tylko jeden pociąg i to wcale nie do Christchurch, ale miejscowości Pukerangi (58 km) czy w weekendy do Middlemarch w kierunku na Queenstown. Te 58 kilometrów pokonuje w dwie godziny, ale robi się to głównie ku uciesze turystów. Z połączeń pasażerskich do Invercargill czy Christchurch zrezygnowano już w 2004 roku i obecnie można tam dotrzeć jedynie autobusem.

Mieliśmy jeszcze około trzysta osiemdziesiąt kilometrów do celu. Nasz GPS wyliczał nam to ze sporą dokładnością, iż będziemy o godzinie 21. Pomni jednak na kulinarne ubóstwo, na jakie trafilibyśmy o tak późnej porze, gdybyśmy zamierzali pożegnalną kolację spożyć w Christchurch, zatrzymaliśmy się w którymś z kilkunastotysięcznych miasteczek oferujących pizzę prawie prosto z pieca.

Motel już wcześniej zarezerwowany miał opcję czekania na klienta aż do 23. Wyjątkowa sprawa w tym kraju, gdzie nikt nie lubi pracować po dwudziestej. Bardzo wcześnie rano miałem zawieźć Jacka na lotnisko, który miał powrotny lot do Sydney.

Dwunasty dzień podróży – Akaroa – Christchurch

Zamarzył mi się lot balonem; drogo, bo za 380 dolarów nowozelandzkich, ale na marzeniach się skończyło. (www.balooning.co.nz). Od maja do października loty były zawieszone. Pokaz tańców Maorysów (www.kotane.co.nz), który odbywał się na terenie Willowbank Wildlife Park, był w tym dniu nieosiągalny. Występowali w poniedziałki, czwartki, piątki i soboty. We wtorki mieli wolne.

Willowbank Wildlife Park (www.willowbank.co.nz) był czynny od 9.30 do zmierzchu, a dla mnie najważniejsze było zobaczyć symbol Nowej Zelandii – nielotnego ptaka kiwi. Jego rezydencja zadziwiła mnie. Wchodziło się do obszernego, prawie całkowicie ciemnego pomieszczenia, gdzie znajdowała się spora woliera. Gdy oczy przyzwyczaiły się do ciemności, mogłem zacząć się tylko domyślać, gdzie ten ptaszek może się znajdować. Nazwę kiwi nadali mu Maorysi, naśladując jego dwusyl-

bowy gwizd. Bardziej można było go rozpoznać po szuraniu i szelestach. Na zewnątrz domku dla kiwi, na drewnianej balustradzie siedła grupa papug kea. Z wierzchu są brązowo-zielone, a spód skrzydeł mają czerwony. Do niedawna były tępione przez hodowców owiec, był nawet premiowany ich odstrzał, bo miały podobno atakować owce. Niedawno w pełni je zrehabilitowano i obecnie objęte są ochroną. Są bardzo ciekawskie i w różnych miejscach – szczególnie w górach na przełęczach czy w Milford Sound można spotkać znaki ostrzegające przed nimi turystów.

Pora było powąłęsać się po okolicy. Do zmroku było jeszcze dobrych kilka godzin, więc ruszyłem na wschód, na półwysep Banksa. Jadąc w kierunku miasteczka Akaroa, można czasem stracić orientację, czy to tylko półwysep czy już wyspa. Samochodem wspinałem się na wysokie wzniesienia, aby zjechać do uroczych zatoczek. Potem po raz kolejny wjeżdżałem na następne wzniesienie, skąd widać było inny skrawek wody. Ta malownicza okolica jest dziełem gigantycznych erupcji wulkanicznych, które narobiły sporo zamieszania. Do tego galimatiasu krajobrazowego swoje trzy grosze dorzucili jeszcze Francuzi, którzy – gdzie tylko mogli w XIX wieku – starali się pierwsi postawić nogę przed Anglikami. Akaroa, które było celem mojej wycieczki, zostało założone przez francuskiego wielorybnika Jean Langlois, który wraz z 60 innymi towarzyszami w 1840 roku założył tutaj kolonię. Nie była to jednak bezludna ziemia. Maorysi już wcześniej ułożyli się z Anglikami i o francuskiej aneksji nie mogło być mowy. Ale francuscy osadnicy się już dalej nie przenosili i dzisiaj francuskie nazwy i flagi nadają miastu koloryt, a francuska kuchnia napędza turystów z pobliskiego Christchurch.

Trzynasty dzień podróży. Christchurch – lot do Sydney

Skończyła się dobra pogoda. Ciemne chmury dopasowały do wrażenia, jakie można odnieść, przypatrując się ponuremu obrazowi centrum Christchurch. Miasto nie podniosło się jeszcze ze skutków niedawnego kataklizmu.

Centrum miasta nazwano czerwoną strefą, gdzie wstęp mieli jedynie budowniczcy. Otoczone było wysokim płotem, a przy wjeździe strażnicy skrupulatnie sprawdzali przepustki. Katedra, która stanowiła dumę mieszkańców, według planów miała być zburzona; jej konstrukcja mogła się bowiem w każdej chwili zapadnąć. Ale na płotach otaczających tzw. czerwoną strefę zaczęły się pojawiać listy protestacyjne mieszkańców. Nie chcieli oni, aby miasto stało się jedynie poligonem dla nowoczesnej architektury. Stąd ostateczna decyzja co do katedry jeszcze nie zapadła.

Trzęsienie ziemi nie tknęło zbyt wiele terenów zielonych, które stanowią ozdobę tego miasta. A klejnotem jest Ogród Botaniczny przecięty leniwie płynącą meandrami przez park rzeką Avon. Wypisz, wymaluj, jakby przeniesiono miasto Oxford na południową półkulę.

Z jednej strony buldożery równające z ziemią ruiny budynków, które nie oparły się podziemnym wstrząsom, a po drugiej stronie powrót do normalności na obrzeżach czerwonej strefy. Można było wpaść do pobliskiego baru, ściągnąć kolejne mejle w strefie wi-fi i spróbować jeszcze smaczku ostatniej pizzy na nowozelandzkiej ziemi. Oddanie samochodu w biurze Juicy w pobliżu lotniska przebiegło bez niespodzianek. Samolot wystartował, ale o oglądaniu kraju z lotu ptaka nie było mowy; wlecieliśmy w chmury i o zmroku byłem ponownie w Sydney.

Czternasty dzień podróży – Bondi Beach – Sydney – lot do Melbourne

Rano wybrałem się na Bondi Beach. To mekka surferów. W ten majowy poranek – czyli w okresie późnej jesieni – woda była za zimna na kąpiel, ale za to okoliczne wody roily się od surferów z deskami. Szczególnie przyciągała ich południowa część plaży w pobliżu przystanku autobusowego (tzw. „Backpackers Express”), gdzie fale były bardziej gwałtowne.

Niedługo później dojechałem autobusem do Hyde Parku położonego w centrum Sydney. W jego południowej części znajduje się ANZAC War Memorial. Obecnie, gdy w pobliżu postawiono wysokie wieżowce, w tym 309-metrową Sydney Tower Eye, ta budowla już nie imponuje swoimi rozmiarami. Ale w roku 1934, gdy ją ukończono w modnym wtedy stylu Art Deco, prezentowała się imponująco. W budynku warto wejść do małego muzeum. Puszczane są filmy z czasów walk żołnierzy australijskich na froncie europejskim w latach 1915–1918 i pamiątki z późniejszych ekspedycji wojskowych Australijczyków. Były też pamiątki z wojny w Iraku, jak np. talia kart z najbardziej poszukiwanymi Irakijczykami, w tym asem pik, czyli Saddamem Hussejnem.

Trzydziestohektarowy Royal Botanical Garden został założony już w 1816 roku. To wspaniałe miejsce na pikniki czy spacer w ciągu dnia; wieczorem bramy są zamykane. Najbardziej uczęszczanym traktem wzdłuż wybrzeża jest ścieżka, która dochodzi do cypla Mrs Macquarie’s Point – czyli żony Elżbiety – gubernatora Nowej Południowej Walii z początku XIX wieku.

Popołudniu poleciliśmy z Jackiem samolotem linią Tiger do Melbourne. Na lotnisku czekał na nas już wynajęty samochód na 3 dni, którym mieliśmy odbyć powrotną drogę do Sydney. W planie mieliśmy przejazd wzdłuż wybrzeża stanu Wiktoria ze spektakularnymi formacjami skalnymi określanymi jako Dwunastu Apostołów.

Piętnasty dzień podróży. Ocean Road

Grand Ocean Road; stanowi chyba jedną z największych atrakcji Australii. Jego bramą wjazdową jest miasteczko Anglesea, skąd do skał Dwunastu Apostołów w pobliżu Portu Campbell jest prawie dwieście kilometrów.

Droga odcinkami prowadziła wzdłuż wybrzeża, czasem zaś biegła w głąb lądu. Wjeżdżaliśmy w krainę Otway, którą zapamiętam z uwagi na zatrzesienie misi koala. Po drodze wiodącej do latarni morskiej na Przylądku Otway stojące na poboczu auta świadczyły, iż wysoko w górze na drzewach są koale. Koale można spotkać jedynie w stanie Queensland, Nowej Południowej Walii oraz w stanie Victoria. Pięć lat wcześniej przez ponad 2 tygodnie nie udało mi się ich zobaczyć na wolności. A tutaj, w tym jednym dniu udało się nam zobaczyć chyba kilkadziesiąt koali. I większość z nich bytowała na drodze do latarni morskiej Otway. Sama latarnia została przez nas ominięta. Trzeba było wysułać kilkanaście dolarów australijskich, co wydawało się nam sumą znacznie zawyżoną. Podziękowaliśmy, byliśmy zupełnie usatysfakcjonowani atrakcjami po drodze.

Kilkanaście kilometrów dalej ponowny przystanek. Tym razem w Great Otway National Park, gdzie wyszykowano kilka ścieżek dla zwiedzających poprowadzonych w głąb gęstego lasu porośniętego przez wielkie drzewiaste paprocie (Maits Rest).

Do pierwszego parkingu i jednocześnie punktu widokowego Dwunastu Apostołów dojechaliśmy późnym popołudniem. Była dobra pora na robienie zdjęć, choć zrobiło się pochmurno. Zostało nam półtorej godziny na poznanie tych wszystkich formacji

skalnych. To było zdecydowanie za mało. Dwunastu Apostołów to grupa naturalnie powstałych wapiennych formacji skalnych stojących w morzu, tuż przy brzegu. Nie należy ich liczyć. Liczba dwanaście ma tu tylko takie znaczenie, iż trzeba było jakoś nazwać te skały zgrupowane blisko siebie. Ruszyliśmy dopiero po zmroku, aby mocno zmęczeni wieczorną jazdą w okolicach rojących od kangurów zatrzymać się w motelu w Geelong.

Szesnasty dzień podróży. Droga przez Alpy Australijskie

Trzysta pięćdziesiąt kilometrów jazdy autostradą australijską to wyjątkowe doświadczenie. W każdą stronę biegnie przynajmniej trzy, czasem nawet i cztery pasy. Przez cały czas górna granica prędkości to sto kilometrów na godzinę i aż zatrząsienie Camera Speed. Wszyscy włączają tempomat i tak oto potrafią przez kilka kilometrów jechać równym rzędem na trzech pasach; blokada całkowita. A ile to nerwów kosztuje takich jak my, co chcieliby sobie pofolgować i pruć sto osiem na godzinę! Żadnych na to nie było widoków. A gdy już minęliśmy wielką metropolię Melbourne i szosa stała się drogą szybkiego ruchu, ukazał się zbawienny znak 110 km/godzinę. Co za nuda, pola, pola, czasem pastwiska, kolejne nazwy miast, o których nie wspominają żadne szanujące się przewodniki.

Z jednym wyjątkiem – Glenrowan, gdzie został schwytany w 1880 roku legendarny rzezimieszek Ned Kelly. Po 350 kilometrach z ulgą zjechaliśmy z autostrady, aby wrócić do tej wiejskiej Australii. Jechaliśmy w stronę Wielkich Gór Wododziałowych, aby po dwóch godzinach wjechać do Parku Narodowego Kościuszki. Przyszła i pora na mały piknik na małej polance. Po chwili spostrzegliśmy, że nie jesteśmy sami. Przypatrywało się nam z dużym zaciekawieniem kilka sporej wielkości kangurów. Kilkadziesiąt metrów dalej na dużej łące było ich już kilkadziesiąt. Trzymały się pewnego dystansu, ale można było do nich podejść na odległość może i dziesięciu metrów.

Im wjeżdżaliśmy wyżej, tym szybciej spadała temperatura; na wysokości 1582 metrów n.p.m. na przełęczy Dead Horse Gap było zaledwie 2 stopnie Celsjusza. Na szczytach gór nie było jeszcze śniegu, więc ruch był niewielki. Pod wieczór dojechaliśmy do pierwszej większej miejscowości Jindabyne, aby około ósmej wieczorem dotrzeć nad morze. Hotel był bardzo przyjemny, ale gorzej było z gastronomią. O tej porze mogliśmy sobie tylko pomarzyć o tym, co byśmy sobie zjedli. W jedynej czynnej restauracji kuchnia była już zamknięta i goście dopijali ostatnie drinki.

Siedemnasty dzień podróży. Powrót do Sydney

Do Sydney mieliśmy zaledwie 424 kilometry; GPS obliczył nasz przyjazd na 14.24. Wpierw jednak śniadanie, koniecznie z widokiem na port pełen jachtów, gdzie poranna kawa – Flat White postawiła mnie na nogi. Według mapy droga biegła wzdłuż wybrzeża, ale widoki na morze pojawiały się tylko, gdy mijaliśmy jakieś większe miejscowości. Do Drogi Siedmiomilowej Plaży można było dojechać boczną drogą przez las, która kończyła się miejscem uwielbianym przez Australijczyków, czyli polanką piknikową.

Na obiad zatrzymaliśmy się w pełnej weekendowych gości miejscowości Kiama, gdzie jedną z atrakcji jest znajdujący się w pobliżu wysoki na sześćdziesiąt metrów klif. Tuż przed zachodem słońca, po przejechaniu około czterdziestu kilometrów przedmieściami Sydney dojechaliśmy do domu.

Osiemnasty i dziewiętnasty dzień podróży. Lot do Bangkoku, Frankfurtu i Wrocławia

Na lotnisku w Sydney byłem dwie i pół godziny przed odlotem; swoje musiałem odstać. Tym razem przestrzegali czegoś, co nie jest dla mnie miłe. Ważono podręczny plecak, który nie miał mieć więcej niż siedem kilo. Na to jest tylko jeden sposób. Mieć polar z przepastnymi kieszeniami, do których zmieści się kilka moich ulubionych książek i jeszcze aparat. Poskutkowało.

Czasu miałem jak na lekarstwo. Ledwie go starczyło na jakieś zakupy w sklepie z pamiątkami, rodem oczywiście z Australii, i już trzeba było się pakować do samolotu. Koniecznie wtedy trzeba siedzieć przy oknie. Startujące samoloty wzlatają nad wodę, aby zatoczyć koło i następnie wznieść się ponad miastem, którego perspektywa jest wyśmienita. Z dużej wysokości dostrzegłem cypelek Bondi Beach i dziesiątki zatok, wzdłuż których ciągnęły się dzielnice domków jednorodzinnych. Ciągnie się to tak z kilkadziesiąt kilometrów, aby nagle urwać się. Krajobraz staje się monotony – to dziesiątkami kilometrów ciągnący się busz i masyw Wielkich Gór Wododziałowych. Za nimi ponownie zaczyna się cywilizacja, proste drogi, wielkie połacie farm.

Na lotnisku w Bangkoku nie miałem zbyt dużo czasu. Przejście przez kolejny punkt kontrolny, i prawie bieg do właściwej bramy i można już było wchodzić na pokład. Cofnąłem czas o 3 godziny, a w trakcie lotu do Europy o kolejne pięć. Nad ranem doleciałem do Frankfurtu, a w samo południe byłem już w domu.

• Rozmaitości ze świata •

Ekologiczny plac zabaw z ponad 20 tys. butelek zebranych w okolicznych slumsach zbudowano w okolicy Ugandy. Celem projektu jest podniesienie świadomości postępującej degradacji środowiska wśród mieszkańców Kampali. W „Ekoparku” jest wiele fantazyjnych struktur, przyciągających codziennie dziesiątki dzieci. Na placu zabaw znajdują się m.in. kolorowy helikopter i naturalnej wielkości gry planszowe wykonane z butelek z recyklingu, a także huśtawki i drabinki zrobione ze starych opon. – Moim celem było głównie znalezienie materiałów, które nie są drogie, a jednocześnie łatwo dostępne. Doszedłem do wniosku, że śmieci mogą stać się rzeczywiście bardzo skutecznym sposobem komunikowania się z ludźmi – uważa jeden z pomysłodawców Ruganzo Bruno, który na realizację swojego pomysłu otrzymał od urzędu miasta dotację w wysokości 10 tys. dolarów.

Agnieszka i Tomasz Lipeccy

Malezyjska część Borneo (Sarawak i Sabah), Brunei Darussalam i Singapur



Termin: 19.07.2012 – 17.08.2012

Uczestnicy: 2 osoby

Przeloty: Warszawa – Amsterdam (LOT), Amsterdam – Singapur (Malaysia Airlines), Singapur – Kuching (AirAsia), Miri-Mulu (obie strony, MAS Airlines), Kota Kinabalu – Singapur (AirAsia), Amsterdam-Singapur (Malaysia Airlines, airbus A380), Frankfurt – Warszawa (LOT).

Trasa: Kuching – Bako National Park – Sibü – Niah National Park – Lambir Hills National Park – Miri – Mulu National Park – Bandar Seri Begawan – Labuan – Kota Kinabalu – Sepilok – Kinabatangan River – Semporna – wyspy w okolicach – Singapur.

Kursy walut: (początek sierpnia 2012):

1 SGD (dolar singapurski) = 2,65 PLN,

1 MYR (rynggit malezyjski) = 1,07 PLN,

1 BND (dolar brunejski) = 2,68 PLN.

19 lipca

O 7.00 mamy samolot z Warszawy do Amsterdamu, gdzie o 11.15 przesiadamy się do samolotu do Singapuru. O 5.20 jesteśmy w Singapurze i czekamy do 11.45 na lotnisku Chiangi na lot do Kuching w Sarawak na Borneo (ok. 1,5 h). Na lotnisku trzeba wziąć taxi do centrum (26 MYR), bo innego sposobu nie ma na dostanie się do miasta. Należy kupić na lotnisku kupon, a potem wsiąść do jakiegokolwiek taksówki o kolorze czerwono-żółtym. Taki system działa też na innych lotniskach, np. w Kota Kinabalu. Wsiadamy w centrum koło National Parks Booking Center i zaklepujemy bez problemu 2 noce w Bako National Park (84,6 MYR za 2 noce, 2 osoby), a podobno miejsc być nie powinno (tak wynikało z danych internetowych). Potem z plecakami drałujemy do Marco Polo Hostel, który znajduje się na obrzeżach centrum, przy jednym z pomników kota. (57 MYR za pokój ze śniadaniem). Idziemy do miasta, fotografujemy pomniki kotów, jako że Kuching nazywa się miastem kotów. Przepływamy wodną taksówką na drugą stronę rzeki (80 centów / 2 os, z powrotem 1 MYR / 2 osoby) i tam w przy-

brzeżnej knajpie dla miejscowych jemy obiad. Wracamy na drugi brzeg i chodzimy po mieście – elegancka esplanade ciągnie się wzdłuż rzeki. Jak się okazuje, Kuching jest miastem kosmopolitycznym: obok meczetów jest katedra chrześcijańska, a także świątynia sikhijiska i liczne świątynie chińskie i buddyjskie. Dość ładna jest chińska dzielnica, w całości oświetlona kolorowymi lampionami. Jakoś od razu poczuliśmy się pewnie w nowym miejscu – ludzie nie zaczepiają, samochody nie trąbią, a jeden nawet się zatrzymał na przejściu, co na standardy azjatyckie było dla nas niemałym szokiem.

21 lipca

Po śniadaniu (omlecek z bananami) idziemy na autobus do Bako NP. Czekamy, czekamy na ulicy naprzeciwko naszego hoteliku na autobus publiczny, czekamy 1 godzinę i nic. W końcu podjeżdża minibusik, który stanowi prywatny transport jednej z firm turystycznych i jako że cena rozsądna zabieramy się do Bako NP (5 MYR / 1 os). Żeby dostać się do parku, trzeba wynająć łódkę – jest to o tyle dziwne, że wynajmując łódkę w stronę Bako, trzeba umówić się z przewoźnikiem na powrót, dlatego żeby wyszło taniej, turyści łączą się w grupy w zależności od liczby dni, które się spędzi w parku. My mamy opcję dość skomplikowaną, bo w jedną stronę płyniemy w 6 osób, a wracamy w 4. Pani w kasie po 5-minutowych tajemniczych obliczeniach na kalkulatorze podaje nam kwotę, która mniej więcej odpowiada obliczonej przez nas – 50.5 MYR za dwie osoby. Trzeba jeszcze uiścić opłatę parkową, niestety, cała operacja trwa dość długo, bo przy kasie są tłumy chętnych na zwiedzanie Bako, większość osób jedzie na jeden dzień (20 MYR / 1 os). Po 20-minutowej przeprawie łódką robimy desant na malowniczej plaży, gdzie od razu witają nas dwie dzikie świny (trochę podobne do afrykańskich guźców, ale bez kłów) i idziemy kawałek do Park Headquarters. Dopiero za kilka godzin możemy się zamelinować w naszym pokoju, więc zostawiamy bagaże w recepcji parku i idziemy według mapki (uzyskanej w headquarters) na jedną z tras. Po drodze mijamy stado makaków i srebrnych langurów. Idziemy na trasę o nazwie Pandan Keul, która prowadzi najpierw trochę po drewnianych kładkach nad morzem, potem ostro pod górę (łącznie z jedną lub dwoma drabinkami), a potem znowu po płaskim terenie i drewnianych kładkach (widać, że deszcze są obfite i drewniane kładki pozwalają na jakiegokolwiek uczęszczanie tymi szlakami). Szlaki są oznaczone elegancko. Najpierw idziemy na Keul – dochodzimy na klif i ostrym zejściem na dół na malowniczą plażę. Woda bardzo ciepła. Wracamy tę samą drogą i idziemy jeszcze na Pandan Besar – klif, z którego rozciąga się widok na kolejną plażę. Po godz. 14 wracamy do centrum parku i dostajemy pokój w hostelu B – taki 4-pokojowy bungalow ze wspólną łazienką. Jemy późny lunch (9 MYR / 2 os.) w kantynie parkowej, w której trzeba być wcześniej, bo funkcjonuje tu coś w stylu szwedzkiego stołu, a więc ostatni mają już ograniczone menu. Wybieramy kolejną trasę – Paku – i docieramy na kolejną plażę. Co jedna, to lepsza, a tu na dodatek nikogo nie ma, zresztą na trasach jest bardzo mało ludzi, większość kręci się przy headquarters lub wybiera krótkie szlaki. Pod wieczór idziemy w drugą stronę od headquarters na szlak o nazwie Delima w celu zobaczenia nosaczy. Niestety, wybraliśmy się trochę za późno i nie możemy dojść do miejsca, gdzie powinny znajdować się małpy, bo trasa prowadzi przez las namorzynowy, który przy przypływie jest zalewany, a właśnie taki przypływ nastał. Wracamy dość późno do kantyny

gdzie jemy obiad (11 MYR / 2 os.). Wieczorem o 20 pod kantyną jest zbiórka i można się wybrać na night walk z przewodnikiem – 10 MYR / os. Trochę ludzi się zgromadziło, więc zostajemy podzieleni na 3 grupy i idziemy z latarkami szukać zwierzątek. Widzimy ze 4 zielone węże spokojnie oplecione wokół gałęzi, podobno bardzo jadowite. Co ciekawe, jeden z nich umiejscowił się niedaleko naszego bungalowu. Przewodnik wynajduje ze 3 tarantule i kilka innych mniej lub bardziej niebezpiecznych pajaków. Atrakcją, choć bardzo słabo widoczną, bo jest ciemno i siedzi na wysokiej gałęzi, jest flying langur. Ponadto widzimy sporo gekonów oraz w gniazdach pod skałami jerzyki.

22 lipca

O 8.00 śniadanko (14.5 MYR / 2os) i idziemy na Big Loop, na który składają się trasy Tajer Trail, Bukit, Paya Jelutang, Ulu Seraht i Lintang – w sumie najdłuższa trasa w parku (12,5 km). Początek trasy jak wczoraj, widzimy oprócz langurów i makaków również dwa nosacze. Szybko przechodzimy „wczorajszy” kawałek i przestajemy widywać turystów. W sumie na całej trasie spotkaliśmy 3 Szwajcarów, i starszą parę z Australii, którzy – jak się później okazało – byli muzykami i swój „emerycki” wolny czas spędzali na podróżowaniu i dawaniu koncertów muzyki folkowej (płatność za udział w kulturalnej rozrywce – co łaska – ktoś postawi piwo lub właściciel kantyny zaserwuje kolację). Od głównego szlaku odbija długie i strome zejście na plażę. Akurat był odpływ i z 1 km morza był odsonięty. Wracamy z powrotem ciężkim podejściem na główną trasę, a potem... potem jest coraz gorzej, co chwila podejścia i zejścia, a przy tym gorąco i okrutnie wilgotno. W 1/3 trasy znajduje się malowniczy wodospad. Po krótkim odpoczynku drałujemy dalej przez prawdziwą dżunglę, czasami w błocie – ale mamy szczęście, że przynajmniej nie pada deszcz, domyślamy się, że wówczas szlak byłby dla nas ekstremalnym wyzwaniem. Na środku ścieżki widzimy kobrę tak ze 2.5 m długości, na szczęście martwą. W górze w koronach drzew kilka razy odzywają się małpy, ale ich, niestety, nie widać. W końcu dowiekliśmy się do centrum, gdzie trzeba było się odpowiednio nawodnić. Jak się okazuje, zawsze trzeba wziąć więcej wody niż się wydaje (2–2,5 l / os. na taką trasę to minimum). Aga zdziwiła się, że ma taką pojemność – do godz. 15.00 zdążyła pochłonąć ok. 4 l różnych napojów, a i tak cały czas chce jej się pić. Podczas popołudniowej sjeisty usłyszeliśmy hałas, zaciekawieni wynurzamy się z naszego bungalowu, a tam przez teren campu przechodzi grupa nosaczy, część po drzewach, a część po ziemi, dwa samce i kilka samiczek – oczywiście za małpami podąża druga grupa bardziej wyprostowanych stworzeń, do których niezwłocznie i my dołączamy. Jemy późny obiad, a właściwie kolację (16 MYR), do której przygrywa poznana wcześniej para Australijczyków. Próbuje rozgryźć system naliczania opłat za jedzenie w kantynie – niby potrawy podobne, ale można naładować olbrzymi, pełen talerz jednej potrawy lub malutki trzech różnych potraw i za ten drugi wariant zapłacić dwa lub kilkakrotnie więcej. W ogóle to cena chyba po części jest uzależniona od osoby pobierającej opłaty za posiłki – widać było intensywny wysiłek umysłowy i kilkakrotne przeliczanie na kalkulatorze kwot 2+6 lub 4+4+3, a i tak sąsiad z podobnym zestawem na talerzu zapłaci kilka MYR-ów więcej lub mniej. Zadziwiające!

23 lipca

Śniadanko (13 MYR), a później oglądamy i robimy zdjęcia nosaczom, które rankiem każdego dnia przechodzą obok kantyny, wzdłuż plaży. Samiec, którego obserwujemy,

jest duży, ma ogromny nos i bardzo duży, pękaty brzuch. Z radością muszę stwierdzić, że jest ładniejszy od samiczek. Oprócz urody samce obdarzone są jeszcze talentem wokalnym – w przerwach między pożywianiem się bardzo głośno i intensywnie beka-ją. Gdyby dodać mu kilka atrybutów – pilot, piwo i zafajdany podkoszulek, wyłoniłby się obraz przystojniowego „Kiepskiego”. Nosy samiczek w odróżnieniu od zwisającego nosa „Pana” są zadarte do góry i w ogóle zachowują się bardziej kulturalnie, jak przystało na prawdziwe damy. Niestety, musimy się związać z Bako – bo mamy umówiony dwa dni wcześniej transport, więc idziemy do przystani nad morzem. Park opuszcza się z innego miejsca, a spowodowane jest to przypiływem. Przy wejściu do parku łapiemy autobus nr 6 do terminala w centrum Kuching (3.5 MYR / 1 os), ale wysiadamy wcześniej przy Great Cat of Kuching, niedaleko hostelu Marco Polo, w którym byliśmy wcześniej, i tu też zostajemy na następną noc (pokój 55 MYR). Szybko, po zostawieniu gratów w pokoju, zbieramy się i jedziemy do Semenggoh Rehabilitation Centre – autobusem nr 2 o 13.00 z głównego terminala znajdującego się przy Big Mosque (3 MYR / os). Wsiadamy przy bramie do ośrodka, kupujemy wejściówki (10 MYR / os) i 1,3 km idziemy do centrum ośrodka. Po drodze są inne atrakcje, jak ogród orchidei, ale są pozamykane i nie widać, żeby ktoś tam chodził. Trzeba pół godziny poczekać na karmienie orangutanów, które odbywa się o 9 i 15 i trwa 1 h. Ośrodek ma 650 ha i jest nieogrodzony – orangutany nie uciekają, bo czują się tam bezpiecznie i w zasadzie to nie mają gdzie uciekać, bo dookoła są sady palm olejowych, choć im się trochę dziwimy, obserwując ciężkie roboty ziemne przy samym wejściu do ośrodka i słuchając hałasu z tym związanego. W ośrodku jest ich 20, są wpółdzikie, ale na pewno nieoswojone tak jak w zoo. Idziemy na platformę obserwacyjną (są trzy, ale akurat jedna jest otwarta). Na platformie leżą owoce (banany, ananasy, kokosy) i bułki. W koronach drzew między drzewami rozpostarte są liny. Po chwili na jednej z lin pojawia się młody orangutan i wolno przemieszcza w kierunku platformy, zaraz za nim podąża drugi również młody osobnik. Są trochę jak z innej planety, rude, włochate i z długimi kończynami, za pomocą których wyczyniają na linach zadziwiające akrobacje. Jeden z młodych w końcu zebrał się na odwagę, zszedł na platformę, zabrał trochę jedzenia i szybko wspiął się na pobliskie drzewo, obserwując jednocześnie drugiego osobnika, który również ośmielił się zbliżyć do pożywienia. Na ten widok pierwszy orangutan szybko wrócił na platformę i używając wszelkich dostępnych mu środków (czyli pysk i dwie ręce) chciał przejąć jak największą ilość jedzenia, przy czym w gębie miał już wcześniej upolowaną kiść bananów. Przez pewien czas oba młode siedziały gdzieś w górze, czasem wystawiając jakąś część ciała i poruszając linami i drzewami. Czekaliśmy jeszcze do końca karmienia, ale więcej żaden większy zwierzak, oprócz wiewiórek, których czarno-brązowe ubarwienie jest śliczne, nie przyszedł. Wychodząc ze szlaku, zawołał nas jeden ze strażników, informując, że przy samym centrum jest matka z młodym. Żebyśmy mogli zobaczyć rodzinę bliżej, ranger wabił je bułkami. Komiczny był widok, jak matka wyrwała i włożyła 4 buły do pyska, tworząc coś na kształt tortu bułkowego, który zaraz został przejęty przez młodego. Z bardzo dużej liczby ludzi, którzy byli na platformie, do końca zostało może 10%, ale ci zostali nagrodzeni widokiem zwierzątek z bliska. Oczywiście, spóźniliśmy się na ostatni autobus do Kuching, więc zaczęliśmy łapać stopa – zajęło nam to tylko 5 minut. Zabrał nas Malezyjczyk, który – z zawstydzeniem musimy stwierdzić – wiedział więcej o Polsce niż my o Malezji.

Dobrze, że szybko stopa złapałiśmy, bo zaraz przyszła ulewa. Wysadził nas w centrum, w okolicach Big Mosque. Kolacja w jakiejś knajpie (15 MYR) i spać.

24 lipca

Rano śniadanie i autobusem (3 MYR) z powrotem na terminal pod Big Mosque, żeby złapać inny do Central Bus Station (3,5 MYR). To jest w Malezji kiepskie, że wszystkie dworce autobusów dalekobieżnych są poza centrum i dość trudno się czasem tam dostać. A i jeszcze przeważnie jest kilka dworców z autobusami jadącymi w różne strony, np. inny dworzec dla połączeń z wschodnią, a inny z zachodnią częścią wyspy. Na dworcu jest dużo kompanii autobusowych, a my wybieramy Eva Express, reklamowany jako autobus dla sumitów. Miejsca faktycznie jest dużo, a podróż trwa 6 h. Dojeżdżamy do Siby, gdzie leje okrutnie, więc stoimy na dworcu z naiwną nadzieją na rychłe przejście burzy. Stoimy godzinę, półtorej, aż chyba zaczynamy budzić litość, bo podchodzi do nas bardzo miły pan – jak się okazuje Malezyjczyk chińskiego pochodzenia, były żołnierz, który nawet był w Polsce. Po dłuższej pogawędce pomaga znaleźć nam autobus, którym powinniśmy pojechać do centrum (1,2 MYR). I tu jedna uwaga, ostatnie busy do centrum miast (czy z dworców dalekobieżnych, czy z pobliskich miejscowości) odjeżdżają ok. 15–16, więc trzeba się pilnować, bo później zostaje tylko opcja dotarcia na miejsce taksówką lub stopem. Autobusem, do którego wlewa się woda, docieramy do River Front w centrum Siby i odnajdujemy hotel Li Hua, polecony nam przez Malezyjczyka z dworca (65 MYR). Idziemy do miasta w nadziei załatwienia wyjazdu do longhousa, ale jest już późno i wszystko jest pozamykane. Obiad (15 MYR – 2 makarony po 3,5 i 2 piwa po 4!!). Miasteczko nocą ładne, ale daleko mu do Kuching.

25 lipca

Skoro nie dało się wieczorem, próbujemy rano – idziemy do różnych agencji turystycznych, żeby zapytać się o longhousy i wyjazd do nich. W najtańszym chcą 90 MYR za osobę za 3-godzinny wyjazd, a 220 MYR za spędzenie nocy. Granda. Idziemy więc na dworzec i jedziemy do osady Bawang Assan Siby (2 × 5 MYR), w której, według ulotek zebranych w hotelu, jest 9 longhousów. Kierowca wysadza nas na skrzyżowaniu głównych dróg, bo niby tam chcieliśmy jechać. Więc wysiadamy przy przydrożnej knajpie z nadzieją, że ktoś nas skieruje do tych longhousów. Nadzieja matką głupich, bo jak się dowiadujemy, jest do nich z 8 km. Ale obrotna właścicielka knajpy mówi, że jej mąż ma kolegę w longhousie i od razu do niego dzwoni. Kolegi, niestety, nie ma, ale w związku z tym mąż sam nas zawozi na miejsce, za darmo. Faktycznie jest sporo tych longhousów, które trochę ruderowato wyglądają, oprócz dwóch, które zostały wyremontowane. Każdy taki dom ma wiele wejść do wspólnego obszernego hallu, z którego są wejścia do mieszkań. Tułamy się między domami, nie spotykając żywej duszy, aż w końcu widzimy napis homestay. Wchodzimy do hallu, pukamy do mieszkania, po dłuższej chwili otwiera nam starsza Pani, która ani be, ani me po angielsku. Ale zaraz wzywa Pana przez duże P, bo jest on szefem i głową wszystkich rodzin zamieszkujących ten longhouse. Pani przynosi wino ryżowe i wodę, i siedząc po turecku w hallu dowiadujemy się co nieco o ichniejszej kulturze. Okazuje się, że longhousy są puste, bo ludzie pracują w mieście (Sibu) i tam mają domy, a tu przyjeżdżają tylko w święta i w dni wolne od pracy. Po wypiciu winka (23%, za które chcemy płacić, ale

chyba naszym zamiarem trochę obrażaliśmy gospodarzy) okazuje się, że transport powrotny mamy już zorganizowany. Tacy są Ibanowie. Co prawda, transport trochę drogi 20 MYR do Siby, ale jest to jedyna droga wydostania się stąd, a poza tym nie chce nam się kłócić o cenę po tak miłym przyjęciu. Po powrocie do Siby szwędamy się trochę po mieście. Godna uwagi jest kolorowa pagoda w centralnej części miasta. Na targu reperujemy za 2 MYR sandały i kupujemy hiperzegarek wyprawowy za 10 MYR. Jemy obiad i idziemy do Heritage Centre – muzeum kultur, które dość skutecznie wymieszały się w Siby. Najwięcej jest Chińczyków, którzy rozmnożyli się z 7 przybyłych rodów. Sporo Ibanów i Malajów i innych, mniej licznych, rdzennych plemion. Mamy jeszcze po południu trochę czasu, więc idziemy na soczki do knajpy, która okazała się potem wg LP bardzo modna – może dlatego nikogo w niej nie było (drugim powodem braku klientów mogły być zaporowe ceny jak na tamtejsze warunki). W nocy jedziemy taxi (15 MYR) na dworzec Express Bus i za 40 MYR / os jedziemy do Miri.

26 lipca

Rano po nocnej jeździe docieramy do Miri na Express Bus Terminal. Mamy złapać autobus miejski 32A do centrum, co nie jest takie proste, czekamy 1,5 h, aż w końcu przyjeżdża (2,5 MYR / os). Dojeżdżamy nim do Tourist Information Center, gdzie rezerwujemy 2 noclegi w Niah National Park i jeden w Lambir Hills National Park. Śniadanko w biegu (pumpkinsy + kawa – 8,2 MYR) i wracamy na dworzec tym samym autobusem 32A (tym razem za 1,6 MYR / os), a tam od razu mamy autobus do Niah Junction (10 MYR / os). 2 h jazdy z powrotem w kierunku Siby głównie wśród palm olejowych. Na Junction wysiadamy, gdzie od razu łapie nas gość z propozycją zawiezienia do Niah. Po dłuższych negocjacjach i zorientowaniu się, że panowie taksówkarze mają monopol na dojazdy do Niahu, ustalamy cenę na 30 MYR i jedziemy. Kupujemy wejściówki (2 × 20 MYR) i płacimy za 2 zarezerwowane noclegi (2 × 42,5). Jesteśmy sami w bungalowie z 4 pokojami, a poza tym takich budynków jest kilka, a turystów prawie w ogóle. Zjadamy lunch (10 MYR) i idziemy do Niah Cave. Najpierw trzeba się przeprawić przez rzekę (kosztuje to 2 × 1 MYR). Po drodze widzimy 2 małpy, z daleka, ale mi się wydawało, że to gibbony. Droga prościutka, po kładkach drewnianych, ale gorąco i wilgotno. Przed jaskinią jest odbicie do longhousów, do których oczywiście skręcamy – faktycznie są dwa bardzo długie, inne niż koło Siby, choć też przynależą do Ibanów. Są zbudowane na wysokich palach – na górze mieszkania, pod spodem garaże, kurniki, zagrody dla świń itp. Generalnie, na górze jest ruderowato, a w garażach stoją luksusowe samochody terenowe. Po obejrzeniu wioski wracamy na szlak do jaskiń. Najpierw przechodzi się przez potężną grootę, gdzie była kiedyś masa gniazd jerzyków (swift). Teraz jest ich mało, bo okazuje się, że delikatesem dla Chińczyków jest zupa z gniazd tych małych ptaszków. W 1935 r. populacja jerzyków wynosiła ok. 1,7 mln, w 1995 zostało ich tylko 200 tys. Całe szczęście, że obecnie wprowadzono ograniczenia w zbieraniu gniazd i populacja powoli się odradza. Przez grootę dociera się do jaskini Niah, gdzie jerzyków jest naprawdę dużo, a równie dużo jest nietoperzy. Jaskinia jest faktycznie ogromna, prowadzi przez nią szlak ułożony na drewnianych kładkach śliskich od kup i wody. Szlak w jaskini ma 2–2,5 km! Po przejściu przez Niah szlak dalej prowadzi do Painted Cave, ale jest ona, niestety, czasowo zamknięta (chyba ze względu na odnawianie szlaku). Mokrzy od potu obchodzimy całą jaskinię, obserwując dużo konstrukcji drewnianych, z których miejscowi wyciągają gniazda jerzyków. Taka konstrukcja ma często kilkadziesiąt metrów wysokości. Przy wyj-

ściu z jaskini czekamy na wylot nietoperzy, ale wylatują wąziutkim strumieniem i jakoś niemrawo, spodziewaliśmy się czegoś bardziej spektakularnego. Wracamy po ciemku 3 km do hostelu, odgłosy w drodze są niesamowite – często mały, ale głównie strasznie głośne żaby. Przeprowadzamy się przez rzekę (2 × 1,5 MYR, bo jest po 19.00) i idziemy do kantyny na kolację (18 MYR, ryż + napitki). Na szlaku przez ładnych parę godzin spotkaliśmy tylko 1 kobietę. Wieczorem idziemy z powrotem nad rzekę, żeby odbyć Night Boat Trip. Trwa to 1,5 h – widzimy ślepią ze 4 krokodyli. Przewodnik twierdzi, że jest tu ich sporo, ale jakoś sceptycznie się do tego odnosimy, widząc pływający w rzece syf.

27 lipca

Rano stwierdzamy, że w zasadzie to w Niah zobaczyliśmy to, co chcieliśmy, i trzeba jechać dalej. Niestety, za nocleg zwrotu nie możemy dostać, bo pieniądze poszły już do centrali parków w Sarawaku. Mniejsza z tym. Przeboleliśmy. Po śniadaniu w kantine parku (14 MYR) o godzinie 11 jedziemy na Junction – miła Pani z recepcji dzwoni do kolegi, żeby po nas przyjechał i, jak poprzednio, płacimy 30 MYR. Pierwszy napotkany autobus zabiera nas do Lambir Hills, z powrotem w kierunku Miri (2 × 10 MYR). Wsiadamy i na szczęście headquarters jest tuż przy drodze. Płacimy za zarezerwowany wcześniej nocleg (50 MYR) i wejściówki do parku 2 × 20 MYR. Szlaki fajne, ale dość wyczerpujące – z górki i pod górkę, no cóż, ale to przecież hills. Trasy są tak poprowadzone, żeby wiodły od wodospadziku do wodospadziku. Oglądamy 5 wodospadów i wracamy do headquarters. Generalnie park jest bardzo ładny, moim zdaniem, trochę niedoceniony – znowu prawie nikogo nie spotykamy, a przy wodospadach zawsze jest mini jezioro, w którym można się kąpać, na własną odpowiedzialność oczywiście. Ale koła ratunkowe są przy każdym oczku wodnym.

28 lipca

Rano po śniadaniu wyruszamy na poważniejszy szlak. Ciężko jak cholera, albo mamy zły dzień. Po 2 h dochodzimy do DingDing Waterfall – chyba najładniejszy wodospadzik, jaki oglądaliśmy w Lambir Hills. Ostatkiem sił wracamy do kantyny. Przy drodze łapiemy autobus do Miri. Twardo targujemy do 10 MYR za nas oboje. Z dworca bierzemy taxi do centrum (15 MYR), bo autobus 32A o tej porze już nie jeździ (ponieważ jest już po 15.00). Łazimy po hostelach i hotelach, ale wszystko jest zajęte, albo ceny nieakceptowalne przez nas. W końcu znajdujemy nocleg w chińskim hoteliku One Inn, który wygląda niespecjalnie, ale co robić (55 MYR). Kolacyjka w knajpie (13 MYR) i potem soczki w knajpie z tłumem białych (stąd też cena 8 MYR za soczek). Miri jest ładnym miasteczkiem, ale prym wiedzie Kuching. Jest główna ulica z dużą liczbą knajp i hoteli. Są też duże luksusowe hotele. Szukamy jakiejś agencji na wyjazd do Mulu, ale żadnej nie możemy znaleźć, więc idziemy do backpackersa Minda Guest-house (w obecnej chwili jedyny w Miri), gdzie właściciel Willi mówi nam, żebyśmy przyszli jutro, to coś spróbuje nam zorganizować.

29 lipca

Rano, jak to zwykle, na śniadanie jemy zupki, dość obrzydliwe, bo z wątróbką i jakimś zmielonymi psami lub kotami, a chcieliśmy tylko zwykłe z makaronem, a nie special – z mięsem. Następnie przenosimy się do Minda Guest House (60 MYR), gdzie dostajemy dwójkę z łazienką. Wczoraj była masa ludzi, a dziś cichutko. Willi wysyła

nam e-mailem 4 opcje wyjazdu do Mulu – ta, która nas interesuje, trwa 3 dni i kosztuje bagatela 950 MYR/os + przelot – stwierdzamy, że dla nas za dużo i spróbujemy na własną rękę. Standardowo idziemy obejrzeć miasto. Najpierw wędrujemy na targ rybny – rekiny, wielkie tuńczyki i sporo morskich dziwadła, które intensywnie fotografujemy. Później chińska świątynia, która jest na wybrzeżu, a na końcu jedziemy autobusem na Esplanade nad morzem, za miastem (bus nr 11, 13, 15). Nawet fajny widok, masa krabów, plaża ładna, w oddali platforma wiertnicza. Kąpać się nie wolno, bo jest jakiś ekstremalny prąd, odchodzący od brzegu. Potem wzdłuż brzegu i ulicą przemierzamy się na kolejną plażę, przy luksusowym hotelu. Sporo ludzi grilluje i ogólnie się bawi nad morzem, ale faktycznie nikt się nie kąpie. Wracamy ładnych kilka kilometrów na piechotę do Miri. Wspomagamy się pumpkinsami z colą i spotykamy wcześniej poznanych w Bako NP muzyków z Australii. Po powrocie do Minda Guest House zabieramy się za organizowanie wycieczki do Mulu NP. Kupujemy na skyscannerze 2 bilety do Mulu na następny dzień za 300 MYR / os. Na kolację szalejemy (tofu, cutter fish czyli mątwą w smaku i konsystencji trochę podobną do kalmara – 37 MYR). Miejscowi opychają się (dosłownie sądząc po ilości jedzenia na stołach) różnymi dziwnymi rybami. Wieczorem nasi Australijczycy, którzy mieszkają oczywiście w Minda, dają koncert w ogródku na dachu hostelu. Wspomagani są przez dwóch innych muzyków z Japonii, a Willi tańczy w lokalnym stroju. My w związku z brakiem uzdolnień muzycznych ograniczamy się do słuchania.

30 lipca

7.00 pobudka i jedziemy na lotnisko taksówką za 24 MYR. Check-in szybciutki, jak pokazujemy, że lecimy do Mulu, to strażnicy machają tylko ręką i niby prześwietlają plecak, ale jakoś tak bez zapału. Samolot linii MAS Airlines, malutki i śmigłowy – wznosimy się, dostajemy kakao i lądujemy, całość trwa ½ godziny. Na lotnisku pytamy panią prowadzącą mikrosklepik o homestay i oczywiście okazuje się, że właśnie ona jeden prowadzi. Jedziemy tam busikiem za 2×10 MYR. Odległość od lotniska do centrum parku jest bardzo mała (ok. 1 km) i trzeba było drałować piechotą. Dostajemy pokój za 40 MYR, niecałe 200 m od wejścia do najbardziej znanego parku na Borneo. Zakwaterowanie bardzo skromne, łazienka tradycyjna, czyli chochla do wody pełniąca rolę prysznica i zarazem spłuczki w toalecie. Idziemy do biura parku, gdzie płacimy 2×20 – wejście do Deer Cave i Lang Cave, 2×30 – wejściówki do parku (na 5 dni), trekking na Pinnacles 2×325 , 2×20 – Wind Cave i Clearwater Cave. Ups, drogo, ale porównując to, co załatwiliśmy na miejscu, z tym, co można załatwić w Miri, wychodzi i tak 1/3 ceny, a atrakcji mamy więcej i jesteśmy niezależni. Jak się potem okazuje, to, że udało się załatwić Pinnacle to szczęście – wszyscy rezerwowali wejście kilka miesięcy wcześniej. W ogóle to większość ludzi odwiedzających Mulu jest w dużych grupach zorganizowanych, albo w małych grupkach, ale z własnym osobistym przewodnikiem. Trochę się objamy, jemy lunch (17 MYR) i o 14.30 idziemy na pierwszą wycieczkę. Niestety, jest to tak zorganizowane, że ludzie nie do końca mogą sami łązić po parku, a do jaskiń można wchodzić tylko o określonych godzinach. Więc zbiera się sporo ludzi przy headquarters, zostajemy podzieleni na grupy, z których każda dostaje parkowego przewodnika. Szlak do Deer i Lang Caves ma ok. 3 km i prowadzi głównie po drewnianej kładce. Dochodzi się do rozwidlenia szlaku i najpierw idzie się do Lang – jaskinia jest niska, ale długa z pięknymi stalagmitami, stalaktytami i stalagnatami. Następnie,

po ok. 40 minutach wraca się do rozwidlenia i idzie do Deer. Najpierw jest długie wejście prowadzące przez grootę, albo, jak kto woli, pod skałami – tak duże, że myślimy, że to już ta jaskinia. Po drodze widzimy żółwia jaskiniowego, którego przewodnik widuje od 20 lat w tym samym miejscu, i w końcu dochodzimy do jaskini właściwej. O ile jaskinia w Niah była ogromna, to ta jest gigantyczna. Ciężko w ogóle zorientować się w wielkości. Na suficie odległym pewnie o 100 m są czarne plamy – okazuje się, że to nietoperze ok. 2–3 mln. Są też liczne gniazda jerzyków. Przez jaskinie idzie się wytyczonym szlakiem, dochodząc do punktu widokowego na skupisko nietoperzy i guano... czyli kupy pod spodem. Z sufitu leją się strugi wody, a przynajmniej mamy nadzieję, że wody, dlatego też zadzierając głowę do góry, raczej powinniśmy zamknąć buzię. Ciekawostką jest, że w punkcie widokowym zainstalowano kamerę, która ciągle monitoruje ruchy nietoperzy. Z jaskini wychodzi się na tzw. bat observatory – szeroką drewnianą kładkę, na której zgromadziła się już masa ludzi. Ten tłum czekał na wylot nietoperzy, który odbywa się codziennie między 16–18. Czekamy i my, i... w końcu się zaczyna, najpierw krótkie sznury nietoperzy, a potem 8-minutowy strumień, i następny. A potem już bez przerwy przez ponad godzinę wylatują, formując wstążki i zawijasy na niebie, a na dodatek wydostają się z różnych miejsc, nie tylko z głównego wejścia. Co noc ta chmara nietoperzy zżera ok. 15 ton insektów. Koło jaskini na okolicznych drzewach słychać i czasem widać mały. Prawie po ciemku, już bez przewodnika, każdy na własną rękę, (większość poszła już z godzinę temu) wracamy do headquarters. Po drodze widzimy jeszcze olbrzymiego owada (kilkanaście centymetrów długości) siedzącego na kładce, a wzdłuż całej drogi koncert dają żaby. Kolacja za parkiem w jedynej w zasadzie knajpie – 28,5 MYR. Idziemy szybko na nocleg, bo o 10 wyłączają światło, które jest z generatorów.

31 lipca

Śniadanko 25 MYR. Rano w headquarters rezerwujemy dodatkowo na 9.00 Conopy Skywalk 2 × 35 MYR. Droga po drewnianych kładkach dochodzimy do ścieżki zawieszanej między koronami drzew na wysokości 15–50 m. Cała długość napowietrznej kładki to 480 m podzielonych na 16 przęseł. Trochę się to trzęsie i trzeba się przyzwyczaić, ale zaraz robi się ekscytująco i można poświęcić więcej czasu na podziwianie dżungli niż kurczowe trzymanie się lin. Po tej wycieczce idziemy na lotnisko i kupujemy bilety powrotne do Miri na 3 sierpnia, za 2 × 292 MYR. W drodze z lotniska znajdujemy homestaya ze sklepikiem (zaraz przy drodze między lotniskiem a wejściem do parku) z najbardziej niezbędnymi artykułami, gdzie się również nawadniamy. Po południu idziemy do Paku Waterfall jedną z niewielu tras, po których można przemieszczać się bez przewodnika. Przyjemna ścieżka przez las, na której co pewien czas widzimy wielkie żuki, ślimaki i inne insekty. Przy wodospadzie można się wykąpać, woda zimna, ale orzeźwiająca. Wracamy, zachodząc jeszcze na Tree Tower – wieżę przeznaczoną do oglądania ptaków. My jesteśmy tam po południu, więc wiele ich nie widzimy, a najlepszy czas na obserwację to wczesny ranek. Wieża wysoka na kilkadziesiąt metrów i widok z niej na korony drzew bardzo przyjemny, choć bez ptaków. Wieczorem chcemy jeszcze iść do Moonmilk Cave, ale, niestety, już na początku trasy okazuje się, że droga jest zamknięta z powodu spadających kamieni. Mając trochę czasu, idziemy na obiad i oczywiście nawadnianie (29 MYR), oglądając olimpiadę i przede wszystkim mecz w siatkówkę Polska – Bułgaria, aż kończy się prąd.

1 sierpnia

Raniutko, we wczoraj znalezionym sklepiku robimy zakupy jedzeniowe na 2 dni do Camp 5 pod Pinnacles. O 9.00 jesteśmy pod headquarters, zostawiamy zbędne bagaże i teleobiektyw. Ładujemy się na łódkę z dwójką Amerykanów. Po ok. 30 min dopływamy do wioski na targ z pamiątkami i po krótkiej przerwie dalej jeszcze z 15 minut docieramy do jaskiń Wind and Clearwater. Do pierwszej jaskini Wind wchodzi się po schodach i, jak wszystkie tutaj jaskinie, i ta jest duża. Jej nazwa bierze się stąd, że w niektórych miejscach czuje się przyjemny (przy panującej temperaturze) przeciąg. Kładkami obchodzi się jaskinię dookoła, w jednej z sal są wielkie stalagmity, stalaktyty i stalagnaty. Po wyjściu idzie się kilkaset metrów do drugiej jaskini Clearwater. Podejście do niej ma ok. 200 stopni. Jaskinia również olbrzymia, ale nie tak jak Deer. Tutaj też idzie się po kładkach dookoła, w jednym miejscu jest misa wyrzeźbiona w kamieniu, do której wciąż skapuje woda. Dochodzi się do podziemnej rzeki, która ma bodajże ok. 160 km długości. Można zrobić caving z Wind do Clearwater. Musi być to niezłe przeżycie – wspinaczka, pływanie i ciemno (jest taka opcja w ofercie parku, ale nie dla początkujących). Po wyjściu z jaskini decydujemy się z Amerykanami wyruszyć dalej do Camp 5. Płyniemy ok. 1 h, dość często przepychając łódkę przez płycizny, aż wreszcie docieramy do początku (9 km) szlaku prowadzącego do Camp 5. Dojście do celu zajmuje nam ok. 2,15 godziny – droga płaska i dość przyjemna, po drodze dwa fajne mostki wiszące. Na Camp 5 kwaterują nas do jednej z kilku sal, gdzie może mieszkać po ok. 16 osób. Pożyczamy moskitierę na 2 os. (20 MYR × 2 noce). Kąpiemy się w rzece opodal, gdzie jest specjalnie wyznaczone do tego miejsce. Zjadamy nasze zakupy – ekspresowe „makarono-zupki”. O 19.30 mamy spotkanie z przewodnikiem na Pinnacles. Będziemy mieli Panią za przewodniczkę, a nasza grupa to my, Amerykanie poznani wcześniej, para francusko-litewska, oraz para szwajcarsko-tajska. Wszyscy nasi towarzysze wykupili trekking na Pinnacles dużo wcześniej i wokół właśnie tego trekkingu organizowali wyjazd na Borneo. Reszta ludzi w Camp 5 to grupy zorganizowane. Przewodnicy gotują im kilkudaniową kolację, a my po naszym raczej skromnym posiłku, z zazdrością im się przyglądamy. O 20.30, po zrobieniu zapasów wody z garnka gotującego się na campie idziemy grzecznie spać (w zasadzie do Camp 5 wody nie trzeba brać ze sobą, bo cały czas dostępna jest gotowana, może być tylko problem z butelkami). Pod łóżkiem, na którym śpimy, trochę padliną śmierdzi, ale wolimy nie sprawdzać co.

2 sierpnia

O 5.30 pobudka, szybko jemy śniadanie i o 6.15 ruszamy na Pinnacle. Pierwsze 200 m jest spoko, a potem zaczyna się podejście, które trwa do końca. W sumie szlak nie jest długi – podejścia w pionie jest 1125 m, a cała długość to 2400 m, z 200 m płaskim dojściem do szlaku, co daje pewne wyobrażenie o nachyleniu. A więc jest stromo, ale dobrze, że jest sucho, bo w deszczu mogłyby być problemy. Pierwszy przystanek jest na 900 m przy minipinnacłach, kolejny na 1200 m, gdzie jest połowa drogi i tam zostawia się część wody przeznaczonej na powrót. Na 1900 m zaczyna się ferratka cała olinowana z kilkunastoma drabinkami. W końcu po 2.45 godziny jesteśmy w miejscu widokowym na Pinnacle. Są to takie szare zastrzone wieże sterzące na zbocz góry na dość dużym obszarze. Wyglądają jak betonowe stożki porośnięte dżunglą. Za naszą

grupą wchodzi jeszcze parę osób, a my zaczynamy schodzić. Schodzimy dość szybko, bo od 10 do 12.30, ale jest ciężko, przydaje się woda zostawiona w drodze pod górę. Nie wierzymy, że tyle podeszliśmy. Po dojściu do Camp 5 obowiązkowa orzeźwiająca kąpiel w rzece, a następnie spożycie naszych zakupów. Ok. 15 idziemy 2 km szlakiem w kierunku Gorge Melinau. Przechodzimy przez rzekę, w której Aga, wyracając się na środku, sprawdza wodoodporność plecaka z aparatem. Dochodzimy do zakola w rzece, gdzie z otaczających skał można skakać do wody. Fajne miejsce na kąpiel i znowu nie ma ludzi. Wracamy do Camp 5, jemy obiadokolację, czyli zupki chińskie i się objamy, bo się nam należy. A co! O 8.30 grzecznie idziemy spać.

3 sierpnia

Rano jemy marne resztki naszego prowiantu i idziemy z powrotem 9 km do rzeki. O 9.30 jesteśmy na brzegu, a łódka już na nas czeka. Tym razem płyniemy w dół rzeki i musimy wysiadać tylko 2 razy, ale brak deszczu przez ostatnich kilka dni mocno spłynął rzekę, widzimy jak męczą się ludzie płynący pod prąd. W headquarters jesteśmy ok. 10.30, odbieramy teleobiektyw i bagaże i idziemy na lotnisko. Samolotem telepie dość mocno, ale lot jest na szczęście krótki i z powrotem jesteśmy w Miri. Na lotnisku czekamy cierpliwie na autobus i za 5 MYR jedziemy na Local Bus Terminal. Idziemy do Minda Hostel i płacimy 50 MYR za nocleg. Oddajemy pranie (14 MYR) i jemy pumpkinsy (7,2 MYR). Relaksujemy się na tarasie na górze, potem jemy seafoody (33 MYR) i piwko (14 MYR za butelkę) – nagroda za zdobycie Pinnacli.

4 sierpnia

Rano bierzemy taxi na dworzec długodystansowy – 20 MYR. Autobus do Bandar Seri Begawan (stolica Brunei) kosztuje 40 MYR / os. Ok. 12 jesteśmy w stolicy Brunei. Autobus wysadza nas w centrum, gdzie znajdujemy KH Soon Resthouse, w którym bierzemy nocleg za 38 \$. Obchodzimy miasto. Najpierw Royal Regalia – muzeum poświęcone obecnie panującemu sułtanowi (ma 66 lata). Jest sala na temat koronacji, i wszędzie masy prezentów, które przez lata zgromadził. Później idziemy do Water Village – wioski po drugiej stronie Brunei River, gdzie żyje ok. 30 000 mieszkańców w domach na palach. Przechodzi się między nimi po kładkach. Dochodzimy kładkami do olbrzymiego meczetu. Potem zachodzimy jeszcze w okolice najśłynniejszego w Brunei meczetu, do którego, niestety, wejść nie można, bo jest ramadan. Wieczorem odbywamy podobną trasę – wiele kolorowych lamp podświetla różne elementy zabudowy. Główną atrakcją dla Brunejczyków wydaje się, że jest centrum handlowe, w środku miasta nad Brunei River. Przeżywamy szok, ponieważ kierowcy zatrzymują się w celu przepuszczania pieszych! Na ulicach czysto, bo nawet za palenie jest 3 \$ kary. Kolację jemy nad rzeką w polecanych przez LP miejscu – skupisko knajpek na esplanade (super soczek z liczi). Wieczorem mamy ciekawy widok z okna hotelu na okoliczne prostytutki. Generalnie miasto nas nie zachwytiło. Aga narzekała, że tylko beton, beton i jeszcze raz beton, a nie ma żadnego skrawka zieleni, gdzie można by było trochę odpocząć (no może oprócz murawy na stadionie).

5 sierpnia

O 6.00 pobudka i idziemy do autobusu miejskiego do przystani promowej (2 \$ od osoby). Na przystani kupujemy bilety na prom do Labuan w Sabahu (17 \$). Prom płynie

ze dwie godziny i jesteśmy ponownie w Malezji. Labuan się nam nie podoba, więc od razu kupujemy bilety na godzinę 13, na dalszą drogę do Kota Kinabalu (33 MYR). Mamy 2 h, więc idziemy jeść (2,3 MYR). Ok. 16 jesteśmy w KK i idziemy do Lucy Backpackers (65 MYR ze śniadaniem). Od razu idziemy zobaczyć miasto największe na malezyjskim Borneo. Najciekawsze jest wybrzeże, gdzie znajduje się masa knajp. Na ulicznych straganach kupujemy różne pierożki oraz naleśnikopodobne placki z warzywami (8 MYR). Miejscowy targ jest opanowany przez Filipińczyków. Jest tam masa miejsc do zjedzenia owoców morza – ugrillowane krewety, kraby, kalmary itp. Snujemy się do nocy, w tym czasie oglądamy finał olimpijski Malezja – Chiny w badmintonie. Niestety, Malezyjczyk ku rozpaczy swoich pobratymców musiał zadowolić się tylko srebrnym medalem.

6 sierpnia

Rano idziemy przez całe miasto na Wawasan Bus Station, żeby dojechać do Inanam Bus Station. Dojeżdżamy tam za 2×2 MYR i od razu mamy autobus do Sepilok, który jedzie od 9.00 do ok. 15.30 za 2×43 MYR. Wsiadamy na skrzyżowaniu Miles 14 na drodze do Sandakanu i drałujemy z plecakami do Sepiloku. Po dłuższych poszukiwaniach noclegu (wszystko porezerwowane) dochodzimy do Sepilok Forest Edge Resort, gdzie bierzemy nocleg, drogi bo za 95 MYR ze śniadaniem, ale ośrodek jest fajny, domki są rozsiane na rozległym terenie, dookoła którego prowadzi dość długa ścieżka. Jemy na jedynym straganie w okolicy, przy wejściu do orangutanów, super pierożki za 3 MYR. Idziemy do Uncle's Tan zarezerwować wyjazd do Kinabatangan River (Uncle's Tan jest przy drodze z Miles 14 do Sepilok). Rezerwujemy na 8/8–10/8 – czyli optymalnie bo 3 dni i 2 noce za 420 MYR od osoby. Kolacja w lodgu za 36 MYR.

7 sierpnia

Idziemy do Sepilok Orangutan Centre. Wejście $2 \times 30 + 10$ MYR za aparat. Masa ludzi na platformie widokowej. Przychodzi 6 orangutanów. Dobry wynik, bo w sumie w centrum jest ich 9. Jak przychodzi duży samiec, wszystkie inne szybko uciekają na drzewa. Większość ludzi po zobaczeniu orangutanów szybko się zmywa i zostaje na miejscu garstka ludzi. My też po obejrzeniu małego spektaklu powoli zbieramy się do wyjścia, aż tu nagle na drewnianą barierkę zeskakuje orangutanica. Złapała za rękę jedną z dziewczyn i przez cały czas pozowała nam do zdjęć. Odprowadziła nas do wyjścia, i jak się już nami znudziła, odeszła spokojnie do dżungli. Było nas tylko kilka osób, lecz, niestety, niektórzy nie mogli się powstrzymać, aby nie dotknąć małpy i nie zrobić sobie z nią pamiątkowego zdjęcia. Nieważne, że takim zachowaniem można zniszczyć wieloletnią pracę ludzi mającą na celu przywracanie orangutanów do naturalnego środowiska. Później trochę wałęsamy się po centrum, oglądając minimuzeum i jedząc pierożki u Pani z warunga z dnia wczorajszego (4 MYR za 6 pierogów z warzywami i 6 bananów w cieście, super). Bierzemy taxi za 100 + 40 MYR (drogo, ale jedyna sensowna czasowo opcja) do Proboscis Monkeys Labuk Bay. Labuk Bay wywarło na nas dość przygnębiające wrażenie, gdyż jest to kawałek dżungli otoczony ze wszystkich stron sadami palm olejowych. Sam ośrodek stanowi bodajże największe skupisko małp proboscis, występujących tylko na Borneo. Wejście jest drogie, bo $2 \times 60 + 10$ MYR za aparat, ale naszym zdaniem warto. Małp jest masa i w porze karmienia przychodzą bardzo blisko. Generalnie są 3 platformy widokowe, akurat czynna jest platforma przy funkcjonującym tam lodgu. Małpy przychodzą rodzinami, w której zawsze jest duży

dominujący samiec, sporo mniejszych, młodszych samców i – jak to w haremie – stado samic oraz równie dużo maluchów. Akurat do tej platformy podchodzą 3 grupy, każda po ok. 20 osobników. Równocześnie na barierki i dachy wokół zabudowań przylatują dzioborożce (black hornbill) i wsuwają zostawiane tam kawałki bananów. Jak nosacze się najadły, a jest to dość ciekawy spektakl, przychodzi stado silver langurów. Przecho- dzą sobie spokojnie przez knajpę, zającąc jakieś pędy warzyw. Bardzo ładne i sym- patyczne małpy, a na dodatek spokojne, czego nie można powiedzieć o nosaczach. Nosacze też zaczynają pakować się na barierki, ale od razu nasz taksówkarz, który służy również jako przewodnik, mówi, aby się do nich nie zbliżać, gdyż są agresywne i mogą być bardzo niebezpieczne, bo są bardzo silne. Poza tym to są jednak duże małpy. Langury to co innego – całkiem inne usposobienie. W drodze powrotnej za te zapłacone dodatkowo 40 MYR jedziemy do ATM na obrzeża Sandakanu, bo w pobliżu Labuk i Sepiloku żadnych nie ma, a za Kinabatangan można płacić tylko gotówką. Wracamy do Resortu i jemy obiad (35 MYR – drogo, ale to lodge). Strasznie dużo tego dnia słowa drogo. Niestety, to jest „urok” Sabahu.

8 sierpnia

Do 12 się objammy, po czym idziemy do Uncle Tan's, żeby pojechać na wycieczkę do Kinabatangan River. Kosztuje to 420 + 10 MYR wejście za osobę. Jemy lunch, który jest w cenie i o 14.30 wyjeżdżamy 4 mikrobusikami. Po ok. 1.5 h docieramy do rzeki, gdzie przesiadamy się na łódkę, którą płynie się ok. 1 h w górę rzeki do obozu. Jesteśmy na miejscu ok. 17 i dostajemy pokój na 4 osoby, w którym są tylko maty, prześcieradła i mo- skitiera oraz kosz na schowanie jedzenia i kosmetyków w celu zabezpieczenia przeciwko szczerom. O 19.00 jest spotkanie organizacyjne, na którym wyjaśniają nam program na czas pobytu. A więc w nocy o 21.00 jest boat trip ok. 1,5 h, drugiego dnia 6.30 – boat trip 2 h, o 10.00 – jungle trekking 2 h, o 17.30 – boat trip, o 21 – night trek. Na obiadokolację dostajemy szwedzki stół – wszystkiego jest dużo i jest dobre. O 21, niestety, pada deszcz, więc od razu ostrzegają nas, że zwierzaków może nie być, ale i tak wsiadamy do łódek i płyniemy w dół rzeki. Dżungla wygląda dość dziwnie – jest to pas ok. 20 m wzdłuż rzeki, a za nim palmy olejowe, potem enklawa dżungli i znowu palmy, i tak co pewien czas. Niewiele widzimy oprócz civety, budgera coś zawzięcie wykopującego na brzegu oraz kilku ptaków. Koło 23 mokrzy i zmarznięci wracamy do obozu. O 24 w obozie kończy się prąd. System utrzymania higieny w tym miejscu jest trochę inny niż przewidują to standardy. Jeżeli chcemy skorzystać z toalety, musimy najpierw zaopatrzyć się w wiader- ko, napełnić je wodą (chyba rzeczna, bo w dziwnym burym kolorze) ze stojących przed WC ogromnych beczek i dopiero spokojnie udać się za potrzebą ze spłuczką w rękę. W drugich beczkach rzekomo jest woda do mycia, ale wygląda tak samo jak ta do kibla i śmierdzi niemiłosiernie. „Prysznic” dla odważnych – te same, co do spuszczenia wody wiaderka napełniamy mętą wodą, idziemy do WC i wylewamy sobie kubek na głowę.

9 sierpnia

O 6 jest pobudka i jedziemy na boat trip. Prawie nic znowu nie widzimy oprócz ma- kaków i paru ptaków, generalnie ten boat trip to trochę porażka, bo dwa dni wcześniej były orangutany, gibbony i nosacze, jak również lori, którą już od paru lat próbujemy zobaczyć na wolności. Co ciekawe, lori siedziała przez kilka nocy zaraz koło obozo- wych kibelek. Generalnie na wycieczce łódką nic nie widzimy – pech. Po śniadaniu

o 10 zaczyna się trek po dżungli. Przewodnik wyjaśnia, że ten obszar jest własnością prywatną i stworzony Game Reserve ma być z biegiem czasu poszerzany. Należy mieć zatem nadzieję, że lasu i zwierząt będzie tu coraz więcej. Widzimy szczątki drzewa żelaznego, które faktycznie jest twarde jak żelazo i w związku z tym na całym Borneo wiele ich już nie zostało, bo były intensywnie wycinane. Widzimy gniazda, które robi orangutan, w koronach drzew, podobno mieszka w takim gnieździe tylko jedną noc, po czym buduje nowe gdzie indziej. Jeśli chodzi o odradzanie się dżungli, to nie jest to taka prosta sprawa – w tym miejscu gleba jest żyzna, bo co roku zalewana przez rzekę, z którą nanoszone są żyzne osady, ale w innych miejscach Borneo już tak nie jest. Ponadto drzewa tzw. miękkie rosną do dużych rozmiarów ok. 20 lat, ale odrodzenie drzew twardych (jak np. żelaznego) to już proces trwający minimum 50 lat, a nawet setki lat. Na trekku widzimy jeszcze różne jaszczurki, makaki, różne owoce, dużo roślin – bez przewodnika byśmy to po prostu minęli, a tak dowiadujemy się sporo. Potem lunch i przerwa aż do 17.30 i znowu idziemy do łódek, skąd płyniemy w górę rzeki oglądać nosacze. I w tym kierunku faktycznie jest dżungla, a palm olejowych w ogóle nie widać i od razu pojawia się wysoko na drzewach dużo małp nosaczy, tym razem zupełnie dzikich. Są większe i grubsze niż te w Labuk Bay i świetnie skaczą między drzewami. Śliczna okolica, bardzo malownicza rzeka. Wzdłuż niej wyleguje się dużo makaków i ptaków. Zasadniczo jest to obszar, na który można wjechać tylko w zorganizowany sposób. Tereny należą do miejscowych, którzy edukowani przez ekipę Uncle's Tan zaczynają chyba dbać o środowisko – po prostu to się bardziej zaczyna im opłacać niż eksploatacja dżungli i palmy olejowe. Nie będzie przyrody – nie będzie napływu potężnej gotówki od turystów. Wieczorem jest jeszcze night trek. W gumowcach (5 MYR) łązi się dookoła obozu, z przewodnikiem oczywiście. Widzimy różne żaby, pająki, w tym dość niebezpieczne, a hitem są śpiące ptaki. Siedzą na gałęziach zupełnie nieruchomo, wyglądają jak puchate maskotki. Można do nich podejść, poświecić lampą i robić zdjęcia. Nie reagują na światło tylko na drgania gałęzi, które mogą oznaczać zbliżanie się drapieżnika. Ptaki są niesamowicie kolorowe.

10 sierpnia

Rano w zasadzie nic się nie robi oprócz śniadania i czekania na łódkę powrotną. Trochę więc reklamowanie wyjazdu jako 3 dni / 2 noce jest na wyrost, ale generalnie fajna okolica rekompensuje to, delikatnie mówiąc, niedopowiedzenie organizatorów. W trakcie drogi powrotnej, o 10 rano, widzimy krokodyla i orangutana (w końcu na wolności). W obecnej chwili za zabicie orangutana jest 25 lat więzienia, a to w celu ochrony tego krytycznie zagrożonego gatunku (notabene tak jak za człowieka). Grupa, którą mijamy płynącą do obozu, widziała również gibbony. Dopływamy do przystani i od razu z kilkoma pasażerami dostajemy transport do Lahat Datu (20 MYR / os). I tu jest następne oszukaństwo organizatorów – bo transport miał być w cenie całego wyjazdu, ale cóż, czasami mamy wrażenie, że tym wszystkim prowadzącym takiego rodzaju wyjazdy odbija i parcie na pieniądze przesłania uczciwość. Docieramy mikrobusem do Lahat Datu, w którego okolicach jest najlepszy fragment dżungli w Sabahu i stacja naukowa, gdzie nieustannie trwają badania flory i fauny Borneo, i wciąż odkrywane są nowe gatunki. Niestety, jest to atrakcja ekstremalnie droga i rezerwowana pół roku wcześniej, więc nie testujemy swojego szczęścia, które do tej pory nam sprzyjało, a poza tym czas zaczyna nas gonić. Z Lahat Datu łapiemy mikrobus do Semporny (29

MYR / os). Miasto sprawia wrażenia strasznie zaniedbanego i biednego. Niestety, pomimo szczerych chęci nie zobaczyliśmy tam nic godnego uwagi – może oprócz targu. Tak więc Semporna służy tylko jako punkt wypadowy dla nurków i pływających z rurką. Zatrzymujemy się w hotelu Sipadan Inn (85 MYR) i organizujemy sobie snorkeling na jutro, po czym idziemy na targ zjeść różnego rodzaju pierożki.

11 sierpnia

Rano w Scuba Junkie bierzemy snorkeling za $2 \times 110 + 2 \times 10$ za wyjazd z portu. Snorkeling obejmuje 3 miejsca: 2 koło wyspy Matakong i jedno około wyspy Tingting. Płyniemy łódką w 8 osób ok. 1 h. Pierwsze miejsce jest niezłe – dużo rybek, w drugim miejscu barracuda i wielka ławica rybek, którą nazwaliśmy symfonią – jak się między nie wpływa i porusza rękami, to tak jak by się nimi dyrygowało. W trzecim miejscu oprócz rybek są żółwie i najładniejsza rafa. Po przyjeździe zmieniamy hotel na Scuba Junkie (60 MYR z 50% zniżką za snorkeling lub nurkowanie z nimi). Wieczorem obiad (22 MYR).

12 sierpnia

Ciąg dalszy snorkelingu tym razem koło wyspy Mabul (cena jak z dnia poprzedniego). Morze jest bardzo wzburzone, płyniemy tam ponad 1 h. Na wyspie znajduje się resort należący do Scuba Junkie, można tam przyjechać na 2 noce – ale jest to wydatek kilkuset MYR, a i tak jest to opcja zdecydowanie najtańsza z wszystkich, które widzieliśmy w Sempornie. Obok na tej samej wyspie jest drugi resort, gdzie domki stoją na palach nad krystalicznie czystą wodą, a dochodzi się do nich przez systemy kładek. W ogóle w oddali widać tych resortów dużo – często stoją one na płycznach, ale żadnej wyspy nie ma, tylko domki wystające z morza. Wokół wyspy Mabul mamy 3 snorkelingowania, z przerwą na obiad w resorcie (w cenie). Rafa może być, ale przede wszystkim dużo rybek i kilka żółwi, niektóre wielkie, o rozmiarach dochodzących do 1 metra. Najwięcej rybek jest między palami podpierającymi domki. Jedynym mankamentem psującym zabawę są meduzy, które wciąż nas parzą, na szczęście nie są to te niebezpieczne. W zasadzie sama rafa koralowa nie jest powalająca, a miejscami mocno zniszczona i zanieczyszczona (butelki, opony itp.). Po powrocie do Semporny idziemy do hotelu, gdzie dowiadujemy się, że musimy go zmienić, bo oczywiście wszystko zostało zarezerwowane na tę noc ze 2 miesiące wcześniej. Miła Pani z recepcji prowadzi nas do swojej koleżanki, u której dostajemy pokój za 55 MYR. Wieczorem trochę szalejemy, bo kolacja plus soczki to 63 MYR.

13 sierpnia

Idziemy do autobusu jadącego do Kota Kinabalu. Jest za 55 MYR / os. Nigdzie po drodze się nie zatrzymujemy, a jedziemy od 8 do 17. Niby w busie jest toaleta, ale... No cóż, Aga musiała z niej skorzystać i stwierdziła, że było to trochę traumatyczne doświadczenie. Potem autobus miejski do Wawasan Station (1 MYR / os) i dalej miejskim do Australia Place ($2 \times 0,5$ MYR). Znajdujemy nocleg w Travellers Light za 65 MYR. Obiad jemy na nocnym targu (25 MYR).

14 sierpnia

Rano śniadanie w hostelu i idziemy na wieżę obserwacyjną – widać tylko KK i morze, ale gór już nie. Dalej w górze jest jeszcze jedna budowla, która wygląda trochę

na ruinę wieży obserwacyjnej, ale nie możemy znaleźć tam drogi, więc rezygnujemy. Potem próbujemy dostać się do Marina Museum i w końcu udaje nam się to po dwóch przesiadkach autobusowych. Muzeum jest przy University of Malasia, a znajduje się w nim kilka akwariów z rybkami, koralami, dużymi rybami i żółwiem (2 × 10 MYR). Droga do tego muzeum jest dość skomplikowana i długa, prowadzi prawie przez cały kampus uniwersytecki, po którym jeżdżą autobusy dla studentów, ale są wakacje, więc nie ma ani studentów, ani autobusów, w związku z tym my drałujemy kilka kilometrów piechotą. W muzeum wzbudziliśmy chyba dość dużą sensację, że tam sami doleźliśmy, bo w zasadzie przyjeżdżają tylko wycieczki turystów zwiedzające KK. Wzbudziliśmy takie zdumienie, że jeden z naukowców Instytutu marynistycznego zawozi nas z powrotem do centrum KK. W centrum wysiadamy na przystani, z której mamy płynąć na jedną z wysepek okolicznego parku narodowego, ale nic z tego nie wychodzi, bo nadchodzi dość potężna burza, a potem robi się za późno. A więc, żeby nie marnować czasu, jedziemy z dwoma przesiadkami do Green Connection Aquarium. I jest to totalna porażka! Odradzamy z całego serca, bo oglądając ten przybytek, robi się smutno. Wchodzimy nieświadomi tego, co jest w środku (2 × 25 MYR!!! dla obcokrajowców), a tam syf okrutny, szyby w akwariach tak brudne, jakby od nowości nie były myte, woda zgnięta, chyba niewymieniana, w której gdzieś tam co pewien czas majaczy jakaś nieszczęsna ryba. Jest też duże akwarium z wodą i szybami jak wyżej, w którym są 2 rekiny, 2 płaszczy i 1 biedny żółw, widać je tylko jak podpływają bardzo blisko do szyby, pewnie z głodu. Po tym, co widzimy, wiemy, że reklamowanego karmienia rekinów nie będzie, ale jako jedyni (znowu) zwiedzający czekamy do 16, czyli do godziny, o której karmienie powinno się odbywać. Zgodnie z naszymi przewidywaniami oczywiście nic się nie dzieje. Wychodzimy i idziemy się targować o zwrot pieniędzy, jako że nawet na ulotkach otrzymanych przy wejściu jest zupełnie co innego niż w środku, po ½ godzinie ostrych targów i kłótni z 4 paniami w recepcji w końcu oddają nam po 10 MYR, a więc dostajemy bilet jak dla Malezyjczyków. Generalnie to największa porażka, której doznaliśmy na Borneo. Autobusami wracamy do Wawasan Teminal. Miejskie autobusy są zielono-żółte i jazda nimi kosztuje 0,5 MYR. Zawsze trzeba dojechać do Wawasan, skąd bierze się autobusy zarówno miejskie, jak i kursujące do dalszych dzielnic – te są małe i białe albo są to minibusy. Jazda nimi kosztuje 1 MYR. A więc całą okolicę KK i oczywiście miasto można załatwić, jeżdżąc z Wawasan. Autobusy mają numery i owszem – ale nigdzie nie znaleźliśmy ani rozkładów jazdy, ani informacji, jaką trasę dany numer obsługuje, tak więc tylko wtajemniczeni wiedzą, gdzie dany autobus jedzie. Ale sądząc po ruchu, taki system jakoś im się sprawdza. Zresztą, jak chwilę posprawia się wrażenie (nie musieliśmy się w związku z tym bardzo starać), że nie bardzo wiadomo, do jakiego autobus wsiąść, zaraz ktoś pomocny się pojawia. Wieczorem idziemy na nocny targ i robimy ucztę pożegnalną z Borneo – wybieramy sobie ze straganu kalmary, krewetki, tygrysy, kraby, które właściciel przyrządza nam na kilka sposobów, z dodatkami w postaci ryżu, soków i warzyw za 70 MYR. Daliśmy radę pożyć wszystko, dobre było.

15 sierpnia

Rano objamy się i w końcu jedziemy na lotnisko autobusem za 5 MYR, skąd mamy lot do Singapuru. Na lotnisku w Singapurze kupujemy bilet na metro 5,8 \$ i jedziemy do dzielnicy, w której zarezerwowaliśmy 2 dni wcześniej nocleg. Znajdujemy nasz ho-

tel, jest na ulicy z 10 innymi i dostajemy tam ładny, duży pokój. Jak się później okazuje, kilka sąsiednich hoteli, oprócz tradycyjnych zastosowań, służy też do wynajmowania pokoiów na godziny, a na rogu naszej ulicy jest centrum świadczenia usług seksualnych. Późnym popołudniem idziemy na pierwszą wycieczkę po Singapurze – idziemy do metra, gdzie kupujemy karty Ez-link 2 × 12 \$ (w tym kaucja 2 × 5 \$), niewątpliwie jest to najbardziej opłacalna opcja przemieszczania się po Singapurze. Porównując ceny za bilety jednokrotne i Ez-link, ta druga wersja jest zdecydowanie korzystniejsza. Jedziemy kilka przystanków, a że jest już późno, to zwiedzanie ograniczamy do Muslim Quarter. Bardzo przyjemna dzielnica z kilkoma meczetami, dużą liczbą turystów masowo palących fajki wodne w knajpach. Na piechotę wracamy w kierunku hotelu, zahaczając o centrum żywieniowe. Jest to najtańsza opcja żywienia się w Singapurze – są to olbrzymie centra, z masą stolików i budek, w których można kupić różnego rodzaju potrawy, w zasadzie z kuchni wszystkich azjatyckich krajów. I tam żywi się, sądząc po zatłoczeniu, większość mieszkańców. My jemy obiad z piwem za 7,5 + 5,5 \$, a więc na standardy singapurskie tanio.

16 sierpnia

Dzisiaj zwiedzamy Singapur. Najpierw jedziemy metrem na dworzec autobusowy, potem przesiadamy się do autobusu jadącego do Singapore Zoo. Generalnie za ogrodami zoologicznymi nie przepadamy, ale to singapurskie jest podobno jednym z najlepszych na świecie. Karta Ez-link działa też w autobusach. Wejściówka do zoo wynosi 2 × 20 \$. W nim spędzamy kilka godzin – i faktycznie jest to chyba jeden z lepszych ogrodów zoologicznych, które widzieliśmy, choć teren ma dość ograniczony i wybiegi nie są jakieś rewelacyjnie wielkie, ale nie rzuca się to w oczy, a ponadto w zasadzie prawie wszystkie zwierzęta są na nieogrodzonych wybiegach. Nam najbardziej podobają się część z małpami azjatyckimi, w tym z orangutanami, z których jeden, z wysokości 15 m nad ścieżką obsikał grupę dzieciaków. Od stycznia 2013 mają też być w zoo pandy wielkie. Wracamy autobusem na dworzec, skąd udajemy się do centrum żywieniowego (9,8 \$) i jedziemy metrem w kierunku centrum. Dojeżdżamy w okolice ogrodów botanicznych – olbrzymiego obszaru przeznaczonego do wypoczynku dla miejscowych. Chodzimy tam dobre 2 godziny (na całość trzeba mieć więcej czasu). Warto wspomnieć, że wśród wielu rzeźb i pomników jest również pomnik Chopina. Następnie piechotą dochodzimy do Orchard Road – ulicy z biurkami i sklepami. Jest to jeden wielki hipermarket. W zasadzie można iść ulicą, jak i długość całej ulicy pokonać pod ziemią na przynajmniej dwóch poziomach sklepów. Ludzi robiących zakupy jest masa. No, ale podobno jest to narodowy sport Singapurczyków, bo na dobrą sprawę to co mogą innego robić. Po Orchard chodzimy aż do zmroku, czekając na oświetlenie tych wszystkich sklepów i biurkowców. Wracamy na piechotę w kierunku hotelu, zahaczając o Little India – dzielnicę indyjską, malowniczą z dużą liczbą knajpek, gdzie zatrzymujemy się na indyjskie jedzenie (12 \$). Od Little India mamy jeszcze kawał drogi, ale drałujemy twardo na piechotę i ok. 24 docieramy do naszej dzielnicy.

17 sierpnia

Rano pakujemy plecak i zostawiamy go na portierni, a sami jedziemy do centrum. Trochę słaba pogoda – pada deszcz, ulewę przeczekujemy pod najsławniejszym hotelem – Raffles. Potem ruszamy w kierunku dzielnicy biznesowej, która znajduje się nad

morzem. Jest tam kładka, z której jest świetna panorama na wszystkie wieżowce po drugiej stronie zatoki. Obchodzimy sobie całą zatokę i wchodzimy między wieżowce po zabytkowym moście. Stamtąd dołączymy do Chinatown, z kilkoma interesującymi pagodami i targiem pamiątek. Wieczorem idziemy z powrotem nad zatokę w celu fotografowania dzielnic wieżowców z włączonymi światłami. Masa ludzi z całego świata, w tym profesjonalnych fotografów, czeka na brzegu w tym samym celu co my. Niestety, długo posiedzieć nie możemy, bo tu kończy się nasza podróż, a więc wracamy do hotelu po plecak i metrem jedziemy na lotnisko, z którego tuż przed północą mamy lot do Frankfurtu Airbusem 380.

Podsumowanie

Kilka słów podsumowania pobytu na malezyjskim Sarawaku i Sabahu, Brunei i Singapurze.

Obie części malezyjskiego Borneo dość się różnią. Nam podobał się bardziej Sarawak. Obie części są dość mocno zurbanizowane. W zasadzie o dziewiczej dżungli na wielkich obszarach to można zapomnieć, wyparły ją sady palm olejowych. Podobno w rejonach, w których nie byliśmy, w centrum wyspy, w okolicach granicy z Kalimantanem jest, niestety, tak samo. I co najgorsze, są to koncerny w dużej mierze zagraniczne (gł. amerykańskie), które mają w nosie przyrodę. Sporo nasłuchaliśmy się np. o rzeziach orangutanów, za które płacili miejscowym właśnie plantatorzy, traktując małpy jako wielkie szkodniki. W obecnej chwili w związku z bardzo surowym prawem, chyba ten problem trochę został opanowany. Nałożył się na to również spadek rentowności plantacji. W ogóle uważanie oleju pozyskiwanego z tych palm za ekologiczny jest chyba trochę niewłaściwe, widząc, jakie spustoszenie zostało uczynione w przyrodzie. Ale mimo wszystko – jak któryś z przewodników nam mówił – wciąż 40% malezyjskiego Borneo jest porośnięte lasem deszczowym, ale nie ma już olbrzymich, nieprzebytych obszarów tego lasu, a jedynie duże jego enklawy, z których część jest ściśle chroniona. Generalnie, coraz więcej obszarów jest chronionych i to jest dobry znak. I nam bardzo podobały się właśnie te miejsca, do których udało nam się trafić. Podsumowując, możemy stwierdzić, że Borneo jest bardzo malownicze i interesujące, ale już na pewno nie dzikie. Podróżowanie jest raczej proste, wszędzie docierają autobusy, które są komfortowe, często puste. Czasem z dworca autobusów dalekobieżnych odjeżdża w ciągu godziny kilka autobusów do tego samego miasta, ale należących do różnych firm, skutkuje to tym, że część autobusów jest prawie zupełnie pusta. Nam zdarzyło się kilka razy jechać wielkim autobusem w 5 osób. Jak ktoś dysponuje większą gotówką, to wszędzie można dojechać, wynajmując kierowcę, wypożyczenia nie próbowaliśmy, choć to też jest sensowna opcja, głównie w Sabah. Ruch jest dużo spokojniejszy niż w innych państwach azjatyckich. Podróżowanie backpackerskie w Sarawaku jest, jak już wspomnieliśmy, proste albo my mieliśmy po prostu szczęście. Niby miejsca w parkach narodowych trzeba rezerwować wcześniej (nawet kilka miesięcy przed przyjazdem), głównie w Bako i Mulu, ale nam udało się ta sztuka z dnia na dzień, choć innym, których spotykaliśmy na trasie, już nie. Wydaje nam się, że w większości przypadków spora doza upierdliwości jednak te możliwości poszerza. Naszym zdaniem, do tych miejsc, gdzie my byliśmy, nie warto brać wycieczek zorganizowanych, bo wtedy koszty rosną lawinowo, a w parkach i tak dostaje się przewodnika (Mulu). Część parków można zwiedzić na własną rękę i przy pewnej ostrożności nie wiąże się to z ryzykiem.

Z tego, czego nie widzieliśmy, ale dowiedzieliśmy się o tym za późno, to park Tanjung Datu, na krańcu Sarawaku, gdzie znajomi Australijczycy widzieli sporo zwierząt, a poza tym nie było tam prawie wcale ludzi. No, ale o tym parku dowiedzieliśmy się dopiero w Miri, więc było za późno, a w LP nie ma o nim ani słowa. Równie polecane przez podróżników spotkanych na miejscu były rejony Kelabit Highlands, ale wizyta tam to 5–7 dni, a więc wyprawa jak do Mulu i również samolotem.

Sabah to trochę inna historia. Największe atrakcje to Mount Kinabalu, wyspa żółwi, Kinabatangan River, Lahat Datu i Sipadan. Jeśli chodzi o Mt Kinabalu, to po Pinnacles zrezygnowaliśmy z wejścia, jako że cena najniższa, którą znaleźliśmy, to 1200 MYR za osobę za dwa dni. Można wejść w jeden dzień za ok. 500 MYR, tylko jest to trochę bez sensu i wyłącznie w celu zaliczenia góry. Jest to tak droga przyjemność, ponieważ nocleg, który trzeba wykupić, kosztuje, bagatela, coś ok. 700 MYR. Paranoja, ale jest popyt to są i takie ceny. Wyspa żółwi – bardzo tam chcieliśmy dotrzeć, ale, niestety, znowu ceny okazały się dla nas zaporowe – kilkaset MYR za nocleg, a przy tym rezerwacja ok. półroczna. Kinabatangan – zrealizowaliśmy, pewnie można byłoby taniej, ale był to organizator polecany przez sporo ludzi spotkanych na trasie. Generalnie bardzo ciekawe miejsce, gdzie wydaje się, że ochrona przyrody trochę zaczyna działać. Lahat Datu – niestety, nie byliśmy, ekstremalnie drogi, bo trzeba zatrzymać się w hotelu w stacji naukowej i rezerwować pół roku wcześniej. Jest to jedyne miejsce, do którego e-mailowałem długo przed wyjazdem, ale moje pytania pozostały bez odpowiedzi. Sipadan – to już w ogóle ciężka sprawa, bo wpuszczają ok. 100 osób na dzień z roczną, półroczną rezerwacją na nurkowanie albo snorkeling. Można czekać w Sempornie aż się zwolni miejsce, bo jak się rezerwuje rok wcześniej, to wiele może się wydarzyć, albo tak jak my zrobiliśmy, wybrać inne wyspy. Generalnie Sipadan jest podobno rewelacyjny, bo są tam wielkie ryby, przebywające na uskoku, ale te widoki są głównie dla nurków. W zasadzie wszędzie raczej trzeba jechać na zorganizowane wyjazdy, i jest to bardzo drogie, więc dla backpackersów może być to trochę frustrujące. Oczywiście, dysponując nieograniczonym czasem, można wszędzie dotrzeć bez rezerwacji półrocznych. Dla nas takie rezerwowanie trochę jest bez sensu, ale jest to indywidualne podejście do tematu. Sabah jest generalnie sporo droższy od Sarawaku. Podsumowując, wiele rzeczy nie widzieliśmy, ale to dobrze, bo jeszcze tam wrócimy, prawdopodobnie łącząc ten wyjazd z Kalimantanem.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Światowy Dzień Ziemi obchodzony jest w 192 krajach 20 lub 21 marca, czyli podczas równonocy wiosennej na półkuli północnej oraz równonocy jesiennej na półkuli południowej. To największe święto ekologiczne, z okazji którego przez cały tydzień organizuje się akcje związane z ochroną natury. Jako pierwszy ogłosił je Joseph Alioto, burmistrz San Francisco (USA) w 1970r. Rok później oficjalną proklamację w tej sprawie podpisał sekretarz generalny ONZ, Birmańczyk Sithu U Thant. Od tej pory, w chwili gdy Słońce przechodzi w Gwiazdozbiór Barana, w siedzibie ONZ w Nowym Jorku rozbrzmiewa Dzwon Pokoju. Niezależnie od tego wydarzenia, w 2009 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ ustanowiło 22 kwietnia Międzynarodowym Dniem Ziemi.

Chiny

kraj 1 343 239 923 mieszkańców*



Termin: 20 kwietnia – 21 maja 2012 r. (32dni)

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Mirek, Piotrek

Trasa lotnicza: Warszawa – Frankfurt – Pekin, powrót Pekin – Kijów – Warszawa (Aerosvit – 4 loty) – 1842 zł.

Trasa lądowa: Pekin – Luoyang – Xian – Chengdu – Leshan – Emei – Kunming – Shilin – Lijang – Guilin – Longsheng – Shenzen – Hongkong – Macau – Szanghaj – Pekin

Koszty podróży: 6263 zł/os. razem z pamiątkami

Kursy walut: Chiny 1 \$ = 6,25 CNY, 1 EUR = 7,33 CNY, Hongkong 1 \$ = 7,35 HKD

Czas: +6 h w stosunku do Polski

Bezpieczeństwo: W Chinach jest bezpiecznie, a turystów traktuje się z troską. Każdy miejscowy wie, że nie warto być agresywnym i robić krzywdy „długim nosom”, bo grozi za to kara śmierci. Bez obaw można więc ruszać na podbój uliczek w miastach nawet nocą.

Wizy: Koszt wizy podwójnego wjazdu, załatwianej w trybie zwykłym (5 dni roboczych) to 220 zł. Do otrzymania wizy potrzebna jest rezerwacja pierwszego noclegu w hotelu. Ambasada CHRL znajduje się w Warszawie na ul. Bonifraterskiej 1.

Język: Język chiński i angielski jest używany tylko w miejscach turystycznych, poza nimi Europejczyk będzie miał kłopoty z komunikacją, chyba że opanuje sztukę „języka krzakowego”. Dogadanie się z miejscowymi to jak równanie z dwoma niewiadomymi lub kalambury.

Pogoda: Ze względu na ogromną powierzchnię kraju klimat jest zróżnicowany. Średnia temperatura w czasie naszej podróży wynosiła 25°C.

Elektryczność: 220 V, należy mieć adapter, bo są różne wejścia wtyczek, m.in. Hongkong

* według Wikipedii

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „China”

Koszyk podróżnika: woda mineralna duża – 5 CNY, mała – 3 CNY, coca-cola duża – 6,6 CNY, mała – 4 CNY, lody duże – 10 CNY, małe – 2 CNY, chleb krojony – 10 CNY, piwo w sklepie – od 3 CNY, wódka 0,5 l – od 10 CNY w górę, wino – 20 CNY, papierosy najtańsze – 3 CNY, Marlboro – 15 CNY, internet – 1 godz. – 4–6 CNY, kartka pocztowa – 10 CNY/12 kartek, (doszły do Polski po 21 dniach), znaczek – 4,50 CNY, Benzyna: etylina 90 – 7,88 CNY,

20 kwietnia 2012 r. – piątek • Bytom – Katowice – Warszawa

O godz. 23.45 pojechaliśmy autobusem firmy PolskiBus z Katowic do Warszawy (4.45 godz/15 zł/os.). Przystanek końcowy trasy znajduje się przy metrze stacji Wilanowska.

21 kwietnia 2012 r. – sobota • Warszawa – Frankfurt – Pekin

Pierwszym metrem o godz. 5.00 podjechaliśmy do stacji Warszawa Centrum. Warto kupić bilet godzinny, bo na jednym bilecie można jeździć wszystkimi środkami komunikacji miejskiej. Dalej pojechaliśmy autobusem nr 175 na lotnisko. O godz. 10.45 mieliśmy samolot do Frankfurtu, gdzie lądujemy o godz. 12.35, następnie o godz. 14.15 lecimy do Pekinu.

22 kwietnia 2012 r. – niedziela • Pekin

O godz. 5.05 byliśmy na miejscu. Z lotniska do centrum miasta jeździ szybka kolej za 25 CNY/os. na stację Dongzhimen. Stąd już można przemieszczać się w dowolnym kierunku miasta. Przejazd metrem to 2 CNY/os. My pojechaliśmy na Beijing West Railway Station, wysiedliśmy na Military Muzeum i podeszliśmy ok. 1 km do stacji pociągów dalekobieżnych. Ogrom tej budowli powala, aby wejść na dworzec trzeba mieć tzw. peronówki lub okazać wcześniej kupiony bilet. Przechodzi się przez bramki, gdzie ochroniarze prześwietlają nasze bagaże. Dworce zazwyczaj są podzielone na ogromne poczekalnie i kasy biletowe, do których wchodzi się osobnym wejściem. Kupienie biletu to też duże wyzwanie, bo chociaż nad jedną z kas wisi napis informujący o obsłudze w języku angielskim, to i tak kasjer musi znaleźć osobę posługującą się tym językiem. My pisaliśmy nazwy miast, godziny odjazdów i rodzaj miejscówek po angielsku, a jak to nie pomagało, to pokazywaliśmy nazwę w przewodniku napisaną po chińsku, a w języku migowym tłumaczyliśmy, że chodzi o sleeper. Pociągi dzielą się na 4 klasy: twarde siedzenia (yingzuo), miękkie siedzenia (ruanzuo), twarde leżanki (yingwo), miękkie leżanki (ruanwo). Przy zakupie biletu kolejowego koniecznie musimy znać stację docelową, dzień wyjazdu, godzinę, numer pociągu oraz klasę wagonu, który nas interesuje. Do zakupu biletów niezbędny jest paszport. Bez tego mogą być problemy, bo numery paszportów wpisywane są na biletach i odpowiadają miejscu w pociągu. W przedziałach sypialnych, tzw. prowadnica zabiera oryginalne bilety, wydając tymczasowe karty. Po dojechaniu na miejsce oddaje bilet, bo może być żądany do okazania przy wyjściu z dworca. Łóżka w przedziałach sypialnych są zróżnicowane cenowo w zależności od piętra. Bilety można kupić najwcześniej 5 dni przed podróżą.

Kupiliśmy bilety do Luoyang za 106 CNY/os. na godz. 21.34. Mając tyle godzin do odjazdu pociągu, podjechaliśmy metrem na Plac Tiananmen, gdzie poszliśmy do Zakazanego Miasta i obeszlśmy ten ogromny plac (800 × 500m), który nie mieści się

nawet w szerokokątnym obiektywie aparatu fotograficznego. Aby uwiecznić jego panoramę, trzeba zrobić 3–4 zdjęcia. Zmęczenie podróżą i zmiana czasu dały o sobie znać bardzo szybko, więc staraliśmy się jak najwięcej chodzić, aby nie usnąć na ławce, którą sobie przysposobiliśmy. Wieczorem pojechaliśmy na dworzec, gdzie zjedliśmy kolację w jednej z licznych knajpek. Podróż pociągiem w wagonie z twardymi siedzeniami to nie lada wyzwanie. Hałas, rozmowy, ciągle przemieszczający się ludzie, wózki z jedzeniem, zapachy zupek chińskich to standard w tych wagonach. Dodatkowo problem stanowi ograniczone miejsce na nogi, więc po kilkunastu godzinach skurcze i opuchlizny dawały o sobie znać.

23 kwietnia 2012 r. – poniedziałek • Luoyang (Klasztor Shaolin)

Na dworcu kupiliśmy bilety do Xian na następny dzień (55 CNY) i Chengdu (209 CNY). Wzięliśmy taksówkę i za 30 CNY/4 os. pojechaliśmy do „Up House Hostel” za 180 CNY/4 os. w dormitorium. Po wzięciu kąpeli i śniadaniu wykupiliśmy busik do Klasztoru Shaolin za 300 CNY/4 os. w dwie strony. Wstęp kosztował 100 CNY/os. i obejmował wizytę w świątyni, pokazy sztuk walki oraz możliwość obejścia terenu szkoły dla młodych adeptów. Tu narodziło się Kung-Fu. W okolicach świątyni znajduje się dzisiaj wiele szkół walki, w której dzieci i młodzież w pocie czoła szlifują swoje umiejętności. Całość to kompleks kilku szkół ulokowanych w różnych punktach. Klasztor został zbudowany w 495 r. Po powrocie do miasta spróbowaliśmy pierożków dim sum i owoców.

24 kwietnia 2012 r. – wtorek • Luoyang (Grotty Longmen)

Dziś od rana pada. Poczekaliśmy trochę w hostelu, aż pogoda się poprawi. Po tem autobusem nr 81 pojechaliśmy za 1,5 CNY/os. do Grot Longmen. Wysiedliśmy na ostatnim przystanku. Trzeba w hostelach wszystkiego się wypytać i poprosić o napisanie nazw po chińsku, bo przeciętny Chińczyk zazwyczaj nie rozumie nazw pisanych inaczej niż krzaczki. Nasza wymowa angielskiego też różni się od ich, więc aby dotrzeć na miejsce, trzeba mieć zapisane to na kartce. Z przystanku do wejścia jest kilkaset metrów, które przechodzimy przez kramy i sklepiki, a na końcu znajdują się kasy biletowe, gdzie za wstęp płacimy 120 CNY/os. Trasa zwiedzania wiedzie wzdłuż rzeki. Wyrzeźbione posągi Buddy znajdują się w jaskiniach i grotach. Cały kompleks rozciąga się na odcinku ponad 1,5 km wzdłuż skalnych ścian nad brzegiem rzeki Vi. W skałach wyrzeźbiono ponad 97 tys. posągów Buddy. Znajduje się tam również 1325 dużych i małych jaskiń, 750 nisz i 40 pagód. Nasz towarzysz podróży Mirek, który był w Chinach 15 lat temu, udał się w tym czasie na wystawę piwonii (wstęp 50 CNY). Po powrocie do hostelu wzięliśmy bagaże i ruszyliśmy na dworzec kolejowy. Pociąg do Xian o godz.17.15 miał godzinne opóźnienie. Przez kolejne 5 godzin przyglądaliśmy się codziennemu życiu w pociągu. Chińczycy wciąż jedzą, rozmawiają, nie bacząc, że ktoś ich słyszy, słuchają muzyki z komórek, ale bez słuchawek, odcharkują flegmę, którą nie wiadomo gdzie spluwają. Ale najważniejsze jest to, że nie zaczepiają turystów, nie chcą rozmawiać i pytać standardowym zestawem: skąd jesteś, ile masz lat, co studiujesz, ile zarabiasz itp. Mamy spokój, o ile w tych warunkach to możliwe. Fajne w pociągu jest to, że mają stały dostęp do gotowanej wody, więc mogą chlpać swoje zupki i herbatki do woli. Zauważyliśmy różnicę w przejazdach pociągami indyjskimi, gdzie rodzina zazwyczaj ma porządną zapas jedzenia w różnych pojemniczkach i słoikach, które zajmują całą, wielką torbę. Tutaj mają reklamówkę pudełek z zupami, torebkę słonecznika lub

orzeszków ziemnych, czasem chipsy i butelki z przegotowaną wodą lub herbatą. Małą sensację budzi tutaj Jarek, bo jest bardzo wysoki jak dla nich i ma włosy na nogach, co wywołuje salwy śmiechu u kobiet. Chińczycy prawie w ogóle nie mają zarostu na ciele. Na twarzy mężczyźni mają liche kłaczki. Po kilku godzinach jazdy poszliśmy do wagonu w stylu Wars i tu doczekaliśmy w ciszy stacji Xian. Czas umilaliśmy rozmową z Argentyńką mówiącą płynnie po chińsku (oprócz tego japońsku, angielsku, hiszpańsku), podróżującą z amerykańskim Japończykiem, nierozumiejącym chińskiego. Wszyscy Chińczycy zwracali się do niego, uznając go za krajana, a potem dziwili się, że „biała” odpowiada po chińsku. Budziło to nieodmiennie śmiech i konsternację. O godz. 23.00 byliśmy w Xian. Tu znaleźliśmy hostel „Han Tang Inn” w pobliżu Bell Tower. Zapłaciliśmy 480 CNY/4 os. za 2 noce. Mimo późnej pory poszliśmy coś zjeść, znajdując nocny kramik z grillowanymi smakowitościami, między innymi mięsko, grzybki, kalmary. Do tego wyśmienite ananasowe piwo. Pycha!!!

25 kwietnia 2012 r. – środa • Xian (Armia Terakotowa)

Rano pojechaliśmy do jednego z cudów świata, czyli Terakotowej Armii. Autobusy nr 306 i 915 jadą spod dworca kolejowego. Stanowiska znajdują się po lewej stronie, wychodząc z dworca. Podróż trwa godzinę i kosztuje 7 CNY/os. Wstęp do Muzeum Armii to 150 CNY/os., ale my kupiliśmy bilety studenckie za 75 CNY/os. (za okazaniem ISIC, potem działał też nasz polski dowód osobisty!). W 1974 r. grupa wieśniaków kopających studnię przypadkowo odkryła terakotowe figury wojowników i koni. Prace wykopaliskowe ujawniły ponad 1400 postaci z 20 rydwanami i 100 końmi. Miały strzec grobu cesarza Qin Shihuangdi. Każda postać jest naturalnej wielkości i ma indywidualne rysy twarzy. Całość muzeum to oczywiście potężny kompleks sklepików, restauracji, budynków niewiadomego przeznaczenia i oczywiście pawilony z posągami. Przechodzi się tutaj z punktu A do punktu B jak w salonie Ikea, gdzie trzeba w każdym miejscu być. Sama armia wywarła na nas wrażenie, dziwiliśmy się, że w wielu opisach twierdzono, że jest przereklamowana. Do armii oczywiście warto jechać, mimo że to tylko gliniane figurki. Całość nie została jeszcze odkopana i nie odnaleziono grobowca cesarskiego. Jest więc na co czekać, a świadomość, że może to być jedna z niewielu tajemnic na tym świecie i nieodkrytych plam na mapie, dodaje temu miejscu atrakcyjności. Co do komercji, to w Chinach trzeba się do tego przystosować, bo miliony turystów z całego świata i kraju muszą być nakarmieni, zadowoleni i zorganizowani, aby każdy mógł wygodnie podziwiać ten zabytek. Po 3 godzinach zwiedzania postanowiliśmy wrócić do miasta. Odwiedziliśmy muzeum mańską dzielnicę, gdzie znajduje się jedyny chiński meczet Great Mosque (wstęp 25 CNY/os). Naprawdę warto go zobaczyć, bo różni się zdecydowanie od tych powszechnie znanych na całym świecie. Potem zrobiliśmy ucztę „patykową” na miejscowym targu, czyli mięsko nadziane na patyczki, pieczone na grillu, do tego tradycyjny chlebek arabski. Miasto jest czyste i ładne, budynki podświetlone, dobrze utrzymane. Wróciliśmy do hostelu i rozegraliśmy międzynarodowy turniej ping-ponga Chiny – Polska. Zwycięstwo!!!

26 kwietnia 2012 r. – czwartek • Xian – Chengdu

O godz. 4.30 pobudka, taksówką za 10 CNY pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Tu okazało się, że pociąg do Chengdu na godz. 6.00 ma 40-minutowe opóźnienie. Załadowaliśmy się na nasze sypialne miejsca, gdzie komfort okazał się nieporównywalny.

Łóżka mają czystą pościel, prowadnice dbają o porządek, chodzą z miotełkami, sprzątają i wyrzucają odpadki. Wszyscy zasnęliśmy, mając przed sobą prawie 16 godz. jazdy, okazuje się, że to najlepsza opcja. O godz. 22.22 dojechaliliśmy do Chengdu, gdzie od razu na stacji kupiliśmy bilety na kolejne dni podróży z Emei do Kunming, zabezpieczając się na wypadek braku miejsc sypialnych (252 CNY/os. na 29.04.2012 r.), następnie taksówką za 18 CNY/4 os. dojechaliliśmy do „Sim's Cozy Garden Hostel”, gdzie wynegocjowaliśmy cenę 125 CNY/za pokój 2 os. Wszystkie hostele opisane i zaznaczone są w Lonely Planet, warto też wyrobić sobie kartę International Hosteling, bo wtedy otrzymuje się zniżkę. Prawie o północy skusiliśmy się jeszcze na jedzenie w jednym z barów na rogu, przeżywając małą wpadkę kulinarną.

27 kwietnia 2012 r. – piątek • Chengdu (Rezerwat Pand)

Ruszyliśmy taksówką za 42 CNY/4 os. do Panda Reserve Center (25 km za miastem), gdzie hodowane i rozmnażane są pandy wielkie. Wstęp 58 CNY/os. Jest to kompleks składający się z kilku wybiegów, pawilonów i inkubatorów, położony na obszarze porośniętym przez bambusy i inne egzotyczne rośliny. Ośrodek spełnia przede wszystkim funkcję rezerwatu i ma chronić te przemiłe zwierzęta, jak również doprowadzać do prokreacji. Tak więc liczba sklepików i knajpek jest tu minimalna, nie ma tam całego Disneylandu itp. komercji. Można za to oglądać pandę do woli, bo od rana wychodzą na wybiegi, gdzie są karmione (oczywiście bambusem), bawią się, wspinają na drzewa i platformy. Tylko w tym czasie te zwierzęta wykazują jakąś śladową aktywność i pokazują się w miejscu widocznym dla zwiedzających. W pozostałym czasie po prostu śpią, i wyglądają na bardzo znudzone. Dużą atrakcją są maluchy, które uczą się życia w stadzie i ustalają swoją hierarchię. Podgryzają się, walczą ze sobą, ale nie wyrządzają sobie żadnej krzywdy. Wzbudza to dużo śmiechu wśród zwiedzających. Dużym odkryciem dla nas są pandy czerwone, które wyglądają jak duże lisy, szopy pracze lub tchórze. Na wolności żyje w tej chwili około 1000 sztuk pand. Jej wizerunek jest godłem World Wildlife Fund. Wróciliśmy do miasta za 47 CNY/4 os., podjeżdżając do Świątyni Wen Shu, wstęp 5 CNY/os. Obeszliśmy ciekawy kompleks świątynny i załapaliśmy się na darmowy posiłek w postaci miski ryżu i jakiejś zieleniny. Następnie przeszliśmy pod Monument Mao, który znajduje się w centrum miasta, gdzie widać było przygotowania do święta 1 Maja, tj. układano klomby kwiatowe, wieszano transparenty, budowane sceny. W parku odbywały się koncerty, a my udaliśmy się do jednego z Tea House, gdzie pokosztowaliśmy kilku rodzajów herbat w towarzystwie Chińczyków grających zapamiętałe w karty i domino (na pieniądze). Metrem wróciliśmy do dzielnicy, w której był nasz hostel, odwiedzając po drodze Carrefoura, gdzie dokonaliśmy zakupów.

Po tych paru dniach nasunęło nam się kilka wniosków. Jak na razie nie mamy negatywnych odczuć co do Chińczyków. Nikt nam nie przeszkadza, nie zaczepia, ani razu nas nie oszukano. Czujemy się bezpiecznie. Poziom usług hostelowych jest dobry, wszędzie jest czysto i przyjemnie. Jedzenie jest w miarę zjadliwe, chociaż mamy problem z zamawianiem, jeśli nie ma obrazków lub anglojęzycznych nazw. Tak więc pokazujemy palcem, zaglądając do talerzy u innych ludzi, że też chcemy to zjeść.

28 kwietnia 2012 r. – sobota • Chengdu – Leshan – Emei (Posąg Buddy)

Z dworca autobusowego, pojechaliśmy do Leshan za 48 CNY/os. Autobusy odjeżdżają co godzinę, a odległość 130 km pokonaliśmy w dwie godziny. Pojazdy są czyste,

standardowo wyposażone. Z Leshan podjechalśmy 15 km taksówką za 34 CNY/4 os. do miejsca, gdzie znajduje się 71 m posąg Buddy, z czego sama głowa mierzy 15 m. Bilety kosztują 160 CNY, studenckie 90 CNY/os. za Buddę stojącego i leżącego. Trasa wiedzie wśród grot, schodkami do góry, przez malowniczy park. Wielki Budda stoi nad brzegiem rzeki, z góry widać tylko jego potężną głowę z tułowiem, jednak uchwycenie całości w obiektywie jest niemożliwe. Tak więc ustawia się długa kolejka w dół, aby z brzegu rzeki lub z łódki zrobić zdjęcie, lecz my zrezygnowaliśmy z tej opcji, widząc jaką perspektywę mamy przed sobą, a zdjęcie z dołu pozwoli sfotografować jedynie nogi i czubek głowy. Następnie zabraliśmy bagaże, które zostawiliśmy w kasie biletowej i busem za 15 CNY/os. (2 godz.) podjechalśmy do Emei. Potem z dworca autobusowego za 90 CNY/os. w dwie strony, pojechalśmy w górę, po drodze płacąc za wstęp do parku za bilet studencki po 90 CNY/os., normalny 150 CNY. Był to tego dnia ostatni autobus, zamierzaliśmy wejść jeszcze wyżej w górę i tam przenocować w jakimś klasztorze, ale dosyć szybko się ściemniało, więc postanowiliśmy zostać w osadzie i przenocować w którymś z hosteli. Baza noclegowa wciąż się rozbudowuje, więc prawdopodobnie za jakiś czas powstanie tu spore miasteczko. Zostaliśmy w hostelu „Fu Qiang Restaurant”. Zazwyczaj nad restauracjami jest kilka pokoi noclegowych. My zapłaciliśmy 100 CNY/pokój, choć cena wywoławcza rozpoczynała się od 200 CNY. Ponieważ było mało turystów, hotelarze musieli nieco spuścić z ceny. Tu zamówiliśmy jedzenie w postaci zupy wegetariańskiej, która okazała się liśćmi szpinaku zanurzonymi w gorącej wodzie z imbirem, do tego mięso po sycuańsku, czyli wszystko pływało w chili. Obiad kosztował nas 54 CNY.

29 kwietnia 2012 r. – niedziela • Emei

O godz. 4.30 pobudka, aby zdążyć na pierwszy kurs kolejki linowej na szczyt góry. Okazało się, że kolejka na razie jest zepsuta i nie wiadomo, czy dziś ruszy. Zaczął padać deszcz i zrobiło się trochę zimno. Postanowiliśmy więc podejść pod górę i zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja. Po drodze deszcz ustał, a my wchodziliśmy schodkami. Po dwóch godzinach byliśmy na miejscu. Na szczycie znajduje się świątynia pokryta złotą farbą mieniającą się we wschodzącym słońcu. Na górę wchodzi tłumy ludzi, jest gwar, szum, żadnego mistycyzmu spotykanego w Tybecie lub Indiach. Ot, taka kolejna wycieczka i 3099 m n.p.m. zdobyte. Niektórzy są tu wnoszeni w lektkach. Jarek z Mirkiem postanowili przejść do końca trasy, gdzie znajduje się ostatnia świątynia na skraju góry, ale okazało się, że ten odcinek jest zamknięty dla turystów. Po zejściu w dół wsiedliśmy do busa jadącego do Emei, by po dwóch godzinach zjechać do miasta. Tutaj pochoziliśmy po sklepach, popróbowaliśmy różnych specjałów, a następnie podjechalśmy na dworzec kolejowy. Pociąg przyjechał według rozkładu o godz. 15.32, więc nie traciliśmy czasu na czekanie. Rozlokowaliśmy się na naszych łóżkach i ruszyliśmy w prawie 19-godzinną podróż do Kunming.

30 kwietnia 2012 r. – poniedziałek • Kunming

O godz. 10.14 byliśmy na miejscu. Podjechalśmy do jednego z hosteli polecanych przez przewodnik, lecz w środku trwał wielki remont, stwierdziliśmy, że szukamy następnego. Trafiliśmy do „Kunming Upland Youth Hostel”, gdzie płaciliśmy 320 CNY/pokój 2os. Warunki rewelacyjne. Jest czysto i przyjemnie, wyposażenie na miarę sieciowych hoteli typu „Ibis”, a nawet lepsze. Po południu poszliśmy zwiedzać miasto,

gdzie w centrum odbywała się parada studencka reprezentowana przez różne uczelnie i studentów z kilku prowincji Chin oraz z różnych krajów świata. Przemarsz ulicami trwał około dwóch godzin, był barwny i kolorowy. Każda ze szkół reprezentowała swój region lub kraj w strojach etnicznych, przedstawiając swoje tańce i muzykę narodową. Bardzo nam się podobało. Potem zjedliśmy obiadokolację w jednej z małych knajpek w pobliżu jeziora. Można tu odpocząć w cieniu drzew. Jezioro (Green Lake) ma około 2 km², więc spokojnie spacerkiem można je obejść i przyglądać się ćwiczącym lub tańczącym ludziom. Jest to malownicze miejsce, z mnóstwem zakamarków, w których znajdują się ławeczki i liczne restauracje. Wieczorem skorzystaliśmy w hostelu z darmowego Internetu.

01 maja 2012 r. – wtorek • Kunming – Shilin (Skalny Las)

Dziś pojechaliśmy do Skalnego Lasu w Shilin. Najpierw autobusem spod hostelu nr 119, a potem przesiadka na nr 60 do dworca wschodniego. Stąd za 27 CNY/os. pojechaliśmy półtorej godziny do Shilin, gdzie znajduje się skalny las. Tutaj wstęp wynosił 175 CNY/os., studenckie 130 CNY/os. Dodatkowo trzeba zapłacić 25 CNY/os. za przejazd meleksem, który dowozi zwiedzających do bramy wejściowej. My przeszliśmy się na nogach, wzbudzając tym sporą sensację u Chińczyków, którzy robili nam zdjęcia. Tu okazało się, że od bramy trzeba dojść jeszcze kawałek, a potem już wytyczonymi ścieżkami i kładkami można włączyć się po okolicy. Obszar to około 5 km², na którym wznosi się kamienny las (iglice skalne) o niezwyklej kształtach i równie niezwyklej nazwach m.in. kamienny byk, dzwon, grzyb, żona czekająca na męża, wielbłąd, słoń. Niektóre iglice skalne dochodzą do 30 m wysokości. Upał jest dość duży, więc warto mieć ze sobą wodę oraz prowiant, chociaż sklepików tutaj nie brakuje. Ceny oczywiście wywindowane, ale można się targować i zakupić napoje za cenę ze zwykłego sklepu. Pochodziliśmy kilka godzin „gubiąc się” w zakamarkach skalnych. Miejsce przypomina trochę polskie Błędne Skały. W drodze powrotnej podjechaliśmy meleksem, a trasę do Kunming pokonaliśmy tymi samymi autobusami.

02 maja 2012 r. – środa • Kunming – Lijang

Rano podjechaliśmy do dworca zachodniego, gdzie na godz. 8.00 kupiliśmy bilety do Lijang za 191 CNY/os., podróż trwała 8 godzin. Po drodze mieliśmy postój w jednej z jadłodajni, gdzie zostaliśmy nakarmieni w ramach ceny biletu autobusowego. Po przyjeździe do Lijang przeszliśmy się do starego miasta, gdzie znaleźliśmy „Fengxinyuan Inn” hostel za 80 CNY/pokój, jeden z kilkuset w tym rejonie. Miejsc noclegowych jest do wyboru, do koloru w różnych cenach. Old Town to ogrom sklepów, restauracji, małych uliczek. Wchodziliśmy do hotelików i zachwycaliśmy się wnętrzami, które są stylizowane na stare Chiny, a dodawały uroku temu miejscu. Wspięliśmy się na samą górę, skąd roztaczał się wspaniały widok na stare miasto. Całość stanowiło skupisko spadzistych dachów z wywiniętymi końcami, co jest tak charakterystyczne dla tej części Chin. Domy są w dość ciasnej zabudowie, więc dachy wyglądają jakby były ze sobą połączone. Wieczorem znaleźliśmy „patykownię”, gdzie poprobowaliśmy różnych rzeczy z grilla.

03 maja 2012 r. – czwartek • Lijang (Wąwóz Skaczącego Tygrysa)

Z dworca o godz. 7.50 za 27 CNY/os. dojeżdżamy autobusem w stronę Shangri-la i wysiadamy w Qiaotou. Podróż trwała ponad 3 godziny, bo na drogach trwają remonty.

Przed wjazdem do parku trzeba uiścić opłatę w wysokości 65 CNY/os, (zniżki są tylko dla studentów chińskich lub studiujących w Chinach). Następnie kierowca wysadził nas w miejscu, z którego ruszyliśmy na szlak. Przez wąwóz wiodą dwie trasy. Biegająca wyżej, starsza znana jest jako ścieżka 24 zakrętów (w istocie jest ich ponad 30). Dołem wytyczono nową, równoległą do drogi, pełną kopających autobusów turystycznych. Tylko starszy trakt wart jest wędrówki. Zaczęliśmy się wspinać w palącym słońcu. Najpierw betonową drogą w górę doszliśmy do punktu widokowego, gdzie, nie wiedzieć dlaczego, Chinka pobiera opłatę za robienie zdjęć. My nie płaciliśmy, bo już i tak opłaciliśmy wstęp. Poszliśmy dalej, słysząc chińskie bluzgi na nasz temat. Potem szlak wznosił się w górę na wysokość 2670 m n.p.m. Jest stromo, a droga jest na przemian kamienista i piaszczysta. Wejście w pełnym słońcu jest naprawdę wyczerpujące. Na drugiej stronie góry jest cień, zaczyna się płaska trasa wśród dwóch wiosek, w których można przenocować, odpocząć i zjeść. My szliśmy dalej do końca szlaku. Po dotarciu do ostatniej wioski zaczyna się ostre zejście w dół do poziomu 2080 m n.p.m. Tutaj już trzeba uważać i mieć solidne buty. Droga w tym miejscu oznaczona jest strzałkami naprowadzającymi do hosteli, więc i my docieramy po 8 godz. wędrówki do „Tina’s Hostel” za 150 CNY/pokój 2 os. Był to już ostatni dzwonek na zejście z trasy, bo zanim się rozpakowaliśmy i zameldowaliśmy, było już ciemno. Cały szlak ma ponad 20 km długości i jest dość trudny. Ścieżki bywają wąskie na 50 cm, są śliskie i niebezpieczne, a od kilkusetmetrowej przepaści nie oddziela je żadna barierka. Warto się tu wybrać dla wyjątkowej urody miejsca i dużej dawki emocji. Widoczki naprawdę rozkładają na łopatki. Po nas do hostelu przyszło jeszcze dwóch turystów bardzo zmęczonych, twierdząc, że po zmroku drogi nie było już widać. Zjedliśmy kolację, wykąpaliliśmy się w ciepłej wodzie i poszliśmy spać.

04 maja 2012 r. – piątek • Wąwóz Skaczącego Tygrysa – Lijang

Rano Jarek i Mirek zeszli w dół do wąwozu, wstęp 20 CNY, co zajęło im dwie godziny. Transport do Lijang mieliśmy o godz. 12.30, więc musieli zdążyć na czas. Autobusem zostaliśmy podwiezieni do skrzyżowania, skąd przejął nas bus jadący do miasta, za przejazd zapłaciliśmy 40 CNY/os. Po drodze kupiliśmy kilogram pysznych świeżych truskawek od sprzedających je kobiet. O godz. 15.30 byliśmy na miejscu, na dworcu zakupiliśmy bilety do Kunming za 191 CNY/os. Wróciliśmy do tego samego hostelu, w którym wcześniej mieliśmy nocleg i przechowaliśmy część naszych bagaży. Jarek poszedł na sesję fotograficzną, znajdując „klimatyczne” targowisko, a ja z Mirkiem pojechałam na dworzec kolejowy, aby kupić bilety do Guilin. Chcieliśmy tak dopasować bilety, aby po przyjeździe do Kunming jechać od razu pociągiem, ale się przeliczyliśmy, bo były tylko dwa pociągi, a w nich już brak miejsc. Kolejnym problemem okazał się brak paszportu Piotрка. Po rozmowie z kasjerką i przekonaniu jej, że Piotrek leży chory w hostelu, ale znamy jego numer paszportu, w końcu nam sprzedała bilet dla niego. Zapłaciliśmy po 281 CNY/os.+5 CNY za wypisanie biletu z innej stacji.

05 maja 2012 r. – sobota • Lijang – Kunming

O godz. 9.00 mieliśmy odjazd autobusem do Kunming (200 CNY/os.), by po 8 godzinach być na miejscu. Po drodze autobus zatrzymał się w jadłodajni, gdzie znów dostaliśmy posiłek. Następnie taksówką za 25 CNY/4 os. podjechalśmy do hostelu „Kunming Upland Youth Hostel”, w którym już poprzednio spaliliśmy. Tutaj zjedliśmy kolację, dostając zniżkę 5 CNY/os. na posiłek.

06 maja 2012 r. – niedziela • Kunming – Guilin

Pospaliśmy do oporu. Jarek poszedł na poranny jogging pobiegać wokół jeziora, spotykając miejscowych grających w siatkówkę, tańczących oraz gimnastykujących się. Potem zjedliśmy śniadanie. Mając kilka godzin do odjazdu pociągu, postanowiliśmy spędzić popołudnie, zwiedzając świątynię Yuangtong Hill (w końcu niedziela), a potem poszliśmy do zoo i wesołego miasteczka. Wstęp do świątyni wynosił 6 CNY/os. a do zoo połączonego z parkiem zabaw 15 CNY/os. Wśród licznych diabelskich młynów, i karuzel postanowiliśmy wypróbować jedną z najbardziej hardcorowych (przejazd 20 CNY/os). No to była jazda, niezłe przeciążenia, myśleliśmy, że wypadniemy z krzesełek. Darliśmy się z wrażenia, a po zejściu na ziemię nogi nam się trzęsły. Super!!! Wróciliśmy do hostelu, gdzie umilaliśmy sobie czas, grając w ping-ponga. Potem pojechaliśmy na dworzec kolejowy. Odjazd pociągu do Guilin mamy o godz. 19.00.

07 maja 2012 r. – poniedziałek • Guilin

Przejazd trwał 17 godzin. Po godz. 12.00 przyjechaliśmy na miejsce. Wyszliśmy na dworzec, gdzie uderzyło w nas nagrzane, wilgotne, tropikalne powietrze. Momentalnie zlały nas poty i tak noga za nogą dowlekliśmy się do hostelu „Wada” za 160 CNY/pokój. Po południu wałęsaliśmy się po mieście, znajdując knajpkę, gdzie serwowano przepyszne sushi, obok była smażalnia szaszłyków z kalmarami, ślimakami, kurczakiem, ziemniakami i innymi roślinkami. Autobus nr 10 dojeżdża do wszystkich najważniejszych punktów miasta. W samym centrum znajduje się sztuczne jezioro, z którego wynurzają się dwie pagody Słońca i Księżyc. Za wstęp trzeba zapłacić 20 CNY, warto tu wejść, ponieważ z góry rozciąga się wspaniała panorama miasta.

08 maja 2012 r. – wtorek • Guilin – Longsheng (Tarasy ryżowe)

O godz. 8.30 wyjechaliśmy busem spod dworca kolejowego do Longsheng za 40 CNY/os. Zatrzymaliśmy się przy punkcie z biletami do parku, za które zapłaciliśmy po 80 CNY/os. Następnie podjechaliśmy do Dazhor, gdzie weszliśmy na szlak. Wspinaliśmy się na punkty widokowe, z których podziwialiśmy wspaniałe widoki na tarasy ryżowe. Uprawiane od setek lat przypominają trójwymiarowe mapy. Być może tarasy ryżowe na Bali, w Indonezji czy na Filipinach są słynniejsze, jednak te w rolniczych regionach płd.-zach. Chin po prostu urzekają. Szkoda, że nie były nawodnione i soczyste zielone, ale i tak nam się bardzo podobały. Dodatkowe atrakcje stanowią wioski różnych mniejszości etnicznych. Potem ruszyliśmy szlakiem do wioski Pingon. To trasa ok. 20 km, którą przeszliśmy w 5 godzin. Następnie busem za 20 CNY/os. podjechaliśmy do Guilin. Wyszliśmy na dworzec autobusowy, znajdującym się gdzieś na obrzeżach miasta, więc do centrum musieliśmy dojechać jeszcze autobusem lokalnym. Okazało się, że na rozkładzie jazdy widniał napis „railway station”, więc wsiedliśmy do niego i trafiliśmy na dworzec kolejowy, alepółnocny. Nawet dobrze się złożyło, bo tu kupiliśmy bilety do Shenzhen za 234 CNY/os. na godz. 21.18. następnego dnia. Potem autobusem nr 1 dojechaliśmy do centrum miasta i podeszliśmy do uliczki, gdzie była „nasza” knajpka z sushi i szaszłykami.

09 maja 2012 r. – środa • Guilin (Spływ rzeką)

Rano o godz. 10.00 ruszyliśmy busem do miejsca, gdzie odbywa się spływ rzeką Li. Wycieczkę wykupiliśmy w hostelu za 180 CNY/os. W cenie jest przejazd busem i spływ

łodzią. Powrót zapewniony jest do Yangshuo, skąd wzięliśmy autobus lokalny do Guilin za 18 CNY/os. Spływ trwa dwie godziny w dwie strony i wiedzie wzdłuż wąwozu otoczonego przez skały i wzgórz. Widoki malownicze, chociaż rano niebo było zachmurzone i baliśmy się, że nic nie zobaczymy spektakularnego. Potem niebo przybrało błękitny kolor i mogliśmy w końcu sycić oczy wspaniałymi pejzażami. Na rzekę wypływa wiele stateczków, więc zewsząd dobiega terkot silników, ale warto spędzić te kilka urokliwych godzin wśród przyrody. Potem przewodniczka proponuje odwiedzić we wsi, która ma być dzika i z autochtonami. Nie wierzyliśmy w tę oryginalność i podziękowaliśmy, mając już w pamięci odwiedziny we wsiach na tarasach ryżowych. Musimy przyznać, że upał był nieznośny, do tego wysoka 90% wilgotność, która utrudniała oddychanie. Mamy nadzieję, że w Shenzhen doświadczymy morskiego klimatu. Odjazd do tego „elektronicznego raju” mamy o godz. 21.18 za 234 CNY/os.

10 maja 2012 r. – czwartek • Shenzhen

Dojechaliliśmy do 8-milionowego Shenzhen. Z dworca kolejowego podjechaliliśmy metrem do hostelu „Loft Youth South”, który powstał na terenie jakichś zakładów przemysłowych. Obszar został zaadaptowany na potrzeby restauracji, galerii, hosteli i sprawia niesamowite wrażenie. Ze stacji metra przechodzi się zacienioną alejką, która prowadzi wprost na galerię i knajpkę, potem skręca się w lewo i wychodzi na hostel. Obok jest duży market spożywczy. Wieczorem miejsca są ciekawie oświetlone i tętnią życiem, ale nie są uciążliwe jak centrum miasta. Dostaliśmy apartament za 340 CNY/4 os. z dwoma pokojami i łazienką. Potem ruszyliśmy do miasta na zakupowe szaleństwo. Jakże się pomyliliśmy, mając nadzieję na chłodniejszy klimat. Tu dopiero była „patelnia”. Chroniliśmy się w klimatyzowanych sklepach lub szliśmy wzdłuż nich, bo chłodne powietrze wiało także na chodniki w okolicach sklepów. Jest to bardzo prężnie rozwijające się centrum elektroniki na świecie. Tu znaleźliśmy kilka sklepów, gdzie zakupiliśmy akumulator do aparatu, kartę pamięci, a Piotrek kupił obiektyw. Wszystko w miarę przystępnych cenach.

11 maja 2012 r. – piątek • Shenzhen – Hongkong

Rano pojechaliliśmy do Hongkongu pociągiem za 32,5 CNY/os., dojeżdżając z Shenzhen do stacji Hung Hom. Wchodząc na dworzec w Shenzhen, natrafiliśmy na oznaczenia, które informowały, gdzie trzeba się udać, aby dojechać do H-K. Trzeba przejść odprawę paszportową, a następnie kupić bilet na pociąg. Można tego dokonać w automatach biletowych. W H-K przesiedliśmy się na metro, aby dojechać do centrum miasta przy Nathan Rd. Trzeba wysiąść przy Tsim Sha Tsui i znaleźć wyjście C. Na tej ulicy jest kilka hosteli ulokowanych w wieżowcach. W dwóch z nich po obu stronach ulicy na kilku piętrach jest mnóstwo hosteli o różnym standardzie, część z nich nie ma okien. Zamieszkuje w nich mnóstwo turystów i robotników, bo ceny są dosyć przystępne. My zostaliśmy w „Cosmic Guest House” za 300 HKD/pokój 2 os. Po złożeniu bagaży udaliśmy się na wędrowkę po tym egzotycznym mieście. Promem za 2,5 HKD/os. popłynęliśmy na wyspę Hongkong. Potem poszliśmy do Świątyni na Hollywood Rd., która jest wpisana na listę zabytków UNESCO. Wyspa jest ściśle zabudowana potężnymi wieżowcami robiącymi niesamowite wrażenie. Są tu najdłuższe schody ruchome na świecie (800 m), jeżdżą piętrowe tramwaje, jakich nie ma w żadnym innym miejscu na świecie. Następnie podjechaliliśmy autobusem do Aberdeen, gdzie znajdują się stare

doki, skąd można popłynąć łodzią motorową po porcie. Tu wynajęliśmy łódź za 400 HKD/4 os. i udaliśmy się w godzinny rejs. Oglądaliśmy łódzie bogatych właścicieli, małe łódeczki, na których ludzie mieszkają, jak również duże jednostki służące do połowów. Potem poszliśmy na cmentarz, który góruje nad miastem i zajmuje trzy zbocza okolicznych wzgórz. Jest ciekawy, ponieważ są na nim pochowane osoby różnych wyznań i narodowości, z czym spotkaliśmy się pierwszy raz. Można tu znaleźć katolickie i celtyckie krzyże, gwiazdy Dawida oraz buddyjskie nagrobki. Okazało się, że niedaleko jest przystanek, z którego odjeżdżają autobusy do Kowloon, więc za 11,30 HKD/os. dojechalismy do centrum miasta. Podjechalismy aż do Mong Kok, gdzie znajduje się nocny market z kilkoma tysiącami stoisk. Można tu kupić prawie wszystkie podróbki świata. Ponieważ mieliśmy małe zamówienia od znajomych obeszlismy kilka punktów, gdzie kupiliśmy pamiątki po atrakcyjnych cenach. Jarek jeszcze został w markecie, bo lubi takie miejsca fotografować, natomiast my poszliśmy do hostelu, przyglądając się wieczornemu życiu w centrum miasta. Ulice są kolorowe, zewsząd migają neony, wystawy sklepowe są podświetlone potężnymi reklamami z logo znanych marek. Wyświetlane są pokazy mody na poszczególnych domach towarowych, do tego naganiacze proponujący kupno podróbek drogich zegarków i narkotyków. Jest trochę podobnie do Patpong w Bangkoku, ale ekskluzywniej. Wielość bodźców i wrażeń jest niesamowita, ciągly hałas, przejeżdżające samochody i autobusy oraz ogrom ludzi powoduje w pewnym momencie znużenie. Jest to miasto, które chyba nigdy nie zasypia. Obok naszego hostelu na 7 piętrze była restauracja arabsko-pakistańska „Zafiad”. Bardzo nas to ucieszyło, bo jesteśmy smakoszami tej kuchni, więc mogliśmy się oddać ucztowaniu za przyzwoite pieniądze. Ponieważ jest to knajpa muzułmańska (część ulicy jest w dzielnicy muzułmańskiej, a hostel jest tuż obok meczetu), nie podawane są alkohole. Można za to skosztować fajki wodnej, co stało się już naszą tradycją i jak tylko możemy, to smakujemy owocowych dymków. Co prawda, w marketach obok można kupić różne gatunki trunków, więc jak komuś przyjdzie ochota na coś z procentami, to zawsze dla siebie znajdzie.

12 maja 2012 r. – sobota • Hongkong – Macau

O godz. 9.30. popłynęliśmy do Macau (1 godz.), prom kosztował 310 HKD/os. tzw. open ticket, więc mogliśmy wrócić, o której chcieliśmy. Na terytorium Macau można posługiwać się dolarami H-K. Po przyptynięciu do Macau witają nas kamienice rodem z....Nowego Orleanu, Luizjany, Kuby, Wenecji, Amsterdamu. Na początku naszego zwiedzania postanowiliśmy pooglądać muzeum Grand-Prix, w którym można podziwiać samochody ścigające się na torach F1, oraz mieszczące się po sąsiedzku muzeum wina. Następnie rozpoczęliśmy wędrowkę wśród kasyn, hoteli i sklepów. Weszliśmy do najślynniejszego hotelu-kasyna Grand Lisboa, w którym codziennie czynnych jest 15 tys. stanowisk gry. Udało nam się wjechać na 31 piętro, skąd roztaczała się piękna panorama na zatokę. Ponieważ na tym piętrze znajdował się prywatny klub, zostaliśmy wyproszeni, ale widok pozostał w pamięci na zawsze. Kasyna są głównym źródłem dochodu tutejszej ludności, są one praktycznie wszędzie. Następnie poszliśmy na stare miasto, które zajmuje kilka uliczek i placów. Centrum Macau to Largo do Senado, plac senacki i serce starego miasta, stąd odchodzą uliczki z barokową architekturą, kościołami i sklepami. Symbol kolonii to ruiny katedry św. Pawła, która spłonęła w połowie XIX w. Nad ruinami góruje Fort Monte oraz mniejszy Fort Guia. Jest to mała Lizbona,

która została przeniesiona gdzieś na koniec świata ze słynnymi azulejos. Na Rue de Feliciade wytwarza się ciasteczka sezamowe i arachidowe, produkcja odbywa się na oczach klientów, można więc i obserwować, i próbować. Atrakcję stanowią katedry, kościoły, stare domy i mnóstwo sklepików oraz kawiarenek. Mieliśmy wrażenie pobytu w Portugalii lub Hiszpanii, a nie w Macao. No cóż.... wszechobecny McDonald's i KFC zapanowały na starym mieście. Widać zmieniające się nawyki żywieniowe wśród młodzieży, która spędza czas w tych przybytkach, jak również w Starbucks, gdzie wypijają litry kawy. Po obejrzeniu starówki poszliśmy do Macau Tower, która ma 338 m wysokości. Na górę można wjechać windą, płacąc uprzednio 120 HKD/os. Z wieży rozciąga się wspaniały widok na wyspę i morze. My przyglądaliśmy się śmiałkom, którzy mieli odwagę skoczyć na bungee lub przejść naokoło wieży przypięci do specjalnych uchwytów. Jeden skok kosztował 2500 HKD. Winda dojeżdża do 61 piętra, tu można posiedzieć w restauracji, oglądać zachód słońca i „budzące się” do nocnego życia miasto. Oddane w 1999 r. przez Portugalczyków Chinom Macau, podobnie jak Hongkong, zachowuje odrębny status ekonomiczny i społeczny. Połowa dochodów lokalnego rządu pochodzi z hazardu i turystyki. W Hongkongu hazard jest zabroniony, a Macau z własnym rządem, sądami, prawem imigracyjnym i legislaturą stał się mekką wielbicieli ruletki czy wyścigów koni lub chartów. Macau jest znacznie tańsze niż Hongkong. Portugalczycy stanowią tylko 3% miejscowych, mimo to portugalski wciąż jest oficjalnym językiem. Terytorium Macau wraz z wyspami ma zaledwie 27 tys. km² powierzchni. Późnym wieczorem dopłynęliśmy do Hongkongu. Zjedliśmy obiadokolację w restauracji obok naszych miejsc hotelowych. Naszym ulubionym daniem stały się falafele, czyli kotleciki z ciecierzycy do tego humus, zagryzany placzkami nann i sałatką warzywną.

13 maja 2012 r. – niedziela • Hongkong

Rano pojechaliśmy na dworzec kolejowy kupić bilety z Shenzen do Szanghaju na następny dzień, na godz. 13.28., za 236 CNY/os. Niestety, były już tylko miejsca siedzące, więc nastawiliśmy się na mordęgę. Następnie spacerkiem udaliśmy się na promenadę, gdzie znajduje się aleja gwiazd wzorowana na hollywoodzkiej z pomnikiem Bruce'a Lee. Okazuje się, że Hongkong jest trzecim po Hollywood i Bollywood producentem filmowym na świecie. Potem pojechaliśmy metrem na wyspę Lantau do stacji Tung Chung, skąd kolejką linową za 86 HKD/os. wjechaliśmy z Mirkiem na górę do Ngong Ping, gdzie znajduje się ogromny posąg Buddy (34 m wysokości). W tym czasie Jarek z Piotrkim poszli na basen, który mieści się niedaleko wejścia do kolejki (wstęp 20 HKD). Na szczycie jak zwykle mnóstwo turystów wspinających się pod wielkiego Buddę. Niestety, pogoda się popsowała i niebo zasnuło chmurami. Zeszliśmy w dół i udaliśmy się na dworzec autobusowy, skąd jeździły autobusy do Tai O, wioski słynącej z pysznych krewetek i kalmarów. Wioska położona jest nad zatoką. Ciągnie się przez kilka małych uliczek, przy których są restauracje z owocami morza. Po drodze natrafiliśmy na budę zbitą z desek i blachy, która okazała się teatrem, a w nim odbywało się przedstawienie. Odnieśliśmy wrażenie, że to komedia, bo ludzie się śmiali. Potem wróciliśmy do Tung Chung, gdzie spotkaliśmy chłopaków zrelaksowanych po basenie. Metrem za 16 HKD/os. wróciliśmy na Kowloon i poszliśmy do portu na pokaz światel, który odbywa się codziennie o godz. 20.00. Kolejne wieżowce włączają oświetlenie, migając laserami oraz neonami, wszystko to wspólnie z muzyką. Całość trwa około 15

minut. No cóż, spodziewaliśmy się czegoś lepszego, bo w sumie te wieżowce i tak są oświetlone, więc oczekiwaliśmy gry światła na miarę fontann w Las Vegas czy Barcelonie. Okazuje się, że średnia gęstość zaludnienia w Hongkongu wynosi 6200 mieszkańców na 1 km², dla porównania w Polsce tylko 122. Jest to najgęściej zaludnione miejsce na świecie. Zbudowany chińskimi rękami przez Brytyjczyków, jedno z najbardziej nowoczesnych państw świata, gdzie cuda techniki przeplatają się z cudami natury. Zwrócony w 1997 r. Chinom, naprawdę świetnie prosperuje.

Prawie każdy ma wyobrażenie o Hongkongu, że jest to skrawek lądu całkowicie zabudowany drapaczami chmur. Jest to miasto wielkich interesów, gdzie miliony ludzi tłoczą się w małych mieszkaniach lub w ogromnych apartamentowcach. Ale niespodzianka, 75% terytorium to tropikalne lasy, laguny, bezludne plaże i wyspy.

14 maja 2012 r. – poniedziałek • Hongkong – Szanghaj

Ruszyliśmy w „fascynującą” podróż do Szanghaju. Najpierw metrem za 32,50 CNY/os. do dworca, potem przejście graniczne i przejazd do Shenzhen. O godz. 13.28 jesteśmy w pociągu, w którym jak zwykle następują wędrówki ludów, każdy już w tym momencie musiał nalać wody do zupki, załatwić sprawę u konduktora. A ten tak się wczuł w rolę, że postanowił nam wyjaśnić po chińsku zasady użytkowania pociągu. Patrzyliśmy na niego z głupimi minami, a ten starał się jak tylko mógł, by w końcu poprosić o pomoc podróżującego studenta, który przetłumaczył nam, co szanowny pan konduktor chciał nam powiedzieć. Oczywiście zaznaczył, że ze wszystkimi problemami mamy się zgłaszać do niego. Potem pouczył nas, że musimy uważać na złodziei i pochować cenne rzeczy. Wzbudziło to salwy śmiechu wśród podróżnych. Zaprowadził porządek, poustawiał wszystkich i zapewnił jako taki komfort jazdy...pod warunkiem, że nie przychodziłby co kilka godzin i na całe gardło wydierał się jakaś stacja. Jak udało nam się usnąć, to przyjeżdżali kelnerzy z jedzeniem, krzycząc, jakby rozdawali pieniądze, a nie sprzedawali tackę z ryżem i kurczakiem za 20CNY. Rano byliśmy zmęczeni i wkurzeni. Jak się okazuje (podpatrując innych współpasażerów) w pociągu można spać: na popielniczkę (z otwartymi ustami), na przyjaciela (z głową na ramieniu sąsiada), na dziecięta (z głową kiwającą się w rytm stukoczących po szynach kół), na bungee (ze śliną naciągającą się z ust) i na glonojada (przyklejonego do okna).

15 maja 2012 r. – wtorek • Szanghaj

Po 19 godzinach dojechaliliśmy do Szanghaju. Na dworcu kupiliśmy bilety do Pekinu za 179 CNY/os. Okazało się, że nie ma sleeperów, więc ponownie będziemy jechali na siedząco. Pocieszałyśmy się, że to „tylko” 14 godzin i jak już mamy 19 godzin za sobą, to co za różnica. Zatrzymaliśmy się w „Hier Youth Hostel” za 240 CNY/dormitorium. Po kąpieli ruszyliśmy na miasto. Wykupiliśmy w hostelu bilety dobowe na autobus turystyczny za 30 CNY/os., który uprawniał do jazdy dwoma liniami, i zatrzymywał się w atrakcyjnych punktach miasta. Wsiadliśmy do niego i przez całą drogę próbowaliśmy nie usnąć. Autobus jechał pętlą po mieście przez półtorej godziny, zatrzymując się na kolejnych przystankach, gdzie można wysiąść, poznać ciekawe miejsca i pojechać dalej. Linią nr 2 jedzie się na drugą stronę miasta. Po zrobieniu rundki wysiedliśmy przy słynnym deptaku Bund, którym przeszliśmy się kawałek, robiąc zdjęcia słynnej szanghajskiej panoramy portu. Niestety, tego dnia mgła i smog spowity wszystko, więc widoczność była słaba. Potem popłynęliśmy promem za 2 CNY/os. na drugą stronę

rzeki. Tu natrafiliśmy na kilka małych knajpek z jedzeniem, m.in. „kroszka kartoszka”, którą znaliśmy z Moskwy. Jest to duży pieczony ziemniak, do którego wkłada się różne dodatki w postaci sałatek, mięsa, sera, co kto woli. Zjedliśmy po ziemniaku, popijając piwem, co trochę nas orzeźwiło. Potem podeszliśmy do wieży Oriental Pearl, która jest wizytówką miasta. Pochodziliśmy po okolicy, a następnie wróciliśmy autobusem na drugą stronę i przesiedliśmy się na linię nr 1, którą dojechaliśmy do starej części miasta, gdzie są stylizowane na stare i odrestaurowane domy, w których mieszczą się sklepy i restauracje.

16 maja 2012 r. – środa • Szanghaj

Od rana zwiedzamy miasto. Najpierw pojechaliśmy na terminal, skąd odjeżdżają na lotnisko super szybkie pociągi Maglev. Przejazd kosztuje 50 CNY/os. Jest to najszybszy pociąg na świecie rozwijający do 431 km/h, ale zależy to od pory dnia, my jechaliśmy „tylko” 301 km/h przez 8 minut. Potem metrem podjechaliśmy na stadion piłkarski FC Shenhua Shanghai, gdzie udało nam się wejść. Zwiedziliśmy jeszcze świątynię Jingan Temple, choć mieliśmy już ich przesyt, wróciliśmy po bagaże i pojechaliśmy na dworzec kolejowy, skąd o godz. 18.14 udaliśmy się już w ostatnią podróż pociągiem tym razem do Pekinu. Szanghaj to flagowy okręt Chin, w ostatnich 20 latach wybudowano tutaj ponad 5 tys. drapaczy chmur, a 40-piętrowe budynki mieszkaniowe to standard. Rozwój miasta rozpoczął się bowiem od ustanowienia tu „Specjalnej Strefy Ekonomicznej”. Złośliwi twierdzą, że piesi w Szanghaju dzielą się na dwie grupy: szybkich i martwych. W hostelu znalazłam książkę po polsku, więc byłam zadowolona, mogłam sobie umilić czas czytaniem.

17 maja 2012 r. – czwartek • Pekin

Po 14 godzinach dojechaliśmy do Pekinu. Zatrzymaliśmy się w hostelu „Leo” za 240 CNY/pokój. Hostel znajduje się w dzielnicy hutongów, 1 km za Placem Tiananmen. Jest tu kilkadziesiąt hoteli i hosteli, więc z noclegami nie ma problemu. Lokalizacja jest fajna, bo niedaleko jest stacja metra, a piechotą można dojść do najważniejszych zabytków, między innymi Zakazane Miasto, Mauzoleum Mao. Najpierw poszliśmy do Muzeum Kolejnictwa, gdzie wstęp kosztował 10 CNY/os., a następnie postanowiliśmy zwiedzić Zakazane Miasto, wstęp 60 CNY/os., studenckie 20 CNY/os. Wracając do hostelu, natrafiliśmy na bar sushi, gdzie poprobowaliśmy różnych kombinacji tej japońskiej potrawy. Wieczorem powłóczyliśmy się po uliczkach hutongów, przyglądając się „prawdziwym Chinom”, jakie jeszcze pozostały. Hutongi zostały w większości zrównane z ziemią podczas przygotowań do olimpiady. Hutong to nazwa wąskiej tradycyjnej uliczki, na której toczyło się życie. Stanowiły ujmę w wizerunku miasta, a okazało się, że obecnie są największą atrakcją dla turystów z całego świata, pragnących zobaczyć starą, tradycyjną architekturę Chin. Spośród istniejących pierwotnie 2600 hutongów ma ocaleć tylko 25, a zatem niespełna 1 %.

18 maja 2012 r. – piątek • Pekin (Wielki Mur)

Rano metrem podjechaliśmy do stacji Dongzhimen, gdzie znajduje się terminal autobusowy. Stąd odjeżdżają autobusy nr 867 do Mutianyu. Chcieliśmy pojechać do tej miejscowości, bo tu znajduje się Mur Chiński, który nie jest tak oblegany przez turystów. Najpierw podjechaliśmy autobusem nr 916 do Huairu, a stąd busem za 30 CNY/

os. do Mutianyu. Wstęp na mur to 25 CNY/os. Jeśli będzie się tylko wchodzić i schodzić, a jeśli chce ktoś, wjechać kolejką, to trzeba dopłacić 80 CNY/os. Piotrek pojechał kolejką linową, a my wspinaliśmy się przez dwie godziny w jedną stronę, aby dotrzeć do wieży końcowej z nr 23. Trasa jest zróżnicowana i pnie się do góry schodkami oraz przewyższeniami. Tego dnia mieliśmy wspaniałą pogodę do zwiedzania. Należy jednak zabezpieczyć się i zabrać ze sobą wodę, bo na górze stoją Chińczycy z napojami, ale w cenie bardzo wygórowanej. Do Pekinu wróciliśmy autobusem nr 867, który według kierowców busów, nie jeździ. Próbuja oni naciągnąć turystów na przejazd do stolicy za 100 CNY/os. Wielki Mur polecamy zwiedzić w miejscach innych niż Badaling, gdzie docierają wszystkie wycieczki i wygląda on tam jak nowy. Podobno Wielki Mur widać z kosmosu, nigdy nie udało nam się zweryfikować tego przekonania, bo jeszcze nie spotkaliśmy kosmonauty, który by nam to potwierdził. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest najdłuższą strukturą, jaką kiedykolwiek wybudowali ludzie. Wielki Mur ma 7600 km długości, i 6,5 m wysokości od podstawy, jego grzbietem biegnie granitowa droga, wijąca się efektownie wśród gór na wysokości 1000 m n.p.m. Tak więc najlepszą opcją jest wyjazd na własną rękę w miejsce, gdzie jest mało turystów, są jeszcze stare odcinki muru, i wtedy też cała wyprawa będzie nas kosztowała 100 CNY, a nie 300 CNY. Wieczorem zjedliśmy słynną kaczkę po pekińsku za 108 CNY w jednej z restauracji obok hostelu. Przepyszna. Do tego chłopaki zamówili ogromną porcję krewetek za 56 CNY. Kaczka jest wystarczająca dla czterech osób, a my z uporem chcieliśmy zamówić po sztuce na dwie osoby.

19 maja 2012 r. – sobota • Pekin

Pospaliśmy, ile się dało. Jarek poszedł z samego rana pooglądać i porobić ostatnie zdjęcia mieszkańców hutongów, którzy w piżamach i koszulach nocnych powychodzili na poranną toaletę i ploteczki. Miejsca te są zazwyczaj zamieszkałe przez starszyznę. Wyczuwa się tam silną tradycję, solidarność i jedność. Potem pojechaliśmy do Centrum Olimpijskiego. Obiekty olimpijskie to niebywałe konstrukcje (stadion, pływalnia i hale sportowe), wyprzedzające czas. Weszliśmy na 91 tys. stadion zwany Ptasim Gniazdem (jest to koronkowa płatanina betonowych „ptasich gałązek”), wstęp 25 CNY/os. studencki, 50 CNY/os. normalny, na którym obecnie nie odbywają się żadne imprezy sportowe, a stanowi jedynie muzeum olimpijskie. Wyświetlany jest tutaj film z otwarcia olimpiady. Jest to duży kompleks sportowy, po którym można spacerkiem przejść się z jednego obiektu do drugiego. Potem udaliśmy się na basen olimpijski zwany „Kostką”, gdzie wstęp kosztuje 15 CNY/os. studencki, 30 CNY normalny. Obiekty robią wrażenie swoim rozmachem, ale wciąż zastanawia ich potrzeba i wykorzystanie. Basen rzeczywiście był pełen ludzi. Następnie pojechaliśmy pod bardzo dziwną bryłę architektoniczną Chińskiej TV (234 m) zwaną „Wielkie gacie”. Zrobiliśmy zdjęcia i wróciliśmy do hostelu po bagaże. Okazuje się, że w Pekinie nie sposób się zgubić – każda ulica na mapie to kwadrat, a każdy z jego boków w swej nazwie zawiera kierunek. Dzisiejszy Pekin to tłum ludzi, chmury spalin i opętańczy pęd w wyścigu do nowoczesności i bogactwa. Ponieważ ostatni pociąg na lotnisko mieliśmy o godz. 22.30, poszliśmy jeszcze na ostatnią kolację, na której powtórzyliśmy potrawy z dnia poprzedniego, czyli kaczu-cha i krewety. Następnie ostatni prysznic w hotelu, pakowanie pamiętek, przebranie się i jazda szybką kolejką na lotnisko.

Ulokowaliśmy się w poczekalni i do godz.4.00 pospaliśmy.

20 maja 2012 r. – niedziela • Pekin – Kijów – Warszawa

O godz. 6.10 mieliśmy odlot do Kijowa. Na miejsce przybyliśmy o 9.55. Potem o godz. 14.15 mieliśmy samolot do Warszawy. Pilot powiedział, że wracamy do Kijowa, bo mamy usterkę samolotu i ze względów bezpieczeństwa wołał zawrócić. Trochę nas to wkurzyło, bo mieliśmy zaplanowane spotkanie ze znajomymi w Warszawie oraz wykupione bilety do Katowic na Polski Bus. Okazało się, że kolejny lot będzie około godz. 20.00. Mieliśmy zapewniony posiłek i napoje, tak więc Aerosvit się spaść. Z Warszawy do Zabrza pojechaliśmy pociągiem o godz. 22.36 z Dworca Zachodniego, gdzie podwiózł nas kolega.

21 maja 2012 r. – poniedziałek • Bytom

O godz. 3.40 byliśmy w Zabrzu, a potem tramwajem o godz. 5.00 dojechaliśmy do Bytomia. Szybka kąpiel, 2 godziny snu i do pracy. Po 32 dniach wspaniałej przygody skończyły nam się wakacje.

Podsumowanie

- Chiny to kraj kontrastów, przygoda czeka na nas za każdym rogiem. Jest to 5000 tys. lat historii, zawrotny rozwój gospodarczy, wspaniałe zabytki, kolebka prochu, druku, papieru, kompasu, przebogata kuchnia, wielość kultur, wybitna myśl techniczna i filozoficzna.
- Chińczycy z całą swobodą zachowują się w miejscach publicznych, wręcz powszechne jest głośne spluwanie na ulicach, w pociągach i restauracjach. Śmieci wyrzucane są gdzie popadnie, rozmowę przez telefon słychać z drugiej strony ulicy, a dzieci mają rozcięcia w ubrankach, przez które się załatwiają. Są to tzw. siusiomajtki, spodenki z dziurą w kroku, które eliminują konieczność noszenia pieluchy. Chińczycy z lubością siorbają, mlaskają, bekają, po posiłku zaś sięgają po wykałaczkę i ostentacyjnie dłubią w zębach. Chcąc nie chcąc trzeba to zaakceptować, w przeciwnym wypadku posiłki staną się koszmarem. Tutaj trzeba zwracać uwagę na to, z której strony wieje wiatr, bo miejscowi mieszkańcy często spluwają.
- Gdzie u nas w butelce tkwi żdźbło pocziwej trawy żubrówki, w Chinach straszą węże, jaszczurki, a nawet...koguty. Ich potrawy nie są zaprojektowane do jedzenia sztuccami. Chińczycy posługują się pałeczkami od ponad 3000 tys. lat.
- Podróż do Chin to doskonały pomysł dla ludzi otwartych i ciekawych świata, stąd wywodzi się nowe spojrzenie na świat. Na miejscu wszystko okazuje się inne niż się sądziło przed wyjazdem.
- Chiny prezentują się jako zaskakująca składanka nowego i starego, melanz dynamicznego kapitalizmu i siermiężnego socjalizmu, tajemniczej Azji i materialistycznej Ameryki.
- W restauracjach nie należy dawać napiwków, oddadzą i jeszcze się obrażą.
- Zupa lub posiłki u ulicznego sprzedawcy zawsze będzie lepiej smakowała przyprawiona odrobiną gestykulacji i podgrzana dyskusją przy targowaniu ceny.
- W języku chińskim nie ma alfabetu, aby przeczytać gazetę, trzeba znać przynajmniej 3–5 tys. znaków, język literacki wymaga opanowania minimum 7 tys. znaków. Ich różnorodność jest tak wielka, że płynne przyswojenie sobie tej sztuki zajmuje uczniom w szkołach 10 lat. Kaligrafia w Chinach, jak nigdzie na świecie, jest sztuką rozwijającą się. Artyści tworzą nowe znaki i zmieniają sposób przedstawiania już istniejących.

- Targowanie się to w Chinach sport, zaszczytem jest wygrać.
- Nowoczesność wyrasta na gruzach zabytkowych przedmieść, pod buldożerami giną nie tylko domy, ale i historia pokoleń. Mieszkańców wysiedla się, bo nic nie jest w stanie powstrzymać chińskiego pędu ku postępowi, a los jednostki nigdy nie był tu w cenie.

Rosnącą przepaść między bogactwem i biedą w Chinach postrzega się na ogół jako podział na miasto i wieś, wschód i zachód, lecz jest to także klin między północą a południem. Chiny mkną pasem szybkiego ruchu, ignorując wszelkie ograniczenia prędkości. Miasta rozrastają się niczym kartograficzna zaraza.

- Chiny to państwo, gdzie ludzie mają największą energię do pracy. W nowożytnej historii to państwo nigdy nie cieszyło się tak dużym odsetkiem sprawnych pracowników. Ich napływ ze wsi zmienił Chiny w jedną wielką fabryczną halę świata.
- Kupno biletu jest zawsze pierwszą rzeczą, jaką robimy po przybyciu do kolejnego miasta. Bilety należy zawsze kupować z kilkudniowym wyprzedzeniem.
- Wszędzie są tłumy... ale cóż, jesteśmy w końcu w najludniejszym państwie świata, trudno oczekiwać tu samotności.
- W Chinach miasto o milionowej populacji traktowane jest jak wieś.
- Chiny to kraj, któremu można poświęcić całą swoją podróż i wciąż można odkrywać nowe oblicza tego państwa, które, będąc przecież większym od Europy, jest zróżnicowane geograficznie i kulturalnie nie mniej niż cały nasz kontynent. Chiny to idealny cel wycieczek dla wszystkich kochających smak przygody, zderzenia z innymi kulturami oraz lubiących wyzwania, jakie szykuje nam kraj o zupełnie odmiennych obyczajach, systemie wartości, polityce, architekturze, klimacie, kuchni, a nawet alfabecie, słowem magiczny świat !!!
- Warto tu przyjechać na własną rękę i spróbować wszystkich subtelnych smaczków tego kraju.
- Ze względu na kłopoty porozumiewania się wizyta w restauracji może być przygodą.
- Chiny chcą mieć wszystko „naj” – najwyższe drapacze chmur, najnowsze i najbardziej zaawansowane technologie, najszybsze środki komunikacji i najbarwniejsze city.

Ciekawostki

- My byliśmy w Chinach poza sezonem, czyli wtedy, kiedy nie ma tłumów. Zastanawiamy się, „jak tu jest w szczycie sezonu”? Jest to czwarte najczęściej odwiedzane państwo świata po Francji, Hiszpanii i USA.
- Ponad 120 mln z liczącej 1,3 mld populacji państwa to mniejszości narodowe. Jest tu 56 oficjalnie uznanych grup etnicznych.
- 70% wyroków śmierci na całej kuli ziemskiej jest wykonywanych właśnie w Chinach.
- Religia: 41,5% niewierzących, 27,5% chińskie wierzenia lokalne, 8,5% buddyści, 8,4% chrześcijaństwo, 8,2% ateści, 4,3% animiści, 1,5% muzułmanie, 0,05% pozostali.
- W Chinach 93 mln ludzi nosi nazwisko Wang.
- Na każdym 119 chłopców rodzi się tu tylko 100 dziewczynek.
- Żeby zostać prawnikiem, trzeba mieć odpowiedni wzrost.
- W Chinach jest ten sam czas dla całego kraju mającego ze wschodu na zachód długość 5200 km, stąd aby zniwelować jakoś te różnice, godziny rozpoczęcia pracy w Pekinie i np. Lhasie są zupełnie inne.

- W handlu i usługach nie ma pojęcia niedzieli. Wszystko jest zawsze otwarte, a życie nocą toczy się niemal tak samo jak za dnia.
- Chiny graniczą z 14 państwami.
- Pociągi przewożą niekiedy tyle osób, ile liczy średnie polskie miasteczko.
- Niezwykłe wrażenie robią strzeżone parkingi w centrach miast, gdzie stoją przytulone do siebie tysiące rowerów. Każdy użytkownik dwukołowca musi mieć wykupioną licencję ważną przez całe życie. W niektórych miastach i rejonach obowiązują tablice rejestracyjne na rowerach.
- Fryzjer za komuny witął gościa radosnym okrzykiem: „służ ludowi”. Klient odpowiadał „sercem i duszą bracie”. Dopiero wtedy rozpoczynało się strzyżenie i golenie.
- Ścieżki rowerowe w Chinach są nieraz szersze od warszawskich arterii.
- Podziemny Pekin – niewiele osób wie, że miasto ma swój system tuneli na wypadek wojny chińsko-rosyjskiej. Zaczęto je budować w 1969 r. i prace trwały 10 lat. Jest to nie lada atrakcja turystyczna.
- Pekin ma w tej chwili największe lotnisko na świecie. Monumentalna hala główna ma 3 km długości, a powierzchnia terminalu jest równa 170 boiskom do piłki nożnej, całość kosztowała 1,8 miliarda EUR.
- Codziennie na ulicach Pekinu przybywa 1000 samochodów, dopiero w 1994 r. rząd chiński zezwolił na posiadanie prywatnych samochodów.
- Slogan chiński brzmi: „Każdy pracuje za dwóch, dzieło dwóch dni zostaje wykonane w jeden”.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Meczet, podziemna kolej, a nawet klinika leczenia astmy wchodzi w skład kopalni soli Khewra w Pakistanie. Leżąca 100 mil na południe od stolicy kraju Islamabadu jest drugim największym na świecie obiektem tego typu, z którego wciąż pozyskuje się słoną przyprawę. Wydobyte około 350 tys. ton soli rocznie o czystości 99 procent czyni Khewrę najlepszym i największym jej źródłem w tej części świata. Jest to także najstarsza kopalnia w Pakistanie i jedna z najstarszych na ziemi, działa bowiem od 320 r. p. n.e. Obecnie znajduje się w niej także muzeum zwiedzane przez 250 tys. ludzi rocznie.

Danuta Wojciechowska, Adam Stępiński

CYPR zimą – autobusami, pieszo i samochodem



Termin: 5.01 – 19.01.2013

Trasę zawsze zaczynamy z Larnaki.

Robimy następujące trasy:

Larnaka i Salt Lake Park – meczet (Tekke) Hala Sultan – Kofinou – klasztor Stavrovouni – Lefkara – Vavla – Choirokoitii – Kourion – sanktuarium Apollina – Petra tou Romiou – Pafos – Omodos – góry Troodos (klasztor Kykkos) – Nikozja – Famagusta – Salamina – Góry Pentadaktylos – Kyrenia – Bellapais – Limassol – Pelendria (Timios Stavros) – Nikozja – Galata – Kakopetria – Nikozja – Pedoulas – Moutoullas – Kalopanagiotis – Limassol – Troodos Square – Góra Olimp – Pano Platres – Limassol

Ekipa: dwie osoby

Na Cypr wybraliśmy się w okresie zimowym, korzystając z oferty pobytu w hotelu z wyżywieniem i przelotem, za dwa tygodnie 1400 PLN od osoby w biurze Nowa Itaka. Niewielkie terytorium wyspy stwarzało nam możliwość dotarcia do jej różnych zakątków, zarówno w części północnej, jak i południowej w ciągu 1 dnia i powrót do hotelu. Zima jest dobrym okresem głównie na zwiedzanie, gdyż nie ma tłumu turystów, a powietrze jest rześkie (temp. ok. 18°C).

Jest dobrym okresem do obserwacji flamingów na słonym jeziorze w Larnace, gdyż w tym okresie jest ich tu ogromna liczba i często gromadzą się blisko brzegu.

Wysoko w górach jest śnieg. Można nawet jeździć na nartach. Ale nie po to przyjeżdża się na Cypr. Nie jest to odpowiedni okres dla tych, którzy chcą pływać w morzu i wylegiwać się na plażach. Miejscowi mówią, że najlepiej przyjechać tu w maju lub we wrześniu, październiku.

Zwiedzanie, dosyć intensywne, organizujemy we własnym zakresie. Wyspę zwiedzamy autobusami publicznymi, organizujemy piesze wędrówki w górach, a także korzystamy z wypożyczonego przez innych samochodu, dołączając do nich. Pozwala nam to zobaczyć zarówno miasta, góry, plaże, jak również dotrzeć do oddalonych zabytków bizantyjskich, z których 10 ze względu na ogromną wartość historyczno-artystyczną wpisanych zostało na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Jest to 9 kościołków i 1 monaster, rozmieszczone po całym regionie gór Troodos,

a pochodzące z XI–XVII w. Z zewnątrz cechują się prostotą, a w ich wnętrzach są cenne freski i ikony.

Informacje praktyczne

Podróżowanie po kraju autobusami. Między większymi miastami, tj. Nikozją, Larnaką, Limassol, Pafos, Agia Napa kursują zielone autobusy Intercity i są bardzo tanie. Trzeba tylko zapoznać się z rozkładem jazdy, który można otrzymać u kierowcy lub w informacji turystycznej. Bilety kupuje się u kierowcy, najlepiej kupić tam i z powrotem, bo jest taniej. Są też białe autobusy kursujące między miastami. Z naszego doświadczenia wynika, że dla osób chcących zwiedzać Cypr autobusami, najlepszym punktem wypadowym jest Nikozja.

Są też tzw. Service taxi, np. Travel Expres, czyli taksówki zbiorowe, ogólnie szybko i tanie. Jeżdżą między miastami do godz. 18.0, a zamawia się je przez Internet lub telefon.

Samochód można wypożyczyć w licznych wypożyczalniach. Wypożycza się z pełnym bakiem, a oddaje z pustym. Samochody z wypożyczalni mają czerwone tablice rejestracyjne. Należy pamiętać, że na Cyprze jest ruch lewostronny, a samochody z wypożyczalni mają najczęściej automatyczne skrzynie biegu. Stop nie jest popularny.

Dana miejscowość często jest oznaczana w 2 różnych nazwach, np. Nikozja=Lefkosja, Ayia Napa=Agia Napa, Girne=Kyrenia, Salamina (Salamis). Ponieważ wiele miejscowości ma drogi i zabudowania położone na różnych wysokościach, często używa się, oprócz nazwy głównej, słowa „pano”, co znaczy – górny, lub „kato” – dolny, np. Pano Platres, Kato Platres.

Zimą (1 XI – 31 III) sklepy i urzędy na południu wyspy pracują w godz. 8.30 – 18.30, ale uwaga, oprócz środy i soboty – wtedy tylko do 14.00. Poczta czynna jest do 14.00

Oficjalnie nie powinno się robić zdjęć w kościołach wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Kościoły zamykane są na klucz, który trzyma u siebie dozorca lub ksiądz opiekujący się danym zabytkiem. Opiekuna należy odszukać w najbliższej okolicy, najlepiej poprosić przed wyjazdem informację turystyczną, aby przedzwonili tam tuż przed naszym przyjazdem. Dozorca oczekuje drobnej sumy za otworenie kościoła. Można też wrzucić ofiarę do specjalnej skrzynki w kościele.

Toalety w południowej części w czasie naszego pobytu były bezpłatne, a w części tureckiej płatne, nawet przy meczetach – 1,50 lira.

Gniazdko elektryczne są w systemie brytyjskim, wymagają tzw. adaptora. Można go kupić w kioskach, w sklepie lub wypożyczyć w recepcji hotelu za 2 euro.

Na Cyprze jest bardzo tania aspiryna bayerowska, warto więc zaopatrzyć się tam.

RELACJA

5 stycznia

Z Danusią spotykam się na lotnisku Chopina w Warszawie, ok. 14 jest planowany lot do Pafos, wszystko poszło sprawnie, na lotnisku czeka rezydentka, kieruje nas do odpowiedniego autobusu i za dwie godziny jesteśmy w Larnace, w hotelu Flamingo Beach, czekają na nas z gorącą kolacją, a potem zakwaterowanie, wypożyczamy w recepcji adapter, aby móc korzystać z naszych urządzeń elektrycznych, a zwłaszcza grałki. Cóż jest lepszego po kolacji jak gorąca herbata, zaparzona w przytulnym hote-

lowym pokoju? Jesteśmy zbyt zmęczeni, aby pójść na wieczorny spacer brzegiem morza, nad którym znajduje się nasz hotel..Podekscytowani podróżą z trudem zasypiamy.

6 stycznia

Po śniadaniu na spacer, pogoda nie zachęca, aby brodzić po wodzie przy brzegu morza, idziemy rozkopaną ulicą w kierunku centrum, z daleka widzimy mury warowni, wzniesionej w XVI wieku przez Wenecjan. W zamku mieści się muzeum średniowiecza, ale w niedzielę i święta jest nieczynne. Zamek i meczet, który zlokalizowany jest obok, są na początku promenady nadmorskiej, w perspektywie rząd palm i luksusowych hoteli. Dostrzegając wieżę kościoła św. Łazarza, kierujemy się do świątyni, wszędzie dekoracje bożonarodzeniowe. Sylwetka kościoła nie budzi zachwytu, surowe, kamienne wnętrza ożywia bogaty ikonostas, z jego prawej strony zejście do krypty, grób św. Łazarza jest pusty, ale została legenda, wierni myją ręce wodą ze źródła, palą świece. Wychodzimy, z daleka słyszymy grę orkiestry, jak się okazuje, strażackiej, maszerują na czele procesji na święto Trzech Króli, księża w uroczystych szatach, niesione są feretrony, wszyscy robią zdjęcia, również w kościele, korzystamy z okazji, Danusia filmuje. Muzeum Bizantyjskie w budynkach obok jest nieczynne. Spacerujemy po uliczkach starego miasta, odnajdujemy schronisko młodzieżowe HI. Idziemy w stronę skweru, przy którym znajduje się teatr miejski, biblioteka i Muzeum Historii Naturalnej. Zwiedzamy kościół Agia Faneromeni, w podziemiach znajdują się stare grobowce. Blisko jest do Salt Lake Park, odnajdujemy ścieżkę przyrodniczą, jesteśmy zachwyceni setkami flamingów, podziwiamy je z brzegu słonego jeziora i platformy widokowej, zima jest znakomitym czasem na obserwację ptaków, później odlatują w chłodniejsze rejony. Z przygodnie spotkaną parą Cypryjczyków z Limassol wznosimy toast noworoczny. Za słonym jeziorem, w perspektywie wznoszą się góry, może jutro je zdobędziemy...

7 stycznia

Przystanek autobusów, kursujących między miastami, jest przy promenadzie, łatwo go odnaleźć. Wsiadamy w autobus w kierunku Limassol, bilet 3 euro. Wsiadamy po ok. półgodzinie w Kofinou, na horyzoncie góra, na której widoczny klasztor Stavrovouni. Z powodu braku transportu postanawiamy iść piechotą, ale zostajemy podwiezieni do początku ścieżki E-4, ok. godziny wspinamy się pod górę, odnajdujemy kwitnące narcyze, roztaczają się widoki, również na góry Troodos, najwyższe na Cyprze. Klasztor zamknięty jest od 11 do 14, poznajemy Justynę i Grzegorza. Czekamy na otwarcie bramy, chociaż przejść przez nią mogą tylko mężczyźni. Wejście do kościoła z klasztoru, na wewnętrznym dziedzińcu głęboka studnia, można napić się wody. W ikonostasie jest relikwiarz Krzyża Świętego, a jego kopia w klasztorze. W świątyni piękne, stare freski, na których przedstawieni są Konstantyn i św. Helena, która ofiarowała relikwie i ufundowała kościół i klasztor. Zjeżdżamy do Lefkary, miasteczka znanego z koronek, wyborczego wina Komandoria, pięknej, srebrnej biżuterii i słodczy, do których używana jest woda różana. Ja kupuję koronkę, a Grzegorz kolczyki dla Justyny. Jedziemy teraz w kierunku Vavli, przed wsią klasztor żeński Agios Minas. Jest dość późno, jesteśmy jedynymi turystami, w kościele, mniszki śpiewają nieszpory, ich śpiew słyszany jest na dziedzińcach, okolonych drewnianymi galerijkami, przy furcie można kupić wino i mandarynki, nigdzie nie jadłem tak słodkich i pachnących. Zjeżdżamy do Choirokoitii,

ale muzeum archeologiczne, wykopaliska z epoki neolitu, jest już zamknięte. Wracamy do Larnaki na kolację.

8 stycznia

Mamy dziś bogate plany, a więc w drogę. Jedziemy autostradą, przejazd bezpłatny, w kierunku Pafos, zjeżdżamy zjazdem do Kourion, pierwsze ruiny rzymskie, które będziemy zwiedzali na Cyprze. Amfiteatr tuż po rekonstrukcji, przy drodze do domów gladiatorów łany kwitnących cyklamenów, wręcz niewiarygodne! Zwiedzamy ruiny domów rzymskich patrycjuszy, łaźni publicznych, a w domach gladiatorów mozaiki przedstawiające m.in. Achillesa i Odyseusza. W ruinach bazyliki wczesnochrześcijańskiej na mozaikach znak ryby i innych symboli religijnych. Kilka kilometrów dalej sanktuarium Apollina, zrekonstruowano fragment portyku świątyni, podziwiamy wysmukłe kolumny z korynckimi kapitelami. Wstęp jak prawie wszędzie 1,70 euro. Piękną, nadmorską drogą dojeżdżamy do Petra tou Romiou, miejsca narodzin Afrodyty. Zakochani z kamieni układają serca, a inni wiążą wstążeczki na intencję wielkiej miłości. Prosimy o pamiątkowe zdjęcie Justynę jako słowiańską Wenus ze środka Polski. Dojeżdżamy do Pafos Kato, samochód parkujemy w bocznej uliczce wprost katakumb, z których wyrasta drzewo, na jego gałęziach wierni wiążą wstążeczki z intencjami. Schodzimy w dół, niestety, katakumby są zalane wodą. Danusia odnajduje drogowskaz do wczesnochrześcijańskiej bazyliki, przy której znajduje się pręgierz św. Pawła. Idziemy do Parku Archeologicznego, tym razem wstęp 3,40 euro. Okazałych budowli nie widać, a raczej nowoczesne pawilony, które kryją największe skarby – mozaiki, odkryte i zakonserwowane przez polskich specjalistów. Przypominam sobie znane mity np. o Apollonie i Marsjaszu, poznaję mitologiczne postacie Dionizosa, Tezeusza, Tetydy, Narcyza itd. Teraz łyk współczesności, spacerujemy po porcie jachtowym, ale obok zamek templariuszy. Samochodem podjeżdżamy do grobowców królewskich, nie pochowano w nich żadnego władcy, ale służyły chrześcijanom jako miejsce schronienia w czasie ich prześladowań. Zbierają się ciemne, ciężkie chmury, trzeba uciekać przed ulewą, wracamy do Larnaki.

9 stycznia

Dziś chcemy dojechać do Kykkos w górach Troodos. Z Larnaki najpierw autostradą, za zjazdem do Limassol, obieramy kierunek do Omodos. W miasteczku jest klasztor i kościół Krzyża Świętego, budowle pochodzą z osiemnastego wieku, ale świątynia zamknięta, nie widzimy nikogo, kogo można by poprosić o otworenie kościoła i klasztoru muzeum. Sklepy z pamiątkami również zamknięte, na wąskich uliczkach, na drzewach mandarynkowych śnieg, nie jest to dobry znak przed podjazdem w góry. Podróżujemy z Małgosią i Jarkiem. Małgosia jest świetną pilotką, a Jarek wytrawnym kierowcą, przyzwyczajonym do kiepskich dróg na Kurpiach, na których mieszkają, ale niewiele może zdziałać, jadąc na letnich oponach, musimy zawrócić. Inną drogą wydaje się, że dojedziemy, jesteśmy 10 kilometrów przed Kykkos, zaczyna sypać taki gęsty śnieg, że w popłochu zawracamy i zjeżdżamy w dół. Podejmujemy trzecią próbę, drogą od strony Pafos, wolno dojeżdżając do klasztoru po bardzo śliskiej drodze. Podziwiamy ogromne, ośnieżone cedry. Zostajemy zatrzymani przez trzy bezradne Rosjanki, które proszą o pomoc przy zmianie kół, Jarek dzielnie sobie radzi, zostaje obdarzony gorącym pocałunkiem, Małgosia mniej entuzjastycznie przyjmuje spon-

taniczne dowody wdzięczności dziewczyn. Dojeżdżamy!!! Kościół jeszcze otwarty, ale odzwierciadla pobrękuje kluczami niecierpliwie i nie możemy spokojnie obejrzeć starych fresków. Cudowna ikona Madonny zasłonięta srebrną sukienką i kosztownymi szatami jest odsłaniana przy wyjątkowych okazjach. Muzeum Bizantyjskie jest zamknięte, ale możemy zobaczyć część eksponatów w szafach, które stoją w krużgankach, ich ściany ozdobione są współczesnymi mozaikami, przejście do grobu Makariosa już zamknięte. Pytam o możliwość noclegu, ale mnisi nie mają przygotowanych, ogrzanych cel. Jest mróz, chodzimy ostrożnie po zlodowaciałym śniegu, a przecież musimy zjechać i dojechać do Larnaki. Jarek wybiera drogę w kierunku Nikozji, doświadczenie go nie zawodzi, za bramą klasztoru kilka kilometrów śnieg i oblodzona droga, a potem, aż trudno uwierzyć, ani śladu mrozu i śniegu. Szczęśliwie docieramy na kolację w naszym hotelu Flamingo Beach.

10 stycznia

Po wczorajszych, trudnych, zimowych doświadczeniach dziś będzie łatwiej. Wyjeżdżamy na autostradę, ale zjeżdżamy drogą w kierunku Deryneii, przekraczamy granicę bez najmniejszych problemów, opłata za samochód 20 euro, wizy do Tureckiej Republiki Cypru dostajemy na osobnych kartkach, ważne przez trzy dni, przejścia są czynne cały czas, liczba wjazdów i wyjazdów nieograniczona. Droga prowadzi wprost pod mury Famagusty; parkujemy i wejściem od wschodu wkraczamy w obręb starożytnego miasta, po prawej stronie punkt informacji turystycznej. Mijamy pierwsze ruiny gotyckiego kościoła, idziemy do cypryjskiej Notre Dame, dawny kościół św. Mikołaja jest teraz meczetem Lala Mustafa Paszy, lewa wieża zakończona minaretem, wewnątrz zachowało charakter średniowiecznej katedry. W babińcu, na końcu lewej nawy, można zobaczyć nagrobek biskupa. Przed kościołem – meczetem ogromna, tysiącletnia sykamora (gatunek figusa). Idziemy w kierunku portu do wieży Ottello, na której widzimy lwa św. Marka, który jest herbem Wenecji. Wenecjanie wybudowali większość kościołów, których ruiny wyglądają jak teatralne dekoracje. Łatwo dojeżdżamy do Salamis, w ruinach jest chyba najwięcej posągów bogów i rzymian, wszystkie bez głów pozbawionych nie tylko przez niszczące działanie czasu. Trzeba bardzo uważać, żeby nie przegapić drogi do kościoła św. Barnaby. Do zobaczenia kościół, który teraz pełni funkcję muzeum ikon; w krużgankach eksponaty archeologiczne z różnych okresów historii Cypru. Obok skromnych wykopalisk dojście do kościółka, który niedawno odnowiony kryje w podziemiach grób ucznia – apostoła Chrystusa. Na horyzoncie Góry Pentadaktylos, musimy przez nie przejechać, aby dostać się do starożytnego portu w Kyrenii. Port jest bardzo malowniczy, uroku dodają mu kołyszące się jachty, wejścia do zatoki broni potężna twierdza, dostępna do zwiedzania. Przy nabrzeżu odnajdujemy figusy – drzewa zakochanych, jedno jest męskie, a drugie żeńskie. Decydujemy się na tradycyjny turecki kebab, który spożywamy w knajpce przy głównym placu miasta. Dobre oznakowanie ułatwia dojazd do Bellapais, ruin średniowiecznego klasztoru augustianów; obok rosną drzewa mandarynkowe, obsypane owocami, z tarasu widok na port w Kyrenii i Morze Śródziemne. Nad ruinami widać szczyty Gór Pentadaktylos, musimy znaleźć przełęcz i drogę wprost do Nikozji, jedynej w Europie stolicy podzielonej pomiędzy dwa państwa. Dojeżdżamy do murów obronnych; przy dawnej łaźni zostawiamy samochód i spacerujemy po orientalnym mieście, niezbyt czystym i uporządkowanym. Robi się późno, a my musimy przejechać na stronę cypryjską. Bez-

problemowo przekraczamy granicę, parkujemy przy katolickim kościele św. Krzyża, odnajdujemy siedzibę Muzeum Cypru, już zamknięte. Spacerujemy eleganckimi ulicami, mimo chłodu w kawiarnianych ogródkach siedzą ludzie, w sklepach poświęczone wypożyczyć; musimy jeszcze wrócić do Larnaki.

11 stycznia

Centrum Promocji Miasta Larnaka zorganizowało bezpłatną wycieczkę autokarową do Lefkary. Zapisaliśmy się z Danusią, ponieważ chcemy posłuchać opowieści przewodniczki, nie zawiedliśmy się. Przed ratuszem w Lefkarze częstują nas lampką doskonałego wina i ruszamy zwiedzać miasto. Jest zimno, więc koronkarki nie siedzą przed domami z serwetkami i nie haftują; idziemy do greckiego kościoła, spacerujemy urokliwymi uliczkami, oczywiście jest czas na zakupy. Kupujemy koronki, wino i rodzaj galaretek, wyrabianych od pokoleń w tych samych rodzinach z różanej wody i soków owocowych. Zostajemy zaproszeni na ośłą farmę, gdzie na początek obserwujemy wyrabianie chleba, a później jego pieczenie. W sklepiu próbujemy chleb z oliwą i pastą z oliwek oraz z miodami o różnych smakach; oczywiście jest możliwość zakupu degustowanych produktów. Podczas podróży po Cyprze warto zatrzymać się w winiarniach, tłoczniach oliwy zapraszających turystów na bezpłatną degustację. Zdążyliśmy do hotelu, aby pożegnać poznanych przyjaciół: Justynę, Małgosię Jarka i Grześka, przy ich pomocy mogliśmy łatwiej dotrzeć do ciekawych obiektów. Mimo obaw przed lewostronnym ruchem warto wypożyczyć samochód i zwiedzać tę piękną wyspę.

12 stycznia

Komunikacja autobusowa na Cyprze jest niewiarygodnie tania, zielone autobusy jeżdżą między miastami, bilet w jedną stronę 3 euro, ale w dwie strony (one-day ticket) 5 euro. Niebieskie autobusy miejskie docierają do miejsc oddalonych nawet o 70 kilometrów za 1 euro, kursują również w niedzielę. Wybieramy się do Paralimni, są tam trzy kościoły, jeden bardzo stary ze średniowiecza. W tym z XVI wieku piękna ikona św. Jerzego i Michała Archaniola, niestety, odbywa się obrzęd chrztu i nie możemy swobodnie zwiedzać świątyni. Wracamy do Agia Napa, gdzie tuż obok przystanku jest klasztor z przepięknym dziedzińcem, na środku antyczna fontanna, schodkami w dół można zejść do starego kościoła, w którym jest grób legendarnej założycielki klasztoru. Można zobaczyć kopię cudownej ikony Matki Boskiej Semantron, która została przeniesiona do nowego kościoła. Przy wyjściu z dawnego, żeńskiego klasztoru wspaniała sykomora, pamiętająca czasy budowy kościoła we wczesnym średniowieczu. Wszędzie koty spacerują bardzo dumne, łaszą się, miauczą, prosząc o jedzenie, jest przekonanie, że walczą one z węzami, których jest dużo na Cyprze. Idziemy na spacer do portu, a potem plażę; nareszcie złocisty piasek, tym bardziej że świeci słońce i jest ciepło. Odpoczywamy na leżakach, wystawionych przez luksusowe hotele, do których przyjeżdżają też Polacy, klienci biura Itaka. Idziemy w stronę Cape Greco, płaskie brzegi wznoszą się w wysokie klify. Nie wierzę własnym oczom: naturalny, skalny most o dwóch przesłach, inne formacje skalne też fantastyczne. Na koniec przylądka można dojechać miejskim autobusikiem z Larnaki za 1 euro, krawędzią klifu prowadzi szlak E – 4. My jednak wracamy do centrum kurortu, aby popatrzeć na eleganckie hotele i sklepy – o tej porze roku jest tu zupełnie pusto. Wracamy do naszego hotelu w Larnace.

13 stycznia

Dzisiaj postanawiamy pojechać do Limassol, aby pooglądać najciekawsze miejsca w mieście, a przy okazji uzyskać dokładniejsze informacje o możliwościach dojazdu autobusem do bizantyjskich kościołów, wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Wyruszamy więc z przystanku przy bulwarze, zielonym autobusem (bilet w obie strony – 5 euro, w jedną – 3 euro – kupuje się u kierowcy). Po 1,5 godz. wysiadamy na przystanku naprzeciw katedry w Limassol. Dochodzimy do pobliskiego ronda i zaglądamy do potężnego sklepu z pamiątkami (tuż przy rondzie są też bezpłatne toalety publiczne). Udajemy się do prawosławnej katedry widocznej z głównej drogi, a potem oglądamy zamek (3,5 euro), we wnętrzu którego znajduje się muzeum, a z dachu jest dobry widok na stare miasto. Idąc ulicą w kierunku prawosławnej katedry Agia Napa, mijamy sklepy, przed którymi wystawione są wyroby z koronek, nie tylko z Lefkary. Można tu kupić tanio serwetki i obrusy, niekoniecznie robione ręcznie. Nieco dalej, na tej samej ulicy jest bardzo dobra informacja turystyczna. Niezwykle uprzejma pani odpowiada wyczerpująco na wszystkie nasze pytania, daje nam mapki tras prowadzących do górskich kościołów i drukuje nam rozkłady jazdy autobusów, jadących zarówno do Troodos Square, jak i do kościołów, będących na liście UNESCO. Dowiadujemy się, że mamy szansę jeszcze dzisiaj zobaczyć jeden z nich, ale zostało nam tylko 15 min do odjazdu autobusu. Pani z informacji telefonuje do osoby, która ma klucze od kościoła, aby była przygotowana na nasze przybycie. Biegiem docieramy do dworca autobusowego, mieszczącego się obok starego szpitala (pytać o old hospital), tuż za rogiem komisariatu policji. Jedziemy autobusem do Pelendrii (1 euro, 1 godz.), mijając wioski. W końcowym etapie dojeżdżamy krętą drogą do górnej części Pelendrii, za daleko, gdyż kościół znajduje się zupełnie w dole. Zatrzymujemy więc chłopaka, jadącego samochodem, który podwozi nas pod sam kościół. Po chwili zjawia się pan z kluczem; mieszka akurat obok kościoła. We wnętrzu małej i wyglądającej z zewnątrz jak stara chatka, świątyni Timios Stavros z XIII–XIV w., poświęconej Krzyżowi Świętemu, oglądamy piękne i cenne freski. Fotografować nie wolno, ale można kupić zdjęcia z tymi freskami – 0,5 euro. Wrzucamy do skrzynki drobne datki. Kiedy kończymy oglądanie, dozorca pozwala nam fotografować. Wracamy autobusem do Limassol (1 euro), a stamtąd do Larnaki.

14 stycznia

Autobusem z przystanku przy bulwarze jedziemy do Nikozji (5 euro w obie strony lub 3 euro w jedną). Stąd zaś do Kakopetrii (1 euro – 60 km). Autobus do Kakopetrii odjeżdża z przystanku Diagoroy (napis literami greckimi), odległego o kilkadziesiąt metrów od dworca (należy kierować się w stronę ronda, tuż przy bezpłatnych toaletach miejskich, do których schodzi się po schodach w dół, a od ronda skręcić w ulicę prostopadłą i podejść ok. 100 m). Przy przystanku ustawione są sztuczne drzewa pomarańczy, a naprzeciw jest budynek Megaland. Z Nikozji do Kakopetrii jest wiele autobusów. Po 1,5 godz. wysiadamy w Galacie, gdzie znajdują się 2 kościoły z listy UNESCO z XV wieku, położone samotnie w dolinie, blisko siebie, a widoczne już z okien autobusu, przed wjazdem do wsi. W restauracji, obok przystanku, odnajdujemy pana z kluczem od kościołów. Zdziwiony, że nie jesteście samochodem, pokazuje nam ok. 700 m szutrową drożkę, którą dochodzimy do kościołów, a on dojeżdża swoim motorkiem. Oglą-

damy z zachwytem kościoł Panagia Podhithou z XV w. Ściany wewnętrzne pokryte są freskami, stanowiącymi połączenie stylu włoskiego i bizantyjskiego. Zdjęć nie wolno robić, kupujemy więc zdjęcia z malowidłami. Za otwarcie kościołów dozorca oczekuje zapłaty 5 euro. Wracamy do miejsca, gdzie wysiedliśmy z autobusu i zdejmując założoną na drzwi blokadę, wchodzimy do kolejnego starego kościoła – Agios Georgios, przylegającego bezpośrednio do drogi (nie jest on na liście UNESCO). Potem jeszcze 1 km drogą asfaltową pod górkę i już jesteśmy w Kakopetrii. Stara część miasta fantastyczna, wąskie uliczki, kamienne domy z drewnianymi balkonami, w kościele cudowna ikona Matki Boskiej, woskowe wota, przy kościele wystawa dawnych urządzeń do wytłaczania oliwy. Skąta, kopuły zakochanych, w dole przy rzece wodospad, stary młyn. Odbywamy interesujący spacer po okolicy, spoglądając na ośnieżone szczyty górskie (stąd jest tylko 18 km do Troodos) i oglądamy kościółek Agios Nikolas tis Stegis z XI w., którego ściany pokrywają dobrze zachowane freski, niektóre z XI w., spośród których wyróżnia się malowidło przedstawiające Boże Narodzenie. Wracamy autobusem do Nikozji, a stamtąd do Larnaki.

15 stycznia

Dziś zamierzamy zwiedzić 3 małe górskie kościółki wpisane na listę UNESCO: w Pedoulas, Moutoullas i Kalopanagiotis. Biegiem udajemy się na poranny autobus do Nikozji, o godz. 7.15 (1,5 godz.). Autobus do Pedoulas mamy o 10.30. Zwiedzamy więc Nikozję. W informacji turystycznej usytuowanej w pięknym zaułku, niedaleko dworca, a bardzo blisko poczty, dostajemy mapki stolicy, rejonów górskich oraz rozkłady połączeń autobusowych. Odjeżdżamy z tego samego przystanku, co wczoraj do Kakopetrii. Okazuje się, że jest to ten sam autobus, docelowo jadący do Kakopetrii. Po godzinie jazdy zatrzymuje się on przy stacji benzynowej, a pasażerowie jadący do Pedoulas przesiadają się do innego, małego autobusu, jadącego następną godzinę na ten sam bilet (1 euro z Nikozji). Jedziemy przepiękną trasą górską z licznymi zakrętami. W końcowym etapie pokonujemy malowniczą i krętą 7-kilometrową trasę z trzema miejscowościami, w których znajdują się interesujące nas kościoły. Wsiadamy w ostatniej miejscowości – Pedoulas, najwyżej położonej na naszej trasie, aby łatwiej było nam schodzić w dół, po krętym 7-kilometrowym odcinku. Autobus jedzie jeszcze dalej. Kończy bieg 10 km przed Troodos. Późnobiazyński kościół Archangelos Michael (Michała Anioła) z XV w. w Pedoulas znajduje się w dolnej części wsi. Jest akurat otwarty. Zwiedza go bowiem grupa 2 księży i mniszka, którym pozwolono fotografować. Zwiedzamy więc razem z nimi i korzystamy z możliwości robienia zdjęć i filmowania. Potem niesamowicie krętą drogą pokonujemy bardzo długi odcinek do Moutoullas. W obawie, że może nam zabraknąć czasu, część trasy pokonujemy biegiem, zatrzymując się w ciekawszych miejscach na zrobienie zdjęć. Kościół pod wezwaniem Panagia tou Moutoulla, w przeciwieństwie do innych kościołów, znajduje się w górnej części wsi, wysoko nad główną drogą, po jej lewej stronie, gdy schodzimy w kierunku Kalopanagiotis. Można tam wejść na skróty, po schodach. Już patrząc w górę, z głównej drogi widzę tuż obok tej małej świątyni z XIII w., nieduży cmentarz. Adam nie spojrzał w górę i jakoś ominął ten kościółek, podążając dalej. Nie należy szukać klucza u staruszków, w domu, tuż poniżej kościoła, gdyż jest on u pani mieszkającej zupełnie gdzie indziej. Staruszkowie wywiesili nawet tabliczkę, aby im nie przeszkadzać. Jakież było moje zdziwienie, gdy znów zobaczyłam tych samych księży z siostrą, zwiedzających właśnie teraz ten kościół. Oni też byli zaskoczeni,

że tak szybko dobiegłam, gdyż oni przemieszczali się samochodem. Dzięki nim mogłam znowu filmować i fotografować tę wczesnobizantyjską świątynię, pokrytą drewnianym dachem, z pięknymi freskami wewnątrz. Wysokie usytuowanie kościoła pozwoliło mi na obejrzenie wspaniałej, górskiej panoramy okolicy z jej krętymi, dolnymi drogami, okazałym współczesnym kościołem, dominującym w dolnej części wioski. Po nasyceniu się widokami, przyspieszyłam kroku, aby dotrzeć do ostatniego obiektu z listy UNESCO – zespołu klaszornego z XI w., Agios Ioannis Lampadistis we wsi Kalopanagiotis. Akurat trwa przebudowa mostu, łączącego drogę z klasztorem. Robotnicy pokazują mi boczną ścieżkę, którą przeciskam się z dolnej części wsi na drugi brzeg rzeki, gdzie na tle gór znajduje się potężny zespół klaszorny, w skład którego wchodzi 2 cerkwie i kaplica ozdobiona freskami pochodzącymi z XIII–XV w. Klasztor ten jest zawsze otwarty od 8 do 18, a zimą trochę krócej. Tu spotykam znów Adama i tę samą grupę księży oraz siostrę, a więc znowu możemy swobodnie filmować i oglądać wraz z nimi muzeum bizantyjskie z imponującym zbiorem ikon. O 16.05 mamy autobus powrotny do Nikozji, robimy sobie jeszcze krótką przerwę jedzeniową przy rzece, napełniając butelki wodą źródlaną z kraniku. Wieś Kalopanagiotis słynie bowiem ze źródeł siarkowych. W Nikozji chwilę spacerujemy po stolicy, a potem autobusem wracamy do Larnaki.

16 stycznia

Dzisiejszy dzień przeznaczamy na dokładniejsze zwiedzanie Nikozji. Znowu porannym autobusem jedziemy do stolicy. Spacerujemy wąskimi uliczkami starego miasta, otoczonego weneckimi murami. Wstępujemy do bardzo ciekawego kościoła Tripiotis. Poszukując Pałacu Arcybiskupa, idziemy wzdłuż linii demarkacyjnej, czyli granicy między Republiką Cypru i tzw. Turecką Republiką Cypru Północnego, nieuznawanej przez Unię Europejską, poprowadzonej przez środek miasta, przecinającej ulice. Wzdłuż strefy buforowej widzimy opuszczone i zrujnowane mieszkania, a na rogach ulic budki z patrolami wojskowymi. Dochodzimy do Pałacu Arcybiskupa, przed którym stoi 8-metrowy pomnik arcybiskupa Makariosa. Zwiedzamy katedrę św. Jana Teologa oraz Muzeum Bizantyjskie w Centrum Kultury Arcybiskupa Makariosa, z przepiękną kolekcją ponad 150 ikon z IX–XVIII w. (wstęp 3,40 euro). Zaglądamy do meczetu Omara – największej muzułmańskiej świątyni w południowej części wyspy. Spacerujemy główną ulicą handlową Laiki Yeitonia. Wracamy w kierunku dworca i udajemy się do Muzeum Archeologicznego, zwanego też Cypryjskim Muzeum Archeologicznym, które jest najstarszym i największym obiektem muzealnym na Cyprze (wstęp 3,4 euro). Oglądamy bogatą kolekcję starożytnych wykopalisk z całego świata. Znajduje się tu m.in. posąg Afrodyty z soli. Ekspozycje pokazane są w sposób chronologiczny i tematyczny od okresu neolitu aż do czasów rzymskich. Wracamy do centrum, aby wjechać windą na wieżę widokową Shacolas Tower, która mieści się przy ulicy Ledra w wielopiętrowym domu handlowym Shacolas. Najpierw wjeżdżamy ruchomymi schodami na 6 piętro, mijając stoiska w domu handlowym (można tu wjechać również windą). Znajduje się tam duża, oszklona restauracja, z której rozlega się wspaniały widok na miasto, zarówno część grecką, jak i turecką. Można zlokalizować miejsca, które chce się odwiedzić. Następnie wjeżdżamy windą wyżej, na 11 piętro. Tam znajduje się muzeum (2 euro, czynne latem od 10 do 19, a zimą od 10 do 17). Stąd można podziwiać panoramę miasta. Idziemy promenadą spacerową Ledra do jej końca, gdzie znajduje się szeroki pas graniczny z budkami celników, ustawionymi po obu stronach. Wystarczy poka-

zać celnikom paszport lub dowód osobisty, a na oddzielnej kartce papieru z napisem wiza otrzymujemy pieczętkę ważną 3 dni i już jesteśmy na stronie tureckiej (północnej). Granica jest otwarta 24 godz. Tuż po jej przekroczeniu w budce informacji turystycznej możemy otrzymać darmowe mapki i uzyskać informacje o interesujących miejscach do zobaczenia, a jest ich sporo tuż przy samej granicy. Część turecka jest bardziej kolorowa. Sprzedawcy powystawiali swoje towary przed sklepami, widać, że nie dbają specjalnie o porządek, wokół mnóstwo worków ze śmieciami, a także porzucanych odpadków. Na bazarze duży wybór różnorodnych produktów. Wspaniały stary aquadukt, obecnie Centrum Kulturalne z przeróżnymi pamiątkami, dalej dawny karawanseraj, obecnie bazar, a obok niego meczet Selimiye (katedra św. Zofii) – jest to właściwie potężny kościół gotycki, przekształcony na meczet po zdobyciu Nikozji przez Turków. Wracamy znów na część grecką, a potem, jak zwykle, autobusem do Larnaki.

17 stycznia

Dziś jadę do Troodos z zamiarem dotarcia na najwyższy szczyt Olimp, a Adam re-laksuje się, idzie na spacer po mieście, odnajduje pomnik Zenona z Kation, znanego filozofa. O godz. 6 rano wyjeżdżam autobusem do Limassol, gdyż stamtąd jest autobus do Troodos Square. Jedzie on tylko raz dziennie, o godz. 9.40, a wraca o 15.30. Odjeżdża z dworca przy Old Hospital (1.5 godz., 50 km, 1 euro). Zatrzymuje się na 5 min. w Pano Platres, odległego o 10 km od Troodos. Gdy na drodze leży śnieg, autobus dojeżdża tylko do Pano Platres. Do Troodos można też jechać z Nikozji, ale godziny odjazdu stamtąd: 6.45 lub 14.00, a powrót o 9.00 lub 16.00, nie odpowiadały mi. W Limassol mam jeszcze 1,5 godz. do odjazdu autobusu, uczestniczę więc w porannej mszy w katedrze. Autobus nr 64 rusza punktualnie tylko z 3 turystami. Troodos Square jest zasypany śniegiem. Wokół placu kilka restauracji, hotel, toalety, niżej informacja turystyczna, gdzie można obejrzeć film o górach Troodos i ogólna pustka, gdyż jest zimno i ci, którzy tu przyjechali, siedzą w restauracji lub pojechali na narty pod sam szczyt. Stąd jest tylko 11 km do Pedoulas, 28 km do klasztoru w Kykkos, a do Nikozji 82 km. Stąd prowadzą górskie szlaki turystyczne oznaczone nazwami. Na górę Olimp biegnie szlak Atalante; jest jednak za dużo śniegu, aby nim iść. Idę więc w górę asfaltem ok. 3 km aż do znaku oznaczającego kierunek trasy Artemis, zgodnie z którym skręcam w lewo i maszeruję jeszcze 2 km aż do samego szczytu, mijając ok. 0,5 km przed nim czynny orczykowy wyciąg narciarski, a obok grupkę narciarzy. Pod sam szczyt Olimp (1951 m n.p.m.) można wjechać asfaltową drogą. Na górze, porośniętej sosnami, leży dużo śniegu. Sam szczyt Olimp z potężną białą kulą (radarem), widoczną z daleka, jest niedostępny, gdyż znajduje się tam brytyjska baza wojskowa. Teren jest ogrodzony, a przed nim tablica z napisem zakazu robienia zdjęć. Jednak Cypryjczycy mimo zakazu robili sobie zdjęcia, uradowani grubą warstwą śniegu. Do odjazdu autobusu było jeszcze sporo czasu, zeszłam z Troodos Square do Pano Platres starą ścieżką, co zajęło 1 godz. Pano Platres jest małą górską miejscowością turystyczną z licznymi restauracjami, ale w porze zimowej zupełnie opustoszałą. Stąd wróciłam autobusem, jadącym z Troodos do Limassol, a następnie do Larnaki.

18 stycznia

Korzystam z darmowego zwiedzania Larnaki z przewodnikiem. Zwiedzanie odbywa się w piątki o godz. 10.00 – zbiórka przy zamku, oraz we wtorki, też o 10.00, ale

spod informacji turystycznej. Przewodniczka, z pochodzenia Niemka, mieszkająca 30 lat na Cyprze, bardzo interesująco opowiada o zwiedzanych obiektach, odwiedzamy pracownie różnych artystów, zapoznając się z kulturą i sztuką Cypru. Potem przechadzam się promenadą i robię zakupy. W supermarkecie, prowadzonym przez dwóch starszych, niedaleko kościoła św. Łazarza (od strony toalet), kupuję alkohole: słodką commandarię i zivanię – wódkę gronową, oraz brandy. Mają tu korzystne ceny. Natomiast w aptece naprzeciwko zaopatruję się w aspirynę Bayera. Jest ona na Cyprze w wyjątkowo niskiej cenie. Opakowanie 20 tabl. – 1,10 euro., a w Polsce wielokrotnie drożej. W sklepach z pamiątkami kupuję uroczne koty-maskotki, wyglądające jak żywe. Koty w południowej części Cypru występują w niezliczonych ilościach. Są wszędzie: na ulicach, w klasztorach, a najwięcej wyskakują ich ze śmietników. Tępią one węże i gryzonie, a Cypryjczycy wierzą, że węże boją się podejść do gospodarstw, w których spotyka się koty. Adam tymczasem idzie na spacer dookoła słonego jeziora, do meczetu z grobem ciotki Mahometa, dalej przez zielone pola w stronę akweduktu, spotyka pasterza, doglądającego kierdel owiec. Brnie przez błoto, trochę się wstydząc swoich zabłoconych butów wraca do miasta i na ścieżkę przyrodniczą przy jeziorze, gdzie flamingów jest dużo, ale są dość daleko.

19 stycznia

Adam decyduje się powtórnie pojechać na wycieczkę do Lefkary. Tym razem kupuje dobre miejscowe wino i słodycze oraz ouzo. W centrum turystycznym tym razem częstują wcześniej upieczonym chlebem z oliwkami i przyprawami, można go degustować z miodem lub oliwą.

Ja natomiast idę na spacer wzdłuż słonego jeziora, zmierzając w kierunku meczetu (Tekke) Hala Sultan, położonego na trasie biegnącej do lotniska w Larnace. Mam okazję jeszcze raz przyrzeć się liczny flamingom, które na jeziorze widnieją jak różowe plamy. Meczet ten jest miejscem pielgrzymkowym zarówno dla miejscowych, jak i zagranicznych wyznawców islamu. Pięknie usytuowany nad brzegiem jeziora, otoczony palmami, widoczny z daleka, a jego strzelista wieża i białe kopuły odbijają się w wodzie. Meczet ten ma wyjątkowe znaczenie dla muzułmanów, gdyż wzniesiony został w miejscu, gdzie znajdował się grób Umm Haram, uważanej za ciotkę proroka Mahometa. Grobowiec pokrywa zielony aksamit i ograda barierką, poza tym wewnątrz niczym się nie wyróżnia.

Ok.16.00 przyjeżdża autobus na lotnisko w Pafos, bez problemów odprawa. W Warszawie lądujemy wcześniej, ale długo czekamy na nasze bagaże i ucieka nam ostatni autobus, inny odjeżdża przed czasem, na szczęście jeździ metro.

Przykładowe ceny:

- bilet na autobus międzymiastowy – 3 euro w jedną stronę, 5 euro w dwie strony na trasach Larnaka – Nikozja, Larnaka – Limassol,
- bilet na trasach górskich 50–60 km – 1 euro,
- bilet komunikacji miejskiej 1,5 euro,
- bilety wstępu do zwiedzanych obiektów 1,70–3,40 euro,
- chleb 1,4 euro,
- bułka 0,50 euro,
- pocztówki 0,30–0,50 euro,

- znaczki na kartki – 0,45 euro,
- herbata w kawiarni – 1–2 euro,
- piwo – 1 euro,
- woda mineralna 1,5 l – 0,4 euro,
- koronkowe serwetki – od 1 euro najmniejsze,
- butelka wina w sklepie – od 2,7 euro, lepsze 4 euro i więcej,
- aspiryna bayerowska – op. 20 tabl. – 1,10 euro,
- przepyszne, soczyste mandarynki prosto z drzewa lub 2 kg – 1,5 euro,
- wstęp do obiektów w części tureckiej – 7 lirów (3,5 – 4 euro) /Bellapais, Salamina, muzeum bizantyjskie przy kościele św. Barnaby.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Korzystanie z aplikacji naśladujących śpiew ptaków może spowodować, że nie będą one karmiły młodych, bo znane im dźwięki rozproszą uwagę. Naukowcy zaobserwowali, że turyści odwiedzający rezerwat na brytyjskiej wyspie Brownsea odtwarzają z komórek ptasie dźwięki tylko po to, by zrobić lepsze zdjęcia. Trele służą do porozumiewania się zwierząt. Aplikacje powstały po to, by stworzyć swoistą encyklopedię z odgłosami skrzydlatych stworzeń. Ma to ułatwić ich rozpoznawanie w naturze.

Filipiny



Termin wyjazdu: 03.08.2012 – 26.08.2012

Koszt całkowity: ok. 12 500 zł/2 os.; na 1 os.: 6250 zł, z czego:

3600 zł/os. bilety lotnicze

2565 zł/os. na miejscu

85 zł/os. ubezpieczenie

Przelot:

Aeroflot Warszawa – Moskwa – Hongkong – Moskwa – Warszawa: 2900 zł/os.

Cebu Pacific – Hongkong – Manila: 784 HKD – ok. 353 zł/os.

Cebu Pacific – Manila – Tagbilaran: 2015 PHP – ok. 160 zł/os.

Cebu Pacific – Cebu – Hongkong: 2375 PHP – ok. 190 zł/os.

Wizy: Obywatele polscy zwolnieni są z obowiązku wizowego przy pobycie do 21 dni – **wymagane jest jedynie okazanie biletu powrotnego lub biletu do innego kraju (!!!)**. Opłata lotniskowa przy wylocie z Manili wynosi 750 PHP, z Cebu – 550 PHP.

Ambasada: Na Filipinach nie ma ambasady RP. Wszystkimi sprawami zajmuje się ambasada polska w Malezji w Kuala Lumpur.

Czas: Na terenie Filipin czas w stosunku do czasu polskiego to +6 godzin latem i +7 godzin zimą.

Waluta: waluta to PESO (PHP). W lipcu 2012 przelicznik wynosił 1 \$ – ok. 41,5 PHP (10 peso warte było jakieś 0,8 zł).

Wymieniać pieniądze można w kantorach lub bankach w większych miejscowościach. W wielu miejscach jest możliwość opłaty kartą. Jadąc na mniejsze wyspy, należy zaopatrzyć się w większy zapas filipińskiej gotówki.

Pogoda:

Klimat Filipin zalicza się do strefy klimatów równikowych o wybitnych cechach klimatu monsunowego. Pogoda na Filipinach jest gorąca i wilgotna, gdzie do głównych cech należy cykliczność zmian kierunku wiatrów i intensywności deszczy, co jest związane z monsunami.

Temperatura powietrza wykazuje się niewielkimi wahaniami w ciągu roku i jej średnia wysokość utrzymuje się na poziomie 27–28°C. Jednakże tuż przed nastaniem wilgotnej pory monsunowej temperatury osiągają w dzień 35–37°C. Temperatura w wyższych partiach gór jest niższa, ale jej średnia wartość nie spada poniżej 15°C. Odczuwalne wartości termiczne na Filipinach potęguje wysoka wilgotność, która przez cały rok wynosi 80% i więcej, a w czasie monsunu sięga nawet 100%.

Filipiny jako kraj leżący w strefie równikowej cechuje się obfitością deszczu. Średnia roczna suma opadów wynosi około 2000 mm. Minimum to 1000 mm występuje na terenach osłoniętych przez góry, czyli na obszarach zawietrznych, niepodlegających bezpośredniemu wpływowi wiatrów monsunowych. Najbardziej wilgotne tereny otrzymują 3500 mm deszczu, a nawet więcej. Maksima opadowe na Filipinach przypadają na okres od maja do października. Najbardziej sucho jest w okresie wczesnej wiosny, tuż przed nastaniem monsunu letniego. Oczywiście w większości kraju okres ten nie jest pozbawiony opadów. Na Filipinach nie ma pory suchej, choć regiony zawietrzne cechują się bardzo słabymi opadami tuż przed nastaniem monsunu letniego.

Do częstych zjawisk należą burze, a także cyklony tropikalne. Obszar zachodniego Pacyfiku, a – co za tym idzie – wschodnich Filipin jest regionem częstego występowania tych wiatrów. Tajfuny, bo tak są nazywane w Azji, powstają w zachodniej części oceanu, a następnie wędrują nad wschodnie wybrzeża kraju.

Podczas naszego pobytu w okolicy Filipin przetoczyło się kilka tajfunów (Kai-tak, Tembin, Bolaven), powodując powodzie w Manili i duże straty. Na dodatek wiele miejsc okazało się niedostępnych, bo mosty zostały zerwane. Był kłopot z transportem. Spotkaliśmy sporo obcokrajowców, którzy próbowali wydostać się z odciętych miejsc. Czasami też szalejący gdzieś daleko tajfun powoduje spore fale na morzu i mimo całkiem ładnej bezdeszczowej pogody może okazać się, że statek na którąś z wysp zostanie odwołany. Najlepiej wybierać duże statki, bo te mimo fali mogą popłynąć. Warto sprawdzać sytuację tajfunową na stronie: <http://www.typhoon2000.ph/>

Przewodniki: Na Filipinach korzystaliśmy z przewodnika Lonely Planet w wersji anglojęzycznej. Wiele opisów na naszych stronach: www.anna.manczyk.net i www.nu-satenggara.blox.pl

Transport:

Hongkong i Makau

Na początku warto już na lotnisku zaopatrzyć się w kartę OCTOPUS, która działa jak karta zbliżeniowa. Można ją używać m.in. w środkach transportu (są drobne zniżki, płacąc tą kartą) i sklepach. Można ją doładowywać gotówką w specjalnych automatach.

W Hongkogu z lotniska najtaniej jest kupić bilet od razu w obie strony na autobus miejski A21 (55 HKD), który jedzie około 50 minut do Kowloon. Szybszym rozwiązaniem jest metro – jedzie 25 minut, ale koszt w jedną stronę to 90 HKD.

W mieście spokojnie można korzystać z transportu miejskiego – autobusy, tramwaje, metro. Ceny nie są wysokie. Wyższe, gdy linia metra prowadzi pod morzem. Jak ma się czas, taniej jest skorzystać z licznych połączeń promowych.

Łatwo jest poruszać się między Hongkongiem, Kowloon i Lantau. Pomiędzy tymi dwoma ostatnimi jest komunikacja autobusowa oraz kolejowa (metro). Świetna sprawa jak się chce na chwilę opuścić zgiełk miasta i udać do spokojniejszej części Hongkongu.

Do Macau kursują co pół godziny, godzinę (w zależności od pory dnia) statki Turbojet. Niestety, nie jest to tania opcja, ale warto popłynąć do Macau. Trzeba jednak pamiętać, aby przyjść na statek sporo wcześniej, gdyż przechodzi się tu odprawę paszportową. Zwłaszcza w okresie weekendów, kiedy z Hongkongu do Macau chce płynąć dużo miejscowych turystów, robią się wtedy znaczące kolejki. Bilet powrotny nie ma ustalonej godziny. Można wrócić, o której się chce. Jednak w godzinach wieczornych jest bardzo duża kolejka powracających osób, może nam przyjść czekać w niej sporo czasu. W Macau można korzystać z autobusów miejskich. Wprawdzie Macau ma swoją walutę, ale stosowana w obiegu jest waluta Hongkongu.

Filipiny

Na Filipinach korzystaliśmy na długich trasach z transportu **autobusowego**. Z Manili jadą nocne autobusy do Banaue Ohayami Trans w dzielnicy Sampaloc. Transport autobusowy na długich trasach jest naprawdę dobrze zorganizowany. Autobusy często są klimatyzowane, miejsca numerowane. Połączeń między dużymi miastami wyspy Luzon jest bardzo dużo. Właściwie co 30 minut lub co godzinę jedzie autobus w oczekiwanym kierunku. Po drodze ma 2–3 przystanki na specjalnych punktach, gdzie można zjeść obiad.

Na północy Luzonu firmy Rising Sun zapewniają transport na trasie Bontoc – Baguio, natomiast autobusy Victory Liner jeżdżą z Manili do wszystkich większych miast Luzonu.

Na wyspie Negros korzystaliśmy z firmy Ceres Bus Liner, której żółte autobusy jeżdżą po całej wyspie, a także wjeżdżają na promy, aby dojechać na wyspę Cebu.

Bilety kupuje się głównie u konduktorów w autobusach albo w przypadku dużego dworca autobusowego – w kasie biletowej.

Autobusy jadą dość sprawnie, z wyjątkiem kiedy muszą przedzierać się przez zakorkowaną Metro Manilę. Wtedy, niestety, czas przejazdu wydłuża się. Dodatkowo trzeba pamiętać, że trasa Bontoc – Baguio (około 140 km) to trasa przez góry (najwyżej położony punkt tej drogi to 2255 m n.p.m.) zajmuje co najmniej 6 godzin.

Ciekawą odmianą transportu autobusowego są **jeepneye**. Najbardziej popularny środek komunikacji publicznej na Filipinach oraz symbol filipińskiej kultury. Jest to rodzaj samochodu terenowego z wieloma dekoracjami i jaskrawymi kolorami. Historycznie jeepneye powstawały z przerobionych amerykańskich terenówek wojskowych pozostawionych na Filipinach po II wojnie światowej. Koszt przejazdu takim środkiem transportu jest niewielki (tabelka z cenami transportu).

Nigdy nie zdarzyło nam się, aby nas oszukano. Obcokrajowcy również płacili tyle samo co miejscowi. Nie trzeba było się targować. Jedyne problemy, to trzeba poczekać, aż cały jeepney się zapełni, aby mógł odjechać. W miejscach, gdzie istnieje spory ruch miejscowych nie ma z tym problemu. Gorzej w obszarach górskich na północy Luzonu. W Banaue zdarzyło nam się, że nie było chętnych na wyjazd i kierowca zrezygnował z podróży.

Z racji tego, że Filipiny są wyspiarskie, często korzysta się z połączeń **statkami**. Płynęliśmy 3 razy. Z Tagbilaran (Bohol) na wyspę Siquijor do Lareny linią Lite Shipping. Oferuje duże statki, które mimo sporej fali spowodowanej tajfunem wpływają planowo. Rejs trwa 4 godziny, mimo że wszyscy mówią, że trwa 2. Najlepiej zakupić sobie na ten czas bilet na łóżko na zbiorowym pokładzie, bo klasa ekonomiczna jest

dokładnie 50 PHP tańsza, a są to niewygodne krzeselka wzdłuż burty statku. Jedyny problem to taki, że statki Lite Shipping odchodzą na Siquijor tylko w poniedziałki, środy i soboty. Jest jeszcze linia szybka Ocean Jet, która odpływa codziennie – ale za kwotę cztery razy droższą niż Lite Shipping. Niestety, w czasie większej fali rejsy są odwoływane.

Z Siquijor jest połączenie z Dumagete na wyspie Negros. Statki pływają kilka razy dziennie, czas płynięcia – 1 godzina. Z wyspy Negros są połączenia z Cebu City na Cebu. My korzystaliśmy z połączenia autobus/statek – Bacolod – Cebu City. W czasie jazdy autobus dojeżdża do San Juan, gdzie pasażerowie kupują bilet, potem wjeżdża się na statek. Płyne się około 2 godzin, w Toledo kontynuuje się podróż autobusem do Cebu City.

W każdym porcie płaci się opłatę portową. Jest to niewielka opłata.

Na większe odległości najlepsze są loty **samolotem**. Nie są to połączenia drogie, a wręcz ceny są nawet niższe na 2 dni przed wylotem. Korzystaliśmy z połączenia linią Cebu Pacific na trasie Hongkong – Manila, Manila – Tagbilaran (Bohol) i Cebu – Hongkong. Za każdym razem wszystko punktualnie. Na pokładzie ciekawostka, bo obsługa samolotu przeprowadza konkursy dla pasażerów.

Na Siquijor fantastycznym sposobem na poznanie wyspy jest wypożyczenie **skutera**. Cena za dzień to 250–300 PHP plus paliwo.

Prawa jazdy na skutery nie mieliśmy, na szczęście nikt o nie nie pytał. Wrażenia z objazdu wyspy niezapomniane.

Tricykle, osobliwe pojazdy będące połączeniem motoru i blaszanej budki, zdecydowanie na krótkie „podwózkowe” trasy.

Ceny przejazdów Hongkong, Macau i Filipiny

<i>Trasa</i>	<i>Środek transportu</i>	<i>Cena za 1 os HKD, (1 HKD – około 0,45 zł)</i>
Lotnisko w Hongkongu – centrum Kowloon Bilet również powrotny – około 50 min jazdy (nocą jedzie prawie 1,5 godziny, bo objeżdża zakamarki lotniska)	Autobus 21A lub nocny N21A	55 (jak w jedną stronę to 33, nocny zważywszy na niewygody – czas przejazdu – 23)
Spod Peak Tower na przystań	Autobus	4,2
Kowloon – Hongkong (wyspa)	Prom	2,5 (w weekendy 3,4)
Po wyspie Hongkong	Piętrowy tramwaj	2,3
Victoria Peak	Funicular	28 w górę i 12 w dół

Trasa	Środek transportu	Cena za 1 os HKD, (1 HKD – około 0,45 zł)
Kowloon – Macau (w obie strony)	Statek – Turbojet	350 (w dni robocze trochę taniej)
Macau	Autobus	3,2
Po Hongkongu	Metro/autobus	średnio 4–6 (taniej jak trasa nie jest pod morzem)
Tsim Tsa Tsui (Kowloon) – Tung Chung (Lantau)	Metro	15,9
Tung Chung – Tai O	Autobus	11,8
Po Tao O	Łódka	20
Tung Chung – wyspa Hongkong	Metro	19,8
Wyspa Hongkong – Tsim Tsa Tsui (Kowloon) – 1 przystanek	Metro	8,6 (wysoka cena bo metro pod morzem)
Lotnisko – Manila (Sampaloc)	Taxi	180 (za taksówkę)
Sampaloc – centrum Intramuros	Taxi	100 (za taksówkę)
Centrum – Sampaloc	Jeepney	10
Manila – Banaue (9 h)	Autobus	450
Banaue – Bontoc (2 h)	Autobus	120
Bontoc – Sagada (45 min)	Jeepney	45
Bontoc – Malingok (30 min)	Jeepney	20
Bontoc – Baguio (140 km – 6 h)	Autobus	212
Pomiędzy dworcami autobusowymi w Baguio	Taxi	61 (za taksówkę)
Baguio – Manila (7,5 h)	Autobus	450
Dworzec w Manili (Pasay) pod Townhouse Guesthouse	Taxi	150 (za taksówkę)
Townhouse – lotnisko – terminal 3	Taxi	90 (za taksówkę)

Trasa	Środek transportu	Cena za 1 os HKD, (1 HKD – około 0,45 zł)
Manila – Tagbilaran (Bohol)	Samolot Cebu Pacific (uwaga: mimo że jest to lot krajowy, odlatuje z terminala między-narodowego)	2015 (ok 160 zł) +200 opłata wylotowa
Lotnisko – postój jeepneyów	Tricykl	20 za 2 os.
Tagbilaran – Loboc (1 h)	Jeepney	30
Loboc – Nuts Huts	Łódka *	150
Objazd Boholu	Samochód z kierowcą	2200 na 5 osób
Nuts Huts – centrum Loboc- jeepneye	Łódka	170
Loboc – Tagbilaran	Jeepney	27
Centrum Tagbilaran – port	Tricykl	20 za 2 os.
Tagbilaran – Siqijor (4 h)	Statek Ocean Jet lub Liteshipping	800 (Ocean Jet) 200 ekonomiczna, 250 łóżko (Lite Shipping) + 11,25 opłata portowa
Tagbilaran – Baclayon	Jeepney	8
Larena – Siqijor	Tricykl	25
Siqijor – San Juan	Tricykl	100 za 2 os.
San Juan – Siqijor port	Tricykl	150 za 2 os.
Siqijor – Dumagete	Statek	120 +14 opłata portowa
Port w Dumagete – centrum	Tricykl	40 za 2 os.
Dumagete – dworzec autobusowy	Tricykl	40 za 2 os.

* super opcja z łódką, bo się dopływa od razu pod domki Nuts Huts, tyle że trzeba pomknąć około 119 stopni do góry do recepcji. Kiedy wybierzemy opcję dojazdu drogą, czeka nas 15-minutowe przejście wertepami, potem 152 stopnie w dół do recepcji i jeszcze 119 do domków.

Trasa	Środek transportu	Cena za 1 os HKD, (1 HKD – około 0,45 zł)
Dumagete – Bacolod	Autobus	258
Terminal Południowy w Bacolod – hotelik Penssion Bacolod	Tricyl	50 za 2 os.
Dojazd na Dworzec Północny	Jeepney	10
Dojazd z dworca do The Ruins	Tricykl	50 za 2 os.
Dworzec północny – Silay	Jeepney	13
Dworzec Północny Bacolod – Cebu City ze statkiem	Autobus statek	320 190 + 20 opłata portowa
Cebu City dworzec – Downtown	Taxi	55
Downtown Cebu City – lotnisko	Taxi	220 + opłata wylotowa z Cebu 550

Elektryczność: 220V/60Hz, wtyczki amerykańskie.

Bezpieczeństwo: Filipiny to kraj zdecydowanie bezpieczny. Podczas całego naszego pobytu jedyne niebezpieczeństwo groziło nam ze strony tajfunów, ewentualne powodzie i pokrzyżowane plany. Wiele krajów przestrzega przed podróżą na wyspę Mindanao i okoliczne wysepki, jako że dochodziło tam do porwań turystów. Tereny, w których byliśmy, w opinii międzynarodowej uchodzą za bezpieczne.

Ubezpieczenia: Standardowy pakiet ubezpieczeniowy Warta Travel.

Telefony: Bez problemu można korzystać z telefonii komórkowej. Najlepiej zakupić sobie tutejszą kartę.

Internet: Internet znajduje się w większości guesthousów (gorzej na wyspie Siquijor), czasem jest też wi-fi.

Wyżywienie:

Hongkong:

Kurs walut z sierpnia 2012: 1 \$ = 7, 6 HKD (1 HKD – 0,45 zł)

Filipiny: Kurs walut z sierpnia 2012: 1 \$ = 41,5 PHP (10 PHP – 0,8 zł)

Napoje:

Hongkong:

- napój 0,5 litra z automatu – 7,5–8,5
- napój 0,5 litra w sklepach z kosmetykami (drogerie sieci Bonjour) – 4–6
- woda 0,7 litra – 3

- coca-cola w McDonalddie – 5
- sok z mango – 20
- zielona herbata 1 l – 9,9
- piwo – od 7
- duża kawa na lotnisku – 12

Filipiny:

- kawa na lotnisku w Manili – 50
- kawa z ekspresu w sklepiku – 5–10
- cappucino – 40
- cafe late (mrożona) – 50
- woda 1 l – 15
- coca-cola szklana butelka – 15
- coca-cola 1,5 l – 45
- małe piwo – 35–45
- piwo w Nuts Huts – 50
- cuba libre w Nuts Huts – 60
- rum 0,25 – 25
- brandy – ok. 50
- świeży sok z mango – 30
- ice tea 1 l – 25
- sok z mango 0,7 l – 45
- halohalo – od 20
- soki naturalne w sklepie EKO w Bacolod – 25

Dania i obiady

Ku naszej radości na tegorocznym wyjeździe nie było ostrych potraw. Można było próbować lokalnych przysmaków do woli. Filipiny nie mają wiele bardzo typowych potraw narodowych. Jednak „garnkowe” jedzenie uliczne jest fantastyczne. Za porcję małego dania płacono się ok. 10 PHP, stąd można było próbować różne rzeczy jednocześnie.

Hongkong:

- obiad na wyspie Hongkong – 2 zupy: wołowa oraz z kulkami mięsnymi plus coca-cola – 66 HKD
- zestaw w McDonalddie – hamburger, frytki, napój – 30
- mieszanka ryżu, warzyw, jajek w rozgrzanej kamionkowej misie oraz napój – ok. 50

Filipiny:

- Manila – Chowking (popularna sieć chińskich restauracji na Filipinach) – zestaw dań z coca-colą – 30–50
- Banaue – People’s GH – śniadanie filipińskie (ryż, smażony plaster kiełbasy, omlet, kawa) – 100
- Banaue – rest. Sanafe – danie z wołowiny, ryż, sałatka z zielonych traw – 150; lub danie kurczak curry z ryżem – 150
- Sagada – Kimchi Restaurant – herbata górską 15, danie kurczak curry lub kurczak adobo (w sosie sojowym) po 120, talerz gotowanych warzyw – 100

- Sagada – George GH – śniadanie: naleśniki z bananem 2 sztuki – 55, omlet – 55, 3 tosty – 15, herbata – 15
- Sagada – Kimchi Restaurant – koreański pancit (miks warzyw, mięsa z makaronem ryżowym) dla 2 osób – 300
- Bontoc – Churya Hotel – Churya beef (wołowina w sosie chili-czosnek) z ryżem – 100, Lechon Kawali (smażony chrupiący boczek) z warzywami – 95, piwo – 35, zupa grzybowa (z paczki) – 65
- Manila – Townhouse GH – śniadanie: omlet – 50, 3 duże tosty – 20, herbata – 20
- Loboc – Nuts Huts – zupa mami papi (filipińska zupa z makaronem i jajem) – 70, zupa sotanghon (zupa z wołowiną, makaron i imbir) – 80; makaron z wieprzowiną/wołowiną – 70; drinki – 90
- Loboc – Nuts Huts – śniadanie: omlet wegetariański z bułką (pieką na miejscu) – 80, dodatkowa bułka – 20, herbata/kawa – 30
- Jollibee (lokalny McDonald): zestaw hamburger, frytki, cola – 136, zestaw: zupa z makaronem, ryż z wieprzowiną, ice tea – 99, spaghetti z colą – 49, ryż z wieprzowiną i warzywami – 49
- Tagbilaran – makaron z warzywami, zielone warzywką, bambus w sosie, 2 porcje ryżu, zupa z mięsem, napoje – 100
- Larena (Sijijor) – śniadanie z garnków: makaron, ryż, jajko, zupa à la gulasz, fasolka, 2 napoje – 98
- San Juan – garkuchnia przy drodze: 2 smażone piersi kurczaka, ryż, zupa wieprzowa, biała fasola w sosie, 2 napoje – 139
- San Juan (restauracja Czar) – mango shake – 50, kanapki, 40–60, piwo 0,5 l – 40, 6 małych piw w wiaderku – 130
- San Juan (JJ backpackers) – 2 naleśniki, omlet, tosty, 2 herbaty – 320
- Sijijor (Samyz Pizza bar) – wołowina z ryżem 75, zupy – 38,
- Dumagete (na walce kogutów w hali Calindangan) – potrawka ryż z wieprzowiną – 60
- Bacolod (restauracja Pala-Pala przy bazarze) – kupuje się wszystko samemu na targu np. 2 kawałki ryb – 160, warzywa – 30, za przyrządzenie tego plus ryż i napoje 175
- Bacolod (Penssion Bacolod): herbata, plaster smażonej kiełbasy, jajko sadzone, tosty – 65
- Bacolod (Chowking) – ryż z kiełbaskami – 59
- obiad z garnków: ryż, makaron z warzywami, 2x duszone bakłażany, zupa z kurczaka, napoje – 140
- Cebu City (Teo-Fel GH) śniadanie – herbata, 2 tosty, jajo, 2 kiełbaski – 60
- Cebu City – ryba z budki robiona na grillu z ryżem – 65

Przegryzki, czyli coś na szybko z budki:

Hongkong:

- lody w McDonalddie – 3
- hamburger McChicken – 8
- ciasteczka portugalskie w Macau – 5–7
- kanapki (2 sztuki) w sieci sklepów „7/11” – ok. 11

- ciastka à la pączek w Tai O – 6
- indyjska samosa – 5
- muffinka na lotnisku – 16

Filipiny:

- lody w McDonalddie – 17–25
- lody w Jollibee z polewą – 15
- słodkie bułeczki – 15
- ciasteczka w licznych cukierniach – 3–7 za sztukę
- zupki chińskie w sklepie – 15–45
- baton snickers, mars – 45
- hot dog w „7/11” – 22
- kawałek pizzy – 60
- „pampuszek” w środku z wołowiną – 35
- ciastka à la pączek z nadzieniem truskawkowym/mango w Mister Donut – 12
- chipsy bananowe – 25
- paczka wafelków – 33
- creaspy chicken – chrupiący kurczak ze stoiska pod „chmurką” – 10–12
- warzywny pierożek – 15
- grilowane mięso na patyczkach – 5
- siomai z mięsem – 15
- ciasteczka silvanas: maślane – 13, czekoladowe – 20
- bułka z kiełbaską – 15
- springrollsy 1 szt – 5
- ciasteczko w Jollibee – 24

Owoce:

- santol (owoc słodki, kwaśny, gorzki !!!) – 8 za sztukę
- mango 1 kg od 25 do 90
- banany 1 kg – 40
- papaja 1 kg – 35
- limonki 1 kg – 40
- pomarańcze 1 kg – 40–50
- dragon fruit – 56

Ceny noclegów

Miasto	Hotel	Cena za pokój 2 osobowy
Hongkong	Capital Guesthouse – 13 piętro Chung King Mansion tel. 2366 3455 kom. 93365358 13/F Block A6&7, Nathan Road (tv, wi-fi, aircon, łazienka)	250 HKD

Miasto	Hotel	Cena za pokój 2 osobowy
Banaue	People's Lodge (centrum) tel. 63 74 3864014 lub 63 9195325605 (internet w głównym hallu, łazienka)	500 PHP
Sagada	George GH (ok. 300 m od centrum w dół miejscowości) tel. 09185480406 (tv, łazienka, wi-fi na parterze) http://sagadageorgeguesthouse-labanet.blogspot.com/	500 PHP
Bontoc	Churya-a Hotel (centrum) tel. 0906-4300-853	500 PHP
Manila	Townhouse (niedaleko lotniska) 31 Bayview Drive, Paranaque City, Manila bill_lorna@yahoo.com tel. 854 3826 http://joanphils.0catch.com/townhouse.htm (wiatrak, bez łazienki)	500 PHP
Loboc	Nuts Huts – bungalowowy tel. (63) 0920 846 1559	800 PHP
Tagbilaran	East Coast Tourist Inn Miguel Parras Street tel. 63-38-501-5598 (tv, ciepła woda, aircon)	650 PHP
Larena	SouthTown Room & Board tel. 63 9264337435 (ciepła woda, wi-fi)	600 PHP
San Juan	Royal Cliff 094-916-265-44 lub 094-916-265-37 erichmack2003@yahoo.de http://www.royal-cliff-resort.de.tf/	700 PHP
Dumagete	Vintage Inn E. Surban Street tel. (035)225-1076, 422-9106, 422-8822 (aircon, wi-fi, łazienka)	600 PHP
Bacolod	Pension Bacolod No 27, 11 th St., Lacson tel. 433-3377, 432-3231 (aircon, ciepła woda, wi-fi w restauracji)	540 PHP
Cebu	Teo Fel Pension Oliver Perez Building, # 4Junguera Ext. Tel. 253 2482 http://teofelpension.cebuphils.com/ (wi-fi, aircon, łazienka)	750 PHP

Ceny wstępów/ wycieczek

Miasto	Miejsce	Cena w PHP
Banaue	– 4-godzinny spacer po tarasach ryżowych (punkt widokowy, ludzie Ifugao)	200 transport + 600 przewodnik (za 2 osoby)
Sagada	– Jaskinia Sumaging	500 przewodnik – trasa 2-godzinna 800 przewodnik – trasa 4-godzinna przez 2 jaskinie
Bontoc	– Wycieczka z Malingok po wioskach i tarasach ryżowych, kobiety z tradycyjnymi tatuażami – Muzeum regionalne	1000 przewodnik Kinad* (za 2 osoby) plus 108 za zakup tony zapalek dla mieszkańców wiosek i cukierków dla dzieci w szkole 60
Carmen	– Farma motyli – Czekoladowe wzgórza – punkt widokowy	40 50
Corella	– Rezerwat wyraków	50
Sewilla	– Wiszący most	20
Loboc	– Kościół	20
Baclayon	– Kościół – Muzeum	bez opłaty 50
Cantabon	– Jaskinia Cantabon	20/os 2 przewodników 500 kaski – 90
Duma- gete	– Walki kogutów – Calindangan	Dół – 70 górne rzędy – 50
Bacolod (okolica)	– The Ruins	60
Silay	– Dom kolonialny	50
Cebu	– Fort	30
Hong- kong	– Przejażdżka koleją linową na Lantau (w dwie strony)	125 HKD

* Kinad – świetny przewodnik, kontakt: tel. 0929 384 1745; kinad139@yahoo.com

Pamiętki:

- t-shirt z Macau – 28 HKD
- t-shirt w Sagadzie – 170 PHP
- figurki 80–100 PHP
- maska drewniana – 250 PHP
- t-shirt z wyrakiem – 160 PHP
- breloczki z wyrakami 5 sztuk – 100 PHP
- szkatułka – 195 PHP
- figurka bawółka – 150 PHP
- 3 sztuki wisiorków – 100 PHP
- miska z kokosa – 600 PHP

Inne przykładowe ceny

- Karta Octopus depozyt 50 HKD (z czego przy oddawaniu karty można odzyskać 41)
- jadeitowa bransoletka – 130 HKD
- wachlarz chiński – 30 HKD
- kubek Disneya – 90 HKD
- wypożyczenie skutera – 300 PHP
- 1 litr paliwa – ok. 62 PHP
- wejście na lokalny koncert na Siqijorze – 10
- pranie 4 sztuk rzeczy – ok. 100
- pocztówki 20 PHP
- znaczki – 13 PHP
- klej – 50 PHP
- maść voltaren – 95 PHP
- Internet 1 h – 25 PHP
- przyprawy – 6–15 PHP
- jodyna – 28 PHP
- spirytus do odkażania – 25 PHP
- mydła papaya – 16 PHP
- gra w minigolfa – 18 dołków przy The Ruins – 50 PHP/os.
- okulary – 100 PHP
- fryzjer – 50 PHP

• Rozmaitości ze świata •

Powstanie konkurencja dla Kanału Panamskiego. Parlament Nikaragui opowiedział się za budową kanału między Oceanem Atlantyckim a Spokojnym. Przyznał 50-letnią koncesję na prace projektowe i budowę chińskiemu konsorcjum z Hongkongu HKND. Koszt szacuje się na 40 mld dolarów.

GRUZJA 2012 **„Podróż w czasie”**



Pierwsze symptomy o zwrocie na wschód następowały cyklicznie po każdym podsumowaniu wydatków na paliwo w czasie wypraw po tzw. północnym zachodzie.

Jednak tym razem chyba za „bliski wschód” tego dalekiego wschodu sobie wymyśliłem, ponieważ nawet w kraju docelowym ceny paliw pogalopowały w górę odwrotnie proporcjonalnie do ich jakości. Tak czy inaczej dopiąłem swego i po raz kolejny, korzystając z ogłoszeń na globtroterze oraz wśród znajomych, włącznie z tymi z poprzednich wypraw, skompletowałem skład. Datę wyjazdu ustaliliśmy na 1 czerwca najpóźniej, tak aby nie popaść w falę upałów na tamtejszych szerokościach geograficznych. Jeden skład wyjeżdża z Lublina, drugi z południa Polski.

Jako punkt zborny ustalamy Słowację, ale szybko się plany zweryfikowały, więc prawie spotkalimy się dopiero na noclegu w Rumunii. Rano, aby nie nadrabiać drogi, przeprawiamy się przez dosyć głęboką rzekę i wyjeżdżamy na drogę główną. Było na tyle głęboko, że wody z reflektorów nie mogłem się pozbyć przez dwa tygodnie.

Przejazd przez Rumunię również wypadł osobno. Drugi skład pojechał główną drogą w stronę Bułgarii, a my, jak zwykle, koncepcyjnie na skróty. Skróty by były, gdyby nie zawalony tunel wysoko w górach. Jednak warto było dla samych panoram, jakie roztaczały się z góry. Niestety, trzeba zejść, czyli zjechać na początek trasy i nadrabiać zaległości. Bułgarię robimy non stop z małą przerwą na ugaszenie minipozaru lodówki. Tym samym zostaliśmy pozbawieni zimnych drinków do końca podróży.

Wolno nam jednak idzie ta podróż, ponieważ nie jedziemy na zmiany non stop, tylko jak emeryci robimy pauzy na noclegi. Następny wypadek przed granicą turecką. Rano spotykamy się z drugim składem w Turcji na pierwszej stacji i ustalamy następny punkt programu. Zjeżdżamy z płatnej autostrady na drogę przy morzu Marmara i nocujemy na plaży. Przed noclegiem odwozimy Jurka do Stambułu. Zmienił plany, bo tak się przejął prognozą pogody na Gruzję (że niby ma być deszczowo), która oczywiście nie spełniła się na nasze szczęście. Nocny Stambuł wart grzechu, dzienny natomiast to kara boska.

Nie ma takiej rekompensaty, która by dała radę przyćmić te wielokilometrowe korki i czas w nich spędzany – masakra. Tymczasem w nocy OK, wracamy sprawnie na plażę

i tam śpimy. Świtem przeprawa przez Bosfor i dalej non stop na wschód. Non stop miało być, ale było tylko do czasu następnego pomysłu, aby zjechać tym razem nad Morze Czarne i jechać wzdłuż niego aż do Gruzji. Generalnie było okej, w sumie fajna plaża i kąpiele w wątpliwej jakości wodzie, ale cała prawda o składzie wody w Morzu Czarnym, czyli brudnym, wyszła dopiero w Gruzji. Przy okazji doświadczyliśmy pionierskiego zjazdu z autostrady na jednej karcie na dwa samochody. Polak to jednak stworzenie niezatapialne.

Niestety, stan drogi wzdłuż morza pretendował do miana city of road, więc znowu nadrabiamy kilometrów i wracamy na dwupasmówkę. 500 km przed granicą w deszczu wynajdujemy nocleg pod rybacką wiatą. Tam kamuflujemy się przed deszczem i wiatrem, konsumując kolację i przysypiając lekkim snem z myślą o dużej fali podmywającej nasz namiot.

Następny dzień to sprawnie przekroczona granica i mały rekonesans oczywiście po Batumi. Akwarium już nieczynne, więc idziemy dalej, aż lądujemy w knajpce na małe co nieco. Na początek wybór z menu to zawsze trochę niewiadoma, ale mi się trafiło dobrze. Na nocleg wyjeżdżamy za granicę miasteczka i po prostu śpimy. Rano weryfikacja planów, czyli nie jedziemy na północ, tylko na wschód w stronę Tbilisi.

Po drodze zwiedzamy klasztory i skalne miasta. Pogoda okej, gorzej z drogą. Na początku asfalt jednak szybko przerodził się w podłoże pod asfalt, w dodatku bardzo urozmaicone powierzchniowo. Pod wieczór wynajdujemy fajne miejsce na nocleg. Nad rzeką w zagajniku – sielanka!

Następnego dnia znowu się rozdzielamy. My do Tbilisi na wieczorne zwiedzanie. Znajdujemy hostel, logujemy się tam i idziemy w miasto i na wzgórza. Rano ponawiamy zwiedzanie stolicy. Przemieszczamy się parę stacji metrem i już spacerkiem wracamy w stronę samochodu, a tu nagle spotykamy na środku ulicy „nasz” drugi skład. To się nazywa przypadek, spotkać się w takim dość dużym mieście! Podwozimy ich do samochodu i wyruszamy już wspólnie na północ w Kaukaz. Przed nami słynna droga wojenna i parę zabytków. Zabytki okej, w tym katedra, ale droga wojenna zdecydowanie przereklamowana. Następny nocleg znowu wynajdujemy w fajnym miejscu. Rzeka i polana. Rozbijamy obóz, rozpalamy ognisko, wieczorne rozmowy pod gwiazdami połączone z kolacją.

Wynajdujemy na mapie symbol raftingu i w tym celu znowu rozdzielamy się na trochę. My startujemy z rana na wyznaczone miejsce, a oni zostają, by na spokojnie uporządkować swoje rzeczy i przygotować się na wycieczkę w góry. Tymczasem dojeżdżamy do punktu na mapie, ale niestety ani widu, ani słyhu. Podpytujemy, jak to jest z tym raftingiem, i dowiadujemy się, że i owszem, ale te kwestie załatwia się w Tbilisi, a wtedy przywożą sprzęt i spływa się z biegiem rzeki. Tak więc znowu weryfikacja planów. Wynajdujemy zjazd z drogi i wymyślamy sobie wycieczkę w góry, każdy w swoim kierunku według upodobań. Umawiamy się na wieczór, tak aby dojechać do Kazbegi na noc. I tak dokładnie było. Po pionierskich przejściach i zejściach oraz fotołowach niedźwiedzia wracamy do Patrola. Na późny wieczór dojeżdżamy do Kazbegi, wiedząc, gdzie rozbiła się na noc nasza druga ekipa, staramy się tam trafić. Przypadkowo spotykamy dwójkę rodaków z plecakami i oczywiście porywamy ich ze sobą na pole u podnóża Monastyru. Marcin i Ania zostają z nami przez dwa dni.

Rozbijamy namioty późno w nocy. Jest zimno, a to tylko 2300 m n.p.m.

Następny dzień to podział na grupy. Podejście pod lodowiec, zakupy spożywcze, kąpiel oraz przegląd układu paliwowego. Zmiana filtra paliwa pomaga tylko poczuć się lepiej...kierowcy. No cóż, irańska ropa jest... inna, delikatnie mówiąc. Patrol jednak radził sobie dzielnie, poddymiając tylko trochę bardziej do następnego tankowania tzw. euro diesla, czyli teoretycznie lepszej jakości paliwa. Tak czy inaczej nowa konstrukcja diesla na tamtejszym oleju napędowym już by się nie dźwignęła do życia.

Wieczorna kolacja w większym gronie i plany na dzień następny. Spróbujemy przejechać górami do Shatili, aby nie wracać znowu „pokojoyą” drogą wojenną.

Prawie nam się to udaje, ale błąd w nawigacji sprowadza nas do posterunku granicznego z Rosją. Skutkuje to użyciem biegu wstecznego i odwrotu, ponieważ pogranicznicy powiadają „Tuda nie nada”, kałaszniki na ramieniu to poważne poparcie argumentów słownych. Wracamy, ale wiemy też, że przejazd jest, ale inną drogą. Nie podejmujemy poszukiwań, mając przed sobą w planach tajemniczą Swanetie. Wracamy na tzw. drogę główną, podwożąc Anię i Marcina do rozjazdu i tam się z nimi żegnamy. Jedziemy do Gori, planując następnego dnia spenetrować kolejne skalne miasto. Wdrapujemy się na płaskowyż im. Koników polnych, górujący nad resztą i tam robimy się na nocleg. Z uwagi na różne skaczące i pełzające stworzenia robimy z resztek ropy zapachowy krąg wokół obozu, aby skutecznie hamować zapały imigracyjne sześcionogich władców planety Ziemia.

Wraz z otwarciem obiektu dla zwiedzających, wcielając się w ich rolę, spełniamy powinność, aby następnie w drodze do jaskiń ze śladami dinozaurów nabyć czereśnie i inne owoce, delektować się ciepłym ich smakiem, jednocześnie za pomocą pestek wymusić ekspansję drzew owocowych wzdłuż pasa drogowego.

Zwiedzamy park dinozaurów, ucywilizowanym chodnikiem przemierzamy kolorowe mroki jaskini, następnie zwiedzamy taras widokowy oraz – jak dla mnie – kłócący się z krajobrazem wytwór nowoczesnej architektury, którego, niestety, nie da się wkomponować w otoczenie. Oby tylko ta przyspieszona wizja zmiany Gruzji w teoretyczny obiekt pożądania dla przyszłych turystów nie wyszła im bokiem.

Mam nieodparte wrażenie, że brakuje im punktu odniesienia, tak aby odnaleźć swoje miejsce w czasie i nie zaprzepaścić tego, co nam się wydaje największym bogactwem tego kraju. Tymczasem podążamy dalej na północ w stronę Mestii. Pytani o drogę tubylcy zaprzeczają, jakoby ta droga była przejezdna, a jeden nawet twierdzi, że jest na pewno nieprzejezdna z powodu zalegającego śniegu na przełęczy. Niezrażeni pogłoskami jedziemy jeszcze chwilę, po czym wynajdujemy miejsce na nocleg na wyspie pomiędzy korytami rzeki. Suchą stopę zapewnia nam „wodołaz Patrolek”.

Szybko organizujemy obóz, materiału na ognisko mamy pod dostatkiem, więc ognisko i pieczone ziemniaki to nie był wyszukany pomysł, do tego kefirek i kolacja wegetariańska jak znalazł. Pozostali biesiadnicy poszli spać, a ja jakoś... nie znalazłem w sobie weny na sen. Ognisko i szum rzeki zrobiły swoje. Pobylem tam jeszcze długo i nawet się sobą samym nie zmęczyłem. Rano też jakoś pierwszy się zerwałem, wygrzebałem z sentymentem zakopane resztę ziemniaków z tłącego się ogniska, spojrzałem na symptomy nadchodzącej pogody i bez obaw o znaczące zmiany w tej kwestii zacząłem pakowanie obozu razem z resztą ekipy. Dalej według planu, czyli droga w nieznanie przez niewiadome w stronę domniemanego.

Droga do Mestii od strony wschodniej, czyli Tsageri i Lentekhi, to podróż w czasie. Przejeżdżamy przez wyjątkowo „zapomniane” wioski drogami kategorii minus 2. Jedziemy 70 km przez 6 godzin, wliczając w to minimalne przystanki na zrobienie fotek. Droga wiedzie przez wąwozy, strumyki, śnieg i tak powoli w górę i w dół, czasami dłużej dolinami, w otoczeniu Kaukazu Wysokiego dojeżdżamy do Uszguni najwyższej położonej wioski. Pierwsze wieże i pierwsi turyści, którzy dojechali tutaj od strony Mestii. Wcześniej spotykamy tylko rowerzystę – szalonego Francuza. Ale gość!!! – jakby nie z tego świata. Rower z wózkiem, a droga, którą przejechał, my przejechalismy terenówką. Szacun wielki! Mijamy się także z dwoma rodakami na motocyklach. Oni jako pierwsi potwierdzają nam, że tą drogą naszym samochodem damy radę dojechać do Uszguni, a następnie do Mestii. Tutaj podróż w czasie nabiera innego znaczenia. W krótkim czasie nastąpił przeskok o jedną dekadę w przyszłość. Jeden wielki plac budowy. Szkło i beton w futurystycznym stylu miesza się z historią nieopodal tzw. centrum. Doświadczamy tego niebawem, decydując się na nocleg na kwaterze. Po negocjacjach cenowych – dochodzimy do w miarę akceptowanego poziomu jak za taki standard. To było ciekawe doświadczenie, niestety, nie da się opowiedzieć... to trzeba zobaczyć – co i za jaką kwotę oferują miejscowi tzw. przyjezdnym. Oj, czuję, że szybko zweryfikuje im to rzeczywistość i jakieś minimalne standardy obowiązujące w danym przedziale cenowym na świecie. Dodam tylko, że na początek zaproponowali nam 100 zł za osobę za nocleg ze śniadaniem, kolacją i łazienką z epoki kamienia gzyzowego – oczywiście nie odmówiłem sobie dokumentacji fotograficznej tego przybytku. Skończyło się na 40 zł po rezygnacji z kolacji i negocjacjach dotyczących wartości pozostałej. Po kąpeli, z nadzieją, że przeżyjemy to doświadczenie, idziemy do tzw. centrum na kolację, jednak po oczekiwaniu około 15 min na menu, zmieniamy lokal. Najedzeni, udajemy się w celu odespania zaległości. W wieloosobowym pokoju wybrałem sobie za łóżko twardą komodę z materacem po tym, jak sprawdziłem promień wyginania się materaca i sprężyn na bardzo miękkich łóżkach. Rano reszta stwierdziła, że dobrze wybrałem, kiedy oni muszą zająć się prostowaniem kręgosłupa, ja schodzę na śniadanie. Co prawda, już mi się przejadło chaczapuri, ale to było prosto z pieca, robione na bieżąco przez gospodynię. Do tego inne specjały zapełniły nasze brzuszki, więc teraz mogliśmy już myśleć o dalszej podróży na zachód i dalej wybrzeżem na południe w stronę Batumi i granicy z Turcją. Nieuchronnie nadszedł czas powrotu. Zjeżdżamy na plażę i, co prawda z niesmakiem, ale chłodzimy się w wodzie. Wiatr przywiał na plażę wszystko, co można sobie wyobrazić oraz dwa razy więcej niż sięga nasza wyobraźnia. Oszczędzę tych szczegółów, aby ocena nie brzmiała tendencyjnie.

Powinni to nagrać z lotu ptaka i emitować przed każdym programem w TV, aby uświadomić Gruzinom oraz innym nacjom graniczącym z morzem, co m.in. poza pięknym krajem oferują przyjezdnym. Tym razem nocleg wypadł w okolicach ogrodu botanicznego. Spotkany starszy jegomość wskazał nam uprzejmie opuszczoną posesję, na której rozłożyliśmy namiot w dobrej wierze i bezkonfliktowo z czymkolwiek, jednak rano sprowadził nas na ziemię, przychodząc z wyciągniętą ręką po kasę. Poprzedni wieczór spędziliśmy w Batumi w mniej lub bardziej znanych miejscach. Sympatyczne pożegnanie z mieszkańcami Gruzji w czasie skromnej kolacji. Przysłowiowa mamuśka ugościła nas z troską godną rodzonej mamy. Wracamy na nocleg już w deszczu. Tak wyszło, że pierwszy i ostatni dzień w Gruzji pod tym względem były do siebie podob-

ne. Tankujemy i w drogę. Robimy tego dnia około 650 km i wynajdujemy nocleg gdzieś w górach na skrawku równego terenu. Przechodzący pasterz ostrzega nas przed kleszczami. Poza odwiedzinami psów w środku nocy wszystko inne było rewelacyjne. Następnego dnia odbieramy Jurka przed granicą z Bułgarią i gdzieś pomiędzy plantacjami winorośli robimy szybki obóz noclegowy. Rano po krótkiej podróży stajemy na kąpiel w jeziorze i tak krótkimi skokami dojeżdżamy do Polski. W drodze jest tak gorąco, że chwalę Patrola do dzisiaj za to, że ma na wyposażeniu chłodziarkę. W innym przypadku jechalibyśmy ugotowani. Podróż zajmuje nam dosyć długi czas, ale to ze względu na noclegi, które spędzamy na spaniu, a nie jeździe non stop na zmiany.

Podsumowując, ja swoje zamierzone cele osiągnąłem. Zwiady dotyczące warunków egzystencji na wschodzie uważam za wystarczające przed przyszłoroczną podróżą na bardzo daleki wschód. Gruzja na kolana mnie nie rzuciła, ale myślę, że to poniekąd wina sposobu podróży. Zdecydowanie polecam wykorzystać ostatnie chwile tego, co tak urzekło pierwszych turystów „idąc” w świat i wybrać się tam na dłużej i na piechotkę, autostopem z plecakiem. Kaukaz jest niesamowity, jak i ludzie w odległych od cywilizacji zapomnianych miejscach. Są duże szanse, że odnajdziecie tę znikającą w szybkim tempie wrodzoną gościnność, pod warunkiem, że będziecie omijali wszystkie znane i okrzyczane miejsca. Gruzinom natomiast życzę, aby ruszyli w świat zobaczyć, jak to wygląda z innej perspektywy oraz pozbycia się mniemania, że są pępkiem świata.

„Śpieszmy się poznać Gruzję... tak szybko odchodzi....”

• Rozmaitości ze świata • • • • •

W Norwegii mieszkają przedstawiciele 220 narodowości – ogłosiło tamtejsze Centralne Biuro Statystyczne. Liczba cudzoziemców osiedlających się w skandynawskim kraju nadal szybko rośnie. W ubiegłym roku przybyło ich ponad 53 tys. Obecnie cudzoziemcy stanowią już 12 procent ludności kraju: jest ich niemal 600 tysięcy. Jeżeli doliczyć ich dzieci już urodzone w Norwegii, to procent ten wzrośnie do 14, a liczba do ponad 710 tysięcy. Polacy stanowią największą grupę obcokrajowców. Mieszka ich tam 77 tysięcy. Na drugim miejscu są już Szwedzi – 35 tysięcy, a na trzecim Litwini – 28 tysięcy.

Gruzja na długi weekend majowy



4 osoby: Asia i Tomek Kusiak oraz Kacper (5 lat) i Nina (3,5 roku) Kusiak.

Termin: 27 kwietnia – 5 maja 2012 r.

Przelot: Wrocław – Warszawa – linie OLT Express, bilety w promocyjnej cenie: osoba dorosła 99 zł, dziecko – 49 zł.

Warszawa – Tbilisi – Warszawa – linie LOT, bilety w promocyjnej cenie: osoba dorosła 370 zł, dziecko – 300 zł.

Warszawa – Wrocław – linie LOT, bilety w promocyjnej cenie – koszt dla 4 osób wyniósł 200 zł.

Czas przelotu Warszawa – Tbilisi – 3,5 godziny.

Informacje praktyczne:

Różnica czasu: +2 h

Waluta: 1 lari = 2 zł

Wiz brak.

Nie pobiera się opłat za wstępy do kościołów. Pod wieloma z nich stoją żebrzące babcie, ale nie są zbyt natarczywe. Z reguły datków nie dawaliśmy.

Temperatura w dzień: +25 stopni C, Kazbegi – około +10 stopni C, na Kaukazie leżał śnieg, na górze Kazbek szalała burza śnieżna.

Ceny noclegów i jedzenia wysokie.

Bardzo smaczne jedzenie w cenach: 2 kinkali – 1 lari, sałatka z pomidorów i ogórków – 3–5 lari, chaczapuri – 8 lari, szaszłyk – 7 lari.

Woda mineralna 1 litr – 1 lari, coca – cola 1 litr – 1 lari, sok w kartonie 1 litr – 2 lari, piwo w sklepie – 1,5 lari, masala (orzechy zatopione w syropie winogronowym) – 2–6 lari, 1 kg jabłek – 6 lari.

1 dzień: Tbilisi – Telavi

Wylądowaliśmy w Tbilisi o nikczemnej porze w środku nocy (godz. 3.00). Skorzystaliśmy z dobrze poinformowanego i bardzo pomocnego pracownika lotniskowego punktu informacyjnego (mówił w języku angielskim, francuskim, rosyjskim), który zamówił nam taksówkę do Telavi – koszt 80 lari. Taksówkarze stojący pod lotniskiem

żądali znacznie więcej. Minęliśmy senną stolicę i pomknęliśmy przez malownicze góry do Kachetii, do Telavi. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się, przepuszczając przebiegającą drogą stada krów lub owiec. Za 2 godziny, tuż przed godz. 6.00 byliśmy w Telavi, pukając do domu Svetlany na ul. Nadikvari 15. Nie byliśmy wcześniej umówieni, ale nie było problemów z noclegiem. Za noc ze śniadaniem dla całej czwórki zapłaciliśmy 30 lari za pokój. Svetlana robiła przepyszne i obfite śniadania. Mówiła trochę po angielsku. Miała znajomego – Davida Luashvili (purgatorium@rambler.ru), który oferował usługi transportowe, można było go wynająć jako kierowcę i przewodnika po Gruzji. Znał angielski. Cenę ustalało się co do każdego wyjazdu. David był bardzo rzetelny, nigdy się nie spóźniał, nie jeździł pod wpływem alkoholu (co Gruzinom się zdarza), droga przebiegała nam bezpiecznie i w miłej atmosferze. Placiliśmy tylko za przejazdy, David sam organizował sobie posiłki. Nigdy nas nie poganiał, mieliśmy do woli czasu na zwiedzanie.

My jeździliśmy razem z Davidem od dnia następnego, gdyż w dniu, w którym przyjechaliśmy, był już zajęty jeżdżeniem z dwójką Polaków z Katowic.

Po śniadaniu Svetlana zorganizowała nam kierowcę zastępczego – swego rosyjskojęzycznego sąsiada, który za 40 lari zawiózł nas do Akademii Ikalto, klasztoru Ala-verdi, winnicy Napereuli i twierdzy Gremi. Wszystkie te miejsca zwiedzało się przyjemnie, bez tłumów turystów na karku. Pod Akademią Ikalto kręcił się samozwańczy przewodnik, emerytowany nauczyciel historii, który dostał od nas 5 lari za 3-minutową opowieść o historii zabytku. Trochę pomarudził, że mało, ale dał nam spokój.

Za kosztowanie wina w Napereuli trzeba było zapłacić aż 30 lari. O gruzińskich metodach produkcji wina opowiedział po angielsku jeden ze współwłaścicieli winnicy.

Na wieczorny obiad wróciliśmy do Telavi do restauracji „Majdani”, której szylf widnieje tylko w języku gruzińskim. W poszukiwaniu tego pysznego adresu trzeba poprosić uczynnych miejscowych. Restauracja mieści się w piwnicy przy głównej ulicy miasta. Zjedliśmy tam najsmaczniejsze posiłki podczas całego pobytu w Gruzji. Ceny: 10 kinkali – 5 lari, sałatka z pomidorów i ogórków – 3 lari.

2 dzień: Telavi

Tego dnia byliśmy już umówieni z Davidem. Przyjechał punktualnie i po naszym śniadaniu ruszyliśmy poczuć miejscowe klimaty na niedzielnym targowisku w Bodbiskhevi. Targ jak targ, szwarc mydło i powidło, żywe zwierzęta, ziarno, warzywa, mięso (w tym mózdzki). Zakupiliśmy tam sery kozie (4 lari za 30 dag) oraz pyszny olej słonecznikowy 1 litr – 5 lari. Produkty świeże, nieprzetworzone, naturalne, ekologiczne. Na targu to my stanowiliśmy atrakcję, a przede wszystkim nasza córka siedząca w nosidle na plecach Tomka. Stamtąd już było niedaleko do Sighnaghi – miasta na Światowej Liście Dziedzictwa Kultury UNESCO z uwagi na piękną kamiennie-drewnianą zabudowę. Miasteczko zostało odnowione z funduszy UNESCO i prezentowało się bardzo uroczo. Należało tylko uważać na naciągacza – żebraka „urzędującego” w jednej z kamiennych wież. Na szczęście zadowolili się 1 lari.

Po leniwej włóczędce po mieście wyruszyliśmy jeszcze do klasztoru Świętej Nino, 2 km od Sighnaghi, w miejscowości Bodbe. Po obejrzeniu kościoła i grobowca chcieliśmy jeszcze zobaczyć święte źródelko oddalone od monastynu jakieś 3 km. Przez chaszcze i wertepy dojechaliśmy tam samochodem, ale długa kolejka oczekujących do

wejścia zniechęciła nas i wróciliśmy do Telavi na kolejną pyszną obiadokolację w „Maj-dani”. Wycieczka kosztowała nas 70 lari.

3 dzień: Telavi – Davit Gareja – Tbilisi

Z braku turystów w Telavi David postanowił zawieźć nas do Tbilisi, spać tam u kuzyna i obwozić nas po innych zaplanowanych atrakcjach Gruzji. Na pierwszy ogień poszedł Davit Gareja, do którego jechaliśmy prosto z Telavi. Bez własnego transportu tam się nie dojedzie.

Nie płaciło się za wejście, bo stanowiła je wydeptana ścieżka pod stromą górę wśród traw, kamieni i krzaków. Nie było żadnych oznaczeń. Idąc trzeba było uważać na jadowite węże. W połowie drogi doszliśmy do urwiska skalnego będącego czymś na kształt platformy widokowej, z której widać część klasztoru. Warto się tu zatrzymać, zrobić zdjęcia i nabrać sił przed dalszą wspinaczką. Gdy dotarliśmy na szczyt przełęczy pokrytej głazami, po których czmychały jaszczurki, to okazało się, że droga pod górę to była „bułka z masłem”, a najgorsze dopiero przed nami. Czekala nas wędrowka bardzo wąską ścieżką na skraju przepaści. Szliśmy skalną półką pokrytą pyłem i trawą będącą jeszcze terenem Gruzji, a przepaść należała już do Azerbejdżanu. Widoki były przepiękne. Na szczęście dzieciaki wyczuły powagę sytuacji, wyjątkowo nie przepychały się między sobą i grzecznie sły prowadzone przez nas za rękę. Idąc, co jakiś czas podziwialiśmy pieczary z ponad 1000-letnimi freskami, aż wreszcie dotarliśmy do zamkniętej kaplicy na szczycie. Droga powrotna odbyła się inną ścieżką, ale charakteryzującą się tą samą „jakością”. Mieliśmy też niebywałe szczęście spotkać dziko żyjące żółwie lądowe. Na koniec weszliśmy do klasztoru, który można zwiedzać tylko w niewielkiej części. Z perspektywy czasu uważamy, że wyprawa do Davit Gareja była najciekawszym punktem naszej podróży!

Zwiedzanie zajęło nam 3 godziny, ale, będąc bez dzieci, powinno się zmieścić w 2 godzinach. Koszt całodennej wyprawy wraz z dojazdem do Tbilisi wyniósł nas 100 lari.

Prosto z Davit Gareja pojechaliśmy do Tbilisi. Tam zakwaterowaliśmy się na 5 nocy w hotelu Vere Inn w dzielnicy Vere, ul. Barnov 53, 15 minut na piechotę od centrum. Hotel rezerwowaliśmy wcześniej przez Internet. Jednocześnie wynegocjowaliśmy o 20 dolarów niższą cenę – czyli 72 dolary za noc za pokój ze śniadaniem. Nie skorzystaliśmy z tańszych hosteli, gdyż warunki w nich nie były odpowiednie dla małych dzieci. W tym hotelu mieliśmy też darmową nianię – pani Eka – jedna z pracownic tak bardzo polubiła nasze dzieci, że codziennie wieczorem zajmowała się nimi!

4 dzień: Tbilisi – Mtskheta – Tbilisi

Nasz kierowca z powodów rodzinnych na 1 dzień musiał wrócić do Telavi. Zatem my postanowiliśmy zwiedzić dawną, a potem obecną stolicę Gruzji na własną rękę. Metrem dojechaliśmy do dworca autobusowego Didube. W metrze należy kupić kartę, którą się doładowuje. Nie należy wyrzucać rachunku za tę kartę, bo tylko na jego podstawie oddają kaucję za kartę. Przejazdy metrem były tanie (0,5 lari za przejazd za osobę dorosłą), dzieci jeździły za darmo. Na dworcu autobusowym Didube kupiliśmy bilety tylko dla dorosłych na mikrobus do Mtskhety (dzieci jechały, siedząc na naszych kolanach). Aby wysiąść koło kościoła Sveti Skoveli, trzeba poprosić współtowarzyszy podróży o pomoc – wskazać odpowiedni przystanek. Zwiedziliśmy świątynię Samtavro i Sveti Skoveli. Wróciliśmy do Tbilisi, wsiadając w marszrutkę zatrzymującą się przy

głównej drodze w okolicy klasztoru Samtavro. Potem do późna włóczyliśmy się po Starym Mieście stolicy Gruzji, oglądając kościoły różnych wyznań religijnych, w tym synagoge.

5 dzień: Tbilisi – Uplistskhe – Gori – Tbilisi

Nasz kierowca wrócił do Tbilisi i zabrał nas do Uplistskhe. Po drodze znowu zajechaliśmy do Mtskhety, by zobaczyć kościół Jvari, którego podczas poprzedniego pobytu, z uwagi na położenie poza centrum, nie udało nam się zobaczyć. Oprócz ciekawych wnętrz świątyni, zobaczyliśmy piękną panoramę dawnej stolicy Gruzji. Potem pojechaliśmy do Uplistskhe, gdzie płaciliśmy za wstęp 5 lari za osobę dorosłą. To kamienne miasto warto było odwiedzenia.

Następnie udaliśmy się do Gori, do Muzeum Stalina. Samochód został zaparkowany w cieniu, z tyłu muzeum, dlatego też zwiedzanie zaczęliśmy nie od głównego wejścia, ale od strony wagonu kolejowego Stalina. Zanim zdążyliśmy zareagować, dzieciaki były już w środku wagonu i rozpoczęły zwiedzanie. Kiedy my obejrzeliśmy już wszystko, podeszła do nas pracownica muzeum z pytaniem o bilety wstępu. Odpowiedzieliśmy, że nie mamy, ale zaraz kupimy. I byśmy to zrobili, gdyby nie to, że bilety wstępu do wagonu (kupuje się je w budynku muzeum) okazały się strasznie drogie – 10 lari od osoby dorosłej, a oferta w wagonie przedstawiała się strasznie marnie. Z uwagi na to, że nikt więcej nie interesował się naszym bezbiletowym zwiedzaniem wagonu, kupiliśmy tylko bilety do Muzeum Stalina. Ich cena to był robót w biały dzień – 15 lari od osoby dorosłej. Cena w ogóle nie odzwierciedlała jakości eksponatów. Dawno nie widzieliśmy tak beznadziejnej ekspozycji. W 80% wystawę stanowiły reprodukcje starych zdjęć Stalina oraz wydane w różnych językach „dzieła” o nim. Podobno Gruzini mają plany zamknięcia tego muzeum, gdyż nie chcą, aby Gori słynęło tylko z ich niechlebnego rodaka.

Po rozczarowujących doznaniach kulturalnych udaliśmy się do jedynej w centrum Gori restauracji, która mieściła się przy ulicy Stalina, około 500–800 metrów od muzeum. Każdy miejscowy wskaże, gdzie ona jest. Jedzenie było smaczne.

Koszty transportu wyniosły nas 60 lari.

6 dzień: Tbilisi – Kazbegi – Tbilisi

O godz. 8.00 wyruszyliśmy samochodem w góry Kaukaz, jadąc malowniczą „drogą wojenną”. Po drodze zwiedziliśmy twierdzę Annanuri i zbiornik Zhinvali. Wyjazd do Kazbegi wraz z powrotem kosztował nas 150 lari. Aby obejrzeć kościół Tsminda Sameba w Kazbegi położony malowniczo na tle szczytu Kazbek, trzeba było wynająć kolejny samochód z napędem na 4 koła, który kosztował nas dodatkowo 100 lari w dwie strony. W celu wynajęcia samochodu trzeba pytać miejscowych. Nie było z tym problemu. Po powrocie z Tsminda Sameba zjedliśmy obiad w miejscowym barze i ruszyliśmy w długą drogę do Tbilisi.

7 dzień: Tbilisi

Od rana do wieczora włóczyliśmy się po Tbilisi według tras opisanych w przewodniku Lonely Planet. Odwiedziliśmy położony w centrum i wart zobaczenia lokalny targ „Suchoj Most” oferujący różnorodność pamiątek. Ze Starego Miasta do hotelu wróciliśmy metrem. Powrót do Warszawy był w środku nocy (godz. 4.40), a następnie lot do Wrocławia nad ranem (godz. 7.25).

Joanna Kusiak

Indonezja – Bali, Gili, Jawa



7 osób: Asia i Tomek Kusiak, Kacper (5 lat) i Nina (3,5 roku) Kusiak + dwoje znajomych z 8-letnim synem.

Termin: 11 lipca – 3 sierpnia 2012 r.

Odwiedzone miejsca: Sanur, Gili Travangan, Candidasa, Tirta Gangga, Tulamben, Sekumpul, Lovina, Pulaki, Pemuteran, Kawah Iljen, Bromo, Ubud, Goa Lavah Temple, Tenganan, Goja Gajah, Ulu Watu, Tanah Lot, Tirta Empul, Alas Kedaton, Taman Ajun, Gunung Kawi, Besakih, Ulun Danu, Tanjung Benoa.

Informacje praktyczne:

Przelot: Wrocław – Frankfurt nad Menem (Lufthansa) – Seul (Korean Air) – Denpasar (Korean Air) i powrót odpowiednio.

Wizy: typ „on arrival” załatwiane na lotnisku w Denpasar po przylocie – koszt 25 dolarów od osoby + 150 000 rupii opłata od osoby przy wylocie (płatne tylko w rupiach!).

Waluta: 10 000 rupii indonezyjskich (Rp) – 1 dolar USA.

Różnica czasu: Bali: + 6 godz.; Jawa: + 7 godz.

Zdrowie: brak szczepień obowiązkowych. Na Bali i wschodniej Jawie nie było zagrożenia malarią. Komarów nie było. Istniało natomiast zagrożenie wścieklizną, ale zwykle środki ostrożności w zupełności wystarczały, by uchronić się przed tą chorobą (nie głaskaliśmy psów, kotów, małp).

Pogoda:

Bali: podczas naszego pobytu była wtedy pora sucha, ale przez pierwsze 3 dni lało. Podczas deszczu obowiązkowo trzeba było się schować, bo przemakało się do suchej nitki i robiło się dosyć chłodno. Ulewy trwały 15–30 minut. Generalnie było bardzo ciepło, ale nie upalnie. Trzeba było jednak pamiętać o tym, że na plażach po godz. 16.00 zrywał się wiatr i robiło się chłodno. Ponadto w okolicy jeziora Bedugul i świątyni Ulun Danu Bratan też było dosyć zimno jak na lato – około 18 stopni C.

Jawa: z uwagi na nocne wejścia na wulkany Iljen i Bromo należało ubrać się w polary i kurtki oraz czapki i rękawiczki. W ciągu dnia robiło się gorąco.

Zakwaterowanie: tylko pierwszy nocleg w Sanur zarezerwowaliśmy sobie przez Internet, z powodu ładowania o godz. 1.00 w nocy. Wszystkie następne noclegi szukaliśmy na miejscu. Pokój 3–4 osobowy z klimatyzacją i łazienką oraz śniadaniem dla 4 osób kosztował nas 80 000–385 000 Rp. Średnio płaciliśmy 250 000 Rp. Rzadko udało nam się znaleźć pokoje czteroosobowe, najczęściej spaliśmy w trzyosobowych.

Wyżywienie:

Śniadania: standardowe śniadania indonezyjskie to naleśnik z bananami i miodem lub omlet/ jajecznica z chlebem tostowym oraz kawa lub herbata.

Obiady: 15–80 tys. Rp od osoby.

Jedzenie bardzo smaczne. Piliśmy wyciskane soki owocowe wraz z lodem i nie prowadziło to do żadnych dolegliwości żołądkowych.

Przykładowe ceny: woda mineralna 1,5 litra – 4–4,5 tys. Rp; naleśnik, omlet – 15–20 tys. Rp; wyciskane soki owocowe – 8–15 tys. Rp; ryby, krewetki, inne owoce morza wraz z ryżem smażonym z warzywami – 30–60 tys. Rp; pizza – 25–40 tys. Rp; spaghetti – 25–35 tys. Rp; zupa – 10–30 tys. Rp; owoce (dosyć drogie) – 1 kg – 4–15 tys. Rp; z owoców pyszne były salaki!; piwo Bintang (też drogie, ale dobre) 0,5 litra – 25–30 tys. Rp; inne alkohole bardzo drogie; drinki w restauracjach – 30–40 tys. Rp w górę, kawa – 5 tys. Rp; herbata – 3 tys. Rp.

Polecamy małe przydrożne knajpki oferujące jedzenie dla miejscowych, w których menu było w języku indonezyjskim. Były znacznie tańsze od tych z menu po angielsku.

Widokówka – 3 tys. Rp; znaczek do Polski – 12 tys. Rp.

Korzystaliśmy z masażu balijskich: 1 godz. – 50–100 tys. Rp. Tanie też były usługi kosmetyczne w czystych gabinetach: pedicure, manicure nawet od 30 tys. Rp.

Zwiedzanie świątyń: do świątyń dorośli wchodził w sarongach. My mieliśmy własne. W każdej świątyni można było je wypożyczyć – koszt – 3–5 tys. Rp. Ramiona mogły być odkryte. Przy niektórych świątyniach widniał napis głoszący zakaz wejścia dla kobiet z miesiączką! Bilety wstępu kosztowały między 10 a 40 tys. Rp. Przy tym jak zwiedzaliśmy 2, 3 świątynie dziennie, w ramach oszczędności szybko przestaliśmy kupować bilety dla dzieci. Nikt się nie czepiał, że wchodziły bez biletu.

Tańce balijskie w Ubud: Kecak Dance – koszt 75–80 tys. Rp od osoby (nie ma zniżek dla dzieci).

Wycieczka na Jawę aby zwiedzić Iljen i Bromo: wyjazd wykupiony na Bali w miejscowości Pemuteran wraz z powrotem do tej samej miejscowości (wycieczki kupowane na Jawie są tańsze); cena dla 4 osób wyniosła 3 mln. Rp i zawierała: przejazd z Bali na Jawę wraz promem, wynajem jeepa i przejazd pod Iljen, przejazd pod Bromo, nocleg pod Bromo, śniadanie, wynajem jeepa i wjazd na Bromo, powrót na Bali wraz z promem. Osobno płatne obiady, bilety wstępu, przejazd konno na Bromo w dwie strony – 150 tys. Rp. od konia.

Transport: jeszcze w Polsce przed wyprawą poszukaliśmy przez Internet kierowcy wraz z samochodem. Aryana Ngurah (mieszkaniec Nusa Dua) zaoferował nam samochód z klimatyzacją dla 7 osób + sporo bagażu za 40 dolarów za dzień. Przyjechał po nas miły człowiek, który chwalił się tym, że przyjaźni się z Polakami i był w Polsce na początku 2012 r. Szybko okazał się oszustem, który z nieustannym uśmiechem na ustach próbował wymuszać od nas coraz więcej kasy, nawet za to, że przez cały dzień nie zamierzaliśmy korzystać z jego usług! Błyskawicznie odprawiliśmy go z kwitkiem

i znaleźliśmy sobie nowego kierowcę. Po Bali bardzo wygodnie podróżowało się wynajętym samochodem wraz z kierowcą, ale pod warunkiem, gdy było się w grupie najwyżej 4-osobowej. Balijszczyki mieli małe samochody i za wynajęcie takiego płacono odpowiednio mniej – około 50 dolarów za dzienną wyprawę. My z racji bycia 7-osobową grupą, niestety, musieliśmy zapłacić więcej – 60 dolarów za dzień.

Opis wyprawy

1 dzień: lot: Wrocław – Frankfurt – Seul – Denpasar

Na lotniskach we Frankfurcie i Seulu mieliśmy 4 i 5 godzin oczekiwania. Lotnisko w Korei okazało się bardzo przyjazne. W strefie transferowej skorzystaliśmy z darmowych: pryszniców (płyn pod prysznic i ręczniki też za darmo), foteli masujących, leżanek i Internetu.

2 dzień: Denpasar – Sanur

W Denpasar wylądowaliśmy około godz. 1.00 w nocy czasu miejscowego. Formalności wizowe i bagażowe trwały dość długo, gdyż lotnisko pełne było turystów. Klimatyzacja działała kiepsko i było gorąco. Bankomat znajdował się koło stanowiska odbierania bagażu. Po wyjściu z lotniska udaliśmy się na prawo do kolejki do okienka, w którym wykupywało się bilet na oficjalną taxi do Sanur lub Kutu. Koszt to 50 tys. Rp. od osoby. Tomek zaczął rozglądać się dookoła i namierzył taksówkarza, który całą naszą siódmkę zawiózł do Sanur za 250 tys. Rp. Rozwiązanie polegające na znalezieniu hotelu przez Internet okazało się trafne, bo Sanur w nocy było całkiem wymarłe. Hotel „Watering Hole II” na Tambling Street 60 był drogi – 385 tys. za pokój 4-osobowy z klimatyzacją i łazienką bez śniadania (jedyne przypadki pokoi bez śniadania podczas całej wyprawy). Śniadanie zjedliśmy w barze naprzeciwko hotelu i udaliśmy się na plażę. Nie zachwyciła nas. Sanur było dla nas miejscem szybkiej regeneracji po męczącym locie i punktem przerzutowym na wyspy Gili. W hotelu załatwiliśmy bilety na szybką łódź na Gili. W relacjach z poprzednich lat wiele osób przedostawało się na Gili za pośrednictwem statku Perama. My w ogóle nie widzieliśmy ofert tej firmy. Może dlatego, że szybkie łódzie potaniały. Wycieczka na Gili Travangan wraz z powrotem na Bali kosztowała naszą czteroosobową rodzinę 1350 000 Rp. (osoba dorosła 450 tys. Rp., dziecko 225 tys. Rp. Opłacało się kupić bilet w dwie strony, gdyż dostawało się zniżkę). W cenie był przejazd busem z naszego hotelu w Sanur do Padangbai – portu promowego na Gili. Woleliśmy wykupić oficjalny transport dla turystów – droższy, ale bezpieczny. Łódzie przewożące Indonezyjczyków często toną z przepełnienia.

3 dzień: Sanur – Gili Travangan

Przejazd busem Sanur – Padangbai trwał około 1,5 godziny. Łódź na Gili Travangan płynęła 2 godziny. Podróż nie miała nic wspólnego z relaksem. Bardzo kołysało i wiele osób korzystało z dostępnych woreczków foliowych. Łódź nie była przepełniona, ile miejsc – tyle osób. Nasze dzieci czuły się doskonale, choroba morska im nie doskwierała.

Znalezienie odpowiedniego, czyli w miarę taniego zakwaterowania na wyspie zajęło trochę czasu (około 2 godz.), ale czekanie z dziećmi, które szczęśliwie bawiły się na ładnej plaży, nie stanowiło problemu. Zamieszkaliśmy w trzecim szeregu domów

od plaży, do której mieliśmy około 3 minuty drogi (kompleks bez nazwy). Cena pokoju z wiatrakami i łazienką, ze śniadaniem dla 4 osób wyniosła 150 tys. Rp.

4–8 dzień: Gili Travangan

Na temat tej wyspy słyszeliśmy wiele niepochlebnych opinii, które zdecydowanie obalamy:

- „że głośno, bo przy głównej drodze dyskoteka obok dyskoteki” – w naszym trzecim szereg w ogóle nie było tego słychać,
- „że dużo turystów” – i co z tego? Mili, kolorowi, sympatyczni ludzie w różnym wieku,
- „że imprezowa” – och, miło było na to chociaż popatrzeć umęczonym dziećmi rodzicom i przypomnieć sobie studenckie czasy... A dzieciaki? Zachwycone atmosferą letniego wyluzowania!
- „że drogo” – dla chcącego nic trudnego. Nie tylko mieliśmy tanie noclegi, ale także odkryliśmy, że o godz. 19.00 naprzeciwko moło otwierana była nocna uliczna jadłodajnia. Miejscowi rybacy przywozili tam świeże owoce morza i ryby. Smażyli i podawali wraz z ryżem i warzywami. Jeśli ktoś nie chciał ryb, to mógł kupić szaszłyki z kurczaka podane w przepysznym sosie orzechowym. Takie dania kosztowały 10–15 tys. Rp. Dzieciaki delectowały się ogromnych rozmiarów omletem z bananami, czekoladą, wiórkami kokosowymi i orzechami za 10 tys. Rp., popijając to sokiem z wyciskanych owoców za 10 tys. Rp. Wszystko to kosztowało ¼ ceny w restauracjach, a... świetna atmosfera gratis!

W porównaniu do plaż balijskich to plaża na Gili Travangan była ładna. W lipcu nie była zatłoczona (szczyt sezonu w sierpniu). Widzieliśmy kawałek plaży na Gili Air, gdy dopłynęliśmy tam łodzią do miejsca będącego namiastką portu. Nie zachęcała do wizyty. Może dalej była ładniejsza. Ale porównując sytuację, gdy łódź dopływała do Gili Travangan, to aż chciało się skoczyć na brzeg. Dzieci miały co robić w białym piasku, ale do wody wchodziły w butach ze względu na kamienie i duże ilości martwego koralowca. Dorośli, nie ruszając się z koca, mogli skorzystać z masażu albo zrobić trzy kroki i sączyć drinki w knajpkach na plaży.

Jednakże Gili Travangan na pewno rozczarowała nas pod względem możliwości snorklowania. Aby zobaczyć rafę koralową, trzeba było wziąć wycieczkę łodzią – nie skorzystaliśmy.

Informacje praktyczne

- bardzo dużo bankomatów;
- często wyłączali prąd z uwagi na przeciążenia w sieci – konsekwencją tego był brak klimatyzacji oraz wody do mycia (pompy nie pracowały). Ale, może to dziwnie zabrzmieć – nie było to dla nas uciążliwe. Na wakacjach nie denerwujemy się. Poza tym nie było tych awarii na tyle dużo, by przez 4 dni naszego pobytu utrudniało to nam komfortowe funkcjonowanie;
- tanie noclegownie nie miały słodkiej i ciepłej wody w kranach. Też nam to nie przeszkadzało. Letnia woda była doskonała w upały, a jej słoność była naprawdę minimalna, bo woda morska płynąca w kranach była odsalana;
- na wyspie nie ma żadnych pojazdów mechanicznych, my poruszaliśmy się pieszo; można pożyczyć rowery lub wynająć bryczkę z koniem – koszt 20 tys. Rp.

Podsumowując pobyt na Gili Travangan, to był on bardzo przyjemny i niesamowicie odpoczęliśmy.

8 dzień: Gili Travangan – Tirta Gangga

Powrót na Bali obył się bez niespodzianek, ale rejs był dłuższy, bo po drodze zabieraliśmy pasażerów z Gili Air i Lombok. Do Tirta Gangga dojechaliśmy wieczorem i zamieszkaliśmy tuż za murem ogrodów wodnych w dość kiepskiej jakości hotelu z pokojem z łazienką i śniadaniem za 80 tys. Rp. Obok ogrodów znajdowało się kilka hoteli. My już nie mieliśmy siły szukać czegoś lepszego, zwłaszcza że rano wyjeżdżaliśmy.

9 dzień: Tirta Gangga – Tulamben

Rano obejrzelśmy wodne ogrody. Szkoda, że pogoda nam nie dopisała – sporo padało – bo to urokliwe miejsce w świetle słońca ukazałoby nam się w pełnej krasie. Prosto stamtąd pojechaliśmy do Tulamben snorklować w okolicach zatopionego statku. Niestety, przejrzystość wody tego dnia była słaba i nic nie zobaczyliśmy.

10 dzień: Tulamben – Sekumpul – Lovina

Tego dnia kierowca chciał nam pokazać wodospady Git – Git, ale uparliśmy się przy miejscowości Sekumpul. On nie chciał nas tam zawieźć, bo nigdy tam nie był i nie znał drogi. Pokazaliśmy mu mapę i kazaliśmy jechać. I warto było! Dojechaliśmy do miejsca będącego kompletnie poza wszelkimi szlakami turystycznymi. Parę małych gospodarstw rozsianych w dżungli, wokół palmy, drzewa goździkowe, kawa, trawa cytrynowa, parę ścieżek, trochę przygotowanych tras dla prawie nieobecnych przyjezdnych. Znowu dopadła nas ulewa i w ostatniej chwili zdążyliśmy schronić się w jakimś gospodarstwie. Jego właściciel zaoferował nam najdroższą kawę świata – luwak coffee – własnej produkcji, gdyż hodował luwaki. Cena wyjściowa to było 50 000 Rp za filiżankę. Ale z uwagi na to, że w tym samym gospodarstwie schronili się też Polacy z Poznania, to rodacy skrzętnie przekazali nam informację, że stargowali cenę kawy do 20 000 Rp. I za taką cenę udało nam się tę kawę spróbować. Smaczna, ale... kawa jak kawa. Raz kupiliśmy i wystarczy. Gdy ulewa ustała, ruszyliśmy w dalszą drogę. Szliśmy przygotowaną ścieżką, przeprawiliśmy się w bród przez płytki strumień i wreszcie dotarliśmy do przepięknych wodospadów. Z wielkich skał pokrytych roślinnością spadały kaskady wody. Wokół nie było żadnych turystów czy handlarzy pamiątkami. Tylko my i piękne, ogromne wodospady w środku dżungli. Szkoda, że ulewa zabrała nam sporo czasu, bo po obejrzeniu pierwszego wodospadu musieliśmy już wracać. Następne były oddalone około dwie godziny drogi. Zdjęcia robiliśmy aparatem do zdjęć podwodnych, gdyż mokra mgiełka była wszędzie.

Z Sekumpul pojechaliśmy do Loviny. Tam tylko spaliśmy w jednym z wielu bungalowów usytuowanych w pasie przy plaży. Od początku nie zamierzaliśmy brać udziału w wycieczce łodziami stanowiącej pogoń za delfinami. Raczej chcieliśmy skorzystać z kąpeli w morzu, ale wspomniani wcześniej rodacy z Poznania przestrzegali nas przed tym z uwagi na wpuszczane tam do morza ścieki.

11 dzień: Lovina – Pemuteran

Zrezygnowawszy z plażowania w Lovinie, postanowiliśmy to nadrobić w Pemuteran – cichej miejscowości z ładną wulkaniczną plażą. Rafa koralowa była nikła, ale w odbudowie. Przy plaży usytuowane były resorty. Tańsze hotele znajdowały się przy głównej drodze przelotowej lub w kierunku odwrotnym do plaży. Nocleg znaleźliśmy w hotelu „Bynda Sya”, który znajdował się w tańszej części. Pokoje były ładne i prze-

stronne. Wieczorem w naszym hotelu skorzystaliśmy z masażu balijskich oraz załatwiliśmy wycieczkę na Jawę dla całej naszej rodzinie. Znajomi nie chcieli jechać. Na rogu drogi dojazdowej do naszego hotelu i głównej drogi znajdował się warung „Mai Malu”, w którym zjedliśmy najpyszniejszy posiłek podczas całego pobytu na Bali.

12 dzień: Pemuteran – Kavah Iljen (kopalnia siarki) – Bromo

Po pobudce o godz. 2.00 w nocy prosto z naszego hotelu wyruszyliśmy na Jawę. Razem z naszą czwórką jechała też czteroosobowa rodzina z Francji. Większość trasy, czyli przejazd do Gilimanuk (Bali), przeprawę promową do Ketapang (Jawa), późniejszy transport przez Jawę wraz z wyprawą jeepami do Iljen, przespałam, idąc w ślady dzieci. Około godz. 7.00 dotarliśmy pod Iljen. Jeszcze było chłodno, ale po drodze w górę rozbieraliśmy się coraz bardziej. Bez dzieci wejście na kalderę wulkanu zajmowało około 1 godziny. Nam zajęło to trochę ponad 2 godziny. Zmęczenie spowodowane wczesną pobudką dawało o sobie znać. Droga pod górę nie była trudna, ale wydawało nam się, że nigdy się nie skończy. Trudy wejścia zostały nagrodzone widokiem zapierającym dech w piersiach – dosłownie i w przenośni. W kraterze znajdowało się szmaragdowe jezioro, a wydobywające się z głębi opary siarki były duszące. Mieliliśmy sporo szczęścia, gdyż podczas schodzenia do krateru nigdy wiatr nie zawiął nam kłębow siarkowego dymu prosto w oczy. Schodziliśmy na zmianę w towarzystwie jednego z górników kopalni siarki, który miał na imię „To” i znał kilka słów w języku angielskim. Dzieci zostały na kalderze. Za przeprowadzenie nas tam i z powrotem zapłaciliśmy naszemu przewodnikowi 150 tys. Rp. Dla nas to nie był duży wydatek, a dla tego miłego człowieka w dziurawych kaloszach, ojca czwórki dzieci to był prawie półmiesięczny zarobek. Można było schodzić samemu, ale nie było tam wyraźnej ścieżki i łatwo można było się zgubić wśród skał i kamieni. A błądzenie w oparach gryzącego siarkowego dymu nie należało do przyjemności. Zejście do parkingu, gdzie czekał na nas jeep, było trudniejsze i jeszcze bardziej męczące niż wejście. Zajęło nam też około 2 godzin. Kierowca odwiózł naszych francuskich towarzyszy podróży na prom i wyruszyliśmy w głąb Jawy. Dotarcie pod Bromo zajęło nam 8 godzin (około 100 km).

13 dzień: Bromo – Pemuteran

Do hotelu „Yoshi” pod Bromo dojechaliliśmy około północy. Pokój miał tylko 1 łóżko, a łazienka (z gorącą wodą) była na korytarzu. Byliśmy tak padnięci, że wszyscy na kupie zasnęliśmy od pierwszego przyłożenia głowy do poduszki. Pobudka o 3.00 w nocy i już jechaliśmy jeepem wraz z 200 innymi jeepami (każdy co najmniej 4, 5 osób) na wulkan. Sprawnie dotarliśmy na górę i znaleźliśmy dobre miejsce na platformie widokowej w pierwszej linii do obserwacji wschodu słońca. Tomek fotografował wulkan w promieniach wschodzącego słońca, a dzieci siedziały na ziemi i uśmiechały się do fotografujących je Indonezyjczyków. Tłum wokół nas zrobił się tak duży, że zaczęłam się zastanawiać, co jest większą atrakcją – wulkan czy białe dzieci? Gdy słońce już wzeszło, wróciliśmy do naszego jeepa i udaliśmy się w dół, by dojechać pod Bromo. Tam postanowiliśmy nagrodzić nasze dzieci za dzielność i wytrzymałość, fundując im wjazd konno na Bromo. Wynajęcie 1 konia w 2 strony to był koszt 150 tys. Rp. Konie dojechały pod schody prowadzące na kalderę wulkanu. Dalej drogę pokonywało się właśnie po nich. Pył wulkaniczny dla dzieci nie był bardzo uciążliwy. Syn miał maskę na twarzy, córka nie.

Powrót na Bali zajął nam około 10 godzin.

14 dzień: Pemuteran – gorące źródła – Ubud

Rano już całą siódmką jechaliśmy główną drogą na północy wyspy do Ubud. Po drodze zwiedziliśmy jedyną na Bali świątynię buddyjską oraz gorące źródła w Air Panas. Przewodnik Lonely Planet nic nie napisał o tym bardzo przyjemnym miejscu. Baseny położone w malowniczych ogrodach zbudowane były w stylu świątyni balijskich z charakterystycznymi hinduskimi rzeźbami. Dla gości dostępne były przebieralnie, prysznice oraz restauracja. Wstęp – 30 tys. Rp od osoby. Po kąpieli w relaksujących siarkowych wodach leczniczych na wieczór dotarliśmy do Ubud. Szukanie hotelu po zmroku zajęło około godziny, ale z jakim efektem! Zamieszkaliśmy w domkach „Arjana III” usytuowanych... na polach ryżowych, ale 10 minut od głównej ulicy miasta – Money Forest Road. Cisza, spokój, kumkanie żab, piękne widoki z samego rana. Pokoje były duże, przestronne, z łazienką z gorącą wodą. Ten luksus był dosyć rzadki na Bali, gdyż w większości hoteli woda była letnia. Akurat w Ubud nie było gorąco, wieczory robiły się przyjemnie chłodne i dlatego gorąca kąpiel była nieodzowna. Klimatyzacji w pokoju nawet nie włączaliśmy. Śniadania były bardzo smaczne z dużą ilością owoców i zawsze czekał na nas na tarasie termos z gorącą wodą, by zaparzyć sobie kawę lub herbatę (też podana na tarasie). Zostaliśmy w Ubud na 8 noclegów i stamtąd robiliśmy wypad do świątyni:

- Ulu Watu, Goa Lavah Temple, Tanah Lot, Taman Ajun – warto zobaczyć;
- Ulun Danu Bratan – ładna okolica, ale świątynia trochę zaniedbana. Zbudowano ją na jeziorze Bedugul utworzonym w kraterze wulkanu.
- Alas Kedaton – warto ze względu na możliwość karmienia makaków jawańskich oraz wielkich nietoperzy owocożernych, które można trzymać na rękach,
- Tirta Empul (święte źródła), Gunung Kawi — dosyć przyjemne zwiedzanie;
- Goja Gajah (Elegant Cave) – nie warto; mała grota z 3 figurkami w środku;
- Tenganan – wioska Bali Aga – nie warto z uwagi na komercję i brak autentyczności. Rdzenni mieszkańcy Bali – czyli plemię Bali Aga przerobili wioskę na skansen. Jak widzieliśmy, sami mieszkają w eleganckich domach ukrytych za wysokim murem i żyją z wciskania pamiątek turystom. A souvenirów takie same jak w każdym innym zakątku wyspy;
- okoliczne tarasy ryżowe – warto;
- okoliczne wioski artystyczne takie jak: Batubulan, Singapadu, Celuk, Sukavati, Mas – rozczerowały nas. Trafiliśmy w jednym miejscu na lokalny targ, na którym zrobiliśmy tanie zakupy i jakoś to wynagrodziło nam rozczerwanie tymi komercyjnymi miejscowościami. To były miejsca w stylu zapchajdziury czasowej, czyli „jak nie masz co zrobić z czasem, to się tam wybierz”;
- Besakih – kontrowersyjne miejsce. Najważniejsza świątynia na wyspie, która została opanowana przez mafię fałszywych przewodników. Wiedząc o tym, szybko się ich pozbyliśmy, dobitnie im uświadamiając, że nie dostaną od nas kasy. Ale sama świątynia nas też nie zachwycała. Może to już był przesyt tych miejsc kultu religijnego? Wszystkie były bardzo do siebie podobne. No, ale trudno nie zobaczyć tej najważniejszej...

Na pewno warto było wybrać się w Ubud na Kecak Dance (cena podana we wstępie). O ile na inne atrakcje kulturalne, których w Ubud nie brakowało, można było kupić bilety od ulicznych naganiaczy, o tyle na Kecak bilety załatwiała obsługa hotelowa.

Generalnie na Bali funkcjonowała zasada, że pracownicy hoteli byli multiorganizatorami – poproszeni o cokolwiek zawsze byli gotowi do realizacji i oferowali ceny niższe niż w agencjach turystycznych. Na spektakl, który odbywał się około godz. 20.00, zaprowadzili nas pracownicy naszego hotelu. Odbywał się on w świątyni przy świetle pochodni. Stworzyło to doskonały nastrój dla perfekcyjnie zagranej sztuki. Feeria barw zachwyciła nawet nasze dzieci, które z zapartym tchem przyglądały się poprzebie-ranym tancerzom prezentującym historie zapisane w Ramajanie. Po spektaklu warto było chwilę zostać, gdyż można było zrobić sobie zdjęcia z nadal ucharakteryzowa-nymi aktorami, co skrzętnie wykorzystał Tomek, fotografując się z pięknymi paniami.

Zrobiliśmy sobie małą przerwę podczas zwiedzania świątyni i wskoczyliśmy na plażę w Candidasie. Aby znaleźć dojazd nad morze, nawet nasz kierowca musiał się pytać miejscowych o drogę. Przejechaliśmy przez las, zjechaliśmy w dół i naszym oczom ukazała się niewielka zatoczka z błękitną wodą i białym piaskiem. Smaczny obiad skła-dający się z owoców morza zjedliśmy na samej plaży.

Mieliśmy sporo szczęścia, ponieważ gdy przybyliśmy do Ubud, to okazało się, że za 4 dni miał odbyć się pogrzeb „Króla Ubud”. Mieszkańcy tego miasta tak nazywali zmarłego z powodu jego bogactwa, którym otaczał się za życia. Przez te 4 dni co-dziennie mieliśmy okazję obserwować przygotowania do tej uroczystości. Jak wieść gminna niesła, na sam pogrzeb przyjechało około 5 tysięcy turystów i znacznie mniej, ale jakieś 2 tys. członków rodziny. Ludzi rzeczywiście było mnóstwo. Ceremonia była bardzo barwna, składała się z wielu rytuałów, towarzyszyła jej głośna muzyka, rodzina zmarłego ubrana była w tradycyjne odświętne stroje. Pogrzeb miał charakter jarmarcz-ny, nie miał nic wspólnego z atmosferą smutku i przygnębienia. Dookoła sprzedawcy oferowali jedzenie w cenach dla Indonezyjczyków, a nie turystów. Jego jedynym mi-nusem ciężko odczuwanym przez rodziców z małymi dziećmi był czas trwania – aż 5 godzin. Ale warto było wytrwać do końca – do aktu spektakularnego spalenia ciała.

Ubud – duże miasto pełne turystów z całego świata – zaoferowało nam bardzo przyjemną kosmopolityczną atmosferę, z którą jednak trzeba było się w końcu poże-gnać.

Ostanie 3 dni: Tanjung Benoa

Na ostatnie dni wybraliśmy się do Tanjung Benoa. Wyjeżdżając z Ubud rano, zapla-nowaliśmy postój na targu rybnym w Jimbaran. Był to doskonały pomysł z uwagi na różnorodność ryb i owoców morza oferowanych tam przez rybaków.

Szukając kawałka ładnej plaży, wybraliśmy Tanjung Benoa, zamiast zatłoczonego kurortu Nusa Dua. W Tanjung Benoa znaleźliśmy nieresortowy hotel o nazwie „Gre-en Garden”. Znajdował się przy głównej drodze, a nie przy plaży, która obudowana była resortami. Hotel był przyjemny, położony w ładnym ogrodzie, z basenem – cena za pokój dla 4 osób z klimatyzacją, łazienką i oczywiście śniadaniem po targowaniu wyniosła 300 tys. Rp. W Tanjung Benoa, oprócz wylegiwania się w słońcu na przy-zwoitej plaży i kąpania w czystym morzu pełnym rozgwiazd, nie było innych atrakcji. Wybraliśmy się jedynie na wycieczkę łodzią na tzw. wyspę żółtą – cena za łódkę 150 tys. Rp. Był to rezerwat morskich żółwi szylkretowych, które można było trzymać w ręku i karmić. Poza tymi stworzeniami na wyspie były jeszcze żywe modele do fo-tografowania, takie jak: tukan, orzeł, wąż boa dusiciel i nietoperze owocożerne. Dla dzieci była to fajna atrakcja.

Powrót do Wrocławia: wylot w nocy z lotniska w Denpasar

Na lotnisku trzeba było mieć przygotowane 150 tys. Rp od każdej osoby jako opłata wylotowa. Pieniądże przyjmowali tylko w miejscowej walucie. Przelot do Seulu odbył się bez niespodzianek. Natomiast wylot z Seulu do Frankfurtu opóźnił się o 2 godziny, co komplikowało nam przesiadkę na samolot do Wrocławia. Poinformowaliśmy o tym załogę samolotu linii Korean Air. Po wylądowaniu we Frankfurcie zostaliśmy przetransportowani w asyście stewardes koreańskiego przewoźnika do samolotu Lufthansy z pominięciem normalnych procedur lotniskowych. Tym sposobem zdążyliśmy na lot do Wrocławia.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Dom za jednego funta, czyli ok. 5 zł można kupić w półmilionowym mieście Stoke – on Trent w środkowej Anglii. Ogółem za symboliczną cenę zostanie sprzedanych 35 domów wymagających kapitalnego remontu. Domy te są obecnie zabite deskami i wymagają napraw. Władze miejskie zaoferowały, że pokryją koszty remontu, a nabywca nieruchomości będzie je spłacał w ratach. Zapewniono, że jeśli domy znajdą nabywców, to inicjatywa będzie kontynuowana na szerszą skalę i obejmie łącznie 124 nieruchomości na ulicach, które miasto chce zaludnić i rewitalizować. Oferta skierowana jest do tych mieszkańców Stoke – on Trent, którzy nie byli dotychczas właścicielami nieruchomości i mieszkają w tym mieście od co najmniej 3 lat.

Izrael, czyli szalom w Mea Shearim



Termin: 27 października – 10 listopada 2012 r. (14 dni)

Uczestnicy: Ewa, Jarek, Beata, Mirek, Piotrek

Trasa lotnicza: Warszawa – Tel Awiw (2 loty) – 593 zł/os. (LOT)

Trasa lądowa: Tel Awiw – Nazaret – Tyberiada – Akka – Safed – Rosh Haniqra – Hajfa – Mitzpe Ramon (Pustynia Negev) – Jerozolima – Masada – Ein Bikeh (Morze Martwe) – Betlejem – Tel Awiw

Koszty podróży: Całkowity koszt to 2050 zł/os.

Kursy walut: 1 USD = 3,72 ILS (lotnisko) 3,85 ILS (w mieście), 1EUR = 4,95 ILS,

Czas: + 1 godz. w stosunku do Polski

Bezpieczeństwo: Wszędzie jest dużo wojska i policji. Cztery dni po naszym powrocie do Polski wybuchła kilkudniowa wojna. Należy na bieżąco śledzić doniesienia w mediach i na stronach MSZ. W ważnych miejscach turystycznych oraz na lotnisku, dworcach wojsko i policja dokonują szczegółowych kontroli.

Wizy: Bez problemu na lotnisku w Izraelu (należy prosić o nie wbijanie pieczętek).

Język: W Izraelu mówi się po hebrajsku, jidisz (żydowski) oraz angielsku.

Pogoda: Na przełomie października i listopada mieliśmy doskonałą aurę do zwiedzania, średnia dzienna temperatura to około 25°C (niebo praktycznie bezchmurne)

Elektryczność: 220V,

Przewodniki i mapy: Lonely Planet „Izrael i Palestyna”

Koszty podróznika: woda mineralna duża – 5 ILS, mała – 3 ILS, coca-cola duża – 6–7 ILS, mała – 4 ILS, lody duże – 20 ILS, małe – 4 ILS, chleb krojony – 10 ILS, bagietka – 3–4 ILS, piwo w sklepie – od 6 ILS, wódka 0,5 l – od 15 ILS w górę, wino – 20 ILS, makaron spaghetti – 16 ILS, pomidory w puszcze – 8 ILS, pierś z kurczaka 25 ILS, wątróbka drobiowa – 23 ILS, falafel – 15–20 ILS, szalorma – 25–30 ILS, hummus – 11–14 ILS, papierosy najtańsze – 10 ILS, Marlboro – 20 ILS, internet – 1 godz. 6–10 ILS, karta pocztowa – 10 ILS/10 kartek, (doszły do Polski po 7 dniach), znaczek – 4,20 ILS, benzyna – 7,80 ILS

27 października – sobota • Katowice – Warszawa – Tel Awiw

O godz. 10.00 odjechaliśmy Polskim Busem z Katowic do Warszawy (17 zł./os. w dwie strony). Od rana pada deszcz, a od Częstochowy przywitała nas pierwsza zima. Trochę nas to zaniepokoiło, bo nie wiedzieliśmy, czy jak zwykle zaskoczy to drogowców, a lotnisko będzie obsługiwało loty. O godz. 14.45 byliśmy w stolicy, podjechaliśmy metrem na Dworzec Centralny, gdzie poczekaliśmy na naszego kompana Mirka. Potem dojechał Piotrek i w pełnym składzie osobowym rozpracowaliśmy integracyjną butelczynę. Wieczorem pojechaliśmy na lotnisko, po wejściu do hali odpraw okazało się, że część lotów już jest odwołana, ale nasz już się wyświetlał, więc spokojnie odprawiliśmy się i czekaliśmy do odlotu. O godz. 22.30 rozpoczął się boarding, ale odlot opóźnił się ponad godzinę, ponieważ okazało się, że przewodnik jakiejś wycieczki nie miał ważnego paszportu i spowodowało to komplikacje.

28 października – niedziela • Tel Awiw – Nazaret

O godz. 4.00 byliśmy w Tel Awiwie na lotnisku Ben Guriona, lot trwał niecałe 4 h. Przywitało nas tylko 16°C, więc trochę chłodno jak na ten rejon. Odprawa odbyła się sprawnie – zadano nam tylko kilka standardowych pytań, oprócz Jarka, każdy z nas otrzymał w paszporcie stempel izraelski. Wymieniliśmy na lotnisku część pieniędzy 1 USD = 3,72 ILS. Potem kupiliśmy bilety na pociąg do Hajfy za 39,5 ILS/os., po 1,30 h byliśmy na miejscu. Bilety można kupować w automatach i w kasach biletowych. Wychodząc z dworca w Hajfie, trzeba kierować się na lewo, gdzie są dwa przystanki autobusowe. Autobus 331 odjeżdża do Nazaretu za 18 ILS/os., jadąc 45 minut. W starym mieście znaleźliśmy Hostel Abu Saeed, gdzie wynegocjowaliśmy cenę 60 ILS/os. w 5-osobowym pokoju. Gospodarz zaprosił nas na kawę i ciasto, opowiadając nam trochę o okolicznych zabytkach. Odświeżyliśmy się po podróży, zmieniliśmy odzież na letnią i ruszyliśmy na zwiedzanie Nazaretu. Najpierw weszliśmy na punkt widokowy, skąd rozciąga się panorama miasta. Obrazek trochę ubogi, bo brakuje tu soczystej, bujnej roślinności spotykanej w tropikach, kolorytu dodaje bugenwilla, krzew charakterystyczny w strefie podzwrotnikowej. Spośród 20 kościołów w mieście najokazalej prezentuje się Bazylika Zwiastowania, gdzie obeszlśmy cały kompleks. Wnętrze zdobi cykl malowideł o tematyce maryjnej ufundowanej przez chrześcijan z różnych krajów. Można zobaczyć Maryję o skośnych oczach, w kimonie albo turbanie i afrykańskich krzykliwych kolorach. Następnie zeszliśmy do centrum miasteczka, szukając taniej knajpki, gdzie moglibyśmy zjeść obiad. Okazało się, że oferta żywieniowa to przede wszystkim falafele, szalarmy, kebaby i hummus. Ceny nas zaskoczyły, więc stwierdziliśmy, że grozi nam bankructwo, jeśli pociągniemy na falafelach cały wyjazd. Kupiliśmy opakowanie hummusu, kilka chlebików (pity) i zjedliśmy je w hostelu, racząc się miętową herbatką.

29 października – poniedziałek • Nazaret – Tyberiada (Tiberias)

Po porannej kawie i ciachu ruszyliśmy na przystanek, skąd odjeżdżają autobusy nr 431 do Tyberiady. Bilet kosztował 18 ILS/os. Dotarliśmy nad Jezioro Galilejskie (214 m p.p.m.), przejeżdżając przez Kanę, ale nikt nam wody w wino nie zmienił. Tyberiada to typowy kurort, ale o tej porze roku już wymarły. Przeszliśmy przez promenadę, potem zwiedziliśmy cmentarz z grobami sławnych żydowskich mędrców. Zauważyliśmy, że żydzi kładą na grobach swoich bliskich kamienie, bo są one trwalsze od kwiatów.

Stwierdziliśmy, że spróbujemy dotrzeć do amfiteatru rzymskiego, ale okazało się, że popołudniu już nie jeżdżą autobusy, więc wróciliśmy do Nazaretu. W jednym ze sklepików kupiliśmy warzywa i zrobiliśmy supkę. Wieczorem zapaliliśmy sziszę o smaku mięty, gospodarz poczęstował nas winem i na miłych rozmowach spędziliśmy resztę wieczoru.

30 października – wtorek • Nazaret – Akka

O godz. 9.00 autobusem nr 343 pojechaliśmy do Akki. Podróż trwała 2 godziny, bo trasa wiedzie przez kilka osiedli i wije się przez wzgórza. Bilet kosztował 30 ILS/os. Zatrzymaliśmy się w Sand Guest House za 60 ILS/os. Kuchnia jest dobrze wyposażona w podstawowe sprzęty, więc zaproponowałam, że mogę gotować obiady dla wszystkich, robiąc zrzutkę po 50 ILS, pod warunkiem dostępu do aneksów kuchennych w hotelach. Rozpoczęliśmy wędrowkę po wąskich uliczkach starego miasta, szukając klimatów bliskowschodnich bazarów. Niestety, próżno ich wypatrywać. Tutaj już dotarła chińszczyzna, i stary bazar nie tętni już arabskim klimatem. Stare miasto ukrywa wiele ciekawych miejsc. Do środka starej Akki przechodzi się przez dawną fortecę, przy porcie mamy meczet El Jazzar, a nad Starym Miastem góruje potężna cytadela oraz przylegające podziemne miasto krzyżowców i stara łaźnia turecka. Wstęp jest dosyć drogi, 42 ILS/os., ale można łączyć różne oferty, np. tunel z muzeum i cytadelę. My podłączyliśmy się do wycieczki i zeszliśmy do podziemi. Następnie poszliśmy nad morze, gdzie mieliśmy w planie kąpiel. Plaża nie jest za czysta, tworzą ją drobne muszelki, ostre jak brzytwa rafy. Odpuściliśmy kąpiel, bo wiedzieliśmy, że czeka nas rarytas w postaci Morza Martwego. Miasto od 2001 roku zostało wpisane na światową listę dziedzictwa UNESCO.

31 października – środa • Akka – Safed

Rano pojechaliśmy do Safed autobusem nr 361 za 30 ILS/os, gdzie znajdują się najstarsze synagogi. No cóż, miasteczko można spokojnie odpuścić z planu zwiedzania Izraela, chyba że ktoś chce poczuć klimat starej synagogi. Poleca się tu cytadelę otoczoną ruinami i jedną jedyną brukową uliczkę. Jest rzeczywiście urokliwie, bo przy niej znajdują się właśnie owe synagogi i ogrom sklepików, galerii i restauracji (jest to miasto artystów i ortodoksów). Tak więc, obeszliśmy tu główne ulice, szukając szczegółów podanych jako atrakcje w przewodniku i tak natrafiliśmy na czerwony meczet, z resztką tynku w kolorze czerwonym i kłódką na drzwiach wejściowych. Trzeba mieć naprawdę sporo wyobraźni. W Safed znajduje się również kilka muzeów, między innymi Muzeum Kabały i Biblijne. Wieczorem w hotelu ugotowaliśmy ryż z warzywami i sałatkę.

01 listopada – czwartek • Akka – Rosh Haniqra – Hajfa

Rano poszliśmy na dworzec, skąd autobusem nr 271 za 9,20 ILS/os., pojechaliśmy do Naharija, a następnie autobusem nr 32 za 7,60 ILS/os. 11 km do Rosh Haniqra. Czekając na transport miejski, podeszliśmy do jednej z budek, gdzie siedziały dwie kobiety, myśleliśmy, że to sklepik, a to były wolontariuszki, które przygotowywały posiłki dla żołnierzy. Każdy młody wojak mógł podejść i zostać nakarmiony bułkami z serem, ciasteczkami, herbatą. Dojechalśmy do Rosh Haniqra, wstęp do grot możliwy jest tylko po wykupieniu przejazdu kolejką linową z dwie strony po 43 ILS/os. Miejsce jest fajne

i warto tu przyjechać. Zjeżdża się kolejką w dół, gdzie znajdują się tunele i groty naturalnie wyżłobione przez wodę. Są to białe skały kredowe, w których woda wydrążyła malownicze pieczary. Całkowita długość korytarzy wynosi około 200 metrów. Rozchodzą się one w różnych kierunkach. W przeszłości dostęp do nich był tylko od strony morza i mogli je odwiedzać jedynie doświadczeni płetwonurkowie. Miejsce to jest położone w bezpośrednim sąsiedztwie granicy z Libanem; jest tutaj nieczynne przejście graniczne. Pierwotnie przebiegała tędy linia kolejowa z Hajfy do Bejrutu w Libanie. Przy nadmorskich klifach Rosh Haniqra podczas II wojny światowej wybudowano most i tunel kolejowy, który miał służyć do transportu wojska. Podczas wojny domowej w Mandacie Palestyny członkowie żydowskiej organizacji paramilitarnej Hagana wysadzili 14 marca 1948 tunel w Rosh Haniqra. Uczyniono to, aby uniemożliwić wojskom libańskim wkroczenie do Palestyny. Po zakończeniu I wojny izraelsko-arabskiej, na początku 1949 r., w miejscu tym prowadzono negocjacje i podpisano porozumienie izraelsko-libańskie o zawieszeniu broni. Tunelu jednak nie odbudowano i przejście jest nieczynne. Obecnie funkcjonuje tu małe kino, gdzie odtwarzany jest film o tym miejscu z efektami specjalnymi (burza, kapiąca woda, reflektory). Trochę czasu spędziliśmy, przyglądając się miejscowym wędkarzom. Wróciliśmy do Naharija, skąd pociągiem za 19,50 ILS/os. pojechaliśmy do Hajfy. Chcieliśmy zobaczyć Ogrody Bahaickie. Na samą górę można wjechać jedynym w Izraelu metrem (6,60 ILS/os.) działającym na zasadzie grawitacyjnej. Pociąg zjeżdżający z góry wyciąga na szczyt góry drugą kolejkę z dolnej stacji. Cała podróż trwa 7 minut. Na zboczach góry Karmel znajdują się najdłuższe na świecie pochyłe Ogrody Bahaitów. Wejście do ogrodów jest darmowe, ale nie można zejść na sam dół, tylko do pierwszej bramy. Wyróżniają się one takimi elementami jak: kamienne balustrady, fontanny, rzeźbione orły czy starannie przyszyte zielone trawniki. Otrzymaliśmy pouczenie prawie po polsku „nie pluć, nie palić, nie ciungum” i trochę zgłupieliliśmy: o co chodzi? „Nie żuć gum” – a, o to chodzi! Potem szliśmy w dół przez 40 minut, chcąc po drodze zobaczyć świątynię, ale już była zamknięta. Dalej do Akki pojechaliśmy pociągiem za 15,50 ILS/os. W jednym z supermarketów kupiliśmy wątróbkę, ziemniaki i znów objedliśmy się jak baki.

02 listopada – piątek • Akka – Mitzpe Ramon (Pustynia Negev)

Rano ruszyliśmy na Pustynię Negev. Pociągiem za 67,50 ILS/os., przez 3 godziny zjechaliśmy na południe kraju do Beer Sheva. Stąd autobusem nr 60 za 17 ILS/os., pojechaliśmy do Mitzpe Ramon. Tu znaleźliśmy nocleg w The Green Backpackers za 70 ILS/os. Fajny, nowy hostel, bardzo ładnie wyposażony z miłą obsługą, powstał w 2011 roku, więc jeszcze nie jest zbyt „zużyty”. Najpierw udaliśmy się do supermarketu, bo trzeba było zdążyć przed rozpoczynającym się szabasem. Hostel położony jest niedaleko punktu widokowego, skąd rozciąga się ciekawa panorama na pustynię i słynny, największy krasowy krater na Ziemi – Ramon, mający prawie 40 km długości, i 12 km szerokości. Poczekaliśmy do zachodu słońca, który tutaj rozpoczyna się około godz. 16.30, o godz. 17.00 jest całkowicie ciemno. Pustynia to krajobraz łączy księżycowy (Negev po hebrajsku znaczy „sucha ziemia”), zajmuje ponad 50% powierzchni Izraela. Działa tu również obserwatorium astronomiczne. Pustynia jest idealnym miejscem do trampingu, trekkingu, objazdu rowerem górskim i pustynnego safari. Fascynuje przyrodą, żyje tu wiele zwierząt, na skałach i w dolinach często spotyka się kozice, lisy, gazy, dzikie osły, pelikany, żurawie. Wieczorem obeszliliśmy całkowicie wymarłe mia-

steczko, dobiegały do nas tylko dźwięki muzyki klezmerskiej i śpiewy, ale aby uczestniczyć w szabasowej kolacji, trzeba zostać zaproszonym przez miejscowych Żydów. Podeszliśmy do jednej ze szkół jesziwy, gdzie mieszkali młodzi chłopcy. Każdy z nich świetnie mówił po angielsku, pochodzili z całego Izraela. Kilku z nich miało krewnych z Polski, którzy zginęli w Oświęcimiu lub innych obozach koncentracyjnych. Wieczorem zjedliśmy zupę warzywną i ryż z jabłkami.

03 listopada – sobota • Mitzpe Ramon (pustynia Negev) – Beer Sheva – Jerozolima

Od wczoraj to nasz pierwszy szabas i osuwamy się z realiami. Brak transportu oraz zamknięte sklepy do godz. 17.00. Wstaliśmy o godz. 6.30, zjedliśmy śniadanie, a potem poszliśmy na szlak. Trasa nie jest wymagająca, ale lepiej mieć w miarę wysokie buty, bo trochę osypują się kamienie przy zejściach w dół kanionu. Mamy tu dobrze oznaczone szlaki, wiodące w różnych kierunkach. Każdy znajdzie tu coś dla siebie, czasem strome podejście, ciekawe formacje skalne, kolorowe głązy. Przeszliśmy dwa szlaki: niebieski i zielony, dochodząc na punkt widokowy Carpenter. Stąd można ruszyć dalej na szlaki albo asfaltem wrócić do Mitzpe Ramon. My wybraliśmy tę drugą opcję, powoli idąc, liczyliśmy na zatrzymanie stopa. Po chwili jechaliśmy już jeepem do miasta. Mirek natomiast przeszedł ten odcinek pieszo. Przy wjeździe do miasteczka od strony krateru znajdują się miejsca wspinaczkowe, gdzie z instruktorem można odbyć krótkie szkolenie, a następnie powspinać się. Niedaleko znajduje się też resort z luksusowymi domkami i basenami. Robi to wrażenie, biorąc pod uwagę sąsiedztwo pustyni. Dodatkową atrakcją stanowią kozice górskie, które przechadzają się po okolicy, wdzierając się do obiektywów aparatów fotograficznych. Stanowią one symbol miasteczka. Wróciliśmy do hostelu i tu poczekaliśmy na pierwszy autobus o godz. 17.00 do Beer Sheva. Z głównego dworca autobusowego pojechaliśmy dalej do Jerozolimy, autobusem nr 446 za 51 ILS/os. Czasem kupując dwa bilety na jednym blankiecie, płaciliśmy parę szekli taniej. Po 1,30 h byliśmy w Jerozolimie. Z dworca autobusowego tramwajem za 6,60 ILS/os. pojechaliśmy do starego miasta, wysiadając na przystanku City Hall, stąd jest już blisko do Jaffa Gate, która jest głównym wejściem do starówki. Stare miasto otoczone jest murem z 8 bramami, z których 7 nadal jest używanych, zajmuje 1 km², mieszka w nim 20 tys. ludzi i dzieli się na 4 dzielnice: żydowską, chrześcijańską, muzułmańską oraz ormiańską. Niedaleko cytadeli jest hostel Jaffa Gate, gdzie się zatrzymaliśmy za 72 ILS/os. Pokój położony jest jakby w piwnicach, bez okien, ze ścianami z kamienia „zabytkowego”, pewnie pamiętającego jeszcze czasy chrystusowe, z małą łazienką. Odpowiadała nam lokalizacja, dostęp do kuchni, a brak okna okazał się zbawienny, bo od godz. 4.30 muezin nawoływał do modlitwy z pobliskich meczetów, a o godz. 6.00 dzwony z bazyliki i kościołów biły na całe miasto. Tak więc spaliliśmy sobie w „naszej” grocie do oporu, tracąc poczucie czasu i rzeczywistości.

04 listopada – niedziela • Jerozolima

Od rana zwiedzamy wszystkie „święte” miejsca. Ściana Płaczu to jedyna zachowana do dzisiaj część wzniesionej przez króla Salomona Świątyni Jerozolimskiej. Wyznawcy judaizmu zgodnie z tradycją pomiędzy kamienne szczeliny wkładają karteczki z prośbami. Plac podzielony jest płotem z wydzieloną częścią dla mężczyzn i kobiet. Następnie poszliśmy na Wzgórze Oliwne, gdzie jest kilka kościołów, które są otwarte

w określonych dniach i godzinach. Wspięliśmy się na punkt widokowy, skąd roztaczała się panorama miasta na meczet Al-Aksa ze złotą kopułą w roli głównej. Poniżej rozciąga się widok na dolinę królów i cmentarz. Zeszliśmy do miasta i przez Lion Gate przeszliśmy drogą krzyżową aż do Bazyliki Ukrzyżowania i grobu Chrystusa. Wrażenia mieszane, bo cała droga krzyżowa wiedzie przez bazar, stacje są w pobliżu straganów z odzieżą i kebabami. Obrazki dziwne, bo obok pielgrzymów z krzyżem na plecach przechodzą Japończycy z aparatami, dla których jest to jedynie turystyczne miejsce. Brak mistycyzmu, spotykanego w innych tzw. świętych miejscach na świecie. Tłumy przechodzą, robią zdjęcia, aż docierają do grobu Chrystusa. Tu odbywa się kolejne widowisko, jedni siedzą pod kościołem i piją napoje, jedzą kanapki, kilka grup z przewodnikami w różnych językach opowiada historię, legendę (różnie to nazywają) o ukrzyżowaniu i śmierci Jezusa. Przysłuchiwaliśmy się ich opowieściom, po raz kolejny dziwiąc się, jak dużo może być interpretacji historii jednego człowieka. Tłumy przechodzą do małego kościółka w środku bazyliki i tam czekają w długiej kolejce, aby wyjść i się dziwić, o co chodzi w tym wszystkim i dlaczego to jest takie ważne. Dla wierzących chrześcijan (kościółem zarządzają trzy grupy wyznaniowe chrześcijaństwa) jest to podobno niesamowite przeżycie. Coś na kształt Mekki dla muzułmanina. Potem dochodzą do grobu i składają pokłony, kładą wota, torby z różnymi przedmiotami, modlą się. Staliśmy z boku, obserwując to wszystko i nie mogliśmy odnaleźć wiary i mistycyzmu, a jedynie komercję i turystykę.

05 listopada – poniedziałek • Jerozolima

Pojechaliśmy do Yad Vashem, gdzie znajduje się muzeum holokaustu żydowskiego. Wstęp jest bezpłatny, w środku nie można robić zdjęć. Muzeum przedstawia historię prześladowań żydów, ich migrację do Palestyny i powołanie państwa Izrael. Jeśli ktoś nie był w Oświęcimiu, to może zobaczyć dokumenty i zeznania ocalałych z obozów. Jednak wizyta w Oświęcimiu lub Brzezince pokazuje ogrom przemocy i skalę przedsięwzięcia ludobójstwa. Obok budynku posadzono drzewa dla „Sprawiedliwych wśród narodów świata” i postawiono pomniki dla upamiętnienia osób, pomagającym żydom podczas drugiej wojny światowej. W muzeum można zobaczyć zdjęcia, dokumenty oraz prezentację multimedialną.

Po wizycie w Yad Vashem pojechaliśmy na słynny Market Mahane Yehuda, gdzie popróbowaliśmy słodkości, kupiliśmy trochę warzyw na obiad i zrobiliśmy sesję fotograficzną. Potem udaliśmy się do Mea Shearim, gdzie znajduje się dzielnica ultra ortodoksyjnych żydów. Jest to płatanina wąskich kamiennych uliczek, po których chodzą Żydzi w tradycyjnych strojach chasydzkich. Można tu znaleźć tablicę z napisem: „Prosimy chodzić po naszym osiedlu w skromnym ubraniu!”. Haredim (ultraortodoksi) mają negatywne stanowisko wobec postępu kulturalnego i ograniczają do minimum kontakt ze światem zewnętrznym, tworząc swoiste getto. Domagają się niezmięnionej normy tradycjonalizmu, noszą XIX-wieczne ubiory, nie skracają brody ani pejsów, rygorystycznie przestrzegają koszerności (koszerna jest nawet długość włosów na charakterystycznych, futrzanych kapeluszach – sztrajmelach). Kobiety noszą peruki. Ich stanowisko dobrze oddają słowa Mojżesza Sofera: „Wszystko co nowe, jest przez Torę zakazane!”. Niektórzy mają negatywny stosunek do świeckiego państwa Izrael, uważają nawet samo jego istnienie za przejaw bałwochwalstwa. Koszerność określona jest ogromną liczbą przepisów prawa żydowskiego dotyczących spożywania pokarmów.

Ponieważ jest to czynność religijna, posiłki powinno zacząć się i zakończyć stosowną modlitwą. Żywność dozwolona do spożycia jest określana jako koszerna (*kaszer*). Natomiast nieczyste, *trefne* pożywienie obejmuje: mięso zwierząt parzystokopytnych (wielbłądy) lub nieprzeżuwających (świnie), stworzeń wodnych nieposiadających płetw i łusek (kraby, raki, węgorze), owadów (z wyjątkiem niektórych latających, np. szarańczy) i robaków, większości ptaków, a także mleka i jaj pochodzących od takich zwierząt, owoców z drzew mających nie więcej niż trzy lata. Nie wolno jeść mięsa zwierząt, które nie zostały zabite w sposób rytualny (*szechita*) przez wykwalifikowanego rzeźnika (czyli *szocheta*), albo które padły i których wnętrzności nie zostały skrupulatnie sprawdzone. Także warzywa i owoce powinny być sprawdzone. Przepisy te mogą być w pełni stosowane tylko w bardzo zamkniętych społecznościach, np. teoretycznie Żyd powinien być obecny przy dojeniu, aby wykluczyć dolewanie mleka od niekoszernych zwierząt. Z innych przepisów: nie wolno spożywać mięsa razem z mlekiem (ortodoksyjni Żydzi mają zatem dwa komplety garnków, naczyń stołowych, sztućców i zmywarek), a między spożyciem potrawy mięsnej i mlecznej winien minąć stosowny czas. Zabrania się wysiewania na jednym polu dwóch rodzajów ziarna i używania odzieży z dwóch rodzajów włókna.

Tu doznaliśmy szoku kulturowego, staliśmy, patrząc na życie przeniesione z XIX wieku. Kobiety i mężczyźni ubrani w tradycyjnym stylu, przestrzegający wszelkich kanonów swojej religii i tradycji. Mieszkańcy dzielnicy spacerowali po ulicach, robili zakupy, czytali ogłoszenia na murach budynków, rozmawiali przez telefon (jedno z odstępstw od tradycjonalizmu, wymuszone codziennością, jak również jazda taksówkami). Przyglądaliśmy się i próbowaliśmy robić zdjęcia, ale ludzie nam to utrudniali. Nie chcą się fotografować, nie rozmawiają z obcymi, nie wykazują zainteresowania, uciekają na drugą stronę ulicy, widząc nas z aparatami. Kobiety ubrane w niegustowne ubrania, długie spódnice, jednakowe sweterki i bluzki, rozdeptane buty, z perukami na głowach w jednym modelu, z dziwnymi nakryciami głowy w stylu starych przedwojennych żydówek. Szok. Siedzieliśmy na schodach banku i przyglądaliśmy się dzieciom, które na nasz widok ukradkowo spoglądały, ale widząc obiektyw, uciekały i nie były zaciekawione wyświetlającymi się zdjęciami, co też było dla nas nowością, bo na całym świecie dzieciaki cieszą się ze swoich zdjęć, jak tylko mogą się zobaczyć. Hermetyczność tej społeczności jest wręcz imponująca. Żyją tak od pokoleń, chcą tak żyć, biorąc śluby tylko we własnej grupie. Uroda ich odbiega od ogółu panującego już po drugiej stronie ulicy, oddzielającej dzielnicę od starego miasta. Zachwyca nas uroda Izraelczyków, Arabów. Uważamy, że to jedne z piękniejszych nacji na świecie, jednak trudno doszukiwać się piękna w ortodoksyjnych żydach. Posługują się językiem jidysz, nie mówią w hebru, po angielsku, chodzą tylko do swoich szkół, nie utrzymują kontaktów z innymi żydami, nie odbywają służby wojskowej, co jest obowiązkiem każdego obywatela. Żyją przeważnie z zasiłków państwa, z uwagi na kultywowanie tradycyjnego modelu życia i wielodzietność. Okazuje się, że w większości pracują tylko ortodoksyjne żydówki, a mężczyźni poświęcają czas na modlitwy, tłumaczenie Tory. Jak się dowiedzieliśmy, codzienne życie ortodoksyjnego żyda polega na analizie co jest właściwe, a co nie, co koszerne lub nie. Zastanawiają się nad skromnością kobiet, utrudniając im codzienne życie, poprzez błędne interpretowanie Talmudu i wynajdywanie kolejnych zakazów.

Oczywiście, znajdują się w tej społeczności osoby zastanawiające się nad zasadnością tych dziwnych zakazów i nakazów.

Prawo żydowskie (*halacha*) reguluje życie wyznawcy judaizmu tak szczegółowo, że trudno oddzielić wyznawanie religii od zajęć doczesnych. Jego podstawą jest Pięcioksiąg Mojżeszowy (*Tora*), zinterpretowany w części halachicznej Talmudu. Talmud dzieli *halachę* na 613 przykazań (*micwot*): 248 nakazów i 365 zakazów. *Halacha* była wykładana w ogromnej literaturze kazuistycznej, w której do komentarzy dodawano następne komentarze. Żydzi ortodoksyjni rozpoczynają naukę w specjalnej tego typu placówce w wieku 3 lat od nauki alfabetu hebrajskiego, po czym kolejne 10 lat starają się poznać i zrozumieć teksty religijne, aż do święta *bar micwa* (syn przykazań) w wieku 13 lat. Ten wiek oznacza osiągnięcie przez nich dojrzałości religijnej i wkroczenie do świata dorosłych, co pozwala im od tej pory na czytanie Tory w synagodze. Oczywiście w szkołach nikt nie słyszał o takich przedmiotach, jak matematyka, fizyka, geografia, przyroda lub języki obce. W czasie szabasu piątkowego nawet w nagłych przypadkach nie wpuszcza się tu karetki pogotowia ani straży pożarnej. Mieszkańcom tej dzielnicy nie wolno oglądać telewizji, słuchać radia, a gazety uważane są tu za truciznę zatruwającą duszę. Jedynie plakaty na murach stanowią środek przekazu informacji. Dzielnica wygląda jak rodem skopiowana ze starych fotografii. W starych budynkach gnieźdzą się wielodzietne rodziny hołdujące zasadzie „co rok prorok”. Oczywiście dzień zaczyna się tu od modłów. Rzecz zrozumiała, prawie nikt tu nie pracuje, żyjąc z zasiłków państwa. Warto podkreślić, że kultura żydowska ze względu na jej głębię i złożoność jest unikalnym zjawiskiem w skali światowej.

06 listopada – wtorek • Jerozolima – Masada – Morze Martwe

Rano pojechaliśmy do Masady autobusem nr 486 za 42 ILS/os. z dworca centralnego (90 km). Wstęp do Twierdzy Masada kosztował 27 ILS/os. (wejście piesze 45 min.), 54 ILS/os. za kolejkę linową w jedną stronę (5 min.). My postanowiliśmy całą trasę w potwornym upale przejść szlakiem. Pałac-Forteca Masada stoi na samotnej skale, z której rozciąga się widok na zachodni brzeg Morza Martwego, a od wschodu zobaczyć można różnorodne formacje skalne i kibuce. Główne zabudowania i fortyfikacje zostały zbudowane przez króla Heroda w 37 r. p.n.e. Obecne mury mieszczą 70 wieżyczek, 30 wież i 4 bramy (są to ruiny). Dziś cytadela odwiedzana corocznie przez tysiące turystów stanowi ważny symbol narodowej kultury Izraela. Rekruci wstępujący do wojska składają na szczycie góry przysięgę, która zawiera słowa: „Masada już nigdy więcej się nie podda”. Obeszliśmy obszar wykopalisk w pięknym słońcu, warto więc zaopatrzyć się w wodę do picia. Po zwiedzeniu twierdzy zeszliśmy w dół i dalej autobusem nr 384 za 16 ILS/os. pojechaliśmy do Ein Bokeh, gdzie znajduje się kurort z plażą bezpośrednio nad Morzem Martwym. Oddaliśmy się pielęgnacji, moczeniu, peelingom, nacieraniu błotem, „pływaniu”. Jest to naprawdę fajna zabawa i – co najważniejsze – nie sposób się tutaj utopić, bo jest się wypieranym na powierzchnię wody niczym korek. Temperatura powietrza wynosiła 36°C, a wychodząc z wody mieliśmy wrażenie, że jest chłodno. To naprawdę niesamowite prawa fizyki i chemii rządzą tym kawałkiem świata. Nawet zimą temperatura nad morzem nie spada poniżej 20°C.

Lustro wody Morza Martwego znajduje się w najniższym punkcie na Ziemi, 418 m p.p.m. (i ciągle się obniża). Powierzchnia wynosi 1020 km², maksymalna głębokość to 399 m, długość morza rozciągającego się południkowo wynosi 76 km, a szerokość

4,5–16 km. Ponieważ morze jest nisko położone, woda z niego nie odpływa. W XX wieku ilość wody wpływającej do Morza Martwego zmniejszyła się z powodu wykorzystywania części wód Jordanu przez Izrael i Jordanię, a także zmian klimatycznych. W upalny dzień odparowuje tutaj aż siedem milionów ton – wyjaśnia to, dlaczego się nie rozszerza. Stwierdziliśmy, że był to jeden z fajniejszych dni w Izraelu. Powrót do Jerozolimy z uwagi na uliczne korki trwał ponad 2 godziny.

07 listopada – środa • Jerozolima – Betlejem

Rano poszliśmy do meczetu Al-Aksa, który można zwiedzać tylko w określonych godzinach. Do meczetu niewierny nie może wejść, więc obejrzeć można tylko dziedzińiec. Wejście na plac znajduje się w murze przy Ścianie Płaczu, dokąd prowadzi specjalne podejście. Trzeba ustawić się w kolejce, która co rano tworzy się przed wejściem, potem po przejściu kilku kontroli osobistych oraz prześwietleniu bagażu przechodzi się rampą do góry, stąd jest wejście na plac. Około godz. 9.00 autobusem nr 21 za 7,30 ILS/os. pojechaliśmy do Betlejem. Tu zauważyliśmy 8-metrowy mur wybudowany, aby oddzielić Betlejem od Jerozolimy, docelowo ma on mieć 724 km. Władze Izraela unikają słowa mur, używając nazwy „plot bezpieczeństwa” – ten mur przewyższa nawet ogrodzenia stosowane w izraelskich więzieniach. Wszędzie widać murale przedstawiające propagandę antyizraelską, nawołującą do pokoju, gołębie z gałązkami oliwnymi, co nie przeszkadza podkładać bomb lub wyrzucić rakiety w kierunku wroga. Betlejem jest typowo arabskie, kobiety chodzą ubrane w tradycyjny muzułmański sposób, ich uroda jest zachwycająca. Nie noszą czadorów, a długie płaszcze, finyzynie wiązane chusty na głowach, wyraziste makijaże. Mężczyźni wszystkich pozdrawiają, chcą sprzedać towar, jest gwarnie i barwnie. Prawdziwy arabski klimat. Poszliśmy do Bazyliki Narodzenia Pańskiego, do której przylega kilka kościołów chrześcijańskich (wstęp wolny). Bazylika jest skromna, panuje względny spokój w porównaniu z Jerozolimą. Udało nam się zobaczyć mszę Zakonu Krzyża Maltańskiego w Grocie Narodzin. Następnie przeszliśmy główną ulicą miasta, zaglądając do różnych sklepów, galerii, kościołów, obserwując codzienne życie. Znaleźliśmy „Sklep polski”, którego właściciel sam nauczył się mówić po polsku, jak również po angielsku, hiszpańsku i rosyjsku. Można u niego kupić polską wódkę, wino, wodę, niestety, na piwo jest zbyt wysokie cło. Następnie wytargowaliśmy z taksówkarzem za 100 ILS/16 km w dwie strony, przejazd do Twierdzy Herodion – fortecy króla Heroda Wielkiego. Wstęp kosztuje 27 ILS/os., studencki 22 ILS/os. Niezwykły stożkowy kształt fortecy zbudowanej na sztucznym wzgórzu sprawia, że budowla naprawdę wygląda z oddali okazale. Miejsce jest ładnie położone, roztacza się z niego piękna panorama na okolicę. Wróciliśmy do Jerozolimy i poszliśmy pod Ścianę Płaczu, aby zobaczyć ją w wieczornej scenerii. Miejsce cały czas tętni życiem, można stać z boku i przyglądać się ludziom, którzy tworzą barwny korowód. Przychodzą ortodoksyjni żydzi, aby odmówić wspólną modlitwę, rodziny, żołnierze, wycieczki. Potem przeszliśmy do nowszej części miasta i zajrzeliśmy do kilku sklepów. Centrum jest nowoczesne, chociaż stylizowane na starą architekturę. Zdziwiła nas zwiększona liczba wojska i policji stojących pod większymi hotelami, bankami i patrolującymi miasto.

08 listopada – czwartek • Jerozolima – Tel Awiw

Od rana zwiedzamy resztę miasta. Poszliśmy zobaczyć wiatrak Montefiorego, a następnie udaliśmy się jeszcze raz do dzielnicy żydów ortodoksyjnych. Po naszej

wcześniejszej wizycie mieliśmy niedosyt i postanowiliśmy powrócić się jeszcze raz uliczkami tej dzielnicy. Spędziliśmy tu kilka godzin, obserwując i fotografując. Udało nam się nawet porozmawiać z dwoma chłopakami, którzy przyjechali do szkoły jeżywy z Nowego Jorku, aby studiować Talmud. Ubrani według zasad ortodoksyjnych, z pejsami, opowiadali o życiu tu i w Stanach. Stwierdzili, że jeśli ktoś nie jest żydem, nie może zrozumieć tego, co tu widzi. Podstawowym słowem jest tradycja i to ona tutaj wyznacza rytm życia i sposób funkcjonowania społeczności. Powiedzieli, że jeśli przyjechalibyśmy do Brooklynu, to zobaczylibyśmy takie same obrazki, ponieważ ortodoksi tak samo żyją tam i w Izraelu. Sami są zaskoczeni hermetycznością społeczności, ale muszą się dostosować. Po południu wróciliśmy do hostelu, zabraliśmy bagaże i pojechaliśmy na dworzec autobusowy. Stąd autobusem nr 405 pojechaliśmy do Tel Awiwu za 98 ILS/os. Podróż trwała 50 minut. Z dworca do centrum miasta podjechaliśmy autobusem nr 4, za 6,60 ILS/os. Zatrzymaliśmy się w Hayarkon 48 Hostel. Wcześniej obeszliśmy kilka innych hoteli, które okazały się norami lub noclegowniami dla robotników na kontraktach. Hostel pełni swą rolę, zatrzymują się tu turyści z całego świata, bo cena jest w miarę przystępna jak na izraelskie warunki. Płaciliśmy 98 ILS/os., mieliśmy dostęp do dobrze wyposażonej kuchni, parę metrów od hostelu jest już plaża i promenada. Po złożeniu bagaży postanowiliśmy przejść się trochę po okolicy, zrobiliśmy zakupy na obiadokolację i posiedzieliśmy nad morzem. Wieczorem na promenadzie tętni życie, jest chłodniej, dlatego pojawiają się biegacze, rowerzyści, ludzie spacerujący z psami, turyści. W nocy mieliśmy pierwszą burzę, z oberwaniem chmury.

09 listopada – piątek • Tel Awiw

Od rana zwiedzamy miasto. Jak zwykle się rozdzieliliśmy, aby każdy mógł mieć różne zdjęcia oraz wrażenia. Potem i tak spotykaliśmy się w niektórych punktach turystycznych. Pięć osób zwiedzających na raz to już jest tłum i potem okazuje się, że wszyscy mamy takie same zdjęcia. Ustaliliśmy więc już w Jerozolimie, że każdy ma wolny czas i robi, co chce. Wieczorem spotykamy się na kolacji. Oczywiście, jeśli mieliśmy gdzieś jechać, to razem, ale zwiedzanie i włóczenie się po miastach każdy robił na własną rękę. Tak też było tym razem. Poszliśmy do Jaffy, gdzie znajduje się stare miasto, port rybacki, latarnia, pchli targ, stadion (Hapoel Tel Awiw), stary dworzec kolejowy zamieniony na centrum handlowe, galerie i restauracje oraz „Białe Miasto” – część centrum wzniesiona w latach 1930–1950. Pomalowane na biało domy z wąskimi oknami są tak wyjątkowe, że trafiły na listę UNESCO. Potem szwendaliśmy się po dzielnicy jemeńskiej, gdzie znajduje się Bazar Karmel, można tu znaleźć najróżniejsze egzotyczne owoce, warzywa, zioła oraz marynaty. Ponieważ zbliżał się szabas, panowała nerwowa atmosfera wyprzedaży, sklepikarze spieszyli się, aby do godz. 15.00 sprzedać jak najwięcej towaru. Zrobiliśmy zakupy na ostatni obiad i zanieśliśmy je do hostelu. Potem jeszcze przeszliśmy się do końca nadmorskiej Beach Promenade, gdzie natrafiliśmy na niezwykle 8-piętrowy budynek mieszkalny w stylu Gaudiego. Nad niebo nadciągnęły ciężkie chmury, a w oddali widać było błyskawice. Spodziewaliśmy się, że w nocy ponownie spadnie deszcz. Tak też się stało, około godz. 22.00 rozpoczęła się gwałtowna nawałnica, która zalewała ulice. O północy pod hostelem zatrzymaliśmy taksówkę i za 180 ILS pojechaliśmy na lotnisko, które znajduje się 14 km za miastem. Taksówkarz trochę się denerwował, bo w Izraelu nie wolno jeździć w 6 osób, ale bez problemu

dotarliśmy do celu. Tu rozpoczęły się liczne kontrole, pytania, przesłuchania i odprawy. Jak wiadomo, opuszczając Izrael, trzeba stawić się 3 godz. przed odlotem.

10 listopada – sobota • Tel Awiw – Warszawa

O godz. 5.00 mieliśmy boarding do samolotu, a o godz. 6.00 wystartowaliśmy do Warszawy. Ponieważ całą noc nie spaliśmy, po wylądowaniu wyglądaliśmy jak wypłuci. Beata stwierdziła, że jedzie do Bytomia, Mirek do rodziców, a Piotrek do siebie, my jeszcze mieliśmy startować w niedzielnym „Biegu Niepodległości”, więc pojechaliśmy po odbiór pakietów startowych. Potem udaliśmy się do Pawła – kuzyna, u którego mieliśmy nocować. Po późnym śniadaniu poszliśmy spać, potem po solidnym obiedzie raczyliśmy się różnymi trunkami, odpowiednimi dla sportowców.

11 listopada – niedziela • Warszawa – Katowice – Bytom

O godz. 11.11 rozpoczął się „Bieg Niepodległości” na dystansie 10 km. Impreza bardzo fajna, szkoda, że przyćmiona późniejszymi rozruchami i zamieszkami. Dotarliśmy w zaszczytnym czasie... dobrym, jak na mnie, biegacza-amatora. Ponieważ Jarek od kilku lat już biega maratony i inne biegi „przygodowe”, ustaliliśmy, że teraz pobiegnie ze mną jako wsparcie moralne, a nie na wynik. Po biegu pojechaliśmy na obiad do Piotrka, który uraczył nas prawdziwym niekoszernym schabowym, ziemniaczkami i sałatką. Do tego podał pyszny koktajl bananowy. Niestety, to wspaniałe popołudnie musieliśmy zakończyć, bo o godz. 18.00 mieliśmy PolskiegoBusa do Katowic. Okazało się, że Warszawa jest tak zakorkowana, że groziło nam spóźnienie. Dzwoniliśmy do dyspozytora o przytrzymanie autobusu, ale na szczęście zdążyliśmy na czas. Tak więc podróż zakończyliśmy o godz. 23.40, meldując się w domu.

Podsumowanie:

Jeden dzień wystarczy, by przejechać Izrael z północy na południe, a ledwie 40 minut potrzeba na przemieszczenie się z zachodu na wschód (w największym miejscu). Transport okazał się tutaj bardzo dobrze zorganizowany, autobusem i pociągiem dojedzie się praktycznie wszędzie. Rankiem można cieszyć oczy widokiem ośnieżonego szczytu góry Hermon (2236m) na północy, a po południu pływać wśród raf koralowych nad Morzem Czerwonym. Jest to mały kraj o długości 470 km, i maksymalnej szerokości 135 km. W całym Izraelu widok uzbrojonego żołnierza w kamizelce kuloodpornej jest rzeczą normalną. Kontrole osobiste przeprowadza się przed wejściem na dworzec, do urzędów i do większych sklepów. Każdego wieczoru latają nam nad głowami bojowe myśliwce F16. Jerozolima, choć należy do Izraela, stanowi terytorium sporne pomiędzy Żydami a Palestyńczykami, którzy uważają to miasto za swoją stolicę. Nie warto również próbować odgadnąć, co kryją napisy przypominające zbiór niedokończonych kwadracików. Dla większości Europejczyków hebrajskie słowa i zdania pozostaną tajemniczymi znakami zupełnie jak wyrazy pisane po arabsku, chińsku, japońsku. Izraelskie przysłowie mówi, że Jerozolima modli się, Tel Awiw bawi, Hajfa pracuje, a Eilat wypoczywa, i jest w tym sporo prawdy. W tym kraju chrześcijanie mają obecnie 2012 r., Żydzi 5772 r., a Palestyńczycy 1433 r. Jest to państwo młodych, dynamicznych ludzi, którzy potrafią się bawić i korzystać z życia. Są tu trzy morza, piaszczyste plaże, największa depresja na świecie, góry, pustynia, kawał historii oraz święte miejsca

dla trzech wielkich religii: judaizmu, islamu, chrześcijaństwa. Izrael to kulturalny tygiel, przenikanie się Wschodu i Zachodu, tradycji i nowoczesności...

Ciekawostki:

- Izrael – powierzchnia 22 tys. km², ludność 7 mln.
- Morze Martwe to największa depresja na świecie wynosząca – 418 m p.p.m. dzięki czemu powietrze zawiera tutaj o 10% więcej tlenu. Stężenie soli Morza Martwego wynosi 28%, na głębokości 50 m 36%, a w innych morzach do 4%. Żaden organizm nie jest w stanie przetrwać w takiej wodzie.
- W Tel Awiwie, gdzie osiedliło się najwięcej Żydów polskiego pochodzenia, są ulice: Adama Mickiewicza, Elizy Orzeszkowej, Fryderyka Chopina, Ludwika Zamenhofs. W jednej z dzielnic wszystkie ulice noszą nazwy związane z Polską m.in. Gminy Warszawskiej, Krakowskiej, Poznańskiej, Białostockiej czy Sejmu Czterech Ziem.
- Izrael ma dostęp do trzech mórz: Śródziemnego, Czerwonego, Martwego.
- Małżeństwa mieszane zasadniczo nie są dozwolone, jeżeli jednak to nastąpi, dziecko z takiego związku uznane jest za Żyda jedynie wtedy, gdy zrodzone jest z matki Żydówki.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Czerwona piłka o średnicy 4,6 metra zwiedza świat. Była już m.in. w Sydney, Toronto, Chicago, Barcelonie, Portland, Tarpei, Perth, St. Louisi Abu Zabi. Teraz jest w Paryżu. Swoją wędrowkę po Francji zaczęła po Centrum Pompidou, przed którym została nadmuchana. Z reguły pojawia się w znanych turystycznych punktach miasta, w których akurat przebywa. Przedsięwzięcie to stanowi element działań artystycznych Kurta Perschke'a amerykańskiego artysty z Nowego Jorku. Twórca tłumaczy, że jego celem jest poruszenie fantazji ludzi.

Tomasz Cukiernik

Izrael i Jordania w marcu



W dniach od 7 do 28 marca 2013 roku odbyłem 3-tygodniową wyprawę do Izraela i Jordanii. Bilet LOT-u kosztował 530 zł. Łączny koszt całej wyprawy to około 4000 zł.

Trasa: Warszawa – Tel Awiw – Jerozolima – Beer Szewa – Ein Bokek – Masada – Beer Szewa – Micpe Ramon – Avdat – Sde Boker – Beer Szewa – Ejlat – Akaba – Wadi Rum – Wadi Musa – Petra – Amman – Qasr Kharana – Qusayr Amra – Qasr al-Azraq – Amman – Madaba – Dżerasz – Irbid – granica Szejk Husejn Bridge – Tyberiada – Kafarnaum – Tabdza – Tyberiada – Nazaret – Hajfa – Akka – Hajfa – Jerozolima – Betlejem – klasztor św. Saby – Herodion – Betlejem – Jerozolima – Hebron – Jerozolima – Tel Awiw – Jaffa – Tel Awiw – Warszawa

7 marca

Wylot z lotniska Okęcie w Warszawie ok. godz. 23. Około 4-godzinny nocny lot Boeingiem 737-400 LOT-u do Tel Awiwu.

8 marca

Przylot na lotnisko Bena Guriona w Tel Awiwie ok. godz. 4 w nocy. Granica bezproblemowo, na prośbę nie wbito mi izraelskiej pieczętki. Spod lotniska busy do Jerozolimy kosztują 60 szekli. Wybrałem tańszą opcję. Zielony autobus nr 5, a potem przesiadka na autobus 423 (lub 947), który kursuje od godz. 6.50 – razem za oba autobusy 24 szekle. Z Centralnego Dworca Autobusowego w Jerozolimie przejazd taxi do mieszkania Mai z couchsurfing – 50 szekli. Godzinny spacer na Stare Miasto. Brama Jaffy, zwiedzanie suków, Bazyliki Grobu Pańskiego i Ściany Płacu. Wieczorem Maja zaprosiła na kolację u siebie w domu, którą organizowała dla przyjaciółek.

9 marca

Ponieważ był szabas, to nie działała żydowska komunikacja miejska. Przejazd arabskim autobusem do arabskiego dworca autobusowego (koło Bramy Damasceńskiej) i dalej autobusem 75 przejazd na Górę Oliwną (5,2 szekli). Na Górze Oliwnej głównie żydowskie cmentarze, widać mur betonowy wybudowany przez władze Izraela na gra-

nicy z Zachodnim Brzegiem. Spacer w dół. Po drodze: meczet Wniebowzięcia Jezusa, kościół Dominus Flevit, Ogród Getsemana, cerkiew Marii Magdaleny. Przejście Bramą Lwów na Stare Miasto – kościół św. Anny, Via Dolorosa.

Pierwszy tramwaj po szabasie jechał ok. godz. 19. Bilet 6,6 szekli. Przejazd na dworzec autobusowy, bilet do Beer Szewa 30 szekli. Przejazd trwał godzinę i 20 minut. Na przystanku w Beer Szewa czekał Peter z couchsurfing.

10 marca

Autobus do Micpe Ramon – ok. 1,5 godziny, 17 szekli. To małe miasteczko na środku pustyni Negew i obok wielki kanion Makhtesh Ramon, gdzie są różne możliwości trekkingu. Przejazd do Avdat – 14,7 szekli. Avdat to starożytne ruiny miasta na szczycie góry – wstęp 29 szekli. Przejazd z Avdat do Sde Boker – 7,2 szekli. Sde Boker to miejsce spoczynku Bena Guriona, twórcy państwa Izrael i jego żony. Jest tu też Park Narodowy Ein Avdat, ale ostatnie wejście jest o godz. 14.30. Powrót do Beer Szewa – 14,7 szekli. Taxi do mieszkania Karen, koleżanki Petera – 32 szekle.

11 marca

Autobus na stację autobusową w Beer Szewa – 4,2 szekli. Autobus 385 do Ein Bokek nad Morzem Martwym o godz. 6.20 – 30 szekli. Kąpiel w Morzu Martwym, plaża niezbyt ładna, mnóstwo Rosjan chodzących w szlafrokach z plastikowymi reklamówkami, pokazujących nieopaloną, jasną skórę. Przejazd autobusem 486 z Ein Bokek do Masady – 18 szekli. Kolejka linowa na górę – 76 szekli, ale wiele ludzi idzie pieszo (ok. 45 minut). Udało się wejść na teren Masady bez kupowania biletu. Przejazd autobusem 384 z Masady do Beer Szewa – 35,9 szekli. Autobus miejski nr 4 do domu Karen – 4,2 szekli.

12 marca

O godz. 7.30 autobus 397 do Ejlatu – 57 szekli, 3,5 godziny, po drodze jeden postój na stacji benzynowej. O godz. 11 przyjazd do Ejlatu – na rogatkach miasta kontrola policyjna. Przechodnia bagażu na dworcu – 20 szekli. Plaża nad Morzem Czerwonym wąska, piasek brudny – szkło, niedopałki, kapsle, plastik. Na deptaku czuć mocz. Mnóstwo Rosjan.

Przejazd taksówką na granicę – 35 szekli. Izraelski podatek wyjazdowy – 105 szekli, ale wiza jordańska na tym przejściu granicznym jest za darmo. Taxi z granicy do Akaby – 11 dinarów, nie ma możliwości negocjowania ceny (mafijny monopol).

Hotel Al-Zaitouna – 38 dinarów za pokój 2-osobowy ze śniadaniem, wysoki standard.

Na plaży głównie Jordańczycy, Arabki wchodzić do wody w ubraniach, obok fort Akaba z wielką flagą Jordanii. Niedaleko ruiny Ayla. W Akabie można nurkować przy brzegu Morza Czerwonego, by podziwiać rafę koralową – 15 dinarów za nurkowanie w masce z dojazdem na plażę południową, 35 dinarów za nurkowanie z butlą.

Bus do Wadi Rum kosztuje 1–2 dinary, ale podobno jedzie tylko o godz. 13, jak nabitiera pasażerów. Wykupiłem u mojego taksówkarza 2-dniową wycieczkę na pustynię Wadi Rum – po wielkim targowaniu zszedł z ceny z 240 dinarów do 150 dinarów za 2 osoby, w tym przejazd taxi z Akaby do Wadi Rum, ponad 3 godziny wielbłądy, kolacja i spanie w namiocie Beduinów, śniadanie i 5 godzin dżip po pustyni.

Internet w hotelu – 1 dinar za godzinę.

Pracownik jednej z piekarnio-cukierni oprowadził po zakładzie. Pokazał, jak wygląda proces produkcyjny ciasta i wypiek. Wziął za to 2 dinary.

13 marca

Przejazd taksówką do Wadi Rum (około godziny). Ponad 3-godzinna przejażdżka na wielbłądzie przez pustynię do obozu Beduinów, gdzie można było podziwiać zachód słońca, a w nocy gwiazdy na bezchmurnym niebie. Tradycyjna kolacja Beduinów w namiocie. Towarzystwo z różnych zakątków świata: USA, Australii, Meksyku, Brazylii, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Francji. Na koniec w namiocie pojawił się skorpion.

14 marca

Po śniadaniu kilkugodzinna wycieczka dżipem do różnych atrakcji Wadi Rum: kamienny most, kanion, skała „grzyb”, dom Lawrence’a, inskrypcje Anfashien, piaszczyste wydmy, skalna „mapa”, namioty Beduinów, źródło Lawrence’a. Powrót do wioski Rum. Złapałem na parkingu parę z Andory, która miała wynajęte auto. Za 20 dinarów zabrałem się z nimi do Wadi Musa.

W Wadi Musa hotel Elgee – 20 dinarów za pokój 2-osobowy. W jednej z knajpek kolacja „szwedzki stół” – 5 dinarów. Internet – 1,5 dinara za godzinę.

15 marca

Pobudka wcześniej rano i spacer ok. 1,5 km do Petry. Cena biletu do Petry woła o pomstę do nieba – 50 dinarów (225 zł!). Najpierw w cenie biletu można jechać konno lub bryczką, potem niesamowity kolorowy wawóz, dalej słynny Skarbiec, wokół wielbłądy, osły, muły. W całym kompleksie Petry jest wiele wykutych w skale zabytków Nabatejczyków, ruin, pozostałości grobowców, jaskiń, kolumn, amfiteatr, a także restauracje, kawiarnie, sprzedaż pamiątek. Można kupić polską wodę mineralną Cisowiankę lub polską Ice Tea. Po około godzinie marszu w górę dochodzi się do Monastynu. Nieco wyżej wspaniałe widoki na okoliczne pustynne góry i wawozy.

Pamiątki i zakupy: koszulka – 10 dinarów, bransoletka – stargowana z 15 do 6 dinarów, 14 widokówek – 1 dinar (zaczek do Polski 0,8 dinara), figurka – 1 dinar, chusta – 3 dinary.

Wieczorem byłem zobaczyć prawie pusty meczet w Wadi Musa.

16 marca

Autobus z Wadi Musa do Ammanu – 7 dinarów. Autobus rusza, jak napełni się pasażerami. Jedzie ponad 3 godziny, po drodze jeden postój. Cały czas pustynia, dopiero przed samym Ammanem krajobraz zmienia się w nieco bardziej zielony. Z dworca autobusowego do hotelu taxi kosztowało 4 dinary.

Hotel Cliff (spartańskie warunki, brudno) – 12 dinarów za pokój 2-osobowy.

Zwiedzanie Ammanu: cytadela (2 dinary) – ruiny świątyni rzymskiej, pałac Umayyadów, muzeum z najstarszymi posągami na świecie mającymi ok. 10 000–8000 lat. Piękne widoki na miasto i rzymski amfiteatr poniżej. Wejście do amfiteatru – 1 dinar, obok odeon i forum rzymskie. Ruiny Nymphaeum – zamknięte. Kebab z sałatkami na obiad – 4 dinary. Meczet Al-Husseiny – zakaz wejścia do środka dla „niewiernych”, ale można zobaczyć z przegu.

17 marca

Rano poszedłem poszukać Majlis Al-Umma, czyli parlamentu Jordanii. Po drodze strażnicy nie pozwolili mi zrobić zdjęć budynków Ministerstwa Finansów Jordanii, banku Centralnego i głównej siedziby policji. Dotarłem do parlamentu, a niedaleko od niego wybudowano wielki meczet króla Abdullaha, który sąsiaduje z dwoma chrześcijańskimi świątyniami.

O godz. 8 rano przyszedł do hotelu zamówiony taksówkarz Mikled Al-Salaytah – 50 dinarów za 5-godzinny przejazd po pustyni, a potem na górę Nebo i do Madaby. Trzy zamki na pustyni na wschód od Ammanu: Qasr Kharana, Qusayr Amra i Qasr al-Azraq – jeden bilet do wszystkich – 1 dinar. Nie robią oszałamiającego wrażenia. Ulice w miastach i drogi pozamiejskie nie są zawałone billboardami reklamowymi jak w Polsce. Jedynie portrety króla w różnych pozycjach i sytuacjach: król śmiejący się, przemawiający, w stroju wojskowym, z rodziną, strzelający, pozdrawiający poddanych itp.

Następnie przejazd na górę Nebo, skąd Mojżesz miał widzieć Ziemię Obiecaną i gdzie znajduje się jego grób – wstęp 1 dinar. Mozaiki, przy dobrej pogodzie piękne widoki na Palestynę, Morze Martwe itd.

Bardzo ciekawym, spokojnym i przyjemnym miasteczkiem do zwiedzania jest Madaba: – za darmo można wejść do instytutu sztuki mozaiki, finansowanego przez USAid, – grekoortodoksyjny kościół św. Jerzego – wstęp 1 dinar, gdzie na podłodze znajduje się mapa – starożytna mozaika z miejscami biblijnymi, – meczet, – rzymskokatolicki kościół Jana Baptysty – wstęp 1 dinar, podziemia, studnia, wieża dzwonnica, skąd można oglądać panoramę miasta.

Obiad w przyulicznej knajpcie – kebab z sałatkami i frytkami – 2 dinary. Wszyscy palą papierosy w miejscach publicznych i na ulicy, w restauracji, na przystanku, w sklepie, w autobusie.

Hotel Phoenix Palace – taksówkarz załatwił cenę 20 dinarów zamiast 35 dinarów w pokoju 2-osobowym ze śniadaniem i kawą na powitanie, a później herbatą. Wysoki poziom, bardzo czysto i bardzo miła obsługa.

18 marca

Po śniadaniu w hotelu przejazd z Madaby do Ammanu (dworzec północny) – 0,85 dinara, a następnie przejazd z Ammanu do Dżeraszu – 1 dinar, gdzie znajdują się wspaniałe ruiny miasta rzymskiego – wstęp 8 dinarów. Z Dżeraszu chciałem jechać do Irbidu, ale na dworcu w Dżerasz nie ma żadnej informacji i ludzie błędnie powiedzieli, że z Irbidu nie ma autobusów do granicy z Izraelem i trzeba jechać z Ammanu. Wróciłem się więc do Ammanu za 1 dinar, a tam okazało się, że wszystkie autobusy na granicę Szejk Husejn Bridge już tego dnia pojechały. Pojechałem więc do Irbidu – 1,3 dinara. To dość duże miasto, ale całkiem nieturystyczne. Miejscowi nie traktują turystów, jak chodzącej skarbonki, a wszystko jest o połowę tańsze, albo i więcej. Taxi do hotelu – 1,5 dinara, Internet 0,5 dinara za godzinę. Wielka ilość kurczaczków z frytkami, sałatkami i napojem w miejscowej odmianie KFC – 3,5 dinara. Nie dało się tego zjeść i połowę zabrałem do hotelu, by zjeść na kolację.

Hotel Al-Ameen al-Kabeer – wielki syf, ale bardzo tani – 10 dinarów za pokój 2-osobowy.

19 marca

Taxi na dworzec zachodni w Irbidzie – 1 dinar. Autobus na granicę – 0,9 dinara. Zostawił mnie na środku skrzyżowania, skąd obowiązkowe taxi na granicę – 1,5 dinara. Podatek wyjazdowy z Jordanii – 10 dinarów. Obowiązkowy autobus przez granicę – 1,6 dinara. Taxi z granicy do Beit Szean – 7 km, 50 szekli. W Beit Szean kierowca autobusu źle poinformował mnie i straciłem 1,5 godziny czekania na ten sam autobus nr 28 do Tyberiady. Nie działał autostop, którego próbowałem. Chciałem jechać do zamku krzyżowców Belvoir, ale autobus się tam nie zatrzymuje i trzeba iść pod górę około godzinę, a ponieważ nie było gdzie zostawić plecaka, to zrezygnowałem.

W Tyberiadzie globtroterski hostel Aviv – czysty i godny polecenia, 70 szekli za łóżko w pokoju wieloosobowym, w cenie Internet i kawa przy recepcji. Kebab w bułce na mieście – 23 szekle.

Basen z gorącymi wodami w Tyberiadzie – 70 szekli, ale w hotelu można było kupić bilet zniżkowy za 40 szekli plus klucz do szafki basenowej 10 szekli. Basen przyjemny, ale swoją świetność ma już dawno za sobą, dawno nieremontowany.

20 marca

Autobus z dworca w Tyberiadzie (bilet 11,4 szekli) do Kafarnaum – mała wieś nad Jeziorem Galilejskim, gdzie nauczał Jezus. Teraz znajduje się tam kościół grekokatolicki oraz kościół katolicki w miejscu domu św. Piotra, pod nim ruiny, a obok ruiny synagogi, wstęp do tego wszystkiego 3 szekle.

Spacer 3 km do Tabdzy, gdzie nad samym jeziorem znajduje się kościół franciszkański. Autobus ze skrzyżowania do Tyberiady – 16 szekli za pół godziny jazdy.

Z dworca w Tyberiadzie autobus do Nazaretu – 18 szekli, około godzina jazdy. W Nazarecie Bazylika Zwiastowania, gdzie znajduje się Grota Zwiastowania (dom Maryi) we wspólnym kompleksie z klasztorem franciszkańskim oraz kościołem św. Józefa (gdzie znajdował się warsztat św. Józefa). Obok uliczki Starego Miasta z arabskimi sukami. Niedaleko znajduje się synagoga-kościół.

Autobus z Nazaretu do Hajfy – 18 szekli, w cenie przejazd autobusem miejskim w Hajfie. Przejazd autobusem nr 132 do mieszkania Nira z couchsurfingu.

21 marca

Autobus na dworzec autobusowy plus drugi autobus do Akki – łączny bilet kupiony w pierwszym autobusie miejskim – 14 szekli. W Akce wspólny bilet na kilka atrakcji w mieście za 27 szekli: cytadela krzyżowców z podziemiami, muzeum etnograficzne w murach obronnych, muzeum sztuki nowoczesnej oraz tunel templariuszy. Potem spacer po porcie w Akce z latarnią morską i po Starym Mieście – suki, meczety, kościoły. Nigdzie nie było kawiarenki internetowej. Autobus powrotny do Hajfy – 14 szekli.

22 marca

Trzy osoby odmówiły mi z couchsurfingu w Hajfie, mimo że wcześniej zapraszały do domu. Autobus na dworzec centralny w Hajfie i autobus do Jerozolimy – 42 szekle, niecałe 2 godziny.

W Jerozolimie globtroterski hostel Abraham, pokój 4-osobowy – 114 szekli, pokój 10-osobowy – 82 szekle. Cena pokoju z łazienką, ze śniadaniem – szwedzki stół, do-

stępem do kuchni, lodówki, kawa i herbata. Można było wykupić za 35 szekli wspólny obiad, który przygotowywała obsługa hotelu. Hostel czysty i godny polecenia.

Dzielnica Mea Szarim – mieszkają tu Żydzi ortodoksyjni, przybyli głównie z Europy Środkowej i Wschodniej. Duży ruch na ulicach, wszyscy spieszą się przed szabasem. Ulice znacznie brudniejsze niż w pozostałych dzielnicach Jerozolimy. Ortodoksi brudni, niechlujnie wyglądający. Wieczorem Ściana Płaczu (o zmroku zaczynają się uroczystości szabasowe), a potem wykupiony obiad w hotelu.

23 marca

Przejazd z Jerozolimy (spod Bramy Damasceńskiej) do Betlejem – 7,3 szekli. W Betlejem taxi po najciekawszych atrakcjach miasta i okolicy – 220 szekli:

- obóz Aida dla uchodźców – Palestyńczyków, którzy zostali wyrzuceni z Jerozolimy w 1948 roku,
- 8-metrowy betonowy mur rozdzielający Zachodni Brzeg od Izraela – po stronie palestyńskiej różne napisy i graffiti antyizraelskie,
- kościół Aniołów w Betlejem, gdzie miało miejsce zwiastowanie Maryi, obok ruiny,
- grekokatolicki klasztor św. Saby – w górach na pustyni judzkiej, zakaz wstępu dla kobiet,
- Herodion – ruiny fortecy Heroda na szczycie telli wraz z tunelami – udało się wejść bez biletu,
- Stare Miasto w Betlejem: Bazylika Narodzenia z Grotą Narodzenia, grota mleczna, meczet Omara.

Wszędzie na drogach można zobaczyć wielkie czerwone tablice, ustawione przez władze Izraela, zakazujące wjazdu Żydom na tereny zamieszkałe przez Palestyńczyków, gdyż może to grozić utratą ich życia. Wieczorem powrót autobusem do Jerozolimy, na przejściu granicznym sprawdzanie paszportów przez służby izraelskie.

24 marca

Przejście specjalnym mostem na stronę muzułmańską na Starym Mieście w Jerozolimie. Trzeba było czekać w półgodzinnej kolejce, ponieważ było dużo turystów. Jest to możliwe tylko w dni powszednie w godzinach 7.30–10.00 i 12.30–13.30. Meczet na Skale i Meczet Al-Aqsa można oglądać tylko z zewnątrz.

Popołudniu dłuższy spacer do Knesetu. Ponadgodzinna wycieczka z przewodnikiem po izraelskim parlamencie za darmo. Niedaleko wejścia – wielka menora. Nieco dalej muzeum ze zwojami znalezionymi w Qumran, a jeszcze dalej grekoortodoksyjny warowny klasztor św. Krzyża.

25 marca

O godz. 11.40 autobus z dworca centralnego w Jerozolimie do Kiryat Arba (9 szekli), ochranianego przez wojsko żydowskiego osiedla przy Hebronie. Stamtąd spacer około 3 km do centrum Hebronu. Zwiedzanie grobów patriarchów, żydowska enklawa chroniona przez policję. Na Starym Mieście w Hebronie zaczęli mnie Ayman Fakhori, student Uniwersytetu Hebrońskiego i zaproponował, że oprowadzi mnie po miejscach związanych z konfliktem żydowsko-palestyńskim. Podkreślił, że zależy mu na tym, by świat nie zapominał o tym, co dzieje się w Hebronie. Jest to miasto podzielone. Jak mówił, z części 250-tysięcznego miasta siłą wysiedlono 50 tysięcy Palestyńczyków, za-

mnęto 512 ich sklepów, by zrobić miejsce dla 400 żydowskich osadników. Palestyńczyków umieszczono w obozie dla uchodźców, a koloniści zajęli pięć enklaw, w których mieszka po 50–100 osób, a pilnuje ich 4000 izraelskich żołnierzy. Zostałem też zaproszony do domu jednego Palestyńczyka, który pokazał mi z dachu, jak osadnicy żydowscy utrudniają Palestyńczykom życie. Pokazał też filmiki z walk ulicznych pomiędzy Palestyńczykami a izraelskimi żołnierzami.

W Hebronie znacznie taniej niż w Izraelu – pita z mięsem i sałatkami na ulicy – 2,5 szekli.

Z Hebronu popołudniu nie było bezpośredniego autobusu do Jerozolimy, więc najpierw przejazd arabskim busem do Betlejem – 9 szekli, a potem autobusem za 7,3 szekli do Jerozolimy.

26 marca

Rano wywiad z ojcem Jerzym Krajem, franciszkaninem, dyrektorem Chrześcijańskiego Centrum Informacyjnego w Jerozolimie. Popołudniu przejazd busem z Jerozolimy do Tel Awiwu – 35 szekli.

Chef Hostel Montefiori – 100 szekli w pokoju 16-osobowym bez śniadania, ale z Internetem w cenie. Tel Awiw robi niekorzystne wrażenie – syf na ulicach, pijani Murzyni, narkomani, żebracy.

27 marca

W wieżowcu Szalom nie ma już tarasu widokowego. Jest tylko na pierwszym piętrze darmowa wystawa o historii Tel Awiwu. Spacer do nowoczesnego Azrieli Towers – najwyższego wieżowca w mieście. Piętro widokowe znajduje się na 49 kondygnacji, wstęp 22 szekle.

Autobus miejski do Jaffy – 6,6 szekli. Stare Miasto w Jaffie nad brzegiem Morza Śródziemnego. Można zwiedzić port. Fajna promenada, prowadząca z powrotem do Tel Awiwu. Plaża w Tel Awiwie – piaszczysta, dość szeroka, Arabki wchodzą do wody w ubraniach. Popołudniu chciałem jeszcze wejść do jakiejś synagogi, ale wszystkie trzy w okolicy były zamknięte.

28 marca

Około godz. 2 w nocy wyjazd taxi na lotnisko (110 szekli). Na lotnisku wypytywanie się o kontakty w Jordanii i o to, czy mam bombę w plecaku. O godz. 6.20 samolot embraer 175 LOT-u. Z Warszawy powrót pociągiem do domu.

Informacje praktyczne

Przekraczanie granicy

Do Izraela Polacy nie potrzebują wiz. Podczas wjazdu i wyjazdu należy poprosić o niewbijanie izraelskiego stempla do paszportu, bo potem może być problem z wjazdem do niektórych krajów arabskich. Podatek wyjazdowy z Izraela wynosi 105 szekli (w przypadku wylotu zawarty jest w cenie biletu). Wizy jordańskie Polacy uzyskują na granicy. Na przejściu granicznym w Akabie są one bezpłatne. Podatek wyjazdowy z Jordanii – 10 dinarów.

Zdrowie: Przy wyjeździe do Izraela Sanepid zaleca szczepienie na tężec z błonicą. W przypadku Jordanii zaleca się następujące szczepienia: żółtaczka A i B, dur brzuszny, polio i błonica z tężcem. W Izraelu można pić wodę z kranu bez przegotowania.

Bezpieczeństwo

Zarówno Izrael, jak i Jordania są krajami bardzo bezpiecznymi w sensie rabunku. Kradzieże, kieszonkowcy, napady na turystów raczej nie mają miejsca. W Izraelu wszędzie na ulicach mnóstwo uzbrojonego wojska, zdarzają się kontrole autobusów czy kontrole bagażu przed wejściami na dworce. W Izraelu możliwe są zamachy bombowe np. w środkach transportu czy ataki rakietowe z terytorium Strefy Gazy. W miastach Zachodniego Brzegu może natomiast dojść do antyizraelskich rozruchów ludności palestyńskiej.

Waluty

Nie ma problemów z wymianą pieniędzy. Zarówno dolary, jak i euro można wymienić w licznych kantorach. Średni kurs w Izraelu 100 USD = 370 shekeli. Średni kurs w Jordanii 100 USD = 70 dinarów. 1 shekla to ok. 0,85 zł, a 1 dinar to ok. 4,5 zł. Bardzo niekorzystny kurs wymiany na lotnisku w Tel Awiwie, bardzo dobry na Starym Mieście w Jerozolimie.

Transport

W Izraelu bardzo dobrze rozwinięta jest sieć międzymiastowego transportu autobusowego, jak i transportu miejskiego w dużych miastach, jak Jerozolima, Tel Awiw czy Hajfa. Jednak ceny są dość wysokie. Taksówki w Izraelu są drogie (50 shekli za mniej niż 10 km). Uwaga na szabas (od piątkowego zmroku do sobotniego zmroku) – w Izraelu działa tylko transport publiczny prowadzony przez Arabów. W Jordanii transport publiczny jest bardzo ograniczony, szczególnie poza dużymi miastami. Często jeśli jest autobus, to jeden dziennie i zwykle rano, a rusza, jak zapełni się pasażerami. W związku z tym pojawia się konieczność wynajmowania także na dłuższe trasy taksówek. Jak na taksówkę w porównaniu z Polską nie jest to drogo, jednak z uwagi na dużą odległość (100–200 km), cena nie jest niska. Za pół dnia jazdy taksówką w Jordanii trzeba liczyć na wydatek około 50 dinarów. Zarówno w Izraelu, jak i w Jordanii istnieje opcja wynajęcia samochodu, jednak jest to droga alternatywa, choć na cztery osoby może być opłacalne. W Izraelu paliwo kosztuje prawie 7 zł za litr. W Jordanii litr benzyny kosztuje ok. 4 zł, a oleju napędowy – ok. 3,2 zł.

Noclegi

Noclegi w Izraelu są dość drogie, najtańsze hostele to wydatek minimum 70 shekli w pokoju wieloosobowym. Dlatego dobrą alternatywą może być couchsurfing. W Jordanii tanie hostele globtroterskie (od 5–6 dinarów za osobę) oferują bardzo złe warunki, a hotel na dobrym poziomie to wydatek minimum 20–35 dinarów za pokój.

Jedzenie

W Izraelu ceny w sklepach spożywczych i jedzenie w knajpkach (także tych ulicznych) jest drogie – to wydatek 2–3 razy wyższy niż w Polsce. Znacznie taniej jest w nieturystycznych miejscach Zachodniego Brzegu – cena kebabu na ulicy może być nawet 10 razy (!) niższa niż w Izraelu (2,5 shekli w Hebronie zamiast 23–25 shekli w Jerozolimie czy Tyberiadzie). Woda mineralna i duże napoje butelkowane (1,5–2 litry) to wydatek 3–5 razy wyższy niż w Polsce. Na Starym Mieście w Jerozolimie bardzo drogo: kawa – 10 shekli, woda mineralna 1,5 l – 6–10 shekli. W szabas w Izraelu działają tylko sklepy arabskie. W Jordanii w restauracjach dla turystów również jest dość drogo, a w pozostałych miejscach (nieturystycznych) taniej niż w Polsce. Napoje butelkowane w cenie polskiej lub 2–3 razy droższe (w miejscach turystycznych).

Internet i komórki

W Izraelu nie ma problemu z wi-fi, natomiast trudno znaleźć kawiarenkę internetową. W hotelach wi-fi zwykle jest za darmo, a kawiarenka albo stosunkowo droga (ok. 10 szekli za godzinę), albo za darmo. W Jordanii tanie kawiarenki łatwo znaleźć (0,5–1,5 dinara za godzinę), a wi-fi nie jest bardzo popularne. Wszędzie działał telefon komórkowy (Plus).

Pogoda i różnica czasu

W ciągu trzech tygodni marca temperatura w dzień osiągała wysokość ok. 20–35 st. (najcieplej było na pustyni Wadi Rum i na pustyni Negew), w nocy ok. 15 st. Większość dni było słonecznych, 3–4 dni pochmurne. Lekki deszczyk padał tylko raz przez pół godziny na pustyni w Jordanii. Różnica czasu między Polską a Izraelem i Jordanią wynosi jedną lub dwie godziny, które należy dodać (nie ma zmiany czasu).

Język

W Izraelu wszędzie można porozumieć się po angielsku, a w Jordanii w miejscach turystycznych też nie powinno być z tym problemu. Warto nauczyć się kilku słów po arabsku.

• *Rozmaitości ze świata* • • • • •

Pracownik niemieckiego banku tak się zmęczył robotą, że zasnął przed komputerem. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie to, że zamiast 62,40 na konto klienta przesłał 222 miliony euro! W efekcie pracę straciła kierowniczka banku. Sąd rozstrzygnął sprawę na jej korzyść i wszystko zakończyło się jedynie lekkim weltschmerzem.

Walenty Zajkowski

Japonia i Korea Południowa



Termin: od 9 do 25 września 2012.

2 uczestników (Joanna i Walenty Zajkowscy).

Trasa: Warszawa – Paryż – Osaka – Kioto – Hirosima – Seul – Gyeongju – Seul – Paryż – Warszawa (trasa trochę wymuszona przez tajfun).

Długość pobytu: 2 tygodnie.

Koszt pobytu: ok. 7 tysięcy złotych / osobę (byłoby 6, gdyby nie tajfun).

Przygotowania do podróży:

Trwały zbyt krótko, bo dopiero w maju ostatecznie zdecydowaliśmy się na wyjazd. Organizacyjnie to nie jest za mało czasu, ale wcześniej byłaby większa szansa na tańszy przelot i noclegi. Noclegi zdecydowaliśmy się zarezerwować już w Polsce, gdyż w takim kraju jak Japonia szukanie na miejscu mogło przynieść niezłą niespodziankę cenową. Korzystaliśmy ze sprawdzonego serwisu www.booking.com. Opłaty za hotele dokonywało się na miejscu, a ewentualna rezygnacja z wyprzedzeniem nie powodowała poniesienia żadnych kosztów. Wszystkie wybory były trafione. Czasem było tanio, a czasem odrobinę luksusu.

Najkorzystniejsze przeloty w czasie naszych poszukiwań oferował AIR FRANCE. Cena ok. 3100 zł za przelot Warszawa – Osaka i Seul – Warszawa to było wszystko, co potrafiliśmy wyłuskać z Internetu.

Na Japonię mieliśmy Pascala – praktyczny przewodnik, natomiast Korea Południowa to tylko wiedza z neta (fora, relacje, opisy).

Nasze telefony nie są przystosowane do japońskiej i koreańskiej sieci komórkowej. Na użytek miejscowy można wypożyczyć telefon na lotnisku, ale po co? W bardzo wielu miejscach można korzystać z darmowego wi-fi (lotniska i dworce, informacje turystyczne, stacje benzynowe, hotele, centra handlowe itp.). Francuzów na lotnisku stać tylko na zaproponowanie 15-minutowego darmowego łącza internetowego i to po wcześniejszej rejestracji.

Elektronicznie cała Europa to zaścianek.

Kursy walut:

1 USD = ok. 76 jenów japońskich

1 USD = ok. 1100 wonów koreańskich (na lotnisku – 1075)

W Japonii korzystaliśmy z wypukłej karty VISA. Większość bankomatów nie jest przystosowana do kart europejskich. Natomiast w urzędach pocztowych są takie, które obsługują nasze karty, i to jest najlepszy sposób pozyskania gotówki. W Korei są natomiast kantory wymiany walut. Na pewno znaleźć je można w pobliżu miejsc handlowych. Ewentualnie banki.

Zakupy i przykładowe ceny:**JAPONIA**

- 1,5 l coca coli – 188÷220 jenów
- 0,5 l coca coli – 100÷160 jenów
- puszka piwa – 130÷250 jenów
- mała porcja sushi w sklepie – 150÷500 jenów
- woda 2 l – 160÷220 jenów (inne kolorowe napoje – cena zbliżona)
- chleb tostowy (6÷8 kromek) – 100÷180 jenów
- bułki słodkie maślane (5 sztuk) – 100÷120 jenów
- wołowina z Kobe (najdroższa wołowina na świecie) – od 40 000 jenów/kg

Ceny z baru szybkiej obsługi:

- bułka z hamburgerem i kawa – 400 jenów
- bułka z hamburgerem, kawa i frytki – 650 jenów
- hot dog z colą – 300 jenów
- frytki – 190÷260 jenów
- dania japońskie z kawą lub colą – 700÷900 jenów

KOREA POŁUDNIOWA

- 1,5 l coca coli – 2000÷2500 wonów
- kim chi w sklepie – od 370 wonów/opakowanie
- piwo 0,5 l – 1300÷2300 wonów
- piwo 0,65 l – 1650 wonów (najtańsze)
- piwo 1 l – 2250 wonów
- chleb tostowy (6÷8 kromek) – 1800÷2300 wonów
- bagietka duża – 2200 wonów
- najprostsze sushi w sklepie, lub barze – 2500÷3000 wonów
- jabłka 1 kg – 6000 wonów
- banany 1 kg – 4000 wonów
- winogrona 1 kg – 14 000 wonów
- jajka 30 szt. – 4000 wonów
- ziemniaki 1 kg – 2000 wonów
- papryka 1 kg – 3000 wonów
- ryby 1 kg – od 5000 wonów
- bułka na parze z kim chi lub innym nadzieniem na ulicy – 1000 wonów
- różnego rodzaju placki – 1000 wonów/szt.
- 3 małe szaszłyki (lub jeden duży) – 2000 wonów

Większość jedzenia na ulicy kosztuje 1000 wonów.

9 września

Cały dzień spędziliśmy w samolotach i na lotniskach i dopiero po całonocnym locie dotarliśmy do Osaki.

10 września

Lotnisko Kansai, to nie jest zwykłe lotnisko. To jeden ze współczesnych cudów budowlanych. Umieszczono je na sztucznej wyspie usypanej na wodach zatoki Oceanu Spokojnego. Ogrom prac, jakie trzeba było wykonać, przerasta nasze wyobrażenia, a jednocześnie konstrukcja musiała być odporna na fale oceaniczne i trzęsienia ziemi. To mogło się udać tylko w Japonii. W niezwykłym kraju, niezwykłych ludzi. Dopiero mieliśmy się przekonać o jego wszystkich walorach. Kraj naszpikowany elektroniką i wprost krępująco uprzejmi ludzie. Wydawało mi się, że wiem o nich wszystko. Myliłem się. Co prawda, spełniły się wszystkie oczekiwania, tylko dwa razy bardziej.

Osaka nie była w naszym prywatnym programie zwiedzania, więc po wymianie pieniędzy od razu sprawdziliśmy najtańszą możliwość dotarcia do Kioto. Autobus ze stanowiska nr 8, za 2500 jenów, to chyba najlepsza opcja. Bilety można kupić w automacie obok stanowiska odjazdu. Autobus zatrzymuje się przy głównym dworcu kolejowym w Kioto, skąd można już dotrzeć we wszystkie rejony miasta. Pierwsze kroki proponuję skierować do informacji turystycznej na dworcu kolejowym. Ta, która była koło dworca, została przeniesiona do środka. My popełniliśmy błąd. Zamiast zaopatrzyć się w informacji w szczegółowy plan linii autobusowych, przedzieraliśmy się do hotelu metrem z dwiema przesiadkami. Każdy przejazd minimum 200 jenów (opłata zależy od długości odcinka). Z planem linii autobusowych wiedzielibyśmy, że za 220 jenów kursuje autobus nr 206 prawie pod drzwi hotelu.

Zakup biletu na metro nie sprawia żadnych trudności. Na planie linii metra są zaznaczone wszystkie stacje z wpisaną opłatą za przejazd z miejsca startu. Pierwsze podejście do automatu było udane, mimo napisów krzaczkami.

Gdybyśmy jednak skorzystali z autobusu, pewnie nie moglibyśmy się spotkać z niezwykłą życzliwością potomków samurajów już w pierwszym dniu pobytu.

Po wyjściu z metra nie zdążyliśmy nawet podejść do planu miasta, gdyż od razu podszedł Japończyk i zaproponował, że podwiezie nas w okolice hotelu i że będzie mu bardzo miło, jeśli skorzystamy z pomocy. Wysadził nas koło stacji kolejki Mototanaka jakieś 100 m od hotelu. Po wygramoleniu się z plecakami z samochodu inny Japończyk zaproponował, że zaprowadzi nas pod drzwi hotelu. Na pożegnanie nalegał, żebyśmy się poczęstowali butelką zimnej zielonej herbaty. W 30-stopniowym upale smakowała wyjątkowo.

Guesthouse Kanwado zarezerwowaliśmy na 5 nocy (3700 jenów – pokój 2-osobowy/noc). W praktyce sami zamieszkaliśmy w małym domku w stylu japońskim, mając do dyspozycji pokój, salon, kuchnię i łazienkę. Całkiem niezła lokalizacja w dzielnicy Tanaka, z możliwością pieszych wypraw do najciekawszych zabytków miasta. Opuściliśmy rowery, gdyż nie ma ścieżek rowerowych i wszyscy jeżdżą po chodnikach.

11 września

Z czterech dni w Kioto, dwa planowaliśmy na zwiedzanie miasta, jeden na wypad do Nary i jeden na Amanohashidate („most do nieba”). Ostatecznie została Nara i 3 dni w Kioto.

Zwiedzanie Amanohashidate w ciągu jednego dnia z Kioto jest możliwe, ale dosyć kosztowne. Podróż trzeba odbyć pociągiem ekspresowym, co kosztuje 4000 jenów w jedną stronę i przejazd zajmuje ok. 2 godziny. Pociąg osobowy jedzie 4 godziny i praktycznie cały dzień spędza się w podróży. Wyprawa autobusem to już, niestety, 2 dni.

Pociągi ekspresowe wyjeżdżają z Kioto o godz. 9.25, 10.25, 12.25, 15.25, a do Amanohashidate przyjeżdżają odpowiednio o godz. 11.21, 12.28, 14.31, 17.27. W drodze powrotnej z Amanohashidate wyjazd o godz. 9.58, 13.52, 15.01, 17.36, 18.46, a przyjazd do Kioto odpowiednio o godz. 12.06, 16.05, 17.06, 19.53, 20.48.

Autobusy wyjeżdżają z Kioto o godz. 13.20 i 18.10. Podróż zajmuje ok. 3 godz. 20 min. Powrót z Amanohashidate o godz. 8.40, lub 12.24.

Dworzec autobusowy znajduje się przed głównym dworcem kolejowym i obsługuje zarówno komunikację miejską, jak również trasy dalekobieżne. Obok jest informacja autobusowa.

Do Nary najwygodniej dojechać lokalnym pociągiem. Od razu po przyjeździe zaskakuje duża liczba wąsających się danieli. Okupują parki, chodniki, a nawet jezdnie, co powoduje częste wstrzymanie ruchu. Okazja do podziwiania cierpliwości japońskich kierowców. Ani razu nie słyszałem klaksonu. Wejście do świątyni Todai-ji, największej na świecie drewnianej budowli – 500 jenów. Należy pamiętać o zdjęciu butów przed przekroczeniem progu świątyni. Przejście przez wąski otwór w jednej z kolumn (ma zapewnić oświecenie) zaliczyła tylko połowa naszej ekipy. Ja nie miałem żadnych szans (190/85). Todai-ji, to pierwsza okazja do zbierania pamiątkowych stempli. Później okazało się, że były przy większości obiektów.

12 września

Dzisiaj pierwszy dzień na Kioto. Kilka ciekawych obiektów znajduje się w okolicach dworca kolejowego. Świątynie Nishi-Honganji i Toji są wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Do pierwszej wstęp jest za darmo, natomiast za bilet do Toji trzeba zapłacić 500 jenów. Bezpłatny jest tylko wstęp na czasowe wystawy. Główny pawilon świątyni zasłaniają rusztowania.

Nieco dalej na południe koniecznie trzeba zwiedzić świątynię Fushimi Inari. Położona na zboczach Mt. Inari jest najczęściej odwiedzaną świątynią w Kioto. Szczególnie interesujący jest 4-kilometrowy szlak górski z bardzo dużą liczbą czerwonych torii.

Na koniec dnia kolejna świątynia z listy UNESCO – Kiyomizudera, położona pięknie na górkim zboczu. Niestety, też osłonięta rusztowaniami. Wstęp 300 jenów. U podnóża góry wybija uzdrowiające źródło.

Korzystanie ze źródeł wodnych w świątyniach odbywa się według określonych reguł. Wodę nabiera się specjalnym pojemnikiem na długiej rączce. Najpierw myjemy jedną dłoń, później drugą. Na koniec przemywamy twarz i ewentualnie pijemy, ale nie z naczynia tylko z ręki. Tutaj akurat naczynia odkłada się na specjalne półki, gdzie są odkazane ultrafioletem.

13 września

Dzisiaj czas na największe perły Kioto. Zwiedzanie pałacu cesarskiego jest możliwe tylko grupowo, ale bezpłatnie. Pozwolenie uzyskuje się bezproblemowo w biurze obok głównej bramy, a grupy angielskojęzyczne startują o godz. 10.00 i 14.00. Zwiedzanie trwa ok. 1 godziny.

Za zwiedzenie pałacu szogunów Nijo trzeba zapłacić 600 jenów. To chyba jeden z ciekawszych obiektów w Kioto. Tutaj po raz kolejny mieliśmy przyjemność zaznać japońskiej życzliwości. Otarty palec u nogi mojej żony spowodował „akcję ratunkową”, w którą zaangażowało się kilka osób z obsługi. Mało brakowało, a podjęto by próbę sprowadzenia śmigłowca.

Wieczór zarezerwowaliśmy na słynną Gion, ekskluzywną dzielnicę życia nocnego, gdzie najłatwiej spotkać prawdziwą gejszę. Zamiast gejsz spotkaliśmy tłumy turystów z aparatami i dyskretnie zasłonięte okna bardzo drogich japońskich restauracji. Ceny posiłków dochodzą do 20 000 jenów za zestaw, gdy tymczasem w popularnych miejskich lokalikach oscylują wokół 1000 jenów.

14 września

Na koniec zostawiliśmy północny szlak świątyni przy Kitaoji-dori. Po kolei są to: Shimogamo z darmowym wejściem, Daitokuji z pięknym ogrodem za 400 jenów, Kinkakui ze złotym pawilonem za 400 jenów, Ryoanji ze słynnym ogrodem kamiennym i na koniec Ninnaji, co prawda z bezpłatnym wstępem, ale z opłatami za wejście do wybranych pawilonów.

Pierwsze dni w Japonii minęły niepostrzeżenie. Możemy chyba już nakreślić obraz przeciętnego, spotykanego na ulicy Japończyka. Młodzież z nieodłączną komórką, a starsi dodatkowo z ręcznikiem do wycierania potu. Bezwzględne przestrzeganie przepisów ruchu drogowego przez kierowców i pieszych. Udręka w postaci rowerzystów na chodnikach. Niespotykana uprzejmość ludzi pracujących w obsłudze.

W Kioto planowaliśmy być 2 dni, zostaliśmy 3, a powinniśmy 5. To jest chyba wystarczająca rekomendacja dla tego wspaniałego miejsca.

15 września

Dzisiaj przejazd do Hirosimy, ale po drodze nie odpuścimy oczywiście zamku białej czapli w Himeji. Z Kioto do Himeji shinkansen kosztuje 5200 jenów, a zwykły ekspres 2300 jenów. Wybieramy tańszą opcję i po 2 godz. jesteśmy na miejscu. Niestety, zamek Himeji-jo jest restaurowany i za 400 jenów mogliśmy jedynie pochodzić po rusztowaniach. W fosie ryby jak okręty podwodne masowo dokarmiane przez zwiedzających.

Odcinek z Himeji do Hirosimy zdecydowaliśmy się pokonać shinkansenem, mimo że różnica 7560 jenów w stosunku do pociągu zwykłego, który kosztował 3500 jenów, była znacząca, z dwóch powodów. Po pierwsze zamiast 4 godzin jedziemy tylko 1 godzinę, a po drugie, zaproponowane przesiadki wydały się mi podejrzane. Jak można traktować poważnie plan podróży, gdzie na jedną z przesiadek mamy 1 minutę? Okazuje się, że w Japonii jest to realne. Ciężko to zrozumieć po krajowych doświadczeniach z PKP.

W tym miejscu warto parę słów poświęcić shinkansenom. Pociągi-pociski mkną z prędkością do 300 km/godz. Mają specjalne tory i perony, na które mogą wejść tylko posiadacze biletów. Himeji jest doskonałym miejscem do ich podziwiania. Niektóre przelatują przez stację tranzytem. Wizualna ocena wskazuje, że jest to ponad 200 km/godz. Z perspektywy peronu wygląda to szczególnie imponująco. W wagonach bez rezerwacji nie wszyscy mają miejsca siedzące. Japończycy stojąc, zachowują się jak u nas w komunikacji miejskiej, czytają gazety, grają na swoich smartfonach lub esemesują.

Na nasz widok od razu ustąpili najlepsze miejsca w wagonie. Pewnie było widać, że dla nas taki przejazd to jak lot na księżyc. Prawie tak się czułem.

Późnym popołudniem dotarliśmy do Hirosimy i zakwaterowaliśmy się w Urbain Hiroshima Executive, tuż przy dworcu kolejowym. To ta odrobina luksusu w czasie naszego pobytu w Japonii. Cena za pokój 6980 jenów/noc ze śniadaniem i z możliwością nieograniczonego korzystania z basenu, sauny oraz z bezalkoholowego baru. Z okna na 9 piętrze piękny widok na pędzące shinkanseny gdzieś tak na poziomie trzeciego piętra. Szczególnie nocna panorama miasta robi wrażenie.

16 września

W Hirosimie zarezerwowaliśmy tylko 2 noclegi, więc wszystko trzeba robić w pośpiechu i, niestety, pobieżnie. Przed południem zaplanowaliśmy dotrzeć do świątyni Miyajima Itsukushima ze słynną torii na wodzie, a po południu Park Pokoju. Na wyspę Miyajima najtaniej dostać się pociągiem do stacji Miyajima-guchi w ciągu 26 min, a następnie promem w ciągu 10 min. Można od razu kupić bilet na całą trasę na głównym dworcu kolejowym w cenie 570 jenów/osobę w jedną stronę. Pierwszy pociąg wyrusza o godz. 5.53, a pierwszy prom o godz. 6.25. Połączenia są tak często, że właściwie nie musieliśmy planować konkretnej godziny podróży. Ostatni prom odplywa z Miyajimy o godz. 22.14, a ostatni pociąg o godz. 23.21.

Wstęp do świątyni na wyspie – 300 jenów. Tyle kosztuje wykonanie chyba najpopularniejszego zdjęcia w Japonii, z widokiem na torii. Inną atrakcją na wyspie jest akwarium z ciekawymi pokazami tresury. Cena wstępu wynosi 1400 jenów, a na widowni zasiadają przede wszystkim dzieci.

Na Miyajimie podobnie jak w Narze spotykaliśmy daniela. Tutejsze są jednak dokuczliwe i ganiają turystów, którzy nieopatrznie pokażą jedzenie. Akurat nas to spotkało, co wywołało powszechne rozbawienie miejscowych.

Park Pokoju i Muzeum Pokoju (wstęp symboliczne 50 jenów) w Hirosimie robią ogromne wrażenie. W punkcie „O” stoi obecnie budynek, ale tuż obok jest tablica oznaczająca Atomic Bomb Hypocentre.

17 września

Dzisiaj ostatni dzień w Japonii. Na pewno zbyt krótko i, niestety, bez szans na powrót.

Jeszcze po ciemku udaliśmy się na dworzec. Mimo że to ostatni dzień, ale plany mieliśmy napięte. Na początek chcieliśmy jechać do Shimonoseki (3600 jenów pociągami lokalnymi) i po wykupieniu najtańszej opcji promu do Korei, udać się na targ rybny. Uwielbiam takie miejsca.

Na dworcu w kasie biletowej dowiedzieliśmy się, że pociągami lokalnymi nie mamy szans dojechać do celu, gdyż znad Okinawy w kierunku Kiusiu zbliża się tajfun SANBA i wszystkie pociągi lokalne są wstrzymane. Możemy ewentualnie próbować shinkansem. Tylko po co pchać się tam, gdzie na pewno utknijemy na kilka dni. Zapowiedzi są poważne. Wiatr do 300 km/godz., olbrzymie fale na Morzu Japońskim, a przy pewnych układach może zahaczyć nawet o Hirosimę.

Z dworca kolejowego kursują shuttle busy na lotnisko, a obok są wyświetlane najbliższe loty. 9.40 Seul, jest szansa. Decydujemy się błyskawicznie, chociaż wiadomo, że nie będzie tanio, ale uratujemy plan podróży. Autobus na lotnisko kosztuje 2000 jenów/os.

i jedzie ok. 1 godziny. Hirosima jest otoczona górami, więc lotnisko zlokalizowano w odległości ok. 45 kilometrów. Bilety do Seulu, niestety, w cenie 37 500 jenów/os., kupiliśmy na lotnisku i po bardzo pobieżnej odprawie (chyba ze względu na brak czasu) znaleźliśmy się na pokładzie samolotu Asiana Airlines. Po 1,5-godzinym locie wylądowaliśmy na supernowoczesnym Incheon Int' l Airport, pod Seulem.

Bezpośrednio z lotniska można udać się praktycznie do każdego większego miasta w Korei bardzo wygodnymi autobusami. Za bilet do Gyeongju zapłaciliśmy 31 500 wonów/os. (wymiana na lotnisku). Czas przejazdu 4,5 godz.

W Gyeongju nie mieliśmy wcześniejszej rezerwacji noclegów, ale akurat tam nie jest to potrzebne. W okolicach dworca autobusowego jest ich cały szereg. Co dziwne, wszystkie są nastawione na specyficzną klientelę. Nazwy, ulotki i wystrój pokoi nie pozostawiają wątpliwości, że chodzi o usługi erotyczne. Przy odrobinie cierpliwości można jednak znaleźć pokój nieprzesycony dymem papierosowym, w dobrym standardzie, za przystępną cenę. My zapłaciliśmy 80 000 wonów za 3 noclegi.

18 września

Gyeongju jest doskonałą bazą wypadową do Bulguksa Temple i Seokguram Grotto. To podobno największe perełki koreańskiego dziedzictwa. Najlepszym rozwiązaniem jest przejazd autobusem nr 11 z dworca autobusów lokalnych (obok międzymiastowych) do Bulguksa za 1500 wonów/os., a następnie za kolejne 1500 wonów autobusem nr 12 do Grotto. Wrócić do Bulguksa najlepiej górską ścieżką długości 2800 metrów, pokonując dosyć znaczne przewyższenie. My dla sportu pokonaliśmy tę trasę w odwrotnym kierunku. Powrót do Gyeongju autobusem nr 11.

19 września

Gyeongju ma również kilka interesujących zabytków, ostatnio znalazły się na liście UNESCO (dobra mapa w IT obok dworca autobusowego). Koszt biletów wstępu do Dae-reungwon Royal Tombs, Anapji Pond, Cheomseongdae Observatory czy Bunhwangsa Temple, nie przekracza 1500 wonów/os. za jedno wejście. Woljeonggyo Bridge jest restaurowany, cały osłonięty, więc nie warto nakładać drogi. Zwiedzanie miasta można połączyć z obserwacją życia koreańskiej prowincji, ze wskazaniem na miejscowe bazy, szczególnie że zainteresowanie jest wzajemne. A przy tym dużo życzliwości.

20 września

Do Seulu można wrócić szybką koleją koreańską KTX (43 800 wonów/os. – 2.05 godz.) lub bardzo wygodnym autobusem za 20 200 wonów w 4,5 godziny. Finanse zdecydowały o tej drugiej opcji. Częstotliwość połączeń jest zadziwiająca, co 30–40 minut, a autobusy puste.

W Seulu korzystanie z metra jest podobne do miast japońskich, więc bez problemu dotarliśmy do Windroad Guesthouse. Na pewno godny polecenia ze względu na cenę i lokalizację (obok stacji metra nr 420 – Hyehwa). Za 5 noclegów zapłaciliśmy 202 000 wonów. Do dyspozycji gości kuchnia i oczywiście, jak to w Korei, darmowy Internet i wi-fi pożywka dla mojego iPhone.

Wieczorem zaklepaliliśmy sobie, na następny dzień, najtańszą wycieczkę do DMZ na granicy z Koreą Północną. Jest kilka opcji zorganizowanych wyjazdów do strefy zdemilitaryzowanej w przedziale cenowym od 46 000 wonów za półdniową do cało-

dniowych za nawet 137 000 wonów. Najciekawszą wydaje się Panmunjeom Tour, za 87 000 wonów w godz. 8.00–15.00 lub 9.00–17.00, ze strefą spotkań dwustronnych i pokojem konferencyjnym.

21 września

DMZ nie zrobiła na nas większego wrażenia. Co innego turyści z Zachodu Europy, którzy za bardzo nie wiedzą, jak wygląda granica, albo Australijczycy i Nowozelandczycy, którzy granicę znają tylko z lotnisk. Dla Koreańczyków z kolei to bardziej miejsce piknikowe. Dużo wycieczek szkolnych, zakładowych, wesołe miasteczko. Nawet sprawdzanie paszportów odbierałem jak jedną z atrakcji turystycznych. Ludzkie tragedie związane z podziałem państwa są bardzo daleko w tle i nie dotyczą pewnie 99% zwiedzających.

22 września

Będąc w Seulu nie można pominąć Suwon z rozległym Hwaseong Fortress, szczególnie że dojazd jest bardzo prosty, jedną linią metra nr 1 za 1850 wonów (stacja nr P154). Ceny w metrze są zróżnicowane w zależności od długości przejazdu i przejazdów. Bilet na jedną linię kosztuje 1250 wonów, 1350 na dwie. 500 wonów wynosi depozyt za kartę (bilet) na metro, który można odzyskać w specjalnych automatach na stacji. Zakup biletu i określenie ceny również nie sprawia żadnych trudności. Wstępując trzy pierwsze litery nazwy stacji docelowej, cena sama wyskakuje. Powiedzmy, że trudność jest porównywalna z wypłatą gotówki ze znanego nam dobrze bankomatu.

Komunikacja publiczna w Seulu to swoisty fenomen. Częstotliwość kursów sprawia, że nigdy nie ma tłoku. Zawsze są miejsca siedzące, a najdłuższa linia metra ma prawie 100 kilometrów (tylko częściowo pod ziemią).

Mury fortu, długości 6 kilometrów, można zwiedzać za 1000 wonów, jeśli wchodzimy przy którejś z bram, lub za darmo, gdy wchodzimy w każdym innym miejscu. W pobliżu Seojangdae piękna panorama miasta. Wejście do pałacu Hwaseong Haenggung – 1500 wonów. Ze stacji metra do fortu kursują autobusy nr 11, 13, 36 i 36 (przystanek Paldalmun).

Będąc w Suwon, niektórzy jadą do Korean Folk Village. Ja gorąco odradzam, ale jeśli ktoś się jednak zdecyduje, to może tam dostać się bezpłatnym autobusem. Dojazd w godzinach: 10.30, 12.30, 14 spod IT obok stacji metra. Powrót jest możliwy też za darmo w godzinach: 14.00, 16.00, 17.20. Wstęp nie jest tani – 15 000 wonów/os. W środku kilka koreańskich wiejskich chat, a poza tym to jedna wielka nuda.

Jadąc do Suwon, warto zatrzymać się na stacji nr 136 – Noryangjin i zwiedzić pobliski Fisheries Market. Wszystko co żyje w morzu, jest na tym targu. Nie spodziewałem się, że jest tego aż tyle i wszystko, wbrew pozorom, podobno nadaje się do jedzenia.

23–24 września

Dwa dni zostawiliśmy sobie na Seul. To supernowoczesne miasto, zadziwiających kontrastów. Dzielnica biznesowa ciągle się rozrasta, ale nie przeszkadza to, aby w cieńcu wieżowców funkcjonowały przewoźne kramiki spożywcze, a w bocznych uliczkach krawiec, szewc, sklep z rurami kanalizacyjnymi lub gaśnicami. Liczba sklepów, barów i restauracji po prostu przerosła nasze wyobrażenia. Do tej pory miałem wątpliwości, ale teraz już wiem – mistrzami handlu są Koreańczycy.

Z hotelu najciekawsze zabytki Seulu mieliśmy na wyciągnięcie ręki. Wstęp do parku pałacowego kosztuje 1000 wonów, do pałacu Ch'angdok 3000 wonów, a do sekretnego ogrodu 5000. Na południe od pałacu koniecznie musimy zwiedzić Jongmyo Royal Shrine, wstęp 1000 wonów. Oba obiekty są wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Na zachód od wspomnianych obiektów znajduje się Gyeongbokgung Pałac z uroczystą zmianą warty ok. 12.00. Wstęp do pałacu 1500 wonów. Po sąsiedzku znajduje się National Folk Museum i w zupełności może zastąpić wizytę w Korean Folk Village. Wstęp bezpłatny.

25 września

Na lotnisko można dostać się nowo wybudowaną linią metra, która startuje z Seoul Station, lub autobusem za 10 000 wonów. Dojazd z centrum zajmuje ok. 1 godziny. Na lotnisko kursują autobusy z numerem czterocyfrowym, zaczynającym się na 60 i jadą z różnych części miasta. My z centrum jechaliśmy linią 6011.

Czas wracać do szarej i pewnie już zimnej Europy.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Amerykańskie domy z ogródkami, gdzie jest dużo ptaków, są znacznie droższe niż te pozbawione ich obecności. Jak wynika z badań zespołu Michaela Farmera z Teksańskiego Uniwersytetu Technicznego, skrzydlate towarzystwo sprawia, że różnica w średniej cenie domu sięga ponad 32 tys. dolarów. Nawet jeden rzadszy zadomowiony gatunek wystarczy, by podnieść wartość posiadłości. Specjaliści twierdzą, że zwierzęta te są bardzo wrażliwe na stan środowiska. Jeśli więc gdzieś występują, dają to gwarancję czystości i jakości. Dlatego posesje pełne ptactwa są dla nabywców tak cenne.

Ryszard Oszal

Kambodża i Południowy Wietnam



Termin: styczeń – luty 2012 (5 tygodni)

Ekipa – 5 osób

Lot: Warszawa – Moskwa – Bangkok

Aeroflot 770 \$

Pieniądze:

Tajlandia 1 \$ = 30 BHT

Kambodża 1 \$ = 4000 Riel

Wietnam 1 \$ = 21 000 Dong

Pogoda – gorąco (32°), tropik, bez deszczu. Dobry termin dla Europejczyków.

Zakwaterowanie – czystsze niż parę lat temu. W dwójce spaliliśmy w trzy osoby, a więc wychodziło to jeszcze taniej. Przeważnie było jedno szerokie i jedno wąskie łóżko.

Mieszkańcy – przyjacielscy, mili, uczynni. Słabo lub wcale nie mówią po angielsku.

Bezpieczeństwo – bezproblemowo, bezpiecznie, nawet nocami.

Transport – np. całonocna jazda autobusem 10 \$

BANGKOK

Lądowanie na lotnisku Suvarnabhumi International Airport. Nowe, wielkie lotnisko funkcjonujące od paru lat. Jest parę opcji taniego dotarcia do centrum z lotniska (do dzielnicy Banghlampoo).

1. Najłatwiejszy – taxi. Jeżeli jest grupa 4-osobowa, to jest to niedroga opcja. Normalnie z lotniska chcą 30 \$. Trzeba wyjść na górny poziom na odloty. Stoją tam taxi, które przywoziły klientów na lotnisko. Trzeba energicznie negocjować i można za 10 \$ jechać, a więc na osobę wypada 2,5 \$. Jedzie się około 1 h do dzielnicy Banghlampoo.

2. Shuttle bus bezpłatny spod lotniska do Center Of Transportation. Przesiadka na nr 555 do Din-Daeng Rd (1,10 \$). Przesiadka na nr 171 lub 12 (0,30 \$) i wysiadka przy Democracy Monument przy ulicy Khao Shan Rd. Czas jazdy 1,5 h.

3. Shuttle bus darmowy z lotniska do centrum transportowego. Przesiadka na minibus nr 551 (1,40 \$) i przy Victory Monument przesiadka na autobus nr 59, 503, 509, 516 (0,60 \$).

Na lotnisko

Autobus z Ratchadamnoen Rd nr 503, 59 do stacji Phaya Thal kolejki naziemnej SCL (Suvarnabhumi City Line) i kolejka do samego lotniska.

Dzielnica plecakowiczów Banghlampoo i ulica Khao Shan Road to miejsce gdzie są dziesiątki tanich guesthousów. Kwaterunek Sian Oriental Inn (17 \$ dwójka). Niestety, zmienił się kurs i za 1 \$ jest 30 BHT, a nie 42 BHT (Bat), jak było parę lat temu. A więc sam kurs waluty spowodował 30% podrożenie Tajlandii, do tego około 20% podwyżki i zrobiła się dla nas Tajlandia o 50% droższa niż 3 lat temu.

Ponieważ jednemu z kolegów linie lotnicze zagubiły plecak, czekamy w Bangkoku na wiadomość, oczywiście, dzwoniąc na lotnisko.

W Bangkoku fajny guesthouse, czysty, przyjemny Bella Bella House (14 \$ dwójka). Soi Chana Songhram

Następny przy nim totalnie tani i ekstremalny, łazienka na zewnątrz, pokój malutki – nawet plecaki trudno zmieścić, okienko na korytarz – Mary Soi Chana Songhram Guest House (8 \$ dwójka).

Upał, duchota 33°C jak zawsze w Tajlandii. Czekamy 2 dni i nie ma plecaka.

Jedziemy na wyspę Koh Samet. Minibus z Khao Shan Road 18 \$ (osoba), powrotny, w tym łódź z portu na wyspę. Po około 4 godzinach jesteśmy w małym porcie BAN PHE i łodzią przepływamy na wyspę (około 0,5 h). Piechotą szukamy lokum. Jest Chiński Nowy Rok i wszystko jest zajęte. Kwaterunek Bungalow 20 \$ (2 osoby, 100 m od plaży). Ładna plaża, turkusowa woda, gorąco, parno – tropiki!

KAMBODŻA

Krótkie informacje o Kambodży:

- 1 \$ – 4000 Rieli. Można płacić dolarami i rielami, trzeba mieć drobne dolary. Wszystkie drogi w całej Kambodży są już asfaltowe; 10 lat temu nie było ani jednego odcinka, a droga Poipet – Siem Reap uchodziła za najgorszą na świecie.
- wszędzie już dotarła cywilizacja, przemysł przy pomocy Japonii. Nawet na prowincji trudno spotkać tradycyjne domy,
- większość pojazdów to motory. Samochody to przeważnie lexus lub toyota camry,
- ceny małe dla turystów, ale trzeba się targować. Hotele 5–12 \$ dwójka, bardzo dobry standard. Obiad 1,5–2,5 \$ najtańszy,
- wypożyczenie motoru 7 \$/dzień,
- tuk-tuk specyficzny rodzaj. Motor ciągnący minikaretę z dwoma siedzeniami. Ponieważ silniki motorów są małej mocy, Kambodżanie wymyślili prosty sposób chłodzenia. Baniak plastikowy z wodą umocowany do motoru, wężyk z kranikiem doprowadzający wodę do cylindra. W czasie przeciążenia otwiera kierowca kranik i woda spływa po owiniętej taśmą dolnej części cylindra,
- Kambodżanie mili, przyjacielscy. Z wiosek zrobiły się już miasteczka,
- wizy do ościennych krajów tańsze niż w Bangkoku, załatwiane przez agencje podróży,
- nie ma już ambasady polskiej w Kambodży.

Ceny:

- zakwaterowanie – dwójka 5–10 \$,
- obiad – 1,5–2,5 \$,
- opłaty przy przekroczeniu granicy lądowej – 1 \$,
- paliwo – 1 \$/1 l,
- woda – 1,5 – 0,5 \$,
- mango – 2 \$/1 kg,
- europejskie jedzenie – ceny porównywalne z polskimi lub droższe,
- owoce morza – kilka razy tańsze niż w Polsce.

SIEM REAP

Z Bangkoku z Khao Shan Road minibus do Siem Reap -10 \$ osoba w jedną stronę.

Po 5 godzinach jesteśmy na granicy. Minibus staje w restauracji przed granicą, wypełniamy formularze wizowe z jednym zdjęciem i załatwiają nam wizę kambodżańską, opłata 38 \$. To był błąd. Trzeba było dojechać tuk-tukiem do rogatek, przejść odprawę tajską i zrobić wizę bez problemu za 20 \$.

Przechodzimy do odprawy kambodżańskiej i po formalnościach czeka przewodnik. Wiozą nas autobusem na dworzec, przesiadka i jedziemy bezpośrednio do Siem Reap. Wieczorem jesteśmy na miejscu. Trudności ze znalezieniem taniego noclegu, ale udaje się. Kwaterunek Mitri Guest House (8 \$ dwójka) 062 Steung Thmey Village niedaleko Old Market. Fajny guesthouse, czysty, spokojny, na uboczu głównej ulicy. Z Siem Reap zrobiło się duże miasto. Duży ruch, dużo ludzi, pełno turystów. Także granica kambodżańska – tajską to całkiem co innego niż kilka lat temu. Kiedyś to były baraki, błoto, kurz, a teraz wielkie bramy wjazdowe, hotele, kasyna. Nie do poznania. Wszędzie dotarła już cywilizacja. W całej Kambodży są drogi asfaltowe. 10 lat temu nie było ani jednej, tylko kurzowe wertepy.

Wynajęcie tuk-tuk na cały dzień do świątyni Angkor Wat – 10 \$. Wstęp 20 \$ (osoba). Jedynie świątynie nie zmieniły się. Stoją i wyglądają tak samo od tysiąca lat. Przejazdźka rowerami wokół Siem Reap – wiejskie klimaty, dzieci.

BATTAMBANG

Autobus z Siem Reap do Battambang 7 \$ osoba, 4 h. Po drodze nawala autobus. Łapiemy minibus i dojeżdżamy do miasta. Kwaterunek przy dworcu autobusowym 5 \$ dwójka. Dobre warunki w hoteliku. Miasteczko przeciętne, francuska zabudowa, rzeka. Przyjaźni ludzie. Targ, tanie jedzenie.

Całodniowa wycieczka tuk-tukiem kambodżańskim. Motocykl ciągnie minikaretę dla czterech osób, 7 \$ dla 4 osób. Ciekawa wycieczka. Przejazdźka Norry, tzw. bambusowym pociągami (5 \$/osoba), spotykanym tylko w Battambang. Platforma – drewna napędzana silnikiem, po torach kolejowych. Prymitywne dwie osie, na nich platforma z bambusa i silnik. Jeżeli naprzeciwko spotkają się dwie platformy – jedną rozmontowujemy w 30 sekund, kładziemy obok torów. Reszta z naprzeciwka przejeżdża. Potem z powrotem montujemy dwie osie, platformę w dwie osoby na tory i jedziemy dalej. Po drodze sielski, wiejski krajobraz. Pola, wiejskie zabudowania.

Dojeżdżamy do Phnom Sampeau do świątyni na szczycie góry. W grocie ludzkie czaszki – pozostałości po ludobójstwie Czerwonych Khmerów.

PHNOM PENH (czyt.: Pnom Pen)

Bilet z Battambang do stolicy Phnom Penh 7 \$. Bilety autobusowe w Kambodży można kupować w kasie na przystanku, w autobusie lub w hotelu czy agencji podróży. Przeważnie kosztuje tyle samo, a z hoteliku odbierają i podwożą pod autobus, a więc nie ma sensu na własną rękę szukać przystanku, dworca. Po drodze psuje się autobus. Próbuje się coś naprawić, zaizolować pęknięty przewód wodny, ale woda gotuje się nadal. Chyba poważna awaria silnika. Udaje się złapać mikrobus – 4 \$ od osoby. Dojazd do centrum Phnom Penh do centralnego bazaru – Psar Thmei. Ciekawa budowla w kształcie okrągłaka ze skrzydłami bocznymi. Przejście piechotą około 1,5 km do Capitol Guest House 14 Ph 182 przy Psar O Russei (bazar rosyjski). Ceny 5–8 \$ dwójka. Kultowy guesthouse przy ruchliwej krzyżówce czysty. Miejsce, gdzie wszystko można załatwić. Są też hoteliki niedaleko w obrębie kilometra prawie luksusowe 10–14 \$ dwójka.

Ludność stolicy 10 lat temu około 1 mln mieszkańców, a więc w stosunku do innych stolic azjatyckich to mała miejscina. Przez miasto przepływają rzeki Tonle Sap i Mekong. Miasto przecinają numerowane ulice – Phlau. Z północy na południe nieparzyste z numerami rosnącymi od rzeki na zachód. Ze wschodu na zachód parzyste o numerach wzrastających ku południowi.

Obecnie już nie mamy ambasady polskiej w Phnom Penh. Do dzisiaj willa stoi pusta.

W całej Kambodży możemy płacić zarówno dolarami, jak i rielami. Dobrze mieć banknoty 1, 5, 10, 20 \$, gdyż ceny są niewielkie. Resztę można otrzymać zarówno w dolarach, jak i w rielach. Ceny w sklepach i całej Kambodży są podawane w dwóch walutach. Przejazd motocyklem (popularny środek transportu) może kosztować 1–2 \$.

Zwiedzamy Pałac Królewski, Srebrna Pagoda (należy pamiętać o długich spodniach, zakrytych ramionach), Wat Phnom.

Muzeum Tuol Sleng – tragiczna karta historii ludobójstwa narodu kambodżańskiego w czasach rządu Czerwonych Khmerów 1975–1979 r. Coś strasznego.

Załatwiamy wizę wietnamską w jednej z agencji podróży, 40 \$ miesięczna, jednokrotna, a więc taniej niż w Warszawie. Na wizę czekaliśmy 1 dzień.

SIHANOUKVILLE (obecnie Pream Sihanouk)

Autobus z dworca autobusowego niedaleko Psar Thmei – 5 \$ osoba, 4 h. Sihanoukville jest rozległe. Tuk-tuk z dworca do plaży Occheuteal – 1,5 \$.

Guesthouse 200 m od plaży – 12 \$ dwójka przy ulicy Ph 14 Milthona.

Jeden z tańszych, trochę ciemny pokój i dokuczają komary.

Plaża długa, ładna.

Zwiedzamy okolicę piechotą, motorem. Sihanoukville słynie z plaż. Jedno z ładniejszych miejsc w Kambodży. Dużo restauracji z owocami morza. Dużo turystów, białasów. Centrum miasta zupełnie nieciekawe. Miasto rozlokowane na wzgórzach.

Zwiedzamy plażę Sokha. Na całej plaży rozlokowany jest luksusowy resort.

Plaża Niepodległości. W wiosce przy plaży wzbudza ogólne zainteresowanie. Biedne domy, niektóre to właściwie szopy. Rybacy sprzedają ryby i różne owoce morza: krewetki, małże, kałamarnice.

KEP

Minibus prosto z guesthousu z Sihanoukville do Kep 5 \$ (5 h). Wsiadka przy plaży miejskiej. Kwaternik Seaside Guesthouse, 8 \$ dwójka.

Kep powstało około 1908 roku jako kolonialny kurort dla francuskiej elity. Po odejściu Francuzów zaczęli przyjeżdżać tu miejscowi. Obecnie plaża jest mało ciekawa. Miasteczko to właściwie kilka dróg. Ciekawe miejsce to Krab Market. Można tu kupić i spróbować kraby oraz inne produkty łowione przez rybaków, i ugotowane na miejscu. Kraby łowi się tuż przy targu i gotuje się bezpośrednio po wyłowieniu. Cały Kep to cicha, spokojna miejscowość niedaleko granicy wietnamskiej. Można się wybrać na wycieczkę na króliczą wyspę Koh Tonsay.

WIETNAM

Minibus z Kep (Kambodża) do Ha Tien Wietnam 8 \$, 3 h.

Przejście graniczne po stronie kambodżańskiej praktycznie w polu, baraki, dojazd wertepami, ale odprawa bezproblemowa.

Wejście do Wietnamu przez okazałą bramę wjazdową z flagami socjalistycznego Wietnamu. Czerwona flaga z żółtą gwiazdą na środku. Rzucają się w oczy plakaty, flagi i napisy rewolucyjnych haseł z podobiznami wielkiego Ho Chi Minh-a (Ho Szi Min).

WYSPA PHU QUOC (czyt.: Pu Kok)

Z Ha Tien minibus do przystani około 3 km (po drugiej stronie miasta) i łódź na wyspę 11 \$, 1 h. Łódź przypluwa do przystani Bai Vong po wschodniej stronie wyspy. Cała zatoka jest bardzo płytka, pomost ma chyba kilometr długości, cały betonowy. Łapiemy minibus, 2 \$/os. do miasteczka po wschodniej stronie Duong Dong.

Na południe od miasteczka rozciąga się kilometrami długa plaża Long Beach. Minibus obwozi nas po guesthousach. Ponieważ jest Chiński Nowy Rok, to nie ma za dużo miejsc.

Ceny 15–25 \$. Zakwaterowanie Phuong Binh House 25 \$/3 os. Nowe murowane bungalowy na plaży z barem, leżakami.

Zakupy na targu w miasteczku. Mały port, wąskie uliczki, typowy targ miejski. Egzotyczne owoce, ryby, owoce morza.

CANTHO (czyt.: Kanto)

Bilet w guesthousie kupiony na łódź i autobus 20 \$/osoba. W sumie jechaliśmy cały dzień. Minibusem do przystani. Łodzią do Ha Tien. Z Ha Tien autobusami z przesiadkami do Cantho.

Cantho to duże główne miasto delty Mekongu. Główny węzeł komunikacyjny. Szeroki, wielki Mekong i kanały, rzeki. Główne miejsce, gdzie płynie się na pływający targ.

Kwaterunek Hotel Restaurant 31 (7 \$ dwójka) 31 D Ngo Duc Ke. Fajne pokoje. Ruchliwe miasto, białasów trochę. Targ miejski. Duży pomnik Ho Chi Minh-a, bulwary nadrzeczne.

Łodzie do zwiedzania delty Mekongu można na przystani wynająć. My spotkaliśmy pewną panią, co chwilę ją spotykaliśmy, a ona znalazła nas wszędzie. Nazwaliśmy ją „babcia od wszystkiego”. Śmialiśmy się, że ta osobka 1,40 m w kapeluszu, dosłownie tego wzrostu, może załatwić nawet mercedesa na części. Ostro targując się, kupujemy u niej wycieczkę 15 \$ (3 osoby) łodzią w deltę Mekongu i pływający targ niedaleko Cantho. Trochę się obawialiśmy, ale okazała się w porządku, zachwalając siebie.

Przyjemna kilkugodzinna wycieczka małą łodzią motorową kierowaną przez inną babcię wietnamkę. Parę razy śmieci wkręcają się w śrubę, ale babcia znakomicie daje

sobie radę. Bardzo ciekawy targ. Wszystko odbywa się na środku rzeki. Kupno, sprzedaż, przeładunek towarów. Płyniemy kanałami i odnogami rzek wśród bujnej tropikalnej roślinności. Dookoła zabudowania, wioski, normalne życie toczące się wokół.

BEN TRE

Ponieważ drogo chcieli w agencjach podróży w Cantho za przejazd do Ben Tre (10 \$/os.), pojechaliśmy na dworzec autobusowy, 1 \$ od osoby motocykl i za 4 \$ autobusem dojechaliśmy do Ben Tre. Nieduże, spokojne miasto, gdzie można też płynąć łodzią po delcie Mekongu.

Kwaterunek w centrum Phuong Hoang (7 \$ dwójka) przy jeziorze: 28, Hai Ba Trung, Phuong 2. Oczywiście, na każdym kroku w Wietnamie są okazalsze budynki w centrum miast, wsi – Komitetów Ludowych. Na każdym kroku jest dużo plakatów rewolucyjnych, socjalistycznych haseł, w szczególności z Ho Chi Minhem.

HO CHI MINH CITY – SAIGON

Obie nazwy są stosowane obecnie. W 1976 roku Sajgon przemianowany na Ho Chi Minh City. Z dworca autobusowego z Ben Tre bilet do Sajgonu 2,5 \$. Przyjazd na dworzec Mien Tay w Sajgonie oddalony od centrum około 10 km. Można jechać do dzielnicy guesthausów Pham Ngu Lao autobusem nr 102 (0,20 \$) i wysiąść przy markecie Ben Tanh Market. Nas było pięciu, a więc taxi wyszła po 1,5 \$.

Kwaterunek Song Hai (10 \$ dwójka) 185/4 Pham Ngu Laos t. Dist. 1

Pham Ngu Lao – to dzielnica taka jak Khao Shan Road w Bangkoku. Mnóstwo guesthausów, jeszcze więcej agencji podróży. Niedaleko targ z pamiątkami i podróbkami markowych światowych producentów. Wszystko tu można załatwić tanio, co potrzebuje plecakowy turysta.

Hotel Yuan Anh (12 \$ dwójka), fajnie, czyste pokoje.

W Sajgonie kupujemy bilet do Bangkoku liniami Airasia, 85 \$ w jedną stronę. Trzeba pamiętać przy kupnie biletu o ilości (wadze) bagażu. Za to się płaci.

LONG HAI

W Sajgonie autobus nr 26 naprzeciwko hali targowej Thai Binh w dzielnicy Pham Ngu Lao do dworca autobusowego Mien Dong (0,20 \$), 0,5 h. Autobus miejski dojeżdża do samego wejścia dworca. Można jechać za 2,5 \$ większym autobusem lub 4 \$ minibusem. Jedzie się przez duże przemysłowe miasto Vung Tau około 3 h. Dworzec jest około kilka kilometrów od brzegu morza. Motocykl 1 \$ dowozi nas do Military Guest House 298 – znajdujący się na plaży socjalistyczny, ogrodzony kompleks z kantynami, boiskami. 9 \$ dwójka, pokoje czyste, kilkupiętrowy kompleks.

Long Hai to miasteczko rybackie, senne, ciche. Nic tu nie ma oprócz świątyni na wzgórzu. Unikać trzeba w weekendy, kiedy sajgończycy przyjeżdżają całymi autobusami. Jest tutaj wiele guesthausów. Oczywiście wzbudzamy zainteresowanie jako nieliczni, a często jedyni białasy.

MUI NE

Autobus z Sajgonu, bilet kupiony w agencji 8 \$, 6 h jazdy. Jeżeli bilet kupimy w agencji, to zawsze zabierają nas bezpośrednio z hotelu i wysadzają w miejscu przeznaczenia pod hotelem.

Kwaterunek w środku miejscowości (nie znam nazwy) 500 m od plaży, na wzgórzu guesthouse w uliczce wśród mieszkańców, 8–10 \$ dwójka. Reszta zakwaterowania jest na plaży, ale 15–25 \$ dwójka. Nie jest to już wioska. Kilukilometrowa droga i wzdłuż niej nowe zabudowania resortów, hoteli, restauracji, barów, sklepów przygotowanych szczególnie na turystów białasów. Większość obecnych to Rosjanie. Ceny też odpowiednio większe.

Mui Ne to słynne miejsce dla kiteservingowców. Plaża około 10 km. Duże fale przeważnie. Organizujemy wycieczkę poza Mui Ne, 7 \$ od osoby. Kanion wydmy wyżłobiony przez rzeczkę brązowego koloru. Cały czas idziemy, brodzimy płytką rzeczką w górę przez wioski do wodospadu. Wokół stromy piaskowy brzeg. Wioski z polami ryżowymi, plantacjami mango. Zagrody, zwierzęta domowe. Nie są to już prymitywne wioski. Cywilizacja dotarła wszędzie. Powrót przez wioskę rybacką. Ciekawa wytwórnia konserwowanych w okrągłych kadziach w soli małych rybek, cuchnie niemiłosiernie.

Wioska rybacka.

Setki małych łodzi rybackich w zatoce. Ewenement wietnamski – koszykowa łódź, balia pływająca. Jest to łódź okrągła średnicy 2 m, wypatana z bambusa i nasączana, uszczelniana lepikiem od zewnątrz. Głęboka na 80 cm. Nigdzie w Azji nie spotkałem takich koszy pływających.

Wydm

Dość daleko jedzie się jeepem, kilkadziesiąt kilometrów. My akurat mamy do dyspozycji rosyjskiego Uaza. Wydmy znakomicie wyglądają. Wielkie góry piasku, które wiatr przesypuje z miejsca na miejsce. Dość trudna wspinaczka na wydmy. Usypujący się piasek.

Dojeżdżamy do białych i czerwonych wydm. Przy jednych wydmach jest jezioro lotosowe. Całe zarośnięte liliami wodnymi i lotosem. Trzeba pamiętać o nakryciu głowy. Słońce ostro operuje.

DALAT

Bilet na autobus kupiony w agencji w Mui Ne, 8 \$, 5 h. Autobus kilka godzin wspina się serpentynami w góry Centralnych Wyżyn Wietnamu. Autobus podejżdza pod guesthouse.

Kwaterunek Phuong Hanh (12 \$ dwójka) 80–82, 3/2 street. Piękne, czyste pokoje, 200 m od głównego targu w centrum miasta. Wokół pełno hotelików od 8–15 \$ dwójka. Musimy pamiętać, że miasto leży na wysokości 1500 m. W dzień jest gorąco, około 30°, w nocy około 20°C. Chyba że pada deszcz, co raz się zdarzyło, trzeba ubrać długie spodnie i długą koszulę.

Dalat w czasach kolonializmu francuskiego ze względu na klimat pełnił rolę kurortu. Jest tu rześko. Klimat europejskiego ciepłego lata, a nie parno, duszno, gorąco jak w całej Azji. Góry porośnięte sosnami, wodospady, jeziora. Piękne parki, ogrody. Kolonialna, francuska architektura.

Bardzo dużo turystów – Wietnamczyków. Młode pary, zakochani spędzają tu miłe chwile. Śmiejemy się z Wietnamczyków kupujących po zachodzie słońca ciepłe wełniane czapki, kurtki, swetry, a nawet (ha ha ha) nauszniki. Próbuje na tym targu małży i skorupiaków smażonych, gotowanych. Dużo obierania, mało mięsa.

Ciekawe miejsca do zwiedzania:

– Crémaillère

- Kolejka, która łączyła Dalat i Thap Cham Phan w latach 1928–1964. Została częściowo odrestaurowana i jest atrakcją turystyczną. Można o 14⁰⁰ przejechać się do wioski T-Rai Mat i z powrotem (6 \$/osobę).
- Letni Pałac Bao Dai.
- Cesarska willa z 1933 roku w żółtym kolorze otoczona ogrodami. Można zwiedzać całą willę, 1 \$/os. W środku wyposażone hole, pokoje, łazienki, pamiątki ostatniego cesarza wietnamskiego.
- Ozdobne pagody, świątynie.
- Katedra katolicka.
- Crazy House. Ciekawy dom. Obecnie też guesthouse. Betonowa płatanina schodów, mostków, pokoi, pomieszczeń w bajkowych kształtach w ogrodzie (1,5 \$ wstęp).

Najlepiej wypożyczyć motocykl 6 \$/dzień. Należy spokojnie prowadzić motor, nie przejmując się przepisami. Przede wszystkim nie robić energicznych, zdecydowanych manewrów, a wszystko będzie dobrze. Nie należy obawiać się dużego ruchu motocyklowego.

Motor szczególnie nadaje się do wycieczek poza miasto, do wodospadów, jezior, wiosek. Niestety, wioski to już pełna cywilizacja. Murowane domy, motory, sklepy, bary, jadłodajnie.

Tradycyjne ubiory i tańce można jedynie zobaczyć na festiwalach i występach.

W centrum miasta jest duże, przyjemne jezioro. Wokoło chodnik. Rowery wodne w kształcie łabędzi. Bardzo przyjemne miasto.

NHA TRANG

Bilet w agencji w Dalat do Nha Trang 6 \$ osoba, 5 h. Cała droga serpentynami w dół. Do tego kierowca szatan, zwariowanie szybko jechał. Już po godzinie część pasażerów źle się czuła. Stanął na chwilę w lesie. Część pasażerów zwracała. Ja fatalnie się czułem, o mało nie zwracałem, do tego miałem biegunkę. Coś wcześniej zjadłem ostrego. Przy pierwszym przystanku wybiegłem z autobusu do toalety, potem padłem na ławce, leżąc cały czas. Nie mogłem pić i jeść. Cały czas było mi mdło i osłabiony byłem biegunką. Ledwo dotrwałem do końca podróży.

Wysiedliśmy w centrum Nha Trang. Piechotą około 2 km doszliśmy do dzielnicy guesthausów. Kwaterunek Hai Ân, 11 Bis Biét Th ust. (8 \$ dwójka). Dziesiątki hotelików wokoło, 6–15 \$ dwójka. Leżałem półtora dnia wycieńczony. Chyba odwodniłem się biegunką i wykończony mdłościami leżałem, nie mogąc wstać nawet na posiłek.

Jest to namiastka Khao Shan Rd w Bangkoku. Po mieście można poruszać się autobusem miejskim (0,20 \$ bilet kupowany w autobusie u konduktora).

Nhu Trang to duże nadmorskie miasto. W ostatnim czasie zbudowano wiele kilkunastopiętrowych hoteli. Bardzo dużo turystów, przeważnie Rosjan. Także dużo turystów wietnamskich. Długa plaża. Na północy miasta można zwiedzić wieże Czamów Po Nagar odrestaurowane (0,70 \$ bilet). Trafiliśmy na niedzielę i wielu było modlących się Wietnamczyków. Był także ciekawy występ tradycyjnego tańca. Świątynie znajdują się na wzgórzu, skąd rozciąga się widok na miasto, zatokę, rzekę i kamieniste wysepki u ujścia rzeki.

Świetną wycieczkę można zaaranżować w agencji – 7 \$ od osoby. Całodzienne opływanie paru wysp. Cena zawiera także obiad, owoce, wino. Całodniowy relaks.

Można bez problemu wypożyczyć motocykl, 6 \$ za dzień i objechać okolicę.

Koło portu kolejką gondolową, wysoko nad powierzchnią morza można przejechać na wyspę, do wesołego miasteczka, parku wodnego Vinpearland. Wstęp 40 \$, wszystko w cenie. Ze względu na cenę małe zainteresowanie.

Wykupujemy bilet do Sajgonu na autobus sypialny, 10 \$ osoba. Wyjazd 21⁰⁰, w Sajgonie jest 7⁰⁰. Pierwszy raz jechałem takim autobusem. Jest około trzydzieści parę leżanek, WC. Fajna opcja. Nawet w Tajlandii nie widziałem sypialnego autobusu.

Większość autobusów agencyjnych dojeżdża na dzielnicę guesthausów Pham Ngu Lao, a więc odpada problem przemieszczania się z dworców autobusowych w Sajgonie, które są usytuowane daleko od centrum.

Przejazd na lotnisko w Sajgonie

Bez problemu autobus miejski staje naprzeciwko marketu Ben Tanh, numer 152, 0,30 \$, 0,5 h. Lotnisko znajduje się w dzielnicy Sajgonu. Nowoczesne, ładne, styl zachodni. Około 7 km od centrum.

Podsumowanie

Kambodża, Wietnam to ładne, bezproblemowe, przyjemne, bezpieczne zwiedzanie i podróżowanie.

Jeden problem – nie znają angielskiego.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Prawie stuletniego misia bez jednego oka znaleziono na lotnisku w Bristolu w Wielkiej Brytanii. Zabytkowa maskotka wraz z fotografią z 1918 roku czeka na właściciela na biurku rzeczniczki lotniska już od ponad roku. Dlatego postanowiono sprawę nagłośnić w mediach. Fotografia przedstawia dwie dziewczynki trzymające zabawkę. Na odwrocie jest napis dla „Naszego Kochanego Tatusia od kochającej córeczki Soni”. Pod spodem są jeszcze dwa podpisy, Dora i Glyn.

Włoskie miasteczko Rota Imagna postanowiło zadbać o bezpieczeństwo swych mieszkańców w bardzo przemyślany sposób. Otóż, jeśli ktoś jest mikrej postury, to nie może spacerować po ulicach z dużym psem. A jeśli będzie, mimo zakazów, do zapłacenja ma od 25 do 150 euro. Co kraj, to obyczaj.

Piotr Wiland

Kambodża i Wietnam



Termin: 6–19 grudnia 2012

Samolot:

Bilet do Azji: Wrocław – Frankfurt (LOT); Frankfurt – Bangkok (Thai Airways) Ho Chi Minh – Bangkok (Turkish Airlines); Bangkok – Frankfurt (Thai Airways) Frankfurt – Wrocław (LOT) – kupiony za mile w ramach Frequent Traveller Bangkok – Siem Reap (Bangkok Airways) – cena 1230 PLN; Siem Reap – Hanoi (Vietnam Airlines) – cena 1160 PLN

Ceny

Wymiana: 1 USD = 3, 230 PLN

Kambodża

Wiza kambodżańska – możliwa do otrzymania na lotnisku – koszt 20 USD + 1 USD za zdjęcie.

Wymiana – 1 USD = 3700–4200 KHR (riele).

Ceny wstępu: Wstęp do Angkor Wat – 20 USD – 1 dzień, 40 USD – 3 dni (164 riele-KHR); występ „Asia Smile” z posiłkiem w formie bufetu – 48 USD; Muzeum Min Lądowych – 3 USD; Banteaysrey Butterfly Center (www.angkorbutterfly.com) – 4 USD.

Przejazdy

Taxi z lotniska do Siem Reap – 7 USD (www.siemreapairporttaxi.com).

Ceny za objazd taksówką okolicy Angkor – auto: 30 USD (25 USD – negocjacje) od 7–19; van – 35 USD (cały dzień); 30 USD – łódka po jeziorze Tonle Sap.

Sklep: Sok guava – 2,30 USD; woda mineralna – 1,5 l – 0,80 USD.

Restauracja: Spagetti Carbonara – 5 USD, befsztyk z frytkami i warzywami – 7 USD; duża woda mineralna – 1500 ml – 2 USD; zupa – 3,50–4 USD.

Hotele: Memoire d’Angkor Boutique Hotel (www.memoiredangkor.com) – cena za pokój jednosobowy deluxe – 59,50 USD – City Central, # 54, Sivutha Blvd, Siem Reap –;

The Moon Boutique Hotel (www.themoonboutiquehotel.com) – Siem Reap – 1 noc w pokoju jednoosobowym 61,72 USD.

Wietnam

Wiza wietnamska:

Koniecznik trzeba ją otrzymać przed wjazdem do Wietnamu.

Wiza do Wietnamu – 200 PLN

Pośrednictwo – firma Alces – 150 PLN

Kurs 1 USD = 20 300 dong (d.), 1 EUR = 25 300 d. (dong)

Ceny wstępu:

Muzea państwowe często są czynne z przerwą na obiad – najczęściej od 7.30 – 11.30 (12.00), a następnie 13:30 do 16 (17.00).

100 000 d. – bilet na Thang Long Puppet Theatre – Hanoi; 20 000 d. – Wejście do Świątyni Literatury – Hanoi; 20 000 d. – wejście do świątyni na wyspie w Hanoi;

49 USD – wycieczka jednodniowa do Halong Bay; 80 000 d. – wejście do parku z każdym grobowcem koło Hue (np. Khai Dinh Tomb, Minh Mang Tomb, Tu Duc Tomb) – łącznie 240 000 dong; 80 000 d. – wejście do pałacu cesarskiego w Hue; 120 000 d. – oglądanie tańca dworskiego na terenie pałacu cesarskiego w Hue; 120 000 d. – łączone wejście do 5 z 21 obiektów w Hoi An, nie jest wymagany, aby było to z różnych kategorii;

Hoi An: występy tradycyjnej muzyki w Hoi An Craft Manufacturing Workshop (10.15 – 10.45 oraz 15.15 – 15.45), ale w dniu kiedy byłem, nie było czynne; Hoi An Traditional Art. Performance House (21.00 – 22.00) 75 Nguyen Thai Hoc;

100 000 d. – wejście do My Son; 15 000 d – Muzeum Pozostałości Wojennych – Sajgon (Ho Chi Minh); 30 000 d – zwiedzanie Pałacu Ponownego Zjednoczenia – Sajgon.

Przejazdy:

Taxi lotnisko w Hanoi – Stara Dzielnica – 600 000 d.;

841 000 d. + 100 000 d. pośrednictwo – bilet kolejowy Hanoi – Hue (sypialny 4 łóżka);

45 USD – auto z kierowcą na 4 h – objazd po 3 grobowcach w pobliżu Hue i pagoda;

4 USD – autobus z dojazdem spod hotelu – Hue – Hoi An (4 h) z miejscami do leżania; 600 000 d – auto z kierowcą Hoi An – My Son; 150 000 d – godzinna przejażdżka łodzią po rzece w Hoi An; 300 000 d – taxi Hoi An – lotnisko Da Nang;

180 000 d. – taxi zamówione na lotnisku w Sajgonie – Riverside Hotel;

150 000 d. taxi Hotel Riverside – lotnisko w Sajgonie – 150 000 d.;

1 579 000 d. – przelot samolotem linii Vietnam Airlines – Da Nang – Ho Chi Minh.

Restauracja:

120 000 d. – spaghetti; 90 000 d. – lampka białego wina; 176 000 d. – kaczką w sosie pomarańczowym; 118 000 d. – fettuccini;

12 – 25 000 d. – herbata w restauracji; 30 000 d. – zupa.

Hotele: 62,35 USD – Church Boutique Hotel, Hanoi – 95 Hang Gai Street, Hoan Kiem; 28 USD – Holiday Diamond Hotel – Hue – pokój w hotelu ze śniadaniem, No 8 Lane 14, Nguyen Cong Tru Street; 85 USD – Ving Hung 1 – Hoi An – pokój w hotelu ze śniadaniem; 46, 20 USD – Riverside Hotel, Ho Chi Minh, Sajgon, 18–19–20 Ton Duc Thang Street, District 1.

6 i 7 grudnia – czwartek i piątek

Wyleciałem z Wrocławia, aby z przesiadką we Frankfurcie dotrzeć następnego dnia w południe do Bangkoku. Z Bangkoku do Siem Reap wylatywałem tuż przed zacho-

dem słońca. Ciemno robiło się bardzo szybko, ale i tak dzień był znacznie dłuższy niż o tej porze w Polsce.

Wizę do Kambodży otrzymuje się na lotnisku, ale potrzebne jest przynajmniej jedno zdjęcie, którego nie posiadałem. Ale nie był to problem. Nic prostszego, zamiast płacić 20 USD, urzędnik dodał jeszcze jeden dolar do rachunku.

„W innych miejscach na granicy kasują znacznie więcej” – szepnął mi chłopak stojący za mną w kolejce. Jeszcze był tylko kantor, gdzie chyba zupełnie niepotrzebnie wymieniałem pieniądze w stosunku 1 USD za 3700 rieli. Nie było żadnych dodatkowych opłat, ale w mieście liczono dolara za około 4200 rieli. A po drugie, chyba w ogóle nie potrzeba było wymieniać, przynajmniej w tym najbardziej turystycznym miejscu, jakim jest Siem Reap, gdzie dolar wyparł całkowicie miejscową walutę. Wszędzie, w każdym sklepie, hotelu czy restauracji rachunek był liczony w dolarach i tylko niepotrzebne było to przeliczanie z dolara na riela.

Na lotnisku był też punkt, gdzie można było z góry zapłacić za taksówkę. Kurs do miasta nie był wygórowany – siedem dolarów. I tak poznałem swojego kierowcę na kolejne trzy dni. Na wstępie zaproponował mi zniżkę z 30 USD za wożenie mnie po terenie Angkor Wat na 25 USD za cały dzień. Zanim dojechałem do hotelu, umówiłem się z nim o piątą rano na oglądanie wschodu słońca na tle Angkor Wat. Hotel, zamówiony przez www.booking.com, był dość ciężkawy w swej atmosferze. Następnego dnia nie mieli wolnych miejsc, więc i tak musiałem poszukać sobie czegoś innego.

8 grudnia – sobota – Angkor Wat i Angkor Thom

Spod hotelu – znajdującego się w samym centrum miasta Siem Reap – do najbliższego Angkor Wat dzieliło mnie piętnaście minut wolnej jazdy. Czasem nawet bardzo powolnej, bo jechaliśmy w wielkiej kawalkadzie samochodów, tuk-tuków czy rowerów. Wszyscy mieli jeden cel – powitać słońce. Przy kasie zostałem sfotografowany i za chwilę za 40 dolarów miałem wejściówkę na kolejne trzy dni. Wschód słońca okazał się być wielkim zgromadzeniem setek czy nawet nie tysięcy fotoamatorów pstrykających zdjęcia. Ale gdy słońce na dobre oświetliło Angkor Wat, większość z nich wróciła do hotelu na śniadanie. Ja zostałem na miejscu.

Poruszałem się wzdłuż zewnętrznej galerii Angkor Wat niezgodnie z kierunkiem zwiedzania, jak i przeciwnie do *paraksima*, czyli hinduskiego tradycyjnego obyczaju trzymania się prawej strony. Moja nadzieja, iż umknę tym tłumom obecnym przy spektaklu wschodu słońca, spełniła się. Dobre dwie godziny zajęło mi śledzenie na płaskorzeźbach mitycznych scen z Ramajany czy też wyczynów królów-wojowników w wojnach ze swymi sąsiadami. Na sam koniec zostawiłem sobie wspinanie pod kątem prawie 70 stopni na najwyższą platformę Angkor Wat, gdzie kiedyś mógł wstąpić jedynie król i bramini. Do schodów obecnie doczepiono drewniane balustrady. Całe szczęście. Patrząc się na fizjonomię i wiek turystów, gdyby nie te schody, co chwilę by tylko ktoś spadał. Na samym szczycie stoi pięć wysokich wież, zwanych *prasatami*, które wyrzeliwują nad powierzchnię ponad sześćdziesiąt metrów.

Wczesnym popołudniem, kiedy już zaaklimatyzowałem się w nowym hotelu Moon Boutique Hotel, mój kierowca podjechał pod hotel. Tym razem jechaliśmy do Angkor Thom, założony przez króla Dżajawarmana VII.

Wejść czy wjechać można było przez jedną z pięciu monumentalnych bram, wysokich na 23 metry, z których każda spoglądała na wszystkie strony świata wielkimi

twarzami bodhisattwy Lokeśwary. Jedynym zagrożeniem w tych dniach mogła być dla mieszkańców tego miasta i okolic zbyt mała liczba turystów, o co zamartwiał się mój kierowca. Ale już w obrębie świątyni Bajon, stanowiącej centrum Angkor Thom, nie mogłem się skarżyć na samotność. To centralne sanktuarium, nie tak wielkie jak Angkor Wat, w zamyśle było budowane ku czci Buddy. Tu jeszcze bardziej zwielokrotniają się wieże – twarze o tych samych rysach i tajemniczym uśmiechu.

Zmęczenie dawało mi się już we znaki, ale nie ustawałem w zwiedzaniu. Bajon miał do pokonania kilkanaście schodów, aby wspiąć się na górny taras. Ale przy kolejnym zabytku nieco zwątpiłem. O świątyni Baphuon pisano w przewodniku, iż jest wciąż niedostępna dla zwiedzających. Przestało to być aktualne.

Tutaj na własnych nogach mogłem się przekonać, jaka jest zasadnicza różnica pomiędzy świątynią buddyjską a hinduistyczną. Buddyjskie miały służyć wszystkim wiernym i być dla nich dostępne. Ich układ nie wymagał wznoszenia się w górę i wyróżniania miejsc niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Hinduistyczne zaś – przynajmniej w Angkor Wat – starały się wzorować na świętej górze Meru i wspinały się ostro do góry. Choć zmęczony, ruszyłem do góry. Dobrze przynajmniej, że dołożono do tego drewniane schody czy drabiny, bo tak miałbym spory kłopot, szczególnie przy schodzeniu.

Wieczorem wybrałem się na show z wielką pompą pod tytułem „Roześmiana Azja”. Miałem miejsce w pierwszym rzędzie. To była dobra wiadomość, a ta zła, że nie można było kręcić filmu. Pozostały mi tylko zdjęcia w świetle naturalnym. Wcześniej jeszcze wszystkich nas nakarmiono w wielkiej stołówce. Taki to był mój pierwszy dzień w Angkor Wat.

9 grudnia – niedziela

Mój nowy hotel był znacznie przytulniejszy, z widokiem na mały basen. Tym razem wystarczyło, iż wstałem przed siódmą rano. W Internecie, gdy wstukałem hasło: *catholic church and Siem Reap*, okazało się, że takowy jest i ma podobno około 500 parafian w okolicy, a mszę niedzielą odprawia się w języku khmerskim. Podczas nabożeństwa, aby spacyfikować swoje dzieciaki, matki poprzynosiły im różne słodczyce i miały święty spokój.

W niedzielę nie tylko kościół był pełen – zabytki również. Tym razem mogłem odczuć, co to znaczy „stonka” turystyczna. Największy korek panował w tym dniu przy przejeździe przez Południową Bramę do Angkor Thom. Minęły już czasy, gdy Angkor turyści mogli zwiedzać na motocyklu z kierowcą. Formalnie jest to obecnie zabronione, ale nie dotyczy to rowerów. Zwyciężył zarówno interes ekologiczny, jak i właścicieli tuk-tuków czy taksówek. Ale duża część turystów przyjeżdża do Angkor w zorganizowanych grupach, bardzo często autobusami z Tajlandii czy Wietnamu. Duże autobusy nie przejadą przez wąskie bramy zbudowane przed prawie tysiącem lat. Stąd wszystkie duże pojazdy parkują w pobliżu bramy, a potem następuje przeładunek z autobusu na motoryskie, które w stadzie po dwadzieścia kilka obwożą wycieczkę. Przynajmniej dają miejscowym zarobić.

Po kilkunastu minutach oczekiwania w korku przed Bramą Zwycięstwa przejechaliśmy pod zagadkowo uśmiechającą się twarzą Dżajwarmana VII. Parę minut później opuściliśmy Miasto Niepokonane, kierując się na północ, przejeżdżając pod następną Wielką Bramą z Czterema Twarzami. W tym dniu obmyśliłem, aby przestąpić progi

dwoch kolejnych dzieł Dżajawarmana VII – świątyni Preah Khan i Ta Prohm. Pierwszą z nich władca wznosił na cześć swojego ojca, a drugą ku czci matki. Obie stały się siedzibami klasztorów buddyjskich. Brzmiało dobrze – przynajmniej nie musiałem się wspinać na szczyt piramid. Przed wejściem do świątyni Ta Prohm panował niesamowity harmider, i setki samochodów zaparkowanych przed wejściem do tej świątyni „zatonionej w dżungli”.

Brr, gdzie ja tutaj mógłbym spróbować kilkugodzinnego błakania się w samotności! Ale główny nurt zorganizowanych wycieczek miał swoją jedną, wyznaczoną trasę. Stąd do najstojniejszych korzeni oplatających ściany świątyni nawet nie można było się dopchać; każdy ze zwiedzających musiał siebie uwiecznić na swoim własnym aparacie fotograficznym czy komórkę. A było ich w tym dniu bardzo, bardzo dużo. W bocznych komnatach było już cicho, i nikt nikomu po piętach nie deptał. A ponadto zbliżała się pora lunchu, turyści spieszyli się na obiad, zabytki też miały chęć odpocząć, tak jak i ja.

Po południu, za radą mojego kierowcy, wybraliśmy się do miejscowości Chong Khneas nad jeziorem Tonle Sap. Ileż można było oglądać samych ruin. Byłem sam na łodzi, więc i koszty 1,5-godzinnej przejażdżki były spore – 30 USD za pyrkającą motorową łódź. Trasa była standardowa – „pływająca wioska”. Wrażenie średnie. Nawet się nie spostrzegłem, jak byłem już z powrotem na przystani. Najciekawsze były widoki po drugiej stronie przystani. Na jeziorze, w którym w zależności od pory roku poziom wody podnosi się o dobrych kilka metrów, wiele osób mieszka w domkach na tratwie. Tam, gdzie woda może pojawić się tylko o określonej porze, stawia się domy na palach. W porze suchej jest tam sporo cienia, a gdy wzbierze się woda, nie ma obawy, iż domostwo zaleje.

Było późne popołudnie i domy odbijały się delikatnie w spokojnej wodzie, po której kursowały długie łodzie, bo jakżeż inaczej można było wybrać się do sąsiadki na pogawędkę. Prasat Phnom Kraom nie wolno przegapić o zachodzie słońca. Tak zwie się świątynia zbudowana na sporym wzniesieniu. Wejście dla mnie było gratis, gdyż ważny był mój trzydniowy bilet na kompleks Angkor. Choć słońce już tak nie przypiekało, ale marsz do góry dawał mi się mocno we znaki. Nagrodą były widoki. Dookoła mnie rozpościerała się tafla jeziora przeciętego cienkimi groblami i pełnego czerwonych kropek stanowiących dachy domów wznoszonych na palach. Na samym szczycie znajdowała się współczesna świątynia buddyjska, a zaraz za nią ruiny małej świątyni. Idealne miejsce na podziwianie zachodu słońca.

10 grudnia – poniedziałek

Banteai Srei uważana jest za klejnot wśród różnych hinduistycznych świątyń okolicy Angkoru. Jej założycielem był doradca jednego z królów i jednocześnie nauczyciel następcy tronu (967 r.). Dzieli go prawie godzina drogi od Siem Reap, stąd też i cena za wynajęcie samochodu z kierowcą zwiększyła się o dodatkowe 16 USD. Małe jest piękne, ale tylko wtedy, gdy nie zjawi się tam kilka wycieczek na raz. Na miejscu byłem jednym z pierwszych gości, ale po kilkunastu minutach świątynkę zaczęło szturmować może z kilkaset osób naraz. Trudno było sobie wyobrazić takie „watahy” na tak małej przestrzeni. Całe szczęście, że wycieczki ograniczają się do szybkiego wysłuchania tego, co najważniejsze, po zrobieniu kilku zdjęć, maszerując z powrotem do autobusu.

Kilkanaście kilometrów od Banteai Srei znajduje się rzeczka Kbal Spean, której wody wpadają do wielkich stawów zwanych *baraj* przy Angkorze. Sama rzeka w swym głównym nurcie stanowi wielką atrakcję, gdyż w jej skalnym korycie wyrzeźbiono reliefy przedstawiające Siwę, Wisznu i inne boskie stworzenia. Od parkingu dzieliło mnie półtora kilometra mozolnego wspinania się w górę, czasem po skalnych rumowiskach. Co 100 metrów zapobiegliwi twórcy tej trasy zostawili napisy, które informowały strudzonych wędrowców w tym upale, ile zostało jeszcze do przejścia.

W drodze powrotnej zatrzymałem się w Kambodżańskim Muzeum Min. Jej twórca Aki Ra w ciągu osiemnastu lat unieszkodliwił przeszło 50 tysięcy min. W 1997 roku otworzył przy współpracy kanadyjskich przyjaciół to muzeum. Z początku sam oprowadzał, ale ileż można przywoływać w sobie wciąż te żywe, krwawiące wspomnienia. W muzeum są przeróżne tablice, zdjęcia i makiety obozu Czerwonych Khmerów z papier-mache. Warte odwiedzenia.

Kilka kilometrów dalej w drodze powrotnej znajdował się jeszcze ogród motyli. W samo południe motyle nie były zbyt aktywne; poszedłem ich tropem i już wkrótce mogłem odpocząć w hotelu. To był mój ostatni dzień w Kambodży. Odlot miałem dopiero wieczorem, więc mogłem sobie pozwolić na jeszcze jeden wypad do Angkor Wat. Wschodni Mebon i Pre Rup, które wybrałem na pożegnanie z Angkor były położone w pobliżu siebie. Obie świątynie były poświęcone bogu Sziwy, z tym że pierwsza, którą odwiedziłem – Wschodni Mebon (952 r.), była poświęcona przodkom króla, druga zaś Pre Rup stanowiła świątynię królewską (961 r.). Zbyttno się między sobą nie różniły, na każdą z nich trzeba się było nieźle wspiąć. Ale przy tej ostatniej zaczęło się zbierać coraz więcej osób. Pojawili się sprzedawcy albumów o Angkor czy przeróżnych pamiątek. Nie byli jednak natarczywi. Wystarczyło przynajmniej trzy razy powiedzieć nie i odstępowali. Gdy zaś turystów przybywało, to można było przejść niezauważonym. Pre Rup stała się jednym z okrzyczanych miejsc oglądania fantastycznych zachodów słońca, szczególnie na najwyższej platformie. Nic więc dziwnego, że im niżej było słońce na horyzoncie, tym bardziej gęstniało od widzów.

W cenę hotelu wliczony był dojazd riksą na lotnisko, oddalone o kilka kilometrów od centrum. Zwolniłem więc z obowiązku pracy mojego kierowcę i przynajmniej mogłem zakosztować nowego środka komunikacji. Po godzinie lotu byłem już w Wietnamie. Jeszcze przed przylotem do Hanoi zarezerwowałem hotel w tzw. Old Quarter w Hanoi. Przejazd taksówką z lotniska w Hanoi do hotelu mogłem zapłacić jeszcze na lotnisku i informacji turystycznej. Tam też zamieniłem nieco dolarów na wietnamskie dongi. Cena za godzinny przejazd była jak na ten kraj spora – 30 USD.

Wybrany hotel Church Boutique Hotel spodobał mi się od razu. Było wi-fi – zresztą tak jak wszędzie w Wietnamie. Nie mogłem wprawdzie w centrum miasta liczyć na ogródek i basen jak w Siem Reap, ale tylko kilka kroków miałem do buzującego, nawet późnym wieczorem, tzw. Old Quarter czy też jeziora Hoan Kiem.

11 grudnia – wtorek

Nie miałem już tak wymarzonej pogody jak w Kambodży. Nad Hanoi zawisły chmury, nie lepiej miało być też nad zatoką Halong. Postanowiłem więc nie spędzać nocy na statku w zatoce i pojechać na jednodniową wycieczkę: cztery godziny w jedną stronę autobusem i zaledwie tyle samo na statku, aby zdążyć na nocny ekspres do Hue. Wszystko załatwiłem w recepcji hotelu i wobec tego mogłem zacząć planować moje następne dni.

Mauzoleum Ho Chi Minh mieści się przy wielkim placu Ba Dinh, w sam raz stworzonym dla pochodów czy defilady wojskowej. Wejść na ten plac można tylko od jednej strony, gdzie sprawdzano wnoszone bagaże. Przed mauzoleum, poza żołnierzami, co chwilę paradytującymi przed wejściem, nie było żadnych oczekujących. Po pewnym czasie nadeszła kilkusetosobowa grupa uformowana w szyk. Weszli oni do środka budynku, aby przez chwilę popatrzeć na zmumifikowane zwłoki Ho Chi Minha. O 11.30 mauzoleum zamykano: to pora przerwy obiadowej. Jest to praktykowane też w innych muzeach i zwykle trwa do 13 lub 14. Nie mogłem w tym czasie wziąć udziału w tym urzędowym spektaklu, jak i zwiedzić znajdującego się w pobliżu Muzeum Ho Chi Minh.

W Hanoi zacząłem uczyć się skutecznego przechodzenia przez jezdnię. W tym mieście, szczególnie w okolicy Starego Miasta, świateł ulicznych jest bardzo mało, znacznie mniej niż oznakowanych przejść dla pieszych. Za to po ulicach krąży niesamowita liczba skuterów i motorów, rowerów jest już znacznie mniej. Czy ulica wąska czy szeroka, nie ma to znaczenia. Najważniejsze to mieć silne nerwy i ufać, że nas nie chcą rozjechać. Na szczęście każdy stara się tym motorkiem nie przyspieszać, jak widzi pieszego na ulicy. Szybkość tutaj nie popłaca, bo trzeba umieć operować swym jednoślądem pomiędzy innymi pojazdami, z których każdy skręca w różne strony. A często na motorku trafia się i troje, a nawet czworo osób, szczególnie w godzinach popołudniowych, kiedy trzeba dziatwę odebrać ze szkoły.

Wietnamczycy otaczają wielką estymą Świątynię Literatury, założoną w 1070 roku przez króla Lhy Tang Hong. Stanowi ona mieszkankę świątyni i uniwersytetu. Najczęściej odwiedzają świątynię uczniowie czy studenci z Wietnamu, aby tutaj szukać natchnienia i okazji do zdjęć wraz z takim cudzoziemcem jak ja. W Hanoi stałem się prawie gwiazdą filmową. Wszyscy chcieli się ze mną sfotografować – czy to przy Muzeum Ho Chi Minh, wejściu do Świątyni Literatury czy choince bożonarodzeniowej. Wymiana usług była obopólna.

W Hanoi jest wprost zatrzesienie mniejszych i większych jezior. To efekt kapryśnego zmieniania swego koryta przez Rzekę Czerwoną. Ale tym najważniejszym dla miasta jest Jezioro Hoa Kiem. Na wysepce zbudowano małą świątynkę Ngoc Son. Na czerwonym moście łączącym wysepkę z lądem panuje zgiełk, ruch, pstrykanie zdjęć. Nie może też zabraknąć nowożeńców utrwalających ten swój Wielki Dzień.

Tuż obok znajduje się budynek Teatru Lalek na Wodzie. Spektakle codziennie odbywają się przynajmniej pięć razy od piętnastej do późnych godzin wieczornych. Hanoi jest najlepszym miejscem do oglądania tego spektaklu, gdyż narodził się on właśnie tutaj w delcie Rzeki Czerwonej. Zasiadłem w jednym z pierwszych rzędów. Tym razem nikt nie miał nic przeciwko robieniu zdjęć czy filmowaniu. Scena zamiast deskami wypełniona była wodą. Z boku było też miejsce dla kilku muzyków, a na ekranie można było śledzić co też dana scena przedstawia. Kukielki rolników pracujących w polu, tancerek, smoków, ryb przesuwały się z wielkim mistrzostwem po wodzie. Gdy zaś 50-minutowy spektakl dobiegł końca, zza kotary wysunęli się lalkarze sterujący za pomocą prętów i sznurków, witani gromkimi oklaskami.

12 grudnia – środa

Punktualnie o ósmej rano ruszyliśmy nad Halong Bay. Mikrobus miał siedzenia dla osób o średnim rozmiarze. I choć było jeszcze sporo wolnych miejsc, to i tak miejsce na wyprostowane nogi miałem jedynie w przejściu. Gdy już pozbialiśmy wszystkich

innych amatorów uroków Ha Long Bay, ruszyliśmy w drogę. Była dość monotonna. Kominy, fabryki, dźwigi nad budowanymi mostami nowych autostrad, i nieodłączne śmieci – znak, że Wietnam próbuje dogonić inne azjatyckie tygrysy. Niebo nad Ha-long Bay nadal było zachmurzone. Pozostało mi raczyć się bielszym czy mlecznym krajobrazem, gdzie białe turystyczne stateczki wtapiały się w tło. Płynęliśmy pomiędzy pionowo wystrzeliwujące w niebo wysepki, których było tam dostatek. I tym razem nie ominęła mnie atrakcja w postaci pływającej wioski. Było tam kilkanaście chałupek na pływających platformach. Ruch mieli spory. Przyplływały tam chyba wszystkie jednodziennie wycieczki, którym trzeba jakoś urozmaicić te kilka godzin na wodzie.

Po przeszło czterech godzinach dotarliśmy z powrotem do wibrującego wieczornym życiem Hanoi. Na każdej uliczce czy to Starej Dzielnicy czy Francuskiej Dzielnicy siedzieli mieszkańcy na małych krzeselkach, racząc się potrawami serwowanymi w pobliskich garkuchniach. Skusiłem się i ja na ten posiłek w tej samej restauracji, co poprzednio, gdzie niekończący się sznur samochodów, motocykli i pieszych próbujących dopaść drugiej strony ulicy był mi już codziennym widokiem.

13 grudnia – czwartek

Przedział w wagonie Hanoi – Hue miał cztery miejsca do spania – to najlepsze co można było kupić na tę trasę. Pogoda wydawała się być beznadziejna. Z samego rana zamiast promieni słońca o szyby wagonu rozpryskiwały się krople rześistego deszczu. Wjeżdżaliśmy w strefę najbardziej deszczową i jednocześnie najbardziej wysuniętą na zachód całego Wietnamu. Nie pora mi było zatruwać się wizją wakacji pod parasolem. Tuż przed Hue słońeczko się przebiło przez warstwę chmur i tak już zostało na kolejne dni. Mój hotel Holiday Diamond, pomimo swoich czterech gwiazdek, cenę dał wprost zabójczo niską – 28 USD, stąd też turyści walili tutaj na potęgę. Położenie nie porażało. Wąska uliczka i równie wąski, ale wysoki na cztery piętra budynek, za to załoga rozplątywała się wprost w gościnności, aby przesłodzić swoich gości. Herbatka, soczek, owoce na powitanie i wciąż same uśmiechy. Musiałem zmienić plany, gdyż w jedno popołudnie mogłem przejechać się tylko w okolicę Hue, aby pooglądać cesarskie groby. Dopiero następnego dnia mogłem wybrać się na zwiedzanie pałacu cesarskiego w Hue.

Za niecałą godzinę siedziałem już w samochodzie, którego kierowca postanowił tak zorganizować mój czas, abym zdążył zobaczyć wszystko to, co sobie zaplanowałem na ten dzień. Miałem odwiedzić najciekawsze miejsca wiecznego spoczynku cesarzy Wietnamu. Hue stało się bowiem od 1805 do 1945 roku stolicą zjednoczonego Wietnamu pod panowaniem nowej dynastii Nguyen. Grobowce położone są w odległości kilkunastu kilometrów od miasta i uniknęły dewastacji wojennych, jakie dotknęły miasto Hue.

Zanim wyjechaliśmy z miasta, zatrzymaliśmy się przy położonej nad rzeką – kilka kilometrów od centrum miasta – pagody Thien Mu. Tym razem mój kierowca wyznaczył mi pół godziny. Warto zaglądnąć do położonego z boku pawilonu, gdzie ustawiono niebieskiego, nieco już zardzewiałego Austina. Samochód ten znalazł swoje miejsce we współczesnej historii Wietnamu. Tym pojazdem wybrał się bowiem w 1963 roku w podróż do Sajgonu mnich Thich Quang Duc, który tam dokonał samospalenia na znak protestu przeciwko prześladowaniu buddystów przez ówczesnego prezydenta Wietnamu Południowego, Ngo Dinh Diem.

Trzy grobowce, które zwiedziłem, pomimo pewnego wspólnego schematu, różniły się znacznie. Pierwszy, który odwiedziłem, zbudował dla siebie najdłużej panujący

cesarz Tu Duc (1848–1883). Jakby centrum zespołu grobowego tego cesarza stanowił staw o owalnym kształcie, nad którym zwykł on siadać w drewnianym pawilonie Xung Khiem i czytać swoje wiersze. W ponad 100 lat później miejsce to upodobali sobie twórcy filmu „Indochiny”. Wszystkie te budowle stanowiły więc jakby letni pawilon władcy, który zbudował jeszcze za swego życia. Po jego śmierci przekształcono ten kompleks na miejsce wiecznego spoczynku.

Kilkanaście kilometrów dalej w pobliżu Rzeki Perfumowej (Huong), niedaleko przeprawy mostowej (nowy most Tuan Bridge) znajduje się inny grobowiec cesarza Minh Mang (1820–1840). Mój kierowca wyznaczył mi również trzy kwadransy na obiegnięcie tego miejsca. Droga Ducha, którą niesiono ciało władcy w 1841 roku, przebiega idealnie w linii prostej, wznosząc się stopniowo przez szereg pawilonów, kolejnych schodów i mostów, aby po 700 metrach zakończyć się na wzgórzu. Ostatni wybrany przeze mnie grobowiec przedostatniego cesarza Khai Dinh (1916–1925) zbudowano na stromym zboczu. Tym razem była to mieszanka różnych stylów. Nie żałowano przy jego konstrukcji betonu. W środku znajdowało się nieco zdjęć tego cesarza. Nie sprawiał on zbytniego kłopotu Francuzom, taka to była wtedy recepta na długie rządy.

Trochę się pokręciłem po miasteczku, aby odnaleźć dobre miejsce do posmakowania lokalnych smakołyków. Zachwalana przez Lonely Planet restauracja okazała się być wielką samotnią. Duże zdziwienie i skrzywienie na ustach kelnera zapanowało, gdy postanowiłem zamówić tylko zupkę, a potem przenieść się do jakiegoś bardziej uczęszczanego miejsca. Znalazło się takowe w pobliżu, na rogu ulicy. Wracając po obfitym posiłku zaczępiłem o małą agencję podróży.

„Czy możecie mi sprzedać bilet lotniczy z Da Nang do Sajgonu?”

„Oczywiście, że są loty, i to pięć razy dziennie liniami Vietnam Airlines”.

Była jeszcze tańsza opcja, czyli linie Jet Star. Poprzestałem więc na krajowym przewoźniku i po 5 minutach miałem już zapewniony prawie dwudziestokrotnie szybszy transport niż koleją. Suma nie przekraczała ceny biletu kolejowego z miejscem sypialnym z Da Nang do Sajgonu.

14 grudnia – piątek

Po drugiej stronie Rzeki Perfumowej mieści się twierdza otoczona wysokim murem, nad którą dumnie wisi olbrzymia flaga Wietnamu. Obejmuje ona zarówno dzielnicę mieszkalną, jak i Cesarskie Miasto otoczone wewnętrznym murem i fosą. Już przy wejściu rozczarowanie. Nie odbędzie się koncert tradycyjnej muzyki dworskiej. Na przeciwko wejścia, tuż za rozległym dziedzińcem trasa zwiedzania biegnie przez Pałac Najwyższej Harmonii (Thai Hoa). Kiedyś cesarz w otoczeniu mandarynów ustawionych zgodnie z ich statusem odbywał tam oficjalne audyencje. Nie należy przeoczyć ustawionego z tyłu tego pałacu ekranu. Przed kilkoma laty Koreańczycy podarowali perfekcyjną, audiowizualną wizję dawnego pałacu w Hue. Pozwala to odtworzyć, jak on wyglądał, zanim uległ wojennym zniszczeniom.

Obecnie prace budowlane trwają, ale wiele lat jeszcze upłynie, zanim zostanie mu przywrócony dawny blask. Zaglądając i tu, i tam, trafiłem na klejnot tego miejsca, którego nie należy żadną miarą opuścić – świątynię The Mieu, którą cesarz Minh Mang (1821) zbudował na cześć swego ojca. Cudowny, długi budynek o cynobrowych ko-

lumnach swoją rekonstrukcję zawdzięcza polskim konserwatorom. Tam też pierwszy raz odczytuję nazwisko inż. Kazimierza Kwiatkowskiego. Miejsce to odwiedził też w latach 90. również prezydent Kwaśniewski.

Pora była pożegnać hotel Holiday Diamond. Do taksówki wraz z bagażami zmieściły się 3 osoby, a za chwilę z innego hotelu wzięliśmy jeszcze jedną dziewczynę i jej bagaże. Jej chłopak pojechał na motocyklu. W takim konwoju dotarliśmy kilkaset metrów dalej na miejsce zbiórki. Nie czekaliśmy długo. Tym razem autobus był niezwykły. Wpierw przy wejściu trzeba było zdjąć buty. Konstruktor tego autobusu poszedł z miejscami do góry i tak miejsc w nim było trzydzieści osiem, w każdym z pięciu rzędów było 6 miejsc na parterze i piętrze, a dodatkowo z tyłu zmieściło się jeszcze osiem miejsc. Genialne, a jakże proste. A wszystko to kosztowało 4 dolary.

Szosa biegła pomiędzy wielkimi lagunami a wybrzeżem Morza Południowochińskiego. Posuwaliśmy się powoli w wielkiej kawalkadzie potwornie wolnych wielkich ciężarówek. Wspięliśmy się na wysokość prawie pół kilometra na Przełęcz Chmur i zjechaliśmy do zatoki Da Nang. Przed czterdziestoma laty było to miejsce zaciętych walk, obecnie stanowi prawdziwy kurort z dziesiątkami luksusowych hoteli szykujących się na gości w okresie świąt Bożego Narodzenia. Stamtąd już było niedaleko do znacznie mniejszego, cichszego miejsca, jakim jest Hoi An. Kiedyś był to jeden z najważniejszych portów Azji Południowo-Wschodniej, gdzie kupcy robili dłuższy przystanek, czekając na sprzyjające wiatry. Od ponad 100 lat rzeka Bon uległa zamuleniu i większe statki nie mogły już przybijać.

Zamówiony hotel Vingh Hung 1 spełnił moje oczekiwania. Był to stary, drewniany dom, należący kiedyś do jakiegoś chińskiego kupca. Wieczorem już z oddali się wyróżniał zwisającymi z tarasów wielkimi, czerwonymi lampionami. Pokój, który otrzymałem we władanie, urządzony był z dużym gustem, choć okna wychodziły tylko na dziedziniec.

Obejść miasteczko można było dosłownie w pięć – dziesięć minut. Warte uwagi były dwie, może trzy uliczki równoległe do rzeki. Mój recepcjonista, gdy usłyszał, iż jestem z Polski, zaczął mi zachwalać, iż mają tutaj nawet pomnik sławnego Polaka. Poradził mi też do jakiego krawca mam się udać, który uszyje dla mnie cokolwiek sobie wymarzę w jedno popołudnie i zarekomendował miejscowe knajpki. Polecana knajpka wiała pustką, nijakim wystrojem, zachwalana zaś przez LP restauracja Morning Glory Street Food Restaurant tętniła życiem. Bynajmniej się nią nie rozczerowałem. Z tarasu na pierwszym piętrze można było chłonąć czar tego miasta, który upodobała sobie chyba połowa przybyszów zjeżdżających z całego świata do Wietnamu. Niedaleko już miałem do mostu łączącego oba brzegi rzeki Thu Bon. Po drugiej stronie rzeki rozłożyli się sprzedawcy lampionów; wieczorem aż kusiło, aby zostać ich posiadaczem i przenieść czar wietnamskiego wieczoru na polski grunt.

Następnego dnia miałem już wszystko zaplanowane i zapłacone u recepcjonisty mojego hotelu. Gorączkowo kończyłem czytać książkę Moniki Warneńskiej „Zaginione Królestwo” o zaginionym królestwie Czampów. Następnego dnia miałem bowiem wczesnym rankiem zwiedzić My Son, dawną stolicę tego państwa, położoną około 50 kilometrów od Hoi An.

15 grudnia – sobota

Kierowca czekał na mnie przed świtem. O tej porze ruch był raczej mizerny, polijanci też jeszcze nie wyszli na łowy. Nic więc dziwnego, że za trzy kwadranse doje-

chaliśmy do My Son. Nad lasem kłębiły się gęste chmury i o wschodzie słońca można było zapomnieć. Zaczęło nawet nieco padać. To był mój pierwszy deszczyk. Dobrze, że i ostatni. Nie byłem jednak pierwszym przybyszem. Przede mną pojawiła się cała grupa, w tym i znajomi niemieccy turyści z poprzedniego hotelu w Hue.

My Son, stolica królestwa Czamów, które wiodło przez setki lat boje z Imperium Khmerów i Wietami z północy, prezentowała się nadzwyczaj skromnie w porównaniu do jakiegokolwiek z dziesiątek świątyń w obrębie Angkoru. Sporo tutaj poniszczili Amerykanie w trakcie wojny wietnamskiej; bombardowali oni ten obiekt jako bazę Vietcongu, niszcząc prawie doszczętnie kompleks budynków A.

W początku lat 80. – gdy przybyło w te strony trzech polskich konserwatorów – było tutaj bezładne usypisko cegieł i kamieni. Dobrze, że zachowały się rysunki francuskich archeologów, gdyż można było to jakoś poskładać. Kierownik polskiej ekipy, Kazimierz Kwiatkowski poświęcił się przez prawie kolejne 20 lat pracom, które przywróciły nam wszystkim dawny czar tego miejsca. Gdy zmarł w stosunkowo młodym wieku podczas prowadzenia prac konserwatorskich w Wietnamie, miejscowi o nim nie zapomnieli. Za życia zwany „władcą Zaginionego Królestwa” doczekał się w 2007 roku od wdzięcznych mieszkańców swego pomnika na jednym z placów Hoi An.

W My Son zabawiłem może z półtorej godziny, aby wrócić jeszcze na obfite śniadanie w holu mojego hotelu. Chmury gdzieś zniknęły i zapowiadało się na upalny dzień. W Hoi An sprzedają bilety łączone na kilka co ciekawszych obiektów w mieście, do których zalicza się prywatne domy chińskie, będące we władaniu tych samych rodzin przez wiele pokoleń, świątynie taoistyczne czy też domy zgromadzeń. Te ostatnie stanowią miejsce spotkań, łącząc funkcję świątyni, klubu towarzyskiego i domu gościnnego dla kupców przybywających tutaj z Chin. Na ścianach jednej z sali spotkań, oprócz hiperrealistycznych wyobrażeń smoków i nobliwych postaci ze starannie wypielęgnowanymi długimi brodami, widniały zdjęcia mieszkańców miasta pochodzenia chińskiego, którzy zginęli podczas okupacji japońskiej w czasie II wojny światowej.

Bywali tu kiedyś i kupcy japońscy, stąd też i Kryty Most Japoński, będący wizytówką tego miasteczka. Ale w 1637 roku szogun zakazał japońskim kupcom utrzymywania jakichkolwiek kontaktów ze światem zewnętrznym, toteż powrócili oni już na stałe do swego kraju, a ich miejsce zajęli Chińczycy.

Poprzedniego dnia nie zwróciłem uwagi, że wieczorem ma miejsce występ, gdzie prezentowane są tańce i muzyka dawnego Wietnamu. Nic nie działo się też w Handicraft Workshop o godzinie piętnastej. Trudno. Była za to rzeka, gdzie mogłem do woli przebierać w ofertach kapitanów stateczków pływających po rzece Thu Bon. Za osiem dolarów „stary wilk rzeczny” zaprosił mnie na swoją łajbę i ruszyłem w nieznane.

Byłem do wyprawy bardzo dobrze przygotowany. W portfelu miałem odpowiedni zapas jednodolarówek i dwudziestotysięczników dongowych. Mogłem więc hojną ręką szastać nimi oczekującym na to miejscowym rybakom. Nic za darmo. Oni z kolei mieli przede mną swój show – łowienie ryb i łupienie turystów z drobnych banknotów. Rzucane przez nich żółte sieci jakiś tam jednak połów im przynosiły. Zabrakło tylko czasu, aby wynająć rower i przejechać się po okolicznych wioskach otoczonych polami ryżowymi. Ale to już nie tym razem, bo pora była jechać na lotnisko w Da Nang. Przez pewien czas uporczywie wsłuchiwałem się w komunikaty na lotnisku; kolejne dwa loty do Sajgonu zostały odwołane, a mój się opóźniał. Ale wreszcie dali nam wszystkim

zielone światło i po godzinie już byłem w Sajgonie. Jak zwykle dzień wcześniej zamówiłem przez www.booking.com Riverside Hotel, hotel podobno z dużymi tradycjami i prawie w centrum miasta. Ale taksówkarz chyba pierwszy raz jeździł po Sajgonie, bo to ja musiałem palcem pokazać, jak dojechać do mojego hotelu.

16 grudnia – niedziela

Wreszcie pozwoliłem sobie na dłuższe spanie. Gdy tylko opuściłem klimatyzowane wnętrze Hotelu Riverside, poczułem od razu, iż Hanoi od Sajgonu dzieli nie tylko odległość (tysiąc siedemset kilometrów), ale i klimat. Było ponad trzydzieści stopni Celsjusza, ale nie było parno. Nie szkykowało się na żaden deszcz, na niebie nie było ani jednej chmurki.

Zrezygnowałem z miłego spacerku i złapałem taksówkę. O wpół do dziesiątej miała się bowiem rozpocząć msza święta sprawowana w języku angielskim w Katedrze Notre Dame mieszczącej się oczywiście na Placu Paryskim. Wokół katedry, jak i w środku świątyni, stały niezliczone tłumy. Po pewnej chwili znałem już przyczynę. Trafiłem akurat na ceremonię uroczystego zakończenia konferencji biskupów azjatyckich. Msza trwała ponad dwie godziny. Zakończyła się w samo południe. Panował wtedy już niemiłosierny upał. Można go było złagodzić litrami zimnych soków dostępnych w otwartym w pobliżu sklepiku. Tuż obok katedry mieści się również centralny gmach poczty. Wzniesiony był pod koniec XIX wieku, a zaprojektowano go w pracowni Gustave'a Eiffela. Obecnie jest siedzibą urzędu pocztowego i różnych sklepików z pamiątkami. Całemu temu zgiefkowi przygląda się z wielkiego portretu dobrotliwie wyglądająca twarz Ho Chi Minha. Nigdzie nie znalazłem jednak tradycyjnych skrzynek pocztowych. Swoje kartki z pozdrowieniami położyłem więc do koszyczka ustawionego na biurku urzędniczej poczty. Doszły do Polski w niecałe 7–14 dni.

Ulice w Sajgonie są szersze niż w Hanoi; ale i mieszkańców miasto ma więcej. Oblicza się, iż bez okolicznych miast Sajgon zamieszkuje obecnie ponad 7 milionów osób. Biorąc pod uwagę statystyki mówiące, iż w Wietnamie jeden motocykl przypada na dwóch mieszkańców, ulice są równie pełne jednośladów jak w Hanoi. W mieście zarejestrowano około 340 tys. samochodów, motocykli zaś jest ponad 3,5 miliona. Motocykliści z reguły nie jeżdżą zbyt szybko. Wożący często całą swoją rodzinę, muszą zważać na znacznie silniejszych graczy na tym rynku, czyli taksówkarzy, którym czasem przemykają się tuż przed ich maską. Często nie są widoczne jakiegokolwiek pasy na jezdni, ale na wielopasmowych ulicach bliżej chodnika panują niepodzielnie kierowcy jednośladów.

Przy ulicy Pasteura mieściło się Muzeum Miasta Ho Chi Minh. Przez pewien okres było tymczasową siedzibą prezydenta Południowego Wietnamu. Obecnie schody na pierwsze piętro stanowią kolejną scenę zdjęć nowożeńców, a szczególnie trenu panny młodej. Muzeum warte było odwiedzenia, ale nie ze względu na różne wypchane okazy zwierząt prehistorycznych czy też kolekcji map znajdujących się na parterze. Jeśli dysponujemy tylko odrobiną czasu, to najlepiej wejść do sali na pierwszym piętrze ukazującej pamiętny rok 1975. W wyniku dwumiesięcznej kampanii wojska Wietnamu Północnego i Vietcongu zajęły cały kraj, aby 30 kwietnia 1975 roku wkroczyć do Sajgonu. Z tych to czasów pochodzi znamienita fotografia z butami. Na szosie, której uciekali w panice żołnierze południowowietnamscy, leżało mnóstwo żołnierskich butów, zzuwanych przez dezertorów, którzy chcieli wtopić się w masę cywili i uniknąć

niepewnego losu jeńca „marionetkowego” (*puppet* – to słowo do tej pory widnieje na opisach) rządu Południowego Wietnamu.

Niedaleko stamtąd znajdowała się inna żelazna atrakcja „Pałac Ponownego Zjednoczenia”. Gdyby nie te przekorne zmiany nazwy dawnego Pałacu Prezydenta Wietnamu Południowego na pomnik tego Wielkiego Wiosennego Zwycięstwa komunistów, być może nie zachowano by go do dnia dzisiejszego w nienaruszonym stanie. W pobliżu wejścia na teren pałacu można strzelić fotkę przy tym samym modelu czołgu radzieckiego czy chińskiego, które jako pierwsze staranowały bramę wjazdową do Pałacu. Budynek w środku jest bardzo przestronny. W niedzielne popołudnie było pełno wycieczek, można było też skorzystać z bezpłatnych usług przewodnika.

Uff. Jak by mi jeszcze nie było dosyć tych muzealnych atrakcji i wspomnień z przeszłości, zaszedłem do innego miejsca tłumnie odwiedzanego – War Remnants Museum – Muzeum Pamiątek Wojennych. Pierwotnie zamierzano ukazać światu, jakim dobrodziejstwem było ponowne zjednoczenie Wietnamu, bezsens wojny i udokumentować demonstracje na całym świecie przeciwko tzw. „brudnej wojnie w Wietnamie”. Nie znalazłem tam jednak zdjęć z manifestacji na ulicach naszego kraju. Widocznie wtedy, w 1968 roku zdrowy polski trzon robotniczy miał inne ważniejsze hasła, jak np. trzymanie tablic z napisami: „Studenci do nauki, literaci do pióra, syjoniści do Syjonu”. Nie udało mi się tego obiektu w pełni zwiedzić przez godzinę. Gdy gasili światła o 17 i zapraszali tym samym do wyjścia, został mi jeszcze do oglądnięcia zbiór zdjęć fotografów, którzy zginęli w trakcie działań wojennych, czyli tzw. Requiem. Miałem już wtedy plan na kolejny poranek, aby tu powrócić i zdążyć jeszcze przed obiadową przerwą o 11.30.

17–18 grudnia – poniedziałek i wtorek

Muzeum Pozostałości Wojennych otwierano już o 7.30, ale obudziłem się później. Poprzedniego dnia pochodziłem w tym upale wiele kilometrów, a do wydania miałem jeszcze trochę dongów. Postanowiłem więc skorzystać z taksówek. Czekają one prawie na każdym kroku i nie zdarzyło mi się, abym musiał szukać ich dłużej niż minutę czy dwie. Wszystkie taksówki przynależą do jakiejś kompanii np. Saigon Air mają taksometry i nie trzeba się z nimi targować ile będzie kosztować przejazd. Ale są i tacy taksówkarze, u których przejazd kosztował niebotyczne ceny, a licznik taksometru wybijał z prędkością dolara na minutę. W zasadzie każda taksówka ma przy wejściu wypisane, iż bazowa opłata wynosi od 10 do 12 tysięcy dongów. Jadąc z kolei do chińskiej dzielnicy Cholon, zapłaciłem w jedną stronę 200 tys. dongów, a w drugą prawie dwa razy mniej. Taksówkarze, którzy chcą więcej zarobić, jadą bardzo wolno, specjalnie pakuja się w korki i wąskie uliczki; przykładowo w Hoi An miałem wrażenie, iż taksówkarz objechał miasteczko przynajmniej dwa razy i zamiast dwóch dolarów musiałem mu zapłacić trzy.

Muzeum Pamiątek Wojennych trzykrotnie zmieniało swoją nazwę. Wpierw był to Dom Wystawienniczy Zbrodni Amerykańskich i Marionetkowego Reżimu („Exhibition House for US and Puppet Crimes”). W 1990 roku, gdy stosunki wietnamsko-amerykańskie zaczęły się normalizować, wykreślono przymiotniki amerykański i marionetkowy, tak iż stał się „Exhibition House for Crimes of War and Aggression”. Po pięciu latach gdy nawiązano stosunki dyplomatyczne z USA i rząd amerykański wycofał się z embargu wobec Wietnamu, przykrojeniu uległy też inne sformułowania, jak zbrodnie wojen-

ne i agresja; obecnie nosi ono nazwę Muzeum Pozostałości Wojennych. Corocznie odwiedza to miejsce pół miliona osób. Niektórzy, tak jak ja, czynią to nawet dwukrotnie.

Pora było oderwać się od tej wojny wietnamskiej. Pagoda Nefrytowego Cesarza czy też Króla Niebios (Ngoc Hoang) mieściła się w bocznej uliczce. Gdyby nie taksówkarz, który mi prawie wskazał ją palcem, miałbym sporo kłopotów, aby odnaleźć tę niepozorną budowlę. Powstała w 1909 roku z inicjatywy Chińczyków z Kantonu. W czasie jej budowy wielkością dorównywała sąsiednim budynkom, ale obecnie miasto poszło do góry i świątynka taoistyczna relatywnie zmalała. Wewnątrz było sporo palących się trocizdek, kadzidełek, były też i żółwie w przyświątynnym basenie otrzymujące tu swój pewny wikt i opierunek. Wszędzie panował kolor różowy.

Równie spore nagromadzenie małych świątyń znaleźć można w Szolon (Wielki Rynek) – tętniącej życiem handlowej dzielnicy Sajgonu. Uff, gdy wysiadłem tam z taksówki, czar klimatyzacji znikł. Musiałem szybko biec tam, gdzie cień, czyli do pagody Thien Hau. Pagoda za patronkę miała boginię morza. Była ona bardzo popularna wśród żeglarzy, bo niekiedy zdarzało jej się uratować rozbitków na morzu. Dzielnica Szolon była kiedyś zamieszkiwana głównie przez Chińczyków, z których wielu opuściło ten kraj po zajęciu Sajgonu przez komunistów. Ci, którzy niedawno wrócili z innych krajów, stanowią obecnie motor znacznego przyspieszenia, jaki nadaje całemu krajowi Sajgon.

Mój pobyt zbliżał się już ku końcowi. Pożegnalny obiad z kaczką w sosie mandarynkowym spróbowałem w nastrojowej knajpce Temple Club określanej w LP jako Top Choice. Warto było tam pokosztować tej kuchni, bo już za niedługą chwilę zamówioną taksówką przemierzałem zakorkowany Sajgon, aby na dobre odlecieć jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia do Polski.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Jan Lachner, 25 letni inżynier z Paryża pracujący w przemyśle lotniczym, rzucił ciężką posadkę i ruszył na podbój Europy. Podróżuje już 18 miesięcy i żeby sfinansować wyprawę, w każdym kraju ima się każdej pracy. Zaczynał jako rybak na Malcie, uczył flamenco w hiszpańskiej Sewilli, warzył piwo w Czechach i trenował jego nalewanie w Dublinie (Irlandia). Był też agentem nieruchomości, cukiernikiem i radiowym DJ-em. Ostatnio trafił do Wielkiej Brytanii, a dokładniej do Sea Center w Great Yarmouth (hrabstwo Norfolk), gdzie przez tydzień miał sprzątać akwarium z rekinami, żółwiami i krabami. To jego 31 przystanek w trasie.

Jerzy Kowalik

Kolumbia, Ekwador (z wyspami Galapagos), Panama



Termin wyjazdu: 2–20 kwietnia 2013

Ekipa: 2 osoby

UWAGI OGÓLNE

Wizy – nie są wymagane

Waluta

W Kolumbii peso kolumbijskie (COP), w Ekwadorze i Panamie walutą jest dolar amerykański.

Elektryczność – 110 V, wtyczki płaskie typu amerykańskiego.

Klimat i warunki zdrowotne

Kolumbia

W środkowej części (górzystej) kraju, gdzie leży Bogota, temperatura w dzień wynosi 18–20 stopni, a w nocy 9–11. Od grudnia do marca występuje pora sucha. W obszarze Amazonii klimat tropikalny z temperaturami dziennymi ok. 30 stopni, a w nocy powyżej 20. Opady występują przez cały rok (zwykle krótkie ulewy), ale największe nasilenie notuje się od grudnia do maja.

Zagrożenie malarią na terenach nizinnych. Wskazane szczepienie przeciwko żółtej gorączce.

Ekwador

W części górskiej (Quito) umiarkowana temperatura panuje przez cały rok (ok. 20–22 stopnie), ale noce są chłodne (8–10 stopni). Najwięcej opadów jest od października do maja. Na Galapagos wyróżnia się porę deszczową od stycznia do maja (na wybrzeżu opady z dłuższymi przerwami słonecznymi, w głębi lądu opadów niewiele). Morze jest wtedy spokojne, a wiatry słabe. Jest to najlepsza pora do odwiedzin archipelagu. Tym bardziej, że to okres lęgowy wielu gatunków. W okresie od czerwca do grudnia opady występują w głębi wysp (także mgły), a na wybrzeżu nie pada, ale występuje lekka mgła, tzw. garua.

Zagrożenie malarią na terenach nizinnych. Wskazane szczepienie przeciwko żółtej gorączce.

Panama

Klimat tropikalny. Dienne temperatury 30 stopni i powyżej. W nocy od 20 stopni i powyżej. Opady notowane są przez cały rok. Najmniej intensywne od stycznia do kwietnia. Od maja do listopada to okres burz (aquaceros) i dużych opadów.

Zagrożenie malarią. Wskazane szczepienie przeciwko żółtej gorączce.

Dzień 1 (2 kwietnia, wtorek)

Przelot z Krakowa do Frankfurtu, a dalej z Frankfurtu do Bogoty. Zmiana czasu: – 7 godzin.

Port lotniczy w Bogocie (Eldorado) jest nowoczesny. Wymiana na lotnisku 1 USD = 1780 Columbian Peso (COP).

Taksówka do miasta (dzielnica Candelaria) – 24 000 COP.

Zakwaterowanie w hotelu Dann. Hotel położony jest bardzo blisko zabytkowego centrum (dzielnica Candelaria). Obok niego liczne knajpki z lokalnymi daniami w dobrej cenie, sklepy oraz kantory wymiany walut. Popularny wśród turystów jest w Bogocie hotel Platyfus – zlokalizowany także w dzielnicy Candelaria.

Dzień 2 (3 kwietnia, środa)

Temperatura w dzień ok. 20 stopni (w nocy chłodno). W ciągu dnia słonecznie lub lekkie zachmurzenie. Krótki opad deszczu. Należy zwrócić uwagę, że Bogota położona jest na wysokości 2600 m n.p.m. Osoby z problemami kardiologicznymi powinny wziąć to pod uwagę. Koniecznie należy używać kremu z filtrem, ponieważ słońce operuje bardzo silnie.

Zwiedzanie starego miasta (założone w 1538 r.) – przede wszystkim kościoły:

- La Tercera – piękne ołtarze z cedru i orzecha
- De Veracruz – nieciekawe wnętrze
- San Francisco – piękne wnętrze
- De la Concepcion – piękne sklepienie w stylu mudejar
- Santa Clara – muzeum, wstęp 3000 COP, piękne wnętrze
- San Ignacio – zamknięty, w renowacji
- Del Carmen – neogotycki
- Katedra (z 1823), a obok Capilla del Sagrario (budowla z czasów kolonialnych).

Centrum miasta to Plaza de Bolivar, gdzie znajduje się katedra, a także Palacio de Justicia (odbudowany po zniszczeniu związanym z aktem terroru, kiedy w roku 1985 zajęli go partyzanci ruchu M-19), Capitolio Nacional (siedziba kongresu), Palacio de Narino i Alcaldia (siedziba burmistrza). Przy placu mieści się także centrum informacji turystycznej.

W Bogocie znajduje się wiele muzeów. Przede wszystkim należy zwiedzić Muzeum Złota (Museo Oro; wstęp 3000 COP, seniorzy bezpłatnie).

Należy zwrócić uwagę na piękne zabytkowe kamienice, których jest sporo. W centrum kręci się wielu policjantów, więc daje to poczucie bezpieczeństwa.

Zwiedzanie wzgórza Cerro de Monserrate, na którym wznosi się kościół z rzeźbą Chrystusa Upadającego. Nie jest daleko od starego centrum, ale nie poleca się pieszo przejścia, gdyż znajdująca się po drodze dzielnica nie jest bezpieczna. Lepiej poje-

chać taksówką (4000 COP) do stacji kolejki linowej (kursuje co 15 minut; cena w obie strony – 15 400 COP). Z góry piękny widok na miasto.

Dzień 3 (4 kwietnia, czwartek)

Rano, wyjazd autobusem TransMilenio z przystanku Museo del Oro (Candelaria) do dworca autobusowego Portal del Norte (1700 COP, 45 minut). Stamtąd autobusem jedziemy do miejscowości Zipaquira (65 minut, 4000 COP). Jest to ładne i zadbane miasteczko, położone na północ od Bogoty, którego główną atrakcją jest Catedral del Sal (katedra solna znajdująca się w kopalni soli). Z przystanku autobusowego trzeba przejść piechotą ok. 30 minut. Zwiedzanie (tylko z przewodnikiem) trwa około 1 godziny. Wstęp – można wybrać kilka opcji, a najtańsza w cenie 20 000 COP. Katedra to kolejne komory wydrążone w pokładach soli – ciekawe.

Na północ od Bogoty znajduje się także Laguna de Guavita, święte jezioro, kolebka mitu o Eldorado. Można tam dotrzeć autobusem z Portal del Norte. Nie udało nam się zlokalizować połączeń z Zipaquira.

Powrót z Zipaquira do Bogoty tą samą drogą.

Dzień 4 (5 kwietnia, piątek)

Przelot Bogota – Leticia. Przy przylocie do Letici (przed opuszczeniem lotniska) pobierana jest opłata 20 000 COP. Taksówka z lotniska – 8000 COP do hotelu Santa Helena. Jesteśmy nad Amazonką. Temperatura ok. 30 stopni, wilgotno. W ciągu dnia dwie krótkie ulewy.

Leticia, główny ośrodek kolumbijskiej Amazonii, leży w punkcie, gdzie stykają się granice Kolumbii, Peru i Brazylii. Spacer po mieście. Sklepy, restauracje, agencje turystyczne, kantory wymiany walut (1 USD = 1800 COP; wymieniają tylko banknoty wyglądające jak prosto z drukarni). Przy nadbrzeżu targ. Z portu można płynąć na wyspę Santa Rosa, położoną naprzeciwko przystani, ale już w Peru (3000 COP), a także do Iquitos w Peru.

Leticia „gładko” przechodzi w brazylijskie miasteczko Tabatinga. Przejście graniczne jest zaznaczone i stoją tam żołnierze, ale nikt nie sprawdza dokumentów. Można przechodzić bez kontroli w obie strony. Tabatinga jest bardziej „bałaganiarska”, ale port jest bardziej malowniczy. Cumują tutaj statki pasażerskie pływające zarówno do Manaus, jak i do Iquitos. Godzinny wypad z Leticii do Tabatingii tuk-tukiem (motorowa riksza) to koszt 20 000 COP.

Dzień 5 (6 kwietnia, sobota)

W kilku agencjach można załatwić wycieczki po Amazonii. Programy i ceny w zależności od czasu trwania i regionu działania. Podstawowa wycieczka łodzią motorową dla „standardowego” turysty trwa od 08:00 do 17:00, kosztuje 140 000 COP i obejmuje:

- Isla Mikos (wyspa małp) – stado małp oblepia się wokół każdego turysty, który znajdzie się w ich sąsiedztwie,

- Macedonia to osada nad Amazonką; pokazy folklorystyczne, spacer po osadzie nad staw z lotosami Victoria Regia,

- Porto Narinio to duża osada; ładne domy, wieża widokowa (wstęp płatny) skąd widok na rzekę.

Po drodze można podziwiać słodkowodne delfiny.

Przy powrocie silnik przestaje działać – okazuje się, że zatankowano zbyt mało paliwa. Po kilkunastu minutach dryfowania pojawia się inna motorówka, której załoga pożycza porcję paliwa wystarczającą do dopłynięcia do najbliższej osady położonej zresztą w Peru. Po zatankowaniu bez przeszkód wracamy do Leticii.

Po zachodzie słońca wyruszamy motorówką na nocne safari po Amazonce. Od 18:00 do 22:00 (cena 80 000 COP) pływamy, zaglądając w zarośla, świecąc reflektorem w poszukiwaniu „mieszkańców”. Udaje nam się jedynie złowić dwa kajmany o długości ok. 30 cm każdy. Mocno przestraszone zostają wypuszczone w odmęty Amazonki. Wrażenie robią odgłosy puszczy.

W agencjach twierdzą, że najciekawiej jest w peruwiańskiej Amazonii, czyli po drugiej stronie rzeki.

Dzień 6 (7 kwietnia, niedziela)

Taksówką na lotnisko (8000 COP). Przelot Leticia – Bogota i dalej Bogota – Quito. Przylot do stolicy Ekwadoru na nowe lotnisko (oddane do użytku w lutym 2013), położone spory dystans od miasta. Na lotnisku kantor, w którym wykupuje się bilety na taksówkę – cena zależna od miejsca docelowego. Do dzielnicy turystycznej La Mariscal – 26 USD. W Ekwadorze używa się wyłącznie dolarów amerykańskich. Z lotniska kursuje także autobus (12 USD/os.), ale dojeżdża do terminalu położonego w północnej części miasta, skąd trzeba dostać się do centrum.

Quito położone jest na wysokości 2850 m n.p.m. (niższe ciśnienie, mniejsza zawartość tlenu w powietrzu i silna operacja słoneczna) w odległości ok. 20 km od równika. Miasto zlokalizowane w dolinie otoczonej górami. Powstało w 1534 roku na ruinach inkaskiego miasta, zniszczonego w czasie walk pomiędzy Inkami a konkwistadorami.

Zakwaterowanie w hotelu Cayman (dzielnica La Mariscal).

Dzień 7 (8 kwietnia, poniedziałek)

Taksówka z La Mariscal do zabytkowego centrum – 2 USD. Zwiedzanie kolonialnej części miasta – od 1978 roku znajduje się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jej sercem jest Plaza de la Independencia (Plac Niepodległości). Trafiamy na uroczystą zmianę warty z wciągnięciem flagi na maszt na Pałacu Prezydenckim; udział prezydenta kraju.

Wokół Plaza de la Independencia:

– La Catedral Metropolitana; katedra (zbudowana 1550–1562), łączy styl barokowy, rokoko i późniejsze neogotyki i neoklasycyzm. Zawiera liczne dzieła mistrzów szkoły quintańskiej (szczególnie obrazy). W kaplicy sarkofag ze szczątkami Antonio Jose de Sucre, przywódcy armii wyzwoleniczej i dowódcy w zwycięskiej bitwie pod Pichiną, która zadecydowała o uwolnieniu się spod kontroli Hiszpanii. Po lewej stronie od ołtarza głównego pomnik Juana Jose Floresa, pierwszego prezydenta kraju. Za ołtarzem tablica upamiętniająca miejsce śmierci prezydenta Gabriela Garcii Morena, zastrzelonego w 1875 roku. Wstęp do katedry i muzeum 1,5 USD.

Z tyłu przylega kościół El Sagrario – pełni funkcję głównej kaplicy katedralnej.

– Palacio Arzobispal (pałac arcybiskupa); obecnie restauracje i sklepy,

– Palacio de Gobierno, siedziba prezydenta; od tyłu wejście, gdzie można podziwiać wielką mozaikę przedstawiającą amazońską wyprawę Orellany,

- hotel Plaza Grande z 1930 roku,
- budynek administracji miejskiej; nowoczesny.

Z Plaza de la Independencia odchodzą ulice Venezuela i Garcia Mareno, które na południu dochodzą do Calle Morales (zwana także La Ronda). Jest to jedna z najstarszych ulic miasta. Wąska z kolonialnymi domami i licznymi restauracjami oraz sklepami z suwenirami.

Dalej na południe położone jest wzgórze Panecillo (Cerro Panecillo), 183 m powyżej poziomu miasta, wysokość 3016 m n.p.m.). Najbezpieczniej dojechać tam taksówką – z centrum i powrót (2 USD). Na platformie wznosi się figura Matki Boskiej Amerykańskiej; piękny widok na miasto.

Powrót na Guayaquil, główną ulicę handlową miasta. Spacer po mieście – podziwianie kolonialnych budynków i kościołów. Szczególnie ciekawe:

- La Campana de Jesus; kościół jezuitów z XVI w; wspaniała fasada, a także wnętrze (ołtarze pokryte złotem); sarkofag ze szczątkami Marianny de Jesus (święta zwana Lilią z Quito, zmarła w 1645 roku). Wstęp 2 USD.
- Santo Domingo, bogate wnętrze; także muzeum z cennymi dziełami sztuki. Wstęp 1,5 USD.
- San Francisco; ogromny kompleks kościelno-klasztorny. Najstarszy kościół w Ameryce z 1534 roku; także muzeum. Wstęp 1,5 USD.
- kościół La Merced z klasztorem – najwyższa wieża w mieście i największy dzwon.
- kościół i klasztor San Augustin – tutaj 10.08.1809 roku podpisano akt niepodległości, złożone są tutaj szczątki bohaterów walki o niepodległość. Także muzeum.

Ciekawe są także muzea:

- Casa Museo Maria Augusta Urrutia; pokazuje życie XX-wiecznej arystokracji. Wstęp 2 USD.
- Museo Alberto Mena Caamano z woskowymi figurami przedstawiającymi sceny z kolonialnej historii kraju. Wstęp 1,5 USD.
- Museo de la Ciudad – historia miasta. Wstęp 3 USD.
- Museo de Santa Catalina – klasztor zbudowany na ruinach inkaskiego Domu Dziewic. Muzeum przedstawiające życie klasztorne. Wstęp 1,5 USD.
- Museo Casa de Sucre – muzeum wojskowe w dawnym domu należącym do A. J. Sucre, bohatera narodowego z czasów walk o niepodległość.

Na północ od centrum wznosi się wielka Basilica; kościół w stylu neogotyckim z 1926 roku.

Wyjazd do Mitad del Mundo, czyli na równik. Jest to położony 22 km na północ od Quito kompleks, w skład którego wchodzi wielki pomnik (we wnętrzu muzeum etnograficzne, a na szczycie taras widokowy), restauracje, bary, sklepy. Równik zaznaczono żółtą linią. Wstęp 2 USD (+ 3 USD do muzeum).

Powrót do La Mariscal. Jest to turystyczna dzielnica pełna hoteli i hosteli, agencji turystycznych, restauracji i sklepów. Najpopularniejsza ulica to Avenida Amazonas.

Pomiędzy ulicami J. Mera, Amazonas i Reina Victoria znajduje się Mercado Artesanal La Mariscal. Jest to targ z wyrobami rękodzieła, biżuterią, obrazami i rzeźbami współczesnych twórców, ubraniami, a także słynnymi kapeluszami Panama. Ceny kapeluszy zaczynają się od 15 USD, ale w specjalistycznych sklepach można znaleźć egzemplarze w cenie ok. 700 USD.

La Mariscal to także centrum życia nocnego – działają liczne bary i restauracje. Centrum to Plaza del Quinde (Plaza Foch).

Warto polecić bar Menestras del Negro na rogu Amazonas i Washington – dobrze i tanio.

Dzień 8 (9 kwietnia, wtorek)

Agencje turystyczne polecają szereg wycieczek w bliższe i dalsze okolice Quito. Ceny zaczynają się od 40 USD/os. Wycieczki są realizowane, gdy zbierze się odpowiednia liczba osób. Trzeba być przygotowanym na to, że w danym dniu wycieczki nie będzie. Można wynająć taksówkę, co w przypadku 3 osób jest korzystne finansowo i daje większą elastyczność. Trzeba dokładnie ustalić trasę z taksówkarzem, a także czas wyjazdu (postoje). Cena takiej eskapady to ok. 120 USD.

Wyjazd o 08:00. Przejazd obok Mitad del Mundo. Pierwszy stop w Pululahua. Jest to krater wulkanu, w którym znajdują się zabudowania i pola uprawne. Wewnątrz gorący mikroklimat. Całość jest pod ochroną jako Reserva Geobotanica. Krater można podziwiać z punktu widokowego, gdzie także zaczyna się szlak pieszy. Po drodze muzeum kultury prekolumbijskiej. Do Pululahua można także dojechać autobusem z Quito oraz z Mitad del Mundo.

Jazda piękną drogą wijącą się wśród gór pokrytych bujną roślinnością. Od czasu do czasu foto-stopy. Zjeżdżamy coraz niżej – robi się gorąco i wilgotnie. Po 70 kilometrach jesteśmy w Mindo na wysokości 1250 m n.p.m. Jest to miasteczko otoczone lasem deszczowym; obok przepływa rwąca rzeka Mindo. Miejscowość żyje z turystyki. Oferują tutaj spływy pontonem, kajakami, a także zjazdy na tyrolkach. Są także oznakowane szlaki – warto pospacerować wśród deszczowego lasu. Do zwiedzania są również farmy motyli, kolibrów i orchidei (wstępy 3 i 5 USD). Powrót tą samą drogą.

Dzień 9 (10 kwietnia, środa)

Taxi z hotelu na lotnisko. Jedzie się w zależności od natężenia ruchu od 40 minut do 1,5 godziny. Jest możliwość transferu mikrobusem (12 USD/os; www.facebook.com/QuitoShuttle, info@quitoshuttle.ec).

Lecimy na Galapagos – jest specjalna odprawa w wydzielonym okienku. Płaci się opłatę wylotową 10 USD. Potem kontrola bagażu i odprawa także w wydzielonym miejscu. Przelot z międzylądowaniem w Guayaquil. Przyłot na wyspę Baltra, gdzie w czasie II wojny światowej znajdowała się amerykańska baza lotnicza (na Galapagos jest różnica czasu – 1 godz w stosunku do kontynentalnego Ekwadoru). Baltra leży na północ od wyspy Santa Cruz. Przy przylocie odprawa i opłata za pobyt w parku narodowym 100 USD. Na Galapagos można także przylecieć z kontynentalnego Ekwadoru na wyspę San Cristobal. Pomiędzy wyspami San Cristobal, Santa Cruz i Isabela latają małe samoloty. Loty odbywają się w zależności od zapotrzebowania. Każdorazowo należy sprawdzać w biurze linii lotniczych Emetebe (www.emetebe.com); koszt przelotu w jedną stronę to ok. 150 USD.

Z lotniska kursują bezpłatne autobusy. Jeden jedzie do zatoki na wyspie Baltra, gdzie czekają stateczki wycieczkowe dla tych, którzy decydują się wykupić rejs po wyspach. Drugi autobus kursuje do przystani nad kanałem oddzielającym Baltrę od Santa Cruz. Prom kosztuje 2 USD. Po drugiej stronie czekają autobusy, które dowożą (1,9 USD) do głównego miasta wyspy, czyli Puerto Ayora. Czas od przylotu do przyjazdu do

Puerto Ayora, to ok. 2 godziny. Zakwaterowanie w hotelu Fiesta. Puerto Ayora to spora osada, pełna ruchu; główne centrum turystyczne na wyspach Galapagos.

Sprawdzamy połączenia wodne. Można popłynąć z Puerto Ayora zarówno na wyspę San Cristobal (Puerto Baquero Morena), jak i na wyspę Isabel (Puerto Villamil). Cena rejsu w jedną stronę na obu trasach to 30 USD. Statki, a właściwie motorówki (fibras) płyną dwa razy dziennie na wszystkich trasach – rano ok 6–7 i po południu ok. 14–15 (trzeba sprawdzić w biurze, w którym kupuje się bilet).

Znajdujemy świetną restaurację niedaleko szpitala – El Descanso del Guia – wygląda jak stołówka, ale jedzenie bardzo dobre i ciągle pełno w niej miejscowych.

Wizyta w Centrum Charles Darwin.

Dzień 10 (11 kwietnia, czwartek)

Rano wyruszamy pieszo do Tortuga Bay. Przed wejściem na szlak (bezpłatnie) trzeba się zarejestrować w budynku strażników Parku. Idzie się brukowaną ścieżką przez zarośla (kaktusy i chaszczce). Po 45 minutach dociera się do morza. Pierwsza plaża (playa Brava) nie nadaje się do kąpeli (wzburzona woda, silny prąd). Druga (Playa Mansa) o osłoniętych wodach jest spokojna – piękna lazurowa woda. Na plaży można schronić się w cieniu. Na lądzie królują iguany, w wodzie małe białe rekiny (iguany też), a w powietrzu pelikany. Powrót tą samą drogą – trzeba się wyrejestrować w budynku strażników Parku.

Z głównego pirsu w Puerto Ayora wodną taksówką (0,6 USD) przepływamy do Punta Estrada. Po 10 minutach marszu docieramy do Las Grietas. Jest to szczelina w czarnej wulkanicznej lawie łącząca morze z małym jeziorkiem. Ładna plaża. Wszędzie iguany. Powrót tą samą drogą.

Z centrum miasteczka bierzemy taksówkę, którą docieramy do Tuneles de Lawa. Jest to podziemny tunel utworzony w wylewisku lawy; trasa udostępniona dla turystów liczy 820 m (wstęp 3,5 USD; dają latarkę). Wracamy tą samą taksówką – kierowca czekał przy wyjściu (koszt 15 USD).

Taksówką (1 USD) docieramy do Centrum Charles Darwin. Zwiedzanie jest bezpłatne – trzeba się jedynie wpisać do książki gości. Największe wrażenie robią wielkie żółwie, a także ich hodowla.

Dzień 11 (12 kwietnia, piątek)

Na przystani odprawa – sprawdzają przede wszystkim, czy nie przewozi się produktów roślinnych i zwierzęcych. Duża motorówka odpływa o 08:00, z godzinnym opóźnieniem. Jednostka ma dwa silniki – lepiej wybierać wielosilnikowe, bo to pewniejsze w przypadku awarii. W czasie żeglugi okazuje się, że mamy awarię śruby w jednym z silników – urwało się jedno pióro. Załoga sprawnie wymienia śrubę na zapasową i ruszamy dalej. O 11:00 jesteśmy w Puerto Villamil na Isla Isabela. Motorówka zatrzymuje się przed nadbrzeżem, dokąd zawozi taksówka wodna (1 USD). Przypluwa się do Muelle del Embarcadero – ok. 1 km na wschód od centrum osady, gdzie odbywa się odprawa wjazdowa (opłata 5 USD). Taksówka do centrum kosztuje 1 USD. Puerto Villamil to mała, spokojna osada. Wzdłuż brzegu biegnie główna ulica – Avenida Antonio Gil. Jest kilka hoteli, hosteli, restauracji, agencji turystycznych i sklepów.

Kwaterujemy się przy samej plaży w Cormorant Beach House. Morze jest wspaniałe.

O 15:00 wyruszamy na wycieczkę – zwiedzanie wysepki Las Tintoreras. Podziwiamy pingwiny, lwy morskie, niebieskonogie głuptaki, iguany, żółwie. W wodzie pływają

białe rekinki. W czasie rejsu jest przerwa na nurkowanie (w cenie 30 USD za wycieczkę, dają płetwy, maski i fajki).

Kolacja w klimatycznej restauracji Bar de Beto tuż przy plaży – wyświetlają filmy o Galapagos i o historii wyspy Baltra.

Dzień 12 (13 kwietnia, sobota)

O 07:30 wyruszamy odkrytym autobusem do miejsca startu (20 km) szlaku na wulkan Sierra Negra i Chico. Trasa tam i z powrotem ma 16 kilometrów i zajmuje ok. 4,5 godzin marszu. Zatrzymujemy się, podziwiając widoki. Ostatni odcinek to marsz po polu lawowym. Sierra Negra Volcano to największa bazaltowa kaldera na świecie. Fantastyczna wycieczka (30 USD). Po 15:00 jesteśmy w hotelu.

Na Isla Isabela można jeszcze odwiedzić:

- poza de Los Flamingos o Laguna Salinas – laguna w samym centrum Puerto Villamil,
- Muro de las Lagrimas, czyli kamienny mur budowany przez więźniów kolonii karnej, która tutaj się znajdowała,
- La Concha de Perla to laguna wśród mangrowców; jest tam szlak,
- Tuneles de lava – tunele w wylewisku lawy,
- Los Humedales – mokradła, wśród których wyznaczony jest 6-kilometrowy szlak; można podziwiać ptactwo,
- Centro de Crianza de tortugas gigates – rezerwat wielkich żółwi.

W sumie Isla Isabela okazała się znacznie bardziej ciekawa, a przy tym sympatyczna bez tłumu turystów. Wspaniałe są tutaj plaże.

Dzień 13 (14 kwietnia, niedziela)

O 05:30 wyruszamy otwartym busikiem spod hotelu na przystań (1 USD). Tutaj także dokładna odprawa sanitarna. Taksówką wodną (1 USD) dopływamy do czekającej na redzie motorówki. O 06:25 ruszamy pełną mocą. Tym razem trochę mocniej wieje i huśta, ale jest OK. Niedaleko celu silnik odmawia posłuszeństwa. Okazuje się, że zabrakło paliwa. Przez pół godziny dryfujemy na falach Oceanu Spokojnego, aż wezwana drogą radiową motorówka przywozi kanister z paliwem. Po 30 minutach jesteśmy w Puerto Ayora, gdzie na powitanie czeka nas tradycyjna odprawa sanitarna.

Na Santa Cruz jeszcze do odwiedzenia:

- Los Gemelos – dwa zapadliska tektoniczne wypełnione bujną roślinnością, głównie zarośla endemicznej Scalesia,
- El Chato Tortois Reserve, gdzie można podziwiać wielkie żółwie, ale tylko w czasie suchej pory. Podobne miejsce to Butterfly Ranch,
- Laguna de las Ninfas – blisko centrum Puerta Ayora laguna otoczona zaroślami mangrowcowymi,
- Cerro Crocker to najwyższy punkt na wyspie (864 m n.p.m.) ; prowadzi tam szlak z miejscowości Bellavista (również na sąsiednie Media Luna i Puntudo), a wędrówka w obie strony trwa 5–6 godzin. Mapa szlaku namalowana jest na ścianie miejscowej szkoły.

Na położonej na północ od Baltry wysepce North Seymour znajduje się największe nagromadzenie zwierząt, głównie ptaków. Można się tam jednak dostać tylko w ramach specjalnej wycieczki. Niestety, takie wypadki na North Seymour są organizowane nieregularnie.

Świadomie opuściliśmy wizytę na San Cristobal (główna osada to Puerto Baquerizo Moreno – stolica archipelagu), gdzie królują lwy morskie. Można tam wspiąć się na Cerro Tijeretas, wzgórze górujące nad miasteczkiem. Dla surferów głównym miejscem jest Playa Punta Carola. Na San Cristobal do odwiedzenia:

- El Progreso skąd prowadzi szlak do jeziora El Junco, a dalej można dostać się na plażę w Puerto Chino,

- Isla Lobos, wysepka z dużą kolonią lwów morskich.

Te trzy wyspy są bardzo łatwo dostępne dla indywidualnych turystów przylatujących na Galapagos. Najdogodniejszym rozwiązaniem jest przylot na Santa Cruz (Baltra), ponieważ leży pomiędzy San Cristobal i Isabela, stąd łatwiej zorganizować rejsy na te dwie wyspy.

Bardzo popularną opcją zwiedzania Galapagos jest udział w zorganizowanych rejsach na statkach wycieczkowych różnej wielkości, oferujących różny standard. Ceny od 150 do 350 USD za dzień rejsu. Statki dopływają do wyznaczonych miejsc na różnych wyspach.

Dzień 14 (15 kwietnia, poniedziałek)

O 08:00 jedziemy taxi (2 USD) na dworzec autobusowy, który znajduje się w północnej części Puerto Ayora, daleko od centrum. Autobusem (1,8 USD) po 45 minutach osiągamy kanał. Przeprawa promem (1 USD) i po 10 minutach jazdy bezpłatnym autobusem jesteśmy na Baltrze na lotnisku (zbudowano nowy port lotniczy, który w dalszym ciągu jest w trakcie rozbudowy).

Przelot Baltra – Quito z międzylądowaniem w Guayaquil.

Taksówka (26 USD) do hotelu Cayman. Zmieniamy czas na + 1 godzinę.

Wieczór w La Mariscal.

Dzień 15 (16 kwietnia, wtorek)

O 08:00 wyruszamy taksówką. Postój w punkcie widokowym w Quito z widokiem na miejscowość Guapulo i dolinę, gdzie prowadzi szlak „przetarty” przez konkwistadora Francisco de Orellana (wznosi się tutaj jego pomnik). Kolejny stop to Guapulo. Wznosi się tutaj piękny kościół z klasztorem wybudowany w 1693 roku przez indiańskich niewolników. Obok Museo Fray Antonio Rodriguez ze sztuką sakralną. Wstęp 1,5 USD. Warto zwrócić uwagę na malowniczą uliczkę prowadzącą do Quito.

Wspinamy się coraz wyżej, wjeżdżając w chmury aż osiągamy przełęcz Papallacta (4064 m n.p.m.; wznosi się tutaj kapliczka). Cały czas w chmurach zjeżdżamy do miejscowości Papallacta, gdzie znajdują się słynne termy. Są to odkryte baseny z ciepłą wodą. Całość świetnie zorganizowana (wstęp 7 USD). Baseny znajdują się na wysokości 3200 m n.p.m. Moczymy się w gorącej wodzie, podziwiając okoliczne góry pokryte bujną roślinnością – wyszło słońce, a chmury się rozstąpiły. Wracamy tą samą drogą, ale już w pełnym słońcu podziwiając piękne górskie widoki i zatrzymując się na fotostopy. Bardzo ładny jest widok na Lago Papallacta.

W Quito czas na spacer po starym mieście.

Dzień 16 (17 kwietnia, środa)

Rano kawa w Juan Valdez na Plaza Foch i spacer po La Mariscal. Taksówką na lotnisko. Przelot Quito – Panama. Bardzo dokładna kontrola w Panamie przy przylocie.

W Panamie w obiegu są amerykańskie dolary. Ciekawostką jest wręczanie turystom bezpłatnej polisy na ubezpieczenie na kwotę do 20 000 USD na okres do 30 dni pobytu w tym kraju. Na dworcu lotniczym informacja turystyczna, gdzie dają informatorki o Panamie. Taksówką (białe mikrobusy, stała cena 28 USD) udajemy się do centrum (dzielnica El Cangrejo), gdzie znajduje się nasz Autograph Lodge. Trafiamy na godzinny szczytu i podróż z lotniska do hotelu trwa tyle samo co lot z Quito do Panamy.

Wieczorny spacer po okolicy i kolacja w poleconej restauracji Trapiche (świetna, cały czas pełno w niej miejscowych). Zwracają uwagę wielkie sklepy z suvenirami – czego tam nie ma!

Dzień 17 (18 kwietnia, czwartek)

Pogoda tropikalna – ponad 30 stopni, ale wilgotność do zaakceptowania. Rano taksówką (8–10 USD) jedziemy do śluzy Miraflores Visitors Centre. Wstęp (otwierają o 09:00) obejmujący pełny program zwiedzania kosztuje 8 USD (seniorzy 4 USD). Śluzowanie statków można podziwiać z platformy widokowej na 4 piętrze – fascynujący spektakl. Uzupełnieniem jest 15-minutowy film opowiadający w skrócie historię kanału i jego przyszłość. Na koniec zwiedzanie muzeum – świetna ekspozycja historyczna, o infrastrukturze kanału, a także o środowisku naturalnym. Oczywiście jest także sklep z suvenirami i bary.

Budowę kanału rozpoczęto w 1880 roku (konsorcjum francuskie), ale próba ta zakończyła się klęską. Przedsięwzięcie doprowadzili do końca Amerykanie w latach 1903–1914 (otwarcie 15 sierpnia 1914). Aby zapewnić sobie pełną kontrolę, spowodowali oderwanie od Kolumbii części jej terytorium i utworzenie osobnego państwa – Panamy. Do roku 1999 kanał znajdował się w wydzielonej strefie i pozostawał pod kontrolą USA. Kanał Panamski to droga wodna o długości 80 km. Większą część stanowi jezioro Gatun, leżące 26 m powyżej poziomu morza. Aby zniwelować tę różnicę, wybudowano 3 śluzy. Od strony Pacyfiku śluzy Miraflores i Pedro Miguel, a od strony Atlantyku śluzę Gatun. W roku 2014 (w stulecie otwarcia) będzie zakończona przebudowa kanału, przede wszystkim powstaną nowe, większe śluzy.

Taksówką (8 – 10 USD) jedziemy do El Casco Antiguo, czyli do starego miasta. Zostało ono założone na półwyspie w 1673 roku po całkowitym zniszczeniu w 1671 roku przez pirata Henry Morgana poprzednio istniejącej osady. Wokół Plaza Catedral wzniesiono prawie 300 budynków. Spacerujemy od Plaza Santa Anna, przez Plaza Herrera, Plaza Catedral do Plaza Bolívar. Większość domów jest w ruinie, ale trwa intensywna odbudowa (od 2003 roku starówka Panamy znalazła się na liście kultury dziedzictwa światowego UNESCO) i część budynków jest pięknie odnowiona. Za kilka lat będzie to perełka architektury. Włączymy się uliczkami, podziwiając stare kościoły i budynki. Na koronie murów obronnych targ rękodzieła – głównie wyroby Indian Kuna (bardzo kolorowe, ciekawe i ładne), którzy między innymi zamieszkują piękne wysepki archipelagu San Blas. Obok starego miasta targ rybny. Ze starówki piękny widok na panamskie city – nagromadzenie wysokościowców; niektóre o ciekawej architekturze.

Z ciekawszych obiektów można wymienić:

- Catedral Metropolitana Santa Maria La Antigua,
- kościół de Nuestra Señora de la Merced,
- kościół de San Felipe de Neri,
- kościół de San Francisco de Asis,

- kościół de San Jose,
- kościół de Santa Ana,
- ruiny Convento de la Compania de Jesus,
- ruiny Convento de Santo Domingo,
- Casa Gongora,
- Museo de Arte Religioso Colonial,
- Museo de la Historia de Panama,
- Museo del Canal Interoceanico,
- Palacio Bolivar,
- Palacio de Las Garzas (obecnie siedziba prezydenta),
- Teatro Anita Villalas,
- Teatro Nacional,
- Teatro Variedades.

Starówka jest patrolowana przez policjantów, co zapewnia bezpieczeństwo. Nie należy jednak zapuszczać się poza jej granicę, szczególnie na północ od Plaza Santa Anna. Jest tam slumsowa dzielnica, bardzo niebezpieczna.

Jedną z atrakcji miasta jest Caseway o Calzada de Amador (taksówką ze starego miasta 3 USD). Jest to grobla biegnąca wzdłuż wejścia do Kanału Panamskiego od strony Pacyfiku i łącząca miasto z wyspkami Naos (akwarium morskie – Centro de Exhibiciones Marinas), Perico i Flamenco (sklepy wolnocłowe – Flamenco Shopping Plaza). Zlokalizowano tam tereny rekreacyjne, sklepy, bary, restauracje, kluby, hotele i marinę. Groble usypano z ziemi wydobytej w czasie kopania tzw. Culebra Cut, najwęższego odcinka kanału o długości 12,7 km. Przekopanie tego fragmentu sprawiło ogromną trudność ze względu na bardzo uciążliwe warunki terenowe. Ocenia się, że objętość wydobytej ziemi i skał mogłaby posłużyć do wzniesienia 63 piramid egipskich.

48 kilometrów od lądu, w zatoce Panamskiej znajduje się archipelag de las Perlas. Największą atrakcją jest wyspa Contadora. Kursują na nią promy (2-godzinny rejs w jedną stronę).

Warto podkreślić, że Panama to nie tylko miasto o tej nazwie i Kanał, ale także całkiem spory kraj o pięknych przyrodniczo zakątkach. Warto zwrócić uwagę choćby na Park Narodowy Darien o niezwykle bogatej roślinności.

Dzień 18 (19 kwietnia, piątek)

Wyjazd taksówką na lotnisko. Sprawna odprawa i przelot Panama – Bogota. W Bogocie fatalna pogoda, więc spędzamy czas w tranzycie aż do odlotu do Frankfurtu.

Dzień 19 (20 kwietnia, sobota)

Przylot do Frankfurtu i dalej do Krakowa.

Zbigniew Hauser,
Bogumił Rzucidło

Korea Południowa



Termin: 22 IV – 8V 2013

Liczba uczestników: 2

Wiza: Przy wyjazdach turystycznych do 90 dni obywatele polscy nie muszą posiadać wizy. Przy wjeździe należy okazać ważny paszport i wypełnić kartę przekroczenia granicy (dostępną na pokładzie samolotu lub na lotnisku).

Korea Południowa jest krajem rzadko odwiedzanym przez Polaków (chyba ze względu na wysokie ceny?)

Dolot: Liniami Air Franc, przez Paryż do Seulu. Bilet promocyjny kosztował w marcu 2013 r. 2558 złotych.

Pieniądze:

1 USD = 1079 wonów (na lotnisku) do 1120 wonów (bank w Seulu).

1 EUR = 1420 wonów. Jest możliwość wymiany pozostałych wonów na dolary.

Ceny: Korea Południowa jest krajem droгим. Ceny żywności kształtują się na poziomie 2 lub 3-krotnie wyższym niż w Polsce. Przykładowe ceny: chleb (kilka kromek watowanego pieczywa w opakowaniu) 2500 W, 2 jajka 1400 W, kilka sztuk pomidorów 3000 W. Skromny obiad w restauracji (danie koreańskie) 6000–8000 W.

Drogie są też hotele, ale nie aż tak, jak sugerują (od 50 USD wzwyż!) autorzy dwóch relacji z Korei w „PŚ” XV i XVI, którzy nie zadali obie trudu zajrzenia do aktualnych „LP”, gdzie łatwo znaleźliby miejsca w dormitoriach hosteli w cenie 13 000–20 000 W i „dwójki” w licznych motelach za 35 000 do 40 000 W. W motelach tych znajdowaliśmy ręczniki, mydło, a nawet pastę do zębów i szampony, a w lodówkach soczki i wodę butelkowaną. Wszędzie była ciepła woda i ogrzewane podłogi (tzw. ondol – specjalność koreańska). Wody butelkowanej nie warto kupować, bo wszędzie jest czysta (na terenie świątyń są ujęcia ze świeżą wodą).

Bezpieczeństwo: Korea Południowa jest krajem zupełnie bezpiecznym. Wyjeżdżaliśmy w atmosferze psychozy, jaka wytworzyła się po informacji w naszych mediach o bliskiej możliwości wybuchu wojny na Półwyspie Koreańskim. Na miejscu okazało

się, że mieszkańcy Południa wcale nie obawiają się ataku z Północy, bo groźby reżimu Kimów trwają już ponad 60 lat. Wiedzą też, że Kim nie dysponuje odpowiednią siłą do wywołania wojny atomowej.

Tak poprzednio, jak i teraz chodziło mu o zniesienie sankcji i o pieniądze na ratowanie kulejącej ekonomiki kraju i na nakarmienie głodującej ludności. Na ulicach Seulu prawie nie widzi się policjantów, wszyscy się do siebie uśmiechają i obejmują. Mieszkańcy są życzliwi wobec nielicznych cudzoziemców i pomimo bariery językowej pomagają im, jak mogą. Jedynym problemem (poza cenami) jest porozumiewanie się, bo angielski zna niewielu (chyba jeden na kilkuset!). Przydaje się wyuczenie choćby kilkunastu podstawowych słów koreańskich (w Polsce w sklepach podróżniczych dostępne są rozmówki). Zastanawialiśmy się, jak obywatele tego wysoko rozwiniętego kraju radzą sobie w stosunkach z zagranicą bez znajomości jakiegokolwiek języka. Kłopoty językowe mieliśmy zwłaszcza na prowincji. Głównym celem wyjazdu było zapoznanie się z tradycyjną Koreą i jej zabytkami, z których wiele znajduje się na liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Kultura koreańska ukształtowała się na skrzyżowaniu kultur chińskiej i japońskiej, z których wiele zapożyczyła, zachowując jednak wyraźną odrębność.

PROGRAM

22 kwietnia

Wylot z Warszawy do Paryża o 7.00. Przylot 9.20. Wylot do Seulu o 13.00.

Na pokładzie obfity serwis (soczki bez ograniczeń). Po 12 godzinach lotu nad Syberią wylądowaliśmy o 7.20 na ogromnym (zbudowanym na wyspie) międzynarodowym lotnisku Incheon (60 km od centrum Seulu).

23 kwietnia

Przejazd pociągiem (4600 W) do Seul Station, a następnie metrem (niebieska linia 4) do stacji Hyeohwa. Opłata za przejazd metrem zależy od odległości. W Seulu jest 12 linii metra. Jednorazowy przejazd kosztuje 1200 W. Niestety, nie można było wykupić karty wielokrotnego przejazdu. Bilet należy również odbić przy wyjściu z metra, a po wyjściu odebrać 500 W reszty z automatu. Niezapomnianym widokiem w metrze były szeregi stojących lub siedzących pasażerów, z których każdy miał w ręku komórkę. Nikt z zapytanych nie wiedział, gdzie znajduje się zarezerwowany przez nas hotelik Wind Road Flower Guesthouse. Podwiózł nas do niego (bezpłatnie) przygodny kierowca. Dwójka (piętrowe łóżka) kosztowała 35 000 W. Sympatyczna właścicielka (mówi po angielsku) udzieliła nam wielu informacji.

W każdym hotelu obowiązuje zdjęcie obuwia, przed wejściem do pokoju. Zostawiamy plecaki i pomimo deszczu (przez pierwsze dwa dni padało, później była piękna pogoda) idziemy na zwiedzanie. Najpierw pobliski zespół pałacowy Changgyonggung (XV w., wstęp 3000 W). Wstęp do prawie wszystkich muzeów w Korei jest bezpłatny. Do dawnych rezydencji królewskich i świątyń buddyjskich wstęp od 1500 do 8000 W. W niektórych honorowano nasze legitymacje.

Następnie przechodzimy do sąsiedniego zespołu pałacowego Changdeokgung.

Duże wrażenie robi tu bogata sala tronowa Injongjon. Podobnie jak w Chinach i Japonii, świątynie i dawne rezydencje były wielokrotnie niszczone i odbudowywane (zawsze jednak w dawnym kształcie, z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów).

Później spacerujemy po przylegającej do obu zespołów zabytkowej dzielnicy Bukchon Hanok Village, z licznymi muzeami.

24 kwietnia

Zwiedzamy (obowiązkowo z przewodnikiem, 1500 W) Sanktuarium Przodków Królewskich Jongmyo, z którego corocznie w pierwszą niedzielę maja wyrusza barwna procesja. W położonym w pięknym i zadbanym (jak wszędzie) parku sanktuarium znajdują się tablice upamiętniające wszystkich królów i królowe dynastii Yi. Wędrujemy w kierunku Bramy Południowej (Namdaemun), która uchodzi za symbol Seulu (niedawno odbudowana po pożarze). Stamtąd już blisko do szklanej budowli ratusza. Po drugiej stronie ulicy znajduje się kolejny zespół pałacowy Deoksugung (wstęp 2500 W). Przed jego bramą o 10.00 i 14.00 odbywa się barwne widowisko zmiany warty. Na scenę wkracza kilka oddziałów dawnej gwardii królewskiej, w tradycyjnych strojach, przy akompaniamencie gongów i bębnow. Aleją Sejong-ro dochodzimy do pomnika króla Sejonga Wielkiego, w którego podziemiach mieści się poświęcone temu władcy muzeum. Za jego czasów (XV w.) wprowadzono w Korei obowiązujący do dziś alfabet Hangul, który zastąpił stosowane dawniej znaki chińskie. Następnie wchodzimy na teren największego i najstarszego zespołu pałacowego Gyeongbokgung, w skład którego wchodzi kilkadziesiąt budowli. W dwóch z nich znajdują się muzea – wnętrz pałacowych i Narodowe Muzeum Folkloru. Wszystkie rezydencje odwiedzają tłumy Koreańczyków, zwłaszcza wycieczki szkolne (cudzoziemców prawie nie widać).

25 kwietnia

Dwoma liniami metra dojeżdżamy do nowoczesnych gmachów Muzeum Narodowego Korei, położonych nad stawem w obszernym parku. Są tam zgromadzone skarby prezentujące trzy tysiące lat Korei, zwłaszcza z czasów rozkwitu królestw Baekje i Silla (V–IX w.). Wstęp bezpłatny. Na pobieżne zwiedzenie trzeba przeznaczyć kilka godzin. W drodze powrotnej oglądamy usytuowaną w ścisłym centrum handlowym neogotycką katedrę katolicką. W Korei jest ok. 40% chrześcijan (przewaga protestantów) i ok. 40 % buddystów. Reszta to wyznawcy konfucjanizmu, szamanizmu i innych religii. Chrześcijanie pojawili się tu pod koniec XVIII wieku. Po okresie prześladowań w połowie XIX wieku (liczni męczennicy), w 1883 r. uzyskali równouprawnienie z innymi religiami. Podjeżdżamy też do budowanego od kilku lat supernowoczesnego centrum kulturalno - informacyjnego Dongdaemun Design Plaza, które ma być otwarte w lipcu 2013 i ma być wizytówką Korei XXI wieku. Na koniec wjeżdżamy kolejką (5000 W) na platformę widokową Seoul Tower, skąd oglądamy zamgloną panoramę 15-milionowego Seulu (las wieżowców po horyzont!).

26 kwietnia

Dalekobieżnym metrem docieramy do położonego o 50 km na południe Suwonu. Tamtejsza rozległa forteca znajduje się na liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Liczne wieże, bramy i pawilony otaczają miasto, w którego centrum stoi pałac królewski. Z dworca kolejowego w Suwon bezpłatnym autobusem (shuttle-bus) podjeżdżamy 15 km do Koreańskiej Wioski Folkloru (autobus kursuje co 2–3 godziny). Wstęp do skansenu 15 000 W (wynegocjowaliśmy wstęp ulgowy 10 000 W). Oglądamy tradycyjne budowle z różnych rejonów Korei. Główną atrakcją są tańce ludowe

(o 10.00 i 14.00), po których następuje pokaz chodzenia po linie, akrobacje na koniach i na koniec (o 15.00) obrzędy tradycyjnego wesela koreańskiego.

Ostatnim autobusem (o 16.30) wracamy do Suwonu, skąd pociągiem do Seulu.

27 kwietnia

Opuszczamy Seul.

Z dworca autobusowego Dongseul odjeżdżamy do Parku Narodowego Songnisan (16 900 W, 4 godz. jazdy). Autobusy w Korei są częste, wygodne i bardzo punktualne, choć czasem stoją w korkach. Bilety kupuje się w kasie. We wszystkich kasach pokazywaliśmy karteczki z wypisaną nazwą (w „krzakach”) miejscowości, do których jechaliśmy. (Lonely Planete podaje te nazwy także w „krzakach”). W pobliżu stacji autobusowej w miasteczku (a raczej wsi) Songnisan znajdujemy motel za 35 000 W/2os. Właścicielka, z którą rozmawiamy na migi, wręcza nam wizytówkę wypisaną tylko „krzakami”. Idziemy 2 km do głównej atrakcji położonego w górach parku świątyni Popchu, z wielkim złożonym posągami stojącego Buddy Maitrei (34 m wysokości). Obok niego stoją dwie świątynie (w jednej z nich 6-metrowy siedzący Budda), kamienna pagoda i 4 kamienne latarnie. Zarówno sanktuarium, jak i sama wieś jest bardzo zadbana. Wszędzie w Korei zwraca uwagę czystość i porządek. Wracając do motelu, jemy obiadokolację w stylu koreańskim, siedząc na podłodze przy niskich stolikach. Za 7000 W dostajemy gorącą potrawę z jarzyn (na głównym talerzu) oraz słynne koreańskie „kimchi” (ostre, przyprawione octem na 7 małych talerzykach). Dało się to (choć z trudem) zjeść. Boguś jednak odstawił danie ze wstrętem. Ale przecież trzeba było spróbować narodowego przysmaku. W motelu czekała na nas – jak wszędzie – czysta pościel, ręczniki i podgrzewana podłoga.

28 kwietnia

Odjeżdżamy autobusem do 2-milionowego Daejonu (8600 W), skąd kolejnym autobusem (4400 W) do Gongju, które w V–VII w. było jednym z ośrodków królestwa Baekje. Pozostała po nim położona na wzgórzach forteca Gongsanseong (wstęp 1500 W), na terenie której trafiamy na końcówkę pokazu folklorystycznego. Zostawiamy plecaki w motelu (35 000 W/2os.) i wędrujemy do grobowca króla Muryeong. W okolicy znajduje się kilkanaście tumulusów (kurhanów) ziemnych porośniętych trawą. Jeden z nich (odkryty dopiero w 1971 r. i uznany wówczas za sensację archeologiczną) udostępniono turystom. We wzniesionym z cegły i gliny grobowcu oglądamy resztki malowideł. Odległe skojarzenia z grobowcami królów egipskich i majowskich... Wędrując wśród tumulusów, dochodzimy do Muzeum Narodowego w Gongju, prezentującego przedmioty znalezione w grobowcach (m.in. złote korony i ozdoby).

29 kwietnia

Z dworca lokalnego w Gongju wyruszamy do Parku Narodowego Gyeryong-san. Prowadzą do niego dwa wejścia – zachodnie (od strony Gongju) z terenami przy świątyni Gap-sa i wschodnie (od strony Daejonu), z terenami wokół świątyni Donghak-sa. Wybieramy wejście zachodnie. Po zwiedzeniu świątyni buddyjskiej Gap-sa dochodzimy (po śliskich kamieniach) do okazałego wodospadu Eunseon, położonego wśród bujnej roślinności. Wracamy do Gongju. Z dworca lokalnego odjeżdżamy do świątyni Magok-sa (40 km, 2000 W). Wracamy późnym wieczorem.

30 kwietnia

Z dalekobieżnego dworca autobusowego w Gongju odjeżdżamy do Buyeo (2500 W). W pobliżu dworca znajdujemy motel za 30 000 W/2os. Buyeo to dawna stolica królestwa Baekje (V–VII w.), któremu kres położyła inwazja królów Silla, wspomaganych przez Chińczyków. W rozległym parku Busosanseong, wypełnionym licznymi pamiątkowymi pawilonami, dochodzimy do skały Nakhwaam, górującej nad rzeką Paekma. Wg legendy ze skały tej rzuciło się do rzeki 3000 dam dworskich Baekje, by nie wpaść w ręce wrogów. Do Pawilonu Białego Kwiatu na szczycie skały prowadzą 102 stopnie. Nagrodą za wspinaczkę jest rozległy widok na rzekę oraz leżące po jej drugiej stronie Centrum Kultury Baekje. Następnie oglądamy park rzeźb Gudeurae i, przechodząc koło pomników dawnych władców, dochodzimy do Muzeum Narodowego w Buyeo, gdzie zgromadzono kosztowności pochodzące z wykopalisk.

1 maja

Jedziemy autobusem do Nonsan (2500 W) i podjeżdżamy kilka km taksówką za 4000 W (jedyna taksówka na naszej trasie!) do świątyni Kwanchok z 25-metrowym kamiennym Buddą Maitreja. Same uszy tego posągu, o nazwie Unjin Miruk, mają 3 m długości. Tak w tej świątyni, jak i w wielu innych miejscach, poczęstowano nas kawą. Wracając do Buyeo, zwiedzamy grobowce królów Baekje (wstęp 2000 W). Ze znajdujących się tam licznych tumulusów udostępniony jest jeden. Wewnątrz ściany pokrywają malowidła przedstawiające stylizowane smoki i węże. Na koniec jemy kolejny obiad koreański – risotto z ryżem za 5900 W oraz kluski z warzywami i dodatkiem nieodzwonego „kimchi” (na 6 talerzykach) za 3500 W.

2 maja

Opuszczamy Buyeo i jedziemy najpierw do Daejon (7100 W). Miejskim autobusem nr 201 (1200 W) przejeżdżamy na dworzec wschodni, skąd odjeżdżamy do 3-milionowego Daegu (9300 W). Po drodze, w barze samoobsługowym jemy kurczaka z ryżem za 2700 W. W Daegu musimy wsiąść do metra (czerwona linia), by przejechać na dworzec Seangdang, skąd odjeżdża autobus do Haein-sa (6800 W). W miasteczku znajdujemy przytulny motel (35 000 W/2os.) i podchodzimy 2 km do położonej w górach świątyni Haein-sa, wpisanej na listę Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Wspinamy się po długich schodach do głównej świątyni. Jeszcze wyżej znajduje się obszerny pawilon mieszczący „Tripitaka Koreana”, czyli zbiór 81 258 płytek drewnianych z wypisanymi na nich świętymi tekstami buddyjskimi. Ten unikatowy zabytek ocalał pomimo licznych najazdów i pożarów. Pawilon mieszczący tę świętość narodową Korei opasany jest sznurem i strzeżony przez wartowników. Nie można podejść bliżej, ale tablice widoczne są przez kraty. Podobno turyści mogą nocować w klasztorze i uczestniczyć w modłach mnichów o 3.30 i o 18.30. My jednak wybraliśmy nocleg w wygodnym motelu.

3 maja

Wracamy autobusem do Daegu i z tego samego dworca Seangdang odjeżdżamy do „koreańskiego Krakowa” – Gyeongju (6400 W). W pobliżu dworca znajduje się Hanjin Hostel (35 000 W/2os.), którego właściciel (o dziwo!) mówi po angielsku. Dostajemy od niego szkieletowe mapki okolicy i idziemy na zwiedzanie. Gyeongju było stolicą potężnego królestwa Silla. Jego władcy, po pokonaniu królestw Baekje i Ko-

guryo, ok. 668 r. zjednoczyli pod swym berłem całą Koreę. Królestwo Silla przetrwało do 935 r. Liczne zabytki Gyeongju rozproszone są na dużym obszarze. Na zwiedzenie wszystkich trzeba wielu dni. Musieliśmy więc wybierać. W centrum miasta oglądamy tumulusy królów Silla. Podobnie jak w poprzednich miastach jeden z nich udostępniony jest zwiedzającym. W pobliskim parku oglądamy unikatowe obserwatorium astronomiczne Cheomseongdae z VII w., uważane za najstarsze obserwatorium na świecie. Następnie podchodzimy do miejscowego Muzeum Narodowego, rozmieszczonego w kilku budynkach. Główny z nich jest obecnie zamknięty, ale najważniejsze obiekty (złote korony i fragmenty wyposażenia grobowców) przeniesiono do innego budynku i udostępniono zwiedzającym. Sympatyczny to gest wobec gości. W innych krajach muzea bywają po prostu zamknięte do odwołania! Zaczyna padać deszcz i robi się chłodno. Kończymy więc zwiedzanie przy stawie Anap, nad którym kiedyś znajdowała się rezydencja królewska, a obecnie jest to bardzo zadbane park z licznymi pawilonami.

4 maja

Autobusem 112 (przy dworcu) jedziemy (1600 W) do najważniejszych obiektów dawnej stolicy – świątyni Bulguk-sa i groty Sokkuram. Oba są na liście Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO. Wzniesiona w 751 r. świątynia Bulguk-sa (wstęp 3000 W, nie działają legitymacje) jest największą i najstarszą świątynią buddyjską w Korei. Zwracają uwagę trzy kamienne wielostopniowe pagody. Jedna z nich mieści święte relikwie buddyzmu. Kolejnym autobusem (1500 W) dojeżdżamy do słynnej groty Sokkuram, z wielkim posągami siedzącego Buddy w otoczeniu wyznawców. Wstęp 3000 W. I tu rozczarowanie. W celach ochronnych nad tym wspaniałym zabytkiem wzniesiono najpierw ozdobny pawilon, a później oddzielono Buddę od zwiedzających szklaną ścianą. Tak więc rzeźb prawie nie widać, a o robieniu zdjęć nie ma mowy. Wracamy do Gyeongju. Podchodzimy 2 km do najstarszej w Korei ceglanej pagody Bunhwang (wstęp 1500 W). Zwracają uwagę płaskorzeźby strażników świątynnych na cokole pagody. Następnie w amfiteatrze nad jeziorem Pomun (nad którym zbudowano drogie ekskluzywne hotele) oglądamy tańce ludowe, przy akompaniamencie wielu instrumentów i śpiewu.

5 maja

Jedziemy do skansenu Yangdang (1600 W, godzina jazdy). Wstęp 4000 W (nie działają legitymacje). Na rozległym terenie eksponowane są tradycyjne chaty z różnych stron Korei. Niektóre z nich są wciąż zamieszkałe (możliwość oglądania wewnątrz). Po południu spacerujemy do odległego o 2 km grobowca króla Muyola (wielki tumulus i nakryta pawilonem ogromna rzeźba żółwia). Na koniec podchodzimy (3 km) do grobowca generała Kim Yu Shina, który w VII wieku przyczynił się do zjednoczenia Korei pod berłem dynastii Silla. Na murze wokół grobowca płaskorzeźby różnych zwierząt. Jest to najstarszy zachowany zabytek z czasów Silla.

6 maja

O 10.00 wsiadamy do dalekobieżnego autobusu do Seulu (20 400 W, 4 godz. jazdy, bilety kupione w przedsprzedaży na 3 dni naprzód). Z terminalu busów ekspresowych w Seulu docieramy metrem do naszego hoteliku Wind Road Flower Guesthouse. Tym razem płacimy nieco drożej (19 000 W/1os.), bo dochodzą koszty rezerwacji. Zwiedza-

my położony w samym centrum miasta Namsangol Hanok Village. Park otaczający ten skansen jest oazą ciszy i spokoju. Można tu czasem zobaczyć barwne tańce ludowe i obrzędy.

7 maja

Zwiedzamy War Memorial of Korea – muzeum wojny koreańskiej 1949–1953 rozmieszczone w kilku monumentalnych gmachach (wstęp wolny). Na ścianach pod arkadami wypisane są nazwiska poległych żołnierzy z różnych krajów tworzących koalicję antykomunistyczną. Na zakończenie zwiedzamy otwarte niedawno Muzeum Sztuki Leeum (drogi wstęp 10 000 W, ale uwzględniono nasze legitymacje). Muzeum, mieszczące się w budynkach wzniesionych przez kilku architektów europejskich, prezentuje dawną i współczesną sztukę Korei.

8 maja

O piątej rano, autobusem 6011, przejeżdżającym w pobliżu naszego hoteliku (10 000 W, kursuje co pół godziny, 1 godz. 15 min jazdy) dostajemy się na międzynarodowe lotnisko Incheon. O 9.25 odlatujemy do Paryża. Przylot o 14.00. O 19.30 odlot do Warszawy. Przylot o 22.00. Brak czasu nie pozwolił nam na odwiedzenie dwóch interesujących regionów Korei Południowej – górskiego Parku Narodowego Soraksan (przy granicy z Koreą Północną) i egzotycznej wulkanicznej wyspy Jeju-do, do której leci się niedrogim samolotem lub płynie promem z portu Pusan.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Tablety wyposażone w trójwymiarowe modele wiosek ułatwiają młodym Namibijczykom z pustyni Kalahari, zdobywającym wiedzę lub pieniądze w miastach, powrót do domu i półkoczowniczego trybu życia. Często bowiem po kilkuletnim pobycie w metropolii nie znają tradycji swoich plemion. Aby po przeprowadzce wiedzieli, jakie stosować zioła, jak dbać o zwierzęta czy też posługiwać się gwiazdami podczas określania kierunków świata, wiedza, którą do tej pory przekazywali sobie ustnie członkowie plemienia, trafi do komputera. Kliknięcie w odpowiedni awatar 3D uruchomi filmik instruujący, jak postępować w danym przypadku. Duńscy naukowcy pracujący nad sprzętem tworzą także aplikację, której obsługa przypomina rysowanie w piasku.

Kraje kwitnących wiśni



Czas podróży: 16.03 – 21.04.2012

Optymalny termin podróży: zależało mi na podziwianiu kwitnących wiśni, jak wynika z relacji, powinienem podróż rozpocząć tydzień później. Dwa razy w roku: zimą i wiosną, najczęściej przełom marca i kwietnia w okresie ferii dostępne są Kipu Pass, tańsze i wygodniejsze niż Japan Rail Pass. Okres sprzedaży i ważności biletu można sprawdzić w Internecie na stronach kolei japońskich.

Mapy, informatory dostępne bezpłatnie w ośrodkach kultury Japonii i Korei w centrum Warszawy, adresy, godziny pracy w Internecie.

Wizy niepotrzebne, ale pamiętać o pieczęcie Temporary Visitor na granicy Japonii.

Noclegi: dobrze rozwinięta sieć schronisk młodzieżowych HI, o innych możliwościach taniego noclegu piszę w tekście, możliwość rezerwacji przez Internet w Polsce, na miejscu w schronisku.

Język: angielskim mówi dużo osób, w hotelach, w informacjach turystycznych, na dworcach porozumiemy się bez problemu. Ludzie bardzo pomocni i sympatyczni.

Pieniądze: lepiej mieć euro, kurs trzeba sprawdzić w Internecie, wymiana bez problemów w bankach.

17 marca

Szczęśliwie wylądowałem na lotnisku Narita pod Tokio. Odprawa paszportowa przebiegła sprawnie, trzeba poprosić pograniczników, żeby wbili do paszportu pieczęć Temporary Visitor, sprawdzają ją urzędnicy w biurach kolejowych przy wystawianiu Japan Rail Pass. Obyło się bez grzebania w bagażu, przemyściłem topione serki, pasztety kieleckie i mielonki. Informacja turystyczna działa bardzo sprawnie, pani wskazuje mi właściwe biuro kolejowe, w którym kupuję Kipu Rail Pass, płacę gotówką 11,500 ¥. Bilet ważny na pięć dni, można robić przerwy w podróży, nie obejmuje przejazdów shinkansenami, ale pociągami ekspresowymi tak. Teraz zadanie: trafić na dworzec kolejowy i właściwy peron, są logo i strzałki, wchodząc na peron, trzeba przejść otwartym przejściem, aby okazać bilet, który zostanie podstemplowany datownikiem.

Pociągiem, podobnym do metra dojeżdżam do Tokio Station, następnie do Akabane i Utsunomiya, skąd lokalną linią do Nikko. Już w Narita trzeba poprosić o mapkę przebiegu linii kolejowych tylko po angielsku, mapki dwujęzyczne angielsko-japońskie są nieczytelne, zresztą w pociągach są wyświetlane i ogłaszane nazwy stacji po angielsku. Jest już ciemno, kiedy dojeżdżam do Nikko, mój hotel (Nikko Park Lodge Tobu Station) jest blisko dworca, ale nie wiedziałem, że są dwa, trochę błędę, trafiam w końcu pod właściwy adres, recepcja zamknięta, w drzwiach jest karteczka z telefonem, pod który należy zadzwonić, aby przyszedł recepcjonista, ale ja nie mam telefonu, bo nasze komórki nie działają, nie można też naładować baterii. Szczęśliwie podjeżdża samochód policji, proszę o pomoc, połączono mnie z recepcjonistą, który przychodzi w ciągu pięciu minut. Zamiast łóżka w dormitorium proponuje mi pokój w tej samej cenie, mogę zapłacić kartą kredytową. Poznają japońskie luksusy, podgrzewana deska sedesowa i automatycznie spuszczana woda, trzeba tylko to zaprogramować, posługując się przyciskami, niestety, objaśnienia tylko po japońsku, nie zawsze więc woda leci w tym czasie i w miejsca pożądane w danym momencie. Oczywiście przed wejściem do toalety należy zmienić kapcie domowe na łazienkowe. W pokoju klimatyzacja nastawiona na ciepło, podgrzewane łóżko, to wszystko za 20 euro doba. Blisko hotelu jest supermarket, można kupić zestawy sushi po 400 Y, przecenione po 17.00. Kupuję pieczywo tostowe na śniadanie, które nie jest wliczone w cenę noclegu. Podchodzę do sushi ostrożnie, jak pies do jeża, ale nawet mi smakuje, wypijam herbatkę, przewiezioną z Polski, w ciepełku i puchach zasypiam.

18 marca

Aura łaskawsza, Japonia przywitała mnie „zgniłą pogodą”, dziś lekkie zamglenie, ale prześwituje słońce, jest zresztą wcześnie, dopiero po ósmej. Idę przez miasteczko główną ulicą w kierunku wzgórza świątynnego ok. 2 km. W starych drewnianych domach są antykwariaty, dochodzę do zabytkowego mostu z XVII w., po drugiej stronie rzeki niewysoka torii i niewielka świątynia, jakby kaplica. Stromymi schodami, wśród wiekowych cedrów idę do Rinnoji Temple. Z daleka widzę ogromny, wysoki kłoc, jakaś budowla przemysłowa, domyślam się, dziwne, w Parku Narodowym? Ach to monstrualny namiot postawiony nad najstarszą świątynią w Nikko! Opłaca się kupić bilet za 1000 Y, ważny prawie we wszystkich świątyniach. Obok jest ogród japoński, podobno najstarszy w kraju, wstęp 300 Y, obejmuje również muzeum, w którym zgromadzono liturgiczne sprzęty, portrety szogunów (objaśnienia po angielsku).

Świątynia Rinnoji nieciekawa, ale można oglądać belki i fundamenty z VII wieku (zakaz fotografowania). Idę wyżej, coraz więcej śniegu, fotografuję pięciopiętrową pagodę i oczywiście pomarańczowo pomalowane torii, których nie ma poza Japonią. Zwiedzam Yakushido i Futarasan Shrine, spotykam parę młodą, ona ubrana w dawny strój ślubny, charakterystyczny jakby turban i oczywiście białe kimono. Młody szogun też w tradycyjnym stroju z wyszytymi herbami swojego rodu. Świątynia Taiuin położona jest trochę na uboczu, podoba się mi najbardziej, w bramie groźni strażnicy z bronią, za bramą dwie oryginalne wieże. Budowle są ozdobione malowidłami i rzezbami ptaków (mandżurskich żurawi) oraz smoków. Ołtarze raczej skromne, kilka figur. Schodzę do świątyni Toshogu, zaraz za bramą dawna tajnia, na jej fasadzie są rzeźby małpek, odnajduję te trzy bogobojne, które nie mówią, nie słyszą i nie patrzą na zło, małpki sławne dla czytelników „Przez Świat”. Japończycy fotografują głównie siebie,

czyniąc przy tym gest zwycięstwa. Niestety, do świątyni i grobu szoguna Tokugawa trzeba wykupić dodatkowy bilet i wspinać się po stromych schodach. Przed grobowcem rzeźby żurawi, pobożni pielgrzymi modlą się przed drzewem, w pień którego wrosło inne, w świątyni można pomodlić się za nasze zwierzęta, zwłaszcza koty. Kupiłem origami finezyjnie złożoną z modlitwą za pomyślność mojego kota. Wierni zamawiają teksty modlitw, kaligrafowane przez starszego, siwego mnicha. Ciekawość moją budzą rzędy beczek sake, komu ofiarowanych...? Spotykam dużo ludzi w tradycyjnych strojach. Zaczyna kropić deszcz, ale zwiedziłem już wszystkie świątynie na tym wzgórzu. Schodzę znaną mi drogą, rozpadało się na dobre. Do hotelu wróciłem przemoknięty i zmarznięty, ale w pokoju jest bardzo ciepło, z popołudniowego zwiedzania nic nie będzie, leje deszcz.

19 marca

Nie przestawiłem się jeszcze na miejscowy czas, więc z dziażdżem szkolną jadę na pierwszą lekcję. W pociągu widzę, że Japonki uwielbiają mieć po kilka toreb, nawet pensjonarki, oprócz plecaka, noszą po dwie torby. Wsiadam w Ueno, aby zobaczyć tę elegancką dzielnicę Tokio. Wszędzie wieżowce, banki, sklepy, widzę bezdomnych, śpią na rozłożonych kartonach wprost na ulicy, nie pasują do tego bogactwa. Podjeżdżam pociągiem do dworca centralnego w Tokio, niestety, zabytkowy budynek jest w rusztowaniach, pod ogromnym namiotem. Strzałki wskazują drogę do Pałacu Cesarskiego, jest poniedziałek, więc część dostępna do zwiedzania jest dziś zamknięta.

Z bramy pałacu wyjeżdża orszak: jeźdźcy na koniach i karetą...no przecież się wyśpałem, za karetą limuzyna, taka jaką na całym świecie jeżdżą dyplomaci. Kiedy przejechali, podchodzę bliżej muru i fosy, dostrzegam ozdobne wieże pałacowe, odwracam się i widzę las wieżowców, na pierwszym planie park z dziwacznie przyciętymi drzewami, jest ciepło, świeci słońce, wracam na dworzec, planuję przejazd do Kamakury. Pociągi odjeżdżają bardzo punktualnie, łatwo podróżować wg. rozkładu, który na poczekaniu drukują w informacji. Z dworca w Kamakurze do zabytkowych świątyń jest ok. 2 km. Niecierpliwie oczekuję spotkania z Buddą, (największy odlew z brązu w Japonii, prawie 14 m wysokości). Idę do świątyni Hasedera, och! widzę kwitnące drzewa, na klombach żonkile i bratki. Przez piękny ogród dochodzę do pomnika Jizo, otaczają go rzędy posążków dzieci nienarodzonych, ze zdziwieniem widzę zabawki i ubranka na niektórych figurkach.

Do zwiedzania została jaskinia z posągami świętych, ale ja nie mieszcze się w wąskich korytarzach, schudnę, obiecuję! Do głównego dworca kolejowego można wrócić zabytkowym pociągiem, prawie przy samej stacji Hase jest schronisko HI, ale jeszcze nie ma 16, spróbuję dojechać do Odawary. Na pociągi prawie się nie czeka, przychodzę na dworzec i po kilku minutach jest pociąg w pożądanym kierunku. Po przyjeździe pierwsze kroki kieruję do informacji, proponują mi wykupienie Hakone Pass na trzy dni za 4400Y, za kilka minut jest autobus T (Hakone Tozan Bus), zawiezie mnie pod sam Hakone Guest House, który jest faktycznie schroniskiem HI, uwzględniane są zniżki na naszą legitymację PTSM. Dostaję pokój w osobnym budynku, ale mogę zatrzymać się tylko dwie noce. Spanie w stylu japońskim na materacu, położonym na matach, działa elektryczny piecyk, za dodatkową opłatą dostaje się ręcznik i yukato, ale je się nie mieszcze w nie. Wychodzę do pobliskiego sklepu po zestaw kolacyjny, tym razem zupki, do dyspozycji gości jest gorąca woda w termosach, kawa i zielona herbata. Na

tablicy obok ofuro trzeba zapisać godzinę i ma się go do własnej dyspozycji. Obok hotelu jest jeszcze jeden basen z wodą termalną, ale ja mam dziś dzień dziecka, zjem zupkę, wypiję herbatę i spać.

20 marca

Trudno się mi zorientować w miejscowych atrakcjach. Autobusem T jadę kilka przystanków w góry, przy ostatnim jest przystań pirackiego statku po jeziorze Ashi i dolna stacja kolejki linowej. Hakone Ropeway rusza o 9.00, rejsy zaczynają się o 9.30. Wjeżdżam na szczyt Ubako z nadzieją zobaczenia Fudzi, tak, faktycznie widać! No to kolejne moje marzenie spełnione!!! Wsiadam w samym środku piekła, mocny smrodek siarki, dokoła dymy, zbocza gór pozbawione roślinności. Po spacerze, wsiadam w wagonik linowej kolejki i jadę nad Owakudani, naprawdę księżycowy czy raczej piekielny krajobraz. Zębatą kolejką górską można zjechać do Hakone Gora Park, ja wracam na Ubako, Fudzi jest dość daleko, jednak widać wyraźnie ośnieżony szczyt jakby zawieszony nad chmurami. Postanawiam iść w stronę dymów na zboczu góry, przechodzę obok syczących fumaroli i bardzo gorących źródeł, woda w nich bulgocze i tworzą się ogromne pęcherze powietrza, które pękają z głośnym sykiem. Tłum turystów gęstnieje, Japończycy kupują po 500 Y jaja gotowane na twardo w wulkanicznych źródłach, skorupki są czarne, a smak? Musicie sami spróbować.

Wsiadam do wagoniku kolejki linowej i zjeżdżam nad jezioro Ashi, odpływam pirackim statkiem, aby podziwiać Fudzi z innej perspektywy, ale pochmurzyło się, mgła przesłoniła Świętą Górę Japończyków, widzę tylko piękne torii w wodzie. Muszę wracać, bo na 16.30 zamówiłem ofuro. Autobus T kursuje dość często i za pół godziny jestem już w schroniskowym basenie, napełnianym wodą mineralną, trzeba przyzwyczaić się do wysokiej temperatury, najpierw prysznic, oczywiście w zasięgu ręki jest kran z zimną wodą, otwarte szeroko okno. Kąpieli zażywamy w stroju Adama, co dla mnie nie stanowi problemu.

21 marca

Wykorzystuję to, że jeszcze nie przestawiłem się na czas miejscowy, chętnie wstaję wcześniej, po porannej kąpeli i śniadaniu o 9.30 jestem na przystani statków spacerowych, tym razem Fudzi widać jak na dłoni, a raczej jakby wynurzała się z toni jeziora. Niektórzy wysiadają w MotoHakone-Ko, żeby zwiedzać Hakone-jinja shrine, do której prowadzi pomarańczowe torii. Aby rozpocząć wędrówkę na Fudzi, należy pojechać autobusem G do Gotemba i dalej do Kawaguchiko, sezon wspinaczkowy zaczyna się w lipcu, a kończy w sierpniu, dla mnie Fudzi pozostanie nieskalaną Świętą Górą, której niezwykle piękna sylwetka towarzyszyć mi będzie przez cały dzień, widziana z okien pociągu. Wracam po plecak i autobusem T do Odawary, skąd chcę dojechać do Himeji. Z dworca do zamku jest ok. 2 km główną ulicą, jestem przed 16 i już zamykają bramę, wszedłem na chwilę na dziedziniec. Niestety, zamek jest pod ogromnym namiotem, na płótnie wydrukowano jego sylwetkę. Wracam do Nagoi, ekspresem to niewiele ponad godzinę. W informacji twierdzą, że schronisko młodzieżowe jest zamknięte, proponują hotel, zaczynam poszukiwania, w jednym z hoteli, w recepcji zostawiam plecak podręczny ze wszystkimi skarbami, ale w Japonii nic nie ginie. Znajduję hotel za 5290 Y, ze śniadaniem, a kawa, herbata, soki do dyspozycji gości. W pokoju czeka podgrzewane łóżko i yukata, jakoś się zmieściłem.

22 marca

Po obfitym śniadaniu (kontynentalnym) idę do zamku. Większość tych obiektów jest rekonstruowana po 1945 r., w ich wnętrzach są militaria, których nie lubię oglądać. W zamku w Nagoi zachowały się oryginalne, siedemnastowieczne malowidła na papierowych ekranach, są też ich dokładne reprodukcje, które można fotografować, warto obejrzeć film o historii warowni i powstaniu malowideł. Zamek wyłania się z sadu kwitnących wiśni i to jest najważniejsze teraz, bo następne moje marzenie się realizuje. CUDO !!! Obok zamku jest teatr dworski z XVIII wieku, można go zwiedzać bezpłatnie, trafiam na ciekawą wystawę masek teatralnych i tradycyjnych kimon, w parku pomnik szoguna, fundatora zamku i teatru. Wracam do hotelu po plecak, wypijam kawę i na dworzec. Chcę racjonalnie wykorzystać mój bilet, jadę do Nary, do której docieram wieczorem. W informacji pani potwierdza istnienie taniego hostelu, znalazłem jego adres w Internecie w Warszawie. Trochę błędzę, pomaga mi najpierw kobieta, która później angażuje dwie dziewczyny, trafiamy do pobliskiego hotelu, recepcjonista prowadzi nas wprost pod drzwi hostelu, pryska moja nieufność wobec Japończyków, są otwarci i chętni do pomocy, znów moja, była koleżanka Ania niepotrzebnie mnie uprzedziła do obywateli Kraju Kwitnącej Wiśni.

23 marca

Guesthouse mieści się na ostatnim piętrze budynku monopolu tytoniowego, tylko że wszystko napisane po japońsku. W dormitorium za łóżko płacę 1000 Y, są do dyspozycji kawa, herbata, mleko i tosty. Prowadzący Kosuke jest bardzo miły, był w Polsce i dobrze wspomina nasz kraj. W sypialni słysząc pociągi, które zatrzymują się na stacji Shin Omija. Pogoda nie najlepsza, czasem pada, czasem mży, idę do najważniejszych świątyń w mieście, najpierw główną ulicą Sanjodori, a potem przez kryty bazar, wychodzę na wąskie uliczki, dość dużo starych, drewnianych domów, w których są eleganckie sklepy z pamiątkami, niektóre pełnią rolę hotelików, pensjonatów. Trafiam do świątyni Gangōji, pochodzi z VI w., jest na liście zabytków UNESCO, pierwsza świątynia buddyjska w Japonii, dormitoria mnichów pochodzą z VIII w.; można zwiedzać muzeum z ciekawą kolekcją rzeźb buddyjskich, podpisy są po angielsku. Obok jeziora Sarusawa-ike Pond podchodzę do Kofukuji Temple; jej elementem charakterystycznym jest pięciopiętrowa pagoda, zespół świątynny pochodzi z VII, ale odnawiany w XV wieku i pewnie później. Obok jest bardzo interesujące muzeum z fantastyczną kolekcją rzeźb, naprawdę warto je zwiedzić! Dookoła cudowna zieleń, stare, ciemnozielone cedry i wszędzie daniele, stada danieli. Muzeum Narodowe opuszczam, Kasuga Taisha Shrine jest dość oddalona, ale idę wzdłuż starych kamiennych latarni wotywnych, są pokryte mchem jak patyna, zapalane na święto setsubun. Zaczyna padać, widzę nowoczesny Nara Pref. New Public Hall. Odpoczywam w wygodnych fotelach, na pierwszym piętrze wystawa kimon, patrzę na piękny ogród, starannie wypielęgnowany; deszcz trochę mniejszy, chcę zdążyć do największej świątyni Todaiji, ale, przechodząc obok Tamukeyama Hachimangu Shrine, wchodzę, wygląda jakby zawieszona nad ziemią, nie jest bogato malowana, ale można podziwiać piękną snycerkę. Okazuje się, że Todaiji Temple jest czynna do 17.00, została ufundowana w VII wieku, ale w XVIII gruntownie odnowiona. Wewnątrz jest dość ciemno, można robić zdjęcia, ale czy wyjdą? Największy w Japonii posąg Buddy z VIII w. robi wrażenie, jest starszy i większy od statui w Kamakurze. Nie-

stety, muzeum obok imponującej bramy jest zamykane. Przemoczony wracam w kierunku świątyni Gangoji, w niewielkiej kawiarence-sklepie można gratisowo spróbować różnych gatunków sake (od 16,00 do 16,30), trochę się rozgrzałem, ale do hotelu ok. 3 km, zdążę zmoknąć i zmarznąć. W knajpce na rogu przed przejazdem kolejowym jest tanie i smaczne jedzenie, trzeba wybrać danie, zapłacić w automacie i otrzymany żeton dać kelnerowi, oczywiście udzielono mi pomocy, bo wszystkie instrukcje po japońsku. Właściciel hostelu powiedział mi, że bardzo blisko znajduje się sklep Loweson, w którym wszystkie produkty są po 100 ¥, co prawda, 6 jaj było po 105 ¥, a zakupki błyskawiczne po 102 ¥, ale to naprawdę tanio. Po gorącej kąpeli położyłem się i dość prędko zasnąłem.

24 marca

W nocy wiał silny wiatr, rozpędził więc chmury i rano przywitał mnie pogodny. Wybieram się do Yakushiji Temple, która jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO, kieruję się strzałkami, ale w pewnym momencie gubię drogę, wychodzę w pola, błędzę i muszę prosić o pomoc, uczynna Japonka podwozi mnie pod bramę świątyni, na dziedzińcu zwracają uwagę dwie pięciopiętrowe pagody, świątynia pochodzi z VII wieku, jest tuż po remoncie, pomarańczowy kolor ostro odcina się od pochmurnego, ciemnego nieba. Oglądam kolekcję rzeźb buddyjskich i szintoistycznych; warto wyjść tylną bramą i wtedy jest tylko 0,5 km do Toshodaiji Temple, założonej przez chińskiego mnicha buddyjskiego w VIII wieku. Główna świątynia zachowała konstrukcję z VIII stulecia, idę szpalerem rozkwitłych drzew owocowych, ale kicz! pomarańczowe ściany i różowe kwiaty, nadciągają jednak czarne chmury. Gdy dochodzę do Sugawara Tenmangu Shrine, zaczyna padać. Droga w kierunku Heijo Palace bardzo nieprzyjemna, obok rozjazdów kolejowych. Ogromna brama do kompleksu pałacowego stanowi dla mnie schronienie przed deszczem, z daleka widzę Daigoku-den Hall, która jest salą tronową, kiedy do niej idę, zaczyna się ulewa, nie ma się gdzie skryć, mimo zasłaniania się parasolem dochodzę przemoknięty; dobrze, że nie proszą o zdjęcie obuwia. Znajduję krzesło i, patrząc na wnętrze, przeczekuję burzę, która się zaczęła. Opuszczam pałac i znów ulewa! Na szczęście do hotelu jest ok. 1 km. Po drodze wchodzę do ogromnego centrum gastronomicznego, zjadam dość smaczne danie, wypijam herbatę, do hostelu mniej niż pół kilometra. Dziś się nigdzie nie ruszę z mojego łóżka.

25 marca

Szef schroniska zarezerwował mi miejsce w J-Hoppers Hostel w Kioto, opłaca się mi zapłacić 610 ¥ za bilet kolejowy i zostawić sobie jeden dzień ważności mojego Kipu Pass. Dworzec w Kioto ogromny, stanowi część centrum handlowego, pomyliłem kierunki i wyszedłem na stronę miasta, w której znajdują się wszystkie ważniejsze zabytki. Udało się mi przejść przez dworzec na drugą stronę i po 5 minutach byłem w hostelu, łóżko w dormitorium 1500 ¥, do dyspozycji kuchnia, kawa, herbata. Zostawiam plecak i ruszam w miasto, znów muszę przejść przez dworzec; tym razem poszło sprawnie. Blisko dworca jest świątynia Nishi Honganji, uchodzi za największy, drewniany obiekt na świecie? Nie mogę ocenić, ponieważ część obiektu jest pod ogromnym namiotem. Do świątyni jest wstęp bezpłatny, wyjątkowo, ale ustawiona skarbona, do której wrzuca się pieniądze, przeznaczone na pomoc ofiar trzęsienia ziemi w 2011 roku. Nowoczesnymi, szerokimi ulicami dochodzę do zamku Nijo; jest niedziela, a więc tłum zwiedzających;

postanawiam iść dalej, do Imperial Park. Zwiedzam tradycyjną rezydencję szlachecką; bardzo się mi podoba prostota i elegancja pomieszczeń, oglądam malowidła, spaceruję po ogrodzie wewnętrznym. Wracam przez wąskie uliczki, w sklepiku z porcelaną kupuję za 100Y filiżankę, zbliżam się do Gion, ulicy gejsz; jest jeszcze wcześnie, ale spotykam kilka Japoniek w odświętnych, pięknych kimonach i charakterystycznych butach na koturnie, co powoduje określony sposób chodzenia, chętnie pozuję do zdjęć. Dochodzę do dworca, klęska, wjeżdżam na 8 piętro domu towarowego, próbuję się wydostać z labiryntu sklepów, salonów i kawiarni. Po pół godzinie udaje się mi przedostać na moją stronę i docieram do hostelu.

26 marca

Wychodzę ok. 8, bo od 10 jest grupowe zwiedzanie Pałacu Cesarskiego; można wcześniej zarezerwować bilety w biurach turystycznych, ale przecież wczoraj była niedziela i wszystkie agencje były zamknięte. Sprawnie przechodzę przez dworzec i o 9.30 jestem w biurze, określanym jako informacja, tuż przy bramie parku. Trzeba mieć ze sobą paszport i wypełnić odpowiedni druk, otrzymuje się bezpłatny bilet, który jest odbierany przez strażnika przy wejściu, wskazuje on drogę do poczekalni; warto wziąć folder, ponieważ przewodniczka wielokrotnie odsyła do ilustracji w nim zamieszczonych. Pokazywane są pokoje zupełnie puste, ozdobione jednak malowidłami, sala tronowa, z bardzo daleka i ogród pałacowy, który zrobił na mnie największe wrażenie. Zwiedzanie trwa godzinę. Idę teraz do Żółtego Pawilonu, wstęp tylko 300 Y, tłum przeogromny, sakura jeszcze nie kwitnie. Wracam do Ogrodów Cesarskich, aby odpocząć i pożywić się; przechodzę obok kilku świątyń, do niektórych wstępuję. Odnajduję kilka kwitnących drzew, oblegane są przez fotografów, ale z telefonami komórkowymi, a nie aparatami fotograficznymi. Strażnicy parkowi nie pozwalają na piknikowanie pod drzewami, można siedzieć na ustawionych ławeczkach. Po odpoczynku wpadam w labirynt wąskich uliczek, przy których są stare drewniane domy i niewielkie świątynie. Muzeum Kioto jest dziś zamknięte, a wczoraj niewiele zobaczyłem, bo był straszny ścisk. Znów ten cholerny dworzec i próba przebicia się na drugą stronę; dziś poszło lepiej i zasłużony odpoczynek w hostelu; mogę wysłać maile, Internet bezpłatny.

27 marca

Plan na dziś: dojazd do Hiroshimy. Cały czas posługuję się Kipu Pass. Ekspresowym pociągiem przejeżdżam przez Osakę, Kobe, to wielomilionowe miasta, tak naprawdę od Tokio jadę cały czas przez monstrualne miasto, które składa się z ogromnych molochów i trochę mniejszych miast, wszędzie wieżowce, koszmar! Wsiadam w Okayamie, aby zobaczyć park, który uchodzi za najpiękniejszy w Japonii. Z dworca kolejowego, ze stanowiska 4, autobusem nr 18 (140 Y) bezpośrednio dojeżdżam pod bramę parku (400 Y). Założony w roku 1687, od 1884 stał się dostępny dla publiczności, w kwietniu i maju można uczestniczyć w ceremonii parzenia herbaty. Faktycznie, park ciekawie zaprojektowany, ale trawa jeszcze zrudziała i nie kwitną żadne kwiaty. Blisko wejścia klatki z kilkoma parami żurawi mandżurskich, które też uchodzą za jeden z symboli Japonii. Spotykam parę młodych, oblubienica w przepięknym kimonie, mogę zrobić zdjęcie, dziękuję, wszystkiego najlepszego! Trafiam do sadu kwitnących wiśni, za nim, za rzeką-fosą Wroni zamek. Czarne ściany zamku kontrastują z delikatnym różem kwitnących drzew. Wewnątrz zbiory militariów; obiekt jest stosunkowo nową rekonstrukcją (1966).

Jadę do Hiroszimy, mam zarezerwowany nocleg w J-Hoppers Hostel, z dworca tramwajem (150 Y) do przystanku Dobaschi. Schronisko jest 10 minut piechotą od Parku Pokoju i epicentrum wybuchu bomby atomowej, spaceruję obok ruin-pomnika dawnego ratusza. Zachodzi słońce, oglądam je poprzez ruiny i gałęzie drzew, które nie pokryły się jeszcze liśćmi. Podchodzę do wiecznego ognia – znicza, poświęconego tym, którzy zginęli w wyniku wybuchu; Japończycy przechodząc, zatrzymują się i oddają hołd zmarłym, schylając lekko głowę; zapada zmrok, oglądam kolorowo podświetlone ruiny; wracam do hotelu gwarnymi, barwnymi ulicami.

28 marca

Wczoraj skończył się mój Kipu Pass, więc dziś „otworzyłem” Japan Rail Pass. Shin-kansenem jadę do Fukuoki, gdzie przesiadam się w ekspres do Nagasaki. Bardzo blisko dworca znajduję schronisko młodzieżowe (Nagasaki Ebisu Y-H), ale nie ma wolnych miejsc. Mam jeszcze adres hostelu Casa Noda, 2300Y w dormitorium, ze śniadaniem, ale znajduje się przy głównej ulicy, tym, którzy mają kłopoty z zasypianiem, nie polecam. Spacerem idę w stronę Parku Glover, jest w nim kilka mieszczańskich rezydencji, w jednej z nich, tej najbliższej pomników Pucciniego i Madame Butterfly wystawa poświęcona artystce Tamaki Miura, która śpiewała partię tytułową, wyszła potem za mąż za Polaka Czesława Rawita Proszkowskiego i zamieszkali w Nicei. W gablotach można podziwiać jej operowe kostiumy, osobiste pamiątki i fotografię z mężem oraz zdjęcie Teatru Wielkiego w Warszawie, w którym w 1908 roku odbyła się premiera polska Madame Butterfly. Przed wejściem do parku znajduje się kościół katolicki, najstarszy w Japonii, przed świątynią popiersie Jana Pawła II, który wizytował Nagasaki w 1981 roku. I jeszcze jedna pamiątka polska: obok drugiego kościoła jest sklep z dewocjonaliami, z niego wchodzi się do muzeum Ojca Maksymiliana Kolbego, w kościele relikwie świętego. W okolicy Parku Glovera kilka muzeów; zwiedzałem Nagasaki Prefectural Art Museum, w którym prezentowana jest głównie sztuka współczesna. Warto przejść obok Former Dutch, to kilka manufaktur, późniejszych fabryczek, założonych przez Holendrów w 1636 r., świadczących o tradycjach handlowych, gospodarczych i kulturalnych między Europą i Japonią. Zespół muzealny położony jest nad rzeką, której brzegi łączą mosty, między innymi ten najstarszy (1634), kamienny most, zwany okularowym. Dlaczego? – przekonajcie się sami.

29 marca

Posiadanie Japan Rail Pass zobowiązuje do codziennych podróży, bez możliwości przerw kilkudniowych w ciekawych miejscach. Rano pojechałem do Parku Pokoju, który, jak się później okazało, zwiedziłem pobieżnie. Byłem w Memorial Hall for the Atomic Bomb Victims, widziałem Statuę Pokoju i inne pomniki, bardzo konwencjonalne, powtarzający się motyw matki, opłakującej stratę dziecka. Wróciłem tramwajem nr 1 po plecak i na dworzec. Przejechałem do Kumamoto i dalej do Mt Aso, z dworca prosta droga ok. 2 km do schroniska HI (2300 Y bez śniadania). Pociąg z Kumamoto podejżdża pod krawędź i zjeżdża na dno kaldery, największej w świecie. Na dnie wulkanu są pola ryżowe, wsie, kilka stożków wygasłych wulkanów. Czy na pewno wygasłych? Pod schroniskiem zatrzymuje się autobus, którym można dojechać do górnego parkingu przy czynnym wulkanie Aso. Niestety, ostatni autobus odjechał przed 16, postanowiłem spróbować szczęścia w autostopie. Uczynny, sympatyczny kierowca za-

wiół mnie na górny parking i w towarzystwie jego i żony spacerowaliśmy, podziwiając turkusowe jezioro w kraterze wulkanu, przesłaniane dymem i oparami siarkowymi. Bardzo lubię ten specyficzny zapaszek, który budzi grozę, tym bardziej że dookoła brak roślinności, ale można oglądać kolorowe skały, a w razie wybuchu schronić się do betonowych wiat, które przypominają bunkry; wokół leżą bomby wulkaniczne. W najbliższej okolicy wulkanu przy wytyczonych, spacerowych ścieżkach są jeziora, ale nie tak malownicze jak to w kraterze. Zostałem odwieziony pod schronisko, mogłem wykąpać się w tradycyjnym, domowym basenie, napełnianym wodą z termalnych źródeł. Potem piłem zieloną herbatę w salonie ozdobionym starymi, japońskimi rycinami.

30 marca

Chętnie bym tu został, pochodził w okolicy wulkanu Aso, ale ponagla krótki termin ważności biletu. Na dworzec odwozi mnie chłopak, który nocował ze mną w dormitorium. Zachowania, bezinteresowna gotowość do pomocy przeczy nieuzasadnionym wyobrażeniom o zamkniętych Japończykach. Super eleganckim pociągiem, w wagonie stylizowanym na salonkę, wyjeżdżam z kaldery wulkanicznej i po dwóch godzinach podróży dojeżdżam bezpośrednio do Beppu. Tylko 5 minut jest z dworca do Oita Beppu Guest House, dostaję pokój dwuosobowy za 2500 Y, bez śniadania. Wracam na dworzec, po jego drugiej stronie wsiadam w autobus nr 2, jadę do końca, później wracam do skrzyżowania i pod górę w prawo dochodzę do pierwszego onsenu Shiraike Jigoku, woda ma delikatny błękitny kolor i temperaturę 95 stopni, obok w akwariach pływają ryby z ciepłych mórz. Można wykupić karnet za 2000 Y do kilku onsenów, dla oszczędnych lub ograniczonych czasem polecam koniecznie Umi Jigoku; zobaczymy wszystkie kolory jezior: intensywnie niebieskie, zielone, czerwone, możemy też podziwiać fumarole, gotujące się błoto i piękne lotosy. Chcąc dojechać do najbardziej czerwonego onsenu Chinoike – Jigoku, trzeba wrócić do pętli autobusów i wsiąść w autobus podmiejski, przejechać kilka kilometrów. Fantastyczny jest spacer po mieście, na skwerach fumarole, nad dachami domów unoszą się dymy, jakby wybuchły pożary w wielu miejscach. Do centrum Beppu można wrócić autobusem 2 lub 26. Po południu pociągiem podmiejskim podjechałem jedną stację do Beppu Daigaku; wprost dworca ulica do plaży, na której zakopią ciebie w ciepłym, czarnym piasku wulkanicznym, tylko głowę zostawiając niezasypaną. Przy plaży ogólnodostępny basenik z ciepłą wodą, można pomoczyć zmęczone nogi, patrząc w morze, fajnie prawda? W moim hostelu jest do dyspozycji ofuro osobne dla kobiet i mężczyzn, więc nie trzeba się zapisywać na określoną godzinę.

31 marca

Wracam do Hiroszimy, bo zarezerwowałem sobie nocleg w J-Hoppers hostel; pozostało mi jeszcze kilka obiektów do zobaczenia. Trafiam do hostelu, zostawiam plecak i tramwajem nr 2 jadę do Hirodennishi, prosta droga do stacji kolejowej Nishi-Hiroszima i jadę do Myjaka-guchi. Japan Rail Pass jest ważny na prom do Itsukushima Shrine, wizytówki Japonii, z daleka widać torii, które uchodzi za przykład elegancji i doskonałych proporcji. Na wyspie jest kilka świątyń i klasztorów, są szlaki spacerowe po wzgórzach i lasach, ale ja czekam na zachód słońca; nie zawiodłem się, cudowne widowisko, szczęśliwie odpływu nie było i torii pozostała zanurzona w wodzie. Nie trzeba się spieszyć z powrotem, promy, pociągi i tramwaje kursują do późnego wieczora.

1 kwietnia

Rano idę do Parku Pokoju, bo w czasie poprzedniego mojego pobytu The Hall of Remembrance był zamknięty. W centralnej rotundzie oglądam panoramę zniszczonego miasta z zaznaczonymi budynkami, które ocalały; znamienne, że były to banki, we wschodnich dzielnicach. Schodzi się w dół, w samo epicentrum wybuchu.

Postanawiam wrócić do Nagasaki, pokonanie 200 kilometrów w godzinę nie stanowi problemu. Po przyjeździe idę do schroniska Ebisu YH, tym razem dostaję pokój, traktowany jako dormitorium za 2000 Y, bez śniadania. Zostawiam plecak i tramwajem nr 1 jadę do Parku Pokoju; odnajduję pomnik ufundowany przez Polskę. Jest to Kwiat Życia i Pokoju, niebanalne dzieło plastyczne Mariusza Kulpy z 1986 roku; napis to interesujące odniesienie do odradzającego się feniksa. Szybko idę do katedry, pod prawą, częściowo ocalałą wieżą jest pomnik Jana Pawła II, wzruszające są częściowo ocalałe rzeźby z fasady świątyni, fragment zniszczonej budowli, który spadł w to miejsce w czasie wybuchu i tak pozostał; kwitną wiśnie, łagodzą te dramatyczne wspomnienia. Obok katedry jest duże schronisko młodzieżowe, nie powinno brakować miejsc noclegowych, nawet w sezonie turystycznym. Teraz do budynku Szkoły Elementarnej, pamięć o dzieciach, które zginęły w klasach, szczególnie wzrusza! Szkolne muzeum jest już zamknięte, a na boisku uganiają się za piłką nastoletni chłopcy. Wracam do tramwaju przez Park Pokoju, tym razem odnajduję pomnik poświęcony cudzoziemcom związanym z Japonią, którzy zginęli w czasie II wojny światowej, jest symboliczna postać Ojca Kolbego.

2 kwietnia

Jadę do Fukuoki; w biurach żeglugowych na dworcu kolejowym oferują drogie bilety promowe do Pusanu na dzień następny. Autobusem 88 dojeżdżam do portu, kupuję w biurze Camellii bilet o 5000 Y tańszy, ale również na dzień następny. Mam adres schroniska HI, ale okazuje się, że dziś zamknięte; znów chłopak, zupełnie bezinteresownie, pomaga mi znaleźć niedrogi nocleg. Trafiamy do Hakata Riverside Hostel, dormitorium 2500 Y, kawa, herbata do dyspozycji. Odwiedzam pobliski sklep i robię zakupy na kolację, śniadanie i na podróż do Korei.

3 kwietnia

Mój współlokator wyszedł bardzo wcześnie, po siódmej, ale podminowany czekającym mnie rejssem, już nie usnąłem. O 8.00 otwierają kuchnię, trochę dziwny zwyczaj, zjadam śniadanie, spakowany schodzę do recepcji, zostawiam plecak i idę do świątyni Kushida. Wczoraj wypatrzyłem jakby okazały feretron, wśród postaci Matka Boska? i św. Jerzy na białym koniu walczący ze smokiem? Oczywiście, te postacie przedstawiają nieznanne mi bóstwa, ale podobieństwo do postaci, o których wspomniałem, jest uderzające. Przechodzę przez kilka torii, ustawionych w rzędzie; budynki świątyni konfucjańskiej toną w deszczu i kwiatach sakury. Wracam po plecak i teraz na przystanek autobusu 88. Mam czas, aby odwiedzić Touchou-Ji temple i Shoufuku-Ji, są uważane za pomniki kultury narodowej. W kaplicy na pierwszym piętrze bardzo piękny posąg Buddy, na dziedzińcach kwitną wiśnie, szkoda, że pada. Japonia płacze z powodu mojego wyjazdu? No to teraz do portu. Okazuje się, że muszę uiścić 1700 Y opłat portowych, za bilet zapłaciłem 9000 Y, dość droga przeprawa. Prom odpływa o 12.30, ale trzeba być w porcie o 11, nie sprawdzają bagażu, nie ważą, zaokrętownie przebiega

sprawnie. Odnajduję moją kajutę 302, to raczej wieloosobowa sala, rozkładam materac, kocyk, jest schowek na bagaże, żałuję, że bez okien, abym mógł patrzeć na Morze Wschodnie. Pisanie notatki muszę przerwać, zaczyna mocno kołysać. Obserwuję ogromne fale, które rozbijając się o burty statku, osiągają wysokość kilkunastu metrów. Chwiejnym krokiem wróciłem do kajuty i opuściła mnie pewność dopłynięcia do Pusanu. Rzuciło nami ok. trzech godzin. Jak się później dowiedziałem, był to największy sztorm od pięćdziesięciu lat.

Korea Południowa

Udało się, a więc Korea Południowa – 113 odwiedzany kraj w mojej, krótkiej i burzliwej karierze podróżnika. Odprawa paszportowa przebiegła normalnie, można się przyzwyczaić do składania odcisków palców i pozowania do zdjęć. Na wprost wyjścia jest informacja turystyczna, panie znają adres schroniska młodzieżowego, ale polecają Guest House Korea blisko portu. Dostaję mapkę z obrazkami; kocham takie mapy, bardzo ułatwiają odnajdywanie poszukiwanych obiektów. Idę do metra ok. 10 minut, okropnie zimno!, wieje przenikliwy wiatr. Bilet na metro mogę kupić tylko w automacie, proszę o pomoc przechodnia, który przekonuje mnie, że to tylko dwie stacje metra, że mogę iść podziemnym pasażem handlowym i wyjść wprost na hostel, wyjściem nr 10; tak faktycznie zrobiłem. Pomyliłem wejścia do budynku K. Park przy Jagalchi 37-1 i znalazłem się przy suto zastawionych stołach, ale wskazano mi wejście do windy i tak obyłem się smakiem. Myślałem, że znów pobłądziłem: wnętrze super nowoczesne, elegancka recepcjonistka, ale kiedy powitała mnie uśmiechem i wypowiedzią: hello Adam, welcome – wiedziałem, że jest OK. W dormitorium było sześć łóżek 25 000 W, ze śniadaniem.

4 kwietnia

Przekonałem się, że właścicielka hostelu może wykończyć człowieka swoim zamierzaniem do porządku; zastanawiałem się nad zostaniem jeszcze jedną noc, ale zrezygnowałem z tych luksusów. Wychodzę i trafiam w sam środek targu rybnego: fascynują mnie stosy owoców morza, bogactwo kształtów i kolorów, ale rybi smrodek nie budzi mojego entuzjazmu. Odnalazłem Bank i wymieniłem pieniądze: za 1 euro 1400 wonów. Znów problem z kupieniem biletu na metro, pomyliłem kierunek jazdy, nie wiedziałem, jak przejść na przeciwny peron. Jednak Polak potrafi, skorzystałem z wyjścia bezpieczeństwa, aby zmienić linię 1 na 2, musiałem wykupić następny bilet. Przemierzyłem trasę Jagalchi do Seomyeon, przesiadka do Sukdeung, skąd blisko do terminalu autobusowego; w metrze wyświetlane są nazwy stacji po angielsku. Kupiłem za 22 000 W bilet do Gwangju. W informacji dowiedziałem się, że do dolmenu w Hwasun dojadę autobusem 218, poprosiłem, aby napisano mi nazwę po koreańsku, to bardzo ułatwia pytanie, gdzie wysiąść. Odjazd był o 15.20, trochę się zastanawiałem, czy wrócić do informacji i wziąć adres schroniska młodzieżowego i pojechać do stanowisk archeologicznych rano następnego dnia, ale brałem pod uwagę możliwość noclegu za miastem. Autobus jechał ponad godzinę, wyjechał daleko za Gwangju. Informacja przy wejściu zamknięta, hulaj dusza, idę w teren. Groby Koreańczyków przypominają kopce, mrowiska, półkoliste niewysokie kurhany, czasem obok stoi stela. Grobowce, które znalazły się na liście dziedzictwa kulturalnego UNESCO, nie są efektowne, ale przecież pochodzą z epoki brązu, to grubo ociosane kamienie, rozrzucone w rozle-

głym terenie. Trochę się rozczarowałem, oczekiwałem zabytków na miarę Stonehenge, czy grobowców, jakie widziałem na Malcie. Żałuję, że muszę wracać do miasta; odnajduję wiosenne fiołki. Dochodzi 18, denerwuję się, czy przyjedzie autobus. Zatrzymuję przejeżdżający samochód, kierowca podwiózł mnie do miasteczka, w którym wsiadłem w 218. Informacja na dworcu już zamknięta! Klęska! Wiedziony doświadczeniem zagłębiam się w uliczki w okolicach dworca, faktycznie trafiam na kilka moteli, które w Korei są zazwyczaj w centrum miasta. Wytargowałem cenę 25 000 W, ale bez śniadania. Dostaję szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia, połowę pokoju zajmuje ogromny telewizor; mogę skorzystać z mojej grzałki, naładować baterie do aparatu fotograficznego. Kolację zjadam w sklepie 7-eleven, w którym kupuję danie, a sprzedawczyni podgrzewa je w mikrofali.

5 kwietnia

Spokojnie idę na dworzec, kupuję bilet za 19 000 W do Daegu, w którym jestem przed 14; znów duże miasto, muszę przejechać metrem na inny dworzec Seongdangmot, na szczęście jedną linią; nazwy stacji wyświetlane są również po angielsku. O 15.40 mam bezpośredni autobus do Haeinsa Temple, jedzie ponad godzinę. Wsiadam, kieruję się strzałką do hotelu turystycznego; podbiega kobieta i już mnie prowadzi, tak prędko, że się nie zorientowałem, że znalazłem się w motelu, ale cena 25 000 W za noc odpowiada mi. Postanowiłem pobuszować po miasteczku, w którym jest dużo moteli i restauracji, a turystów nie spotkałem, dlatego negocjacje cenowe poszły tak gładko. Wybrałem się do klasztoru z nadzieją, że może trafię na wieczorne modły mnichów. Idąc dwa kilometry, lekko pod górę, mijają mnie tłumy tych, którzy wracają do autokarów wycieczkowych. Staram się dopytać o możliwość noclegu w klasztorze, odpowiadają, że tylko latem, że trzeba wcześniej rezerwować www.haeinsa.or.kr. Świątynie bajecznie malowane, te starsze nieodnowione urzekają fakturą starego drewna i snycerką. Część chramów już zamknięta. Wracam do miasteczka, wstępuję do restauracyjki, za 8000 W dostaję wspaniałe danie (pimpę): smażone warzywa, zapiekany ryż, zupa z tofu i mnóstwo przystawek na małych talerzykach, jedzenie dość pikantne, ale smakuje wybornie, do woli gorąca, zielona herbata podana w termosie.

6 kwietnia

Postanowiłem zostać tu trzy noce, dopłaciłem 40 000 W bez długich dyskusji. Idę do klasztoru, spotykam tylko jedną wycieczkę emerytów. Słucham mantr śpiewanych przez mnichów, potem dwaj kapłani bębnią na olbrzymim o-diaku, oczywiście, jest to rodzaj modlitwy, medytacji. Udostępniona jest do zwiedzania biblioteka z najstarszym i największym zbiorem ksiąg świętych, od VII wieku, dlatego między innymi zespół świątynny Haeinsa jest na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Na drogowskazach jest informacja, że na szczyt Sangwangbong 4 km. Ruszam w góry, pozdrawiany przez strażnika przechodzę przez bramkę Parku Narodowego Gayasan. Spacerowy szlak zmienia się w górską wspinaczkę, niekiedy po metalowych pomostach, wchodzę na wysokość 1430 m n.p.m.; mam wrażenie, że jestem wyżej, dookoła skaliste szczyty, zamrznięty wodospad, który tworzy długi, biały sopel, wieje silny wiatr, ogromne głazy uniemożliwiają dalszą wspinaczkę nieprzygotowanemu turyście. Czasem prószy śnieg, ale świeci też ostre słońce. Schodzę dość zmęczony, w sumie cztery godziny marszu. Obiadokolację jem w moim motelu – to samo da-

nie, ale inne przystawki, trochę inny sposób przyrządzenia, cena 8000 W; po posiłku dostają kawę gratis.

7 kwietnia

Wybieram się dziś do Yongmum Falls; są faktycznie w miasteczku, nic specjalnego. Fantastyczna okazała się wycieczka wzdłuż wartkiej rzeki Hongryudong, na trasie kilka punktów widokowych, liczne mostki, kaskady bystro płynącej wody. Odpoczywam w altanie, ustawionej w miejscu medytacji konfucjańskiego uczonego i poety Guon Choe Chiwon z X wieku. W kilku miejscach podziwiam kwitnące na różowo rododendrony. Co pewien czas tablice, na których przedstawione są zwierzęta w PN, m.in. tygrys, ryś itd. Na drzewach estetyczne tabliczki z nazwami gatunku, niestety, po koreańsku. W punkcie informacyjnym PN dostałem foldery ze zdjęciami kwiatów i określona porą kwitnienia. Zaraz za bramką jest wieś, gdzie na podwórku starego, stylowego domu widzę ogromne dzbany, znane mi z pocztówek. Stuletni gospodarz pozwala zrobić zdjęcia sobie, domu i dzbanów, w których fermentują owoce i ryż na wino. Wracam tą samą drogą, przy jednej z bram PN proszą o opłatę 3000 W. Omijam buddyjski klasztor, do którego wchodzi się po stromych schodach. Nad rzeką Hongryudong kamienne posągi Buddy i pagody. Wycieczka trwała 5 godzin, można oczywiście trasę przejść prędzej, tylko po co?

8 kwietnia

Wielkanoc, wstaję o 7.00 jak na rezurekcję, skromne szybkie śniadanie i w góry! Wybieram się do Namsanjeilbong, podają czas przejścia 1.40. Szlak nie jest znakowany, ale trudno się zgubić, tabliczki na drzewach z nazwami po łacinie. Droga dość trudna, prawie cały czas po dużych kamieniach. Leżą jeszcze płyty śniegu, wieje wiatr, ale jest ciepło. Wyrobiłem się w podanym czasie. Na szczyt trzeba wspiąć się po metalowych schodach-drabinie, widoki rewelacyjne, m.in. na kompleks klasztorny Haenisa. Autobus do Daegu o 11.20 (6400 W) jestem o 12.40, szczęśliwie autobus do Gyeongju z tego samego dworca, o 13.30, jestem przed 15. Trzeba wyjść z dworca, aby trafić do informacji turystycznej; kierują mnie do Nahbi Guest House, łóżko w dormitorium 15 000 W, dochodzę w ciągu 10 minut. Prawie po drugiej stronie ulicy, przy której jest hostel, znajdują się Paereungwon Royal Tombs, jest ich 23, przyjemny spacer między nimi. Wybieram się za rzekę Hyeongsan do Tomb of Geu Gin Yu-sin, wstęp 500 W, ale po 17 wstęp bezpłatny; ładnie utrzymany park, kwitną forsycje, azalie i fiołki. Bulwar nad rzeką obsadzony wiśniami, które są w pełni kwitnienia, po prostu obłęd.

Obiad jem w knajpcie na parterze hotelu, za 5000 W dużo wspianego żarłeka.

9 kwietnia

Do Bulguksa Teple jadę autobusem nr 10, przystanek vis a vis hostelu; jedzie się ok. 40 minut. Jestem dość wcześnie, przed 9, nie ma więc tłumów zwiedzających. Skończyło się darmowe zwiedzanie obiektów z listy UNESCO, żadnych zniżek, dostępnych dla cudzoziemców, 4000 W. Zespół świątynny bardzo zadbane, ale nie rzuca na kolana. Wybieram się do Seokguram Grotto, po drodze jest źródło wody mineralnej, zwinne wiewiórki (pasiaście) przebiegają drogę, co odważniejsze stają słupka i proszą o smakołyki. Słychać z daleka bicie dzwonu. Znów 4000 W, ale warto. W grocie granitowy, bardzo piękny Budda, niestety, zakaz robienia zdjęć. Wspinam się na Tohosam Peak,

zachwycają kolorowe, wiosenne kwiatki, które rosną między drzewami, podobnymi do naszych jodeł (*Abies hylophylla maxim*). Czuję się jak w małym gaju, bardzo dużo roślin, podobnych do niewyrośniętego bambusa, ale to *Sasa Coreana*, rosną i kwitną żółte forsycje i różowe rododendrony, po prostu kicz! Zaczyna trochę kropić, pachnie wiosną ten deszczyk, zaraz wychodzi słońce. Autobus nr 10 odjeżdża z tego samego przystanku, na którym wysiadłem rano. Przy przedostatnim przystanku schronisko HI, pięknie położone, ciekawa architektura, ale daleko od centrum i tanich knajpek. Wracam do hostelu, przedłużam swój pobyt, odpoczywam, biorę kąpiel i idę do restauracji na dole, panie witają mnie jak bywalca. Po sytym obiedzie idę na spacer do dawnych obwarowań miejskich, patrzę na ludzi, na wystawy, podziwiam piękne, długie, ałtaso-we suknie, które są częścią stroju narodowego Koreanek.

10 kwietnia

Rano idę przez dobrze mi znany park z grobowcami królewskimi, wychodzę na bramę Cheonmachong, idę ulicą wzdłuż muru, szpalerem kwitnących wiśni. Przechodzę przez ulicę i jestem pod wieżą obserwatorium astronomicznego z VII wieku. Spaceruję po rozległych błoniach, które kryją fundamenty pałaców królewskich, wznoszonych w ciągu wieków, już blisko do Muzeum Narodowego; jest wtorek, a więc otwarte; specjalnie przedłużyłem pobyt, aby zwiedzić ten obiekt. Wstęp bezpłatny, ale nie dlatego warto zwiedzić muzeum; bez obejrzenia skarbów wydobytych z grobów królewskich, pozostaną one większymi czy mniejszymi kopcami. Interesująca jest ekspozycja sztuki buddyjskiej, w holu prezentowane są repliki rzeźb Manjusri Bodhisattvy i Samantabhadry Bodhisattvy z Groty Sookguram. Jest makieta zespołu pałacowego Imhaejeon, do którego idę po wyjściu z muzeum. Pałac został zbudowany w VII wieku, a niedawno odtworzono jego prawdopodobny wygląd; przyjemne miejsce na spacer, jeżeli dysponuje się czasem. Po drugiej stronie ulicy ciekawy obiekt lodowni, odbudowany w XVII wieku. Schodzę do parku Gyerim Forest, w którym rosną bardzo stare drzewa, dalej, kierując się strzałą, dojdziemy do najstarszego domostwa w Gyeongju, które obudowane jest kompleksem świątynnym. I znów grobowce z VII wieku. W Muzeum Narodowym oglądałem film ukazujący budowę pojedynczego kurhanu. Wchodzę więc (1500 W) do Cheonmachong i „końskiego grobowca” – dość umownie odtworzono wnętrze, w gablotach biżuteria, części uprząży końskiej. Zaczyna znów kropić deszczyk, zmęczony wracam do hostelu na kawę i odpoczynek. Warunki w dormitorium są przyzwoite, ale za 25 000 W w okolicznych motelach można znaleźć lepszy pokój niż oferowane w Nahbi Guest House. Schodzę do mojej knajpki, to już ostaniam kolacja w Gyeongju.

11 kwietnia

Nie mogłem spać, pewnie ze względu na zmianę pogody. Faktycznie od rana pada. Idę na dworzec, co kilka minut odjeżdżają autobusy do Pohang, a potem bezpośrednio do Sokcho. Jest jakieś święto, banki pozamykane. Gdy kupowałem bilet, kasjerka chciała mnie oszukać! Dałem jej dwa banknoty po 10 000 W i dwa po 50 000 W, które prędko schowała do szuflady, kiedy odliczyłem 1500 W, ona pokazuje, że otrzymała tylko 20 000 W. Czasem zakonnica przynosi szczęście, właśnie się zjawia i przekonuję kasjerkę, że dobrze odliczyłem żadaną sumę. Autobus odjechał o 10,20 i przed 16 był w Sokcho; jechałem wzdłuż wybrzeża, autostradą, której nie ma na mapie. Prze-

raziło mnie to miasto, spodziewałem się niewielkiego kurortu. Tuż przy dworcu jest informacja turystyczna, pani poleciła mi schronisko HI i wytłumaczyła dojazd. Na autobus 7-1 nie czekałem długo, po dwudziestu minutach byłem w górach, pokrytych śniegiem. Nie pada, ale chmury przesłaniają szczyty. Jutro muszę wrócić do centrum, by wymienić pieniądze, w schronisku nie honorują karty visa. Dormitorium to faktycznie dwuosobowy apartament z łazienką i aneksem kuchennym, płacę 20 000 W, nie uwzględniają zniżki na legitymację PTSM.

12 kwietnia

W tym luksusie wypałem się znakomicie, nie czekałem długo na autobus i po kilkunastu minutach dojechałem do centrum, znalazłem bank i wymienilem euro, kurs nieznacznie poniżej 1500 W. Po drugiej stronie ulicy jest bazar, królestwo krabów i owoców morza, jednak kupiłem chleb tostowy i jajka; w moim hostelu nie ma śniadań. Wróciłem dość szybko, zostawiłem zakupy i poszedłem do Centrum Informacji Parku Narodowego Seoraksan; warto zobaczyć ekspozycję, poznać gatunki ptaków, roślin, motyli i drapieżników; dostałem wykaz szlaków wycieczkowych. Góry widać fantastycznie, trochę więcej, więc boję się wjechać linową kolejką na Gwongeumseong. Wybieram się na Ulsanbawi Rock 875 m, podają czas przejścia 3,8 km w 2 godziny. Niestety, wicher uniemożliwia mi wejście, zabrakło 500 m, muszę zawrócić. Po drodze wstępuję do starych klasztorów; nie próbowałem rzucić kamienia Heundeubawi, jak czynili inni turyści; przy szlaku knajpki. Wróciłem do hostelu ok. 19, zjadłem na obiad tradycyjną pimpę za 8000 W.

13 kwietnia

Wczorajszy dzień był pechowy, nie tylko z powodu wiatru, ale wyczerpały się akumulatory i nie mogłem robić zdjęć, a już za hotelem Serak Park roztaczają się piękne widoki m.in. na wodospad, którego długa nitka jest świetnie widoczna z doliny. Nie ma pełnego słońca, wszystko jest lekko zamglone. Przeszedłszy bramę PN, wstęp 1500 W, idę do wodospadów Biryong i Towangseong, dojdzie ok. godziny, odkrywam nieznane mi wiosenne kwiaty; w jednej z mijanych restauracyjek pani częstuje winem z leśnych owoców. Kiedy wróciłem, okazało się, że przy kasie linowej kolejki nie ma już tłumu, można wjechać za 9000 W, nie uwzględniają żadnych zniżek dla cudzoziemców. Trasa Cable cars to tylko 670 m, ale widać doskonale ośnieżone szczyty, najwyższy Daecheongbong ma zaledwie 1708 m, ale jest to wysokość bezwzględna. Ze szczytu Gwongeumseong widać Morze Wschodnie. Wspinaczka na sam szczyt to po prostu ekwilibristyka, ale tłum wspina się; czeka się na wejście, znamy z Tatr takie obrazki. Przy zjeździe żądają okazania biletu. Jest ok. 13, postanawiam wybrać się do Cheonbuldong Vally. Jest dość szeroka, kamienie coraz większe, pomiędzy nimi przeciska się rwąca, górská rzeka, nad którą przechodzę pomostami. Czytam informację, że do grotu 20 minut, ale idzie się faktycznie dużo dłużej, chociaż wejście do jaskini widać z daleka; trochę przeraża, bo jest na pionowej ścianie Mireukbong. Wspinam się po drabinach, w grocie świątynia Buddy, do zeszłego roku mieszkał w niej mnich, można napić się wody, która zbiera się jakby w skalnej kropielnicy, zwiedzanie do 18.00. Zejście nużące, bo trzeba uważać, jak stawiać nogi na kamieniach, ale widoki fantastyczne. Na szlaku nie ma tłumów, te zaczynają się w parku, obok posągu Buddy. Obiadokolację zjadam w knajpce, którą wczoraj wypatrzyłem. Bardzo męczący był dzień, ale pełen wrażeń.

14 kwietnia

Bolą mnie nogi po wczorajszych wyczynach, może dzień przerwy? Ale gdzieś mnie już gna. OK, jadę na plażę, pogoda wymarzona. Wsiadam w siódmkę i po kilkunastu minutach wysiadam przy porcie rybackim, na skwerze od strony ulicy galeria rzeźb. Port rybacki to nie tylko łodzie, ale też sklepiki i restauracyjki, można zrobić rybne zakupy lub na miejscu zjeść wybrany przysmak; na sznurach obok sieci suszą się morskie rośliny, suszą, a może wietrzą? 500 metrów dalej jest port dla większych kutrów, w kolorowych budach kuszą usmażone morskie specjały, cieszą się powodzeniem, ja nie mam odwagi spróbować. Spaceruję promenadą, jest tak ciepło, że zdejmuję koszulę, nie ja jeden. Z nadbrzeża widać ośnieżone szczyty Gór Diamentowych. Dokonuję zakupów i wracam do schroniska; postanawiam posmakować miejscowego wina ryżowego, przypomina wódkę rozcieńczoną wodą, ale pozbawioną ostrego zapachu; dobrze, że kupiłem fantę i robię drinki. Wiosenne ciepło i alkohol sprawiają, że zapadam w drzemkę. Nie idę dziś na kolację, znudziła mi się pimpa, przygotowuję sobie zupkę, podobną do naszej grzybowej.

15 kwietnia

Dziś pełny luz, po śniadaniu spacer doliną rzeki Ssangcheon Stream do Sangdamun Village; chcę zobaczyć House of O'Yun-hwan, niezbyt stare domostwo; kim był właściciel, nie dopytałem. Wszędzie na niewielkich poletkach trwają prace. Byłem w kościele katolickim, we wsi jest jeszcze kilka kościołów innych wyznań. Obiad zjadłem w innej knajpcie: zupa rybna z czarną fasolą i tofu, i oczywiście ryż. Gdy poprosiłem o herbatę, dostałem jaśminową, czuję się, jakbym wypił wodę kolońską, ale bez efektu poalkoholowego.

16 kwietnia

Niespokojnie spałem i nastąpiła nagle zmiana pogody, ale nie pada, jest pochmurno. Wybieram się na pożegnalną wycieczkę w góry. PN Seoraksan to jeden z najpiękniejszych, jakie widziałem; chcę dokończyć wspinaczkę na Ulsanbawi Rock, dochodzę do miejsca, które zapamiętałem, upewniam się, że dobrze zrobiłem, zawracając kilka dni wcześniej. Czekam na wchodzenie po drabinach, ale trud zostaje sówicie wynagrodzony; to po prostu niemożliwe, że istnieje tak piękne miejsce! Szczyt ma wysokość 875 m, ale widać miasto Sokcho, dwa jeziora i oczywiście Morze Wschodnie. Schodzenie zajmuje mi prawie dwie godziny, bo trzeba uważać na kamienie, po których idzie się cały czas. Fotografuję ośnieżone góry, przez gałęzie kwitnących wiśni i magnolii. Musicie to zobaczyć! Obiad jem dziś wcześniej, po 16, w poniedziałek większość knajpek jest zamknięta. Dziwię się, że tak mało turystów nocuje w Sokcho; przez sześć dni mojego pobytu (6 nocy) przez pięć byłem jedynym gościem w schronisku. Jeżeli ktoś nie dysponowałby czasem, aby przejść szlakami, którymi przeszedłem, wystarczą dwa dni, warto doliczyć dzień na wycieczkę do portu i na plażę. Pobyt w Sokcho potraktowałem jako wypoczynek przed podróżą z Seulu do Warszawy.

17 kwietnia

Żegnam się z Górami Diamentowymi, które oglądałem z okien autobusu; wyglądają jeszcze pięknie, bo są już dla mnie niedostępne. Tuż przed 12 jestem w Seulu, bilet kosztował 16 200 W. Zaskoczenie!!! żadnej informacji, szukałem dość długo na Est

Terminal Bus, wreszcie wszedłem do najbliższego hotelu Dong Seul, w którym pani była tak uprzejma, że znalazła jeden z hosteli na planie miasta, który mi dała, i wytłumaczyła, jak mam dojechać. Doszedłem do najbliższej stacji metra, linii zielonej Gangbyeon, bilety tylko w automacie, trzeba wyszukać na schemacie stację, z której się wsiada i stację docelową, zaznaczyć przyciskiem i wówczas wyświetli się cena biletu; należy doliczyć 500 W depozytu, który można odebrać po zakończeniu przejazdu w specjalnych automatach. Dojechałem do Hongik University, kierując się strzałkami, wyszedłem właściwym wyjściem, aby dojść do Grape Garden House. Dormitorium (sześć łóżek) kosztuje 17 000 W ze śniadaniem, ale może być kłopot z zaścięciem, bo sąsiaduje z livingroom. Hostel jest przy jednej z uliczek, na których jest mnóstwo kawiarni artystycznych, galerii, eleganckich butików. Atmosfera dzielnicy bardzo podobna do paryskiej Montmartre. Studenci szkół artystycznych ubrani są barwnie i ekstrawagancko.

18 kwietnia

Ze stacji metra Hongik Univ. można dojechać do Euljiro 3-ga, przejść w kierunku stacji pomarańczowej, wyjść wyjściem 6 i po 15 minutach, kierując się strzałkami, dojść pod bramę Jeongjeon, królewskiej świątyni; bilet tani 1000 W, ale trzeba wejść z grupą, później można się odłączyć. Należy bardzo uruchomić wyobraźnię, bo chodzi się po pustych dziedzińcach, nie wchodzi się do żadnych wnętrz. Szkoda godziny na tę wycieczkę, chociaż świątynia znajduje się liście UNESCO. Uliczką, tuż przy murze świątynnym, w kierunku Changdeokgung, wychodzę wprost na bramę, a raczej kasę (3000 W). Zespół pałacowy faktycznie wart obejrzenia, zwiedzanie sekretnego ogrodu dodatkowo płatne 5000 W. Pałac Changgyeonggung też znajduje się pod patronatem UNESCO. Wychodzę bramą, którą wszedłem, bo kierując się na wschód, dojdę do bramy Geonchunum. Warto zobaczyć Nationale Folk Museum łącznie z rodzajem skansenu, który jest placem zabaw, a dorośli mogą wypić kawę w starodawnej kawiarence. W parku jest przejście do Gyeongbokgung i znów kilkanaście obiektów o randze UNESCO. Muzeum Narodowe jest nieczynne, ale o 15 trafiam na zmianę warty przy bramie Gwanghwamun; można je oglądać również w innych godzinach. To niesamowite, że żołnierze w historycznych mundurach z chorągwiami i bronią maszerują w mieście już z XXI wieku. Idę Gwanghwamun centralną arterią miasta, oglądam pomniki, dochodzę do pałacu Deoksugung, wstęp 1000W, ale już mam dość. Stacja metra City Hall jest dla mnie wybawieniem, wystarczy zejść na zieloną linię i do hostelu. Nie mam siły stać w ulicznej knajpcie, kupuję smażone w głębokim tłuszczu warzywa i różności za 2500 W, ale zjadam je w hostelu. mangutang@hotmail.com

19 kwietnia

Okazuje się, że po 16.00 banki są zamknięte; nie mogłem wczoraj wymienić pieniędzy, ale zrobiłem to dziś, aby zapłacić za wycieczkę do strefy zdemilitaryzowanej, 48 000 W, bardzo drogo! Okazało się, że można dojechać pociągiem do stacji Imjinalgak, a potem poruszać się specjalnymi autobusami. Zwiedzanie zaczyna się od symbolicznej stacji kolejowej, widać most i tory, które łączyły Koreę ze światem, są pomniki, platforma widokowa, a potem do tunelu 3. O tym dowiedziałem się z folderów, które wzięłem w informacji turystycznej przy parkingu. W mieście nigdzie nie dowiesz się o tej możliwości taniego zwiedzania. Fakt, wynajęty samochodem wygodnie, chociaż

kierowca próbował wymigać się od odwiezienia mnie do hostelu. W sumie atrakcja bardzo średnia.

20 kwietnia

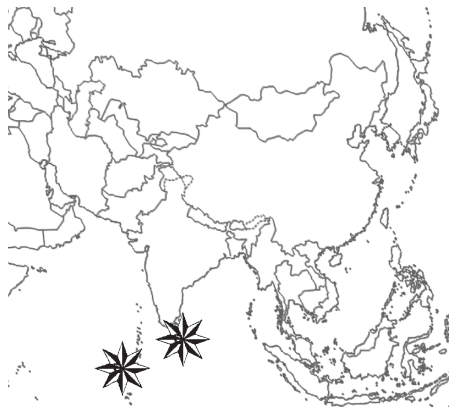
Bez pośpiechu zjadłem śniadanie i pojechałem na lotnisko. Podróż zacząłem ze swojej stacji lotniskową linią metra, trzeba raz się przesiąść, ale są informacje po angielsku i trudno się zgubić; bilet kosztuje 4350 W, do odebrania 500 W depozytu, przejazd trwa prawie godzinę, lotnisko ogromne, ale wszystko jest dobrze oznakowane.

Zapraszam do Korei, mam nadzieję, że swoją relacją zachęciłem podróżników.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Jest taka gałąź biznesu, w której Afryka wyprzedza świat. Za wszystko – od worka mąki po edukację dzieci – płaci się tam przez telefon komórkowy. Zachód dopiero dojrzewa do tej rewolucji. W Kenii aż 68 proc. posiadaczy telefonów komórkowych używa ich jak konta i portfela. Większość transakcji to niewielkie kwoty, ale przesyłane w ten sposób pieniądze sięgają łącznie 20 proc. PKB Kenii. Kiedy rolnik przywozi na targ worek mąki, kupiec płaci za nią, wysyłając mu SMS. Podobnie płaci się za jazdę taksówką (kierowcy się cieszą, bo dzięki temu wożą ze sobą mniej gotówki i mniej ryzykują) i za edukację dzieci (nie trzeba stać w długich kolejkach). Tak odbiera się pensję, kupuje bilety lotnicze i reguluje rachunki w budce z piwem. Prawdopodobnie w niedalekiej przyszłości przez telefon będzie można ubezpieczyć plony i stado krów, opłacić pogrzeb, wziąć pożyczkę i gromadzić oszczędności. System płatności M-PESA (w języku suahili pesa oznacza pieniądze) jest dostępny dla najuboższych.

Malediwy – Sri Lanka



Termin: 6–19 marca 2013

Planowanie, planowanie, planowanie... a tu nagle pojawiła się całkiem dobra promocja Emirates i w dodatku z Warszawy. Po krótkim namyśle i szybkich decyzjach ustalone, lecimy, tylko gdzie?

W Warszawie zima w pełni, choć w kalendarzu prawie wiosna, więc lecimy tam, gdzie najcieplej, trzeba się wygrzać. Czas, jaki możemy wygospodarować, to maksymalnie dwa tygodnie, tak więc decyzja zapadła: lecimy na Sri Lankę... ale, ale chociaż skoro można pokombinować z przylotem w jedno, a powrotem z innego miejsca, dla czegożby nie zwiedzić czegoś jeszcze... tak więc powstał zarys – lecimy na Malediwy. Tam 5 dni, a potem przelot na Sri Lankę i tam jeszcze 7 dni.

Po lekturze przewodnika, wielu godzinach spędzonych na czytaniu „relacji z podróży” jak i wszelakich wpisów na forach (...nadal się nie przestraszyliśmy malkontentem naszych „podróżników”, że tam źle, że biją, że kradną, a i słońce świeci za mocno, w wodzie się utopić można itp.), ustalony został szczegółowy plan, kilkadziesiąt mejli, kilka rezerwacji i mamy hotel na Malediwach, pierwszą noc na Sri Lance i kierowcę, który z braku czasu na samodzielny objazd, przez 4 dni będzie z nami jeździł w zaplanowane przez nas tzw. „must see”, a następnie nas porzuci gdzieś na południu.

6 marca. Wylot do Dubaju

Nadchodzi właściwy dzień i wylatujemy z Warszawy, jakby nie było z 1,5 godzinnym opóźnieniem. Samolot to Airbus A330-200 przyzwyczajony, acz już widać, że wiele godzin wylatał. Po kilku godzinach lotu i po około godzinnym krążeniu nad Dubajem (korek w powietrzu) lądujemy, 5 godzin oczekiwania na lotnisku zlatujemy tym razem Boeingiem 777-300ER do Male.

7 marca. Male i Maafushi

W Male lądujemy o 8:30 i czym prędzej zmierzamy do kontroli i po odbiór bagażu, prom na naszą wyspę Maafushi mamy o 10:00 z przystani po drugiej stronie Male. Spieszymy się, ponieważ następny prom jest o 15:00, a nie chcemy spędzać połowy dnia na Male, gdyż w drodze powrotnej spędzimy tu kilka ładnych godzin.

Wsiadamy na prom płynący z lotniska do Male (1 dolar od osoby, w rupiach jest taniej, ale że się spieszymy, nie było czasu wymienić pieniędzy), wskakujemy do taksówki i za 3 dolary jedziemy do przystani Villingili, kierowca kompletnie nieorientowany tłumaczy, że prom na Maafushi jest tylko o 15:00 i nie ma innego. Wpadamy do kasy 9:50, kupujemy bilety (2 \$ osoba) i biegiem na prom. Trochę ponad godzinę i dopływamy na Maafushi; po drodze można zobaczyć jeden resort z domkami na wodzie. Dodatkową atrakcją jest możliwość przyjrzenia się lokalnej ludności (99% ludzi na promie).

Na przystani miły Pan z karteczką hotelu (White Shell) czekał na nas, po czym zaprowadził do hotelu. White Shell Beach Inn ma bardzo fajne położenie trochę na uboczu i nad samą wodą, chociaż, niestety, obok niego rozpoczęła się budowa kilku-piętrowego molocha i cały urok niedługo zniknie...

Maafushi to lokalna wysepka i od czasu, kiedy może przyjmować turystów, powstało tutaj kilkanaście hoteli i budują się następne, a wyspa jest niewielka – w godzinę można obejść całą dookoła. Na samej wyspie nie ma dużo do roboty, wystarczy jeden pełny dzień, aby obejść i zwiedzić wszystkie zakamarki.

Nam wyspa bardzo się spodobała – małe kolorowe domki i przemili ludzie, naprawdę warto pospacerować i porozmawiać z tubylcami. Na wyspie znajdują się praktycznie 3 plaże, jedna typowo turystyczna przy hotelu Kaani Beach (absolutnie nie dla nas – tłum ludzi jak nad polskim morzem), druga przy White Shell (malutka, bardziej ustronna) i trzecia po drugiej stronie wyspy dla miejscowych (co nie znaczy, że samemu nie można tam iść), niestety, nam z braku czasu nie udało się popływać przy plaży dla miejscowych, a właśnie tam podobno jest jedyna sensowna rafa na wyspie.

Przy White Shell / Kani Beach czy innych rafa bardzo uboga, praktycznie bez kolorów, życia podwodnego trochę jest, ale bez większych wrażeń. Kolor wody jest niesamowity, zwłaszcza po przeciwnej stronie wyspy od strony więzienia (6–7 odcieni niebieskiego/zielonego czy jakkolwiek te kolory się zwą – jest genialnie).

Odpoczywamy dzień, w którym przyплыliśmy i następny dzień, po czym wybieramy się na wycieczki...

9 marca. Wyspa Biyadhoo

Niestety, przed samym naszym wyjazdem, jako że był to szczyt sezonu, najpierw resort ten wprowadził ograniczenie do 20 osób odwiedzających dziennie, a następnie podniósł cenę wejścia na wyspę z 15 do 30 dolarów (dopłyńcie 20 \$).

Sama wyspa jest bardzo ładna i zdecydowanie warta odwiedzenia – pomimo resortowego charakteru jest stosunkowo dziko porośnięta bujną roślinnością, jest dużo ustronnych miejsc, gdzie można się rozłożyć i w spokoju popływać, dodatkowo ma całkiem fajny kawałek rafy po prawej stronie, schodząc z pomostu, do którego się przybija... Na skraju płytkiej wody jest ściana schodząca tak na 15–20 metrów, koralowce wielobarwne i całe ławice przeróżnych ryb, a w oddali skaczące delfiny...

Ogólnie resort zdecydowanie polecam, bardzo fajny, drobny, biały piasek, bujna roślinność i przepiękny kolor wody...

10 marca. Resort Kandooma

Następnego dnia wybraliśmy się do resortu Kandooma (po przeczytaniu opinii na forach), gdzie chcieliśmy zobaczyć bardziej ekskluzywny resort... Wstęp na wyspę 100 \$ od osoby i można do tej kwoty korzystać z „atrakcji” resortu: od jedzenia, przez masaż

po, jeśli czas pozwoli, różne wycieczki. Jednak koszt wszystkiego wysoki, masaże powyżej 100 \$ za osobę, wycieczki podobnie, natomiast jedzenie i napoje znośne (jak na re-sort wysokiej klasy) – pizza (bardzo dobra) 23 \$, obiad składający się z przystawki, zupy, drugiego dania, deseru i napoju ok 50 \$ (inne napoje i drinki między 7 a 12 dolarów).

Wyspa bardzo mocno przygotowana pod turystów, każdy centymetr zagospodarowany, mało bujnej roślinności i praktycznie kompletny brak rafy dostępnej z brzegu powoduje, że dla aktywnych osób robi się tam po godzinie po prostu nudno.

Sam resort oczywiście przyjemny, jednak absolutnie drugi raz byśmy się tam nie wybrali, a i przebywać tam dłużej niż 2–3 dni to już zupełnie nie ma sensu. No chyba, że ktoś lubi się rozłożyć na plaży czy w basenie i nic nie robić, to na taki relaks jak najbardziej można polecić.

11 marca. Maafushi – Male – Colombo

Na wyspie, jak i na całych Malediwach, jedyne na co trzeba uważać, to jak zwykle w tych rejonach kokosy, które zdarza się, że spadają z głośnym hukiem (na pewno nikt by nie chciał dostać 1,5 kg orzechem spadającym z kilkunastu metrów), a także na dosyć silne prądy oceaniczne, których można nie wyczuć swobodnie sobie snurkując.

Odnosnie do jedzenia, to na Maafushi jedynym sensownym rozwiązaniem na kolację jest „VenturoMaledives”, gdzie za 5 \$ można najeść się do upadłego i co najważniejsze całkiem smacznie, inne restauracje hotelowe są dosyć drogie i niezbyt smaczne, a lokalnych brak. Jeśli chodzi o sklepy, to jest kilka z podstawowymi produktami i pamiątkami.

No i tak, niestety, czas zleciał nam w tempie nadchodzącego zmroku, który ok 18:30 od ładnego słońeczka w 20 minut przechodzi w całkowitą ciemność. O 7:30 rano wsiadamy na prom do Male, gdzie spędzamy pozostały czas, szwendając się: a to po targu rybnym, a to po targu z owocami, a to spacerując po całkiem przyjemnych uliczkach stolicy.

Wsiadamy na prom na lotnisko i o 16:20 wylatujemy na Sri Lankę do Colombo...

Podsumowując:

- Fantastyczny kolor wody.
- Bardzo sympatyczni uśmiechnięci ludzie.

Jedynym minusem są nasi kochani rodacy szmuglujący alkohol na wszystkie sposoby, jakie się da, paradujący prawie nago w miejscach, gdzie dla szacunku wypadałoby się zakryć, i marudzący na wszystko dookoła od wolnej obsługi po brak schabowego.

Do Colombo przylatujemy po ponad godzinie lotu i po 18:00 podczas zmierzchu jesteśmy na lotnisku – tu szybka wymiana dolarów na rupie, a następnie idziemy szukać transportu. Po sporych targach jedziemy do naszego hotelu Silver Sands – hotel znajduje się paręnaście kilometrów od lotniska, jest niedrogi, nad samym oceanem i jest w zupełności wystarczający, jeśli ktoś poszukuje niedrogiego noclegu na jedną noc zaraz po przylocie.

12 marca. Pinnawala – Sigiriya

Następnego dnia spotykamy się z naszym kierowcą, który okazuje się być bardzo sympatycznym człowiekiem. Dammi, od teraz będzie naszym przewodnikiem przez najbliższe 4 dni. Pakujemy się do naszej Toyoty Hiace i jedziemy w stronę sierocińca dla słoń, po drodze zatrzymując się na plantacji ananasów oraz innych owoców i warzyw; po krótkiej przekąsce (m.in. ananas z solą i chili) i dalszej jeździe jesteśmy w sierocińcu...

Wątpliwości były spore, czy jechać, bo podobno słonie cierpią, są na łańcuchach, są bite itp., i tu można się spierać i wysuwać mnóstwo argumentów za i przeciw, jednak po chwili spędzonej tam uważamy, że warto odwiedzić to miejsce – zwłaszcza jeśli podróżują dzieci (były dwa słoniki pięciomiesięczne, całe porośnięte na grzbiecie długimi włosami...). Zwierzęta mają przyzwoite warunki, nic specjalnie złego nie dało się zauważyć.

Z Pinnawala udaliśmy się do Sigiriya – tutaj małe wtrącenie odnośnie do jazdy samochodem po Sri Lance, bo opinii, jak to zwykle bywa, jest mnóstwo i każda inna, tak więc w mojej opinii:

- Spokojnie można wynająć samochód samemu (potrzebne międzynarodowe prawo jazdy), jeśli ktoś pewnie się czuje za kierownicą, nie boi się dużego ruchu i jest uważny poradzi sobie spokojnie.
- Jeśli ktoś nie ma czasu tak jak my na jeżdżenie, wynajmowanie itp., to samochód z kierowcą, który podpowie, opowie i wie, jak najszybciej jechać, jest lepszym rozwiązaniem.
- Podróżowanie samochodem jest bardzo powolne, średnia max 40 km/h, choć transportem publicznym jeszcze powolniejsze.
- Wypadków w porównaniu z Polską jest bardzo mało, widzieliśmy jedną przygodę, jak ciężarówka wjechała w ogrodzenie, a przejechaliśmy ponad 1000 km (w Polsce jadąc nad morze czy w góry ZAWSZE na „7” jest jakiś wypadek).
- Natomiast ruch w miastach jest typowo azjatycki, od krów, psów, przez ludzi, motory, tuk-tuki, samochody, autobusy i co tylko się da, w dodatku wszystko jedzie pod prąd.

W Sigiriya zdecydowanie warto się wspiąć (30 \$ za osobę) na „lwią skałę”. Polecam wejście na samą górę, nie jest to aż takie ciężkie, jak wydaje się po pierwszych kilkudziesięciu stopniach i praktycznie każdy, choć odrobinę sprawny, sobie poradzi, natomiast widok z góry bardzo fajny. Dodatkowo wiele małp czy waranów biega wokoło.

13 marca. Dambulla – Kandy – Nuwara Eliya

Po długim dniu nocleg mamy w położonym na uboczu hoteliku, po nocy z jaszczurkami, poranna wizyta w Dambulli. Samo miejsce również przyjemne, złota świątynia bardzo mocno „plastikowa”, tak samo jak i muzeum, natomiast po wejściu na górę do świątyni w skałę jest już ciekawiej. Oczywiście przed samym wejściem trzeba zdjąć buty i zdeponować za 25 rupii od osoby u pana w „przechowalni”, co bardziej przebiegli, głównie nasi rodacy, aby zaoszczędzić te kilkadziesiąt groszy, zostawiali buty na uboczu pod drzewami, oczywiście ku radości całych stad małp zabierających wszystko co się trafi.

Z Dambulli przejechaliśmy w szybkim tempie do Kandy, gdzie nie wchodząc do środka (już zrobiło się dużo tych świątyń), obejrzelśmy Świątynię Zęba Buddy, zwiedziliśmy miasto i skierowaliśmy się do Nuwara Eliya na nocleg.

Po drodze, gdzie tylko mogliśmy, zatrzymywaliśmy się, aby kupić owoce – od bananów, ananasów, papai po wszelakiego rodzaju czerwone banany, mangostany czy jack fruity, owoce przepyszne, słodkie, soczyste, a ananasów nigdzie takich nie jedliśmy...

14 marca. Nuwara Eliya – Nanu Oya – (pociągami) – Ella – Tissamaharama

Miasteczko Nuwara Eliya nie było specjalnie urokliwe, choć dojazd wzgórzami porośniętymi herbatą fantastyczny. Także widok wszystkich „polskich” warzyw i owoców, jak marchewka, pietruszka czy truskawki, był przyjemny. Choć kierowca był mocno

zdziwiony, że nie chcemy wstąpić na pyszny koktajl z truskawek. Za to w fabryce herbaty nie mogliśmy się oprzeć, aby nie kupić trochę świeżej, na miejscu produkowanej herbaty, po degustacji każdy kupił sobie po pudełku...

Około południa znaleźliśmy się na stacji kolejowej Nanu Oya, skąd pociągiem udaliśmy się do miejscowości Ella (przejazd około 3 godziny, koszt 2,50 zł / osoba). Wśród wyczytanych opinii na naszych forach przeważała, że wcale nie taka ciekawa ta trasa, jak ją opisują. Jednak według nas była fantastyczna, pociąg jedzie powoli wśród dolin i pól herbacianych, przejeżdżając przez maleńkie wioski, niekiedy obok domków – „ulepionych” z gliny, bez żadnych dróg dojazdowych. Bardzo polecamy tę przejażdżkę, zwłaszcza stojąc w otwartych drzwiach, jeśli się uda miejsce zająć, bardzo fajne widoki...

Z Ella po nieśmiertelnym rice & curry udaliśmy się do Yala National Park na poranne safari...

15 marca. Yala NP (Safari) – Tangalle

Kiedy kładliśmy się spać w Tissamaharama, zaczęła się tropikalna ulewa, która trwała tak do godziny 5:00 rano, o której to wstaliśmy na safari; szybkie spotkanie z kierowcą i... zaczyna się szalony wyścig kierowców jeepów (duże nadużycie), bo kto pierwszy, ten krócej stoi w kolejce po bilety i pierwszy rusza na trasę. Safari przyjemne (55 \$ jeep i ok 60 zł za osobę bilet), jeździ się ok. 5 godzin, zwierząt nie za dużo, choć sporo ptaków, krokodyli, dzików, jeleni, kilka słoni, mangust czy waranów można spotkać, niektórym się udaje spotkać leoparda czy śmiesznego kudłatego niedźwiedzia lankijskiiego; widoki bardzo ładne – polecam.

Od tej pory już bez kierowcy znaleźliśmy się w Tangalle, gdzie planowaliśmy zobaczyć olbrzymie żółwie składające jaja na plaży w Rekawie. Dojazd tuk-tukiem po straszliwie wyboistej drodze (ogólnie drogi podobne jak te mniej remontowane po zimie w Polsce), spotkanie z podejrzaną ekipą „ichnich” ekologów, która pobiera opłatę (1000 rupii / osoba) po czym oczekiwanie aż „ekipa” znajdzie żółwia, przepięknie rozgwieżdżone niebo z wielkim wozem do góry kołami (prawie jak na Mazurach przed nastu laty, tylko ten wóz...). Pojawia się mrugające światełko, znaczy się żółw znaleziony, na początku było fajnie tylko ze 3–4 osoby poza nami, po czym im dłużej czekaliśmy, tym więcej osób się schodziło, aż w końcu kilkadziesiąt osób otoczyło jednego biednego żółwia (ok. 100 kg, metr długości), głośno debatując nad nim, fotografując z fleszem, prawie się przepychając, aby być bliżej niego – biedny żółw był tak zestresowany, że po złożeniu i zakopaniu jaj zaczął wchodzić w betonowy falochron zamiast w stronę morza... inna sprawa, że to musi być gigantyczny wysiłek dla żółwia, aby tymi niezdarnymi na lądzie „płetwo-łapami” przedostać się te kilkanaście metrów na brzeg.

Jeśli czegoś miałbym nie polecać, to nie słoni, a właśnie żółwi, wydaje mi się, że ten żółw już nigdy na tę plażę nie wróci...

16, 17, 18 marca. Mirissa – Welligama – Galle

Po nocy w Tangalle (tu widać jeszcze w hotelach pozostałości po tsunami: wszystkie kable elektryczne są na wierzchu, stare sterczą ze ścian i sufitów) udaliśmy się do Mirissy, bo następnego dnia chcieliśmy popłynąć, by zobaczyć płetwale błękitne, które właśnie w tym okresie w okolicy przebywają.

Znaleźliśmy całkiem niedrogi hotelik (2500 rupii / pokój), tuż przy oceanie, nieomalże na plaży w Mirissie, okolica niestety typowo turystyczna, wszystkie hotele czy

restauracje przygotowane pod turystów typu „all inclusive”, którzy poza obszar plaży i baru się raczej nie zapuszczają. Zdecydowanie nie polecam żadnej restauracji na plaży: drogo, małe porcje i daleko im do tych tradycyjnych, które można znaleźć w mieście... Jeśli już ktoś musi jeść tam, to proponuję wybierać gdzie najtaniej, bo wszędzie smakuje podobnie.

Widoki bardzo ładne, szczególnie „ukryta plaża” za wzgórzem, jeśli ktoś nie może znaleźć, wystarczy zapytać miejscowych i zaraz pokażą drogę, choć nawet bez pytania zaraz pokazują.

Następnego dnia udaliśmy się na wspomniane wielorybie safari (6000 rupii / osoba)... i tu kolejne rozczarowanie, bo oczywiście nie myśleliśmy, że będziemy „pływać” z wielorybami i głaskać je po grzbiecie, ale wiele godzin na wodzie w tłumie innych łodzi, wciśnięci w tłum pasażerów, gdzie na okrzyk z jednej łodzi wszystkie z dzikim pędem w chmurze dymu i warkocie diesla płyną, bo gdzieś pojawił się płetwal, nie było to ani ekscytujące, ani przyjemne; widzieliśmy dwa płetwale, ale to safari nie jest według mnie godne polecenia... (Choć czytałem gdzieś na forum, że ktoś widział „...taniec wielorybów z małymi, gdzie wszyscy w ciszy i skupieniu oglądali ten spektakl na końcu wieńcząc go brawami...”). Może nie mieliśmy szczęścia.

Ostatniego dnia naszego pobytu udaliśmy się poprzez Welligamę do Galle. Welligama to mała wioska z charakterem: zatłoczona, głośna i kolorowa, typowo lankijska, jednym słowem przyjemna na spacer.

Galle to bardzo duże miasto z bardzo ciekawym fortem holenderskim. Polecamy zagłębić się w małe uliczki z dawną europejską zabudową, to taka europejska starówka na końcu świata...

A potem już tylko lotnisko, samolot (tu fajna niespodzianka – Boeing 777-300ER wyprodukowany w 2012 roku, naprawdę fajny...), Dubaj, a następnie -5 stopni, śnieg, godzinę czekania na bagaż na lotnisku i... zaczynamy kolejne plany na następną podróż.

Gdzie tym razem? Tajlandia? A może Japonia? ...tylko promocji jak niedawno szukać trzeba...

A może jednak Nowa Zelandia? Hmm, pomysłów jest sporo, czasu mniej...

Podsumowując:

Czas zleciał bardzo szybko, 14 dni jak okiem mrugnął, zdecydowanie pozytywne wrażenia, nowe doświadczenia i kolejne piękne miejsca, o których się tylko marzyło, odwiedzone. Co zapamiętam?

Na Malediwach zdecydowanie przepiękny kolor wody, tak jak wspominałem, jeszcze tylu odcieni nie widziałem i nawet się nie spodziewałem, że tyle może być, piękne plaże, przepiękne olbrzymie palmy kokosowe „kładące” się na ocean... Wspaniałe miejsce na relaks i wypoczynek...

Sri Lanka natomiast na wypoczynek niekoniecznie, tu zdecydowanie objazd i zwiedzanie, głównie ze względu na kilka ciekawych zabytków, egzotyczną przyrodę i przede wszystkim ze względu na przemiłych ludzi, o których czytałem, że patrzą na białego tylko jak na worek z pieniędzmi, a co ku mojej uciechy okazało się nieprawdą. Oczywiście niektórzy chcą zarobić na nas i jest to zrozumiałe w biednym kraju, przecież i u nas pełno „parkingowych”? Naprawdę bardzo mili, uczynni i uśmiechnięci ludzie. Co więcej? Niezapomniany kolor pól herbacianych porastających wzgórz, naprawdę to trzeba zobaczyć... **POLECAM!**

Dookoła Jukatanu – Meksyk



Jukatan to półwysep, na obszarze którego leżą meksykańskie stany: Jukatan, Quintana Roo i Campeche. Stanowi jeden z ciekawszych rejonów Meksyku; oferuje wiele miłośnikom plaż, przyrody, prekolumbijskich i kolonialnych zabytków, gastronomii oraz sportów nie tylko wodnych.

Uczestnicy

Czwórka: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Teoretycznym liderem grupy był autor tego tekstu. Po pierwsze dlatego, że był już wcześniej w Meksyku (ale nie na Jukatanie), a po drugie dlatego, że zna język hiszpański.

Wiza

Jeśli cel jest turystyczny, to przy pobytach w Meksyku do 180 dni wiza jest niepotrzebna. Za to w samolocie należy wypełnić deklarację celną.

Choroby i szczepienia

Szczepienia nie są wymagane. Zalecane jest szczepienie na żółtaczkę, dur brzuszny i wściekliznę. W Meksyku zdarzają się przypadki malarii, między innymi w sąsiadujących z Półwyspem Jukatan stanach Chiapas i Oaxaca.

Termin i przelot

Podróż odbyła się w dniach 30 stycznia – 11 lutego 2012 r. Po odliczeniu czasu przeznaczonego na lot i transfery, na zwiedzenie Jukatanu mieliśmy zaledwie 10 dni. Bilety Lufthansy na trasie Warszawa–Frankfurt–Cancun–Frankfurt–Warszawa znaleźliśmy kilka miesięcy wcześniej w cenie 2492 zł.

Transport na miejscu

Z Jukatanu łatwo dostać się do Belize i Gwatemali, ale ten ambitny plan upadł: musielibyśmy bardzo dużo czasu spędzić w środkach transportu. Autobusy są wygodne i raczej punktualne, na bardziej uczęszczanych trasach istnieje wybór między przewoźnikami różniącymi się cenami, standardem usług i długością przejazdu (najdroższe i najlepsze są autobusy ADO). Rozkłady autobusów można sprawdzić na stronach: www.ticketbus.com.mx www.ado.com.mx

Na trasie zaplanowaliśmy jeden nocny przejazd, który zabrał nam nie tylko noc, ale i pół dnia (Xpujil–Merida). Na krótszych trasach kursują minibusy, a niekiedy pozostaje tylko wynajęcie taksówki z kierowcą. Poza tym funkcjonuje sprawny transport promowy na wyspy.

Język

W wielu przypadkach angielski powinien wystarczyć, chyba że udajemy się na obszary zupełnie oddalone od szlaków turystycznych. Język hiszpański na terenie Jukatanu posiada regionalne naleciałości; liczni mieszkańcy półwyspu używają nadal prekolumbijskich dialektów Majów. W niektórych sytuacjach Polacy mogą się powołać na Jana Pawła II (hiszp. Juan Pablo II; czytają: Huan Pablo Segundo), co nieraz pozwala znaleźć nić porozumienia z Meksykanami. Znajomość hiszpańskiego zdecydowanie ułatwia targowanie i zmniejsza ryzyko bycia nabytym w butelkę.

Noclegi

W Meksyku, a na Jukatanie w szczególności, można znaleźć szeroki wybór noclegów w różnych cenach i o różnym standardzie. Zawsze warto się targować, zwłaszcza jeśli zostajemy gdzieś więcej niż jedną noc. Czasem w cenie znajduje się śniadanie, co dobrze byłoby uwzględnić przy negocjacjach. W zależności od sezonu, lokalizacji i naszej zdolności do targowania za podobną cenę nieraz można dostać łóżka w sali wieloosobowej albo wygodny hotelowy pokój.

Pieniądze i ceny

W miastach nie ma większych problemów ze znalezieniem kantoru lub bankomatu, aczkolwiek nie wszystkie bankomaty chcą współpracować z posiadaczami polskich kart. Ceny w niniejszej relacji podane są w meksykańskich dolarach, czyli peso (MXN), a niekiedy w dolarach USA (USD). W lutym 2012 r. kurs peso wynosił około 12 MXN za 1 USD. Przykładowe ceny: kurczak z dodatkami i piwem 85 MXN; drink capirinha w barze 60 MXN, papaya 15 MXN za 1 kg, tacos 7–10 MXN za sztukę, duża bułka 1,5 MXN, banany 8–9 MXN za 1 kg, jabłka 28 MXN za 1 kg, pomidory 9 MXN za 1 kg, pizza meksykańska z colą 85 MXN, piwo 25 MXN, jogurt 6,55 MXN. Rzecz jasna, ceny mogą się znacznie różnić zależnie od tego, czy kupujemy na bazarze, czy w sklepie, w kurorcie czy w małym miasteczku.

Przewodnik

Mieliśmy do dyspozycji „Cancún, Cozumel & the Yucatán” wydawnictwa Lonely Planet, który w naszym przypadku był użyteczniejszy niż przewodnik po całym Meksyku. Sprawdził się znakomicie. Uzupełnieniem była dla nas kserokopia rozdziału o Jukatanie ze starego przewodnika Pascala w języku polskim.

Bezpieczeństwo

W ostatnich latach poziom bezpieczeństwa w Meksyku znacznie się pogorszył. Na szczęście Jukatan (wliczając stany Jukatan, Quintana Roo i Campeche) jest jednym ze spokojniejszych regionów tego kraju. W czasie podróży nie spotkały nas żadne nieprzyjemności.

Złośliwa fauna

Repelenty okazały się w ogóle nieprzydatne. W lutym nie spotkaliśmy ani komarów, ani tarantul, ani robactwa, choć nie wszystkie miejsca, gdzie nocowaliśmy, lśniły czystością i posiadały moskitiery. Może mieliśmy szczęście. Na Cozumel dzieliliśmy

kwaterę z żerującym na ścianie gekonem, więc jakieś owady musiały tam być. Osoby mające problem z gadami powinny przygotować się na częste spotkania z mniejszymi i całkiem dużymi iguanami, które jednak mają miły i niekonfliktowy charakter. Węży nie widzieliśmy. W czasie snorkelingu koleżanka została dość mocno (ale ostatecznie niegroźnie) poparzona przez meduzę.

Cenotes

Cenotes to naturalne zbiorniki wodne w jaskiniach. Niektóre są „dzikie”, inne przystosowano do kąpieli i/lub nurkowania. To jedna z największych atrakcji Jukatanu.

OPIS PODRÓŻY

Cancun

Po odprawie szybko przemieszczamy się na niewielki dworzec autobusowy położony koło lotniska. Stamtąd łapiemy wygodny i klimatyzowany autobus ADO do Playa del Carmen (około 1 h drogi, 114 MXN), gdzie mamy zarezerwowany hotelik. Cancun zobaczmy właściwie tylko z okna pojazdu.

Playa del Carmen

Jedna z tzw. pułapek na turystów, jednak niepozbawiona uroku: deptak, masa barów i sklepików z pamiątkami, ale też parę klimatycznych uliczek i przystań. Miejsce niekoniecznie najtańsze, ale daje się przeżyć. Dla nas to tylko przystanek na drodze na wyspę Cozumel. Śpimy w hoteliku María Sabina, płacąc 50 USD za 4 osoby w jednym pokoju. Piwo w knajpcie: 35 MXN.

Cozumel

Przejażdżka promem z Playa del Carmen na wyspę Cozumel jest atrakcją samą w sobie (koszt w jedną stronę 156 MXN). Centrum gastronomiczno-handlowym na Cozumel jest San Miguel de Cozumel. Na miejscu mamy zarezerwowany nocleg w ośrodku turystycznym. Okazuje się, że turystów jest tyle, co kot napłakał, więc renegotjujemy warunki i ostatecznie za tę samą cenę dostajemy dwie dwuosobowe kwatery zamiast jednej czteroosobowej (225 MXN/1osoba, w cenie śniadanie, co i tak nie było tanie). Plażujemy na Playa Palancar, gdzie dowozi nas taksówka za 20 USD. Plaża to archetyp Karaibów; biały piasek, tropikalna roślinność, niedojrzałe kokosy na palmach i egzotyczne ptaki. Do hotelu wracamy gratis autostopem.

Na Cozumel jeździ się jednak przede wszystkim dla rafy koralowej. Decydujemy się na najtańszą i najszybciej dostępną opcję snorkelingu. Na miejscu istnieje wiele innych możliwości popłynięcia na „prawdziwą” rafę, których nie przetestowaliśmy. W agencji turystycznej w hipermarkecie kupujemy snorkelingową wycieczkę. Organizatorem jest Carlos Mendoza. Następnego dnia stawiamy się na wybrzeżu o 8.15. Odwiedzamy łodzią kilka miejsc przy zachodnim brzegu wyspy. Kolega jest mocno rozczarowany podwodnymi widokami, które okazują się mniej spektakularne niż się spodziewał. Ostatecznie za wycieczkę ze snorkelingiem płacimy 28 USD od osoby (z wyjątkiem rozczarowanego rejsu kolegi, który uzyskuje cenę 23 USD). Większość grupy jest jednak raczej zadowolona. Wychodząc naprzeciw wymagającym klientom, Carlos wiezie nas w ramach promocji na jeszcze jedno stanowisko. Uwaga na plecy! Meksykańskie słońce parzy, nawet jeśli nie czujemy go w wodzie. Uwaga na meduzy.

W centrum San Miguel de Cozumel warto odnaleźć restaurację „Las Flamitas” (Avenida 25 między Calle 3 i Morelos), taniej, przyjemniej i smaczniej niż w strefie turystycznej.

Tulum

Miasto Tulum jest rozciągnięte po dwóch stronach dość ruchliwej szosy. Dysponuje dużą bazą noclegową: ze znalezieniem miejsca w hostelu lub cabañas (drewnianych domkach) nie powinno być problemu, ale odległości są spore i, jeśli chcemy powybrzydzać, to musimy się trochę nachodzić.

Na posiłek miejscowi rekomendują nam indiańską jadłodajnię „El Tacoqueto”. To bardziej garkuchnia niż restauracja, ale wszystko jest przygotowywane na oczach klientów przez ciężko pracujące Indianki. „El Tacoqueto” znajduje się przy głównej szosie. Przeciętnie obiad kosztuje tam 60 MXN. Polecam jednak zupę z krewetek 100 MXN. A także soki owocowe. Pycha!

Wejście do strefy archeologicznej w Tulum kosztuje 57 MXN. W ruinach Tulum roi się od iguan. Wyrzewają się nieruchome w słońcu i początkowo koleżanka nie chce wierzyć, że nie są to wypchane jaszczury postawione w ruinach dla dekoracji.

Z miasta jedziemy też na plażę. Wbrew informacjom z Lonely Planet nie znajdujemy w mieście busów, ostatecznie bierzemy taksówkę. Kierowca poleca nam plażę Paraíso. Za dojazd płacimy 50 MXN (tyle samo kosztuje nas dojazd do strefy archeologicznej). Warto. Bielutki piasek, lazurowe morze, palmy i niewielu ludzi.

Chetumal

Bilet na trasie Tulum–Chetumal to koszt 193 MXN. Chetumal, miasto prawie na końcu świata, ma bardzo nowoczesny dworzec, który mógłby wpędzić w kompleksy niejednego obywatela Unii Europejskiej. Stamtąd ruszają podróżni do Belize i Gwatemali. My tylko zatrzymujemy się na lunch

Xpujil

Droga z Chetumal do Xpujil to strefa przygraniczna, gdzie jeszcze w latach 90. XX wieku działała gwatemalska partyzantka. Na trasie nasz autobus zatrzymują uzbrojeni żołnierze i dokonują kontroli autobusu. Do Xpujil docieramy wieczorem. „Dworzec autobusowy” to kontuar w holu, który jest jednocześnie przedsionkiem hotelu i miejscem towarzyskich spotkań. Pytamy o autobusy do Campeche i Meridy, przy okazji pan informuje o „jedynej” możliwości zorganizowania wycieczki do Calakmul. Na szczęście tuż koło „dworca” znajdujemy biuro turystyczne, gdzie już na starcie właściciel rzuca nam nieco niższą cenę. Po targach umawiamy się na 265 MXN za 4 osoby. Już po wycieczce, bardzo zadowoleni, dorzucimy jeszcze 100 MXN kierowcy, z którym wieczorem umówimy się na piwo. Oprócz samego Calakmul program obejmuje dwa mniejsze stanowiska archeologiczne i *cenote* z nietoperzami.

Poszukiwania noclegu w oddaleniu od centrum kończą się moją ucieczką przed psami. W końcu, mimo że część grupy kręci nosem, po skomplikowanych negocjacjach, decydujemy się na „hotel dworcowy” (900 MXN za 4 osoby za 2 noce, z których jedna okazała się niepełna).

Calakmul

Bładym świtem spotykamy się z meksykańskim taksówkarzem o anglosaskim imieniu Alex. Na wycieczkę zabieramy prowiant. W parku narodowym nie ma co liczyć

na sklepy. Kierowca ma czekać na nas przed wejściem do parku, gdzie mieści się też niewielkie muzeum (tam też znajduje się jedyny i kiepsko zaopatrzony sklepik). Obsługa parku pakuje nas z grupą Meksykanek do busa, a potem przez około godzinę wwozi po wertepach w głąb dżungli. Przez okna busa widzimy przedstawicieli ptasiej fauny. Po dojechaniu do strefy archeologicznej kierowca puszcza nas wolno. Przedtem zostajemy poinstruowani, że nie możemy spóźnić się na powrotnego busa, bo inaczej będziemy musieli długo czekać na następny.

Ruiny są rozległe, piramidy ogromne, z ich szczytu zaś rozpościerają się widoki naciągającą się po horyzont dżunglę. Oprócz ptactwa, udaje mi się dostrzec jakiegoś przedstawiciela kotowatych. Kolega spotyka za to dżunglowego lisa. Niestety, a może na szczęście, nie udało się nam zobaczyć jaguara, który występuje na tamtym obszarze. Po około trzech godzinach w Calakmul, pikniku przy ołtarzu Majów i problemach z powrotnym busem, w końcu docieramy do naszego taksówkarza. Ten, zgodnie z umową, wiezie nas do jeszcze dwóch stanowisk archeologicznych, które jednak nie robią już na nas takiego wrażenia.

W drodze powrotnej do Xpujil zatrzymujemy się przy jednej z najbardziej niesamowitych atrakcji Jukatany. Chodzi o cenote, którą o zmierzchu gigantyczną chmurą opuszczają tysiące nietoperzy. Nawet gdyby ruiny Calakmul nie były warte zobaczenia (a są), dla tego spektaklu warto dotrzeć do Xpujil. Obowiązkowo zrobiliśmy sobie zdjęcia ze znakiem drogowym przy szosie: „uwaga nietoperze”, które dla samochodów mogą stanowić jak najbardziej realne zagrożenie.

Xpujil–Campeche–Merida

Około czwartej rano sen przerywa nam natarczywe pukanie do drzwi. Pukanie zmienia się w łomot. Okazuje się, że zaspaliśmy na nocny autobus do Campeche (166 MXN). Na szczęście recepcjonista hotelu czuwa. W popłochu pakujemy plecaki i wymeldowujemy się, tymczasem cały autobus czeka, aż gringos łaskawie zejść i zajmą miejsca. Ładujemy się do pojazdu i z powrotem kładziemy się spać, tym razem na rozkładanych siedzeniach. W Campeche o 9.45 przesiadamy się do autobusu jadącego do Meridy (91 MXN). Podróżujemy liniami niższej klasy, co oznacza dłuższą jazdę i dodatkowe atrakcje, których nie zapewniają komfortowe autokary ADO. Zatrzymujemy się w małych, zapuszczonych i zupełnie nieturystycznych miasteczkach. Na trasie dosiadają się sprzedawcy bananów i słodczy, dwóch grajków daje w autobusie energiczny koncert (opłata co łaska), wędrowny aptekarz zachwala miksturę leczącą liczne dolegliwości. Dopiero koło południa wymęczeni docieramy do celu.

Merida

Oglądamy hotele w pobliżu dworca, które za znośną cenę oferują spartańskie warunki. W końcu jednak łapiemy taksówkę i jedziemy do centrum miasta, gdzie znajduje się guesthouse Nomada rekomendowany przez Lonely Planet. Z rekomendacjami przewodników różnie bywa, ale tym razem jest to strzał w dziesiątkę www.nomadas-travel.com. Bierzymy czteroosobowy pokój z piętrowymi łózkami, wiatrakiem i łazienką (580 MXN). Mamy szczęście, są miejsca. Ten nocleg warto wcześniej zarezerwować. Do dyspozycji klientów jest kuchnia, basen, obszerny ogród, hamaki, Internet. Śniadanie w cenie tylko z nazwy jest kontynentalne, bo oprócz dżemu, pieczywa, płatków, mleka, kawy i herbaty na konsumentów czeka góra pysznych i świeżych owoców.

Nocne życie w Meridzie koncentruje się wokół Plaza Grande i katedry. W podcieniach przy placu można kupić rewelacyjne lody o wielu oryginalnych smakach. Polecam lody z kukurydzy! W Meridzie nie brakuje świąt i wydarzeń kulturalnych. My trafiliśmy m.in. na festiwal folklorystyczny i ogólnie dostępne imprezy taneczne. Oprócz tego warto zobaczyć lokalny targ i kolonialną architekturę. Do niektórych budynków można wejść bezpłatnie.

Celestun

Celestun leży na wschód od Meridy, około 1,5 h jazdy autobusem (49 MXN). To senne miasteczko z kościółkiem i ratuszem wyglądającymi jak dekoracja do filmu oraz z sympatyczną plażą. Jednak nie plaża jest celem przybywających tam turystów, lecz pobliski park, gdzie można obserwować flamingi, a także pelikany i wiele innych gatunków wodnego ptactwa. W rezerwacie żyją niewielkie krokodyle.

Właściciele łodzi wycieczkowych czatują na turystów przy plaży. Po krótkim targu płacimy 200 MXN od osoby za wycieczkę. Flamingi są przyzwyczajone do odwiedzających – udane zdjęcia gwarantowane. Oprócz flamingów, pelikanów i innego ptactwa, jest jeszcze inna atrakcja. Łódź wpływa pomiędzy namorzynowe zarośla, a pośród mokradeł znajduje się miejsce, gdzie można wykąpać się w czystej wodzie lub pospacerować po drewnianych kładkach niczym w Poleskim Parku Narodowym.

Po powrocie do Celestun zasiadamy na plażowej restauracji „Avila”. Miejsce pracy menadżera restauracji zdobi wypchany krokodyl, wypchany żółw, odtwarzacz CD oraz głowa pumy. Świeże ryby morskie z patelni to jest to (100 MXN)! Fani owoców morza mogą też zamówić langusty, ale to już trochę droższa przyjemność. Po południu wracamy do Meridy.

Valladolid

Na trasie nasz autobus mija piękne kolonialne miasteczko Izamal. Trochę szkoda, że się tam nie zatrzymujemy na dłuższy postój. Cena przejazdu Merida–Valladolid: 90 MXN. Po dotarciu do Valladolid znowu wybrzdzamy. Wreszcie znajdujemy skromny nocleg w hotelu María Guadalupe, calle Guadalupe 44 (470 MXN / 4 osoby, w cenie wynegocjowane śniadanie). Następnej nocy zmieniamy go na komfortowy hotel San Clemente z basenem, mieszczący się w budynku dawnego klasztoru. Dzięki sile negocjacyjnej naszego kolegi uzyskujemy specjalną taryfę. Hotel położony jest tuż obok katedry. www.hotelsanclemente.com.mx

Stopniowo zaliczamy atrakcje Valladolid i okolicy. To dobre miejsce wypadowe na wycieczki do Chichen Itza, Coba, Ek Balam. Na terenie miasta znajdują się udostępnione turystom *cenotes*. Warto się wykąpać i zobaczyć zarówno *cenote* Dzitnup, jak i Samulá (wstęp za opłatą). Ponadto w Valladolid jest spory i nienastawiony na turystów bazar, gdzie oprócz tropikalnych owoców i typowo meksykańskich wyrobów można znaleźć masę produktów *made in China*.

Przy ulicy Calzada de los Frailes odwiedzamy prywatną wytwórnię czekolady z niewielkim muzeum i sklepikiem. Wstęp i degustacja bezpłatne. Do muzeum miejskiego trafiamy przez przypadek i chronimy się tam przed upałem na 10 minut. Poza tym w Valladolid jest ciekawa katedra, a obok zafajdany przez ptaki park, gdzie od Indianek można kupić hamaki.

Z braku rozeznania pierwszego dnia trafiamy do jakiejś przypadkowej restauracji. Drogo i średnio smacznie. Na szczęście ktoś miejscowy pokazuje nam Bazar Municipal

na rogu ulic 39 i 40. Tradycyjne meksykańskie jadłodajnie pod arkadami serwują błyskawiczną kuchnię meksykańską i jukatańską, a do tego pyszne soki. To jedno z najlepszych doświadczeń kulinarnych, jakiego doznaję w Meksyku, w dodatku za niewielkie pieniądze. Przez resztę pobytu w Valladolid stołujemy się już tylko tam.

Chichen Itza

Chichen Itza to nie tylko słynny kompleks ruin Majów, ale też rozłożone pośród zabudowań centrum pamiątkowo-targowe. Można tam usłyszeć handlarza reklamującego meksykańską cepelię w języku polskim: „Taniej niż w Biedronce!”. Mimo odpustowej atmosfery ruiny zdecydowanie warte są zobaczenia. Szczególne wrażenie robi piramida Kukulkana, a już zwłaszcza kiedy odpoczywają na niej sępy i jedzą sobie z dziobków. Na teren strefy archeologicznej konieczne trzeba wejść nie później niż w godzinach 9–10. Potem jest dużo, dużo gorzej, gdyż po hotelowym śniadaniu do Chichen Itza zjeżdżają całe tabuny autokarów, pełne resortowych turystów. Nie tylko trzeba wtedy zwiedzać w tłumie, ale także odstać do kasy biletowej potężną kolejkę.

Do Chichen Itza dojechaliśmy bussem z Valladolid (około 20 MXN). Na powrót trzeba trochę poczekać. Miejscowi znają częstotliwość, z jaką kursują busy w kierunku Valladolid.

Coba

Jeszcze jeden kompleks ruin Majów. Można dojechać tam z Cancun, Playa del Carmen, Tulum albo Valladolid (my jedziemy taksówką z Valladolid za 160 MXN). Wstęp kosztuje około 5 USD. Oprócz spektakularnych piramid położonych w dżungli, oferuje możliwość przemieszczania się po strefie archeologicznej na rowerach (około 30 MXN), co czyni zwiedzanie jeszcze bardziej atrakcyjnym. W Coba można zobaczyć płaskorzeźbę z rzekomą przepowiednią końca świata w 2012 roku. W jeziorze położonym obok miasteczka Coba podobno żyją krokodyle. Ja dostrzegam tylko jeden egzemplarz czapli.

Ek Balam

Niewielkie, ale ciekawe ruiny w sam raz na krótki wypad taksówką z Valladolid (100–140 MXN za pojazd, cena w jedną stronę). Niestety, obsługa Ek Balam wyprasza zwiedzających jeszcze przed oficjalną godziną zamknięcia parku. Kiedy nadchodzi formalny czas zakończenia zwiedzania, wszyscy pracownicy są już dawno w drodze do domu, my zaś szukamy powrotnej taksówki do Valladolid.

Isla Mujeres

Z Valladolid do Cancun jedzie się około 3 godziny, wliczając w to korki w samym Cancun. Za przejazd płacimy 90 MXN. Z dworca autobusowego przemieszczamy się do przystani Puerto Juarez, skąd prom na Isla Mujeres kosztuje 70 MXN.

Wysepka Isla Mujeres to idealna przechowalnia dla turystów, którzy oczekują na wylot z pobliskiego Aeropuerto de Cancun, ale nie mają ochoty spędzać czasu w samym Cancun. Ta ostatnia miejscowość ma opinię wielkiego turystycznego kombinatu i pozbawionej lokalnego kolorytu maszynki do robienia pieniędzy. Oczywiście infrastruktura na Isla Mujeres również służy zarabianiu pieniędzy, ale wszystko ma mniej-szy rozmach. W końcu to tylko niewielki skrawek lądu, na którym na dodatek ocalało

trochę „prawie dzikich” plaż (miejscowi odradzają kąpiel po wschodniej stronie wyspy ze względu na silne prądy). Informacje na temat transportu promowego Cancun–Isla Mujeres znajdują się pod adresem: <http://www.cancun-discounts.com/isla-mujeres-ferry.htm>

Z tanim noclegiem bez rezerwacji może być trochę problemów. Na szczęście kolega wyrusza z Valladolid na Isla Mujeres kilkanaście godzin wcześniej niż reszta grupy i załatwia nocleg w hotelu Carmelina (500 MXN za 4 osoby). Dzięki temu pozostali mogą sobie przyjechać na Isla Mujeres późnym wieczorem.

Najtańszym miejscem noclegowym na Isla Mujeres jest Pocna Hostel <http://www.pocna.com/index.asp>, gdzie oprócz wieloosobowych sal i kempingu oferują dobre miejsce do imprezowania i nawiązywania znajomości.

Nasz pomysł na Isla Mujeres to spakowanie do plecaczków strojów kąpielowych, wody i jedzenia, a następnie wynajęcie na cały dzień rowerów. Na drugim krańcu wyspy warto obejrzeć latarnię morską i ogromny pomnik iguany. Żywe iguany też tam są i malowniczo pozują na skałach albo biegają po chodniku. Na wyspie znajdują się również pocztówkowe plaże, ale nie wszędzie dostęp jest bezpłatny.

Ponadto na Isla Mujeres znajduje się ochronka dla żółwi „Tortuguero”. Trafiam tam przypadkiem, idąc po prostu wzdłuż zaniedbanej plaży, pełnej betonowych przeszkód utrudniających spacer. Długo tam nie zabawiam. W przeciwieństwie do innych zwiedzających, nie mam na nadgarstku specjalnego kolorowego paska. Po zrobieniu paru zdjęć udaję się w swoją stronę.

Wracając z objazdu wyspy połączonego z plażowaniem, spostrzegamy miejscową restaurację. Brak angielskich napisów to dobry znak. Postanawiamy tam właśnie udać się na posiłek. To kolejny strzał w dziesiątkę. Restauracja nazywa się „La Lomita” i znajduje się przy ulicy Juarez.

Isla Mujeres–Cancun–Cancun Aeropuerto

Droga do portu lotniczego ma trzy etapy. Promem docieramy do Puerto Juarez, skąd łapiemy taksówkę na dworzec autobusowy w Cancun. Tam wsiadamy w autobus ADO, który zawozi nas na lotnisko. Kursują średnio co pół godziny (w nocy i rano rzadziej). Przejazd z dworca autobusowego na lotnisko trwa około 30 minut. Hasta la vista México!

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Zieleń korzystnie wpływa na nasze zdrowie. Potwierdzili to brytyjscy uczeni z University of Exeter. Przeanalizowali dane z 17 lat, pochodzące z 5 tysięcy gospodarstw domowych. Pytania skierowane były do 10 tys. dorosłych Brytyjczyków, którzy kilka razy się przeprowadzali. Ankieterzy dowiadawali się o stan zdrowia i samopoczucie przed zmianą miejsca zamieszkania i po niej. Okazało się, że większe zadowolenie i mniejszy stres odczuwali ludzie żyjący w otoczeniu zieleni. Wpływ mieszkania blisko natury badacz dr Matthew White porównał m.in. z zawarciem małżeństwa.

Krystyna Rynkowska

Mongolia



Pobył: 1–19 sierpnia 2012.

Uczestnicy: 4 osoby.

Przelot samolotem Aerofłotu: Kraków – Moskwa – Ułan Bator.

Powrót: Irkuck – Moskwa – Kraków.

Cena biletu: 3083 zł.

Korzystaliśmy z firmy Golden Gobi: adres: Sukhbaatar Square 3, Ułann Baatar 210620 A.P.O. Box 22, Mongolia. Tel. +976-11-311530, fax +976-11-311958, e-mail: mail@golombank.com

Koszt od osoby za 16 dni 1072 \$ – w tym: samochód, benzyna, kierowca, kucharz-przewodnik, jedzenie i noclegi (namioty i gery) – polecamy.

Cały przejazd w przyjemnej atmosferze i bez jakichkolwiek złych przygód.

Mongolia fascynująca, wspaniałe ukwiecone stepy, góry urzekające widokowo i przepiękne jeziora.

Przejechaliśmy 3300 km, w tym niecałe 500 km drogą „asfaltową”.

W terenie jedzie się na azymut, dlatego bez kierowcy lub przewodnika jest to niemożliwe.

Noclegi w gerach (jurtach) gospodarskich. Wygodne i ciepłe. W namiotach tylko dwa noclegi ze względu na zbyt zimne noce.

Pogoda zmienna – na Gobi padał deszcz.

Trzy noce spędziliśmy w hotelu Golden Gobi, warunki dobre, przyjemna atmosfera.

TRASA

1 sierpnia – Przejazd z lotniska do hotelu Golden Gobi umówioną taksówką za 15 \$. Pokój 4 \$ od osoby, część łóżka, część materace na podłodze. Jest to jedyny pokój indywidualny – reszta to wieloosobowe pokoje z piętrowymi łózkami. Są trzy wspólne łazienki z ciepłą wodą, z którą bywają kłopoty.

Zwiedzamy klasztor Gandan z całym kompleksem zabudowań i plac Suche Batora.

2 sierpnia – Wyjazd na trasę w kierunku pustyni Gobi. Jedziemy przez Baga Gazriin Chuluu – rezerwat przyrody z ciekawymi skałami i piękną doliną, potem ruiny miasta z XIII w. Nocleg w jurcie.

3 sierpnia – Rano wyjazd na środkowe Gobi – taka stepo-pustynia – dojeżdżamy do wspaniałej formacji skalno-wydmowej (Biała Stupa). Piękne kolory skał. Nocleg w namiocie (zimno).

4 sierpnia – Jest ciepło, a nawet gorąco – Gobi południowe. Ziemia szara, dużo wielbłądów. Małe miasteczka. Zaczynają się pasma Ałtaju Gobijskiego. Jedziemy przepiękną drogą między górami do wylotu kanionu Yol Am (Gardło Sępa) – przepiękny. Noc w namiotach (zimno).

5 sierpnia – Dzień gorący. Jedziemy kanionami, potem łąki i pustynia. Przejeżdżamy przez park Gurvansaikhan i wędrujemy na wydmy Khongorynels – nareszcie dużo piachu – pięknie. Nocleg w gerze.

6 sierpnia – Od rana leje deszcz, zimno (14°C) – jedziemy koło kramów z kamieniami (w środku bezdroży). Zwiedzamy klify Czerwone lub Flaminga – Bayanzag oraz oglądamy drzewa saksu. Wieczorem przestaje lać i jest ładny zachód słońca. Nocleg w gerze.

7 sierpnia – Gorąco. Jedziemy w kierunku Kharakhorum. Po drodze ruiny klasztoru Ongi zburzonego w 1937 r. przez Rosjan. Nic ciekawego – odradzam – lepiej jechać koło wodospadu Orhon Hirhree. Nocleg w przydrożnym gerze.

8 sierpnia – Przejazd do Kharakhorum. Zwiedzamy cały wspaniały kompleks świątynny. Za terenem świątyni 2 kamienne żółwie, które dawniej strzegły wjazdu do nieistniejącego dziś miasta. Nareszcie przy gerze jest prysznic – pierwsze i ostatnie mycie na trasie.

9 sierpnia – Jedziemy w kierunku Terchijn Cagaan Nuur (Jezioro Białe). W drodze oglądamy ogromny ostaniec w szczerym polu. Jest to miejsce kultu – cały w niebieskich wstęgach, podobnie jak stojące obok Owo. Dużo jaków, cudownie kwitnące łąki. Jezioro ogromne i piękne. Noc bardzo zimna (ok. 10°C). Śpimy w gerze.

10 sierpnia – Jedziemy przez małe laski – terenem wulkanicznym. Wejście na wulkan, ale chyba nie Chorgo – bo dość nisko (są rozbieżności w zeznaniach przewodnika). Pada grad. Jezioro białe jest miejscem wycieczek Mongołów, które bardzo śmieją. Nocleg w gerze.

11 sierpnia – Mijamy wspaniałe asy modrzewiowe. Jest zmiana krajobrazu z ostrych strzelistych gór na łagodne płaskowyże i kotliny. Jest bardzo zimno. Trafiamy do wspaniałej jurty, ciepło i dość miękkie spanie. Miła wspólna kolacja.

12 sierpnia – Jedziemy w kierunku Murun. Mijamy małe miasteczka przydrożne – orły siedzą na płotach. Droga bardzo malownicza. Potem trafiamy na kawałek asfaltu (brudno i bardzo brzydko), który nagle kończy się przed Murun. Miasto ze szpitalem, bankiem i dużym hotelem. Całość w stylu architektury socjalistycznej, aczkolwiek trafiają się małe ładne domki. Dalsza droga do miasteczka Chatgał też niepiękna, natomiast jezioro Chubsuguł od razu zachwyca. Nocleg w gerze nad samym jeziorem.

13 sierpnia – Dzień piękny. Ogromne jezioro odbija góry. Cały dzień łożymy jego brzegiem. Mówią o nim mały Bajkał. Nocleg w gerze.

14 sierpnia – Wracamy do Murun znaną brzydką drogą. Potem zjazd na bezdroża. Wszystko pięknieje. Dużo owiec, psów, krów, rzadziej jaki. Szerokie doliny. Przejeżdżamy rzekę Serengę, która płynie do Bajkału – przez most pontonowy. Będziemy ją często spotykać na naszej drodze do Ułan Ude. Docieramy do domu naszego kierowcy, który zaprasza nas na noc. Elegancka kolacja z winem.

15 sierpnia – Jedziemy przez łąki, jeziora zwykłe i słone. Tabuny koni. Wulkany Uran i Toogo. Krater Uran jest śladowy – pasą się w nim kozy. Na Toogo trzeba dojechać i trochę się powspinać. Nocleg w gerze.

16 sierpnia – Jedziemy w kierunku klasztoru Amarbajsgałańt – wspaniałe łąki, jedziemy bocznymi drogami, zaczyna lać i jest potworna burza. Nie wiemy, czy dojedziemy do celu, bo tworzą się bagniska i jeziorka. Już w ciemności docieramy do „naszej” gery.

17 sierpnia – Od rana zwiedzanie klasztoru. Jest przepiękny, chyba najładniejszy z tych, które oglądaliśmy. Bardzo zaniedbany, ale to dodaje mu uroku. Wielu mnichów i małych chłopców, którzy tu się uczą. Wszyscy w czerwonych szatach. Po dziedzińcach biegają susły. Potem zwiedzamy pomnik Buddy i stupę na wzgórzu – wygląda to dość odpustowo. Opuszczamy jurtę i jedziemy do Ułan Bator. W hotelu żegnamy naszych opiekunów: Baska – przewodnik i Niema – kierowca. Nocleg w hotelu Golden Gobi – pokój ten sam.

18 sierpnia – Jedziemy taksówką do pałacu zimowego, gdzie mieszkał ostatni cesarz, zwiedzamy też kompleks świątynny obok pałacu. Pałac zimowy Bogdo Gena – warto obejrzeć przedmioty znajdujące się we wnętrzu, piękne bramy do świątyni, ciekawa zabudowa z bogatymi zbiorami.

19 sierpnia – Wyjazd autobusem do Ułan Ude.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Braki prądu w Pakistanie zmusiły ludzi do wyłączenia klimatyzatorów w biurach. A że temperatura przekracza tam 40 stopni, wydano zarządzenie, iż urzędnicy mają przychodzić do pracy w sandałach – bez skarpetek! Wobec niezastosowania się do powyższych ustaleń, przewidziano kary. Jak twierdzą władze, sytuacja jeszcze się pogorszy, zanim się polepszy.

Zuza (Katarzyna Anoszczenko)
& Mundi (Rafał Robak)
& Jasio Robak



Nowy Meksyk w tempie lat osiemdziesiątych – ciąg dalszy nastąpił

Termin wyjazdu: 17.08 – 04.09.2012

Trasa: Chicago – Missouri – Oklahoma – Texas – New Mexico [Rancho de Golondrias, Santa Fe, Espanola, Plaza Blanca, Dar Al Islam Mosque, Abiquiu, Abiquiu Reservoir, Ghost Ranch, Christ in the Desert Monastery, Chevez Canyon, Echo Amphitheater, Tierra Amarilla, Chama, Chaco Canyon National Historic Park, Aztec Ruins National Monument, Farmington, Bisti Wilderness, Red Rock State Park, Mc Gaffey Recreation Area/Cibola National Forest, Gallup, Zuni Pueblo, El Morro National Monument, El Malpais National Monument, Acoma Pueblo, Laguna Pueblo, Isleta Pueblo, Sandia Peak, Bernardino, Albuquerque, Acoma Pueblo] – Texas – Oklahoma – Missouri – Chicago.

Środek transportu: 1988 Toyota Camper

Noclegi: kempingi [\$0 – \$22]

Razem: 3996mil = 6400 km

Przewodniki: „New Mexico Atlas & Gazetteer” – DeLorme; „Santa Fe & Taos” – Lonely Planet [Paige R. Penland], „Southwest USA & Las Vegas” – Eyewitness Travel Guides, „Fun with the family. New Mexico” – Kate Winslow & Julia Ward; „Best hikes with children – New Mexico” Bob Julyan; „Hiking New Mexico” – Laurence Parent; „100 hikes in New Mexico” – Craig Martin

Uwaga: grzechotniki i pikantne meksykańskie jedzenie [*Enchilada, Tamale, Burrito, Fajitas, Tacos*]

Dzień 1

Jak co roku podróż na dziki zachód ciągnie się i ciągnie... mila za milą... pokonujemy ją dzielnie razem z naszym 1,5-letnim synkiem, który nie zawsze chce współpracować na naszych warunkach i który ma opracowany własny styl podróżowania, troszkę różniący się od naszego. Tak więc pokonanie 1300 mil [2100 km] zajmuje nam 2,5 dnia. Pierwszą noc spędzamy na parkingu/kempingu dla RV-ków [bezpłatnym], należącym do kasy Downstream w okolicy miasta Joplin/Missouri na granicy z Oklahoma].

Dzień 2

Drogą 166 [zjazd z Hwy 44] wjeżdżamy na chwilę do Kansas i dalej legendarną Route 66 przez Oklahomę, mijając nudne i osowiałe miasteczka, docieramy do Tulsy, gdzie już wskazujemy na Hwy 44. Norm drogowych jak zwykle nie spełniamy – zakaz jazdy poniżej 50 mil/h... My łamiemy więc niechcący to prawo notorycznie, wyciskając z naszego pojazdu maksymalną prędkość dochodzącą czasami tylko do 40 mil/h... szczególnie na odcinkach pod górkę. Po paru godzinach jazdy zatrzymujemy się na odpoczynek w Cherokee Trading Post [zjazd 71 z Hwy 40]. To takie komercyjne miejsce prowadzone przez Indian – restauracja, sklep z upominkami, stacja benzynowa. Tuż obok tego kompleksu rozstawione są indiańskie wigwamy, gdzie można jednak zrobić sobie fajne zdjęcie. Ruszamy dalej i, niestety, co jakąś godzinkę musimy zjeżdżać z autostrady na krótkie postoje z powodu nadmiernego przegrzewania się silnika. Pokonujemy odcinek 177 mil w Teksasie i po drodze, tracąc autostradowy piąty bieg, docieramy do Nowego Meksyku, gdzie nocujemy na „rest area” tuż po przekroczeniu granicy stanowej.

Dzień 3

Pobudkę „uprzyjemnia” nam przeraźliwy wrzask Janka, domagającego się natychmiastowej uwagi...a mianowicie butelki mleka, z którą odczuwa silną więź emocjonalną i bez której przeżyć nie może dłużej niż 2 godziny. Zbieramy się w miarę szybko i ruszamy dalej Hwy44 na zachód. Zjeżdżamy z autostrady na mili 218, skracając sobie drogą nr 285 podróż do **Santa Fe**. Po 1pm dojeżdżamy w końcu do pierwszego założonego celu – fantastycznego **El Rancho de las Golondrinas** [czynne: czerwiec–wrzesień / środa–niedziela 10 am – 4 pm; wstęp 6 \$, tel. 505-473-4169]. Za bilety płacimy tylko po 2 \$, a to z powodu odbywającego się w Santa Fe Wielkiego Indiańskiego Targu, który właśnie po tygodniu festowania dobiega dziś końca [I to właśnie z powodu tego wydarzenia w Rancho nie ma Indian-wolontariuszy, którzy zazwyczaj pokazują odwiedzającym swoje zwyczaje i umiejętności oraz sprzedają wyhodowane tutaj warzywa i owoce]. Turystów tu praktycznie nie widać i całkiem miło można poruszać się po wszystkich możliwych zakamarkach rancza. Janek ma niezły ubaw przy karmieniu kóz, wpychając źdźbła siana pomiędzy szczelnie zbite deseczki płotu. Kozy beczą, a Janek razem z nimi. Jest to jedno z pierwszych takich doświadczeń Jasia. Spędzamy tu tylko 3 godziny, choć zapewne, gdyby nie fakt zamknięcia obiektu o 4 pm, zostalibyśmy o wiele dłużej. Skansen ten położony jest na obszarze 200 akrów ciekawie urzeźbionego terenu..., a więc trochę trzeba się namęczyć, spacerując w pełnym słońcu, by spenetrować wszystkie budynki [młyn, szkołę, kościół, zabudowania farmerskie]. Taszczymy więc wózek razem z Jasiem – ku jego dezaprobachie – na sam szczyt!... No, ale w końcu i tak łatwiej wtaszczyć Jasia w wózek niż wózek osobno i niesfornego Janka osobno. Następnym punktem naszego dzisiejszego programu jest **Santa Fe**. Parkujemy w tym samym miejscu co rok temu, czyli na bezpłatnym parkingu przy kompleksie kapitolu/centrum informacji turystycznej. Mielіśmy nadzieję zobaczyć jeszcze „Indian Market”, ale tak naprawdę docieramy na jego zakończenie, kiedy wszyscy sprzedający „rdzenni” artyści ludowi składają już swoje kramy i towary. Jedyne jeszcze miejscem (nie licząc wszędobylskich butików), w którym można było nabyć ciekawe souveniry, był plenerowy minimarket obok Loretto Chapel. Rzeczy te tak naprawdę – zdaje się – nie miały nic

wspólnego z amerykańskimi Indianami i ich wyrobami – w większości „made in China, Paragwaj & Peru” – więc jak zwykle pułapka turystyczna i tyle. Co innego na centralnym Governor Plaza – dokąd dotarliśmy już późno – gdzie zastaliśmy już tylko puste stanowiska, ale za to każde sygnowane nazwiskiem indiańskiego artysty-rzemieślnika, po czym można było tylko sobie wyobrażać, na jakież to dzieła sztuki polowali tu kolekcjonerzy, poszukiwacze okazji i właściciele galerii. Janek daje nam nieźle „popalić” – buntuje się po raz kolejny i nie chce być wożony w wózku... wrzeszczy na całe miasto i dzięki jego nastawieniu do zwiedzania postanawiamy po prostu wrócić do samochodu i udać się bezpośrednio na camping w **Hyde Memorial State Park** [około 9 mil stromą drogą nr 475, wysokość 2590 m n.p.m.]; miejsce z podłączeniem elektrycznym \$14/noc; dostęp do wody pitnej. Jaśko dopiero teraz odżywa... biega, skacze i wrzeszczy z radości... Nawet obiadokolację zajada ze smakiem i domaga się dokładki... co nie jest w jego stylu. Rozpalamy ognisko i gapimy się w niebo pełne gwiazd.

Dzień 4

Pada deszcz od rana. Spacerujemy z Jankiem wzdłuż drogi 475 i i dostrzegamy, zobligowanych do pracy przy wycinie drzew, więźniów. Co dziwne, nie widać policjantów, którzy powinni ich pilnować. Siedzimy sobie w krzakach i tak ich obserwujemy, a w zasadzie Janek obserwuje i straszenie się z tego powodu emocjonuje. Wracamy do kempingowozu na obiad. Mundeć już niestety tym razem musi ganiać za Jaśkiem z garnkiem pełnym makaronu, bo inaczej Młody jeść nie chce. I tak za nim gania po lesie, że wracają po 1,5 h, zaliczając przy okazji pobliski plac zabaw. Ale garnek jest pusty. Obok kempingu wyznaczone są szlaki edukacyjne. Postanawiamy więc pospacerować, korzystając z okazji, że deszcz chwilowo przestaje padać. Las jest tu pachnący i świeży, pełen drzew iglastych [a przede wszystkim sosny *ponderosa pine*]. Po 2 godzinach biegniemy już z powrotem do auta przemoczeni deszczem.

Dzień 5

O poranku zjeżdżamy drogą 475 do **Santa Fe** – przy okazji zatrzymujemy się na wzgórzu widokowym [Martyrs Cross Hill – Prince Ave i Kearney Ave], podziwiając panoramę miasta. Zaglądamy na chwilę do biblioteki [145 Washington Avenue; 505-955-6780], żeby sprawdzić mejle i wydrukować kilka niezbędnych dla nas informacji o miejscach, do których podążamy. Przenosimy się w okolice Canyon Road, czyli miejsca, gdzie skupione są niemal wszystkie galerie Santa Fe i gdzie sztuka w szerokim tego słowa znaczeniu emanuje z każdego zakątka tej ulicy. Zaglądamy do kilku galerii sztuki współczesnej i indiańskiej, ale znowu Janek nie życzy sobie powożenia w wózku i wrzeszczy wniebogłosy.... Musimy jak najszybciej ewakuować się z miasta, żeby Młody mógł poszaleć w dziczy i swobodnie się wybiegać na łonie natury. Przejeżdżamy przez tak zwane wzgórze muzealne i docieramy do kościoła Our Lady of Guadalupe [417 Agua Fria Street]. Kościół jest, niestety, zamknięty, ale przed kaplicą biega gromadka meksykańskich dzieci, głośno krzycząc, więc idziemy zobaczyć, co się tam dzieje. Janek zaczął sobie biegać razem z dziećmi i też pokrzykiwać po swojemu. Kaplica jest otwarta, więc zaglądamy na chwilę. Zespół meksykańskiej pieśni i tańca przygotowuje się do występu. Ludziska miło uśmiechają się do nas. Przejeżdżamy jeszcze raz przez Plażę i opuszczamy miasto, udając się w kierunku Espanola. Nocujemy na olbrzymim parkingu dla RV-ików przed kasynem Camel Rock [Tesuque Indian

Reservation], gdzie po przeciwnej stronie autostrady rok temu zatrzymywaliśmy się przy punkcie widokowym na skałę **Camel Rock**].

Dzień 6

Jak zwykle, nie możemy się rano zebrać. Janek jeździ samochodami po naszych głowach, udając tor wyścigowy. Pogoda raczej nie napawa optymizmem – chmury burzowe pojawiły się na horyzoncie i nadciągają w naszym kierunku. Ruszamy i uciekamy przed nadciągającą burzą. Pierwszy postój robimy w **Espanoli** w Mision Museum y Convento. Jest to replika oryginalnej misji zbudowanej przez Hiszpanów w 1598 roku. Wszystko w środku muzeum jest dziełem lokalnych twórców. Jaśko daje się pożądnemu we znaki, więc koniecznością jest znalezienie placu zabaw i krótki dla niego na nim relaks. Z miasteczkiem tym wiąże się przykra historia. W 1998 roku – czyli w roku świętowania przez mieszkańców 400-lecia przybycia Hiszpanów na te ziemie, „Bracia z Acoma” odcięli piłą elektryczną nogę posagowi Don Juana de Onate – hiszpańskiego konkwistadora, który był odpowiedzialny za rzeź w ich wiosce Acoma Pueblo. Otóż Onate w 1599 roku, jako odzew na zamorowanie 12 swoich żołnierzy, powybijał 800 Indian, w tym dzieci i kobiety, a każdemu pozostałemu przy życiu mężczyźnie obciął lewą nogę. Nie sposób więc się dziwić, że Indianie z Acoma poczulili się bardzo urażeni faktem wystawienia pomnika największemu oprawcy ich przodków. Formalnie sprawców wandalizmu nie odnaleziono. Wyjeżdżamy z Espanoli i podążamy w kierunku **Plaza Bianca**. [Dojazd: 84 do 554 – skręcamy na północ przy Maya Art Cafe i za pół mili kolejny skręt na zachód w lewo – CR 155]. Jedziemy 2,5 mili aż droga zamienia się w szutrową i kamienistą – aż do rozwidlenia. Skręcamy w prawo do Plaza Bianca. [W lewo droga prowadzi do meczetu]. Parkujemy nieopodal kilku innych samochodów na prymitywnym parkingu [toalet brak] i ruszamy na szlak. Czarne chmury nie zapowiadają niczego dobrego. Szlak jest bardzo krótki [około 1,5 mili] i prowadzi w zasadzie do „arroyo” i podnóża piaskowcowych spirali. Łazimy dookoła Plaza Bianca i natrafiamy na tajemniczy krąg – spiralę ułożoną z kamieni, znak niekończącego się świata. Janek maszeruje dzielnie aż do mometu, kiedy w jego pieluszcze pojawia się niespodzianka. Ponieważ nie wzięliśmy ze sobą zapasowej sztuki, musimy niezwłocznie zawrócić do auta, co i tak nastąpiłoby w niedługim czasie, gdyż niebo zmieniło kolor na sinogranatowy i do tego wszystkiego jeszcze zaczęło groźnie grzmieć. Po dotarciu do auta fundujemy Jankowi ekspresową kąpiel z widokiem na góry i ruszamy dalej popędzani przez deszcz. Wracamy do rozwidlenia dróg i skręcamy w prawo. Droga jest tu bardzo wyboista, miejscami stromo prowadząca w górę..... Docieramy do meczetu **Dar Ar Islam** [czynne poniedziałek – piątek tylko do 4pm; zamknięte w weekendy; wstęp bezpłatny; tel. 505-685-4515], gdzie poza nami nie ma nikogo więcej. Mamy więc chwilkę, żeby w spokoju się rozejrzeć i pozwiedzać, tym bardziej że Jasio się zdrzemnął. Jest to cały kompleks budynków przygotowany dla pielgrzymów. Po godzinie zjeżdżamy już do głównej drogi [155] i jedziemy na zachód, a za nami w zastraszającym tempie suną złowrogie chmurzyska. Zatrzymujemy się na chwilkę, żeby zrobić zdjęcie malutkiemu meczetowi po południowej stronie drogi. Zatrzymuje się również samochód i kobieta z rozpromienionym uśmiechem na twarzy pyta, czy nie chcielibyśmy zajrzeć do środka. Okazuje się, że jej dziadkowie byli polskimi żydami, a ona sama 45 lat temu przeszła na muzułmanizm. Mieszka tu na pustyni i prowadzi biznes hotelarski, czyli wynajmuje jurty turystom. [\$100/noc]. Jedziemy dalej już

niestety w deszczu i dojechawszy do głównej drogi 84 skręcamy w lewo na wschód i zaglądamy do **Abiquiu**. Wioska to malutka, a najciekawszym jej punktem jest kościółek na wzgórzu otoczony pueblami zamieszkałymi przez Indian. Zaglądamy na kemping nad jeziorem Abiquiu, ale jest to miejsce typowo komercyjne przeznaczone dla mało rockendrolowych ludzi. Jedziemy więc dalej na zachód i zatrzymujemy się na miejscu widokowym, żeby zrobić kilka fotek otaczającym czerwonym piaskowcom. Odgrzewamy obiad z nadzieją, że nasz Janek coś zje, ale, niestety, po raz kolejny nie trafiamy w jego gust. Pod wieczór docieramy do **Ghost Ranch** – jest to ośrodek religijny prowadzony przez prezbiterianów, oferujących noclegi w „kabinkach”, kemping, konferencje religijne, wycieczki górskie, spływy kajakowe, a nawet lekcje jogi. Na jego olbrzymim obszarze znajduje się biblioteka, muzeum, stadnina koni i wszystkie udogodnienia turystyczne, czyli sklep, pralnia, kuchnia, prysznice, basen, boiska, plac zabaw i przede wszystkim wspaniała atmosfera i klimat, który tworzą otaczające ranczo góry. Tworzyła tu kiedyś swoje obrazy Georgia O’Keeffe – znana malarka amerykańska. Rejestrujemy się w biurze [\$23/ noc RV, a zwykle miejsce \$19] i pomimo naszych obaw [sezon turystyczny w pełni] miejsc kempingowych jest pod dostatkiem. Mamy jeszcze chwilkę do zachodu słońca, więc wyruszamy na wycieczkę po całym kompleksie. Wspinamy się stromą drogą na wzgórze, gdzie usytuowane są skromne domki dla turystów, i dalej znowu stromo w dół docieramy do placu zabaw, gdzie Młody daje upust swojej niespożytej energii. Kilkanaście metrów dalej za placem jest Labirynt – Zen Garden ułożony z kamieni symbol spirali [ścieżka do centrum duszy], a w samym jego środku na kilku głazach ułożone są monety, pomalowane na kolorowo kamyki, koraliki i kwiaty – jest to miejsce przeznaczone do medytacji i modlitwy. Wracamy na kemping tą samą drogą z małym wyjątkiem – zamiast trzymać się wyznaczonej ścieżki, jeździmy na pupskach w dół po stromym zboczu.

Dzień 7

Zaczynamy dzień wyczynowo – wspinając się na **Chimney Rock**. Szlak wychodzi z kempingu niedaleko stadniny koni [Corral Block Complex]. Najpierw stromo wspinamy się do góry, taszcząc Janka w plecaku. Janek nie za bardzo chce w tym plecaku siedzieć, ale niestety szlak wiedzie nad przepaściami, więc inna wersja podróżowania nie wchodzi w rachubę. Wyruszyliśmy około 8 rano i mimo to słońce już pożądnie pali i około 9 robi się już duszno. Po stromym podejściu idziemy około mili po w miarę płaskim terenie i następnie znów wspinamy się stromo na mesę. I jeszcze tylko około pół mili i docieramy do końca szlaku, skąd widok na Chimney Rock i Piedra Lumbre Basin zapierają dech w piersiach. Janek cały czas musiał być przypięty do plecaka, bo szlak jest niebezpieczny i stromy w wielu miejscach. Schodzimy w miarę szybko i spędzamy jeszcze kilka minut w stadninie, dokarmiając konie. Po dotarciu do naszego kempingowozu wydajemy waniek i urządzamy Jankowi kąpiel wszechczasów. W końcu po ciężkiej wędrówce należy mu się pożądne wymoczenie. Niestety, waniekowy relaks przerywa mu potężna burza, uciekamy wszyscy do RV-ika i podglądamy przez okno co dzieje się dookoła, a dzieje się dużo. Pod naszym samochodem płynie porywista błotnista rzeka i wydaje się tak, jakby prąd miał zaraz porwać cały nasz dobytek razem z nami. Niebo jest sinogranatowe, a chmury kłębią się i pędzą w zastraszającym tempie, co kilka sekund wali gdzieś nieopodal piorun. Czuć grozę w powietrzu. Po pół godzinie sytuacja wraca na szczęście do normy, deszcz ustaje, ale

pod nami ciągle płynie potok, więc musimy odczekać kolejne pół godziny, zanim uda nam się wydostać z auta. Obok naszego miejsca kempingowego w suchej do niedawna dolinie okresowej (arroyo) płynie szybkim nurtem rzeka – niewiarygodne, jak na pustyni szybko tworzą się porywiste katastrofalne rzeki. Woda opadowa nie wsiąka tu w podłoże, tylko spływa powierzchniowo, łącząc się w potężne potoki przenoszące głazy na niewiarygodnie wielkie odległości. Burze niestety zdarzają się na tym terenie prawie codziennie w okresie pomiędzy czerwcem a sierpniem. Niezrazeni kłębiącymi się jeszcze na horyzoncie chmurzyskami opuszczamy kemping, a w zasadzie zajeżdżamy na jego drugą stronę [w kierunku do Long House] do wyjścia na szlak do Box Canyon [w tym samym miejscu znajduje się wyjście na szlak Kitchen Mesa]. Na parkingu nie ma żadnego auta, więc pewnie i nikt na szlak się nie wybrał. Wyruszamy i na samym wstępie Janek łąduje w błocie, a w zasadzie na rudej obślizgłej glinie..... Szlak nie jest dobrze oznakowany. Od samego początku mamy dużo problemów, żeby zlokalizować ścieżkę. Przechodzimy wpływ arrayo, wiele razy gubiąc szlak. Janek na plecach taty spogląda z niedowierzaniem na wyczyny rodziców... o dziwo, uspokoił się i rozgląda się po okolicy. A my w ubłoconych buciskach brniemy i brniemy po coraz bardziej niedostępnym terenie. W końcu lokalizujemy jakąś kolorową puszkę z oznaczeniem szlaku. Ale już dalej iść się nie da. Ześlizgujemy się już ze szlaku do arrayo, więc postanawiamy zawrócić. Znowu brniemy przez błocisko, ale droga powrotna wydaje się nieco łatwiejsza. Docieramy w końcu do auta i chociaż plan był inny, postanawiamy spędzić kolejną noc na kempingu Ghost Ranch, bo zrobiło się już całkiem późno i nie chcemy wyruszać w długą drogę po ciemku. Docieramy na kemping i rozpalamy wielkie ognisko, spoglądając w niebo pełne gwiazd. Podchodzi do nas miły Serb-turysta i rozmawiamy chwilę. Dowiedzieliśmy się od niego, że na szlaku do Box Canyon widziano niedźwiedzia i ogłaszali tę informację przez megafon dzisiaj rano – ale, niestety, dzisiaj rano to my wędrowaliśmy na Chimney Rock i słyszeć tej informacji nie mieliśmy szansy. To dlatego też na szlaku nie widzieliśmy żadnych śladów butów, dzięki którym moglibyśmy się lepiej zlokalizować na szlaku. Cóż, na szczęście z misiem też się nie widzieliśmy, to najważniejsze. Dopalamy ostatnie kawałki drewna i idziemy spać.

Dzień 8

Zrywamy się o 7 rano i wyruszamy w kierunku benedyktyńskiego monasteru **Christ in the Desert**. Z głównej drogi nr 84 skręcamy w lewo [na mili 227] [na południowy-zachód] w drogę FR151. Droga jest szutrowa, ale przejezdna – na razie – bo podobno podczas deszczu staje się nie do pokonania samochodem bez napędu na 4 koła. Jedziemy malowniczą doliną rzeki Chama, mijając po drodze kilka prymitywnych kempingów. Otaczający nas pejzaż wielokolorowych piaskowcowych gór i pędzącej silnym nurtem rzeki, brudnej od błota i gliny po wczorajszych deszczach, jest niesamowicie spektakularny. W pewnym momencie pod naszymi kołami przepełz grzechotnik raczej większych rozmiarów, co trochę nas wystraszyło. Po drodze do monasteru mijamy wiele tabliczek z ostrzeżeniami o węzach i o konieczności wzmożonej czujności. Sam monaster jest zamieszkały przez 30 mnichów pochodzących z różnych krajów, którzy rozpoczynają swój dzień o 3.40 am, modląc się aż do 7.50 am. Poza modlitwą zajmują się głównie ogrodnictwem, pszczelarstwem, browarnictwem [ważą Monk's Ale] i prowadzeniem hoteliku dla gości. Cała energia elektryczna pochodzi tu z paneli

słonecznych, więc mnisi są samowystarczalni, bo słońca tu nigdy nie brakuje. Turysty przebywać tu mogą codziennie w godzinach 9.15 am – 5 pm bezpłatnie, jeśli chcą zatrzymać się na noc, muszą zapłacić od 60 \$ do 145 \$ w zależności od wielkości pokoju [tel.801 545-8567]. Drogą krzyżową dochodzimy do kościoła, gdzie właśnie zaczęła się msza. Mnisi śpiewają i panuje niesamowita atmosfera. Próbujemy zasięgnąć języka na temat planowanego przez nas szlaku do **Chevez Canyon**, ale, jak się później okazuje, mnich wprowadził nas w błąd, zapewne mówiąc o zupełnie innym miejscu. Opuszczamy monastyr i jedziemy około pół mili od bramy wjazdowej. Nie możemy zlokalizować wyjścia na szlak. Ale podjechawszy jeszcze kilkanaście metrów, zauważamy auto zaparkowane przy drodze. Skoro ktoś tu zaparkował, to znaczy, że na pewno poszedł na jakiś szlak. Parkujemy i my i prawie całkowicie przekonani, że to jest kompletnie inne miejsce niż Chevez Canyon trail, zaczynamy wędrówkę. Niebo jest lazurowo niebieskie, a więc ruszamy pełni nadziei, że zdążymy przed popołudniową burzą. Ścieżka nie ma żadnych oznaczeń, czasami nawet jest bardzo słabo widoczna. Idziemy praktycznie po płaskim terenie aż do ujścia kanionu. Tam spotykamy 4 starsze osoby wracające z powrotem do głównej drogi. Okazuje się, że jest to właśnie Chevez Canyon, a więc jednak trafiliśmy w dobre miejsce. Ludzie ci powiedzieli nam, że na szlaku jest świeży ślad niedźwiedziej łapy... nie napawa to optymizmem do dalszej wędrówki... ale idziemy. Szerokość kanionu zwęża się znacznie na odległości kilkudziesięciu metrów i tu właśnie zauważamy ślad niedźwiedziej łapy... czyli małe byłyby nasze szanse, gdybyśmy się tu spotkali... Szerokość kanionu to około 2–3 metry w tym miejscu. Po krótkiej wspinaczce i przeskakiwaniu kałuż dochodzimy do baseniku o nieznaną głębokość i znacznie większego niż dotychczasowo przeskakiwane kałuże. Tachamy kilka ciężkich głazów i wrzucamy do mętnej wody, by utorować sobie ścieżkę i w jakiś sposób przedostać się do wyższej partii kanionu. Mundeć jako pierwszy śmiać się i wspina się na samą górę. Wraca po nas i jakoś przerzucamy się wszyscy przez tę przeszkodę i docieramy do samego końca. Nad naszymi głowami zaczynają pojawiać się sinoczarne chmurzyska, więc czym prędzej zaczynamy powrót do auta. Jeśli w tym momencie spadłby ulewny deszcz, nie mielibyśmy szansy ucieczki z tej wąskiej gardzieli. Szybkim truchtem uciekamy prosto do samochodu i rozpoczynamy wyścig z burzą, pamiętając o opisie z przewodnika, że droga jest nieprzejezdna, gdy popada. Wygrywamy wyścig, docierając bezpiecznie do głównej drogi nr 84 i po przejechaniu kilku mil na północ przystajemy w **Echo Ampitheater**. Krótki spacer [10 minut] w deszczu do punktu widokowego, a raczej pod półkę skalną o wysokości co najmniej 8 pięter, daje nie lada atrakcję szczególnie Jasiowi, który krzyczy wniebogłosy, właśnie odkrywając chyba po raz pierwszy w życiu fenomen echa..... Wracamy do auta i ruszamy na północ w kierunku **Tierra Amarilla**. Czarne chmury kłębiły się na tle zachodzącego słońca, co dawało niesamowite wrażenie. Zjeżdżamy do Tierra Amarilla, żeby uzupełnić zapasy benzyny, ale miasteczko okazuje się opuszczoną wioską, gdzie nie widać ani jednej żywej duszy. Jedna stacja zabita dechami, a druga czynna tylko do 4 po południu. Cóż, w baku już niewiele benzyny, ale nie mamy wyjścia – musimy jechać dalej. Widoki oświetlanych przez niskie zachodzące słońce Brazos Cliffs na horyzoncie zapierają dech w piersiach. Mijamy kolejną opuszczoną wioskę **Los Ojos** i skręcamy na zachód na kemping do **Heron Lake** [10 \$ za noc]. Kemping mało ciekawy i bez klimatu – oblegany przez amatorów wędkarstwa. Zapalamy ognisko i spoglądamy w gwiazdzone niebo.

Dzień 9

Wyruszamy z kempingu spowitego mgłą i zatrzymujemy się na chwilę w Visitor Center, żeby zasięgnąć informacji, gdzie można zatankować, bo już naprawdę benzyny mamy mało. Pierwsza dostępna stacja jest dopiero w **Chamie**, gdzie akurat się wybieramy i musimy trochę przyspieszyć, gdyż chcemy zdążyć na odprawę widokowego pociągu parowego **Cumbres&Toltec Scenic Railroad**. [odjazd 10 am; powrót 4 pm maj–październik, bilety na przejażdżkę pociągiem \$130/osobę]. Mkniemy więc na oparach paliwa do Chamy i docieramy akurat na czas. Lokomotywa parowa z podczepionymi wagonikami stoi już na peronie w pełni gotowości. Pełno turystów z aparatami w rękach robi jej zdjęcia. Punkt 10 rano maszynista daje znak do odjazdu i wielkie kłęby dymu spowijają całą stację łącznie z turystami. Wałesamy się jeszcze po okolicy i zaglądamy do budynku stacji, gdzie na samym jej środku ustawiona jest makieta kolejowa – no i Janek wsiąka na 3 godziny, bawiąc się pociągami. Musimy siłą go odciągnąć, co kończy się wielkim wrzaskiem. Wracamy do samochodu i ruszamy dalej na zachód drogą 64, przy której na zachodnim końcu miasta ciekawostką jest kowalska szopa z napisem „Made in Chama not in China”. Pan kowal tworzy tu różne arcydzieła i pamiątki. Po drodze w rezerwacie indiańskim Apaczów mijamy piękne iglaste lasy i psa widmo. Nie wiadomo, o co chodzi, ale widzieliśmy tego samego psa trzy razy podczas jazdy drogą 64. Podejrzewamy, że może ktoś go podrzucał co chwilę w kolejne miejsca, podczas gdy my leniwie wspinaliśmy się po górkach, co chwilę odpoczywając to tu, to tam. Zjeżdżamy w niższe elewacje i znowu krajobraz zmienia się w pustynny. Drogą 537 dojeżdżamy do skrzyżowania przy kasynie i skręcamy w 550. Ale wcześniej musimy się zatrzymać, bo silnik nasz się trochę za bardzo zgrzał. Przy okazji skorzystaliśmy z posiłku w indiańskiej knajpie. Mundek wcina jakiś dziwny „Sheep Herder Meal”, a Janek frytki z kechupem – pierwszy w jego życiu fastfoodowy posiłek. Drogą 550 jedziemy na zachód aż do drogi nr 7940, w którą skręcamy na południe w lewo, podążając w kierunku **Chaco Canyon**. Mijamy stada dzikich koni posilających się „sagebrushem”. Droga do Chaco jest wręcz tragiczna. W momencie gdy kończy się asfaltowa nawierzchnia, zaczyna się 13-milowy koszmar. Wygląda to tak, jakby ktoś utwardził ją czołgiem na błocie. Jedziemy 5 mil na godzinę i wszystko łącznie z nami telepie się jak galareta. Wypadają nam garnki z półek. Ostatecznie oczom naszym ukazuje się kemping położony w „przeklimatycznym” miejscu poniżej klifu, u którego stóp tkwi autentyczne adobe. [\$10/noc, łazienki z bieżącą, ale niepitną wodą, prysznicu brak]. Urządzamy Jankowi kąpiel z widokiem na ten właśnie klif. Radość nie ma granic. Rozpalamy ognisko i przyrządzamy strawę – dziś na kolację tortilla z serem z grilla.

Dzień 10

Budzimy się o świcie i podjeżdżamy do centrum informacji parku narodowego [bilet do parku \$8]. Tu znajdują się też kraniki z wodą pitną i łazienki. Rangerka daje nam darmowe mapki i druczek pozwolenia na wędrowanie po szlaku Pueblo Alto. Trzeba napisać swoje dane i wrzucić do skrzyneczki przy początku szlaku, drugą kopię przykleić do szyby auta, a trzecią zabrać ze sobą. Słońce już zaczyna porządnie prażyć. Ruszamy jednokierunkową pętlą i zatrzymujemy się w poszczególnych punktach, wędrując krótkimi szlakami. Najciekawszym szlakiem jest Pueblo Alto, a w zasadzie do-

cieramy do jego połowy, bo tylko na punkt widokowy, z którego widać jak z lotu ptaka niemal cały kompleks Chaco Canyon. Wspinamy się stromo i przeciskamy przez wąską szczelinę, by dojść na mesę. Janek zasypia w międzyczasie w swoim plecaku – upał go wykańcza. Wracamy na kemping, gdzie spędzamy kolejną noc – perspektywa powrotu nocą tą okropną drogą dla czołgistów zmusza nas do zmiany planów. Jesteśmy wykończeni dzisiejszym słońcem, więc szybko padamy spać.

Dzień 11

O poranku zaczynamy telepawkę powrotną z Chaco. Ponad półtorej godziny zajmuje nam powrót do wymarzonej asfaltówki. Drogą 550 dojeżdżamy do Bloomfield, mijając po drodze pola naftowe. Nie zajeżdżamy, niestety, do naszego pierwotnie planowanego miejsca zeszłonocnego noclegu – to znaczy **Angel Peak Recreation Area** [który mijamy po drodze], bo po przeliczeniu dni do końca wycieczki zadecydowaliśmy, że nie damy już rady. W Aztec zatrzymujemy się w Main Street Bistro na szpinakowe quiche, ale Janek, zamiast jeść, woli biegać i wrzeszczeć po całej knajpie. W **Aztec Ruins National Monument** [wstęp \$5/osoba, czynne 8 am – 6 pm w lecie] mamy szansę obejrzeć 900-letnie ruiny puebla i zrekonstruowaną Great Kiva. Nazwa jest nieco myląca i nie ma nic wspólnego z Aztekami – miasto zbudowane było przez Indian Anasazi, a pomyłkowo nazwane tak przez podróżników w XIX wieku. Przed budynkiem lokalna indiańska artystka wykonuje istic kunsztowną biżuterię „na żywo”, która automatycznie wystawiana jest na sprzedaż. Spacerujemy pomiędzy ruinami puebla i z trudem przenosimy wózek pomiędzy wąskimi komnatami. Janek się rozbrykał i ciężko nam pogodzić zwiedzanie z jego temperamentem. Musimy więc ewakuować się z parku. Dojeżdżamy do **Farmington** i tu znajdujemy sklep monopolowy, gdzie nabywamy piwo ważne przez mnichów z Christ in the Desert Monastery [6-pack – \$9]. Z trudem wydostajemy się z doliny rzeki San Juan, wznosząc się na skarpę tuż za miastem na drodze 371 w kierunku południowym. Korzystając z przymusowego postoju, by ostudzić silnik, organizujemy Jasiowi na poboczu kąpiel w wanience. 36 mil za Farmington skręcamy w lewo na wschód na **Bisti Badlands Wilderness**. Droga jest szutrowa, ale bardzo dobrej jakości. Mkniemy więc naszym bolidem aż do parkingu, a w zasadzie do miejsca skąd wychodzi się na bezszlakowe wędrówki po dzikości Badlands [brak toalet]. Jako że mamy jeszcze około godzinki do zachodu słońca, postanawiamy ruszyć się trochę w stronę Badlandsów. Zdążyliśmy tylko wyjść z auta i przedostać się przez bramkę w płocie, aż tu nagle wyrasta przed nami Indianin na koniu. Nie wiadomo, skąd się wziął, ale wygląda przyjaźnie; natomiast jego pies już trochę mniej, sądząc po ślinie, jaka toczy mu się z pyska. Indianin zagaduje nas pytaniem, czy nie widzieliśmy stada byków, bo gdzieś mu się zgubiło. Za chwilę już pijemy razem piwo i gadamy o muzyce heavy metalowej, której, jak się okazuje, jest wielkim fanem. Mieszka tu na bezludziu – chłopina – i hodzi sobie konie i byki. Pracuje też w pobliskim Farmingtonie jako mechanik samochodowy. Chwali się, że kiedyś był mistrzem rodeo, ale spadł z konia i doznał rozległej kontuzji, która uniemożliwiła mu dalszą karierę kowbojską. Po zakończonej rozmowie Indianin dosiada swojego rumaka i na tle zachodzącego słońca znika nam z oczu.

Dzień 12

O świcie ze stosem map i ulotek oraz kompasem wyruszamy na wędrówkę po Bisti. Próbuje trzymać się – jako punktów terenowych – wyschniętych cieków okresowych

podążamy na azymut w kierunku wschodnim. Co chwilę w różnych miejscach widać ślady butów, chociaż ani żywej duszy aż po horyzont. W związku z tym, że nie ma tu wyznaczonych ścieżek, trochę chaotycznie przemierzamy się z miejsca na miejsce, zmieniając kierunek wędrówki. Kierujemy się po prostu chęcią zobaczenia danej formy skalnej – *hoodoos*, która akurat nam się upatrzyła na horyzoncie. Trochę to uciążliwe takie wałęsanie się bez planu. Wspinamy się na gliniaste ostańce, nie wiedząc, czy znajdziemy bezpieczne z nich zejście. Janek upodobał sobie szczególnie grzybki skalne, wokoło których odstawia jemu tylko znane tańce plemiennie. Około południa, po 4 godzinach marszu, musimy już zawracać, bo palące słońce staje się za bardzo uciążliwe i Jasio staje się już marudny. Po powrocie do auta spotykamy rangersa, który znudzony samotnym patrolem zagaja z nami rozmowę na temat Bisti i jego pracy w tym dzikim terenie. Ruszamy dalej na południe drogą 371 i po kilku milach spotykamy dziwną rzecz – krowa przewrócona do góry nogami leży przy drodze – kończyły shtywny, jakby ktoś przewrócił wypchaną makietę zwierzęcia. Okropny to widok. Mijamy **Crownpoint** i przed **Smith Lake** skręcamy na zachód w drogę nr 49, która jest skrótem do **Red Rock State Park**, dokąd zmierzamy. W międzyczasie musimy kilka razy zatrzymać się i ostudzić silnik, bo upał daje się we znaki również naszej toyocie. Mijamy pasterzy, kozy z wielkimi rogami i hogany Navajo. Klimat iście indiański. W Parku [bezpłatny wjazd] znajduje się dziwny kemping, gdzie do toalet trzeba mieć „magiczny” klucz, w przeciwnym razie siusia się na zewnątrz. Podjeżdżamy pod samo wejście na szlak **Church Rock**. Szlak zaczyna się przy kempingu i wiedzie w kierunku iglicy na północnym horyzoncie – śledzimy kopczyki i informację z przewodnika. Janek prawie przez cały czas wędruje o własnych siłach, zbierając kamyczki i wachając kwiatki. Ścieżka jest bardzo przyjemna i tylko w jednym miejscu wymaga większych „umiejętności wspinaczkowych”. W pionowej piaskowcowej skale wyżłobione są półki-schodki, po których trzeba się wdrapać. Szlak urywa się w niewiadomym miejscu, a może to już koniec – przynajmniej tak nam się wydaje. Szukamy kopczyków, żeby zlokalizować się w terenie, ale jedyna ich seria prowadzi tak jakby z powrotem, tyle że drugą krawędzią kanionu. Trochę błądzimy, podchodząc do podnóża Church Rock. Rozczarowani, że nie osiągnęliśmy szczytu, ale jednak szczęśliwi z tak pięknych, spektakularnych widoków, zawracamy do auta, robiąc jeszcze pętelkę półkami skalnymi po przeciwnej stronie cieku wodnego. Postanawiamy spędzić dzisiejszą noc na kempingu w **Cibola National Forest** [McGaffey Recreation Area]. Drogą 556 jemy na autostradę 40 i za 5 mil na południe do drogi nr 400. Po zachodniej stronie miasta Fort Wingate podglądamy częściowo opuszczone koszary wojskowe i dalej w otoczeniu iglastego, pachnącego lasu wspinamy się w góry do McGaffey. Po drodze widzimy rozjechanego grzechotnika. Sam kemping położony jest w przepięknym miejscu [\$15 /noc, toalety, woda i elektryczność, prysznic brak]. Tłumów na kempingu nie ma, może 2 czy 3 stanowiska poza naszym są okupowane. Ognisko płonie, gwiazdy świecą, powietrze pachnie lasem iglastym i piwko od mnichów smakuje wyśmienicie.

Dzień 13

Budzimy się i, niestety, plany nasze ulegają zmianie z powodu zaginięcia mojego telefonu komórkowego. Sięgając wstecz pamięcią, wydaje mi się, że słyszałam dźwięk spadającego telefonu na szlaku w Red Rock. Przeszukawszy wszystkie możliwe kieszenie w plecakach i kurtkach, niestety, stwierdzamy, że telefon musiał zapodziać się na

szlaku. No więc wracamy o poranku i zaczynamy poszukiwania. Telefon ma wyładowaną baterię, więc nie ma możliwości namierzyć go w jakikolwiek sposób. Biegam przez półtorej godziny po szlaku i zaglądam we wszystkie możliwe zakamarki..... i nagle zdejmuję plecak i przypadkowo zaglądam w kieszeń, gdzie nigdy nie schowałabym telefonu... i... jest – znalazł się... coś poranny bieg po szlaku dał mi się porządnie we znaki, wyglądam jak zziębnięta, zasapana płonąca kula. Szczęśliwi wracamy ze zgubą do auta, śledzeni przez tysiące piesków preriowych i ruszamy w kierunku **Gallup**, które tylko objeżdżamy, obserwując ciekawe murale i budynek sądu w stylu adobe. Następnym punktem jest podróż drogą 602 do Rezerwatu Indian **Zuni**. Mijamy po drodze jakieś podejrzaną bandę autostopowiczów częściowo pochowane po krzakach. Indiańska wioska Zuni już przy samym wjeździe wygląda jak zabita dechami. W informacji turystycznej [1239 State Hwy 53] dowiadujemy się, że wymyślili sobie dzisiaj jakieś święto. Napis na drzwiach „no photography – no tour today” jasno daje nam do zrozumienia, że jechaliśmy tu bez sensu; nie można bowiem dziś wchodzić do nazwijmy to „części zabytkowej” wioski pod żadnym pozorem. Wcześniej sprawdziliśmy dokładnie na ich stronie internetowej i w przewodnikach, w które dni wioska jest zamknięta dla zwiedzających, ale tego dnia w ich kalendarzu nie było. Ogólny koszt wycieczki po mieście to \$10 za osobę + następne \$10 za zwiedzanie kościoła [lub łączona wycieczka \$15] i dodatkowo jeszcze pozwolenie na fotografowanie \$10 [choć i tak fotografowanie wewnątrz kościoła jest zabronione]. Mundi odwiedza Ashiwi Awan muzeum [jedyne dzisiaj miejsce poza sklepami, gdzie można nam wejść] – pokazujące odrębność Zuni od innych kultur. Kupujemy Zuni bread [Paywa Bakery] pieczony w tradycyjnym piecu-kopcu – sprzedawany normalnie w domu indiańskim, ale pomimo zachwalania go przez panią w Visitor Center smak jego okazuje się nie za specjalny. [\$3.50/sztuka]. Żadnych turystów poza nami w mieście nie widać. Błądzimy po wiosce. Nie możemy znaleźć wyjazdu..... w końcu jakoś udaje nam się powrócić do głównej drogi i opuszczamy to miejsce z niesmakiem. Mapa, którą otrzymaliśmy w informacji, jest niedokładna i wręcz może służyć jako kolorowanka dla dzieci, a nie pomoc w przemieszczaniu się po wiosce. Mknijemy drogą 53 na wschód w kierunku **El Morro National Monument** [\$3/osoba]. Po obejrzeniu krótkiego filmu w Visitor Center wędrujemy do Inscription Rock pełnej petroglifów, a potem pętelką na szlak Headland trail [2 mile], pełnego pięknych kwiatów i sosen *ponderosa pine*. Wkładamy Jasia do plecaka i wspinamy się w górę na śnieżnobiłą „mesę”. Po wspinaczce maszerujemy już po płaskim grzbiecie góry, podziwiając widoki. Miejscami szlak jest poprowadzony nad przepaścią, ale metalowa barierka pomaga zachować spokój. To co nas zachwycało (i to bardzo), to jak gdyby wydrążona wielka dolina w środku mesy pełna drzew i zieleni. Schodząc ze szlaku, mijamy jeszcze ruiny puebla Atsinna. Tuż obok Visitor Center znajduje się kemping, gdzie udajemy się niezwłocznie z powodu obawy przed brakiem miejscówek. [\$5/miejsce, woda w kranikach, prysznic brak, 9 miejsc]. Palimy jak zawsze ognisko. Janek nie chce zasnąć – wrzeszczy zapewne z powodu bólu wyrzynających się zębów. Po 2 godzinach usypiania padamy wszyscy trzej zmęczeni.

Dzień 14

Budzimy się z lekkim poślizgiem i ruszamy na wschód w kierunku **El Malpais National Monument** [wejście bezpłatne]. Wstępny plan był, by pojechać szutrową drogą 42 na południe do szlaku Big Tubes, ale w Visitor Center dowiedzieliśmy się, że dro-

ga może być miejscami nieprzejezdna z wielkimi wyrwami pełnymi deszczowej wody. Spędzamy godzinę, rozmawiając z rangerką i oglądając film o parku. Jedziemy do Calderon Area, by rozruszać się na 3-milowej pęteli. Spenetrowaliśmy na wylot lawową jaskinię. W międzyczasie Jasio zasypia i stwierdzamy, że przy tak palącym słońcu nie będziemy go katować i wrócimy do auta. Dotarliśmy tylko do Bat Cave, gdzie wieczorami można obserwować wylatujące na żer chmary nietoperzy. Ciekawostką jest fakt, że przeciętny osobnik może zjeść w ciągu nocy ponad 1000 komarów, a populacja nietoperzy na świecie przekracza 20 % wszystkich ssaków. Jedziemy dalej na północ do **Grants** – światowej stolicy wydobywania uranu w latach 80. Miasteczko na pierwszy rzut oka jest wręcz odrażające – straszy pozamykanymi motelami z epoki Route 66 i ogólnym brudem. Droga 117 dojeżdżamy na sam południowy koniec parku El Malpais i wychodzimy na szlak Lava Falls [1,5 mili]. Szlak wyznaczony jest przez dobrze widoczne kopczyki z kawałków lawy poustawiane co kilkadziesiąt metrów. Musimy co chwila przeskakiwać większe lub mniejsze szczeliny w skorupie lawowej, co staje się nie lada wyzwaniem dla Janka. Musimy go mocno trzymać za rączkę i uważać na jego każdy krok, by nic złego się nie stało. W następnym punkcie w drodze powrotnej przystajemy jeszcze przy fotogenicznym **La Ventana Natural Arch**. Jasio zafascynowany jest wielokolorowymi kudłatymi gąsienicami, których są tu tysiące. Siedzą na krzakach, chodzą po chodniku, ławeczkach, śmietnikach... ludziach... dosłownie plaga puchatych robaków. Szlak do łuku jest bardzo prosty i krótki [poniżej pół mili w obie strony], a widok imponujący. Nie obyło się jednak bez upadków i potłuczonych kolan naszego Janka. Po godzinie wyjeżdżamy z parkingu i kierujemy się na północ, aby przy słupku milowym nr 41 spojrzeć na lewo i dojrzeć profil twarzy Indianki wyżłobiony siłami natury w skale. Na Sandstone Overlook bluff, korzystając z ostatnich promieni słonecznych, wykąpaliliśmy Janka w wanience i dzięki temu spóźniliśmy się na widok zachodu słońca. Ale i tak panorama na wulkaniczną, niczym księżycową dolinę była imponująca. Nocujemy na bezpłatnym kempingu prowadzonym przez BLM. Żeby tu trafić [my dostaliśmy tę informację od rangerki z El Malpais], trzeba odnaleźć żółtą bramę po wschodniej stronie drogi [tzw. cow grid], odchodzącą od głównej drogi nr 117 [pomiędzy La Ventana Arch a skrzyżowaniem do Sandstone Overlook Bluff po przeciwnej stronie drogi od tegoż drugiego] i wjechać w teren kilkaset metrów [nie ma żadnych znaków o kempingu przy drodze]. Miejsce jest czyste z dostępnymi toaletami, a jedyną niedogodnością są okropne kolce w „trawie” – jakby porozrzucane pinezki – a w zasadzie są to kolczaste niskopnące się rośliny. Trzeba założyć wysokie buty, bo nie ma możliwości przejścia od samochodu do stołu czy ogniska. Smażymy placki z serem na grillu kempingowym i jak co noc podziwiamy gwiazdziste niebo.

Dzień 15

Naszym planem na dzisiaj jest wycieczka do **Acoma Pueblo**. Nie jest to takie proste, jak się okazuje. Przykre doświadczenia z odwiedzin indiańskich wiosek – w tym, jak również i w ubiegłym roku – powtarzają się i teraz. Opuszczamy kemping rano i kierując się na północ, docieramy do autostrady nr 40 i dalej na wschód po 13 milach zjeżdżamy na IR28 [zjazd 102] do trasy IR38, po drodze gubiąc się w indiańskich oznaczeniach numerów dróg. Visitor Center [Sky City Cultural Center 9am – 5pm; tel. 800-747-0181] znajduje się w imponującym wyglądającym nowym budynku otoczonym wielkim parkingiem. Tuż przy wejściu dowiadujemy się o czymś, co wyprowadza nas

z równowagi: dzisiaj wycieczki się nie odbywają, bo rzekomo mają awarię wody. Nie bardzo rozumiemy, jaki to ma związek z wycieczką do puebla, w którym i tak nie ma wody ani elektryczności. Nie dość, że godzinna wyprawa jest cholernie droga [\$20/osoba plus \$10 pozwolenie na fotografowanie], to jeszcze wymyślają sobie jakieś nie-stworzone powody, by się nie odbyła. A nikt przecież tu nie jedzie taki kawał drogi po to tylko, żeby się przejechać..... Plan nasz znowu nie wypala.... Mieliśmy dzisiaj odwiedzić pueblo, porobić zdjęcia i wrócić tu jutro na odbywające się doroczne wielkie święto patrona puebla San Esteban Feast [kiedy to fotografowanie jest zabronione]. Święto okazuje się jednak być nie jutro, a pojutrze, co już w ogóle komplikuje nam plany. W tej sytuacji decydujemy się przedłużyć wakacje, bo koniecznie chcemy zobaczyć prawdziwą fiestę indiańską, kiedy to cała – na ogół jakby wyludniona – wioska, ożywa [wycieczki są wtedy za darmo]. Indianka z Visitor Center jednak nie wie, kiedy wznowią wycieczki... ona w ogóle nic nie wie... Doradziła, żeby dzwonić na ich numer i zostawić wiadomość z pytaniem, a oni oddzwonią..... Cóż, układamy kolejną trasę i ruszamy z powrotem na północ, zaglądając po drodze do indiańskiego kościółka Świętej Anny i prosząc kościelnego, aby nam udostępnił na chwilę wejście do środka. Urzekła nas skromność i oryginalność ołtarza ozdobiona tylko figurami „retablo”. Pojechaliśmy dalej na północ do autostrady nr 40 i Mundek wpadł na pomysł, że zajrzy sobie do kasyna Sky City. No i tak się pośpieszył, że nie było go półtorej godziny i zamiast z fortuną wrócił z jakimś pseudoindiańskim obiadem w steropianowym pudełku i identyfikatorem członka kasyna na szyi. Obiad był wręcz okropny: tłusty i słony, ale czegoż innego można byłoby się po takim miejscu spodziewać. W naszym zmodyfikowanym planie wycieczki kolejnym punktem było **Pueblo Laguna** [na północ od hwy 40 zjazd 114]. Najciekawszym miejscem godnym uwagi jest tu San Jose de la Laguna Mission [wstęp bezpłatny], gdzie lokalny artysta o imieniu Alfred opowiada historie [...trochę jak nakręcona katarynka] o misji i całej wiosce. Na sam koniec tych opowieści zagrał jeszcze na flecie piękną melodię, którą napisał po śmierci swojej matki [„The mother song”], no i oczywiście nie omieszkaliśmy poprosić o datki. Sam kościółek jest wspaniałym miejscem pełnym drewnianych figurek świętych. W przewodniku znajdujemy informację o kolejnym pueblo oddalonym na wschód o jakieś 40 mil od miejsca, gdzie obecnie się znajdujemy – jest to **Pueblo Isleta** – a więc skrótem drogą nr 6 na południowy-wschód jedziemy zobaczyć, co ciekawego się tam dzieje. A dzieć się powinno dużo, bo według przeczytanych wiadomości w dniu dzisiejszym ma odbywać się fiesta. Ani fiesty, ani żywej duszy tam nie spotykamy. „Obcy” mogą poruszać się tylko wyznaczoną trasą prowadzącą do kościoła św. Augustyna, który okazuje się, niestety, zamknięty. A więc poza kilkoma skleconymi domostwami nic ciekawego tu nie widzimy; czym prędzej więc zjeżdżamy z powrotem do cywilizacji. Planem naszym na dzisiejsze popołudnie jest wjazd samochodem na **Sandia Peak** [3193 m n.p.m, zjazd 175 z hwy 40 na drogę nr 14 na północ i drogą 536 na zachód]. Droga jest stroma i jak zawsze musimy co chwilę robić postoje, żeby nie wykończyć naszej supermaszyny. Na jednym z takich postoi rozmawiamy z sympatyczną parą starszych ludzi z Albuquerque, którzy z czystym sumieniem rekomendują nam zjazd z góry inną trasą (nr 165) w stronę Bernalillo. Po dotarciu na sam szczyt podziwiamy razem z tłumem spektakularny zachód słońca i wschód księżyca. Jednak po zakończeniu tego spektaklu – już inaczej niż tłum – wybieramy drogę powrotną polecaną przez starszków. Zjeżdżamy drogą 165

i przeżywamy prawdziwy horror. Jedziemy 5 mil na godzinę, a hamulce śmierdzą i tracą na sile. W dodatku jest już totalnie ciemno, a droga wiję się bardzo stromo w dół. Co chwilę widzimy nietoperze latające bardzo blisko naszego auta, jak gdyby chciały z rozpędem uderzyć w nas i wdrzeć się do środka. Musimy robić oczywiście częste postoje, żeby samochód odsapnął i hamulce ostygły. W tym tempie droga się dłuży i mamy już wrażenie, że nigdy nie zjedziemy do doliny... Jesteśmy sami w środku lasu i ciekawe, kiedy ktoś znalazłby tu nas, gdyby np. zepsuł się nam samochód. Zważywszy na jakość drogi chyba nie jest zbyt często uczęszczana przez kogokolwiek. Psychicznie wykończeni, bez żadnej satysfakcji ani korzyści ze skrótu (gdyż przejechaliliśmy 7.5 mili w 3 godziny!) docieramy do Coronado campground w Bernalillo [przy drodze 550] [\$18 /noc, prysznic-zimna woda; światła w łazience jak nie było, tak nie ma...od roku ubiegłego po rzekomej burzy, tel. (505) 980-8256].

Dzień 16

Po szybkim prysznicu o poranku wyruszamy na Flea Market w **Albuquerque** [\$5/parking] [na miejscu Fairground] przy Route 66. Okupujemy się w same potrzebne rzeczy..... samochodziki i klocki dla Jasia i trochę warzyw i owoców z lokalnych farm. Po wyczerpujących zakupach wyruszamy na poszukiwanie czegoś do jedzenia. I znowu [jak rok temu] trafiamy do El Modelo [1715 Second Street, SW czynne 7am-7pm] na wypalające buzię enchiliady, tamale i zupę posole. Jeśli zasmakować nowomeksykańskiej kuchni, to tylko tutaj. I znowu już po fakcie – jak rok temu – bardzo tego żałujemy, bo jedzenie poparzyło nam przełyki i wypaliło usta. Kolejki do tego lokalu są niemiłosiernie długie... Lokalni chyba nie gotują w domach, tylko przychodzą tu wcinać obiady. Po wypiciu galona wody w celu „ugaszenia” przełyku, ruszamy dalej przez Albuquerque, podziwiając murale w centrum. Zatrzymujemy się w Old Town i spacerujemy z godzinkę wokół głównej plazy. Wyjeżdżając z miasta, zatrzymujemy się na stacji benzynowej, a tu nagle w kierunku tankującego Mundka nagina kamerzysta i redaktorka z „wiadomości nowomeksykańskich” z mikrofonem zaczyna zadawać pytania. Mundek w telewizji nigdy nie był, więc trema go trochę zżarła i twarz skromnie zalsniła rumieńcem. Ekipa telewizyjna na koniec sfilmowała nasz superwóz „od stóp do głów”. Podejrzewamy, że i tak nie zamieścili nas w głównym wydaniu z powodu zbyt może mało pesymistycznej odpowiedzi Mundiego odnośnie do zapytywanych nastrojów na temat ostatniej podwyżki paliwa. No, ależ na co w końcu mieliśmy narzekać, skoro benzyna w tym czasie w Chicago była może i z pół dolara droższa. A poza tym skoro doczołgaliśmy się 25-letnim rozklekotanym bolidem na taką odległość, to jakoś trzeba było teraz wrócić bez względu na cenę paliwa. No, ale czego się nie robi dla wspaniałych wakacji. Opuszczamy miasto i udajemy się znowu na zachód w stronę Acoma Pueblo. Zjeżdżamy na Sky City Casino [zjazd 102], gdzie zamierzamy przenocować na parkingu przed kasynem. Mundek po 2 godzinach pogrywania, przyniósł 8 dolarów zysku w drobniakach... lepsze to niż strata. I w końcu pełen emocji zasypia z sakiewką w rękę.

Dzień 17

Ranitko szybko zbieramy manatki i podjeżdżamy na parking przy Acoma Sky City Visitor Center. Stamtąd kierują nas do busika, którym „wspinamy się” na mesę, gdzie umiejscowione jest pueblo. Ależ tu wesoło. Pełno kramów sprzedających biżuterię,

bębenki, indiańskie wypieki, garnki. Wkładamy Janka do wózka [prowadzenie wózka po gliniasto-piaszczystym nierównym podłożu nie jest tu rzeczą prostą] i próbujemy dostać się do głównego placu, gdzie rozpoczyna się San Esteban Fiesta. Dziesiątki poubieranych w tradycyjne stroje Indian z gałązkami świerkowymi w rękach przygotowywuje się do rytuału. To co nas dziwi, to element ich stroju w postaci chusty do złudzenia przypominającej chusty naszych babć z haftowanymi kwiatami. Zagadujemy starszą Indiankę, która opowiada nam o swojej młodości, którą spędziła w tym pueblo i tańczyła co roku podczas fiesty... teraz tańczą tu jej dzieci i wnuki. Żali się, że młodzi w dzisiejszych czasach nie chcą pielęgnować tradycji i kultury przodków. Wdrapujemy się na dach jednego z domów, gdzie poustawiane są krzeselka w celu umożliwienia lepszej widoczności i zasiadamy w pierwszym rzędzie. Indianie tańczą w rytm bębna, Janek tańczy na naszych kolanach razem z nimi. Szkoda, że nie można dzisiaj fotografować, bo można by zrobić naprawdę niezłe ujęcia. Spacerujemy jeszcze przez następne 3 godziny po pueblo: zaglądamy do kościoła, na cmentarz, oglądamy indiańskie wyroby – arcydzieła i przez przypadek spotykamy naszą przesympatyczną panią rangerkę z El Malpais, która przyjechała tu odwiedzić swoich znajomych Indian. Wyjeżdżamy z puebla po ponad 4 godzinach pobytu cali zakurzeni i spaleni słońcem. Busik dowozi nas z powrotem do Visitor Center, gdzie dosłownie tłumy oblegają parking w oczekiwaniu na transport. Wniosek z tego taki, że wczesna pobudka opłacała się bardzo. Wskakujemy do naszego kempingowozu i zaczynamy mozolną podróż w kierunku Chicago, od którego dzieli nas jedynie 1400 mil [2250 km], czyli mniej więcej tyle, ile z Warszawy do Aten. Bardzo ciężko nam idzie z powodu wyjątkowego dziś upału.... musimy odpoczywać i studzić silnik. Nocleg przewidywaliśmy w Teksasie na rest area [mila 129], ale niestety za Amarillo, TX zaczęło coś okropnie rwać – tak jakby skrzynia biegów miała za chwilę się rozpaść. Zjechaliśmy z autostrady [zjazd 110, miejscowość Groom] i postanowiliśmy szybko zatrzymać się na poboczu i pójść spać. Nagle przed naszymi kołami przepelz olbrzymi wąż, co niezmiernie mnie przerażyło i kazałam Mundkowi dotoczyć się do najbliższej stacji benzynowej. Zaparkowaliśmy i pobiegłam do toalety na tej stacji i tu kolejne przerażenie – w sklepie jedynym osobnikiem był przerażająco wyglądający gość bez zębów i z przetłuszczonymi sterczącymi włosami. Wyglądał jak z horroru. Całą noc nie mogłam zasnąć, bojąc się, że ten jegomość zaraz przyjdzie z siekierą albo piłą elektryczną i nas pozabija. Snułam czarne scenariusze i układałam plan ewakuacyjny na wypadek, gdyby skrzynia biegów nie dała już rady i trzeba by załatwiać jakiś transport.

Dzień 18

Wstajemy o świcie i Mundzio udaje się na stację do pana Horror w celu zasięgnięcia informacji na temat okolicznych mechaników. Otóż jest ich dwóch: przy czym jeden dziś nie pracuje, a drugi nie odbiera telefonu. Jesteśmy na totalnym bezludziu na prerii Teksasu bez możliwości znalezienia jakichkolwiek serwisów. Pozostaje nam poprostu spróbować pojechać do następnego większego miasta i tam się rozejrzeć za mechanikiem. Ryzykujemy: ruszamy, i jedziemy, i jedziemy i rwie znowu... ale za chwilę nagle wrócił nam czwarty bieg. I dalej już szło jak po maśle... Czyli to nie skrzynia biegów, a naprawianie się czwartego autostradowego biegu dostarczyło nam tyle nerwów. Jedziemy więc dalej, ale w Oklahomie stajemy w jakimś dzikim korku. Zamknęli autostradę i wszyscy stoją w niemilościernym upale dochodzącym do 40°C. Marnujemy

3 godziny, stojąc w tłumie innych samochodów – sytuacja niczym w teledysku R.E.M. Ludzie bzikują, łążą po autostradzie. Zdenerwowani zjeżdżamy na pobocze i symulując awarię, dojeżdżamy do zjazdu, ale pobocze jest również zablokowane. Mundek dokonuje nie lada wyczynu i przez trawniki i parking hotelowy przemyka do jakiejś bocznej drogi. W końcu Toyota to jakby nie było terenowy pickup, co z tego, że z wielką masą na grzbiecie. Otaczamy zakorkowaną autostradę i poprzez drobne dróżki wjeżdżamy na nią z powrotem. W Tulsie przy drodze zauważamy, że termometr pokazuje 41°C, a jest już godzina 6 po południu, więc ciekawe, ile stopni było w południe, kiedy sterzeliliśmy w korkach z wyłączoną klimatyzacją... Docieramy w końcu do „rest area” [Mila 2 w Missouri], gdzie kąpiemy Janka i w ramach rekompensaty za ciężki dzień wykąpany już Janek ma możliwość pobiegania po placu zabaw, który na szczęście tu jest. Dojeżdżamy do 110 mili, gdzie zatrzymujemy się na „rest area” i zapadamy w błogi sen.

Dzień 19

O świcie ruszamy dalej w kierunku Chicago, zajeżdżając jedynie do Saint Louis na obiad i zakupy do Whole Foods [1601 South Brentwood Boulevard]. Wycieczka do Nowego Meksyku – opisana jednym słowem jako zajebista – zostaje wpisana na naszą listę cudownych miejsc w USA. Znowu dwa i pół dnia zeszło nam na powrót. Ale kto pamięta o takich szczegółach, mając w głowie setki wspaniałych wspomnień i obrazów gór, pustyń i wszechobecnego słońca.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Dwanaście ptaszników, ponad dziesięć węży, pięć skorpionów, osiem jaszczurek, kilkadziesiąt owadów oraz trzy psy – to tylko nieliczne zwierzęta (z liczącej 306 osobników gromady) należące do 16-letniego Liama Andrewsa z Desborough, Northamptonshire. Mimo że przez swych jadowitych przyjaciół chłopak został ukąszony około dwustu razy, nastolatek w sypialni ma sześćdziesiąt groźnych okazów, a telewizję ogląda z... pytonem owiniętym wokół szyi. Codziennie karmienie zwierząt zajmuje mu aż dwie godziny. Koszt utrzymania domowego zoo wynosi około 1300 funtów.

Natalia i Mariusz Tokarczykowie
(przy udziale syna Maksymiliana)

Wyprawa pod znakiem półksiężyca – Oman i Turcja



Termin: 21 kwietnia – 12 maja 2012 roku

21 kwietnia, sobota / 22 kwietnia, niedziela

W sobotnie popołudnie, w strugach deszczu, z zawrotną prędkością osiągalną przez Volkswagena naszego znajomego, dotarliśmy na lotnisko w Basel. Samolot tanich linii lotniczych Easy Jet odlatywał dopiero późnym wieczorem, więc włóczyliśmy się po rozległym hallu, a potem po bezcłowych sklepikach, psikając się za darmo najlepszymi perfumami i zaliczając wszystkie bujaczki dla dzieci w okolicy.

Lot trwał krótko, dwie, może trzy godziny, które w całości przespaliśmy, aby w środku nocy obudzić się w zupełnie nieznanym, intrygującym miejscu...

ISTAMBUŁ

O północy założyliśmy plecaki na plecy i wyszliśmy na zewnątrz. Nie było ani zimno, ani ciepło, lekko mżyło. W takiej scenerii rozpoczynała się kolejna podróż pełna niespodzianek. Dotarłszy do centrum Istambułu, trafiliśmy w sam środek ulicznej imprezy, którą można by porównać do ulicy Floriańskiej w Krakowie w sobotnią noc... Tłum złożony z ludzi wszelkiej maści przelewał się we wszystkich kierunkach, ktoś wjeżdżał w sam jego środek na skuterze, ktoś inny przykucnął pod murem, śpiewał i grał na gitarze, z okolicznych barów otwartych do późna w nocy unosił się zapach fastfoodów, a wprost z rozdartych gardzieli – fetor alkoholu. Jedyne śpiewny głos muezina unoszący się ponad głowami, przypominał, że jesteśmy w arabskim kraju...

Istambuł zwiedzaliśmy więc w nocy i nad ranem. Wkrótce bowiem całe zamieszanie umilkło, na ulicę wyjechali zaspani śmieciarze, wstało słońce i zapadła zupełna cisza. Szliśmy wciąż przed siebie w poszukiwaniu hostelu, wśród roześmianego tłumu. Maksymilian wzbudzał powszechną uwagę, potem nie było wokół nas już nikogo, więc ogarnęło go znużenie. Do drzwi taniego hotelu (jego cena oscylowała wokół 10 euro za osobę, za łóżko w towarzystwie 30 osób), przycupniętego tuż przy pięknym Błękitnym Meczece Sułtana Ahmeda, dotarliśmy może o ósmej, jednak w wymarzone wyrka wpadliśmy dopiero po dwunastej. Obok naszej piętrówki w pokoju było jeszcze piętnaście takich samych, ale nie robiło nam to wówczas żadnej różnicy.

Spaliśmy do osiemnastej, po czym puste żołądki i chęć poznania miasta, wyгнаły nas na zewnątrz. Przeszliśmy przez bazar mieniący się bogactwem kolorów, obok

oświetlonego meczetu, który wyglądał jak z baśni, zjedliśmy prawdziwego tureckiego kebaba i kupiliśmy pasiastą chustę, którą miałam nakrywać głowę w jednym z gorących krajów Półwyspu Arabskiego, do którego uderzaliśmy następnego dnia...

23 kwietnia, poniedziałek / 24 kwietnia, wtorek

MUSCAT

Poniedziałkowy poranek minął nam na spacerze po Istambule, od drzwi hostelu aż do stacji metra, z której odjeżdżała linia wprost na lotnisko Ataturk (spacerowaliśmy tak jakieś półtorej godziny). Potem, liniami Quatar Airways, w cenie ok. 200 euro za osobę, poleciliśmy do Dohy – stolicy Kataru. Już na płycie lotniska uderzyło w nas wszechobecne gorąco – tak różne od tego zastanego w Turcji. Port w Katarze był jedynie naszym punktem przesiadkowym, z którego odlatywaliśmy dalej. Po kilkugodzinnym pobycie w tym maleńkim państwie, wsiedliśmy na pokład samolotu lecącego do Muscatu. Do stolicy Omanu dotarliśmy o dwudziestej trzeciej, a potem, chcąc załapać nasz pobyt na 10-dniową wizę w cenie 5 riali – ok. 10 euro (dłuższa jej opcja okazała się bowiem cztery razy droższa), czekaliśmy do północy na ławce obok długiej kolejki Hindusów przybyłych tu do pracy. Oman to bogaty kraj, ale emigranci, którzy go budują, nie wyglądali na zamożnych. Co innego miejscowi Arabowie – w białych tunikach i specyficznych nakryciach głowy; spłaszczonych, prostych czapkach ozdobionych przeróżnymi wzorami. Ci podjeżdżali na lotnisko drogami samochodami, dogadywali się przez najnowsze modele komórek, nosili fajne zegarki i pomimo upału rzędu trzydziestu stopni w środku nocy, ładnie pachnieli...

Na lotnisku w Muskacie dopadła nas lekka panika, jaka trafia się od czasu do czasu w podróżach bez zbędnego planowania. Po kilkudziesięciu minutach od przylotu z lotniska zniknęli wszyscy „biali”, na sam koniec zostawiając zdezorientowaną Angielkę, której przyjaciółka nie zjawiła się, by ją odebrać i nie odpowiadała na jej natrączywe telefony. Potem Angielka ulotniła się i pozostaliśmy sami; wśród wiecznie wyczekującego tłumu Hindusów z karteczkami w rękach, wśród Omanów rozmawiających przez komórki i pracowników lotniska. Założyliśmy, że odjedziemy stąd wypożyczonym samochodem; ceny sprawdzone w Internecie bynajmniej nie odstraszały, jednak te lotniskowe znacznie je przewyższały. Potem okazało się, że nie mamy odpowiedniej karty bankowej i międzynarodowego prawa jazdy albo że w wypożyczalni nie mają już samochodów. Postanowiliśmy jechać do miasta, lecz taksówka kosztowałaby nas jakieś 50 euro. Zdesperowani, usiedliśmy na zewnątrz wśród spokojnego tłumu oczekujących Hindusów, i przeczekaliśmy do rana, zapadając od czasu do czasu w przerywany sen.

O poranku przebudził nas głośny klakson; przed rzędem ławeczek usłanych na przemian śpiącymi i czuwającymi ludźmi, zatrzymał się autobus z napisem: SALALAH. Chcieliśmy odwiedzić to miasto, oddalone o ponad tysiąc kilometrów od stolicy, więc Mariusz pobiegł zapytać o cenę podróży. Sześć riali! Czyli jedyne 12 euro! Odzyskaliśmy wiarę, że uda nam się przetrwać tu przez następnych dziesięć dni (zachwianą nieco przy okazji taksówek), wzięliśmy szybki prysznic w lotniskowej toalecie (bo każdy kibel ma zainstalowany miniaturowy prysznic, którym orzeźwia się swoje cztery literki, ale przy odrobinie wyobraźni można go używać również w inny sposób) i znaleźliśmy autobus do Ruwi, miasteczka tuż przy Muskacie, gdzie mieliśmy spróbować szczęścia, jeśli chodzi o samochód do wynajęcia.

Tymczasem upał nasilał się coraz bardziej. Po nieprzespanej nocy zmęczenie w połączeniu ze słońcem uderzyły w nas z całym impetem. Snuliśmy się ulicami, bez słowa, aż w końcu dotarliśmy do ulicy upstrzonej afiszami z autami różnej maści. Część wypożyczalni była zamknięta, część nieprzychylna; ale udało nam się w końcu znaleźć tę właściwą. Pracownik chciał w zastaw za samochód jeden z paszportów, trochę nas to zaniepokoiło, zważywszy przy okazji na limity kilometrów, jakie narzucała wypożyczalnia (dwieście dziennie), postanowiliśmy jechać do Salalah autobusem. Wcześniej jednak znaleźliśmy hotel, jego cena była dość wysoka (ok. 50 euro za pokój), a warunki dość kiepskie, jednak przespaliliśmy w nim całe upalne popołudnie, a wieczorem ruszyliśmy na spacer. Naszym celem był Muskat, jednak gdy okazało się, że dzieli nas od niego jakieś dziesięć kilometrów, poprzestaliśmy na pobieżnym zwiedzeniu Ruwi. Wokół nas tańczył kolorowy tłum, który ubarwiał głównie Hinduski w kolorowych strojach. Zatrzymaliśmy się w knajpcie z jedzeniem, gdzie było pysznie i tanio, kupiliśmy cały zapas napojów i wróciliśmy do hotelu, żeby wypocząć przed podróżą o świcie.

25 kwietnia, środa/ 26 kwietnia, czwartek

SALALAH

Autobus wyruszył punktualnie o szóstej rano, gdy na zewnątrz panowało jeszcze przyjemne ciepło. Czekala nas ponad tysiąckilometrowa podróż przez suchą i upalną pustynię, dlatego mieliśmy sporo obaw, czy oby nasz syn na pewno podoła. Na szczęście w środku temperatura była znośna, a współuczestnicy podróży wzięli sobie naszego Maksia za oczko w głowie – zaczepiali go, bawili się w kuku, częstowali łakociami i kartonowymi soczkami. Obecność dziecka przy boku gwarantowała nam zawsze przychylność miejscowych. Nie było przy tym miejsca na bariery językowe ani kulturowe; zaryzykuję wręcz stwierdzeniem, że bez Maksia nasza podróż nie byłaby tak ciekawa.

Droga do celu na drugim końcu kraju wiodła tuż obok pustyni Ar-Rub Al.-Khali, która ze swoją powierzchnią sześćset pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych jest największą piaszczystą pustynią świata. Jadąc okalającą ją drogą, widać właściwie jedną niekończącą się pustkę, upstrzoną od czasu do czasu osamotnionymi wioskami. Gdy przyszło nam jednak zatrzymać się na krótki postój, wyposażenie przydrożnego sklepu przysparzało nam jednak zdziwienie. Było w nim wszystko, czego dusza mogła zapragnąć! Wszelkie środki higieniczne, przyprawy z najdalszych zakątków świata, amerykańskie masło orzechowe i angielskie piwo imbirowe (bezalkoholowe)! Dział napojów należał do jednego z lepiej wyposażonych, czemu trudno się dziwić, zważywszy na fakt, że w tak gorącym kraju potrzebowaliśmy średnio pięciu litrów płynów dziennie na łebka.

Salalah, tajemnicze miasto, o którym nie wiedzieliśmy zupełnie niczego, powitało nas wieczorną porą, gdy znów było przyjemnie ciepło. Znalazszy hotel w cenie 12 riali za pokój (24 euro), pozbyliśmy się zbędnego balastu plecaków i wyruszyliśmy w kierunku morza. Droga wiodła się wśród palm, jakich jeszcze w życiu nie widzieliśmy. Każda z nich pięła się na wysokość co najmniej pięciu metrów. Po półgodzinnym marszu po przeciwnej stronie drogi zatrzymał się nowoczesny jeep. Gdzie idziecie? – spytał przyjaźnie jego kierowca. Usłyszawszy, że szukamy plaży, zaproponował nam podwiezienie. Na miejsce dotarliśmy już grubo po zmroku, zdjęliśmy więc czym prędzej buty i pobiegliśmy na spotkanie z orzeźwiającą wodą. Fale co jakiś czas zamaczały nam nogawki, w ciemności widzieliśmy pędzące wte i wewtę mikroskopijne kraby, a dalej

od brzegu siedziały w skupiskach omańskie kobiety, otulone w suknie od stóp do głów, otoczone przez ruchliwy wianuszek dzieciaków. Usiedliśmy na moment w plażowym barze na piasku, gdzie podawali zimne napoje, a potem, w okolicach północy, postanowiliśmy wrócić do hotelu. Po drodze mieszkańcy Salalah przyglądali się nam z ciekawością; podpytywali po angielsku o nasz kraj pochodzenia, cel podróży, imiona. Sprawiali wrażenie bardzo otwartych i sympatycznych, pomimo niegasnącej uwagi, jaką wzbudzaliśmy przez nasz odmienny kolor skóry, czuliśmy, że jesteśmy w tym miejscu całkowicie bezpieczni. A dodatkowo i mile widziani...

O poranku wyruszyliśmy na poszukiwania auta do wynajęcia, a za jego pośrednictwem – szukania dalszych przystanków. Upał nasilał się z minuty na minutę, także spacer od jednego do drugich drzwi, za którymi panował przyjemny chłódzik (klimatyzacyjny), mógł nas kosztować poważne przeziębienie. W jednym z biur turystycznych spotkaaliśmy Tunezyjczyka, który znał francuski i był tym samym pierwszą napotkaną osobą, którą rozumiał Maksymilian. Reszta spotykanych przez nas ludzi bardzo dobrze mówiła po angielsku. Przyjaźń pomiędzy dwójkiem wyżej wspomnianych rozwinęła się na tyle, że pierwszy chciał odstąpić drugiemu zajmowany przez siebie „stołek”, jednak czas naglił nas, by ruszać dalej.

W końcu udało nam się także wypożyczyć samochód, starego rozklekotanego Hyundaya, którym od razu wyjechaliśmy w kierunku morza, na wschód od Salalah. Na jednej z piaszczystych plaż trafiliśmy na szczątki zółwia – giganta, pod wrażeniem którego nasz syn pozostał jeszcze przez kilka kolejnych dni, pytając: „A dlaczego on umarł? Co mu się stało? Dlaczego był na piasku, nie w wodzie” itp.

Po wycieczce na wschód, przysłała kolej na zachód, gdzie zapuściliśmy się jakieś czterdzieści kilometrów od jemeńskiej granicy. Wybrzeże okazało się tu skaliste i poszarpane, po drodze widzieliśmy także miejscową atrakcję w postaci morskiej wody tryskającej spomiędzy skalnych rozpadlin. O zmierzchu wróciliśmy do miasta, by zjeść kebaba u poznanego dzień wcześniej Egipcjanina handlującego na ulicy, porozumieć się skypowo z rodziną w Polsce i spędzić jeszcze jedną noc w tym pięknym, bogatym mieście na samym południu Omanu.

27 kwietnia, piątek /28 kwietnia, sobota

AR-RUB AL-KHALI

Właściwie głównym celem naszego wypadu do Omanu było zobaczyć pustynię Ar-Rub Al-Khali. Z drogi wiodącej przez środek kraju nie widać jednak jej najpiękniejszych rejonów, pełnych wysokich, piaszczystych wydym. Do Salalah trafiliśmy w martwym sezonie i nie udało nam się znaleźć firmy organizującej wycieczki w pustynne rejony. Postanowiliśmy więc uderzyć w samo ich serce – do małej osady o nazwie Quatbit, gdzie według mapy znajdował się jeden hotel. Podróż nie obeszła się jednak bez przygód – pierwszy autobus nie jechał tą trasą, drugi był już przepełniony, a trzeci, który w końcu udało nam się złapać, zepsuł się po stu kilometrach drogi. Koniec końców udało nam się jednak dotrzeć do celu. Obok hotelu znajdowały się tu dwie sklepo-restauracje i stacja benzynowa.

Żar lejący się z nieba sprawiał, że droga między przystankiem autobusowym a hotelem (jakiś kilometr) dłużyła się niesamowicie. Dotarliśmy na miejsce nieźle wycieńczeni, zrzuciliśmy bagaże w rozległym chłodnym hallu i oczekiwaliśmy na kogoś, z kim

można by obmówić sprawę wyjazdu na wydmy. Najpierw trafili się Hindusi niemówiący po angielsku, więc tłumaczyliśmy gestami i obrazami (na ścianach wisiały podobizny wielbłądów), o co nam chodzi. Później przyszedł i menadżer hotelu, przyznał, że nie organizuje pustynnych wycieczek, ale widząc naszą zawziętość, może zapytać znajomego Pakistańczyka wyposażonego w samochód terenowy, czy miałby ochotę przejechać się na krótką wycieczkę. Cała „przyjemność” drogo nas kosztowała (50 riali, czyli 100 euro), ale umówiliśmy się nazajutrz rano. Późnym popołudniem wyruszyliśmy na spacer po okolicy. Wokół nas rozciągały się spieczone słońcem połacie ziemi, po której od czasu do czasu przemykały zwinne jaszczurki. Życie w takim klimacie wydawało się być wręcz niemożliwe, a jednak wciąż egzystowali tu ludzie.

Po półgodzinnej przeprawie przez wyschniętą drogę spasowaliśmy i wraz z Maksiem wróciłam do przyjemnego chłodu klimatyzowanego pokoju. Na zewnątrz wyszliśmy ponownie już po zmroku, do pobliskiej restauracji, a potem na dziedziniec hotelu, by z miejscowymi ludźmi posiedzieć przy chłodnym bezalkoholowym piwie.

Umówiony kierowca przyjechał po nas późnym porankiem. W spiekocie, która towarzyszy mieszkańcom Omanu nawet w środku nocy, zapakowaliśmy się do jeepa; nasza trójka usiadła z tyłu, a menadżer hotelu tuż obok swojego przyjaciela. Pojechaliśmy ubitą drogą czterdzieści kilometrów od Quatbit w stronę granicy z Arabią Saudyjską. Tuż przy piaszczystych wydmach, które ciągną się tam setkami kilometrów, natrafiliśmy na małą ludzką osadę. Oprócz piachu i kilku marnych wiotkich drzew, które żyją dzięki spijaniu rosy z porannych mgieł, nie było tu niczego. Kilka wychudzonych wielbłądów pasło się przywiązanych do płotu okalającego gospodarstwo. Nie mieściło mi się w głowie, jak można tu żyć! Nawet plan krótkiego spaceru po wydmach spalił na panewce; przeszliśmy się troszkę tak, aby zobaczyć je z bliska, ale potem zaraz uciekliśmy do cienia. Jedyne Mariusz odważył się na więcej, lecz kosztowało go to przemoczenie wszystkich ubrań.

Po wycieczce na wydmy, nasz kierowca zgodził się zawieźć nas do miasta, w którym mieszkał, a z którego było nieco bliżej do Nizwy – kolejnego celu naszej podróży. Jako że do odjazdu autobusu pozostawało nam jeszcze trzy godziny, zostaliśmy zaproszeni na krótką wycieczkę po okolicy połączoną z bliskim spotkaniem z udomowionymi wielbłądami i tradycyjnym pakistańskim obiadem w domu. Jedliśmy na podłodze, wokół rozłożonego na tę okazję obrusu, a zamiast sztućców mieliśmy do dyspozycji własne palce. Maks bawił się z dziećmi gospodarzy; i ani im, ani jemu nie sprawiało najmniejszej różnicy to, że nie mówili w tych samych językach.

Wkrótce nadeszła pora odjazdu, do Nizwy pozostawało nam jeszcze parę ładnych godzin jazdy, dotarliśmy doń już po zmroku, więc nie zastanawiając się długo, wbiliśmy tropik w ziemię i spędziliśmy pierwszą noc w Omanie pod namiotem, w rozległym parku obok równie rozległego centrum handlowego.

29 kwietnia/niedziela

(MINI) GRAND KANION

O wczesnym poranku, budzący się wraz ze słońcem skwar, wygnał nas z namiotu. Zaczęliśmy na nowo poszukiwania ugodowej wypożyczalni samochodów, które zaprowadziły nas aż do centrum jednego z najstarszych miast Omanu i jego dawnej stolicy – Nizwy. Tu natrafiliśmy na tłum podobnych nam turystów, którzy przelewali się wąskimi uliczkami suku, otoczonego rozległymi fortyfikacjami. Na bazarze można było

podziwiać arcydzieła sztuki rzemieślniczej, urządziliśmy więc sobie krótki spacer po krętych ulicach, a potem kontynuowaliśmy bezowocne poszukiwania odpowiedniego środka transportu...

W okolicach Nizwy jest sporo gór i ciekawych kanionów, toteż nie znajdując samochodu, zdecydowaliśmy się w końcu dotrzeć do nich busem. Na rozwidleniu dróg, gdzie zostawił nas jego kierowca, wyciągnęliśmy w górę dłonie w autostopowym geście i już po chwili mknęliśmy do celu szybkim samochodem z klimatyzacją, nic za to nie płacąc... Ponadto nasz kierowca zaoferował nam przejażdżkę jeepem wraz ze swoim znajomym w głąb dużego kanionu, tym razem za odpowiednią opłatą. Rozmiary kanionu były rzeczywiście imponujące, dlatego też nazwaliśmy go małym Grand Kanionem. Okrążyliśmy go z kilku stron, a potem wysiedliśmy z samochodu u jego stóp i rozbiliśmy namiot w pobliżu niewielkiej wioski leżącej u jego ujścia. Gdy wbijaliśmy ślędzie w suchą ziemię, było jeszcze jasno i zaciekawieni mieszkańcy przyglądali nam się z uprzejmą ciekawością. Wyleżawszy się na karimatach za wszystkie czasy, wraz z nastaniem zmroku zapadliśmy w końcu w wyczekiwany sen. Choć przy upale, który nie odpuszczał ani na chwilę, czyniąc z wnętrza namiotu prywatną saunę, sprawa udanego wypoczynku nie była wcale czymś oczywistym...

30 kwietnia/poniedziałek

W STRONĘ OMAŃSKIEGO WYBRZEŻA

O poranku czas nam było wracać w stronę Nizwy. Kanion, w którym nocowaliśmy, znajdował się w dość odludnej okolicy, ale po kilku minutach „stopowania” zatrzymało się dla nas przestronne auto, którego „pakę” wkrótce szczelnie wypełniliśmy. Towarzyście podróży nie umieli mówić po angielsku, ale ich szerokie uśmiechy wystarczyły za wszystkie słowa. Szczególnie ciepło uśmiechali się do naszego Maksa. Dotarwszy do pierwszej miejsciny, pożegnaliśmy się i pognaliśmy do sklepu; nasz zapas wody właśnie się skończył, a kreska temperatury pięła się śmiało w górę, dochodząc już na pewno do ponad trzydziestu stopni. Obok wejścia do sklepu rzuciła nam się w oczy para białych turystów; po krótkim wstępie w języku angielskim mogliśmy przerzucić się na nasz ojczysty język, była to bowiem dwójka Polaków. Ewelina i Marcin przemierzali Oman sporych rozmiarów jeepem, mieli za sobą już kilka stromych podejść w kanionach tego kraju, a z sobą cały ekwipunek trekkingowo-biwakowy, z którego też wkrótce i my skorzystaliśmy. Po nocy w „saunie” zaoferowali nam polowy prysznic skonstruowany za pomocą gumowej rurki podłączonej do pięciolitrowego baniaka z wodą. Nie muszę chyba dodawać, że taki upominek był nam wówczas droższy niż wszystkie prezenty świata. Jedynie Maksymilian nie docenił w pełni jego wartości (ale wybaczymy mu, w jego wieku mało kto przywiązuje wielką wagę do kwestii higieny osobistej).

Ewelina i Marcin udawali się w stronę kanionu, z którego my właśnie wracaliśmy, więc pożegnawszy się, kontynuowaliśmy naszą jazdę autostopem. Do podnoszenia ręki w górę wydelegowaliśmy Maksymilianka, który okazał się tym faktem bardzo ucieszony. Podnosił kciuka w górę i niemal natychmiast osiągał swój cel, co najwyraźniej dawało mu słodką radość sukcesu (oj, znamy dobrze to uczucie, co, starsi autostopowi wyjadacze?). Na początku nasz syn złapał dwie kobiety, które pruły przez skwar z zawrotną prędkością, a na koniec podarowały mu siatkę z owocami. Potem zatrzymał kierowcę przestronnego jeepa. Na dworzec autobusowy udało nam się więc

dotrzeć w miarę szybko, cóż z tego, skoro do najbliższego autobusu do Muscatu, pozostawały dwie godziny oczekiwania w cieniu okrągłego przystanku otoczonego nieznosnym skwarem. Obok nas było tu kilku innych podróżnych, odzianych w tradycyjne omańskie stroje, którzy po krótkim czasie, kalkulując liczbę oczekujących, zaproponowali nam zrzuć się na taksówkę. Przy wybranym samochodzie trwały najpierw zacięte targi, kierowca i przyszli pasażerowie wydawali się krzyczeć na siebie nie na żarty, a nawet obrażać się, wędrując już niby definitywnie w kierunkach, z których nadeszli, w końcu jednak doszli do kompromisu. Zapłaciliśmy za transport bajecznie mało, coś w granicach ceny za autobus. I przy okazji pozbyliśmy się iluzji, jakoby Oman, nie będąc przecież krajem stricte turystycznym, nie zdierał kasy z zielonych turystów, dla których ceny taksówek są co najmniej cztery razy większe (!) W porze późnego popołudnia dotarliśmy w znajome tereny, tuż obok hotelu, w którym spędziliśmy drugą omańską noc. Była tu wypożyczalnia aut, przychylna nam pomimo papierkowej niekompletności, więc bez wahania udaliśmy się właśnie do niej. Skutek – samochód na ostatnie dwa dni wojaży po pustynnym kraju. O zmroku przejechaliśmy przez stary Muscat, wrażenie pozostawił niezatarte, z lewej strony ciepłe fale Morza Arabskiego, uderzające o poszarpane skalne wybrzeże, z drugiej – kwiecisto-palmowa soczystość pięknych ogrodów, o które w takich warunkach trzeba dbać ze wzmożoną troską, bogactwo wysokich budynków i domów z jasnego kamienia, gdzieś na horyzoncie gasnące czerwone słońce jak ostatni akcent wieńczący piękne arcydzieło. Nie trzeba było rozwiniętej wyobraźni, by się poczuć jak postać z baśni „Tysiaca i jednej nocy”. Albo z kreskówki „Alladyna”, jeśli ktoś tych pierwszych nie kojarzy...

Było już dawno po zmroku, gdy znaleźliśmy odpowiednie miejsce pod namiot. Tym razem padło na miejscową plażę w miasteczku Quriat. Rozbijaliśmy się niespiesznie, w towarzystwie tubylców przechadzających się w ostatnim przed nocą spacerze po ciepłym piasku. Nikt nie zwracał na nas specjalnej uwagi, toteż wkrótce zasnęliśmy, nie mniej spokojnie niż we własnym domu.

1 maja/wtorek

PUSTYNIA, KTÓRA ŁĄCZY SIĘ Z MORZEM

Poniżej nadbrzeżnego miasta Sur we wschodnim Omanie znajduje się jeszcze jedna, niewielka powierzchniowo (dwanaście i pół tysięcy kilometrów kwadratowych) pustynia o nazwie Wahiba Sands. Przy odpowiednim świetle jej piaski nabierają odcieni czerwieni, sięgając przy tym aż do morskiego wybrzeża. Chcąc przyjrzeć się z bliska temu zadziwiającemu cudowi natury, ruszyliśmy na spotkanie wysokim wydmom. Po kilku godzinach jazdy upał był nieznosny na tyle, że zdecydowaliśmy się na skok w bok w objęcia zimnych fal. Wybrzeże mieliśmy po naszej lewej stronie, dzieliło nas od niego może sto metrów, więc skręciliśmy na piaszczystą drogę wiodącą na dzikie plaże. Niestety! Grunt okazał się tu zbyt grząski dla naszego samochodu; o kontynuowaniu przed siebie nie było mowy, więc zaczęliśmy cofać na asfaltową drogę... Bez skutku! Każdy ruch opon zakopywał nas jeszcze głębiej. Utknęliśmy w piachu w nieznosnym skwarze i kombinowaliśmy co dalej. W momencie, gdy Mariusz popychał auto, a ja kręciłam kierownicą, nadeszła niespodziewana pomoc. Ekipa młodych mężczyzn, chyba rybaków (sieci na pace terenowego samochodu), zatrzymała się obok nas, wyskoczyła ze środka, wyciągnęła grubą linę, przyczepiła jeden wóz do drugiego, ruszyła,

popchała, pociągnęła i... było po wszystkim. Potem panowie równie szybko zwinęli swe manatki, siebie samych i, odmawiając przyjęcia zapłaty za ratunkową akcję, zegnani tysiącem „dziękuję” – pojechali w swoją stronę. I my uczyniliśmy to samo, nie rezygnując bynajmniej z planu „plażowania”. Kilkanaście kilometrów dalej znaleźliśmy bitą drogę, i z dala od ciekawskich oczu zakosztowaliśmy kąpieli w ciepłym morzu. Fale były zbyt silne, aby porządnie popływać, ale nie przeszkadzało nam to zupełnie. Popraliśmy brudne ubrania, wyleżeliśmy się na ciepłych kamieniach, daliśmy się kołysać morzu, zmykając przed małymi meduzami, które – Bóg raczy wiedzieć – czym mogły nas pokąsać.

Pod wieczór z racji sporej liczby kilometrów dzielącej nas od Muscatu (skąd następnego wieczoru odlatywaliśmy z powrotem) zawróciliśmy w jego kierunku, i znalazłszy kawałek płaskiej ziemi na klifowym wybrzeżu, rozbiliśmy namiot. Wkrótce potem zaśzło słońce, nas też znużyło czuwanie i w skwarnej nocy odpłynęliśmy w krainę snu, przy rytmicznych uderzeniach fal o płaskie skały.

2 maja/środa

OSTATNI DZIEŃ W UPALNYM OMANIE

O poranku, nie mając już zapasów prowiantu, zatrzymaliśmy się w pierwszej lepszej knajpce na śniadanie. Od kilku już dni naszym głównym menu były zawijane kanapki (czy też raczej naleśniki) z kurczakiem i warzywami, a do tego koktajl ze świeżych zimnych owoców. W całym Omanie takich przydrożnych knajpek było na pęczki, a serwowane przezeń przekąski, ciepłe i zimne napoje, desery z owoców, były bardzo tanie. Gdy nasyciliśmy pierwszy głód, upał wzmógł się już na dobre. Postanowiliśmy tego dnia pójść na spacer w głąb kilku kanionów znajdujących swe ujście na brzegu morza, lecz zważywszy na temperaturę, plan ów wydał się nagle mało realny. Mimo to, o dziewiątej rano, w upale sięgającym już z pewnością trzydziestu pięciu kresek, ruszyliśmy w drogę. Jakie było nasze zdziwienie, gdy okazało się, że kanion wypełniony jest wodą. Krystalicznie czystą, słodką wodą! W pustynnym kraju brzmi to niemal jak omam. Co prawda w zieleni wokół nas tliły się jakieś maleńkie osady, a że byliśmy w kraju muzułmańskim, nie wypadało rozbierać się i wskakiwać do kąpieli (szczególnie mnie, okrytej tu normalnie chustą), lecz nie mogliśmy się powstrzymać. To było najlepsze miejsce do pływania, jakie kiedykolwiek widziałam! Tak więc po chwili wahań zażyliśmy kąpieli w cudownie przezroczystej tafli, w ciepłej wodzie, z której uroków nikt oprócz nas nie korzystał.

Po południu byliśmy już w stolicy Omanu, w pobliżu której również przejeżdżaliśmy morskim wybrzeżem. Gdzieś w małej, odludnej wiosce, zapomniawszy o Bożym świecie, zorientowaliśmy się nagle, że nie mamy już prawie paliwa. Stanęliśmy na poboczu, poszliśmy coś zjeść do małego baru, i pytaliśmy odwiedzających, czy nie znają kogoś, kto ma mały zapas w baku. Niestety, nikt taki się nie znalazł. Na szczęście dwóch młodych chłopaków zaoferowało, iż pojadą po benzynę do Muscatu, a potem przywiozą nam pełny bak. Oczekując na ich powrót, rozsiedliśmy się wygodnie na krawężniku w cieniu rozległego drzewa w małej wiosce, obok nas przechadzały się kury z zapalem szukające czegoś do jedzenia, a z dalsza obserwowali nas cisi mieszkańcy. Po chwili udało nam się złapać kontakt z niektórymi z nich, jednak nie mówiliśmy w ani jednym wspólnym nam języku. Próbowałam zachęcić miejscowe kobiety, by dały mi się sfoto-

grafować; tłumaczyłam na migi, że pokażę mamie, siostrze i ciotkom, jak piękne są ich stroje (to jest oczywiście prawdą!), ale na nic się to zdało... Aż do momentu naszego odjazdu, pilnie strzegły przed błyskiem aparatu swych strojów i twarzy.

Wieczorem oddaliśmy samochód, ucinając sobie długą pogawędkę z pracującym w wypożyczalni chłopakiem. Pytał nas o Europę, do której miał zamiar wybrać się w niedługim czasie. Potem poszliśmy po raz ostatni napełnić żołądki pyszną omańską strawą i złapaliśmy taksówkę na lotnisko. Ostatni obraz Omanu to szybka, dużo za szybka jazda taxi-busem przez gęszcz różnokolorowych świateł ulicy, slalom pomiędzy innymi uczestnikami ruchu, głośna rytmiczna arabska muzyka i ciepły, upalny wręcz wiatr wciskający się do wnętrza przez uchylone okna. A potem noc w namiocie na rozgrzanej ziemi, huk przejeżdżających samochodów i oczekiwanie na ławce, na której dziesięć dni wcześniej siedzieliśmy pełni obaw, co czeka nas w tym tajemniczym pięknym kraju...

3 maja, czwartek/4 maja, piątek

WITAJ TURCJO!

Po całodziennym lataniu, z przesiadką w Katarze, w porze zmierzchu dotarliśmy do Istanbulu. Mogliśmy wrócić na noc do znajomego hostelu, jednak przeczytawszy wcześniej, iż w Turcji bardzo popularne są nocne autobusy, postanowiliśmy poszukać jednego z nich zmierzającego do odległego o sześćset pięćdziesiąt kilometrów miasta Denizli, w pobliżu którego leżą białe, wapienne tarasy z basenami termalnymi o nazwie Pamukkale, stanowiące w mojej głowie jedną z tych rzeczy, które muszę zobaczyć zanim umrę (jest ich jeszcze dużo więcej, a jakże...). Wsiedliśmy więc w autobus, który kosztował 55 YTR (23 euro). A potem daliśmy się ukołysać do snu rytmicznej jeździe. Nad ranem zaserwowano kawę z ciastkami, co pozwoliło naszym zmęczonym organizmom obudzić się i podziwiać widoki za oknem. Odkryliśmy, że zieleń, rosa na trawie i chłód poranka są prawdziwym wytchnieniem w porównaniu z suszą surowej pustyni. Zaczęło cieszyć nas, że i my mieszkamy w podobnym tureckiemu klimacie.

Gdy dzień obudził się już do końca, a nieśmiałe promienie słońca zastąpiło prawdziwe grzanie z nieba, dotarliśmy na peryferie Denizli, gdzie zatrzymywał się nasz autobus. Po wyjściu na zewnątrz, transport do celu naszej podróży nie dał na siebie długo czekać. Pewien jegomość zaproponował nam nie tylko przewoźnika, ale i nocleg na tanim polu namiotowym. Na miejscu stargowaliśmy z jego właścicielem cenę pokoju w miłym hotelu z basenem, za który zapłaciliśmy 40 YTR (co równa się 17 euro). Objąwszy przytulny pokój w posiadanie, natychmiast skorzystaliśmy z jego wygód, czyli łazienki i po orzeźwieniu całej naszej trójki wyruszyliśmy przed siebie, na zwiedzanie bielutkiego Pamukkale. To miejsce jest naprawdę wyjątkowe, i pomimo tłumu nawiedzających go turystów, można znaleźć jakiś ustronny punkcik i napawać się do woli jego tajemniczością. Zwiedzanie odbywa się na bosaka, z racji płynącej po skałach wody, co jakiś czas natrafia się też na basenik, w którym można zanurzyć się aż po szyję (na siedząco). Nasz syn nie dał się długo namawiać; słońce rozochociło się już na dobre, zapraszając do orzeźwiającej kąpieli. Maks zanurzył się więc w ciuchach we wodzie i naśladował „koparkę”, wydobywając z dna baseniku sypkie, białe wapno... My zostaliśmy na brzegu, bo zapomnieliśmy kąpielowych strojów. Wydawało się nam, że w muzeum w Turcji nie wypada tak paradować w miejscach publicznych, jed-

nak najwidoczniej grubo się pomyliliśmy. Wczesnym popołudniem, wdrapawszy się na sam szczyt tarasów Pamukkale, zwiedziliśmy za jednym zamachem ruiny pozostałe po starożytnym mieście Heliopolis. Jak to powiedział mój mąż-laik – „sterta kamieni”, lecz jednak sterta robiąca wrażenia wymyślnymi ornamentami i rzeźbieniami, które można było dostrzec pośród zarośniętego rumowiska. Wśród tej sterty – niemalże nienaruszony amfiteatr, po którym można do woli spacerować.

Popołudnie spędziliśmy zaś bycząc się w hotelu. Zrobiliśmy wielkie pranie brudnych ciuchów, które następnie rozwiesiliśmy na balkonie na linkach do namiotu. Potem pozostało nam już tylko pływanie w hotelowym basenie i rozmowy z innymi turystami, w tym zwłaszcza z jedną Japonką okrążającą świat w rok. Wieczorem wyszliśmy na jeszcze jeden spacer, kupiliśmy bilet na autobus do nadmorskiej Antalyi i za jednym zamachem, do Kapadocji oraz zapłaciliśmy zaliczkę za pokój w Goreme. Potem jeszcze raz przeszliśmy się obok białych tarasów, tym razem oświetlonych tu i ówdzie neonami. Spotkaliśmy obok nich wycieczkę Polaków z naszego rodzinnego miasta, pogadałiśmy krótką chwilkę, w czasie której Maksiu usnął w ramionach taty, i sami już nieco zmęczeni, wróciliśmy wypaść się w hotelu.

5 maja, sobota/ 6 maja, niedziela

NAD TURECKIM WYBRZEŻEM

Sobotni poranek był pełen słońca. Po śniadaniu w przytulnym hotelu wsiedliśmy do busa jadącego z powrotem do Denizli, skąd mieliśmy wykupiony bilet do Antalyi (cena biletu wynosiła jakieś 10 euro). Na dworcu przyszło nam czekać jakąś godzinę, w czasie której nasz syn zawarł liczne nowe znajomości. Dostał również cały zapas słodkich ciastek na drogę od jednego z oczekujących tu kierowców autobusów. Wkrótce i my zajęliśmy swoje miejsca w wygodnym pojeździe, a po kilku godzinach jazdy dotarliśmy na miejsce. Nasz plan zakładał wypożyczenie samochodu, pojechaliśmy więc miejskim autobusem do dzielnicy, która słynie z tego rodzaju usług. I znaleźliśmy to, o co nam chodziło – auto co prawda w stanie kiepskim, ale za to w bardzo okazyjnej cenie – 50 tureckich lirów (20 euro). Od razu pomknęliśmy nad morze, choć trafienie nad jego brzeg z gęszczy nieznajomych uliczek, bez urządzenia nawigacyjnego ani dokładnej mapy okolicy, nie należało do łatwych. Kiedy już udało nam się zostawić miasto za sobą, zadaliśmy sobie pytanie, jak teraz wrócimy, by oddać samochód, jednak nie musieliśmy udzielać na nie natychmiastowej odpowiedzi, toteż szybko uleciało w niepamięć... Tymczasem czekało na nas morze! Całkiem różne od tego w Omanie. Przejeżdżaliśmy przez zalesione pagórkowate tereny, a czystobłękitna tafla raz po raz połyskiwała po naszej lewej stronie. Co jakiś czas wyłaniały się przed nami znaki wskazujące zjazdy do nadmorskich miejscowości, a obok nich mozaika reklam kurortów wypoczynkowych. Zjechaliśmy do jednej z nich, która wydała się nam położona nieco bardziej na uboczu. Fethiye, do której trafiliśmy, okazała się spokojną turystyczną osadą, w której bardzo popularne były domki na drzewie. Ciasne uliczki pełen tu były bujnej roślinności i zapachu dobrej nadmorskiej kuchni. Nad brzegiem morza przechadzało się niewiele osób, zmierzchało i było zdecydowanie zbyt chłodno na pływanie. Rozłożyliśmy karimatę na małych kamyczkach, które zastępowały tu piasek. Poszliśmy zamoczyć stopy w chłodnej wodzie, a potem zjedliśmy kolację na świeżym powietrzu.

O zmroku czas było nam zmywać się z turystycznej osadki i szukać ustronnego miejsca pod namiot (tym razem postanowiliśmy, że nie odpuścimy, ale użyjemy go w Turcji po raz pierwszy)... Wyjeżdżając z wioski, zobaczyliśmy duży znak ze strzałką: „Ogień Chimery”. Cóż za zbieg okoliczności! Kiedy przed wyjazdem oglądaliśmy podróżniczy film o tym kraju, przemknęło nam przez myśl, żeby je zobaczyć, ale potem zapomnieliśmy sprawdzić, gdzie się znajdują. A tu proszę!

Po ciemku poszliśmy więc na spacer pod górkę, u którego kresu czekały na nas niegasnące języki ognia buchające wprost z wnętrza ziemi. Ludzie przycupnęli wokół nich, grając na gitarach, pijąc wino, snując różne opowieści, całując się... Niektórzy wychodzili z wielkimi plecakami zaopatrzonymi w karimaty, widocznie zamierzali spędzić tu noc. My jednak wkrótce zeszlismy w dół, niemal w zupełnej ciemności. W kolejnej miejscowości, minąwszy oświetlone kurorty, znaleźliśmy w końcu mało uczęszczaną drogę nad poszarpanym brzegiem morza. Mały spał już dawno na tylnym siedzeniu samochodu, my wywekleliśmy na zewnątrz dwie karimaty i śpiwory, po czym odpłynęliśmy w krainę Morfeusza na jakieś cztery godzinki... aż do czasu, gdy tuż obok naszych głów przejechały dwa jeepy pełne turystów powracających zapewne z jakiejś imprezy... Nazajutrz obudziliśmy się mimo wszystko względnie wypoczęci.

Wróciliśmy do Antalyi, by oddać samochód, któremu po drodze uszło całe powietrze z jednej z opon. Dopompowaliśmy ją na stacji benzynowej, co pozwoliło jej ujeżdżać niezauważonej przy oględzinach szefa wypożyczalni, przestawiliśmy się z powrotem na transport publiczny i po dotarciu na dworzec, wsiedliśmy w autobus do oddalonego o ponad pięćset kilometrów miasteczka Goreme, serca Kapadocji. Za tę niemal 600-kilometrową przejażdżkę, zapłaciliśmy ok. 25 euro od osoby.

7 maja, poniedziałek

LABIRYNTY KAPADOCJI

Kapadocja jest miejscem niesamowitym. Nawet po zmierzchu widać było tę jej niezwykłość. Miasteczko Goreme z pozoru takie jak tysiące innych, po dokładnym przyjrzeniu się, odkrywa przed nami mnogość spiczastych skał, wystających spomiędzy budynków. Te skałki są zaadaptowane pod okoliczne hotele i restauracje. Wokół miasta ciągną się kilometrami te, w których w dawnych czasach mieszkali ludzie. Jedni z pierwszych chrześcijan znaleźli tu bezpieczny azyl, wykuwając w skałach kościoły, do dziś ozdobione kolorowymi malowidłami. Przyjechalśmy tu nocą i od razu udaliśmy się do zamówionego przez nas uprzednio hotelu, gdzie miał czekać na nas dwuosobowy pokój w cenie ok. 20 euro. Na miejscu nie obyło się jednak bez problemów, bo właściciel stwierdził, że za taką cenę możemy dostać co najwyżej „dormitory room” z dziesięcioma łózkami. Nie liczba gości w pokoju była tu wszak największym problemem (pierwszą noc w Istambule spędziliśmy przecież w trzydziestoosobowym towarzystwie), ale umowa, jaką zawarliśmy z gościem w Pamukkale. Mariusz wziął do ręki telefon i zaczęła się pogawędka na temat tego, kto co komu obiecał i ile miało to kosztować. Ostatecznie dostaliśmy z powrotem zaliczkę i w towarzystwie wieczornego deszczu, około godziny dwudziestej drugiej, ruszyliśmy na poszukiwanie miejsca do spania. Aby nie przedłużać tragizmu naszego ówczesnego położenia, dodam, że kolejny hotelik znaleźliśmy bardzo szybko. Kosztował 50 YTR (czyli ustalone wcześniej 20 euro). Nazajutrz z samego rana ruszyliśmy na zwiedzanie skalnych labiryntów. Pogoda

była w kratkę – to mżyło, to jarzyło. Zahaczyliśmy jeszcze o kafejkę internetową, żeby zamówić bilety na samolot z dalekiego wschodu Turcji, który chcieliśmy odwiedzić, do Istambułu, i zaoszczędzić sobie tym samym niemal dwóch tysięcy kilometrów do przebycia drogą lądową. Po opuszczeniu miasteczka szliśmy w kierunku spiczastych skałek, które wydawały się zajmować tu nieskończone połacie ziemi. W większości z nich dało się dostrzec małe okienka i drzwi, świadectwo tego, że kiedyś były zamieszkane. To po prostu wymarzone miejsce na zabawę w chowanego. Ciekawość prowadziła nas do każdego z większych otworów, a potem odkrywaliśmy wnętrza pomysłowych domków. Choć ich piętra pięły się wysoko w górę, zazwyczaj nie mogliśmy odnaleźć wejść prowadzących wyżej, naruszonych widocznie przez ząb czasu. W środku znajdowaliśmy za to obszerne sale i mniejsze spiżarnie, tu i ówdzie jakieś malowidło na ścianach, wykute w skale podwyższenia okalające pomieszczenia (ławy, stoły, może coś w tym guście). Niegdyś mogło tu być bardzo przytulnie, w czasach współczesnych turyści urządzili sobie tu, niestety, ustronne latryny.

Spacer po tych terenach wydawał się nigdy niekończącą przygodą. Wychodziliśmy na okoliczne wzniesienia, z których dało się sięgnąć wzrokiem jeszcze dalej, a potem zbiegaliśmy z nich szybko, uciekając przed deszczem. Największa ulewa zastała nas w momencie, gdy zbliżaliśmy się do jednego z okrytych parawanem przydrożnych sklepików pośród skał. Weszliśmy do środka i zamówiliśmy butelkę wina po dwadzieścia YTR. Jakie było nasze zdziwienie, gdy sprzedający oznajmił, że na miejscu kosztuje ona więcej niż na wynos. W każdym razie zaczęliśmy się targować i po krótkiej chwili stanęła przed nami na stole zamówiona butelka i dwa kieliszki. Maks dostał owocowego shake'a, których nieprzystoite ilości pijemy zawsze podczas podróży w cieplejsze kraje. Ulewa zelżała, a my ruszyliśmy dalej. Po drodze weszliśmy do kościoła w skale, którego piękno pozostało prawie nienaruszone pomimo upływających stuleci. Nasz spacer trwał aż do zmierzchu, kiedy to dotarliśmy z powrotem do Goreme. Nie zwiędziliśmy, niestety, podziemnych miast, z których znany jest ten region, bo czas gnał nas na Wschód, który nie dość, że nie cieszy się dobrą sławą wśród turystów, to jest wręcz przez większość z nich postrzegany jako obszar bardzo niebezpieczny...

8 maja, wtorek/9 maja, środa/ 10 maja, czwartek/11 maja, piątek

NA „DZIKIM” WSCHODZIE

Tym razem znów wybraliśmy podróż autobusem, całonocną przejażdżkę z Goreme do miasta Kars, na dystans tysiąca kilometrów. Mały spał wybornie, my obudziliśmy się nieco powykrzywiani, ale widoki z okna w mig zrekompensowały nam niewygody nocy. Okolice były przepiękne. Otaczały nas delikatne zielone pagórki poprzecinane wartkimi strumykami. Nie widać było żadnych ludzkich osad. Słońce tyle co wschodziło nad horyzont, pozalacając krajobraz jednym z najpiękniejszych rodzajów światła. Gdy w końcu dotarliśmy do Kars, dworzec autobusowy na obrzeżach miasta nie pozostawił złudzeń, że rzeczywiście znaleźliśmy się prawie na końcu świata. Od razu natknęliśmy się tu na grono przyjaznych taksówkarzy szukających zarobku, i rzeczywiście jednemu z nich udało się tego ranka wyciągnąć od nas nieco grosza. Daliśmy się namówić na wycieczkę do ruin miasta Ani, średniowiecznej stolicy Królestwa Armenii. Cała przyjemność kosztowała nas 115 YTR (ok.50 euro), ale było warto. Średniowieczne ruiny robią wrażenie. Niegdyś znane były jako „Miasto Tysiąca i Jednego Kościołów” i tę jego

cechę z łatwością zauważyć można nawet współcześnie. Wchodząc do ogromnych kościelnych budynków, które z biegiem czasu zostały częściowo przekształcone na meczety, nie można nie zauważyć kunsztu, z jakim zostały one wzniesione. Spacerując od jednego do drugiego budynku przechodzi się przez wydeptane ścieżki pokryte zieloną trawą, naokoło wznoszą się góry bez drzew, klimat tu jest ostry, bo znajdujemy się na wysokości około tysiąc siedmuset metrów n.p.m. Tuż obok Ani jest niewielki wąwóz, za którym rozciąga się już Armenia. Na jednej ze ścieżek Maksymilian odskoczył nagle jak rażony piorunem: „Mama! Wąż!”. Po chwili wszyscy zobaczyliśmy dobrze zakamuflowanego gada, który odpełzał sobie spokojnie w nieznane. To bez wątpienia była żmija.

Po południu pojechaliśmy do Kars, gdzie znaleźliśmy nocleg za 40 YTR (17 euro). Na miejscu pozwiedzialiśmy nieco okolice, podpatrując codzienne życie mieszkańców miasta, wysłaliśmy też na zadbane pozostałości zamku w Kars, skąd rozciągała się szersza perspektywa na samo miasteczko i jego okolice. Następnego poranka kupiliśmy bilet do Dogubayazit. Na miejscu do razu znaleźliśmy hotel, żeby potem nie zajmować się jego poszukiwaniem pod koniec dnia, kosztował niewiele, bo 30 YTR (12 euro), ale stan naszego pokoju był raczej opłakany. Zaraz też opuściliśmy go, aby zwiedzić piękną okolicę. Pojechaliśmy busem w kierunku irańskiej granicy, skąd pieszo poszliśmy do znanego w okolicy krateru po meteorycie. Po drodze zatrzymał nas posterunek żołnierzy, którzy pouczyli nas, aby nie pstrykać tu zdjęć na prawo i lewo (czego, niestety, nie wyegzekwowali i na szczęście nie zauważyli nawet przy użyciu lornetek). Oprócz dziury w ziemi otoczonej zasiekami było tu bowiem wiele wdzięczniejszych miejsc do fotografowania. Mam na myśli zwłaszcza potężny Ararat, górę, na której zatrzymał się Noe wraz ze swą Arką, piękny ośnieżony szczyt wznoszący się na wysokość pięciu tysięcy stu dwudziestu dwóch metrów n.p.m, który zwykle ukrywa się w chmurach. Tym razem odsłonił przed nami swe piękno... Pod wieczór poszliśmy na kolejny spacer. Chcieliśmy zwiedzić pałac Ishak Pasa Sarayi, oddalony o jakieś pięć kilometrów od Dogubayazit. W połowie wycieczki zaczęło jednak zmierzchać, więc zawróciliśmy, odkładając wycieczkowe plany na kolejny dzień. Po drodze zagadaliśmy za to żołnierza pochodzącego z okolic Antalya, co bardzo tęsknił za swymi rodzinnymi terenami, i zwierzał się nam z nudy żołnierskiej egzystencji... Do pałacu dojechaliśmy nazajutrz małym busikiem. Zwiedziliśmy go dość pobieżnie, po czym wróciliśmy do miasta, żeby złapać autobus do Van. Na miejsce dojechaliśmy pod wieczór, zjedliśmy pyszną kolację w jednej z restauracji i na szybko podjęliśmy decyzję, że ruszamy do miejscowości Yuksekowa, położonej w górach tuż przy granicy z Irakiem i Iranem. Jechaliśmy w nocy, nie wiedząc, co czeka nas na miejscu, w tereny zupełnie odludne pod względem turystycznym. Odwiedzane przez nas miejsca zamieszkałe były przez Kurdów, którym zdarzyło się nawet uprowadzić kilku turystów (to było na stokach Araratu). Ciut się obawialiśmy, ale z doświadczenia wiedzieliśmy, że im mniej turystów, tym łatwiej można zbliżyć się do mieszkańców odległych terenów. Wiedzieliśmy, że wspaniała przyгода może czekać na nas dosłownie na wyciągnięcie ręki. Tak też stało się i tym razem. W busie oprócz Maksia jechało jeszcze jedno dziecko, mała, może sześciomiesięczna dziewczynka z rodzicami. Podczas postoju dzieci magnetyczną siłą ciągnęły ku sobie, i tak z pomocą mowy ciała, zawarliśmy nową znajomość. Po kilku minutach tata dziewczynki podał Mariuszowi swój telefon, w którym ten usłyszał głos nauczyciela angielskiego, jego znajomego, oznajmujący, że dla naszego współpasażera i jego ro-

dziny wielkim zaszczytem byłoby móc nas ugościć tego wieczoru. Oczywiście, że na to przystaliśmy! W obszernym i zadbanym domu dostaliśmy pięć materaców do spania i zjedliśmy pyszną kolację na podłodze w kuchni. Rano nasi gospodarze przygotowali tradycyjne śniadanie, mogliśmy spróbować zrobionego przez nich miodu, świeżych jajek i śmietany prosto od krowy. Potem pożegnaliśmy się z panią domu i dziećmi, pan domu natomiast zaprowadził nas do szkoły na spotkanie z nauczycielem angielskiego (mało kto władał tam językiem obcym, a chcieliśmy choć trochę dowiedzieć się o życiu w Yuksekowej). W szkole nasze przybycie było wydarzeniem miesiąca. Dzieci otoczyły nas tłumnie, pytając, czy mogą pokazać Maksowi swoje klasy. Zostaliśmy przyjęci w pokoju nauczycielskim i ugoszczeni herbatą. Nauczyciele pytali nas o szczegóły naszej podróży, a my odpowiadaliśmy przy pomocy tłumacza. Anglista zaoferował nam obiad w swoim domu, zaproponował też, żebyśmy zostali u niego przynajmniej dwa tygodnie. Chciał zorganizować lekcję na temat polskiej kultury. Niestety, nie pierwszy raz podczas tej podróży, dał się nam we znaki brak czasu. Już nazajutrz mieliśmy samolot z Van, więc pojechaliśmy jeszcze małym bussem zwiedzić trochę górską okolicę, a potem okazją wróciliśmy do miasta. Tego samego dnia pojechaliśmy z powrotem do Van, gdzie napotkaliśmy na duże trudności w znalezieniu noclegu. Hoteli było tu całe mnóstwo, ale większość z nich zamknęto na cztery spusty. Nieco później dowiedzieliśmy się o trzęsieniu ziemi, jakie nawiedziło to miasto zaledwie sześć miesięcy wcześniej. Zniszczenia było widać zwłaszcza nocą, gdy spacerowaliśmy wśród osiedli bez światła. Były tam piękne nowoczesne bloki, duże hotele. Obok nich ludzie koczowali w namiotach albo małych barakach. W maju w mieście było raczej chłodno, jak więc musieli sobie radzić przez całą zimę?

12 maja, sobota

W DRODZE DO DOMU...

Nad ranem opuściliśmy miasto i złapaliśmy autostop na lotnisko. Ponieważ mieliśmy jeszcze chwilę do odlotu, pojechaliśmy nad brzeg potężnego jeziora Van. Po południe również spędziliśmy nad brzegiem, tym razem Morza Marmara, nad którym leży Istanbuł. Natrafiliśmy na rodzinny festyn, na którym można było kupić tradycyjne tureckie potrawy od kobiet tworzących coś na kształt „koła gospodyń” i najedliśmy się nieprzyzwoicie. Podpatrywaliśmy amatorów ciekawej dyscypliny strzelania z wiatrówek do butelek pozawieszanych nad powierzchnią morza (jak się w taką trafiło, to szkła oczywiście leciały do wody). Odwiedziliśmy wszystkie okoliczne place zabaw, aż w końcu nadeszła godzina powrotu na lotnisko. Lot mieliśmy o trzeciej w nocy, do pierwszej akumulatorki naszego dziecka nie chciały wcale się wyładować po męczącym skądinąd dniu, padły dopiero w samolocie... Podróż dobiegła końca. Zapamiętaliśmy z niej szczególnie kurdyjską rodzinę, której byliśmy gośćmi, rodzinę, u której jedliśmy na pustyni w Omanie, życzliwość naszych autobusowych współpasażerów. Jednego byliśmy pewni – podróżowanie z dzieckiem nabiera całkiem nowego wymiaru i choć może być czasami niebezpieczne i męczące, to warto brać ze sobą Małych Odkrywców Świata.

Aleksandra Podgrudna

Peru – Boliwia / maj 2013



Termin: 01–23 maja 2013 r.

Trasa: (Warszawa – Berlin – Eindhoven – Brugia) Paryż – Sao Paulo [Guarulhos] – Lima – Cusco – Copacabana – La Paz – Uyuni – La Paz – Puno – Arequipa – Cabanaconde – Arequipa – Ica – Pisco – Lima – Sao Paulo – Londyn (Warszawa)

Wizy (przy podróży poniżej 30 dni):

Brazylia (brak)

Peru (brak)

Boliwia (brak)

Waluty:

Brazylia – real brazylijski 1 BRL = 1,5 zł

Peru – nowy sol 1 PEN – 1,22 zł

Boliwia – boliwiano 1 BOB – ok 0,5 zł

Zdrowie:

Szczepienia obowiązkowe – w przypadku podróży nieobejmującej terenów dżungli amazońskiej – brak (zalecane: WZWA, WZWB, Dur Brzuszy, Polio, Wścieklizna), w przypadku podróży obejmującej tereny dżungli amazońskiej – zalecane szczepienie przeciwko żółtej gorączce potwierdzone w Międzynarodowym Świadectwie Szczepień (tzw. żółta książeczka), w przypadku wjazdu na terytorium Peru po wcześniejszym pobycie w którymś z krajów, w których występuje żółta gorączka, warto mieć aktualne świadectwo szczepień przeciwko tej chorobie.

Ochrona antymalaryczna – preparat zawierający DEET 50% (do nabycia na allegro, polecamy Mugga Roll-on, bardzo wydajna) – rzecz niezbędna zwłaszcza w rejonach Machu Picchu i Kanionie Colca.

Kłopoty żołądkowe – jak wszędzie należy przestrzegać podstawowych zasad – nie pijemy wody niebutelkowanej, nie pijemy napojów z lodem, myjemy/dezynfekujemy ręce, jemy tam, gdzie jedzą mieszkańcy. Szczególną ostrożność zalecamy w rejonie Huacachina (oaza w pobliżu miasta Ica) ze względu na złą jakość wody i ryzyko zatrucia.

Choroba wysokościowa – objawy występują mniej więcej powyżej wysokości 3500 m n.p.m., czyli np. w Cusco, w Puno, w La Paz – pojawia się ból głowy, nudności, kłopoty ze snem, brak apetytu, krótki oddech i zmęczenie przy najdrobniejszym wysiłku.

Przed wszystkim należy dużo pić, nie wolno natomiast pić alkoholu, można brać leki na ból głowy, pomagają także mate de coca (którą serdecznie polecamy!), w aptekach warto także zapytać o soroche (hiszp. – choroba wysokościowa) pills. W przypadku gdy objawy nie ustępują, należy zjechać niżej, odpocząć (wyspać się!) i spróbować ponownie. Należy pamiętać, że aklimatyzacja u każdego przebiega inaczej, a wystąpienie bądź nie choroby wysokościowej nie ma ścisłego związku z kondycją fizyczną (co nie dotyczy schorzeń układu krążenia i oddechowego).

Pogoda:

Maj to początek zimy w Peru i w Boliwii co oznacza małą ilość opadów na terenach górskich. Słońce operuje wysoko i jest bardzo silne, stąd konieczność stosowania kremów z wysokim filtrem (my używaliśmy SPF50), nocie natomiast są bardzo chłodne, w rejonach Salar de Uyuni temperatura spada poniżej zera! Z chwilą, gdy znika słońce, zimno robi się momentalnie, tak że warto zabrać zarówno ciepłą odzież, jak i lekkie, oddychające ubrania.

Bezpieczeństwo:

Na stronach polskiego MSZ znajdziemy ostrzeżenie, że zarówno w Peru, jak i w Boliwii zagrożenie przestępczością pospolitą (kradzieże, zwłaszcza kieszonkowe, rozboje) jest duże. Na szczęście nie mieliśmy okazji się o tym przekonać i przez ponad trzy tygodnie pobytu nie zdarzyła nam się żadna nieprzyjemna sytuacja (poza próbami drobnego oszukiwania przy wydawaniu reszty). Uważamy jednak, że należy zachować dużą czujność i zdrowy rozsądek, zwłaszcza na dworcach, targach i w miejscach często i tłumnie odwiedzanych przez turystów.

DZIENNIK PODRÓŻY

Dzień 1 (02 maja) – Sao Paulo – Lima

Bilet nabyliśmy drogą kupna w superpromocji za cenę niespełna 500 euro (dwie osoby, w dwie strony, wylot z Paryża, powrót do Londynu, TAM Airlines).

O piątej rano lądujemy w Sao Paulo, ponieważ mamy przed sobą dwunastogodzinny stop-over, postanawiamy wyjść z lotniska i zwiedzić miasto. W informacji na lotnisku dowiadujemy się jednak, że ze względu na dużą odległość i korki przejazd do centrum i z powrotem zajmie nam przynajmniej sześć godzin, w związku z czym wybieramy inną opcję i lokalnym autobusem odjeżdżającym spod terminala jedziemy do Guarulhos Shopping Center oddalonym o 1 h jazdy od lotniska (4 BRL/os). Ponieważ centra handlowe mało nas interesują, wymieniamy jedynie pieniądze (po znacznie, podkreślam ZNACZNIE lepszym kursie niż na lotnisku, w dodatku bez opłaty manipulacyjnej) i idziemy zwiedzać okolice. Dzielnica jest przemysłowa i nie ma w niej szczególnie wiele do zwiedzania, ale można poczuć klimat podmiejskiej i zupełnie nieturystycznej Brazylii. Płacemy się po okolicy ponad trzy godziny, wstępując do lokali, a to na obiad, a to na piwo i dopiero w momencie, gdy jeden z właścicieli tych przybytków, zwraca nam uwagę, żebyśmy jednak rozważyli schowanie aparatu, zrywamy się najpierw do centrum na małe zakupy owocowe, a potem na lotnisko. Dzień mija szybko. Do Limy odlatujemy ok 16.00.

Lądujemy po 6 h, ok. godz. 22.00, zamówiona jeszcze w Polsce taksówka z lotniska już czeka (45 PEN – przepłacamy, ale ponieważ jest późno i jesteśmy zmęczeni, nie dyskutujemy). Po czterdziestu minutach jesteśmy w hotelu.

Zatrzymujemy się w hotelu Espana, położonym w centrum starej Limy (60 PEN za dwuosobowy pokój z łazienką) – polecamy ze względu na ciepłą wodę w kranie, bardzo oryginalny wystrój wnętrza i pawie na dachu [uwaga techniczna – przy uiszczaniu opłaty za pokój warto wziąć rachunek, gdyż obsługa nie zawsze pamięta (sic!), kto płacił, a kto nie].

Dzień 2 (03 maja) – Lima

Pieniądże warto wymienić w hotelu – kurs jest dobry, a dla tych, którzy nie mają czasu błąkać się po mieście w poszukiwaniu terminali autobusowych, polecamy także zakup biletu autobusowego lub ewentualnych wycieczek – ceny nie są przesadnie wysokie, a obsługa hotelu pomocna.

Tu kupujemy bilet na następny dzień do Cusco (Cruz Del Sur – 185 PEN za 22 h jazdy w luksusowych warunkach, oraz na MP (66 \$ za osobę MP + Mountaina MP, czyli tzw. stary szczyt).

Rozpoczynamy leniwie. Śniadanie w lokalnej knajpcie, jakich miliony dookoła (6 PEN za zupę, pieczywo i kawę), niespieszne zwiedzanie:

- Plaza de Armas,
- Muzeum Inkwizycji (wstęp free, ale niespecjalnie ciekawe),
- Klasztor franciszkanów (Museo San Francisco) – 7 PEN – ciekawe,
- Bazylika na Plaza de Armas (Basilica Catedral de Lima) – 10 PEN – ciekawa.

Dużo czasu spędzamy na Plaza de Armas, robiąc zdjęcia, a wieczorem w jednej z restauracji przy placu próbujemy pierwszego w życiu sevice (pycha!).

Dzień 3 (04 maja) – Lima – Cusco

O godz. 12.00 pod hotelem czeka na nas taksówka na dworzec (15 PEN), skąd słynnym i wypaśnym Cruz del Sur ruszamy do Cusco. Warunki w autobusie jak w klasie biznes w samolocie, dlatego na tak długie podróże polecamy Cruz del Sur, mimo nieco wyższych od konkurencji cen. Żaden z testowanych przez nas przewoźników nie gwarantuje takiej wygody.

Dzień 4 (05 maja) – Cusco

Do Cusco docieramy ok 14.00. Taksówka zawozi nas za 5 PEN na Santo Domingo, gdzie znajduje się polecany w przewodniku hotel, niestety, jest pełny, zatrzymujemy się zatem w pobliskim Imperial Hostel (55 PEN za dwójkę bez łazienki). Hostel jest czysty i co nie jest standardem w Cusco – jest w nim ciepła woda.

Zaczynam czuć nieprzyjemne skutki wysokości. Idziemy do apteki nabyć soroche pills (14 PEN za listek) – które zażywam wraz z ibuprofenem, a po dwóch godzinach znów jestem wśród żywych. W Agencji Peru Golden Treks&Expeditions (przy Sol Avenue 106, zaraz na rogu przy Plaza de Armas, pracownik agencji świetnie mówi po ang.), wykupujemy transport i hotel w Aguas Calientes (bus – 90 PEN w obie strony, dwa noclegi w Aguas Calientes za 50 PEN – dwójka z łazienką/noc). Z rozpędu, w sąsiedniej agencji (Qory Llacta, przy Plaza de Armas) kupujemy także bilet autobusowy do La Paz (80 soli/cama) na 09.05.2013 r.

Snujemy się po mieście, chłonąc jego atmosferę, a wieczorem serwujemy sobie potrawę z mięsa alpaki (jedno danie + 2x pisco sour – 30 PEN). Po posiłku, pełni wewrwy znajdujemy mały turystyczny targ w centrum miasta, gdzie kupujemy kilka sztuk odzieży z wełny [później mamy bardzo żałować, że nie zrobiliśmy większych zakupów, gdyż najtaniej i największy wybór jest właśnie w Cusco!].

Dzień 5 (06 maja) – Cusco – Aguas Calientes

Bus miał być o 7.00. Był o 7.45. Z Cusco wyjechaliśmy o 8.45. [czas w Peru nie jest równy czasowi peruwiańskiemu] upchani jak sardynki w trzeszczącym busie. Nasz kierowca nie mówi nawet słowa po angielsku, co nie przeszkadza mu opowiadać o okolicy, gestykulując przy tym żywiotowo, mimo że 80% drogi to serpentyny nad przerażającymi przepaściami. Jedziemy tak 6 h, z przystankami na posiłki, siku i robienie zdjęć w miejscach strategicznych.

W Hidroelectricice jesteśmy ok. godz. 16.00. Troszkę z nonszalancją podeszliśmy do tematu drogi Hidroelektryckiej – Aguas Calientes i w związku z tym zabraliśmy ze sobą wszystkie nasze toboły, ignorując 13-kilometrowy odcinek dzielący te dwa punkty. Drogę tę pokonuje się w ok. 2 h, ciężki plecak opóźnia marsz tak, że część drogi przyszło nam przebyć w kompletnych ciemnościach. Na szczęście mieliśmy czołówki. Polecamy jednak zostawić w hotelu w Cusco większość rzeczy i przebyć tę drogę „na lekko”.

W AC nocujemy w hostelu Ollanda (50 PEN/doba – dwójka z prysznicem) – polecamy, ze względu na dostęp do ciepłej wody, choć do północy jest głośno (zatycki do uszu rzecz niezbędna). Zostawiamy pranie (16 soli/kg!!! – nie róbcie tego!), idziemy na kolację i uciekamy spać, gdyż o 4.00 trzeba wstać.

Dzień 6 (07 maja) – Machu Picchu

Pobudka o 4.00, w ciemnościach wymykamy się z hotelu i podążamy za innymi udającymi się na MP. Najpierw kontrola biletów, a następnie 2 h walki ze schodami. Niestety, w połowie drogi zaczęły nas wyprzedzać autobusy wożące turystów ze stacji w AC. Chwila w kolejce i wchodzimy, podziwiamy widok wyłaniających się z mgły murów i decydujemy, że czas wracać do okienek, aby poszukać przewodnika. Tu drobna uwaga organizacyjna – jeżeli są państwo zainteresowani jak najlepszym widokiem, należy za wejściem na teren kompleksu skrócić w lewo i wspinać się na górę na mirador. Wejście jest ukryte w pobliżu zarośli, ale wiele osób tam wchodzi, więc nie da się nie znaleźć drogi. Przewodnik inkasuje 120 PEN za grupę (i nie interesuje go, jak bardzo liczna jest to grupa), prosimy zatem, aby znalazł jeszcze jedną parę, a sami udajemy się znowu w ruiny, aby w oczekiwaniu na Willego podziwiać spektakl ustępującej mgły. Czekamy ok. 45 min, w końcu zjawia się z parą Amerykanek. Wędrujemy po ruinach, słuchamy opowieści. Wycieczka kończy się po dwóch godzinach. Zostawiamy Amerykanki, a sami pędzimy na stary szczyt – wejście zamykane jest o godz. 11.00 (na dole trzeba być najpóźniej o 14.00). Przy wejściu na szlak ponownie sprawdzane są nasze bilety, wpisujemy się także do książki ewidencjonującej wejścia i zejścia z góry. Przed nami kolejne 2 k schodów. Wspinamy się sprawnie, a widoki zapierają dech w piersiach. Po dwóch godz. jesteśmy na szczycie, robimy pamiątkowe zdjęcia i zbiegamy na dół – cała operacja trwa ok. 3 h i bez wątpienia była warta pieniędzy i wysiłku. Kolejne dwie godziny spędzamy, spacerując po ruinach. O 15.00 zaczynamy zejście na dół. Przed 17.00 docieramy do hotelu.

Na dworcu AC kupujemy bilety na jutrzejszy pociąg do Hidroelectrici (15 \$/os) – nie mamy siły na kolejny 13 km spacer.

Dzień 7 (08 maja) – Aguas Calientes – Cusco

Ponieważ pociąg mamy o 12.30, wstajemy na późne śniadanie, a potem cały ranek spędzamy, wygrzewając się w porannym słońcu i obserwując życie codzienne, z poziomu ławki na rynku.

O 12.00 stawiamy się na stacji kolejowej. Pociąg jedzie baaaaardzo powoooooli, robi przystanki w środku lasu i generalnie nigdzie się nie spieszy, trzynaście kilometrów pokonuje w zawrotnym czasie 1,5 h. Przed 14.00 jesteśmy w Hidroelectricie. Bus miał być o 14.00, był o 15.00 – standard. Po dwóch godzinach jazdy okazuje się, że droga przez góry jest zamknięta ze względu na roboty drogowe i musimy czekać godzinę aż zostanie ponownie otwarta dla ruchu. Od momentu, gdy ponownie ruszamy (a jest godz. 18.00 i zapada zmierzch), moja pamięć się kończy, gdyż wyparłam z podświadomości to, co kierowca robił na drodze nad przepaścią. Skoro jednak piszę te słowa, oznacza to, że nie okazał się samobójcą i ostatecznie dowiózł nas całych i zdrowych do Cusco. Ponieważ nie mieliśmy żadnego noclegu, zatrzymaliśmy się w hosteliu, w którym mieszka (od miesiąca) zaprzyjaźniona Izraelka (Inn Hostel – 40 PEN/dwójka bez prysznica, w dodatku prysznic na zewnątrz, a temperatury w Cusco nocą niebezpiecznie zbliżające się do zera, co skutecznie zniechęciło nas do korzystania z przybytku w środku nocy).

Dzień 8 (09 maja) – Cusco – La Paz

Cały dzień mieliśmy spędzić na zwiedzaniu Cusco. Plan ten wyszedł nam średnio, gdyż ze względu na problemy ze sprzętem w kawiarenkach internetowych i hinduską knajpkę, w której za 15 PEN można jeść i pić do woli, znacznie skurczył nam się czas. Ostatecznie udało nam się poszwendać w okolicach na Plaza de Armas i zobaczyć Świątynię Słońca (wstęp 10 PEN + przewodnik 25 PEN – do przewodnika trzeba mieć szczęście, którego nam zabrakło – nie dość, że pani słabo mówiła po ang., to dodatkowo, ze wszelkimi pytaniami odsyłała nas do National Geographic). Wieczorny autobus do La Paz.

Dzień 9 (10 maja) – La Paz

Dzień zaczynamy od przesiadki na dworcu w Puno (po 8 h jazdy). Jest godz. 7.00, na zewnątrz 16 stopni, a z dworca widać jezioro Titicaca. Godzinny stop-over i przesiadka do innego autobusu (na tym samym bilecie). Po dwóch godzinach docieramy do granicy z Boliwią. Wsiadamy z autobusu (który przekracza granicę bez nas) my natomiast udajemy się najpierw po stempelek policji, potem do właściwej odprawy (za brak karty wjazdowej do Peru, która gdzieś nam się zagubiła, płacimy karę 20 PEN, toteż radzę świszków granicznych pilnować!). Na piechotę przechodzimy do granicy z Boliwią, tam krótka formalność, stempelek i pozwolenie na pobyt do 30 dni. Wymieniamy pieniądze (kurs OK). Autobus czeka.

Po godzinie zatrzymujemy się w Copacabanie, gdzie następuje kolejna zmiana autobusu (ciągłe na tym samym bilecie). Godzinną przerwę wykorzystujemy na śniadanie przy plaży-porcie (66 BOB za wielkiego hamburgera, empanadas, sok i cervesę).

Droga z Copacabany do La Paz obfituje w zapierające dech widoki, oferuje także przepiękną promową (2 BOB/osoba) – gdzie pasażerowie płyną osobno, a autobus osobno.

Przedmieścia La Paz oglądamy z nosami przylepionymi do szyby, tyle ciekawych rzeczy się dzieje. O 18.00 zakotwiczamy na dworcu w La Paz. Z poznanymi podczas drogi Polakami postanawiamy od razu, tego samego dnia, pędzić do Uyuni. W ciągu dwóch godzin udaje nam się dotrzeć taksówką na Plac św. Franciszka (10 BOB), odwiedzić agencję turystyczną (zaproponowana kwota wycieczki na Salar zwala nas z nóg, więc czym prędzej uciekamy, zakładając, że jakoś to będzie), wrócić na dworzec, kupić bilety na nocny do Uyuni (semi-cama 90 BOB/os), niektórzy wziąć prysznic w dworcowej umywalni (10 BOB za 10 min ciepłej wody), zrobić zakupy na kolację w postaci chipsów, ciastek i coli i zdążyć na autobus o 20.00. W autobusie rozdano kocyki.

Dzień 10 (11 maja) Uyuni – Salar de Uyuni

Podróż do Uyuni była... cóż... ciężka. W autobusie – lodówka. W połowie drogi skończył się asfalt, a wąż na dachu wpadł w głośny [sic!] rezonans. Po 32 h w różnych autobusach mieliśmy bardzo szczerze dosyć. Plussem dodatnim podróży okazał się uprzejmy pan Juan Carlos, który skomunikował się z mówiącą po hiszpańsku Kasią i zaproponował swoje usługi w organizacji wycieczki na Salar. Za dwa dni wożenia nas po pustyni, z trzema posiłkami i profesjonalnym przewodnictwem zażądał od nas 380 BOB/os. Przystaliśmy chętnie na propozycję i tym sposobem mieliśmy załatwioną wycieczkę (do dodatkowych kosztów wycieczki należy doliczyć nocleg – 30 BOB za pokój bez łazienki + 10 BOB za prysznic, wstęp na Isla Incahuasi 30 BOB i koszt jednej kolacji we własnym zakresie).

Po lądowaniu w Uyuni o godz. 6.00 rano udajemy się na poszukiwania prysznica (znaleźliśmy w jednym z hoteli – 10 BOB/10 min ciepłej wody + dodatkowa opłata za użycie suszarki do włosów), śniadania. Po drodze kupujemy także bilet powrotny do La Paz (100 BOB/os). O 9.30 stawiamy się w agencji, dogadujemy szczegóły planu wyprawy, płacimy i pakujemy się do przestronnej Toyoty 4x4. Po drodze zahaczamy jeszcze o lokalny targ, aby zrobić zakupy na kolację oraz aby wymienić pieniądze. O 10.30 ruszamy na Salar. Tego dnia udaje nam się zobaczyć:

- cementarz pociągów,
- kopalnię soli,
- zjeść obiad na pustkowiu,
- Isla Incahuasi (niesamowite tysiącletnie kaktusy),
- zrobić zdjęcia zachodowi słońca,
- zakwaterować się w hotelu u stóp wulkanu Thunupa i wraz z kierowcą i jego kuzynem – właścicielem hotelu, spędzić miło wieczór przy cerwiezie,
- pooglądać nocne niebo na pustyni (WOW!).

Dzień 11 (12 maja) – Salar de Uyuni – Uyuni

Wstajemy na wschód słońca, odmrażamy paluszki, ale widoki są piękne. Następnie szybkie śniadanie i ruszamy na wycieczkę po wulkanie, u stóp którego nocowaliśmy. Zostajemy wwiezieni do ½ wysokości, a stamtąd ruszamy oglądać 1200-letnie mumie (wstęp 16 BOB/os), o których opowiada odzwierzy do spółki z naszym kierowcą.

Następnie już sami ruszamy na górę, aby dotrzeć na mirador (punkt widokowy na wulkan i salar). Widoki są zachwycające do tego stopnia, że postanawiamy powspinać się „na dziko” w kierunku wierzchołka wulkanu. Ponieważ czas płynie nieubłaganie, a nie mamy do dyspozycji wygodnej ścieżki, rezygnujemy z ataku szczytowego. Wra-

camy na dół. Kierowca zabiera nas na obiad (przygotowane w domowych warunkach kotlety z lamy robią furorę wśród wycieczki), pakujemy graty i opuszczamy miły hotelik na skraju pustyni. Odwiedzamy muzeum staroci prowadzone przez wujka naszego kierowcy – muzeum ciekawe pod względem etnograficznym (15 BOB/os), zwiedzamy także prawie bezludną osadę i zamknięty na głucho kościółek. Ok. 13.30 ponownie ruszamy na Salar. Szukamy kryształów soli, grzebiąc w stonej wodzie, robimy zdjęcia i wracamy powoli na skraj pustyni. Po drodze oglądamy jeszcze „oczy” i już zbliżamy się do Uyuni. O 5.30 żegnamy się z naszym kierowcą i udajemy się w poszukiwaniu kolacji, autobus do La Paz mamy o 19.00. Przezornie zabieram śpiwór.

Przy okazji bardzo, bardzo, BARDZO polecamy usługi Huana Carlosa i jego Agencia de Uiajes (www.yuracochauiyuni.com, tel. (591) 78716305; (591) 71836901, e-mail: yuracocha@gmail.com)

Cena za wycieczkę okazała się przyzwoita, a nasz kierowca i przewodnik w jednej osobie – niezastąpiony. Poza tym, że jako nauczyciel historii opowiadał nam bardzo wiele nie tylko o Salarze, ale także o samej Boliwii, to także opiekował się nami jak ojciec – dbał o to, żebyśmy zobaczyli najwięcej jak się da i to, co najciekawsze, karmił batonikami, chipsami i poił winem, a także robił naprawdę niezłe zdjęcia. Byliśmy zachwyceni takim podejściem. Nawet przez chwilę nie czuliśmy się jak dojeni z kasy gringos, bardziej jak przyjaciele, którym pokazuje się to, co najpiękniejsze w rodzinnych stronach. POLECAMY!

Dzień 12 (13 maja) – Uyuni – La Paz – Puno

Noc w autobusie upłynęła. I na tym zakończmy.

Do La Paz dotarliśmy o 6.30, na dworcu otrzymaliśmy mapkę miasta z zaznaczonymi miejscami wartymi obejrzenia, nabyliśmy bilet do Puno (my – 70 BOB/os) i Cusco (Kasia i Jacek – 130 BOB/os) na godz. 14.00 i ruszyliśmy na poszukiwania miejsca, gdzie moglibyśmy skorzystać z prysznica. W pobliżu dworca znajdujemy hostel, w którym za 75 BOB pozwolono nam wynająć pokój na 5 h. Możemy zatem spokojnie wziąć prysznic i zostawić graty. Ruszamy na miasto. Najpierw Plaza de San Francisco – zwiedzamy bazylikę (free), robimy małe zakupy pamiątkowe, a następnie taksówką jedziemy na jedno z wielu Mirador (za 40 BOB taksówkarz zawozi nas na punkt widokowy, czeka i zabiera z powrotem do hotelu). Cała operacja wydaje się krótka, ale rzeczywiście trwa ponad półtorej godziny (korki). Mamy jeszcze czas, więc w lokalnej knajpcie pochłaniamy po trzy przepyszne empanadas (2,5–3 BOB sztuka). Zabieramy plecaki z hotelu, oddajemy klucze i ruszamy na dworzec, a o 14.00 ładujemy się do autobusu. Droga powrotna podobna do tej w przeciwną stronę, historia z przeprawą promową, Copacabaną i granicą powtarza się (tym razem mamy karty wjazdowe!).

W Puno jesteśmy o 21.00. Za 5 soli jedziemy taksówką z dworca do poleconego przez Kasię i Jacka hotelu Tumi Inn (jednak zamiast trafić do polecanego, zakotwiczyliśmy w sąsiednim Tumi Inn 2) – 50 soli/dwójka z prysznicem (jest ciepła woda! Tumi Inn II jest zaraz obok), kupujemy wycieczkę na dzień następny nad jezioro Titicaca (opcja całodzienna – wyspy Uros i Taquile – 35 PEN/os) i pędzimy do kawiarenki internetowej przegrać zdjęcia na dysk (1 h – 1 PEN) oraz zjeść kolację.

Dzień 13 (14 maja) – Puno

Mieliśmy być gotowi na godz. 7.00. Bus przyjeżdża o 6.45 tak, że pędzimy z mokrym i rozwianym włosom. Na przystani przesiadamy się do łodzi, która wiezie nas

najpierw na wyspy Uros (piękna, kolorowa komercha), a potem na wyspę Taquile (rejs trwa 2 h). Ta jest o wiele mniej komercyjna, choć tu, dla odmiany, lokalnym za zdjęcie trzeba płacić 1 PEN (dlatego też nie mam zdjęć panów w czapkach). Wdrapujemy się na górę, podziwiając piękne widoki, spędzamy chwilę na ryneczku, grzejąc się w słońcu, a następnie całą grupą ruszamy do restauracji na obiad. Przystawka, lokalna zupa i smażona ryбка + mate de coca – 25 PEN (WARTO!).

Niespiesznie schodzimy na dół i odpływamy w stronę Puno (2,5 h). Ogólnie wycieczkę polecamy, choć trzeba być nastawionym na opcję „folklor dla turysty” oraz dużo pływania łódką.

Po powrocie do Puno jedziemy na dworzec kupić bilet na dzień jutrzejszy do Arequipy (37 soli/os – cama, przewoźnik „Julsa”). Wieczorem w hotelu ciepłej wody brak.

Dzień 14 (15 maja) – Arequipa

O 7.00 odbieramy w recepcji bilet autobusowy, łapiemy taksówkę i za 4 PEN każe-
my się wieźć na dworzec, o 8.15 ruszamy do Arequipy.

W Arequipie za 6 PEN bierzemy taksówkę do centrum (proszę zapamiętać, że tak-
sówek nie łapiemy na dworcach, tylko za jego bramą – tam ceny spadają nawet o 50%)
i szukamy noclegu.

Tym razem zdajemy się na przewodnik i za drugim razem trafiamy w dziesiątkę. Hostel Home Sweet Home okazał się najlepszym noclegiem na całej wyprawie – brak problemów z ciepłą wodą, czysto, ładnie, śniadanie na tarasie w cenie, bezpieczna przechowalnia bagażu oraz przemiła i doskonale mówiąca po ang. obsługa. Polecamy absolutnie (55 PEN/dwójka z łazienką i śniadaniem!).

W jednej z wielu agencji przy Plaza de Armas kupujemy transport do kanionu Col-
ca (35 PEN za osobę w jedną stronę – Arequipa-Cabanaconde).

Dzień 15 (16 maja) – Kanion Colca

O 4.00 rano pakujemy się do busa. O 7.00 zatrzymujemy się w Chivay na śniadanie (5 PEN), a następnie jedziemy na mirador Cruz del Condor. Niestety, z powodu dość późnej już pory i silnego wiatru kondory latają wysoko. Jest zimno. Po drodze zatrzy-
mujemy się także, aby nabyć bilety do kanionu (70 PEN/os – bilety są sprawdzane na trasie). Pół godziny później jesteśmy pod Cabanaconde, gdzie wysiada część wyciecz-
ki, w tym, niestety, my. Jak się okazuje, jeżeli chcemy iść inną drogą niż wycieczki, po-
winniśmy ruszyć z miasteczka, zatem łapiemy przypadkowego busa, który dowozi nas
3 km do Cabanaconde. Tam robimy małe zakupy, zaprzyjaźniamy się z psem i razem,
we trójkę, schodzimy do kanionu.

Po 3,5 h nieustannego schodzenia docieramy do Oazy. Ponieważ mamy jeszcze
mnóstwo czasu, wbrew zaleceniom wypytywanych wcześniej przewodników grup, po-
stanawiamy iść dalej i zobaczyć co będzie.

Po 2 h ciężkiego podejścia docieramy do wioski Malata, gdzie robimy mały popas,
a następnie ruszamy do kolejnej miejscowości Cosnirhua (1,5 h spokojnego marszu).
Ponieważ zaczyna ostro lać, zatrzymujemy się na mate de coca w małej kawiarence na
świeżym powietrzu. Ze względu na psującą się pogodę i ostrzeżenia spotkanego na
trasie przewodnika, rezygnujemy ze wspinania się do Tapay i niespiesznie schodzimy
do San Juan de Chucchu. Tam przy drodze w stronę Cabanaconde znajdujemy nocleg
w „Hostelu” Grace. Za nocleg i kolację (zupa, drugie danie i mate de coca – wszyst-

ko PYCHA!:) dla dwóch osób płacimy łącznie 40 PEN. Warunki noclegowe są bardzo skromne, ale wystarcza nam to w zupełności.

[Mapa kanionu na: zinnejbeczki.files.wordpress.com/2013/06/colka1.jpg]

Dzień 16 (17 maja) Kanion Colca – Arequipa

Wstajemy o 6.00 i wraz z naszym czworonożnym, górskim przewodnikiem ruszamy w drogę. 4 h spokojnego, choć męczącego podejścia, pełnego wspaniałych widoków i jesteśmy ponownie poza kanionem, stąd mamy 3 km do Cabanaconde, gdzie kupujemy bilet na autobus do Arequipy (17 PEN/os). Do Arequipy ruszamy o 11.30. Podróż trwa 5,5 h. Na dworcu w Arequipie kupujemy bilety na jutro do Icki (firma Transzela – 60 PEN/os, cama), z dworca ponownie jedziemy do hotelu Home Sweet Home, gdzie są nasze bagaże i gdzie planujemy nocować (pranie – 4 PEN/kg). Wieczór spędzamy na włączeniu się po mieście i kolacji w lokalnej pollerii (polecamy, za 9 PEN ćwierć kurczaka, fura frytek i surówka).

Dzień 17 (18 maja) – Arequipa

Arequipa jest miastem „wicznej wiosny”, gdzie deszcz pada jedynie przez 60 dni w roku, więc gdy lądujemy i mamy cały dzień na zwiedzanie – oczywiście pada. Śniadanie na tarasie w hotelu, obfite i miłe. Do 10.00 udaje nam się spać graty i zwolnić pokój. Plecaki zostawiamy w przechowalni, a sami pędzimy na miasto. Najpierw tradycyjnie komputer, Internet i zdjęcia (1 PEN/h), a następnie udajemy się do największej katedry. Wstęp 5 PEN/os + 10 PEN za obowiązkową opiekę przewodnika. Katedra pięknie odnowiona, organy robią wrażenie, a widok z dachu naprawdę przyjemny, ale spokojnie można przeżyć bez odwiedzin, moim zdaniem, większe wrażenie katedra robi z zewnątrz.

Idziemy na lokalny targ próbować jedzenia, a następnie do klasztoru św. Katarzyny. Wstęp 35 PEN i choć cena wydaje się wysoka, to z pewnością warto! Po klasztorze błąkaliśmy się prawie trzy godziny i wcale nam się nie nudzi. Klasztor to miasto w mieście, z uliczkami i małymi mieszkankami sióstr, wypalone piece do dziś pachną, a meble i przedmioty wyglądają na niedawno opuszczone (i takie w rzeczy samej są). Jesteśmy zachwyceni.

O 17.00 wracamy do hotelu, odbieramy pranie, plecaki i łapiemy taksówkę na dworzec (4 PEN), o 18.30 ruszamy do Icki.

Dzień 18 (19 maja) – Ica

Na miejscu jesteśmy ok 6.30, autobus wyrzuca nas przy drodze panamerykańskiej, skąd taksówką za 5 PEN (przeplaciliśmy!) każemy się wieźć na Plaza de Armas. Kierowca nieco zdziwiony, że chcemy do miasta, a nie od razu do oazy, niechętnie wyrzuca nas przy placu, cały czas przekonując, że przecież nic tu nie ma.

Rzeczywiście, wiele nie ma, ale budzące się ze snu miasteczka są urocze. Robimy zdjęcia i szukamy śniadania. Trafiamy do małej restauracyjki prowadzonej przez Chińczyków, gdzie na śniadanie podawana jest kawa o smaku zbożowej w dużym kubku (przepyszna!) i kanapki z warzywami i zimnym mięsem (cudo) – za dwie wielkie kawy i pięć kanapek płacimy 18 PEN, następnie znudzeni nicnierobieniem łapiemy taksówkę do Huacachiny. Ja ląduję nad niewielką i niespecjalnie imponującą laguną, a G. szuka noclegu. Znajduje Sunset Hotel (chcą od nas 50 soli za dwójkę z łazienką, ale ponieważ

nie ma chwilowo ani wody, ani prądu udaje nam się cenę zbić do 40 PEN). Całą resztę dnia spędzamy, wygrzewając zmarznięte kości na wielkich wydmach albo jedząc pyszne jedzenie w knajpie przy lagunie (Desert Night – polecamy ze względu na wielkie porcje i przemiłą obsługę).

Na 16.00 wykupujemy sobie w hotelu przejażdżkę buggiesami po wydmach wraz z sandboardingiem i zachodem słońca (35 PEN/os). Polecamy! Zwłaszcza zachód słońca. Nie polecamy natomiast zabierania delikatnego sprzętu elektronicznego (zwłaszcza lustrzanek), gdyż piasek jest niewiarygodnie drobny i wnika absolutnie wszędzie.

Wieczór to korzystanie z bogatej oferty happy hours okolicznych lokali.

Dzień 19 (20 maja) – Ica

Celebруем śniadanie, a o 11.00 ruszamy na wykupioną w hotelu wycieczkę do lokalnych winnic (30 PEN/os). Odwiedzamy dwie winnice – z czego jedna przeraża kolekcją staroci i wypchanych zwierząt, druga natomiast jest profesjonalna i czyściutka, a przewodnik mówił po angielsku. Wracamy nie tylko na rauszu, ale także z pięcioma butelkami wina i pisco.

W drodze powrotnej kierowca zostawia nas w miasteczku, gdzie powtarza się sytuacja z komputerami i zdjęciami, a także szukaniem obiadu; zmęczeni wracamy do oazy. G. wypożycza deskę (profesjonalna i z butami – ??? PEN/h), aby zjechać z najwyższej wydmy podczas zachodu słońca.

Wieczór spędzamy podobnie jak dnia poprzedniego.

Dzień 20 (21 maja) – Ica

Zatruta nie wiadomo czym, cały dzień umieram w łóżku, nie mogąc ruszyć ręką, a G. zwiedza oazę i relaksuje się, zjeżdżając z wydm.

Dzień 21 (22 maja) – Paracas

Po tym, jak doszłam do siebie, o 6 rano zdecydowaliśmy w trybie natychmiastowym zorganizować wyjazd na wyspy Ballestas. Sztuka ta, o dziwo, udaje nam się w niecałe 15 minut (65 PEN/os). Ponieważ była to spontaniczna i szybka akcja uwzględniająca pakowanie i wymeldowywanie z hotelu, nie mieliśmy czasu na negocjację ceny (dla nas podróż była tylko w jedną stronę).

70 km odcinek drogi pomiędzy Ica a Paracas pokonujemy w niecałą godzinę, na miejscu płacimy dodatkowo 7 PEN za wstęp do parku narodowego i 2 PEN nie bardzo wiadomo za co (ale prawdopodobnie za korzystanie z przystani) i nową, wygodną łodzią ruszamy na wyspy. Przyroda robi wrażenie, a wycieczka, mimo że krótka (trwa od 1,5 do 2 h), jest z pewnością warta przeżycia. Zwłaszcza oglądanie pelikanów i słoni morskich to wielka przyjemność.

Po powrocie do portu odbieramy plecaki z busa i idziemy szukać autobusu do Limy. Pokierowani przez lokalnych sprzedawców atrakcji turystycznych, trafiamy na niepozorny, zamaskowany i bambusowy przystanek autobusowy wspomnianej na początku wycieczki firmy Cruz del Sur. Taka piękna klamra nam wyszła, toteż nie myśląc wiele (i omijając Pisco łukiem), decydujemy na zakup dwóch biletów do Limy (35 PEN).

Autobus mamy o 14.00, a do tego czasu płaczymy się po Paracas, w którym nie ma nic poza portem. Jemy rybkę i bujamy się w hamakach na przystanku autobusowym. Punktualnie ruszamy do Limy.

Na miejscu jesteśmy o 19.00 i taksówką każemy się wieźć ponownie do hotelu Espania (taxi 15 PEN). Pędzimy na miasto, na ostatnie zakupy i ostatnie pisco sour. Żegnamy się z Limą. W hotelu zamawiamy taksówkę na 5.00 rano (12 PEN) na lotnisko.

Dzień 22 (23 maja) – Lima

O 8.20 nasz samolot linii LAN z Limy do Sao Paulo opuszcza Port lotniczy Lima-Jorge Chávez, tym samym niechętnie żegnamy się z peruwiańską ziemią (ale zanim dotrzemy do domu, miną jeszcze trzy dni pełne przygód.

Uwagi szczególne:

1. Przede wszystkim, łatwo zauważyć, że bohaterowie opisaney przygody stale się gdzieś przemieszczają i pół wycieczki spędzają w środkach transportu.

Proszę pamiętać, że Peru to ogromny kraj. Dystanse tu są naprawdę gigantyczne, co więcej, zawsze należy brać pod uwagę nie dystans w kilometrach, a czas, w jakim dany środek lokomocji pokonuje tę odległość. Czasami na pokonanie 100 km trzeba poświecić 6 lub nawet 8 godzin.

2. Wszędzie na dworcach przed odjazdem należy w specjalnym okienku uiścić opłatę za korzystanie z dworca, są to grosze (2 BOB w Boliwii, 1, 1.5, lub 2 PEN w Peru), ale trzeba o tym pamiętać!

3. Nasza wycieczka nie miała organizacji. To znaczy miała, ale na bieżąco, toteż nie ustrześliśmy się wpadek.

Gdybym miała coś zmienić w powyższym planie, z pewnością zostałabym dodatkowy dzień albo nawet dwa w Cusco, ewentualnie jeden dzień w Cusco, a jeden na Salarze, oczywiście kosztem dni spędzonych w Ica. Nam koniecznie potrzebny był odpoczynek po szalonej gonitwie, do którego także niejako zostaliśmy zmuszeni moją jednodniową niedyspozycją, jednak gdy się organizuje plan i rozłoży trochę siły, można to zrobić nieco mądrzej.

Gdy ma się do dyspozycji trzy tygodnie na tak ogromny i ciekawy kraj/kraje, trzeba rozsądnie gospodarować czasem i to jest plus skrupulatnego planowania.

Plusem nieplanowania jest ogromna wolność, zamknięta jedynie w ramy biletu lotniczego, dla nas osobiście bezcenna. Radość z kombinowania, wyciskania siebie i czasu jak cytrynę jest równie bezcenna, co odwiedzone miejsca i spotkania ludzie; kolejna wielka przyjemność płynąca z podróżowania.

Znajdźcie swój sposób na podróżowanie, ale pamiętajcie, że cokolwiek by się nie działo, ma to być dla was przyjemność, a nie stres, że czegoś się nie zrobiło, gdzieś się nie zdążyło (o ile nie jest to samolot powrotny do domu).

Udanych i bezpiecznych podróży.

Adam Stępiński

Przez piachy Sahary i nie tylko...



Trasa: Warszawa – Paryż – Malaga – Gibraltar – Algeciras – Ceuta – Tanger – Rabat – Casablanca – Marrakesz – Laayoune – Dakhla – Nouadhibou – Choum – Atar – Chiquetti – Nouakchott – Dakhla – Laayoune – Guelmin – Agadir – Fez – Meknes – Volubilis – Fez – Nador – Melilla – Malaga – Grenada – Alhambra – Malaga – Paryż – Warszawa.

Termin: 28.08 do 25.09.2012 r.

Uczestnicy: autor relacji.

Wizy: potrzebna tylko do Mauretanii, załatwiana w Rabacie.

Komunikacja: okazało się, że bilet Air France tańszy od tych w tzw. tanich liniach. Dogodne połączenia autobusowe i kolejowe w Maroku i Saharze Zachodniej, w Mauretanii minibusy, taksówki; ceny i godziny przejazdu do negocjacji.

Noclegi: starałem się korzystać ze schronisk młodzieżowych HI, ale generalnie hotele tanie i łatwe do znalezienia w Maroku i Mauretanii.

Bezpieczeństwo – kraje bezpieczne, potrzebne kserokopie paszportu i wizy Mauretanii, sprawdzane na posterunkach policji drogowej już w Saharze Zachodniej.

RELACJA

29 sierpnia

Hiszpania. Zaczyna się pechowo, z przyczyn technicznych samolot do Paryża wyleciał z dwugodzinnym opóźnieniem, nie zdążyłem więc na lot do Malagi. Zamiast o 13 jestem ok. 16. Niestety ciąg dalszy...nie doleciał bagaż, dobrze, że mogę podać adres schroniska, które w domu zarezerwowałem przez Internet. Do centrum miasta jadę metrem, bilet trzeba kupić w automacie, dobrze jest mieć drobne euro. Tak zaplanowałem moją podróż, że następnym razem będę w Maladze w poniedziałek, a więc dziś warto zwiedzić Muzeum Picassa, jest ono po drodze do schroniska, blisko katedry. Kupiłem ulgowy bilet dla emeryta (jubilado). Zobaczyłem kilka obrazów, które znałem z reprodukcji, to niewątpliwa frajda. Zaskoczeniem dla mnie była kolekcja ceramiki: znana rzeźba Tancerka i kilkanaście mis, talerzy i abstrakcyjne kompozycje. Mu-

zeum mieści się w siedemnastowiecznym pałacu z pięknym, arkadowym dziedzińcem i malowanymi stropami. Schronisko Patio 19 przy ul. Marblanca 19 jest zlokalizowane w osiemnastowiecznym andaluzyjskim, mieszczańskim domu, prowadzone przez sympatyczną rodzinę. Mieszkam w obrębie Starego Miasta, mogę więc swobodnie spacerować po zabytkowych ulicach i placach, wstępuję do kościoła św. Jakuba, w którym był ochrzczony Pablo, można oglądać faksymilę metryki przyszłego malarza. Nad tą częścią miasta góruje warownia (Alcazaba), specyficznie oświetlona przez zachodzące słońce. Ruiny fortecy wyrastają ponad rzymski amfiteatr. Miasto tętni życiem, zapęnlają się ogródki kawiarni i restauracji, po deptaku defilują wystrojone damulki, a starcy melancholijnie patrzą na wszystko z perspektywy kamiennych ławeczek. Kolację zjadam w schronisku; do dyspozycji gości jest kuchnia z pełnym wyposażeniem.

30 sierpnia

Schodzę na śniadanie, wliczone w cenę noclegu, mogę smakować domowe specjały: wędliny i ciasta, rozkoszować się soczystymi melonami i arbuzami, pić aromatyczną kawę; 10 euro, które zapłaciłem za nocleg, nie pokrywa chyba kosztów wielkiego żarcia. Bagaż mają przynieść do 12. Idę więc do Instytutu Picassa i jego domu rodzinnego, otrzymuję bezpłatne bilety jako emeryt. W Casa Natal są pamiątki zacnej profesorskiej rodziny, nawet koronkowy becik Pabla, ale nie odtworzono wnętrza mieszkalnych. Oglądam kilka wczesnych, realistycznych obrazów Mistrza Pabla. Zainteresowały mnie rysunki, które powstały we Wrocławiu w 1948 r. podczas Kongresu Obrońców Pokoju. Na Placu De la Merced, przy którym znajdują się muzea, stoją ławeczki, a wśród nich jedna szczególna, można przysiąść obok Mistrza i popatrzeć na kamienice, które on też oglądał. Wracam do hostelu, ale bagażu jeszcze nie ma! Przed 13 przywożą mój plecak, mogę realizować założony plan, idę na dworzec autobusowy, po drodze wstępuję do kościoła św. Jana i Museo Carmen Thyssen. Podziwiam obrazy dawnych mistrzów europejskich i malarstwo impresjonistów francuskich, włoskich i hiszpańskich. Autobus do Cadiz Linea (Gibraltar) jest dopiero o 16.30 (15 euro). Dojeżdżam po 18, postanawiam poszukać taniego lokum, za 13 euro w La Esteponera Pension dostaję pokój z umywalką, wspólna łazienka na korytarzu. Wybieram się na spacer nadmorską promenadą z widokiem na skałę Gibraltar w świetle zachodzącego słońca. Linea też wytworniej wieczorem, trudno mi uwierzyć w europejski kryzys i ograniczenia, które chce narzucić Bruksela. Eleganckie Hiszpanki miałyby zrezygnować z wieczornych spotkań z przyjaciółmi w kawiarni, z wizyt u fryzjerów i kosmetyczek, z eleganckich ubrań, butów i torebek? Nigdy! Nigdy w to nie uwierzę.

31 sierpnia

Gibraltar. Powinienem zostawić plecak w hotelu i wrócić, aby go odebrać, kiedy będę jechał z dworca w Linea do Algeciras. W Gibraltarze zaskakujące jest przejście przez pasy startowe lotniska, które kończą się w mieście. Przeszedłem przez bramę w murach obronnych, na małym placu po prawej stronie znajduje się biuro informacji turystycznej, w którym można otrzymać bezpłatny plan miasta-państwa. Niezauważenie wnika się w atmosferę angielskiego miasta, jak w Londynie wielokulturowy tłum. W eleganckich witrynach sklepów towary po atrakcyjnych cenach bez cła. W pierwszym, po lewej stronie ulicy kościele Matki Bożej Ukoronowanej jest kaplica z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej (dar Jana Pawła II) i epitafium generała Władysława Sikorskiego. Uważny turysta odnajdzie witraże z wizerunkami współczesnych świętych: Jana Pawła II

i Matki Teresy. Wychodzę ze świątyni i idę obok ratusza do siedziby gubernatora w typowym, neogotyckim, angielskim budynku; dostępna do zwiedzania oryginalna gotycka kaplica królewska. Za murami obronnymi łatwo odnaleźć dolną stację kolejki linowej na Skałę (425 m wysokości). Dochodzę do parku La Alameda. Kierując się strzałkami, mapą i własną intuicją, docieram do przylądka Trafalgar. Na pionowych ścianach góry widzę wykute otwory, które służyły jako strzelnice z tuneli (40 km.) wydrążonych w wapiennym podłożu; dostrzegam ruiny zamku Maurów, okazały meczet oraz latarnię morską, dochodzę do punktu widokowego. Czy to już koniec świata? Nie spotkałem żadnej małpy (magota). Nawiedzam sanktuarium Patronki Europy, trochę się zamyślam nad losami Gibraltaru. Wracam do centrum, w dole widzę doki portowe, w których remontowane są pełnomorskie okręty. Na takim skraweczku lądu, na końcu Europy funkcjonują stocznie, a nasze przestały istnieć?... Między kolorowym tłumem turystów przeciskają się grupki chłopców z tornistrami, w jarmułkach, niektóre dzieci są prowadzone za rękę przez ich bogobojnych ojców w tradycyjnych żydowskich ubiorach. Odnalazłem cheder, posłuchałem hałasu rozkrzyczanych dzieci i popatrzyłem na świat tak obecny kiedyś w Polsce. Z twierdzy wyszedłem przez tę samą bramę i zaraz skręciłem w pierwszą ulicę w prawo i po ok. kilometrze doszedłem do miejsca katastrofy lotniczej, która zmieniła losy i kształt Polski po 1945 roku. Na pomnik poświęcony generałowi Władysławowi Sikorskiemu składa się śmigło samolotu i tablica pamiątkowa, ufundowana dopiero w 2002 roku... nie przez rząd polski...Wróciłem na dworzec Linea, ze stanowiska 7 odjeżdżają autobusy do Algeciras, bilety u kierowcy. W mieście po drodze do portu znajdują się liczne agencje żeglugowe, ale bez trudu kupicie bilet na dworcze morskim, uzyskując zniżki dla studentów czy emerytów. Wykupiłem bilet do Ceuty, za 22 euro, płynie się ok. godziny. W Ceucie już nie ma schroniska młodzieżowego! Nie mogę znaleźć noclegu poniżej 35 euro. Obok skweru z okazałym pomnikiem Herkulesa jest przystanek autobusu nr 7 do granicy z Marokiem. Jakoś trzeba przeżyć tłum ludzi obciążonych bagażami, wyławiają mnie cwaniacy, którzy oferują białe drukarki, należy je wypełnić, płacę 1 euro, liczę, że pomogą mi złożyć paszport i otrzymać pieczęć wjazdową i numer, o który wciąż pytają w hotelach. Niestety, muszę czekać w tłumie, bez przerwy ktoś próbuje wcisnąć się bez kolejki. Na granicy są punkty wymiany walut, ale oferują niekorzystny kurs, taksiarze polecają przejazd po astronomicznych cenach; wystarczy przejść szosą do najbliższego miasteczka ok. 2 km, znajdziemy w nim kantory i możemy przenocować; płacę za pokój z łazienką 200 D. To majątek w stosunku do tego, co pisali poprzedni podróżnicy ok. 20 euro. Kupuję wspaniały, marokański chleb, zjadam kolację w moim pokoju i padam.

1 września

Maroko. Autobusów do Tangeru nie ma, ale odjeżdżają zbiorowe taxi za 30 D, jedzie się ok. godziny. Z dworca, na który przyjeżdżają, można dojść do kwartału tanich hotelików, tuż nad Zatoką Tunetańską. Schronisko HI mieściło się za hotelem Marco Polo, w pobliskich hotelach dostaniemy pokój za 100 D, polecam hostel przy Rue Antaki 26. Po zakwaterowaniu i odpoczynku postanawiam iść do medyny. Przechodzę czystymi ulicami; ta część Tangeru przypomina miasto francuskie, secesyjne kamienice, eleganckie sklepy, ze wzgórze parkowego, obok głównego meczetu, widać mury medyny, która jest w najwyższej położonej części miasta. Niebawem znalazłem się w jej obrębie, jestem oczarowany! Dość szerokie uliczki, wnętrza domów za pięknymi portalami, drzwiami nabijanymi świecami, ukwiecone okienka, toczy się spokojnie życie, w zaułku przy studni kobiety piorą, za-

slaniają się, gdy chcę zrobić zdjęcie, fotografuję sklepik, przed nim skrzynki z owocami, wiszą warkocze czosnku. Przy głównej ulicy zachodzę do restauracji, zamawiam tadjinę. W tradycyjnym, glinianym naczyniu przynosi je kucharz, ostrożnie unosi przykrycie i bucha zapachami duszonego mięsa i orientalnych przypraw, podaje świeży chleb z sezamem, oczywiście, na koniec słodka, aromatyczna, miętowa herbata; rozpusta kulinarna za 4 euro! Zbliża się wieczór, miasto się bardziej ożywia, ludzie dokonują zakupów, ale również spacerują, spotykają się ze znajomymi, w kawiarniach panowie przy czarnej, mocnej kawie palą papierosy i dyskutują lub po prostu patrzą na przechodniów. Grzecznie wracam do hotelu.

2 września

Zaplanowałem na dziś przejazd do Rabatu; w drodze do dworca wstępuję do kościoła katolickiego, ludzie zbierają się na niedzielną mszę. Na autobus nie czekam długo i po 2 godzinach jestem w stolicy Maroka. Do centrum jest kilka autobusów, podjeżdża 30, którą podjadę do medyny, z daleka widać jej potężne mury, zaraz skręt w prawo i przystanek, trzeba iść wzdłuż murów w lewo, a dojdzie się do schroniska HI, widać logo na budynku. Hostel mieści się w starym domu bogatego kupca. Sypialnie są wieloosobowe, ale patio pełne zieleni zapewnia wyciszenie, przez kolorowe szybki ogromnych drzwi przenika światło i tworzy barwne refleksy. Cena 60 D nie zawiera śniadania, brak też kuchni, ale za gorącą kąpiel nie trzeba płacić. Bazar w medynie jest straszliwie zatłoczony, można zobaczyć sprzedawców wody, którzy swoim czerwonym kostiumem i ogromnymi kapelusami wyróżniają się z kolorowego tłumu. Dochodzę do kazby; można odpocząć w przyzamkowym ogrodzie, muzeum pałacowe jest już zamknięte.

Prze okazałą bramę Bab Oudaia wchodzę do medyny, jest bajeczna! Wąskie, kręte uliczki, przy których stłoczone domki o niebieskich okienkach, błękitnych drzwiach nabijanych ćwiekami, w granatowych donicach kwitną kwiaty, trochę to wygląda jak teatralna dekoracja lub wielowymiarowy obraz. Z najwyższego tarasu spoglądam w dół, na kolorową, zatłoczoną plażę. Spotykam wycieczkę Polaków, wychodząc z kazby, dostrzegam na stojącym autokarze logo biura podróży Itaka.

Nie mam ochoty znów przysiąść się przez suk, idę pod murami medyny do wiodoczej z daleka wieży Hassana, jest ona jednym z symboli Rabatu. W osiemnastym wieku meczet runął w wyniku trzęsienia ziemi, zostały kolumny, różnej wysokości, pomiędzy którymi spacerują rodziny i pary zakochanych, biegają dzieci. Wieża o wysokości 44 metrów nigdy nie została ukończona, miała być wyższa, służąc jako najwyższy w świecie minaret. Cudzoziemcy mogą bezpłatnie wejść do mauzoleum Mohammeda V ojca obecnego króla Maroka. W mauzoleum w czterech narożach trzymają wartę żołnierze w historycznych strojach z halabardami, chętnie zgadzają się, aby zrobić zdjęcie u boku ładnej dziewczyny. Meczet królewski niedostępny do zwiedzania dla innowierców. Tym razem w drodze przez medinę decyduję się na danie z kotlecikami mielonymi kefta, a potem koktajl z suszonych fig i daktyli.

W patio schroniska intensywnie pachnie kwitnący jaśmin, znam ten zapach z domu, w naszych kwaciarniach można kupić tę odmianę, prowadzoną jako roślina doniczkowa. Dość późnym wieczorem wychodzę przed schronisko, by popatrzeć na iluminację murów medyny i tłum przed bramą Bab Oudaia.

3 września

Rano autobusem 66 spod schroniska chcę dojechać do ambasady Mauretanii, tłumek spory, ale dość sprawnie poszło złożenie wniosku wizowego; odbiór jutro o 15,

spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Autobusem 26A wracam w okolice dworca kolejowego, poznaję architekturę Rabatu z okresu przed 1945 r., w stylu postmodernistycznym dużo okazałych kamienic i budowli użyteczności publicznej, np. poczta główna. Po południu wybieram się na spacer nadmorską promenadą, jest jakby molo, dużo kąpiących się; też bym popływał, ale mam przy sobie dokumenty i pieniądze. Z przyjemnością robię zakupy w medynie, zwłaszcza smakuje mi marokański chleb z sezamem. Wieczorem rozmawiam z Włoszką z Mediolanu, popijamy herbatę, odpoczywamy w patio pośród egzotycznej zieleni.

4 września

Wiza będzie do odbioru po południu, więc jeszcze raz błądzę uliczkami medyny, mogę zrobić zdjęcia portali, które odkryłem wczoraj wieczorem. Powtórnie spaceruję po parku obok wieży Hassana, tym razem przy bramie wartę trzymają żołnierze na białych koniach, przybranych po królewsku. Odnajduję najstarszy meczet w mieście. Wracam do schroniska po plecak i jadę autobusem 66 do ambasady Mauretanii po wizę.

Aby dojechać do Casablanki, decyduję się na przejazd pociągiem; odjeżdża prawie co godzinę, ale należy wybrać bezpośredni do Casa Port, jeżeli chcemy zatrzymać się w schronisku HI, wtedy z dworca trzeba pójść pierwszą ulicą w prawo, ok. 10 minut.

Do meczetu Hassana II ze schroniska ok. 20 minut, niezbyt przyjemną ulicą. Przy meczecie tłumy spacerujących, już po południu, więc dla turystów wewnątrz jest niedostępne. Podziwiam współczesną architekturę imponującej budowli; zbliża się godzina modlitwy, ogromne, ciężkie wrota otwierają, wchodzący nikną we wnętrzu, rozświetlonym kryształowymi żyrandolami, sprowadzonymi z Murano. Strażnik proponuje mi zwiedzanie za 110 D, ale wieczorem niewiele więcej zobaczę od tego, co widzę przez otwarte wrota. Czekam na wieczorną iluminację meczetu i minaretu, a potem wracam do schroniska, 70 D, ale ze śniadaniem.

5 września

Dworzec Casa Voyageurs jest dość daleko od medyny, ale dojście główną ulicą, przy której znajdują się kamienice w stylu art deco, ich elegancka architektura pozwala przenieść się w czasy melodramatu „Casablanka”.

Bardzo poprawiła się komunikacja w Maroku; planowałem nocną podróż do Marrakeszu, ale pociąg jedzie zaledwie ok. 3 godziny; wybieram jazdę pociągiem, ponieważ schronisko HI znajduje blisko dworca kolejowego. Po przyjeździe, dojście z peronu 1, w Supertour pytam o bilety do Laayoune, stolicy Sahary Zachodniej, na najbliższe dni nie ma wolnych miejsc.

Idę do schroniska, znajduje się blisko konsulatu Francji, położone w pięknym ogrodzie, aby wejść czy wyjść trzeba prosić o otwarcie bramy. Pokoje bez piętrowych łóżek, gorąca woda w prysznicach, 70 D ze śniadaniem. Blisko jest dworzec CTM, kupuję bilet za 325 D na następny dzień na godzinę 21. Bardzo eleganckie jest centrum Marrakeszu, zwiedzam budynek teatru i opery: medina jest dość daleko, dochodzę do jej murów, ale muszę wracać, odkrywam dobre dojście do schroniska aleją obsadzoną drzewami oliwnymi, wychodzę na Kongres Narodowy, schronisko jest już bardzo blisko.

6 września

Śniadanie europejskie i tylko jedna filiżanka kawy, ale pozwalają mi zostawić plecak. Chcąc dojść do medyny ze schroniska, należy skrócić w pierwszą ulicę w prawo, a potem

w pierwszą w lewo, która przechodzi w aleję oliwną wprost pod mury medyny, ok. 20 minut. Po drodze robię zakupy w Carrefourze m.in. marokańskie sardynki, poniżej pół euro.

Zaraz za murami zaczyna się piękny park Jardin Menara; z daleka widzę minaret meczetu Kotubia, ma wysokość 70 m. Zagląbam się w uliczki medyny, dochodzę do Grobowców Saadytów, obserwuję bociany, które upodobały sobie bramę Bab Aguaou. Moje wyobrażenia o przepychu życia w orientalnym pałacu realizują się w Dar Si Said, który obecnie zajmuje Muzeum Sztuki Marokańskiej. Pałac de la Bahia ma również piękne komnaty i dziedzińce z fontannami, ocienionymi drzewami cytrusowymi. W komnatach brak mebli, kobierców, kandelabrow, luster i orientalnych zapachów, a może warto uruchomić wyobraźnię. Oczywiście byłem na Dzema El Fna głównym placu medyny, w dzień nie dzieje się tak dużo jak wieczorem, ale obserwuję taniec kobry i żmije sykliwie; za żadne skarby nie pozwolę sobie owinąć nimi ramion, chociaż na pewno są pozbawione jadu. Ściany domów, mury meczetów, bramy są w kolorze różowym, który kontrastuje z zielenią. W Marrakeszu jest wyjątkowo dużo zieleni, odpoczywam w cyber-parku, ustawione są stanowiska z dostępem do wi-fi, tak miesza się historia ze współczesnością. Zmęczony, pełen wrażeń docieram wieczorem do schroniska; nie pozwolono mi na odpoczynek w ogrodzie, zabieram więc plecak i ruszam na dworzec CTM, to tylko 5 minut; autokar odjeżdża punktualnie, mój pierwszy nocny przejazd musiał nastąpić.

7 września

Sahara Zachodnia. Miejsce mam fatalne, w tyle autobusu, brak przestrzeni na wyciągnięcie nóg, ale nikt nie pali papierosów, czego się obawiałem, nie działa również video, jednak dzwonki telefonów komórkowych słychać bez przerwy. Po drodze za Tarfaja, z prawej strony, mignął mi pomnik ku czci Antoine'a Saint-Exupery, który jako lotnik zatrzymywał się tu w bazie francuskiej poczty lotniczej na trasie Tuluza – Dakar. Autobus jedzie częściowo trasą rajdu Paryż – Dakar, ja też pojadę nią aż do Mauretanii. Dojeżdżamy ok. 9, w Laayoune nie ma nic do zwiedzania, postanawiam wieczorem pojechać do Dakhli. Z miasta widać wysokie diuny, aby dojść piechotą z plecakiem to zbyt uciążliwe, chodzę więc po bazarze, kupuję czapkę, owoce opuncji, zjadam danie, na które się składa kuskus, warzywa i mięso. Laayoune zbudowane jest na piachach Sahary, ale wieczorem główna ulica handlowa ładnie oświetlona, autobus wyjeżdża z opóźnieniem.

8 września

Tej nocy spałem trochę lepiej, w Dakhli jestem ok. 7, miasto dopiero budzi się do życia. Zatrzymuję się w hotelu Taiti, pokój z łazienką 100 D. Biorę kąpiel i odpoczywam. Recepcjonista informuje mnie, że jest nocny autobus do granicy z Mauretanią, odnajduję właściwe biuro Supertour i kupuję bilet za 120 D na 00.20. Dworzec jest tuż przy bulwarze nadatlantyckim, ocienionym palmami daktylowymi, w ogródkach kawiarniowych można wypić kawę i soki; trafiaam do ośrodka Spa, pozwalają mi zostawić rzeczy w recepcji i mogę pływać; moja pierwsza kąpiel w oceanie. Przy placu z głównym meczetem jest kilka barów, za 13 D podają trzy smażone ryby z chlebem marokańskim. Odpoczywam w hotelu i po 23 wychodzę na dworzec, mogę przejść oświetlonym bulwarem, pełnym spacerowiczów, wieczorem można normalnie oddychać i nie narzekać na gorąco, w dzień było ok. 40 stopni.

Ok. 4 jestem na granicy, którą otworzą o 8,40, jest możliwość wzięcia pokoju za 100 D lub za 30 D można pospać na materacu w małych kłitkach, obok sali restauracyjnej.

9 września

Mauretania. Ok. 9 zaczyna się koszmar przekraczania granicy, wykańcza biurokracja marokańska, a potem trzeba przejechać pas ziemi niczyjej, ok. 2 km przez zaminywany teren, droga pełna wybojów, grozy przydają wraki samochodów, które zjechały za bardzo w bok i wyleciały na minie. Z plecakiem w upalnym słońcu nie dam rady przejść, trzeba poddać się mafii przewoźników; dobrze trafiam na kierowcę taxi, który za 10 euro pomaga mi przekroczyć granicę Mauretanii i dowiezie mnie do campingu w Nouadhibou. Co prawda, chcę wysiąść przy dworcu pociągu towarowego przez Saharę, ale nie mam mauretańskich pieniędzy i zapasów jedzenia oraz wody; chciałbym zjeść śniadanie. Na campingu płacę 3000 X, czyli ok. 8 euro za klitkę z łóżkiem i małym okienkiem, bez wentylatora, ale jest łazienka z ciepłą wodą, działa moja grzałka, na podwórzu tradycyjny namiot tuarecki, można położyć na miękkich poduchach. Zjadłszy śniadanie, po odpoczynku idę do portu rybackiego; wydaje się, że przechodzę przez dzielnicę slumsów, bieda okropna, dosłownie brud i smród. Na wodzie kilkadziesiąt kolorowych łodzi, tworzą chaos trudny do ogarnięcia, nic dziwnego, że policja nie jest w stanie skontrolować rybaków, którzy z uciekinierami z Senegalu, Mali czy Gambii wpływają na Wyspy Kanaryjskie, dla nich rajskie, jeżeli dopłyną. Na brzegu przemy ryb, wysypywanych z sieci i skrzynek. Obiad jem w portowej „restauracji” Barack Obama; jest on dla tych biednych Murzynów uosobieniem sukcesu, bogactwa i wysokiej pozycji społecznej. Jedzenie smaczne i tanie poniżej 1 euro. Ponieważ jem razem z nimi, pozwalają mi robić zdjęcia, oczywiście sfotografowałem barak, w którym mieści się restauracja. Taxi za 100, (1/3 dolara) stała cena w mieście, jadę do portu, którego nadbrzeża są w budowie i wejście jest zabronione, ale w niedzielę nikt nie pilnuje niczego. Robię zdjęcia cmentarzyska statków; zaczęto je porzucać w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku; są ich dziesiątki, ulegają korozji i niektóre już zatoneły, stwarzając zagrożenie skażenia wody Oceanu! Dlatego Unia Europejska, a przede wszystkim Włochy próbują oczyszczać akwen portowy i budować nadbrzeża.

Jestem przyniębiony tym, co dziś zobaczyłem: zaminowana granica, wraki samochodów i okrętów, ubóstwo mieszkańców miasta, ciężką pracę rybaków.

10 września

Źle zrozumiałem hotelarza albo celowo wprowadził mnie w błąd, że powinienem być ok. 12 na dworcu kolejowym. Chłopak z hotelu pomaga mi zatrzymać taxi, bo jeżdżą one nieoznakowane; zapłaciłem 500 X do dworca kolejowego, ale kierowca udaje, że chodzi o autobusowy i żąda dopłaty; biorę plecak i wysiadam – zostało ok. kilometra. Poprzedni podróżnicy pisali o małej budce wśród piachów, przy której zatrzymuje się pociąg, teraz jest duży dworzec z kasą, toaletą i oczywiście posterunkiem policji. Jasne, gdy tylko wszedłem, zostałem wylegitymowany. O 14.30 przyjeżdża pociąg towarowy wyładowany rudą żelaza, na niej siedzą pasażerowie, którzy korzystają z darmowego przejazdu. Nie liczyłem wagonów, ale skład był ciągnięty przez trzy potężne lokomotywy, na końcu były doczepione dwa wagony osobowe, z których zaczęli wyskakiwać ludzie, bo na tym „dworcu” nie ma peronów. Gdy przesunęło się 2 i pół kilometra wagonów, wyszedłem, aby pospacerować po okolicznych wydmach; odnajdowałem ciekawe, zupełnie zwietrzałe skały, poczułem się jak na dnie olbrzymiego akwarium, z którego spuszczonego wodę. Faktycznie Sahara była kiedyś dnem oceanu;

na pamiątkę wziąłem muszelkę, ale tę chyba przyniosły ptaki, bo do brzegu Atlantyku jest przecież tylko kilka kilometrów. Te najbliższe i dalsze diuny stanowią Park Narodowy, można zorganizować wycieczkę, wynajmując terenowy samochód.

Wracam na dworzec, zjawia się konduktor i sprzedaje mi bilet za 2500 X, jak się okazało dużo przepłaciłem. Przyjazd pociągu jest zapowiedziany na 19, potem przesuwają na 20, później na 21, wreszcie przed 22 następuje szturm podróżnych na jedyny wagon pasażerski. Nie mam szans! Chcę się wycofać, ale to też trudne! Przecież przyjechałem do Mauretanii, aby przejechać towarowym pociągiem przez Saharę, mobilizuję siebie. Ulegam tłumowi, za wszelką cenę chcę uchwycić się poręczy przy drzwiach, a potem podciągnąć z całych sił, no tak, ale plecak na ramionach, torba przez ramię, w której mam paszport i pieniądze. Wyniesiony zostałem w górę do wejścia, teraz przecisnąć się do przedziału, pasażerowie nie pozwalają mi na wejście, a inni chcą przejść, wysiąść, koszmarnie! Zachwiałem się, porządne szarpnięcie i pociąg bardzo wolno ruszył. Rodzina, która zajęła przedział, pozwala mi usiąść, chyba się przeprowadzają, wiozą garnki, dywany, kołdry, nie wiem co jeszcze? Wybuchają śmiechem, kiedy nadmuchuję kołnierz i z plecaka wyciągam poduszkę, którą kładę na twarde dechy, aby było mi wygodniej; moje współpasażerki mają na czym siedzieć i czym oddychać. Około północy wydostały skądś michę, zdjęły pokrywę, zapachniało duszonym mięsem. Zaproszono mnie na ucztę, wziąłem w rękę udko kurczaka i dobierałem smażone, słodkie ziemniaki i inne warzywa; zorientowałem się, że popełniłem nietakt, nie należało brać żadnej porcji, ale od czasu do czasu skubnąć z jednego lub drugiego kawałka mięsa. Po wielkim żarciu wyjąłem mokre, kosmetyczne chusteczki, znów śmiech, ludzie z korytarza też zaglądają i komentują. Największe zainteresowanie wzbudziły chusteczki z samolotu, które mamuśki chowają na pamiątkę. Znów rozśmieszyłem pasażerów, zakładając maseczkę na oczy, ale dziwny ten Białas....

11 września

Około 8 jestem w Choum (Szum), nie ma żadnego dworca, peronów, a nawet tablic z nazwą miejscowości, trochę dalej widzę kilka kamiennych chat. Oczywiście, że dojechałem na miejsce, poinformowali mnie współpasażerowie, przy torach stoją półciężarówki z napędem na cztery koła. W szoferce obok kierowcy dwóch pasażerów, na tylnym siedzeniu cztery osoby i dzieci na kolanach, bagaże na pace, a na nich inni pasażerowie, ilu się zmieści. Na horyzoncie wysokie góry, wjeżdżamy w skaliste rumowiska, żadnej roślinności, nawet mchów, kamienie w kolorze brązu i czerni, jakby powulkaniczne, aż nagle pustynia błękitnieje od niebieskich kamieni. No wreszcie Atar, orientuję się po dojechaniu do kolejnego punktu kontroli policyjnej. Pojawiają się palmy daktylowe, kwitnące oleandry, na poletkach ogromne zielone arbuzy i żółte melony. Po przejechaniu przez piachy i kamienie tyle roślinności! Ale gorąco straszliwie, ponad 40 stopni, chociaż to pora deszczowa. Kierowca rozwozi pasażerów, jadę do końca trasy, zjawia się taksówkarz i gospodarz kempingu, za który płacę 1000 X Camping Inimi (camping.inimi@yahoo.fr). Pokoje wieloosobowe jakby w murowanym baraku, którego strop tworzy kolorowy materiał. Płacę dodatkowo 1000 X za wiatrak, bez sensu, bo tylko wieje gorącym powietrzem, leżeć, spać można wyłącznie pod drzewami na podwórzu, pod rozgwieżdżonym niebem.

12 września

Gospodarz kempingu podwozi mnie na dworzec, a raczej pod biuro, spod którego ma odjechać samochód do Chinquetti (Sziniketu). Czekam godzinę, dwie, denerwuję

się, próbuję coś załatwić, wreszcie pojawia się Murzyn z Mali i dwoje Białasów. Dominika i Jacek okazują się sympatycznymi krajanami, płacimy po 2000 ougiya (1 euro = 390 UM) i jedziemy ok. dwie godziny przez Saharę, jej kamieniste pustkowia, przed nami piaszczyste wzgórza i średniowieczny Chinguetti; nie widać anten tv, masztów telefonicznych. Piaszczyste uliczki są tak wąskie, że nie przejedzie żaden pojazd, przeciskają się osły i kozy. Tuaregowie w błękitnych szatach idą do meczetu, który jest najważniejszy w tej części Afryki. Chinguetti to jedno z pięciu najświętszych miast islamskich. Do meczetu wejść nie możemy, ale odwiedzamy jedną z wielu bibliotek, w których są przechowywane rękopisy z wczesnego średniowiecza; niestety, widać jak kruszeją i rozsypują się, przechowywane w nieodpowiednich warunkach. Chinguetti konkurował z Timbuktu, ale teraz jest bardziej autentyczny, dociera tu niewielu turystów, w obrębie murów innowiercy nie mogą nocować. Tuż za murami są wysokie ergi, piach saharyjski ma różne odcienie złota, może stąd wzięła się legenda o złotych miastach na pustyni? Słońce pali niemiłosiernie.

W nowej części miasta jest jeden kemping, nocleg też 1000 UM, jedzenie 700 UM, podają zasmażane ziemniaki z makaronem i mięsem, smaczne i mocną, miętową, słodką herbatę. Czas wracać do Ataru; załatwiamy jeepa za 2000 UM od osoby. Kupujemy bilety po 4500 UM na następny dzień do Nouakchott w klimatyzowanym autobusie.

13 września

Wmówić można wszystko, zamiast autobusu podstawiają minibus, wyjeżdżamy po 8, aby być ok. 16 w stolicy Mauretanii; podczas jazdy zostajemy poczęstowani suszonymi daktylami nanizanymi na sznureczek, jak nasze obwarzanki. Z dworca taxi do jedyne go w mieście kempingu, a raczej oberży; dostajemy duży, ładny pokój, łazienka z ciepłą wodą! Możemy zmyć z siebie lepką papkę, która powstała z piaszczystego kurzu saharyjskiego i naszego potu. Dominika i Jacek jadą do portu oglądać powrót rybaków z połowu, ja znam ten spektakl z Gambii. Idę na spacer po mieście, blisko nas jest pałac prezydencki, pod murem rezydencji stoisz śmieci, w których grzebią osły i kozy. Fotografuję okazały meczet narodowy, w okolicy widzę wieżowce, dookoła coś budują, ale zapomnieli o chodnikach. Przechodnie chcą wymienić ze mną pieniądze, chociaż co krok jest kantor. Pożegnalna kolacja, ostatnie rozmowy, jutro Dominika i Jacek pojadą do Senegalu, a ja do Sahary Zachodniej i Maroka.

14 września

Sahara Zachodnia. Wczesna pobudka, taxi na dworzec, stosunkowo szybko zebrali się komplet pasażerów, sześć osób i za 20 000 UM wyjeżdżam w stronę granicy z Saharą Zachodnią. Źle się czuję, jakieś kłopoty żołądkowe. Odprawa po stronie Mauretanii sprawna i znów przeprawa z mafią taksówkarzy, aby przejechać na posterunek graniczny, za dwa kilometry żądają 5 euro! Za przejazd do Dakhli 20 euro, zebrali pieniądze i uczują w granicznej knajpie, a podróżni cierpliwie czekają; potem kierowca jedzie jak szalony, musi zatrzymać się przy posterunkach policyjnych, czasem żądają ksero paszportu, ale mówię, że nie mam i pozwalają dalej jechać, bez spisywania moich danych. Nie należy mówić, że jest się z zawodu nauczycielem lub dziennikarzem; mam ułatwione zadanie, podaję, że jestem emerytem. O 19 jesteśmy na miejscu, idę do hotelu Taiti, zostawiam plecak i wychodzę, aby wymienić pieniądze – bez powodzenia, kantory zamknięte.

15 września

Niekorzystnie wymieniam pieniądze i kupuję bilet do Laayoune. Ach jak wygodnie podróżować autokarem, mieć fotel tylko dla siebie. Wieczorem jestem w stolicy Sahary Zachodniej i kupuję bilet do Guelmin, chcę dalej jechać na północ przez Atlas Wysoki. Przyjeżdżam ok. 4 nad ranem, w najbliższym hotelu biorę pokój za 50 D.

16 września

Maroko. Po 10.30 i szczęśliwie przeprowadzonej wymianie pieniędzy wyjeżdżam autobusem do Agadiru; mam nadzieję, że będą autobusy w góry, np. do Warzazatu. Podstawiają autobus do Fezu (225 D), kupuję bilet, wodę i dalej w drogę.

17 września

W Fezie jestem przed 5 rano, biorę taxi do schroniska HI, ale nie otwierają drzwi, więc kierowca wraca ze mną na dworzec, boję się, że zasnę na dworcowej ławce; jest autobus do Meknes, docieram do schroniska HI tuż przed 8. Uśpiony Meknes ma swój urok, mogę swobodnie napatrzeć się na Bab El Mansour, najpiękniejszą bramę w Maroku. Pytałem o pokój w hotelikach, których jest kilka w medinie, ale bez rezultatu. Schronisko HI mieści się w dzielnicy eleganckich rezydencji i hoteli, obok Hotel Transatlantique, 60 D ze śniadaniem to znakomita cena. W dormitorium pierwszej nocy spało nas trzech, a w następnej byłam sam.

Zaczynam błądzenie po medinie, dochodzę do różnych bram, z których słynie Meknes, a do budowy najpiękniejszej wykorzystano kolumny ze starożytnego Volubilis. Budzą podziw mury pałacu cesarskiego, którego nie można zwiedzać, podobnie jak Wielkiego Meczetu, ale można zwiedzać mauzoleum Mulaj Ismailia, który nie tylko był twórcą stołeczności miasta, ale też jedną z najwybitniejszych postaci w historii Maroka. Zespół grobowy przypomina raczej piękny pałac z kilkoma dziedzińcami, pośrodku których łży ronią fontanny; do niedawna sam grobowiec dla niewiernych był niedostępny. Przy dawnym placu, na którym władca dokonywał przeglądu wojsk, znajduje się budynek, w którym byli przyjmowani ambasadorowie, a obok wejście do obszernych, podziemnych magazynów zboża, które podobno służyły też jako więzienie dla tysięcy jeńców chrześcijańskich, zatrudnionych przy budowie bram i pałaców. W tych kazamatach jest chłodno i odpoczywam od upału. W restauracji zjadam dwie porcje, gęstej i smacznej marokańskiej zupy. Wstępuję do kawiarenki, aby wypić sok z różnych owoców, ale najbardziej smakuje świeży sok z pomarańczy; kupuję na kolację chleb z sezamem i wracam do schroniska. Dziedziniec jest wyjątkowo romantyczny: drzewa cytrusowe, kwitnące oleandry i granaty dojrzewające na gałęziach. Zaparzam w kuchni herbatę, siadam przy stoliku i zapisuję dzisiejsze wrażenia.

18 września

Wystarczy ze schroniska skrócić w prawo i schodzić w dół do głównej ulicy, z której odjeżdżają zbiorowe taxi do Mulaj Idris., ale nadjeżdża autobus i konduktor zaprasza do wsiadania, informując, że ma wolne miejsca, za 8 D, w godzinę jestem w mieście świętym dla muzułmanów. Z placu, na którym zatrzymał się autobus, idę pod górę w lewo, dochodzę do Mauzoleum Mulaj Idrisa; niestety, nie mogę podejść bliżej, kierując się strzałkami, wspina się na tarasy widokowe, a tak naprawdę miejsca, z których widać kompleks mauzoleum i drugie wzgórce, na którym położone jest miasto. Na głównym placu

miasta, w jednej z wielu kawiarni wypijam czarną, mocną kawę, tak znakomitą, kiedy człowiek usycha z gorąca. Pokrzepiony kupuję dużą butelkę wody mineralnej i schodzę do ronda, z którego odchodzą drogi w różne kierunki; koniecznie wybiercie tę pierwszą w lewo, w dół, drogowszak kieruje do jakiejś wsi, ale po niespełna dwóch kilometrach znajdziecie się przy ruinach Volubilis; z drogi widoczne jest starożytne miasto, zamieszkałe do XVIII wieku! Najokazalszym ruinom rzymskim w Maroku daleko do Leptis Magna w Libii, ale mozaiki naprawdę zachwycają! Można je oglądać w ruinach kilku domów bogatych Rzymian i w łaźniach publicznych, zdobią fontanny i akwaria. Podziwiam łuk triumfalny Karakalli, Kapitol i Forum. Nie wziąłem przewodnika, mogę wracać do miejsc, które szczególnie się mi spodobały, siedzieć w cieniu i kontemplować starożytne piękno. Niestety, muzeum jest zamknięte, ale i tak jestem w pełni usatysfakcjonowany.

Teraz moja droga do autobusu prowadzi pod górę, do ronda, z którego wsiadam do Meknes; mogę wysiąść prawie przy schronisku, ale w jego okolicy brak tańszych knajpek z marokańskim jedzeniem. Wieczorem uczestniczę w próbie amatorskiego teatru, aktorzy ćwiczą pod cytrusowymi drzewami.

19 września

Po śniadaniu schodzę przez park w stronę medyny; przy cmentarzu obok bramy Bab El Jedid zatrzymują się autobusy do Fezu, bilety po 8 D; za godzinę jestem na miejscu. Schronisko HI okazało się być trochę dalej niż mi się wydawało, kiedy jechałem taksówką, ale półgodzinny marsz, nawet z plecakiem można przeżyć. Schronisko jest wyjątkowo sympatyczne, dwa piękne patia, na jednym jest fontanna, a na drugim altany, oplecione kwitnącymi pnączami, pokoje są czteroosobowe, traktowane jako dormitoria, 7,50 D ze śniadaniem. Zostawiam plecak, przebieram się po kąpeli, wypijam kawę i spacerkiem idę do starego Fezu. Dochodzę do najpiękniejszej bramy pałacu królewskiego, mogę zrobić zdjęcie, podziwiać snycerkę cedrowych, złożonych wrót, ale są zamknięte dla zwiedzających. Przechodzę uliczką sklepów ze złotem i dochodzę do Ogrodów Bou Jelo-ud; odpoczywam trochę i idę w stronę Uniwersytetu El Karawijjin, jednego z najstarszych w świecie, Niestety, nie mogę zobaczyć ani bogatej biblioteki, ani nawet dziedzińca. Tuż obok jest najśliczniejsza brama Bab Bou Jeloud, mimo że pochodzi z 1913 r., zachwyca proporcjami i dekoracją ceramiczną. Przeciskam się przez suk, aby dojść do medresy Bu Inanija, uznawana jest za najpiękniejszą; faktycznie zdumiewa precyzja i kunszt drewnianych elementów wystroju, ale to przecież myśli i słowa Proroka, zapisane literami, które tworzą ornamenty. Przypatruję się strojom sprzedawców wody, oglądam wyroby rzemieślników i wpadam w sidła przewodnika, który już mnie prowadzi do farbiarzy. Faktycznie sam nie trafię, przepadam w labiryncie uliczek medyny, planuję jutro przyjść, kiedy będzie odpowiednie światło do zdjęć, ale już nowy przewodnik zapewnia, że teraz też mogę robić dobre zdjęcia. Zatykam nos przed fetorem skór, świeżo ściągniętych ze zwierząt, przed ostrą wonią wapna, którym przekładają skóry. Prowadzony jestem do mrocznych pomieszczeń, gdzie mają miejsce kolejne czynności, aby wygarbowaną, oczyszczoną skórę móc ufarbować. Czuję się jak w piekle Dantego, widzę potępionych, ale przecież oni za pracą przyjechali tu z górskich wiosek. W tych smrodliwych, ciemnych norach pracują i śpią po skończonym dniu roboczym. Zatrudnionych jest około 300 osób, głównie Berberów; farbiarze z Fezu śpią we własnych domach. Na pocztówkach ogląda się kadzicie z kolorowymi farbami, bardzo malarskie ujęcia, a tu realizm miejsca i ludzi pracujących przywodzi naturalizm prozy Zoli. Dziś już nie chcę nic oglądać.

20 września

I znów mogę błądzić uliczkami mediny, odnaleźć ozdobny portal domu, studnię wyłożoną barwnymi kafelkami, wdychać aromat ziół i przypraw, sprzedawanych z dużych worków, patrzeć na stosy ułożone z kostek szarego mydła lub na to sprzedawane na wagę. Podziwiam kształty i kolory egzotycznych warzyw; właśnie jest sezon na owoce opuncji, sprzedawane są po jednym dinarze za sztukę; należy wskazać wybrany owoc, a sprzedawca obierze go, abyśmy nie skaleczyli się kolcami na skórcie. Wypijam, podawaną w małej szklance, czarną, mocną kawę, którą popija się wodą. Miętowa herbata jest dla mnie za słodka, a ciasteczka i desery aż lepią się od cukrowego syropu. Warto pobuszować po suku henny, która służy do farbowania włosów, ale można zobaczyć specjalistki, które nią malują ręce kobiet, wybierających się np. na wesele. Sprzedawcy dywanów zapraszają do swoich sklepów, bardzo sprawnie rozwijają dywany i kilimy z różnych regionów Maroka. Kupcie sobie bransoletkę ze skóry barwionej w farbiarniach Fezu. Nie zdołam opisać niezwykłości bazaru marokańskiego, musicie sami tu przyjechać.

21 września

Tuż po 9, a więc po śniadaniu, łapię taxi za 50 D, jadę na dworzec autobusowy, oczywiście nie obyło się bez dyskusji z kierowcą o zapłacie za kurs. Nie czekam długo na autobus do Nadoru 70 D, jedzie się prawie cały dzień, od 10.30 do 17, ale trasa wiedzie przez Atlas Średni. Hotelików w okolicy dworca kilka, od 50 D. Idę wieczorem na suk, aby kupić oliwki, kuskus, oliwę i sardynki w oliwie, czyli typowe dobra Maroka. Ach, jeszcze skórzany pasek do spodni, bo on jest niezbędny przy końcu każdej wyprawy.

22 września

Melilla. Autobusem numer 19 za 3D dojeżdżam do granicy z Melillą; znów wypełnianie druczków, po stronie Hiszpanii nie ma żadnych formalności dla obywateli Unii Europejskiej. Ulice przyległe do przejścia granicznego przypominają te z marokańskiego miasta, kobiety w chustach i płaszczach, pełno śmieci, pudełek i opakowań po towarach przemycanych ze strefy bezcłowej. Dochodzę do dworca morskiego, który jest u podnóża Starej Melilli. Kupuję bilet ze zniżką (33 euro) na prom, odpływający o 23. Idę w kierunku plaży, w hipermarkecie kupuję wino stołowe, mam marokański chleb, oliwki, jaja na twardo, czeka mnie eleganckie drugie śniadanie na plaży. Zwiedzam miasto, w którym jest kilka kamienic, projektu uczniów Gaudiego; odpoczywam w pięknym parku i obserwuję papugi (Aleksandretty) zielono ubarwione. W Klubie Morskim oglądam plakaty z wystaw malarstwa Toulouse Lautreca; prezentowane są prace trzech polskich grafików, m.in. Piotra Młodożeńca. Zdobywam twierdzę, górującą nad miastem. Zwiedzam bezpłatnie kilka muzeów, w miejskim ciekawa ekspozycja etnograficzna grup narodowościowych mieszkających w Melilli. Zainteresowały mnie ekspozyty kultury Żydów Sefardyjskich; tu stworzyli pierwsze getto. Siedzę na tarasie, jednym z kilku, patrzę na Morze Śródziemne, bardzo dziś spokojne, skały, na których pobudowano twierdzę, i chłopców, którzy skaczą ze skał do morza. Popijam czerwone wino, przegryzam oliwki, zachodzi słońce; dla takich chwil warto żyć i podróżować.

Odprawa paszportowa i celna bez problemów, na statku jest tyle wolnych miejsc, że mogę wyciągnąć się na kilku fotelach i spać, o ile pozwalają krzyki usypianych dzieci.

23 września

Hiszpania. Przed 8 jestem w Maladze, prosta droga na dworzec autobusowy, ok. pół godziny marszu, o 9 odjeżdżam do Grenady (11 euro), po godzinie i kilku minutach jestem, w dworcowej informacji pytam o dojazd do Alhambry; najpierw muszę dojechać do katedry; jest niedziela, a więc jest ona otwarta, podobnie jak kaplica królewska. Mały autobusik miejski numer 3 jedzie do Alhambry. Schronisko Posada Dona Lupa jest obok końcowego przystanku, recepcja nieczynna, ale zostawiam plecak i idę do kasy, w której odbiera się bilety zbiorowe i te kupione przez Internet; pokazuję numer rezerwacji, godzinę wejścia oraz ksero paszportu; nie muszę stać kilka godzin w kolejce. Wracam do schroniska, bardzo miła pani przydziela mi pokój jednoosobowy z łazienką za 12 euro, ze śniadaniem. Biorę kąpiel, przebieram się i idę do zespołu Alhambry. Tłumy nieprzebrane, ale ja mam bilet na wszystkie obiekty za 14 euro. Twierdza robi na mnie średnie wrażenie, pałac Karlosa V zdumiewa kiczem architektury, a na kolana rzuca mnie pałac Leones, a zwłaszcza dziedzińiec lwów. Znam fotografie, ale zobaczyć go na własne oczy, to było moje marzenie. Mam hotel zaraz za bramą parku, nie muszę więc spieszyć się, mogę wracać do komnat, które już widziałem, odpoczywać na dziedzińcach, siadać na ławkach, aby kontemplować piękno arabskiej sztuki. W parku są saturatory z zimną wodą. Podziwiam Alhambrę w świetle zachodzącego słońca; tłumy są trochę mniejsze.

Szkoda tylko, że to niedziela, sklepy spożywcze zamknięte, skazany jestem na korzystanie z restauracji, ale przy bufecie można kupić tańsze kanapki. W świetle reflektorów mury Alhambry wydają się jeszcze potężniejsze, ale do twierdzy wejść nie można.

24 września

Schodzę przez park do Granady, to tylko kilka minut, odwiedzam powtórnie katedrę, zachwyca renesansowa architektura uniwersytetów i akademii, piękne portale i arkadowe dziedzińce, które jednak nie dorównują wawelskiemu. Odnajduję w labiryncie uliczek kościół Jana Bożego, chociaż pochodzi z połowy XVIII wieku jest podręcznikowym przykładem sztuki baroku; nie znajdziecie centymetra białej ściany, wszystko kapie złotem, ambona nie tylko wyłożona, ale też ozdobiona lustrami, malowidła oczywiście iluzjonistyczne, zasłony, draperie jak prawdziwe. O 10.30 jest zwiedzanie z przewodnikiem, wtedy można zobaczyć skarbiec, podejść do sarkofagu świętego Jana Bożego, który właśnie działał w Andaluzji. Nie chcę już dziś zwiedzać żadnej zabytkowej budowli. Do dworca autobusowego lepiej podjechać, jest daleko od centrum. Stoję w długiej kolejce po bilet; można go kupić w automacie; autobusy odjeżdżają często. Nocuję w znanym mi schronisku, po południu posiedziałem obok mistrza Pabla, pospacerowałem eleganckimi ulicami Malagi. Wieczór spędziłem w towarzystwie sympatycznej pary turystów ze Słowenii

25 września

Śniadanie w schronisku jest wydawane od 9.00, a ja muszę wyjść przed 8, ale przygotowano kawę, można wypić szklankę soku i zjeść pieczywo z dżemem. Metro na lotnisko jedzie tylko kilka minut, odprawa jest sprawna i sympatyczna. Samolot odleciał punktualnie; w Paryżu jest mniej sympatycznie, zakwestionowano mały pojemnik z jogurtem i serek w pudełku, dobrze, że nie kupiłem wina z Malagi, bo chociaż to tranzyt i Unia, ale rozsądek urzędników granicznych jest bardzo ograniczony. W Warszawie byłam ok. 22. Myślę, że była to kolejna, ciekawa wyprawa, a co przeżyłem, widziałem, opisałem.

Rapa Nui (Isla del Pascua, Easter Island, Wyspa Wielkanocna)



Tytułem krótkiego wstępu do relacji z podróży na Wyspę Wielkanocną należy się Czytelnikowi wyjaśnienie. Otóż tekst ten powstał na podstawie informacji zebranych podczas dwóch odrębnych podróży – córki i ojca. Pierwsza z wypraw odbyła się na przełomie 2010/2011 r. i stanowiła jeden z zaplanowanych wcześniej etapów podróży dookoła świata. Drugi wyjazd miał miejsce w maju 2012 r. i był ostatnim wypadem o charakterze wakacyjnym w trakcie wykopalisk archeologicznych prowadzonych przez Uniwersytet Wrocławski w Peru.

Informacje podstawowe

Wizy: Isla del Pascua należy do Chile i nie wymaga od Polaków wiz.

Waluta: chilijskie pesos lub dolary USA. Obie waluty są zamiennie stosowane na wyspie, przy czym nie w każdym miejscu da się zapłacić dolarami. Niekiedy płacenie dolarami bywa też mniej korzystne. Kurs w maju 2012 r. 1 \$ – 497 pesos.

Szczepienia: nie są wymagane.

Zagrożenia: praktycznie nie istnieją, mieszkańcy są bardzo życzliwie nastawieni do turystów, nie są nachalni, na wyspie prawie nie ma kradzieży.

Czas: GMT minus 5 godzin, czyli 6 godzin różnicy (do tyłu) względem czasu zimowego w Polsce. Przyjęty na Wyspie Wielkanocnej czas nie jest „prawidłowo dopasowany” do długości geograficznej. Chodzi o to, by różnica z Santiago nie była zbyt duża (a jest 2 h). I tak np. w grudniu świta dopiero około 7.00, za to zmierzcha około 21.00. Dobrze to dla śpiochów.

Ludność i osadnictwo: wyspa liczy 5800 mieszkańców (w 2010 r.); niemal wszyscy skupieni są w Hanga Roa, jedynej osadzie na wyspie. Praktycznie jest to też jedyna baza noclegowa dla turystów. Nie wolno biwakować w plenerze na dziko.

Mapy: 1) „Easter Island (Chile)” 1:30 000 kanadyjskiego wydawnictwa International Travel Maps (dostępna w Polsce w sklepach podróżnika).

2) „Rapa Nui National Park – free visitors guide” – folderowa mapa z opisem dostępna gratis w Biurze Informacji Turystycznej w Hanga Roa, a czasem w punktach sprzedaży biletów do Parku Narodowego.

Informacja turystyczna: biuro mieści się w Hanga Roa przy ulicy prowadzącej od kościoła w dół, w kierunku wybrzeża.

Uczestnicy/liczba spędzonych dni na wyspie:

2010/11 r. – 7 osób / 6 dni (28 grudnia 2010 – 2 stycznia 2011)

2012 r. – 4 osoby / 4 dni (20–23 maja 2012)

Dojazd

Na wyspę najdogodniej dolecieć samolotem. Jedyne port lotniczy w miasteczku Hanga Roa obsługuje połączenia chilijskich linii LAN z Santiago, Tahiti (Polinezja Francuska), a ostatnio też z Limą.

Dojazd 2010/11 r.

Leżąc na antypodach Wyspa Wielkanocna „prowokuje”, aby odwiedzić ją w ramach podróży dookoła świata. Z chwilą uruchomienia połączenia lotniczego z Tahiti (3 razy w tygodniu), Wyspa Wielkanocna przestała być ślepy m zaułkiem lotniczym dostępnym tylko z Santiago, a stała się atrakcyjną etapową destynacją w podróży wokół globu.

W kwietniu 2010 roku zakupiliśmy w brytyjskiej firmie Travel Nation (www.travel-nation.co.uk) bilet RTW (Round the World) z Londynu do Londynu, złożony z 12 segmentów lotu. Cena biletu w przeliczeniu na złotówki i na jedną osobę wyniosła 13 391 PLN (łącznie ze wszystkimi podatkami oraz opłatami za transakcję kartą debetową).

Wszelkie operacje zostały wykonane przez Internet. 90-dniowa trasa przebiegała przez Azję południowo-wschodnią, Australię, Nową Zelandię, wyspy Pacyfiku, Amerykę Południową. Trasa ta nie była „gotowcem” sprzedawcy, lecz została zaprojektowana przez uczestników podróży. Na Wyspę Wielkanocną przylecieliśmy z Tahiti, a odlecieliśmy do Santiago.

Dojazd 2012 r.

Stacjonując w Peru, mieliśmy okazję śledzić na bieżąco, korzystając z hiszpańskojęzycznych serwisów lotniczych, informacje o aktualnych promocjach. Przypadkowo trafiliśmy na ofertę LAN z Limy na Isla del Pascua za 395 \$ w obie strony (bez żadnych dodatkowych opłat). Bilety lotnicze zarezerwowaliśmy na miejscu w Peru przez Internet na miesiąc przed wylotem, a wykupiliśmy je za gotówkę w lokalnym oddziale LAN w Arequipie. Można je również nabyć, płacąc kartą VISA przez Internet bezpośrednio na stronie LAN. Warto zaznaczyć, że podana cena była wyjątkowo promocyjna, gdyż przeważnie przeloty zarówno z Limy, jak i z Santiago zaczynają się przy dobrym układzie od 600 \$, a zazwyczaj kosztują 800–1200 \$. Lot z Limy trwa około 5 godzin.

Przylot

Port lotniczy w Hanga Roa nazywa się Mataverí Airport. Obsługuje przeważnie nie więcej niż trzy przyloty i wyloty dziennie. Terminal jest bardzo mały, ale pas startowy nieproporcjonalnie długi (3300 m). Miał bowiem pełnić funkcję zapasowego lądowiska dla amerykańskich promów kosmicznych. Na lotnisku nie ma rękawów ani autobusów, gdyż wszyscy podróżni udają się pieszo po płycie postojowej do terminalu, gdzie odbywa się kontrola paszportowa i celna (cały bagaż jest prześwietlany). Zarówno przy wjeździe, jak i wylocie nie pobrano od nas żadnej opłaty (z niektórych relacji wynika, że swojego czasu kasowano 18 \$). Uwaga! Niektórych produktów żywnościowych nie

można wwozić na wyspę. Dotyczy to w szczególności konserw i owoców. Nie wiadomo jednak, kto sprawdza dokładnie zawartość bagażu, gdyż podczas wyprawy w 2012 r. udało nam się przewieźć zakupione w Limie tuńczyki, zupki oraz chleb.

Lotnisko znajduje się bardzo blisko centrum miasta (około 15 min piechotą), w którym rozrzucone są oczekujące na turystów hoteliki i kempingi. Przylatując, nie ma co liczyć na samotny spacer, gdyż właściciele hoteli i kempingów przeważnie wyjeżdżają po turystów.

Zakwaterowanie:

Kempingi

W grudniu 2010 funkcjonowały w Hanga Roa co najmniej 2 małe kempingi. My wybraliśmy kemping „Tipanie Moana”, gdzie nocleg we własnym namiocie kosztował 4000 peso za osobonoc (ok. 8,5 \$). Kemping posiada toalety, natryski z ciepłą wodą oraz zadaszone pomieszczenie kuchenne wyposażone w naczynia, kuchenkę, stoły i krzesła. Elektryczność jest dodatkowo płatna. Po 6 dniach pobytu wypadło nam dopłacić po ok. 2000 pesos (ok. 4 \$) na osobę. W trakcie naszego pobytu sympatyczny właściciel Benjamin dwukrotnie zaprosił nas na rybnego grilla z własnoręcznie złowionych ryb. Z noclegu na tym kempingu mogą korzystać także turyści bez własnego namiotu. Na gości oczekuje kilka rozstawionych namiotów właściciela. Cena jest taka sama.

Podczas spacerów po Hanga Roa natknęliśmy się na drugi z kempingów. Ów reklamował się widokiem na ocean. Widok rzeczywiście był przedni, ale z miejscem tym wiązał się, niczym niepoahamowany, dokuczliwy wiatr od oceanu.

Hotele

W większości tanich hotelików w centrum Hanga Roa obowiązują podobne ceny (właściciele bardzo niechętnie się targują). Podczas wyprawy w 2012 r. za nocleg w hostelu „Kona Tau” płaciliśmy 25 \$ od osoby. W cenę wliczono obfite śniadanie oraz całodzienny dostęp do kiści wiszących bananów dla głodomorów. Noclegu nie mieliśmy wcześniej zarezerwowanego, aczkolwiek istnieje taka możliwość poprzez serwisy internetowe. Do hotelu zostaliśmy po krótkiej rozmowie „zgarnięci” z lotniska.

W „Kona Tau” przyjęto nas życzliwie z uśmiechem zawsze towarzyszącym mieszkańcom wyspy. Zaoferowano nam bardzo przyzwoite i schludne pokoje dwuosobowe z łazienkami i czystą (codziennie zmienianą!) pościelą. Całość serwisu w hostelu „Kona Tau” była warta swojej ceny. Z doświadczeń wymienianych z innymi turystami odnośnie do taniego nocowania w Hanga Roa wynika, że podobny standard i obsługę oferują również pozostałe hoteliki „budżet klasy” na wyspie.

Wymiana waluty

Pomimo, iż w większości restauracji i hoteli można płacić w dolarach, warto wymienić część pieniędzy na pesos, bowiem niewielkie sklepiki i niektóre wypożyczalnie sprzętu nie przyjmują obcej waluty. W Hanga Roa najlepszy kurs względem dolara i euro oferuje niewielki położony przy przystani bank, czynny w dni robocze od 9 do 13. W mieście jest również kilka bankomatów. Po nieco mniej korzystnym kursie dolary i euro można całodobowo wymienić na jedynej w Hanga Roa stacji benzynowej bądź też doraźnie w niektórych sklepach z pamiątkami (najmniej opłacalny kurs).

Przykładowy kurs pesos względem dolara z 22.05.2012 r.

Bank 1 \$ – 497 pesos

Stacja benzynowa 1 \$ – 485 pesos
Sklep z pamiątkami 1 \$ – 470 pesos

Zwiedzanie

Rapa Nui można zwiedzać na wiele sposobów, ale nie sposób pominąć opłaty za Park Narodowy Rapa Nui. Wynosi ona 60 \$ (albo 30 000 pesos) od osoby. Nie ma zniżek studenckich. Bilet na zwiedzanie ważny jest przez 5 dni. Upoważnia do jednorazowego wstępu do wioski Orongo oraz kamieniołomów Rano Raraku i tylko w tych dwóch miejscach jest sprawdzany. Trzeba pamiętać jednak, że teoretycznie opłata dotyczy zwiedzania niemal całości dziedzictwa kulturowego Rapa Nui. Park Narodowy obejmuje spore obszary wyspy, w tym większość wybrzeży z wyjątkiem osady Hanga Roa, lotniska i półwyspu Poike. Poza obrębem parku znajdują się też obszary w centrum wyspy wokół wulkanu Terevaka (506 m n.p.m.) – najwyższego na Isla del Pascua. Bilety do parku można nabyć w kilku miejscach: na lotnisku, przy wejściu do Orongo oraz przy wejściu do Rano Raraku. W pozostałych częściach wyspy nie ma zwyczaju kontroli biletów i można je zwiedzać bez przeszkód, chociaż niewątpliwie lepiej nosić bilet ze sobą.

Jest kilka możliwości przemieszczania się po 163 kilometrach kwadratowych Isla del Pascua. Transport publiczny nie istnieje. Wycieczki organizujemy samodzielnie, wynajmując środek transportu albo wykupując zwiedzanie w kilku biurach oferujących usługi turystyczne. Do zakątków znajdujących się blisko Hanga Roa można zaplanować wycieczki piesze (wygasły wulkan Rano Kau z ceremonialną wioską Orongo). Zwiedzanie dalszych rejonów (Rano Raraku, Ahu Tongariki, Papa Vaka, Anakena) wiąże się z wynajęciem roweru, skutera lub samochodu terenowego. Uczestnicy obu opisywanych wypraw preferowali i stosowali samodzielną organizację zwiedzania. Nie wynajmowaliśmy też przewodników. Wystarczyła nam mapa.

W Hanga Roa jest kilka wypożyczalni oferujących wynajem sprzętu. Zdarza się również, że właściciele hoteli i kempingów mogą udostępnić własny środek lokomocji. Ceny wynajmu różnią się między sobą, stąd warto obejść kilka biur lub potargować się.

Przykładowe ceny wynajmu sprzętu (do ceny skutera i auta należy doliczyć koszty benzyny):

- Rower 10 000 pesos/dzień (20 \$)
- Skuter 20 000 pesos/dzień (40 \$)
- Auto dla 4–5 osób 40 000 pesos/dzień (80 \$)

Atrakcje Hanga Roa

Moai. Jest ich ponad 600 na całej Wyspie Wielkanocnej. Po przylocie, pierwsze posągi oglądamy już w Hanga Roa. Jeden z nich stoi samotnie nad Roa Bay. Około 1 km dalej na północ jest ich więcej. Tworzą zgrupowanie zwane Tahat Archeological Complex. Jest tam przypuszczalnie jedyny na wyspie moai, który „widzi”. Posągowi zrekonstruowano gałki oczne, zgodnie z historycznym przekazem, że moai takowe posiadały. Nieopodal znajduje się Muzeum (wstęp 1000 pesos lub 2 dolary, zniżka dla studentów 1/2 ceny). Warto zwiedzić tu skromną wystawę poświęconą historii oraz etnografii mieszkańców wyspy.

Plaża. Wyspa słynie z niedostępnych wybrzeży. W Hanga Roa jest tylko jedna niewielka plaża Roa Bay. Po przylocie w 2010 roku kąpaliśmy się na niej w towarzystwie wielkiego żółwia morskiego. Dwie inne plaże (Anakena i Ovahe) są odległe 20 km od Hanga Roa. To wszystkie możliwości kąpielowe.

Niewielka **przystań rybacka** znajduje się w zatoczce Ataranga, 1 km na południe od Roa Bay.

Festyny i święta są obchodzone przez mieszkańców dość często. Można posłuchać tradycyjnych śpiewów, a nawet zjeść serwowane za darmo jedzenie. Jest również kilka dyskotek. Praktycznie codziennie w różnych pubach odbywają się wieczory z pokazem męskich i damskich lokalnych tańców (naprawdę warto!). Wstęp na taką imprezę wynosi 20 \$–30 \$ od osoby, często w ramach opłaty serwują jedzenie i drinka.

Kościół katolicki jest jeden na całej wyspie. Regularnie odprowadzane są msze. Architektonicznie budynek ma formę przysadzistą „stodoły” bez wieży i nie wznosi się ponad niską zabudowę Hanga Roa (jedynym wyższym akcentem w krajobrazie miasteczka jest lotniskowa wieża kontroli lotów).

Dla surferów i nurków istnieje możliwość wypożyczenia sprzętu w kilku punktach serwisowych w Hanga Roa.

Trzy całonocne wycieczki po wyspie, pieszo lub rowerem

1. Wycieczka piesza do Orongo.

Trasa: Hanga Roa – Jaskinia Ludożerców (Ana Kai Tangata) – Orongo (i z powrotem). W obie strony łącznie 10 km. Z Hanga Roa wychodzimy na południe ścieżką wzdłuż wybrzeża. W jednej z zatok wyraźne zejście, z klifu na poziom morza, prowadzi do lawowej Jaskini Ludożerców. Dalej, opatrzona drogowskazem ścieżka prowadzi w górę wulkanicznego stożka Rano Kau na krawędź krateru (świetny punkt widokowy). Po kolejnym 1 km wędrówki koroną krateru osiągamy Orongo – ceremonialną wioskę dawnych mieszkańców Wyspy Wielkanocnej (punkt sprzedaży i kontroli biletów do Parque Nacional Rapa Nui). W Orongo są petroglify, kamienne domostwa przypominające ziemianki oraz zapierające dech widoki z 250-metrowego klifu: na wybrzeże Pacyfiku, wysepki Motu Nui, Motu Iti i skalny „ząb” Kao Kao oraz na bagniste wnętrze krateru Rano Kau. Aby urozmaicić powrót do Hanga Roa można udać się na wschód do Ahu Vinapu, ale wymaga to wydłużenia wycieczki co najmniej do 16 km oraz wędrowania na przełaj (konieczna mapa, pożądany kompas). Wprawdzie w Ahu Vinapu nie ma stojących moai (wszystkie leżą obalone), ale sam cokół (ahu) prezentuje niezwykle precyzyjną kamieniarkę łącznie podobną do inkaskich budowli w Peru. Z Ahu Vinapu do Hanga Roa wracamy po północnej stronie pasa startowego Mataveri Airport. Piesza wycieczka do Orongo jest niewątpliwie najciekawszym sposobem odwiedzenia tej części wyspy, ale nie jedynym. Do Orongo prowadzi też gruntowa droga jezdna.

2. Wycieczka rowerowa dookoła Wyspy Wielkanocnej (60 km).

Trasa: Hanga Roa – Ahu Vaihu – Akahanga – Rano Raraku – Ahu Tongariki – Papa Vaka – Te Pito O Te Henua – plaża Anakena – Hanga Roa. Większość trasy prowadzi asfaltem, jedynie odcinek od Ahu Tongariki do Anakeny jest gruntowy. W Vaihu i Akahanga oglądamy obalone moai oraz pozostałości dawnej osady. Największą atrakcją trasy jest wulkaniczne wzgórze Rano Raraku (punkt sprzedaży i kontroli biletów do Parque Nacional Rapa Nui). Na zboczu wulkanu stoją pionowo lub w lekkim pochyleniu liczne posągi moai. Ponadto w skalnym zboczu tkwią dziesiątki niewykończonych moai, które wiążą się z pracownią kamieniarską w tym miejscu, w której powstawały posągi. Rano Raraku należy do najbardziej malowniczych miejsc na wyspie. Nieco dalej dojeżdżamy do położonego na brzegu zatoki Ahu Tongariki. To imponujący szereg 15

moai stojących na jednym ahu (cokole) – najdłuższy taki szereg na wyspie. Od Ahu Tongariki gruntowa droga (wyboista i pylasta) odbija od wybrzeża, przecinając nasadę półwyspu Poike i doprowadza nas na północny brzeg. Papa Vaka daje nam kolejną okazję, by zsiąść z roweru i pospacerować pośród głazów pokrytych petroglifami.

Około 1 km dalej oglądamy Te Pito O Te Henua. Idealnie zaokrąglony głaz otoczony czterema mniejszymi kamiennymi „kulkami”. Miejsce to dawni Rapanujczycy uważali ponoć za środek świata. Z radością witamy ponowny wjazd na asfalt, krótko przed Anakeną – największą i najładniejszą plażą Wyspy Wielkanocnej. Na plażę w Anakenie składa się spora połać białego piasku, gaj palmowy oraz Ahu Nau Nau – rzędek moai, których część ma kapelusze zwane „pukao”. Podczas jednogodzinnej przerwy w Anakenie kąpiemy się w oceanie. Ostatni 19-kilometrowy odcinek asfaltowej drogi prowadzi już do Hanga Roa, ale, niestety, przez środek wyspy, gdzie wznosi się na 200 metrów nad poziom morza. Odświeżający efekt kąpieli w Pacyfiku zostaje szybko zniweczony w trakcie mozolnego podjazdu.

Cała trasa rowerowa wraz ze zwiedzaniem i postojami zajęła nam około 12 godzin. Zakończyliśmy ją tuż przed zmrokiem około godziny 21.00. Warto wyjechać jak najwcześniej, aby dłużej pobyc na plaży w Anakenie. Należy też zabrać prowiant i koniecznie wodę. Budki małej gastronomii są w Rano Raraku i Anakenie. Proponowaną wycieczkę można odbyć również w przeciwnym kierunku, ale plażowanie wypadnie wtedy w jej początkowej fazie. Natomiast jeśli posłużyć się skuterem lub samochodem, to na pobyt w Anakenie może nam zostać nawet pół dnia.

Rowerowa wycieczka wokół Wyspy Wielkanocnej odbyła się podczas obu opisywanych wypraw. Atrakcyjność tej trasy stawia ją w rzędzie pierwszoplanowych celów (nie do pominięcia) w trakcie pobytu na Rapa Nui.

3. Wycieczka rowerowa do Ahu Akivi (20 km).

Trasa: Hanga Roa – Ana Kakenga – Ana Te Pahu – Ahu Akivi – Hanga Roa. Większość trasy wiedzie drogą gruntową, z wyjątkiem końcowego 4-kilometrowego odcinka.

Wyjeżdżamy z Hanga Roa, mijając Tahat Archeological Complex. Wyboista i pylasta droga wzdłuż zachodniego wybrzeża prowadzi nas na północ. Spotkania z jakimkolwiek pojazdem w ruchu powodują, że jesteśmy porządnie okurzeni. Na szczęście taka mijanka czy wyprzedzanie zdarza się rzadko. Nie tracimy więc determinacji, aby kilkakrotnie oddalić się od drogi bądź zjechać na jej nawietrzną stronę. Wybrzeże ma skalisty, klifowy charakter. U podstawy klifu występują dość licznie jaskinie. Zwiedzamy jedną z nich (Ana Kakenga), do której prowadzi oznaczone dojście. Po 5 km od Hanga Roa droga skręca w głąb wyspy i zaczyna się wznosić. Kolejna jaskinia – Ana Te Pahu – jest oddalona od wybrzeża i ze względu na kępę bananowców przy otworze zwana jest popularnie Banana Cave. Jaskinia jest tunelem lawowym z dwoma dużymi otworami na obu krańcach. Dzięki temu można ją zwiedzić bez latarki, chociaż niewątpliwie dodatkowe światło elektryczne jest przydatne. Zwiedzanie jaskiń Wyspy Wielkanocnej jest bezpłatne, ale też nie ma w nich żadnych turystycznych udogodnień, a geologia wyklucza istnienie jakiegokolwiek szaty naciekowej. Główną atrakcją dnia jest Ahu Akivi – cokół z siedmioma moai, o tyle nietypowy, że zlokalizowany poza wybrzeżem, a moai zwrócone są w kierunku oceanu. Po kolejnych 5 km docieramy do asfaltowej drogi prowadzącej z Anakeny. Stąd pozostaje już zjechać do Hanga Roa lub poprzedzić to dwukilometrowym wypadem (tam i z powrotem) do Puna Pau – kamieniołomu kapeluszy „pukao”.

Czas trwania wycieczki wynosił 7 godzin. Pozostałą część dnia wykorzystaliśmy na wypoczynek.

Ceny, jedzenie i pamiątki

Z racji położenia odległego od stałego lądu i wysp, ceny na Rapa Nui są wysokie. Związane jest to przede wszystkim z koniecznością dostarczania niemal całego zaopatrzenia samolotami. W Hanga Roa jest kilka supermarketów oferujących podstawowe produkty żywnościowe. Jeśli nasz hotel lub kemping wyposażony jest w kuchnię, jedzenie można nabyć i gotować samemu (jest to najtańsza opcja). Względem cen żywności do relatywnie tanich produktów należą alkohol i papierosy, których na Wyspie Wielkanocnej nie brakuje.

W Hanga Roa znajduje się kilkanaście restauracji i pubów, w których można zjeść obiad i wypić piwo. Przeciętnie za pełny posiłek w restauracji zapłacimy około 20 \$, do tego napoje ok. 3–4 \$ za 0,3 l. Warto jednak zjeść chociaż raz świeżą rybę lub inne owoce morza, których połów odbywa się w okolicy wyspy. Przykład: danie rybne (merluza w sosie czosnkowym) z piwem i kawą w knajpce przy plaży w Hanga Roa to koszt 22 \$.

Pamiątki oferowane są przy głównej ulicy biegnącej przez centrum Hanga Roa oraz w zadaszonym targowisku skrywającym kilkanaście stoisk z najrozmaitszymi wyrobami. W stosunku do ogólnie wysokich cen na wyspie zakup prezentów nie jest zbyt drogi.

Przykładowe ceny żywności w sklepach w 2012 r. (wybrane produkty)

- Woda niegazowana 1,5 l. – 3–4 \$
- Coca Cola 1,5 l. – ok. 3 \$
- Wino w kartonie 1 l. – od 3 \$
- Wino w butelce 0,75 l. – od 4 \$
- Piwo puszka 0,33 – 2–4 \$
- Papierosy – 3 \$
- Pieczywo – 2–5 \$
- Banany 1 kg – ok. 2–2,5 \$
- Soki do rozpuszczania w wodzie (saszetka) – 1 \$
- Makaron 500 g. – 3 \$
- Przykładowe ceny pamiątek:
- Posąg Moai – 4 \$
- Koszulki z nadrukami z wyspy – od 6 \$

Wyspa Wielkanocna wprawia nowego przybysza w oszołomienie. Zawdzięcza to przede wszystkim dziedzictwu kulturowemu, którego najefektowniejszym wyrazem są monumentalne posągi moai rozrzucone po całym terenie. Oko turysty cieszy również przyroda – otwarte przestrzenie, wygasłe wulkany, jaskinie i wszechobecny widok na ocean. Mieszkańcy Rapa Nui, identyfikujący się etnicznie raczej z Polinezyjczykami niż Chilijczykami, są otwarci na przybywający do nich świat. Ich życzliwość i zawsze pomocna dłoń sprawiają, iż pobyt na wyspie staje się wielką przyjemnością – również towarzyską. Pomimo wysokich cen, na które po prostu trzeba się przygotować, można w odpowiedni sposób zagospodarować budżet tak, aby sam kilkudniowy pobyt nie przekroczył 200 \$. Warto jednak wydać choćby odrobinę więcej, aby móc zasmakować przynajmniej w części dodatkowych atrakcji dostępnych na wyspie.

Jan Komorowski

Republika Zielonego Przylądka – wyspy „no stress”



Informacje ogólne

Trasa (wyspy): Boa Vista – Sao Nicolau – San Vicente – Santo Antao – Santiago – Boa Vista

Termin podróży: 6–27 lutego 2013

Uczestnicy: 2 osoby

Informacje praktyczne

Przelot

Frankfurt-Boa Vista-Frankfurt (w obie strony krótkie przesiadki w Las Palmas)

Linie lotnicze: Tuifly.com

Przewodnik: Bradt „Cape Verde”, wydanie z czerwca 2011

Pieniądze

Escudo (1esc = 100 centavos). Kurs względem euro jest mniej więcej wszędzie na wyspach stały i wynosi ok. 1 EUR = 110 esc. Pieniądze można wymieniać w licznych placówkach bankowych, przy których najczęściej zlokalizowane są także bankomaty. Płatność kartą jest w zasadzie niemożliwa do realizacji, poza np. dużymi biurami podróży czy w oddziałach linii lotniczej TACV (nie wszystkich). Warto wspomnieć, że na Cabo inflacja jest bardzo niska (szczególnie, jak na Afrykę), wobec czego podane niżej ceny odpowiadały mniej więcej tym z przewodnika napisanego 1,5 roku wcześniej.

Język

Urzędowym językiem jest portugalski, jednak częściej i chętniej miejscowi posługują się kreolskim (nieco innym na wyspach Zawietrznych i Podwietrznych). Zaskakująco popularny jest język francuski. Można też czasem dogadać się w języku angielskim i hiszpańskim.

Wyżywienie

Jedzenie na wyspach jest raczej monotonne i opiera się głównie na fasoli oraz ryżu, w mniejszym stopniu także na rybach. Klasyczne stragany z jedzeniem „ulicznym” są

spotykane sporadycznie i w zasadzie dotyczą jedynie Prai (stolicy) oraz okazjonalnych inicjatyw polegających na wyciągnięciu grilla na ulicę i sprzedawaniu grillowanego kurczaka/ryb przy okazji świąt lub imprez masowych. My korzystaliśmy zazwyczaj z niedrogich knajpek, które funkcjonują w większości miasteczek. Danie dnia można otrzymać w cenie od 150 esc w górę, a stanowi je np. narodowa potrawa Cabo Verde, czyli feijoada (danie oparte, jakże by inaczej, na fasoli, czasem z dodatkiem mięsa). W przedziale 300–600 esc można dostać bardziej wyszukane potrawy, takie jak pizza, grillowane ryby, kurczak z warzywami itp. Należy podkreślić, że mieszkańcy wysp lubią i potrafią gotować, tak, że nawet najprostsza potrawa jest, po prostu, smaczna. Chcąc wyżyć się samemu, lub zaprowadzić na wyjście w góry, możemy skorzystać z niezłe zaopatrzonych sklepów spożywczych (często nieoznaczonych szyldem), gdzie w rozsądnych cenach można nabyć warzywa, owoce, napoje czy doskonałe i szeroko dostępne świeże serki kozie.

Przy okazji trzeba wspomnieć o narodowym trunku wyspiarzy, czyli grogu. Jest on destylowany z powszechnie uprawianej trzciny cukrowej chałupniczymi metodami na całym archipelagu i dostępny w każdej, nawet najmniejszej wiosce. Zazwyczaj równolegle z grogiem otrzymać można ponch, czyli grog z dodatkiem zaprawy owocowej. W smaku doskonałe!

Przykładowe ceny:

- kilogram kiwi/mandarynek/pomarańczy – 350 esc
- woda 1,5 l – od 60 do 100 esc
- woda 5 l – 150–200 esc
- krakersy (doskonałe) – 60–80 esc
- lokalna konserwa rybna (świetna) – 100–120 esc
- serek kozi, ok. 300 gram – 200–250 esc
- kielonek grogu – od 30 esc
- 100 ml ponchu – 80–100 esc
- domowe ciasto kokosowe – 100 esc za 300 gram
- dżem domowy z guavy – 250 esc za 400 gram
- papaja – od 100 esc
- litr mleka – ok. 100 esc
- kilogram świetnej holenderskiej goudy – 750 esc

Noclegi

Infrastruktura hotelowa jest zaskakująco bogata. Można wybierać w hotelach, poczynając od 5* (na Sal i Boa Vista), poprzez liczne przywoicie wyposażone i czyste hoteliki i guesthousy aż do zapuszczonych postkolonialnych przybytków. Ceny tych pośrednich opcji to od 18 do 30 EUR (najczęściej około 20 EUR) za 2-os. pokój z łazienką, zazwyczaj też ze śniadaniem.

Transport

Komunikacja pomiędzy wyspami: Jest to podstawowy logistyczny problem na Cabo Verde. Teoretycznie wszystkie wyspy są obsługiwane przez statki pasażerskie lub statki cargo zabierające przy okazji pasażerów, jednak kursy są ustalane mniej więcej raz na 2 tygodnie i bardzo trudno na nich opierać plan podróży, bo statki na wiele wysp zawijają jedynie, jeśli mają akurat do zabrania/zostawienia tam jakieś cargo. Regularne połączenia promowe istnieją pomiędzy wyspami Sao Vicente i Santo Antao

(od 2 do 4 kursów dziennie, dwa promy, ok. 1,5 h płynięcia) oraz pomiędzy wyspą Santiago a Fogo i Brava (nowoczesny katamaran, tzw. „speed ferry”, rozkład trzeba sprawdzać na bieżąco, bo często ulega zmianom). Należy pamiętać, że wody Atlantyku są w okolicach wysp zazwyczaj dość wzburzone, a podróż niewielką i starą łodzią cargo z miejscem dla pasażerów jest bardzo powolna i męcząca. Przykładowo, rejs z Sao Nicolau do Sao Vicente trwa, w przypadku niewielkiej łodzi (np. Ribeira de Paul), w zależności od warunków na morzu, od 6 do 9 godzin.

Poza Santo Antao oraz Brava każda wyspa ma lotnisko obsługiwane przez aktualnie jedynego przewoźnika świadczącego przewozy pomiędzy wyspami, czyli TACV. Bilety można kupić przez Internet, w dowolnym biurze turystycznym lub w przedstawicielstwie linii lotniczej. Bilety warto kupować z wyprzedzeniem – o miejsca, szczególnie w okresie świąt czy karnawału, może być bardzo trudno. Samoloty są względnie nowe, loty krótkie i punktualne. Lotniska są położone zazwyczaj blisko większych miejscowości, a transport zapewniają alugueri i zwyczajne taksówki.

Komunikacja w obrębie każdej wyspy: Na Cabo królują „aluguer”, czyli zbiorcze taksówki. Są to zazwyczaj całkiem nowe vany Toyoty lub wszelakiej maści pikapy, w których pasażerowie siedzą na ławeczkach umiejscowionych w otwartej pacy pojazdu. Takich aluguerów jest zatrzęsienie i zazwyczaj jest tak, że one znajdują potrzebną podwozki klienta znacznie szybciej, niż klient zacznie ich szukać. W zależności od wyspy i kierunku czasem wyjeżdżają na daną trasę tylko rano, a wracają po południu, czasem są to regularne kursy w mniej więcej równych odstępach czasu. Warto podkreślić, że ceny przejazdów zdają się być identyczne dla miejscowych i turystów, co nie wszędzie na świecie jest takie oczywiste.

Przykładowe ceny:

- Prom Mindelo (Sao Vicente) – Porto Novo (Santo Antao) – 770 esc
- Statek z Tarrafal (Sao Nicolau) do Mindelo (Santo Antao) – 1800 esc
- Samolot Boa Vista-Sao Nicolau – ok. 90 EUR/os.
- Samolot Mindelo-Praia – ok.90 EUR/os.
- Samolot Praia-Boa Vista – ok.50 EUR/os.
- Taksówka z lotniska do Sal Rei (Boa Vista) – 700 esc
- Aluguer Tarrafal-Ribeira Prata – 240 esc

WYSPA PO WYSPIE

Boa Vista

Dla wielu indywidualnych turystów będzie to wyspa nie do ominięcia z racji tego, że większość tanich lotów z Europy przylatuje właśnie na miejscowe lotnisko (oraz na wyspę Sal). Boa Vista jest jedną z trzech wysp archipelagu – pozostałe to Sal i Maio – o charakterze pustynnym. Przekłada się to na surowszy klimat niż na wyspach o typowo wulkanicznym krajobrazie – jest znacznie bardziej sucho, niemal całkowicie płasko, a linia brzegowa to kilometry przepięknych, szerokich piaszczystych plaż. Wyspa jest rajem dla miłośników kitesurfingu i windsurfingu ze względu na stałe mocne wiatry, więcej szczególnie korzystnie w okresie zimowym. Znakomita większość turystów przylatujących na Boa Vista kwaterowana jest w hotelach 4* i 5* w ramach wykupionych pobytów, pozostali (indywidualni) turyści przeważnie znajdują nocleg w jedynej większej miejscowości na wyspie – Sal Rei.

Boa Vista nie oferuje wielu atrakcji. W zasięgu spaceru z Sal Rei są piękne plaże, jednak z kąpielą trzeba uważać ze względu na silne prądy i fale. Samo miasteczko ma nieco postkolonialnego uroku, jednak nie tyle, ile miejscowości na pozostałych wyspach. Tu też jednak na głównym placu miasta dostępny jest darmowy Internet (WiFi), co niewątpliwie stanowi miłą niespodziankę (dość niski poziom rozwoju Internetu na Cabo).

Noclegi:

Residencial Bom Sossego, za kościołem stojącym przy głównym placu, 2700 esc za pokój 2-os. bez łazienki, ze śniadaniem. Czysto i przyjemnie, a właściciel, Salso, jako marynarz, był kilkakrotnie w Polsce.

Sao Nicolau

Wyspa odwiedzana dość rzadko, chociaż skrywa kilka prawdziwych perełek. Już podejście do lądowania wyraźnie pozwala dostrzec, że mamy do czynienia z klasyczną wyspą wulkaniczną – dowodem na to są postrzępione granie wysokich gór (sięgających ponad 1300 m n.p.m.) i krater wygasłego wulkanu znajdujący się tuż obok ścieżki podejścia na miejscowe lądowisko. Z miniaturowego lotniska do stolicy wyspy – miejscowości Ribeira Brava – prowadzi piękna, świeżo wyasfaltowana szosa. W tym miejscu należy sprostować całkowicie błędne informacje, jakie podaje poradnik „Polak za granicą” MSZ, mówiący o tym, że w całej Republice Zielonego Przylądka jedyną asfaltową drogą jest ta prowadząca z lotniska do stolicy wyspy – miasta Praia. Otóż pewnie tak było, ale w latach 60. Aktualnie każda wyspa może pochwalić się co najmniej przyzwoitą siecią dobrych, asfaltowych dróg, a także dziesiątkami kilometrów szos brukowanych, będących atrakcją samą w sobie.

Ribeira Brava jest najbardziej urokliwą miejscowością, jaką mieliśmy okazję odwiedzić na Cabo. Położona w szerokiej dolinie rzeki spływającej z Monte Gordo (1312 m n.p.m.), frontem zwrócona w stronę odległego o kilka kilometrów oceanu, skąpana w kwiatkach – jednym słowem kwintesencja Cabo Verde. Warto planować tutaj wizytę w okresie karnawału, który właśnie na wyspach Zielonego Przylądka zachował swój oryginalny, nieskomercjalizowany charakter, a jego najpiękniejszym wyrazem jest zabawa w Ribeira Brava. W przeciwieństwie do kulturalnej stolicy wysp – miasta Mindelo – brak jest tutaj tłumów turystów, nie ma fotoreporterów i dziennikarzy i nie organizuje się głośnych imprez towarzyszących. Na karnawał do Ribeira Brava przybywają krewni z diaspor rozsiadanych po całym świecie – ludność mieszkająca na wyspach liczy około 0,5 mln, a blisko 2 mln mieszka za granicą! Przebywając w czasie karnawału w Ribeira Brava, nie sposób nie zauważyć, że w przygotowaniach do niego bierze udział całe miasteczko i rozsiane wokół wioski. Kilka szkół tańca przez 4 dni (w piątek – dzieci, w sobotę, niedzielę i wtorek – wszyscy) będzie paradowało uliczkami miasteczka na ogromnych platformach, przystrojonych w wybrany na dany rok motyw. Zabawa czasem zaczyna się o 23, czasem o 4 rano, ale zawsze trwa do późnego poranka. Nocne godziny nie zniechęcają mieszkańców do czekania na głównym placu przez wiele godzin, gdzie obrazki przysypiającej babci z wnukami na kolanach i dziadkiem pociągającym dyskretnie grog gdzieś obok, są powszechne.

Poza atrakcjami swojej stolicy Sao Nicolau oferuje bardzo piękne trasy trekkingowe. Kilkogodzinny trekking można zrobić, idąc z Ribeira Brava do wioski Cachaco (około 700m przewyższenia), by następnie wrócić do Ribeira Brava jedną ze stromych

ścieżek prowadzących w dół doliny. Można także przejść się urokliwą brukowaną drogą nad oceanem z Estancia de Bras do Ribeira Funda lub, w zachodniej części wyspy, z Praia Branca do Ribeira da Prata. Możliwości jest bardzo dużo!

Noclegi:

Ribeira Brava – „Pensao Jardim”, 3600 esc za 2-os. pokój z łazienką i śniadaniem (w okresie karnawału).

Tarrafal – „Residencial Nature”, 2000 esc za 2-os. pokój z łazienką.

Sao Vicente

Sao Vicente poznaliśmy tylko z jednej, za to chyba najciekawszej strony, czyli stolicy wyspy – Mindelo. Jest to, jak na warunki Cabo Verde, metropolia, posiadająca około 80 tysięcy mieszkańców i niekwestionowany status kulturalnej stolicy wysp. To tu urodziła się, mieszkała przez większą część życia i tworzyła najsłynniejsza artystka wysp – Cesaria Evora. Mindelo jest więc prześiknięte nostalgicznymi nutami i klimatem *morny* granej w licznych tutejszych kawiarniach i barach. Miasto, rozłożone nad piękną, naturalną zatoką stanowiącą od połowy XIX wieku ważny port handlowy, robi bardzo przyjemne wrażenie miejsca leniwie wygrzewającego się w promieniach afrykańskiego słońca. To właśnie w Mindelo zobaczyć można najwięcej przykładów niezwykle uroczej postkolonialnej architektury, stanowiącej ogromny kontrast do widoku szarych slumów otaczających nieco większą od Mindelo Praia. Rodzinne miasto Cesarii Evory ma też niezaprzeczalne atuty logistyczne – na leżącą po drugiej stronie przesmyku wyspę Santo Antao kursują dwa promy (cztery razy dziennie), a miejscowe lotnisko stanowi ważny hub dla linii lotniczej TACV.

Noclegi:

Mindelo – Pensao „Chave de Oro” – 2100 esc za 2-os. pokój bez łazienki i śniadania

Santo Antao

Wysiadając w Porto Novo z promu, który przywiózł nas z Mindelo, trudno było oprzeć się wrażeniu, że Santo Antao stanowi swego rodzaju magnes dla większości indywidualnych turystów odwiedzających Cabo Verde. Już sam widok gór wypiętrzonych na wysokość blisko 2000 m n.p.m., spływających łagodnymi, długimi i bardzo wysuszonymi stokami do oceanu, oglądany w magicznym afrykańskim świetle rozproszonym drobinami pyłu znad Sahary, robi porażające wrażenie i obiecuje bardzo wiele. Santo Antao, będąc drugą największą wyspą Republiki Zielonego Przylądka, jest jednocześnie najciekawszą trekkingowo, posiadając dziesiątki szlaków pieszych biegnących nad samym oceanem, z głębokich dolin (ribeiry) w stronę wysokiego wnętrza wyspy lub przecinających położone na wysokości 1200–1600 m n.p.m. hale porośnięte trawą i otoczone malowniczymi drzewami pinii. Niewątpliwą atrakcją jest także stara droga, która przez dziesięciolecia łączyła Porto Novo z położoną po drugiej stronie gór Ribeira Grande. Wybrukowana niewielkimi wulkanicznymi kamieniami, licząca 35 kilometrów droga wspina się z poziomu oceanu aż na wysokość 1500 m n.p.m., by za chwilę znów opaść do Atlantyku. Widoki robią nieprawdopodobne wrażenie, a wspinająca się stromo nitka szosy w kilku miejscach biegnie wąskimi półkami skalnymi o szerokości kilku metrów. Absolutnie trzeba ją przejechać choć raz, a najłatwiej zrobić to rano, gdy liczne alugery kursują nią pomiędzy Porto Novo a Ribeira Grande. Złapanie okazji powrotnej po południu może być zaskakująco trudne, lepiej więc za-

planować sobie spacer w dół jedną z monumentalnych dolin, np. Ribeira Torre lub Ribeira Grande, zaglądając po drodze do starej kaldery wulkanu nieopodal Faja de Cima. Spływające przez piniowy las prosto do kaldery chmury będą niezapomnianym widokiem dla każdego.

Będąc na Santo Antao i chcąc intensywnie zwiedzać pieszo miejscowe góry, warto zaopatrzyć się w doskonałą mapę niemieckiego wydawnictwa Goldstadt. Można ją kupić w Mindelo lub Ribeira Grande.

Noclegi:

Ponta do Sol – „A Beira Mar”, 2500 esc za 2-os. pokój z łazienką.

Santiago

Lotnisko w Praia nie wskazuje może, że mamy do czynienia z głównym portem lotniczym kraju, jednak sąsiedztwo dużego miasta jest wyczuwalne zaraz po wyjściu z terminalu. Mnogość taksówek i naganiaczy umiarkowanie pasuje do tego, co spotkać można na innych wyspach Cabo; jednak co stolica, to stolica. Praia zdecydowanie nie robi pozytywnego wrażenia – składa się głównie z biedadomków, jest dość brudno, raczej nieprzyjemnie, a na pewno bardzo drogo, jeśli chodzi o noclegi. Gdy tylko godzina przylotu pozwala, warto wybrać się od razu do Cidade Velha położonego 20 minut jazdy mikrobusem od Prai. Tam, wśród ruin pojezuickich zabudowań i kościołów, znaleźć można spokojne klimaty znane z innych wysp archipelagu. Znaleźć też można bardzo przyzwoity i przyjemny oraz, co ważne, o połowę tańszy nocleg niż w Prai.

Wyspa Santiago skrywa jednak znacznie ciekawsze miejsca. Około 2–2,5 godz. jazdy z Prai przez interior leży Tarrafal – uroczy wypoczynkowy kurorcik posiadający to, co na Cabo najlepsze – sympatyczną atmosferę, dobre jedzenie, tanie noclegi, piękne położenie i wreszcie uroczą plażę, na której mogą się kąpać nawet dzieci (nie ma niebezpiecznych prądów). Tarrafal leży u stóp parku narodowego Serra Malagueta, który, dzięki zagranicznym dotacjom, stanowi modelowy wzór w zakresie oznaczeń szlaków, miejsc kempingowych, dostępnych map itp. Ze szlaków parku roztacza się kapitalny widok na leżącą około 50 kilometrów na zachód wyspę – wulkan Fogo wznoszący się na wysokość blisko 3000 m n.p.m. Przy dobrej pogodzie dostrzeżemy także leżącą zdecydowanie poza turystycznymi szlakami wysepkę Maio.

Noclegi:

Praia – Residencial „Sol Atlantico”, 3300 esc za 2-os. pokój bez łazienki, ze śniadaniem.

Cidade Velha – Residencial Henri Borges, 1500 esc za 2-os. pokój bez łazienki, ze śniadaniem.

Tarrafal – Pensao „Mille Nuits”, 2000 esc za 2-os. pokój z łazienką i śniadaniem.

Podsumowanie

Mimo 3-tygodniowego pobytu na odwiedzenie pozostałych wysp nie wystarczyło nam czasu. Zresztą nawet te, które odwiedziliśmy, skrywały jeszcze bardzo wiele atrakcji, których nie zdążyliśmy doświadczyć. Cabo Verde pozostaje nadal destynacją nie zadeptaną przez masową turystykę, z niezepsutymi przez pieniądze turystów tubylcami. Wyspy kuszą niezliczonymi szlakami pieszymi, pięknymi plażami, pewną pogodą i ciekawą kulturą. A przede wszystkim, będąc na Cabo, bardzo łatwo zarazić się podejściem do życia ich mieszkańców, streszczającym się w dwóch słowach – NO STRESS!

Sri Lanka – krótka wizyta w tropikalnym raju



Łzę Indii, jak niektórzy nazywają tę rajska, tropikalną wyspę odwiedziłem na przełomie marca i kwietnia 2012 roku. Jak zwykle czasu było niewiele, ale postanowiłem polecieć na te kilka dni, aby spojrzeć jak Tamilowie i Syngalezi żyją na tym stosunkowo niewielkim kawałku ziemi. Był koniec pory suchej, więc wydawało się, że to czas idealny na wizytę i faktycznie przez cały tydzień nie widzieliśmy ani kropli deszczu. Tylko słońce i gwiazdy. Głównym celem wyjazdu było zobaczenie największych zwierząt świata – płetwali błękitnych. Próbowałem wielokrotnie w różnych miejscach globu ujrzeć te kolosy, ale nigdy do tej pory nie udało mi się to. Sri Lanka, przynajmniej z relacji innych, miała być wymarzonym miejscem na spotkanie z ogromnymi wielorybami.

Termin:

28 marca – 5 kwietnia 2012 (był to koniec pory suchej)

Trasa:

Początkowo planowaliśmy objechać wyspę dookoła, ale nawet przy bardzo dużym tempie przemieszczania się tydzień to zdecydowanie za mało. Skupiliśmy się więc na kilku miejscach, które przyciągnęły naszą uwagę:

Colombo – Galle – Weligama – Mirissa – Yala National Park (Tissamaharama) – Ella – Kandy – Dambulla – Sigiriya – Polonnaruwa – Anuradhapura – Colombo

Uczestnicy:

2 osoby (ja i kolega Maciek)

Przelot:

Polecieliśmy liniami Etihad (www.etihadairways.com) za 500 euro w dwie strony z Berlina do Colombo przez Abu Dhabi. Do Berlina dostaliśmy się własnym autem z Wrocławia. Przy berlińskim lotnisku Tegel zostawiliśmy samochód na parkingi oddalonym o kilka kilometrów od terminala (www.mcparking.de/pl), ale z bezpłatnym dowozem. Koszt to niecałe 40 euro za tydzień.

Waluta:

Oficjalną jednostką płatniczą na Sri Lance jest lankijska rupia. Kurs, w czasie kiedy przebywaliśmy na wyspie, wynosił: 1USD = 127 rupii, 1GBP = 207 rupii.

Wizy:

Władze Sri Lanki podjęły decyzję o wprowadzeniu z dniem 1 stycznia 2012 r. Electronic Travel Authorization (ETA), który jest wymagany dla wszystkich osób przybywających na Sri Lankę (więcej informacji można uzyskać na stronie: <http://www.eta.gov.lk>).

Opłata za wydanie wizy w systemie ETA wynosi 20 USD. Wiza może zostać także wydana po przylocie na lotnisku, co wiąże się z opłatą 25 USD.

Wymagany okres ważności paszportu przy wjeździe wynosi minimum 6 miesięcy ponad termin planowanego zakończenia pobytu na Sri Lance. Konieczne jest posiadanie biletu powrotnego.

Bezpieczeństwo:

Sri Lanka jest już dzisiaj bezpiecznym krajem. Jeszcze niedawno niedostępna północ była poza zasięgiem zwykłych podróżników. Dzisiaj w region Jaffny można się wybrać bez obawy o swoje bezpieczeństwo. Jedynym zagrożeniem mogą być kieszonkowcy w zatłoczonych miejscach (choć jest ich tutaj relatywnie niewiele) oraz niekontrolowany, chaotyczny ruch na drogach.

Sri Lanka jest wyspą o stosunkowo małym ryzyku zachorowania na malarię, ale coraz większym zagrożeniem staje się denga. Polecam skorzystać przed wyjazdem ze stron who.int oraz porady lekarza.

Transport:

Ze względu na ograniczenia czasowe często korzystaliśmy z taksówek, nawet na dłuższych dystansach. Nie są one bardzo drogie, a pozwalają zaoszczędzić wiele godzin spędzonych w powolnych, zatrzymujących się w każdej wiosce autobusach albo minibusach. Na trasie Ella – Kandy kursuje pociąg, którym jechaliśmy ze względu na wspaniałe widoki. Jest to jednak bardzo czasochłonne rozwiązanie. Skład porusza się z prędkością maksymalnie 40–60 km/h.

Na niektórych odcinkach np. Mirissa – Tissa albo Anuradhapura – Negombo wybieraliśmy duże autobusy. Jeżeli nie ma wielu zabudowań po drodze, to podróż przebiega w miarę sprawnie, ale i tak trzeba liczyć, że w ciągu godziny nie pokona się więcej niż 50–60 kilometrów.

Przewodniki i literatura:

Sri Lanka – Lonely Planet 2009

The Rough Guide to Sri Lanka – Thomas Gavin 2009

DZIENNIK PODRÓŻY:**Dzień 1**

Po kilku godzinach nocnego lotu z Emiratów Arabskich znaleźliśmy się na płycie stołecznego lotniska imienia Solomona Bandaranaike. Szczęśliwie dla nas, formalności nie trwały zbyt długo i po odebraniu bagażu opuściliśmy terminal, gdzie oprócz małego tłumu taksówkarzy przywitała nas odpowiednia temperatura i wilgotność. Witamy w tropikach! Planowaliśmy dotrzeć do Mirissy, zatrzymując się w Galle na kilka godzin, ale korzystając z lokalnych autobusów, mielibyśmy utrudnione zadanie, aby dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Taksówkarze żądali kwot dochodzących do 100 dolarów, ale po negocjacjach i znalezieniu jednego współpasażera ruszyliśmy na południe wyspy,

placąc ostatecznie 85 USD za cały kurs (napotkany Izraelczyk zapłacił 20 dolarów za podwiezienie go do jednej z nadmorskich miejscowości przed Galle). Wyszło więc po 32,50 USD na każdego z nas i dodatkowo, oprócz Galle, mieliśmy jeszcze zaplanowany w cenie postój w okolicach Weligama, aby móc ujrzeć rybaków łowiących z wysokich szczydeł.

Mirissa, w przeciwieństwie do ciekawego, kolonialnego Galle, okazała się być małą wioską z niskimi zabudowaniami rozlokowanymi po obu stronach ruchliwej krajowej drogi A2 prowadzącej na wschód wyspy do miasta Matara. Zatrzymaliśmy się w Ocean Moon Hotel, gdzie dwójka z wentylatorem i dwoma osobnymi łózkami i łazienką kosztowała 3000 rupii. W hoteliku, położonym przy samej plaży, znajdowała się mała restauracja ze stolikami i krzesłami ustawionymi na piasku i cenami przyjaznymi naszemu portfelom. Kanapka na śniadanie kosztowała 100 rupii, duża ryba z frytkami 500 rupii, a zimne, duże piwo oddano nam do dyspozycji za 250.

Wieczorem zaczęliśmy rozglądać się za właścicielem łodzi, który mógłby nas zabrać jutro rano na fotograficzny połów wielorybów. Firm jest kilka lub nawet kilkanaście, ale standard obsługi i jakość usług znacznie się różni. Niektóre łodzie zabierają dziesiątki pasażerów, często przekrzykujących się w czasie rejsu, uniemożliwiających łatwe fotografowanie. Łodzie używane przez takie firmy są większe, wolniejsze i nie nadążają za wielkimi ssakami zmieniającymi kierunek płynięcia.

Podjęliśmy decyzję, że popłyniemy mniejszą motorówką z hotelu Palm Villa. Jak będziecie na miejscu, pytajcie o pana o pseudonimie lub imieniu Babi.

Dzień 2

Zaraz po świcie, gdy zjedliśmy śniadanie (500 rupii), ruszyliśmy na brzeg, gdzie przycumowana była motorówka. Było nas czworo. Maciek, ja i para Kanadyjczyków. Wszyscy płaciliśmy po 5000 rupii za 3–4-godzinny rejs. Morze było spokojne, niebo lekko zachmurzone, a po niecałej godzinie pojawiły się pierwsze płetwale błękitne. Na to czekałem latami. Piękny, niezapomniany widok. Ogromne kolosy nurkując, wystawiały swoje potężne, szerokie na kilka metrów ogony.

Z Mirissy udaliśmy się do nieodległej Matary (100 rupii za bilet), gdzie przesiedliśmy się na kolejny autobus jadący do miejscowości Tissamaharama (180 rupii). Tissa to leżące przy Parku Narodowym Yala miasteczko z niewieloma atrakcjami dla podróżników. Z dworca autobusowego do wybranego hotelu dostaliśmy się motorówką za 100 rupii. W Travellers Home, gdzie zatrzymaliśmy się, dwuosobowy pokój z wentylatorem kosztował 1800 rupii, a mały bungalow – 2800 rupii. Wieczorem uzgodniliśmy z właścicielem warunki jutrzejszego całonocnego safari do Parku Yala. Można skorzystać z jednej z trzech opcji: safari 4-godzinne, 6-godzinne lub całonocne. Mimo dość wysokiej ceny (8500 za osobę) skusiliśmy się na opcję trzecią. Dwie wcześniejsze kosztowały odpowiednio 5500 i 6700 rupii. Po smacznej kolacji – makaron z warzywami za 300 rupii – poszliśmy spać.

Dzień 3

Wyruszyliśmy bardzo wcześnie – przed 5 rano. Było jeszcze ciemno, gdy nasz rozklekotany dżip pokonywał odcinek kilkudziesięciu kilometrów dzielących Tissę od bram parku. Gdy dojechalśmy na miejsce i załatwiliśmy formalności, zaczęło świtać. Chyba mieliśmy duże szczęście, gdy po przejechaniu niecałego kilometra ujrzeliśmy

cętkowane futro lamparta gdzieś wysoko na gałęzi. Wielki kot spał i ani myślał się ruszyć i obrócić przodem do kamery. Spędziliśmy blisko godzinę, wpatrując się w majestatycznego kota. Nie obudził się, niestety.

Rano widzieliśmy mnóstwo zwierząt. Krokodyle, szakale, słonie, bawoły, mangusty, guźce, jelenie, sępy, orły, czaple, zimorodki i ibisy – to tylko niektóre z nich. Między południem a godziną 16.00 niewiele się działo. Upał dawał się wszystkim we znaki i zwierzęta pochowały się w cieniu drzew. Dopiero wieczorem park się ożywił.

Podane wcześniej ceny za safari obejmowały kanapki i napoje na cały dzień pobytu w parku. O ciepłym posiłku musieliśmy jednak zapomnieć.

Dzień 4

Jak zwykle wstaliśmy wcześniej rano. To stało się już rytuałem, że najpóźniej o piątej byliśmy na nogach. Na dworcu autobusowym za 145 rupii kupiliśmy bilet do położonej w górach miejscowości Ella. Nie zamierzaliśmy tutaj spędzić nocy, ale dowiedzieliśmy się od spotkanych po drodze podróżników o jednym miejscu wartym odwiedzenia. To Hotel Ambiente, do którego za 300 rupii można dojechać tuk tukiem z dworca autobusowego albo ze stacji kolejowej. Jest pięknie położony na wzgórzu, a z hotelowego tarasu można podziwiać Przełęcz Ella, Wodospad Rawana i Mały Szczyt Adama, jedząc angielskie śniadanie z naleśnikiem za 1800 rupii lub smaczną kanapkę za 350 r.

Tym razem postanowiliśmy pojechać koleją. Bilet na drugą klasę do miejscowości Nanu Oya kosztował 60 rupii, a powolny skład z kilkoma wagonami docierał na miejsce po czterech godzinach, skąd można kontynuować podróż do Kandy. Woleliśmy jednak przyspieszyć trochę podróż i zobaczyć dodatkowo imponujący Wodospad Ramboda. Wynajętą taksówką (6000 rupii za dwie osoby) ruszyliśmy na północ. Gdy dotarliśmy do wodospadów, słońce chowało się już za horyzontem, ale widać było jeszcze ogromną kaskadę. Po zmroku dostaliśmy się do centrum Kandy, gdzie na jednym ze wzgórz otaczających centralnie położone jezioro o takiej samej nazwie ulokowaliśmy się w hoteliku Lakshmi za 2500 rupii za czystą dwójkę z łazienką i wiatrakiem.

Dzień 5

To pierwszy dzień, kiedy nie wyruszyliśmy żadnym środkiem lokomocji w dalszą drogę. Postanowiliśmy zostać w Kandy dwie noce. Przyzwyczajenie jednak wygrało i zaraz po piątej byłem już na nogach. Postanowiłem wykorzystać wolniejszy dzień, aby trochę pobiegać. Ze wzgórza łatwo przytruchtałem w dół do samego centrum. Po przebiegnięciu 6–7 kilometrów wokół jeziora i po okolicznych wzgórzach znalazłem się z powrotem w hotelu, zanim słońce wyszło na dobre. Śniadanie kosztowało 300 rupii, a duża pizza w Pizza Hut – 1600 za dwie osoby.

Do Kandy zawitaliśmy głównie po to, aby odwiedzić świątynię Świętego Zęba Buddy. Wstęp nie należał do tanich i kazano nam zapłacić 3000 rupii za osobę. Wieczorem zaś udaliśmy się zobaczyć tańce kandyjskie. Przyjemność ta to wydatek 500 rupii. Po spektaklu zawitaliśmy z powrotem w świątyni, aby móc brać udział w pudży.

Dzień 6

Tradycyjnie po piątej rano umówiony taksówkarz czekał na nas przed hotelem. Ustaliliśmy cenę 7500 rupii za kurs do Polonnaruwy przez Dambullę oraz Sigirię. Zanim słupek rtęci podniósł się do trzydziestu kilku stopni, byliśmy już przed wejściem

do kompleksu jaskiń w Dambulli. 3000 rupii zażądano od nas jako opłaty za wstęp. Spacer łącznie ze zwiedzaniem nie trwał więcej niż półtorej godziny. Ruszyliśmy do Sigiri. Tam za możliwość wdrapania się na szczyt skały do królewskich ogrodów trzeba było zapłacić aż 3600 rupii. Słońce podnosiło się coraz wyżej, a nam było coraz ciężiej pokonywać setki schodów prowadzących na górę. Widok wspaniały, turystów setki. Wczesnym popołudniem, około 13.00 dotarliśmy do Polonnaruwy, gdzie zatrzymaliśmy się w bardzo miłym hoteliku Gajaba Resthouse. Mała dwójka z wentylatorem kosztowała nas 2500 rupii, obiad w hotelowej restauracji – 350, a piwo 250 r. Wypożyczyliśmy rowery za 250 rupii i ruszyliśmy zobaczyć ruiny starożytnej stolicy. Wstęp pomniejszył nasze oszczędności o 3000 rupii za osobę. Było warto. Wieczór spędziliśmy w małym barze nad jeziorem Topa Wewa.

Dzień 7

Anuradhapura znajduje się o trzy godziny drogi od Polonnaruwy. Kierowca autobusu wystawił nam bilety za 143 rupie i zajęliśmy miejsca jak najbliżej przedniej części autobusu, aby widzieć jak najwięcej w trakcie jazdy. Nie były to, niestety, pierwsze siedzenia, gdyż te na Sri Lance są z reguły zarezerwowane dla mnichów buddyjskich. Pospółstwo siedzi dalej. W Anuradhapurze ulokowaliśmy się w eleganckim, odnowionym hotelu Milano. Klimatyzowany pokój z ciepłą wodą i telewizorem kosztował 3000 rupii, śniadanie 350–500, a spaghetti na obiad – 700 r. Wstęp do kompleksu ruin to wydatek 3000 rupii, a rowery, którymi wygodnie się przemieszczać pomiędzy dagobami i innymi ciekawymi miejscami to kolejne 300 rupii. Dzisiaj upał dał nam się we znaki. Pedalując prawie cały dzień w pełnym słońcu, położyliśmy się do łóżek wyczerpani.

Dzień 8

W końcu wypaliśmy się. Po ósmej rano małym tuk tukiem za 150 rupii popędziliśmy na dworzec autobusowy, skąd duży autobus zabrał nas trasą przez Puttalam do Negombo. Bilet kosztował 280 rupii. Miły kierowca kolejnego tuk tuka z uśmiechem na ustach, kasując 200 rupii, podwiózł nas na lotnisko, życząc bezpiecznego powrotu do domu.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

W ciągu ostatnich 15 lat Chad Pregracke wyciągnął z amerykańskich rzek ponad 67 tys. opon, 218 pralek, 19 traktorów, 12 wanien z hydromasażem, 4 fortepiany, 1000 lodówek i setki tysięcy innych mniejszych przedmiotów, których nie sposób policzyć. Przez dziewięć miesięcy w roku wraz ze swoją 12-osobową załogą mieszka na barce. Pływa po całym kraju, organizując społeczne wyławianie śmieci. Do tej pory udało im się zorganizować 700 akcji porządkowych na 22 rzekach i zaangażować w oczyszczanie 70 tys. wolontariuszy, którzy zebrali ponad 3 miliony kilogramów śmieci.

Beata i Rafał Gwóźdź

Trzy tygodnie wśród Tajów i Khmerów



Termin podróży: 27 października – 19 listopada 2012 r.

Trasa podróży: Katowice – Warszawa – Zurych – Phuket – Chiang Mai – Sukhothai – Ayutthaya – Bangkok – Siem Reap – Phnom Penh – Bangkok – Ao Nang – Ko Phi Phi – Phuket – Zurych – Warszawa – Katowice

Przeloty:

Katowice – Warszawa (LOT) 65 zł/osobę

Warszawa – Phuket – Warszawa (przez Zurych – Swiss Air) – 2220 zł/osobę

Phuket – Chiang Mai (Air Asia) – 450 zł/osobę

Phnom Penh – Bangkok (Air Asia) – 200 zł/osobę

Uwaga: Ceny noclegów poniżej podane dotyczą zawsze pokoju dwuosobowego, chyba że zaznaczono inaczej.

Waluta:

Tajlandia – baht (B), wymienialiśmy najczęściej po kursie 100 USD = 3060 B

Kambodża – oficjalnie riel, natomiast w powszechnym użyciu są dolary amerykańskie, więc nie ma potrzeby wymiany.

27 października – Wylot z Polski na Phuket

Naszą podróż zaczęliśmy tym razem o 5:50 z Katowic, dolatując lotowskim samolotem do Warszawy. Stamtąd lecieliśmy do Zurychu, by następnie wsiąść już o 14:40 do samolotu linii Edelweiss (lot wykonywany na zlecenie linii Swiss Air), który dostarczył nas już następnego dnia w całości na tajlandzką wyspę Phuket.

28 października – Phuket – Chiang Mai

Na Phuket wylądowaliśmy zgodnie z planem około godziny 10. Niestety, nie był to jeszcze nasz ostatni lot. Zaplanowaliśmy rozpocząć zwiedzanie Tajlandii od miejscowości Chiang Mai – więc z Phuket musieliśmy się dostać jeszcze na północ. Po 2-godzinnym locie wreszcie po ok. 24 godz. podróży dotarliśmy do celu. Do zarezerwowanego wcześniej hotelu wzięliśmy z lotniska taksówkę (120 B). Po krótkim odpoczynku poszliśmy na miasto uczcić sokami owocowymi (sok z dragon fruit – 65

B, z passion fruit – 50 B) szczęśliwe dotarcie do celu. Wieczorem jeszcze po krótkiej drzemce wybraliśmy się na największy w Tajlandii nocny targ. Można na nim kupić w zasadzie wszystko, my skusiliśmy się tylko na jakąś rybę na patyku (5 B), ciasto z bananami (5 B) oraz dziwną bułkę z sosem chili (10 B). Późnym wieczorem po nadmiarze wrażeń jak na pierwszy dzień skusiliśmy się na kurczaka w ostrym sosie oraz kurczaka z czosnkiem i pieprzem (oba po 80 B), popijając je oczywiście dużym piwem Chang (butelka 0,6 l za 60 B).

Nocleg: Thapae Boutique House (<http://www.thapaeboutiquehouse.com/>) – rezerwacja jeszcze w Polsce, przy wykorzystaniu kodu rabatowego cena za dobę wyniosła 28 zł (ze śniadaniem).

29 października – Chiang Mai

Po śniadaniu wybraliśmy się zwiedzić jedną z bardziej znanych świątyń w Chiang Mai, a mianowicie zlokalizowaną na górze świątynię Doi Suthep. Podróż była dwuetapowa, najpierw riksza z naszego hotelu na przystanek lokalnych busików (songthaew) za 100 B, a później już na miejsce owym busikiem za 40 B/os. Do samej świątyni trzeba jeszcze podejść licznymi schodami (dla leniwych jest winda za 20 B). Sam wstęp (wymagany tylko od obcokrajowców) wynosił 30 B. W tym dniu zwiedziliśmy jeszcze kilka innych najważniejszych świątyń (w samym Chiang Mai jest ich ponoć koło 300) m.in.: Wat Phra Singh, Wat Chedi Luang, Wat Chiang Man, Wat Bup Pha Ram. Do wszystkich wstęp jest darmowy. Warto dodać, że ostatnia z wymienionych świątyń często jest też nazywana świątynią Kaczora Donalda z powodu stojącej w jej objęciu figurki tej bajkowej postaci.

Na obiad w tym dniu zjedliśmy pad thai z kurczakiem (85 B), kurczaka z czosnkiem i pieprzem (80 B), popijając to dużym piwem Chang (80 B).

30 października – Chiang Mai

Śniadanie znowu w hotelu (wliczone w cenę). Na dzień dzisiejszy byliśmy umówieni z wczorajszym riksiarzem na objazd kilku interesujących miejsc w okolicach Chiang Mai (za cały dzień + podwózka na dworzec autobusowy w celu zakupu biletów 660 B). Najpierw pojechaliśmy do Maesa Elephant Camp (www.maesaelephantcamp.com/), gdzie zakupiliśmy bilety za 1500 B/os. obejmujące wizytę w obozie, pokaz umiejętności słoni (malowanie obrazków, granie w piłkę, rzucanie do celu itp.), oraz godzinną przejażdżkę do turystycznej wioski plemion górskich. W samej wiosce największe zainteresowanie towarzyszyło kobietom z plemienia Padaung słynących z zakładanych na szyję obręczy. Następnie udaliśmy się na krótkie pokazy umiejętności małp oraz węży (do obu miejsc bilety wstępu 200 B/os.). Ukoronowaniem dnia była wizyta w Tiger Kingdom (www.tigerkingdom.com). Można tutaj skorzystać z wielu opcji na wykupienie biletu pozwalającego na około 15-minutowe przebywanie w klatce z tygrysami i zrobienie sobie zdjęć. My kupiliśmy bilety umożliwiające spotkanie z najmniejszymi tygryskami (620 B/os) oraz największymi przedstawicielami tego gatunku (420 B/os).

Zakupiliśmy bilety na następny dzień na autobus do Sukhothai za 249 B/os. Obiadokolacja obejmowała z kolei dość tłustą wołowinę w ostrym sosie (60 B) podawaną z ryżem (10 B).

31 października – Chiang Mai, Sukhothai

W związku z tym, że po 16 mieliśmy autobus do Sukhothai, na ten dzień nie planowaliśmy niczego szczególnego. Poszliśmy spacerkiem w stronę rzeki, wstępując po drodze do mniej znanych świątyń. Wracając ze spaceru, z nieba zaczął siąpić deszcz. Na szczęście, zanim się na dobre rozpadało, dotarliśmy do hotelu. Po wymeldowaniu z hotelu poszliśmy na polecaną w Lonely Planet tilapię z grilla (120 B) – my również ją polecamy. W wolnym czasie przez Internet zarezerwowaliśmy bungalow na 2 noce w Sukhothai. Znajomy riksarz zawiózł nas na dworzec autobusowy (100 B), skąd udaliśmy się w 5-godzinną podróż do Sukhothai. Dojazd z dworca autobusowego w tym mieście na miejsce naszego noclegu kosztował nas 70 B.

Nocleg: Ban Thai Guesthouse, 21,15 USD za dwie noce w bungalowu z wiatrakami.

1 listopada – Sukhothai

W dniu, w którym, większość w Polsce odwiedza groby swoich bliskich, my zwiedziliśmy park historyczny Sukhothai (pierwszą stolicę Tajlandii). Po śniadaniu (kulki z kurczaka – 25 B, ostry kurczak z ryżem – 32 B, cola – 10 B) udaliśmy się na przystanek lokalnego środka transportu. Z centrum miasta do parku jeździ songthaew (lokalny busik) za 30 B/os w jedną stronę. Park składa się z 5 stref, przy czym większość turystów ogranicza się wyłącznie do strefy centralnej. My, oprócz tejże strefy, odwiedziliśmy również strefę północną oraz zachodnią. Wstęp do każdej ze stref wynosi 100 B i w naszej opinii warto wydać te pieniądze. Całość zwiedzaliśmy na rowerach, które można wypożyczyć przed samym wejściem za 30 B na cały dzień. W parku można zobaczyć przeróżne pozostałości dawnych świątyń (w lepszym bądź gorszym stanie) przypominające o dawnej świetności tego miejsca.

Po zwiedzeniu parku w godzinach popołudniowych zjedliśmy na obiad grillowaną pierś z kurczaka z budki stojącej przy drodze (20 B), na deser zaserwowaliśmy sobie natomiast pieczone banany w panierce (10 B).

2 listopada – Ayutthaya

Punktualnie o 7:50 wyjechaliśmy z Sukhothai komfortowym, klimatyzowanym autobusem do Ayutthayi. W cenie biletu (304 B) dostaliśmy kawę, ciastko, 0,5 l wody oraz bon na obiad podczas 30-minutowego postoju. Przed godziną 14 dojechaliśmy na dworzec autobusowy, skąd do centrum wzięliśmy riksę (120 B). Po zakwaterowaniu i odświeżeniu wyruszyliśmy zwiedzać ruiny świątyń buddyjskich zlokalizowanych w tym mieście. Jako że najważniejsze świątynie są od siebie oddalone o kilkanaście km i z powodu ograniczonego czasu, wynajęliśmy riksę na 3 h za 450 B. W tym czasie odwiedziliśmy 7 najważniejszych zabytków:

- Wat Ratburana (50 B)
- Wat Phra Mahathat (50 B)
- Wat Phra Si Sanphet (50 B)
- Wat Mongkhan Bophit
- Wat Lokaya Sutha
- Wat Chai Wattanaram (50 B zamknięta, w czasie kiedy byliśmy, z powodu jej zalania),
- Wat Yai Chai Mongkhom (20 B)
- Wat Phanan Choeng (wstęp niby 20 B, ale nikt nie pobierał tej opłaty i nie sprzedawał biletów).

Po zakończeniu zwiedzania tym razem skusiliśmy się na obiad w KFC, gdzie za zestaw (chickenburger, frytki, pepsi) zapłaciliśmy 95 B. Wieczorem poszliśmy zrobić jeszcze nocne fotki, ale ze świątyń zlokalizowanych blisko centrum tylko Wat Ratburana była podświetlona. Wracając, skusił nas deser w jednej z knajpek: rambutan w syropie z lodem za 40 B.

Nocleg: Chantana Guesthouse – pokój z wiatrakiem 350 B.

3 listopada – Bangkok

Do Bangkoku dojechaliśmy pociągiem 3 klasy za 15 B (2,5 h jazdy). Przed odjazdem pociągu zdążyliśmy jeszcze zjeść kurczaka (15 B) i kupić sobie po małej puszcze piwa Chang do pociągu (30 B). Z dworca Hua Lamphong do naszego hotelu było ok. 2 km, ale w związku ze strasznym upałem i ciężkim plecakiem postanowiliśmy wziąć riksę. Początkowo chcieli od nas 200 B, ale ostatecznie pojechaliśmy za 60 B, co za taką odległość było i tak zbyt wysoką kwotą. Po odświeżeniu, wybraliśmy się na zwiedzanie Bangkoku. Jako że wybrane do zwiedzania na pierwszy ogień Pałac Królewski oraz świątynia Wat Pho znajdowały się po drugiej stronie rzeki, skorzystaliśmy z bardzo popularnego środka transportu w Bangkoku, a mianowicie z promu rzeczno. Należy pamiętać, że promy pływające po rzece Chao Phraya są oznaczone kolorowymi flagami – najtańsze są promy z flagą pomarańczową i żółtą (15 B/os). Promy z flagą niebieską, zieloną to promy stricte dla turystów, co prawda, nie zatrzymują się na mniej istotnych przystankach, są mniej zatłoczone i niektóre mają przewodnika, ale są znacznie droższe.

Przy zwiedzaniu Pałacu Królewskiego (400 B) niezbędny jest stosowny strój, zakrywający kolana i ramiona, i to w przypadku obu płci. Na terenie pałacu znajduje się również świątynia Phra Kaew zawierająca, chyba najbardziej słynną w całej Tajlandii, figurkę Szmaragdowego Buddy. Figurce, niestety, nie wolno robić zdjęć, co egzekwują bezwzględnie stosowni strażnicy tego miejsca. Następnie poszliśmy zwiedzić świątynię Wat Pho (100 B), w której znajduje się największy leżący Budda, mierzący 46 metrów długości i 15 metrów wysokości.

Jako że byliśmy już porządnie zmęczeni, to poszliśmy na znaleziony kilka dni wcześniej w Internecie darmowy nocleg na hamakach. Cały dach hotelu był do naszej dyspozycji, a oprócz hamaków znajdowały się tam 2 fotele i stolik. W tak pięknych okolicznościach przyrody przy blasku gwiazd nad Bangkokiem nie mogliśmy odmówić sobie spożycia odrobiny Krupnika przywiezionego jeszcze z Polski.

Nocleg: New Road Guesthouse (<http://www.newroadguesthouse.com/>) spanie za darmo!!! na hamakach zlokalizowanych na dachu hostelu (pod daszkiem).

4 listopada – Przejazd do Kambodży (Siem Reap)

Dzień rozpoczęliśmy wczesną pobudką o 4:30, ponieważ już o 5:55 odjeżdża pociąg do Aranyprathet, czyli ostatniej miejscowości tajskiej przed granicą z Kambodżą. Pociąg 3 klasy za 48 B dowiózł nas tam w ciągu 6 godzin. Następnie należy dojechać riksą parę km na samą granicę (my jechaliśmy za 80 B, ale ponoć można wytargować 60 B). Rikszarz próbował zawieźć nas do fałszywej agencji wizowej wydającej je za podwójną stawkę (40 \$). Po stanowczej reprimendzie dowiózł nas już na właściwą granicę. Wiza na granicy kosztuje 20 \$, przy czym celnicy starają się naciągać na dodatkowe 100 B. Jednakże, będąc stanowczym (tak jak my), płacimy wyłącznie oficjalną stawkę.

Należy pamiętać, że do wizy potrzebne jest jedno zdjęcie, w przypadku jego braku istnieje ponoć możliwość jego zrobienia na granicy, za co pobierane jest dodatkowe 5 \$. Z granicy do centrum Siem Reap (ok. 150 km) pojechaliśmy taksówką z poznaną w pociągu parą amerykańsko-polską. Przejazd trwał około 2 godziny i kosztował nas 25 \$ (za parę). Później na mieście zjedliśmy pizzę + 2 piwa (8 \$), a wieczorkiem na przywitanie nowego kraju pozwoliliśmy sobie na wypicie drinka (2 \$) oraz tzw. wiaderka (bucket) wódki z redbullem za 4,5 \$. Wieczór zakończyliśmy w hostelowym barze, gdzie z właścicielem pogrywaliśmy sobie w bilarda (my za darmo) przy dzbanku piwa (1 l za 2 \$) oraz drinku mojito (1,25 \$).

Nocleg: Garden Village (<http://www.gardenvillageguesthouse.com/>) – ogromny pokój trzyosobowy (na naszą dwójkę) z wiatrakiem 8 \$/dobę.

5 listopada – Siem Reap

Kolejny dzień rozpoczęliśmy wczesną pobudką o 4:00 (i to są niby wakacje), ponieważ byliśmy umówieni z wynajętym riksaszem, że pojedziemy na wschód słońca nad Angkor Wat. Za 2 dni objazdu po kompleksie Angkor oraz jazdą do pływającej wioski zapłaciliśmy 37 \$ (w tym 2 \$ napiwku), przy czym nasz kierowca miał dla nas podczas całego zwiedzania lodówkę z zimną wodą oraz mokrymi ręczniczkami, które stanowiły dużą ulgę podczas panującego upału. Bilety 3-dniowe kosztują 40 \$ za osobę, ale są warte każdego wydanego dolara. W pierwszym dniu po zobaczeniu wschodu słońca przy Angkor Wat zwiedzaliśmy świątynię z tzw. małego okręgu. Na początek zwiedziliśmy samą świątynię Angkor Wat. Warto zaznaczyć, iż dopiero od godziny 7:30 (a nie zaraz po otwarciu) można wejść na jej najwyższy poziom, jednakże nie są tam wpuszczane osoby bez odpowiedniego stroju zakrywającego ramiona. W oczekiwaniu na możliwość wejścia na szczyt zjedliśmy śniadanie w budkach przy tej najświeższej świątyni. Ceny nie należą do najniższych – za średnio smaczne naleśniki z bananami i czekoladą zapłaciliśmy po 4 \$ od osoby. Do naszej kolekcji kupiliśmy miniaturę Angkor Wat za 5 \$, przy czym sprzedawca dorzucił gratis magnes na lodówkę. Następnie udaliśmy się do jednej z najpiękniejszych świątyń w kompleksie (przynajmniej w naszej opinii), a mianowicie do świątyni Bayon z 264 twarzami Avalokiteśvary. Ze świątyń zwiedzonych w tym dniu na uwagę zasługuje jeszcze świątynia Ta Prohm, w której mury są pochłaniane przez ogromne korzenie drzew. Świątynia ta słynie również z tego, że to właśnie w niej kręcono część ujęć do filmu Tomb Raider z Angeliną Jolie. Obiad zjedliśmy w naszym hostelu – dość smaczny kurczak amok (w mleczku kokosowym i jajku) za 2,85 \$. Wieczorem na mieście daliśmy się jeszcze skusić na fish-pedicure, czyli zżeranie naszego martwego naskórka ze stóp przez wygłodniałe rybki. Za masaż (bez ograniczenia czasowego, ale można wytrzymać maks. z pół godziny) plus puszkę piwa zapłaciliśmy za 2 osoby 5 \$. Dzień tradycyjnie zakończyliśmy wiaderkiem wódki z Red Bullem za 4,5 \$.

6 listopada – Siem Reap

Śniadanie o 8 w hotelowej restauracji – 2 omlety + cola za 3,7 \$. O 9 wyruszyliśmy na drugi dzień zwiedzania kompleksu Angkor Wat. W tym dniu zwiedzaliśmy świątynię z tzw. dużego okręgu oraz udaliśmy się do najstarszych świątyń w całym kompleksie, tzw. grupy Roluos z przełomu IX i X wieku. Ze świątyń zwiedzanych w tym dniu najbardziej spodobały nam się świątynie:

- Preah Khan – dojdziecie ok. 1 km džunglą do zarośniętej drzewami świątyni,
- Preah Neak Poan – świątynia stojąca pośrodku basenu, z atrakcyjnym dojściem przez mostek pośród zarośniętego jeziora,
- Ta Som – z ogromnym drzewem porastającym dach świątyni.

Po zakończeniu zwiedzania świątyń postanowiliśmy pojechać jeszcze do pływającej wioski oddalonej od Siem Reap o ok. 17 km. Trasa prowadziła przez typowe kambodżańskie wioski, w których mogliśmy podejrzeć prawdziwe życie Khmerów. Za ok. 40-minutowy rejs zapłaciliśmy po 15 \$/os., przy czym łódką płynęliśmy tylko my i 2 osoby załogi. Pływająca wioska Kompong Pluk zrobiła na nas ogromne wrażenie. Zwłaszcza z poziomu małej łódki (za dodatkowe 3 \$/os.), na którą musieliśmy się przesiąść z naszej motorówki, aby swobodnie móc krążyć między domami zbudowanymi na 6-metrowych palach. W pobliżu wioski znajduje się również zalany las, który również zwiedziliśmy. Następnie wypłynęliśmy na jezioro Tonle Sap, gdzie podziwialiśmy precudny zachód słońca. Po dniu pełnym wrażeń wróciliśmy do centrum Siem Reap już po ciemku. Na kolację zjedliśmy tym razem kolejną typową kambodżańską potrawę, a mianowicie lik-lak, czyli przepyszny kurczak na ostro w dziwnym sosie (3,75 \$), popijając piwem (0,5 \$).

Zakupiliśmy bilety na autobus za 2 dni do stolicy Phnom Penh za 8 \$/os.

7 listopada – Siem Reap

Jako że ostatnie dni spędzaliśmy dość intensywnie – ten jeden dzień postanowiliśmy odpocząć. Powłóczyliśmy się troszkę po starym mieście, poszliśmy nad rzekę o tej samej nazwie jak miasto (Siem Reap). Na obiad spróbowaliśmy węża (2 \$), niestety, dość twardy i w smaku taki sobie. Wieczorem dokończyliśmy polskiego „krupnika” z sokiem z liczi – pycha. Atrakcją dnia była jaszczurka, która ni stąd, ni zowąd pojawiła się w naszym pokoju i wprowadziła poruszenie wśród damskiej części naszej ekipy.

8 listopada – Phnom Penh

Spod hostelu o 8 zabrał nas riksarz (w cenie biletu na autobus), który dowiózł nas do naszego autobusu. Miał on do przejechania ok. 300 km i nominalnie miał dotrzeć do stolicy po ok. 5–6 h jazdy. Jechał aż 8 godzin, a niestety pomimo zapewnień, że w autobusie będzie dostępna toaleta, to nie można nawet było tego sprawdzić, bo drzwi, które teoretycznie prowadziły do toalety, były kompletnie przywalone plecakami. Na jedynym zarządzonym postoju, można było w końcu skorzystać z toalety i kupić coś do jedzenia. My kupiliśmy jakieś bułki przyrządzane na parze z mięsnym farszem, uzupełnionym cebulą (0,6 \$). Przed samym Phnom Penh autobus jechał z prędkością ok. 40 km/h po szutrowej drodze pełnej dziur i wybojów. Do naszego uprzednio upatrzonego hostelu dojechaliśmy riksą za 2 \$. Po krótkim odpoczynku poszliśmy nad rzekę, po raz pierwszy podziwiając stolicę Kambodży. Kolacja w przydrożnej budce – 3 pączki z kurczaka oraz 2 cole za 3 \$.

Nocleg: OK. Guesthouse (<http://www.okay-guesthouse.com/>) – 10 \$/pokój dwuosobowy.

9 listopada – Phnom Penh

Śniadanie zjedliśmy w naszym hostelu – omlet z bagietką za 1,5 \$. Na 8:30 byliśmy umówieni z riksarką – ponoć pierwszą kobietą kierowcą tuk tuka w Phnom

Penh, a może i w całej Kambodży – która za 10 \$ zawiozła nas najpierw do więzienia S21, a później na Pola Śmierci (ok. 14 km od Phnom Penh). Bilety wstępu do tego pierwszego miejsca kaźni kosztowały 2 \$. Wiezienie powstało na terenie byłej szkoły średniej, a podczas reżimu Czerwonych Khmerów więziono tutaj według szacunków 17 tys. ludzi, którzy byli poddawani okropnym torturom. Przy wyjściu z więzienia spotkaliśmy jedną z 4 żyjących osób, które przetrwały więzienie. Był to Chum Mey, dziś mężczyzna ponad osiemdziesięcioletni, który promował książkę o swoich przeżyciach w tym okropnym miejscu. Następnie udaliśmy się na Pola Śmierci, miejsce kaźni więźniów z S21 (5 \$, w tym bardzo dobry audioguide). Wśród wielu przerażających miejsc, największe wrażenie robi chyba drzewo, o które roztrzaskiwano niemowlaki i małe dzieci. W stupie postawionej ku czci poległych tutaj ofiar zgromadzono część z wydobytych czaszek i kości. Po powrocie do miasta poszliśmy zwiedzić pałac królewski (6,5 \$), niestety, z niewiadomych nam przyczyn z całego kompleksu można było zwiedzić w zasadzie tylko pagodę, reszta była zamknięta. Wieczorem podziwialiśmy pokaz fajerwerków z okazji przypadającego w tym dniu święta narodowego Kambodży. Kupiliśmy po piwie i poszliśmy nad rzekę. Jakież było nasze zdziwienie, jak już chcieliśmy zbierać się z powrotem do hostelu, gdy zaczęli nas policjanci pilnujący porządku na głównym placu stolicy, częstując nas piwem i smażonymi żabkami. Jeszcze nigdy policjant na służbie nie poczęstował nas piwem. Wracając na nocleg, kupiliśmy jeszcze tutejszy specjał – smażoną tarantulę (0,5 \$). Żeńska część tylko się z nim sfotografowała, natomiast męska przystąpiła do konsumpcji. Mięsko z tułowia białe, z głowy trochę ciemniejsze, ale i to, i to bez wyrażnego smaku.

10 listopada – Phnom Penh

Jeszcze przed śniadaniem wybraliśmy się do świątyni Wat Phnom zlokalizowanej na 27-metrowym wzgórzu (wstęp 1 \$). Według legendy to właśnie tutaj starsza kobieta o imieniu Penh umieściła 4 statuy Buddy, które odkryła przy brzegach Mekongu. Stąd też nazwa miasta Phnom Penh oznaczająca Wzgórze Penh. Po śniadaniu poszliśmy wśród wielu flag poszukać naszej polskiej, co udało nam się bez większego problemu. Pobyt w Kambodży zakończyliśmy piwem Angkor (1,5 \$) i około 14 udaliśmy się na lotnisko (za 8 \$), skąd mieliśmy lot do Bangkoku. Rzekoma opłata wylotowa z Kambodży w wysokości 25 \$ chyba była wliczona w koszty biletu, ponieważ nikt od nas nie żądał jej wniesienia. Z lotniska w Bangkoku razem z dwójką Francuzów wzięliśmy taksówkę na Khao San Road, co sprawiło, że na parę kosztowała nas ona 120 B. Obiad zjedliśmy w KFC (210 B), a dzień zakończyliśmy wiaderkiem drinka „Sex on the Beach” na słynnej ulicy backpackerów, czyli na Khao San Road (200 B). W międzyczasie taksówką pojechaliliśmy na dworzec Hua Lamphong (według wskazań licznika – 53 B), by kupić bilety na pociąg na południe do Surat Thani. Niestety, nie było już miejsc w wagonach sypialnych – mogliśmy kupić bilety przy poprzednim pobycie w Bangkoku, tydzień temu, pewnie bilety by jeszcze były. W związku z powyższym kupiliśmy bilety na miejsca siedzące na 12-godzinną jazdę pociągiem plus w pakiecie przejazd autobusem do Surat Thani do Krabi za 1300 B na osobę. Taksówka powrotna kosztowała nas złotówkę więcej – 64 B.

Nocleg: Siam Oriental Inn (<http://www.siamorientalgroup.com/home.htm>) – pokój z wiatrakiem i tylko zimną wodą za 380 B.

11 listopada – Bangkok

Z samego rana udaliśmy się zwiedzić świątynię Golden Mount, na którą wiodą wśród zieleni i sztucznych kaskad wodnych spiralne schody (wstęp 10 B/os.). Po wizycie w tej świątyni pojechalśmy na krótką wycieczkę po kanale wodnym (10 B/os.). Nie mogliśmy też nie skorzystać z okazji i zaliczyć kolejnego środka transportu w Bangkoku, jakim jest Sky train, czyli w zasadzie pociąg przemieszczający się nad drogami na specjalnie wzniesionych platformach. Bilet na krótkiej dość trasie kosztował 25 B. W tym dniu udaliśmy się jeszcze do świątyni Wat Arun (wstęp 50 B/os.). Aby się tam dostać, należy skorzystać z promu z przystani Tha Tien, który za 3 B/os. przewiezie nas na drugą stronę rzeki. Po zwiedzeniu świątyni spotkaliśmy przesympatyczną parę Polaków mieszkających obecnie w Londynie, z którymi spędziliśmy miło czas w oczekiwaniu na nasz wieczorny pociąg. O 19 udaliśmy się w długą podróż na południe Tajlandii.

12 listopada – Ao Nang

Droga z Bangkoku do Krabi przebiegła bez większych problemów. Niestety, miejsce końcowego postoju autobusu na Krabi było oddalone od jakiegokolwiek cywilizacji, w związku z czym w zasadzie wszyscy pasażerowie byli zmuszeni skorzystać z „mafii” przewozowej, która za stosunkowo duże pieniądze dowoziła do wybranych lokalizacji. Jako że wcześniej na miejsce naszego pobytu wybraliśmy sobie miasteczko Ao Nang, to za 100 B/os. pojechalśmy do jego centrum. Dość szybko znaleźliśmy hotel, choć chyba najdroższy jak dotychczas, to niestety trzeba było się pogodzić z faktem, iż na wyspach ogólnie wszystko jest droższe. Na obiad w knajpcie przy plaży zjedliśmy kurczaka na ostro z bazylią (100 B) plus cola (35 B). W okolicznym sklepiu po dość długim targowaniu kupiliśmy matę na plażę za 130 B. W końcu poszliśmy zakosztować kąpieli w morzu Andamańskim. Nie wystraszył nas nawet deszcz, który nagle ni stąd, ni zowąd zaczął padać. Na następny dzień zamówiliśmy wycieczkę na 4 wyspy. Za wycieczkę trwającą od 8:30 do 16:30 zapłaciliśmy 400 B/os. (cena wyjściowa wynosiła 600 B/os.).

Nocleg: Sea World Guesthouse – 600 B za duży pokój z balkonem (ograniczony widok na morze) i łódzką, ale, jak się później okazało, z narzucającą się właścicielką, która chciała wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy. Nie przyjmowała do wiadomości, że oferowane przez nią usługi są dostępne taniej na mieście.

13 listopada – Ao Nang – wycieczka na 4 wyspy

Na śniadanie tym razem zjedliśmy tylko ala chickenburgera dostępnego w sieci sklepów 7/11 za 20 B. Zgodnie z planem o 8:30 podjechał pod nasz hotel bus, który zabrał nas na miejsce, skąd odpływała nasza łódź z długim ogonem (tzw. *long-tail boat*). Na łodzi było nas około 25 osób, większość młodzież, choć zdarzyły się jakieś 4 panie. Objazd po wyspach rozpoczęliśmy od wyspy Poda z pięknymi skałami. Następnie popłynęliśmy w okolice tzw. Chicken Island, przypominającej z wyglądu kurę. Dla chętnych była możliwość snorkowania – sprzęt dostępny na łodzi. Następnie udaliśmy się na małą wysepkę Tup, skąd mogliśmy przy niskim poziomie wody przejść prawie że suchą stopą na Chicken Island, otoczeni dookoła przez fale morskie. Tutaj też otrzymaliśmy dwudaniowy lunch wraz z deserem, wliczony w cenę wycieczki. Czwartym i ostatnim odwiedzanym miejscem była jaskinia Phranang. Zgodnie z legendą zamieszkuje ją duch indyjskiej księżniczki, która zatonąła tutaj 3 wieki przed naszą erą. Aby wyprosić u niej łaski i obfite połowy, lokalni rybacy przynoszą tutaj wiele darów.

Wycieczka udana – warta swojej ceny. Wieczorem w budce przy drodze kupiliśmy sobie po koszulce z przepięknymi nadrukami prezentującymi piękno Tajlandii (jedna koszulka 250 B). Zakupiliśmy również bilety na prom na wyspę Phi Phi na jutro (350 B/os.).

14 listopada – Ko Phi Phi

Rano udaliśmy się do portu, skąd o 9 mieliśmy łódź na Ko Phi Phi, gdzie dotarliśmy po dwóch godzinach. Po dopłynięciu udaliśmy się do zamówionych dzień wcześniej przez Internet bungalowów. Warto nocleg zarezerwować wcześniej, bo w sezonie może brakować miejsc noclegowych (zwłaszcza tych tańszych). Od razu udaliśmy się na plażę – tylko 3 minuty od naszego noclegu. Po 2 godzinach kąpeli był taki odpływ, że nagle do wody mieliśmy kilkadziesiąt metrów. Po południu udaliśmy się na punkt widokowy (wstęp 20 B), skąd rozpościerają się widoki na obie strony wyspy. Wieczorem razem zgadaliliśmy się z poznaną wcześniej w Bangkoku parą Polaków i imprezowo spędziliśmy wieczór, kończąc go nocną kąpielą w morzu.

Nocleg: Flower Bungalows (<http://flowerbungalow.com/index.html>) – dwuosobowy bungalow z wentylatorem i łazienką za 700 B.

15 listopada – Ko Phi Phi

Na 11 byliśmy umówieni z naszymi znajomymi na zwiedzanie okolicznych wysp. Prywatna łódź kosztowała naszą czwórkę 1500 B za 3-godzinny rejs. Podczas wycieczki zobaczyliśmy słynną Maya Beach, gdzie kręcono film „Niebiańska plaża” z Leonardo di Caprio; jaskinię Wikingów. plażę z mnóstwem małp. Po powrocie zostaliśmy na plaży, zażywając kąpeli i chłodząc się zimnym piwem (Chang 0,6 l za 55 B, Leo 0,6 l za 75 B). Głód zaspokajaliśmy kawałkami pizzy, którą tu można kupić na wynos w cenie 80 B za duży kawałek. Tradycyjnie też zakupiliśmy dla naszych rodziców magnesy na lodówkę (100 B/szt.). Zamówiliśmy również bilety na prom na Phuket na następny dzień (300 B/os.). Zgodnie z tym, co wcześniej słyszeliśmy, na wyspie Phi Phi trudno zasnąć, bo wsząd dobiegały dźwięki głośnej muzyki i hucznej zabawy na plaży.

16 listopada – Phuket

Dziś pospaliśmy dłużej, dopiero przed 11 spakowaliśmy się i wykwaterowaliśmy z naszego noclegu. W przydrożnej budce na śniadanie zjedliśmy kurczaka (80 B). Poszliśmy jeszcze na plażę, aby tam poczekać na godzinę odpływu naszego promu. O 14 odpłynęliśmy w kierunku największej wyspy Tajlandii – Phuket, gdzie dotarliśmy po 1,5 godzinie. Niestety, z przystani do centrum jest jeszcze ok. 3,5 km, za który „mafia taksówkarska” żądała 100 B/os. Odchodząc kawałek dalej, uzyskaliśmy już cenę 50 B/os. Po zakwaterowaniu udaliśmy się na spacer do miasta. Samo Phuket nic szczególnego, najbardziej interesujący okazał się jedynie lokalny targ warzywno-owocowy.

Nocleg: D's Corner & Guesthouse (<http://www.phuketlangroad.com/>) – duży pokój dwuosobowy z klimatyzacją za 550 B.

17 listopada – Phuket

Ostatni dzień postanowiliśmy w całości spędzić na słynnej plaży Patong. W hotelu w cenie mieliśmy skromne śniadanie – tost, banan i kawa. Na plażę pojechaliliśmy za 25 B, miejsce odjazdu autobusu chętnie wskażą miejscowi. Taksówkarze żądają za tę trasę nawet 500 B. Na plaży byliśmy do 16. Chcąc uniknąć wysokiej opłaty za transport

taksówką do centrum, należy pamiętać, że ostatni autobus z Patong do centrum Phuket odjeżdża ok. 18. W mieście skorzystaliśmy jeszcze z Internetu (30 B/h), aby upewnić się co do godzin naszych lotów powrotnych. U właścicielki hotelu zamówiliśmy transport rano o 5:30 na lotnisko za 600 B. Niestety, nigdzie na mieście nie mogliśmy znaleźć tańszego transportu. Jeżdżą busy za 150 B/os., ale dopiero od 8 rano, co – biorąc pod uwagę godzinę naszego lotu – było zbyt późno.

18 listopada – Wylot do Polski

Zgodnie z ustaleniami właścicielka hotelu zawiozła nas na oddalone o ok. 30 km lotnisko. Lot z Phuket do Zurychu mieliśmy o 9:10, trwał 12:30 h, czyli dłużej niż w odwrotną stronę. Po krótkiej przesiadce do Warszawy dotarliśmy o 19:15. Jeszcze tylko pociąg do Katowic, gdzie odebrała nas rodzina i po kolejnej godzinie szczęśliwie zakończyliśmy podróż w domu.

Tajlandia – pozostałe ceny (niewymienione powyżej):

- coca-cola 2 l – 38 B
- chipsy – 10 B
- mrożona kawa – 45 B
- szaszłyk na patyku (na ulicy) – 10 B
- pepsi 0,5 l – 20 B
- piwo Singha 0,6 l – 58 B
- piwo Chang 0,6 l (sklep) – 45 B
- piwo Chang 0,6 l (restauracja) – 80 B
- shake z arbuza – 40 B
- kartki pocztowe – 5 B
- znaczki do Polski – 15 B
- lody Magnum – 40 B
- kilka kawałków ananasa – 20 B

Kambodża – pozostałe ceny (niewymienione powyżej):

- 3 paczki papierosów LM – 1 \$
- drink w Siem Reap – 1–4 \$
- sok z liczi (puszka) – 0,45 \$
- fanta (puszka) – 0,45 \$
- chipsy – 1 \$
- piwo Angkor (puszka) – 0,5–1 \$
- pranie z prasowaniem (1 kg) – 1 \$

Azja w wersji instant – Tajlandia, Laos, Wietnam, Kambodża 2012



Wyprawa do Azji była czymś, co już od dawna chodziło nam po głowach. Nadawały się doń idealnie jesienne wakacje, gdy w Europie zaczyna być szaro i zimno, a tam ciepły klimat przeobraża się właśnie ze swego mokrego wydania w bardziej suche. Jedne z lotniczych linii – Etihad Airways wyczarowały promocję na linii Włochy – Tajlandia i tym sposobem zaopatrzyliśmy się w bilety na kilka tygodni wcześniej. Ich cena oscylowała wokół 460 euro za osobę. Z racji słabego przygotowania epidemiologicznego w postaci szczepionek i tabletek antymalarycznych, naszego synka wysłaliśmy do dziadków do Polski...

30 października 2012 roku wsiedliśmy na pokład samolotu do Abu-Dhabi, gdzie czekała nas przesiadka (i czterogodzinna przerwa) na dalszy lot. Do Tajlandii lecieliśmy za dnia, mijając ośnieżone szczyty najwyższych gór świata. Na miejsce dotarliśmy wieczorem, pozbieraliśmy z taśmy nasze pachnące wanilią bagaże (to były działania prewencyjne, jeśli chodzi o odstraszanie komarów), przeszliśmy kontrolę paszportową (na szczęście od 2011 roku nie potrzeba nam, Polakom, żadnej wizy) i wyszliśmy z klimatyzowanego budynku na ciepłe, parne powietrze Bangkoku. Lotnisko jak to lotnisko – pełne było gwaru i taksówkarzy, którzy oferowali nam swe usługi za niezbyt rozsądne ceny... Próbowaliśmy dobijać targu, ale mówili coś o stałych taryfach, więc wróciliśmy do środka, szukając innego sposobu dostania się do miasta. Na szczęście znalazło się tu i metro. Kupiliśmy jeszcze spory zapas *Doxycyclinum* – antybiotyku przeciw malarii, który sprzedano nam bez mrugnienia okiem (w Polsce kilka osób starało się zdobyć je dla nas, chodzili po recepty, stali długie godziny w kolejkach, ale wszystko na nic) i wsiedliśmy do pociągu. Już po chwili zza szyb poczęły się wyłaniać potężne wieżowce. Azjatycki Tygrys w swej pełnej krasie. W Polsce rzeczywiście można by szukać takich ze świeczką. Ale tutaj, pod ciemną szatą nocy, kryła się też rzeczywistość ludzi egzystujących w nędznych slamsach.

My tymczasem dotarliśmy do końcowej stacji metra, a stamtąd taksówką na poleceną, jeśli chodzi o tanie miejsca noclegowe, przez napotkaną Tajkę, ulicę Kao San. Oprócz hosteli bez liku było tu też mnóstwo turystów, ulicznych straganów i knajpek. Znaleźliśmy pokój w cenie 200 bhatów (czyli około 5 euro), wzięliśmy szybki prysznic,

przebraliśmy się w coś zwiewnego, błyskawicznie wyschliśmy i poszliśmy poszaleć na miasto. Tak się złożyło, że na Kao San trwała właśnie w najlepsze haloweenowa zabawa. Mijały nas różnorakie zjawy, szkielety i wampiry, z których co niektóre straciły już siły, by straszyć, leżąc gdzieś z boku ulicy czy z głowami na stole... W zasadzie nie mieliśmy wrażenia, że jesteśmy w odległym orientalnym kraju, a co najwyżej w środku tłumu studentów w czasie juwenaliów. Potem okazało się jednak, że na tej ulicy impreza nigdy się nie kończy, owszem, po skończonym Halloween, ludzie ubierają się już tu nieco normalniej...

Pierwszego listopada zerwaliśmy się z łóżka dość wcześnie. Na ulicy tym razem pełnej śmieci po wczorajszym, uśpionej i spokojnej, czekał na nas rząd taksówkarzy tuk-tukowych. Tuk-tuk to tutejsza nazwa motoru o trzech kołach, z zespaną od tyłu naczepą, która mieści kilku pasażerów. Konstrukcja takiego wehikułu wymaga pomysowości, a ich właściciele robią wiele, by przyciągnąć klientów. Tuk-tuki jeżdżą więc po Bangkoku, przyciągając wzrok kolorowymi światełkami, girlandami z kwiatów i głośną muzyką. Dojechaliśmy na dworzec dosłownie na styk – autobus do Phuket, jednej z najpopularniejszych destynacji turystów odwiedzających Tajlandię, odjeżdżał w przeciagu dziesięciu minut. Podróż kosztowała nas 800 bhatów (około 20 euro). Kupiliśmy ryż z warzywami od jednej z przydrożnych sprzedawczyń i pojechaliśmy przed siebie. Bangkok zdawał się nigdy nie mieć końca. Z perspektywy ulicy, nie różnił się znacznie od miast europejskich. Co jakiś czas migały tylko w słońcu złote dachy buddyjskich świątyń. I jeszcze roślinność. Ta była dużo bardziej wybujała od naszej, nawet w środku wielkiego miasta. W porze obiadowej zatrzymaliśmy się w przydrożnym barze na obiad w cenie biletu. Był ryż, a do niego kilka dodatków serwowanych w różnych miseczkach na obracającym się kole. Jakieś rodzaje mięsa, ryb i warzyw. Wszystko to smakowało świetnie, ale było dość pikantne. A więc to był nasz pierwszy kontakt ze sławną tajską kuchnią... Wraz z przemierzanymi kilometrami (których było ponad osiemset), krajobraz również się zmieniał. Jechaliśmy przez gęstą dżunglę, w której nie istniało nic poza drogą. Od czasu do czasu mijaliśmy zaszyte w zieleni domki ze słomianymi dachami, idealnie wplecione w otaczającą je przyrodę. Wszędzie pełno tu było też różowych kwiatów o delikatnych płatkach, które ma we włosach każda Tajka z reklamowego billboardu.

Do celu dotarliśmy grubo po zmroku. Na dworcu pozamykali już wszystko na trzy spusty. Wyspa Phuket jest dość duża, a my znaleźliśmy się na jej wybitnych peryferiach. Taksówki kosztowały sporo, toteż udaliśmy się „z buta” w kierunku centrum. Uszliśmy może z pięćdziesiąt metrów, gdy zatrzymała nas brygada młodych kierowców skuterków. Dalej jechaliśmy już osobno, każdy na innym jednośladzie. Z wielkimi bagażami na plecach i wiatrem we włosach mijaliśmy uśpione ulice wyspy. Powietrze było wciąż tak samo ciepłe. W końcu wjechaliśmy w małą, chilloutową uliczkę, gdzie z wnętrza kilku otwartych wciąż barów dobiegał cichy jazz. Zapukaliśmy do drzwi Old Town Hostelu (pierwszego, jaki znaleźliśmy), dostaliśmy pokój w cenie ok. dziesięciu euro za osobę i wyszliśmy na spacer w kierunku zwijającego się z ulicy bazaru, po kilka owoców i innych drobiazgów.

Nie mogliśmy spać długo, chcąc dotrzeć na jedną z uroczych tajlandzkich wysepek już następnego dnia. Ofert z wycieczkami o różnej długości i „zawartości” jest na wyspie Phuket bez liku, ale z reguły trzeba je wcześniej zamówić. My pojawiliśmy

się w jednej z turystycznych agencji o ósmej rano. Tak czy siak udało nam się jednak załapać na rejs w bardzo atrakcyjnej cenie (około 1000 bhatów, o równowartości 35 euro), połączony z obiadem i eksplorowaniem jednej z jaskiń na kajakach. Celem wycieczki była wyspa Ko Tapu, znana jako wyspa Jamesa Bonda, gdzie dzielny bohater walczył w filmie „Człowiek ze złotym pistoletem”. Krajobraz, który mogliśmy podziwiać, był naprawdę zachwycający. Przezroczyste, ciepłe morze, pełne zielonych wysepek wystających ponad poziom wody. Te spiczaste wysepki okryte były nieprzebraną soczystą zielenią tutejszej roślinności. Tuż przy brzegu zdarzały się od czasu do czasu złote plaże – raj dla amatorów pływania. Na gałęziach drzew mogliśmy dostrzec małe małpki z pozwijanymi ogonami. Płynęliśmy przed siebie, delektując się świeżymi tropikalnymi owocami serwowanymi na statku i kosztując tutejszych specjałów do picia – obrzydliwie zielonych bądź czerwonych słodkich napojów o smaku taniej oranżady... Po krótkim rejsie dotarliśmy do brzegów jednej z wysepek, której ujście do morza przechodziło w wąską jaskinię. Wsiedliśmy w kajaki i z latarką u czoła popłynęliśmy do środka. Przy manewrowaniu wśród powykręcanych skalnych labiryntów słyszeliśmy nad głowami trzepot skrzydeł dziesiątek nietoperzy. Jednak nie przeszkadzało nam to chłonąć romantycznego uroku tego miejsca – wokół ciemność, cisza przerywana delikatnymi ruchami skrzydeł, odgłosem pojedynczych kropeł wody spadających na skalne podłoże, szumu wody przy wiosłowaniu, cichymi szeptami sponad mrugających tu i ówdzie świateł latarek. Po jakichś trzydziestu minutach wypłynęliśmy na światło dzienne. Ekipa pracująca na statku zwinęła kajaki z powrotem i popłynęliśmy w kierunku drugiej przejażdżki – tym razem na powierzchni morza, po urokliwej wąskiej zatoczce. Cóż tu dużo mówić – takie miejsce spokojnie można nazwać „rajem na ziemi” i wszyscy zrozumiemy o co chodzi...

Na końcu przycumowaliśmy do wyspy Ko Tapu, na której aż roiło się od straganów z pamiątkami. Wszystkie one obsługiwane były przez kobiety w chustach na głowach – Muzułmanki z małej morskiej społeczności ulokowanej w wiosce na palach, na pełnym morzu. Ponoć mają tam u siebie szpital, szkoły, meczety i pomimo względnej izolacji, radzą sobie całkiem nieźle. Ominąwszy stragany, wyszliśmy na drugą stronę wyspy i zobaczyliśmy to, co zapewne urzekło twórców filmu o nieustraszoną agencję – tropikalną plażę z potężną pionową skałą wystającą wprost z wody. Nie potrzebowałam słowa zachęty, żeby rzucić się w objęcia ciepłych fal. To był mój pierwszy raz w Tajlandii! Mój mąż przechadzał się tam i siam, uwieczniając na fotografiach piękno natury, a ja pływałam, pływałam, pływałam... Gdyby nie ograniczenia czasowe, mogłabym tak jeszcze kilka dobrych godzin... Niestety, wkrótce musieliśmy wracać na statek. Humor poprawił nam się jednak na myśl o zaplanowanym tam obiedzie. Usiedliśmy z tyłu, gawędząc z „wioślarzami”, którzy uprzejmie zlitowali się nad moimi bębenkami słuchowymi (huk silnika wyjętego pewnie z jakiejś ciężarówki i przyspawanego do łodzi, jest nie do opisanie), używając mi słuchawek pneumatycznych. Po posiłku mieliśmy jeszcze chwilkę na popływanie w okolicach plaży pełnej małpek, a potem powoli ruszyliśmy w drogę powrotną. Na Phuket odszukaliśmy agencję turystyczną, w której wykupiliśmy rejs numer jeden, aby zarezerwować sobie coś i nazajutrz. Siedzieliśmy właśnie pod baldachimowym daszkiem, dyskutując nad szczegółami oferty, gdy nad wyspą przetoczyła się rzesista ulewa. Daleko było do niej wszystkim letnim oberwanom chmur w Polsce! Wydawało mi się, że zaraz porwie nas z wodą, ale uśmiechnięta Tajka, z którą rozmawia-

liśmy, upewniła nas, że to normalne dla tutejszego klimatu. Po deszczu zmyliśmy się na kolację. Zamówiliśmy sałatkę, której skład skrzętnie zanotowałam w podróżnym notesie: czerwona papryczka chili, zielona sałata, ogórek, pomidor, cienkie nitki marchewki, szczypiorek, orzechy nerkowca i trawa cytrynowa. Niebo w gębie! Niestety, przy próbie odtworzenia jej w europejskim klimacie – nie wyszło to zupełnie tak samo...

O poranku następnego dnia spakowaliśmy plecaki, zjedliśmy śniadanie (które było tu wliczone w cenę pokoju, co nie jest oczywistością w przypadku hosteli) i usiedliśmy na chwilę przy komputerze, w poszukiwaniu środka transportu do Chiang Mai, miasta na północy Tajlandii, od którego dzieliło nas 1500 kilometrów. Bus przyjechał po nas o ósmej, wyszliśmy na pełne letnie słońce i ruszyliśmy ku kolejnej przygodzie – tym razem na wyspę Ko Phi Phi, wokół której roztaczają się wspaniałe rafy koralowe, a poza tym kwitnie wprost życie imprezowo-towarzyskie. Co do ceny wycieczki, plasowała się ona w podobnym przedziale jak poprzednia. W trakcie krótkiej przejażdżki poznaliśmy dwójkę Polaków, zajmujących miejsca w tym samym busie – Darek i Agnieszka, na co dzień pracujący w Belfaście, wybierali się właśnie na tydzień wypoczynku na jedną z tajlandzkich wysp. Ich punktem przesiadkowym również była Phi Phi, dlatego cały rejs statkiem spędziliśmy razem. Potem przesiedliśmy się na mniejszy statek, który płynął w kierunku siedliska pięknych raf koralowych. Mieliśmy okazję po raz pierwszy w życiu zanurkować z rurką. To, co widać było na dnie, było naprawdę przepiękne! Ryby wszystkich kolorów i multum podwodnej roślinności. Od czasu do czasu przepływali pod nami nurkowie z butlami i żałowałam, że ja nie mogę być równie blisko dna, co oni. Cóż, przynajmniej zyskałam w życiu kolejny mały cel – nauczyć się nurkować z butlą! Po kąpieli w przezroczystej wodzie, nadszedł czas na lunch w jednym z hoteli na wyspie. Usiedliśmy przy okrągłym stole, na którym umiejscowiono obracające się naczynie z różnorakimi półmiskami, pełnymi pysznie przyrządzonych mięs, ryb, owoców morza i warzyw. Podstawą posiłku był ryż i makaron. Tutaj, w warunkach luksusowego hotelu, nie dało się nie zauważyć przejawów „seks-turystyki”, z której słynie Tajlandia. Młode dziewczyny, Tajki, na oko osiemnastolatki, jadły w towarzystwie tysięcących panów pod pięćdziesiątkę z wystającymi piwnymi brzuskami. Ciężko było uwierzyć, że ciągnęła ich do siebie wielka miłość... Po obiedzie poszliśmy na spacer wąskimi uliczkami wysepki. Pełno tu było przytulnych hotelików i sklepów z pamiątkami. W oczy rzucały się zwłaszcza podróbki zegarków, okularów i ubrań najdroższych marek świata. Nie będąc gwiazdą ni milionerem, można tu było nabyć okulary firmy Ray Ban, Prada czy Gucci. Po krótkim spacerze trafiliśmy na uroczą plażę, położoną w innym zakątku wyspy, gdzie popływaliśmy nieco i objadaliśmy się różowymi owocami o uroczej nazwie „dragon fruit”. Na statku w drodze powrotnej kolejny raz spotkaliśmy rodaków – tym razem małżeństwo ze stolicy. Dobiliśmy w końcu do Phuket, pojechaliśmy po nasze bagaże do Old Town Hostel, a potem na dworzec autobusowy i po wieczorze pełnym wahań (autobus z przesiadką w Bangkoku, który jedzie do celu około 24 godziny, czy może droższy, acz szybszy samolot nazajutrz), wybraliśmy opcję powietrzną. Bilet linii Tai Airways, kupiony wszak dzień przed wylotem, kosztował nas jakieś 5500 bhatów, czyli w przeliczeniu 140 euro. Znaleźliśmy hostel położony bliżej dworca, skąd odjeżdżał autobus na lotnisko, zamówiliśmy bilety samolotowe w jednej z agencji podróży i poszliśmy na kolację. W uroczej restauracji, w której nikt nie mówił po angielsku, zjedliśmy przepyszny kurczaka w pikantnym sosie z dodatkiem mlecz-

ka kokosowego. Ponieważ w czasie kolacji, na zewnątrz rozpętała się znów wielka ulewa, zamówiliśmy też dwa świeże koktajle – ananasowy i kokosowy. Pod koniec naszego posiłku padać wcale nie przestało, więc przeskoczyliśmy te kilka kałuż i mokrzy od stóp do głów, wróciliśmy na noc do hostelu.

Nazajutrz ruszyliśmy na dworzec. Na śniadanie zatrzymaliśmy się w przydrożnej knajpcie, by zamówić jakże pożywną pikantną zupkę z owocami morza. Co dziwne, wielu tutejszych spożywało rano właśnie coś takiego. O kawce i rogalikach mogliśmy raczej zapomnieć w zwykłych, miejskich warunkach. Na dworcu czekała nas niemiła niespodzianka – odwołali autobus, na którym nam zależało. Chcąc nie chcąc, wyjęliśmy z portfela nieco więcej bhatów, i wzięliśmy taksówkę. Samolot wylądował w Chiang Mai o 13. Po opuszczeniu klimatyzowanego lotniska, czuliśmy, jakbyśmy się znaleźli w najgorętszym miejscu świata. Upał uderzył w nas z całym impetem. Nad morzem na pewno było nieco chłodniej, a raczej... wilgotniej. Przeszliśmy „z buta” kilkaset metrów, na ruchliwej ulicy mnogie taksówki zaczęły nas przyjaznym „klaksonowaniem”, więc po chwili wskoczyliśmy na jedną z nich (trójkątowego tuk-tuka). W notesie miałam adres jednego z hosteli – „A Little Bird Guesthouse”, więc udaliśmy się pod jego drzwi. To miejsce było po prostu cudowne! Przy wejściu rozległe siedzisko dla gości, i sami goście, światowi bywalcy w dreadach, rozleniwieni w akcie picia piwa i palenia trawy. Cena za noc w dwuosobowym pokoju oscylowała wokół 6 euro. Kilka epok wcześniej mogłabym wsiąknąć w to na dobre! Dalej był jasny dziedziniec pełen kwiatów, a każdy pokój pomalowany w pastele, z nutką artystycznej niedbałości, sprawiał, że naprawdę można było odpocząć w tym miejscu. Na co my, rzecz jasna, nie mieliśmy za wiele czasu. Z racji wczesnej pory, poszliśmy na miasto, u początku którego zatrzymał nas pan z ulotkami w ręce. Oferował podwiezienie do celu, a celem były różne farmy ze zwierzętami (ha, farma to brzmi jak wiejskie gospodarstwo, a tam do wyboru mieliśmy tygrysy, krokodyle, słonie i węże). Zainteresowały nas zwłaszcza ostatnie, bo tak się składa, że w Tajlandii występuje kobra królewska, największa ze wszystkich gatunków koby, którą to nieraz podglądaliśmy na filmach w bezpiecznym zacisku domu. Choć cena przejazdu nie należała do najmniejszych, po dobieciu targu, pojechaliśmy na miejsce. Byliśmy tego popołudnia jedynymi turystami, zapłaciliśmy po 200 bhatów wejściowego (5 euro) i popatrzyliśmy trochę na leniwe, śpiące w upale węże, obejrzawszy następnie pokaz artystyczny z ich udziałem w roli głównej. Niestety, do tego czasu padła nam w aparacie bateria, ale wrażenia pozostały niezatarte – zwłaszcza wspomnienie strachu, gdy jeden z tancerzy rzucił w naszym kierunku zwiniętego szarego gada, który potem okazał się być... sznurkiem.

Późnym popołudniem wróciliśmy do Chiang Mai i pożycziliśmy rowery. To był wspaniały sposób na zwiedzenie miasta! Jechaliśmy przed siebie, w lewostronnym ruchu i przy szalonym lawirowaniu pozostałych pojazdów. Zjeżdżaliśmy oglądać z bliska każdą napotkaną świątynię buddyjską. Zahaczyliśmy też o targ kwiatowy, targ owocowy, a także nocny bazar ze wszystkim, czego dusza zapragnie. Na kolację zatrzymaliśmy się w małej restauracji, na poboczu hucznego centrum miasta. Zamówiliśmy po soku imbirowym, a do tego ryż z ananasem i orzechami (na chybił trafił, bo z nazwy w menu nie dało się wyczytać składu potrawy). Przed dwudziestą trzecią oddaliśmy rowery i wróciliśmy do hostelu, skąd nazajutrz czekała nas, zamówiona uprzednio, wycieczka do zielonego buszu.

O ósmej rano podjechał pod hostel bus, który zbierał ludzi rozrzuconych po całym mieście, którzy zamówili tę samą wycieczkę. Oferta ich jest w Chiang Mai niezwykle bogata, ceny to około 1000 bhatów (równowartość 25 euro). Pojechaliśmy kilkadziesiąt kilometrów od miasta, w kierunku farm, na których hoduje się słonie. Pierwszym punktem programu był spływ bambusowymi tratwami. Wsiadliśmy więc na takowe i popłynęliśmy z prądem rzeki. Przewodniczka ostrzegała, aby z uwagi przed możliwym zamoknięciem, nie brać ze sobą aparatów, jednak mój mąż jej nie posłuchał. Pod koniec spływu znaleźliśmy już przyczynę jej rad – zza krzaków mrugnął do nas błysk flesza, a na brzegu czekały już oprawione w ramki zdjęcia pamiątkowe ze spływu po rzece. W nieco wygórowanej cenie... Kolejną atrakcją wycieczki była przejażdżka na słoniach po dzikim buszu. Dzikie busze – to stwierdzenie mocno przesadzone, szliśmy bowiem po udeptanej ścieżce w lesie nieopodal wioski i ulicy, ale spotkanie z udomowionymi kolosami dostarczyło nam wielu mocnych wrażeń. Na ich grzbiecie było naprawdę wysoko, co rusz podnosiły trąby, byśmy mogli je nakarmić bananami i wtedy kołysaliśmy się naprawdę przyjemnie... Spacerowaliśmy tak jakąś godzinę (tempem wolniejszym niż marsz człowieka, uwierzcie), po czym pojechaliśmy na obiad. Dalszą część wycieczki stanowiły odwiedziny w wiosce plemienia Karen, gdzie tutejsze kobiety czekały na nas w spokoju ciepłego popołudnia, wystawiając na sprzedaż wyplecione przez się tkaniny. Do samej wioski wiodła ubita droga, więc o jakiegokolwiek „dzikości” tego miejsca można było zapomnieć, choć warunki, w jakich żyli tu ludzie, były dość prymitywne. Najciekawszym miejscem, obok samej wioski, okazały się soczysto zielone pola ryżowe w jej okolicy. Tutaj mieliśmy okazję podglądać ich codzienną pracę; łuskali plony ręcznie, otrzepując z ziaren wielkie snopy ryżu. Spróbowaliśmy iść w ich ślady i zrobić to samo – już po pięciu minutach pracy doszło do nas, jak jest ona ciężka. Jeśli wziąć pod uwagę upał, jaki jej towarzyszył – prawie niewykonalna. Tymczasem pożegnaliśmy utrudzonych rolników i poszliśmy dalej w kierunku sporych rozmiarów wodospadu – ostatniego punktu docelowego tej wycieczki. Tutaj, w cieniu okolicznego lasu, woda była dość zimna, a jej prąd niesłychanie wartki, ale i tak zanurzyłam się na chwilę w jej odmętach. Pod wieczór byliśmy z powrotem w Chiang Mai. Znów skusiliśmy się na ulubiony przez nas środek transportu i pomknęliśmy na rowerach przez miasto. Wokół centrum rozciągają się tu szerokie aleje, pośród których jest rzeka. Poszliśmy na obfitą kolację, oddać pranie do pralni i pogadać na skypie. Tajlandia jest fantastycznie zorganizowana pod względem turystycznym – wycieczki, nocleg, transport po prostu znajdują się tu same. Spotkaliśmy mnóstwo ludzi podróżujących po tych rejonach w pojedynkę, bardzo często kobiet, zauroczonych tutejszym klimatem i kulturą, którzy wracają tu wciąż na nowo. Jechaliśmy do Azji w ciemno, ale na miejscu okazało się, że to jednak jeden z jaśniejszych celów światowej turystyki...

Kolejnego dnia opuszczaliśmy Chiang Mai. Poprzedniego wieczoru zarezerwowaliśmy sobie wycieczkę, która obejmowała transport do Chiang Khong, nocleg, kolację i śniadanie na miejscu, a także spływ łodzią aż do Luang Prabang. Wszystko to kosztowało nas ok. 2500 bhatów za osobę (64 euro). O dziesiątej rano podjechał pod drzwi naszego hostelu bus jadący w stronę Laosu. Wcześniej mieliśmy więc sporo czasu na śniadanie, na które zamówiliśmy miszkę egzotycznych owoców z jogurtem, muesli i miodem. Palce lizać! Następnie czekała nas długa, ponad trzystukilometrowa podróż aż do Chiang Khong, skąd mieliśmy ruszać następnego dnia na spływ po Mekongu.

Sama podróż nie należała do najciekawszych, obracaliśmy się wśród grona podróżników – wyjadaczy, z których każdy trzymał pod pachą opasły przewodnik Lonely Planet i omawiał, gdzie był już, a gdzie nie, i że zawsze warto polegać na wskazówkach tych przewodników, jeść, gdzie piszą, spać, gdzie piszą itp. Nie zwracaliśmy przy tym najmniejszej uwagi tutejszych, przywykłych do tłumu turystów. Brakowało mi wówczas naszego synka, który jak magnes ściąga na nas zawsze w czasie podróży spojrzenia przechodniów, i pozwala nam tym samym ciut się do siebie zbliżyć. Jednym z punktów wycieczki była tak zwana „Biała Świątynia”. W słońcu lśniła jak coś zupełnie nierealnego, w stylu domek z bitej śmietany czy lukru. Wydawała się z daleka makietą, filmową dekoracją.

Jak się okazało, jej projekt to dość świeży wyczyn architekta tajlandzkiego, który poprzez kolorystykę chciał oddać potęgę i niewinność Buddy. Świątynia pełna jest szczegółowych wykończeń, bajecznych, ale i przerażających postaci, pokryta drobnymi srebrnymi kryształkami i posadowiona nad brzegiem sadzawki, w której odbija się w całej okazałości. Spacerując ku jej wejściu, natknęliśmy się na mostek przerzucony ponad fosą pełną figur rąk błagalnie wyciągniętych w górę, podtrzymujących tu i ówdzie ludzkie czaszki. To most symbolizujący przejście ze świata ludzkiego do boskiego. Weszliśmy więc na chwilę w ten drugi, a potem z falą innych turystów powróciliśmy do przyziemnej rzeczywistości i gnani równie przyziemnym pragnieniem, kupiliśmy sobie lody. Kolejne godziny podróży upłynęły nam pod znakiem rzadkich rozmów z współtowarzyszami. Do Chiang Khong dotarliśmy wieczorem. W porze zachodu słońca poszliśmy na spacer brzegiem rzeki Mekong... Niesamowite to było miejsce. Pełne spokoju i zanurzonego w mętnych wodach słońca. Tutejsi ludzie mieli tu domy w postaci wielkich łodzi, które powoli kołysały się, czekając na przyjsie nocy. Było wciąż upalnie. Po kolacji, którą mieliśmy w cenie rejsu, umówiliśmy się z dwoma młodymi chłopakami na bilard. No i się zaczęło! Towarzystwo było bardzo sympatyczne, składało się z dwóch kumpli, pochodzących z Wysp Owczych, którzy wybrali się w dwumiesięczną podróż po Azji. W pamiętnym barze o twardych ławach złamałszy dotychczasową zasadę prohibicji i pomimo zażywania silnych antybiotyków przeciwko malarii, skosztowaliśmy tajskiego piwa. Nie jednego, ale na szczęście nazajutrz o bladym świecie, obudziliśmy się w dobrych humorach...

Opcje spływu Mekongiem z Chiang Khong do Luang Prabang w Laosie są w zasadzie dwie. Jedna z nich to powolna, druga zaś – szybka łódka. Pierwsza płynie dwa dni, druga – sześć godzin. A trzeba przepłynąć drogą wodną trzysta kilometrów, więc to nie byle co! My byliśmy, niestety, gnani przez czas. Podróż przez cztery kraje miała się zmieścić w naszym przypadku w trzech tygodniach. To daje dość napięty harmonogram, w związku z czym zdecydowaliśmy się na „wysoce niepolecaną” speed boat. Dlaczego to niepolecaną? Ponieważ przez sześć godzin trzeba w niej siedzieć na wąskiej ławeczce, z tyłu mamy podpięty do łodzi silnik, który nadaje jej zawrotną prędkość od 50 do 70 km na godzinę i pędzimy tak całą drogę po rzece pełnej wirów. Zdarzało się też na szybkiej łodzi (i chyba nadal zdarza, o ile się nie mylę) wiele wypadków, więc kask i kamizelka są tu po prostu towarami nieodzownymi. Tuż po przejściu granicy, zaopatrzysz się w wizy w cenie 30 USD (na marginesie dodam tylko, że zdjęcie do tych wiz warto mieć ze sobą, bo zrobienie ich na miejscu jest dość drogie), wsiedliśmy na chybotałą łódkę. Cóż, być może wydam się niepoprawna, ale my kasków nie

mieliśmy. Kamizelki tylko na początku. Przez pierwsze chwile przyzwyczajaliśmy oczy do silnego wiatru, zasłaniając je po prostu pod powiekami. Nici z widoków – pomyślałam sobie w duchu, ale potem przyzwyczałam się i oglądałam wszystko, co mijaliśmy w czasie tej szalonej podróży. Na koniec dodam, że podobało nam się to! Ta szybkość, ten wiatr we włosach. Nieco uciążliwe były jedynie pojękiwania i narzekania starszego Amerykanina, nauczyciela w Sajgonie, którą klnął na czym ziemia stoi, ale to zapewne nie tylko w przypadku tej podróży. Miał po prostu paskudny charakter, co się okazało po krótkiej pogawędce na tarasie małej knajpki postojowej. Ach, te postoje! Co jakiś czas cumowaliśmy do brzegu, a tutejsi ludzie oferowali nam swoje smakołyki w niskich cenach albo dawali komuś na łodzi (było nas tam może z siedem osób, w większości miejscowych) coś do przewiezienia do dalszych miejscowości. Z perspektywy łodzi wydawało się, że woda to jedyne tu źródło transportu. Otaczał nas gęsty las. Tu i ówdzie spośród zieleni prześwitywały słomiane dachy chat albo mignęło nam jakieś poletko ryżowe czy pasąca się krowa. Obok celu podróży mijaliśmy wysokie góry, tym piękniejsze, że widziane o zachodzie słońca...

W Luang Prabang byliśmy już po zmroku. Wraz z Izraelczykiem, który również towarzyszył nam w podróży, zrzuciliśmy się na taksówkę do centrum miasta. Potem pozostało nam szukanie noclegu. Znaleźliśmy taki w świetnym hostelu o nazwie Mojo Guesthouse, w którym pracował pewien luzak – Amerykanin, co świetnie gotował, wieczorami grał jazz wraz z laoską kapelą i witał wszystkich z otwartymi ramionami, a potem mało kogo pamiętał (natłok turystów plus marihuana w fajce dawały swoje). Pokój dwuosobowy kosztuje tu ok. 15 euro za noc. Hostel dysponował też rowerami do wynajęcia, więc zaraz po rozpakowaniu się, pojechaliśmy nimi na zwiady. Chcieliśmy sprawdzić połączenia do Wietnamu. Zwiedziliśmy więc dwa dworce autobusowe, a przy okazji sporo miasta. Pełno tu było restauracji, hoteli, agencji podróży, czyli jak zwykle pełny pakiet. Na kolację wybraliśmy romantyczną knajpkę przystrojoną kolorowymi lampionami i zjedliśmy jak zwykle pysznie, acz niedrogo. Okoliczne agencje turystyczne stały otworem do późnych wieczornych godzin, toteż niespiesznie wybraliśmy jedną z nich i umówiliśmy się z sympatycznie wyglądającym przewodnikiem na całodniową wycieczkę w głąb buszu, wokół jego rodzinnej wioski. Ponieważ byliśmy jedynymi chętnymi na ten wypad, nie udało nam się targować pierwotnej ceny, ale nie należała ona przecież do najwyższych (ok. 400 000 kipów, czyli jakieś 38 euro za osobę). W porze, której nie wypada już nazywać wieczorową, a raczej nocną, przysłuchiwaaliśmy się jazzowemu mruczeniu w małej sali u wejścia do naszego hostelu, a potem (chcąc nie chcąc) przez szpary w drzwiach naszej sypialni...

Przewodnik poznany poprzedniego wieczoru należał do osób sympatycznych prawdziwie, a nie tylko dla celów turystyki. Czuliśmy się z nim jak z dobrym kolegą. Z rana, po uprzedniej wizycie w ambasadzie Wietnamu i złożeniu wniosków o wizy, (koszt to ok. 60 USD tego samego dnia), wyjechaliśmy w góry, do jego rodzinnej wioski, gdzie stały strzechy pokryte słomą, gdzie przechadzały się kury i gdzie pełno było poletek uprawnych ze wszystkim, czego dusza zapagnie. Najpiękniejsze zaś w tej prostocie były kwiaty o głęboko różowym kolorze, rosnące dziko w okolicy domostw. Wioska była naszym punktem wypadowym do czterogodzinnej wędrówki. Wraz z pokonywanymi kilometrami, znikwały powoli tereny uprawiane przez człowieka i wchodziliśmy w coraz gęstszy busz. Chwilami nie było widać już słońca nad naszymi głowami.

Otoczała nas wybujała, zielona i soczysta roślinność upiększona żywymi barwami dzikich kwiatów. Mogliśmy zrywać z drzew (ściślej mówiąc strącać kamieniami) pomarańcze gigantycznych rozmiarów. Kilka razy mignął nam w zaroślach lub na drodze tajemniczy wąż, widzieliśmy też kilka nieżywych, o intensywnie – zielonym kolorze.

Pierwszy postój zrobiliśmy na rozległej łączce zaopatrzonej w drewniane ławy, gdzie czekali na nas już obwoźni handlarze zimnymi napojami. Wypiliśmy po zimnym laoskim piwie i poszliśmy zwiedzać okoliczną jaskinię, w której wedle legendy zabłądził i już się nie odnalazł pradawny smok straszący niegdyś tę okolicę. Następnie kontynuowaliśmy naszą przechadzkę aż do pięknego wodospadu Kuang Si, którego główny strumień spada z wysokości sześćdziesięciu metrów, rozlewając się niżej w turkusowe baseny porzeczinane niskimi kaskadami. My znaleźliśmy się u jego początku, co pozwoliło nam obejrzeć jego potęgę z góry. Sporo czasu zajęło nam zejście na dół, po urwistej ścieżce, ale w końcu mogliśmy podziwiać go i z dołu. Tu zjedliśmy kanapki z kurczakiem, które przygotował nasz przewodnik, i mieliśmy sporo czasu na kontemplację hałaśliwego cudu natury. Dla chętnych był tu także basen z grubą liną do skakania, z której korzystali jeden po drugim, spragnieni uciechy śmiałkowie. My, niestety, zapomnieliśmy kąpielowych strojów! Późnym popołudniem wycieczka dobiegła końca, wróciliśmy do Luang Prabang i wsiedliśmy z powrotem na wypożyczone rowery. Tym razem pojechaliliśmy na przejażdżkę nad brzeg Mekongu. Zatrzymaliśmy się w jednej z knajpek na powietrzu i zamówiliśmy po koktajlu owocowym. Mieliśmy rzekę na wyciągnięcie ręki, ponad nią gasnące czerwone słońce, statki niespiesznie dobijające do brzegu, a wokół muzykę przemieszaną z gwarem turystów i miejscowych. Było już dawno po zmroku, gdy przejeżdżaliśmy przez „nocny bazar” migocący milionem światełek przyciągających wzrok, na którym kupiliśmy laoski specjał – whisky z kobrą i skorpionem w butelce. Na sam koniec zjedliśmy kolację przygotowaną przez znajomego już nam (mniej lub bardziej) Amerykanina, po czym poszliśmy wypocząć przed kolejnym dniem w podróży.

W ciągu dwóch poprzednich wieczorów szukaliśmy informacji, jak dostać się do Wietnamu nie główną drogą, wiodącą przez stolicę Laosu – Vientiane, lecz nieco mniejszą, okalającą kraj od południa. Znaleźliśmy w końcu interesujące nas połączenie z dworca autobusowego leżącego nieco na uboczu miasta. Dopytaliśmy o cenę, upewniliśmy się co do celu podróży, a potem dogadaliśmy się z kierowcą tuk-tuka, aby czekał na nas już w wczesnym poranku. Autobus odjeżdżał o wpół do dziewiątej. Mieliśmy ze sobą pieniądze „na styk”, aby nie musieć potem wymieniać ich nadmiaru na granicy z Wietnamem. Zaopatrzyliśmy się w suchy prowiant przy dworcowych budkach z jedzeniem i wsiedliśmy w nasz autobus. Droga była piękna i długa. Z okien widzieliśmy małe wioski, gdzie ludzie mieszkali na podwyższeniach uplecionych z prostych materiałów, takich jak suche liście i drewno. Jako prysznic służył im często pobliski potok. Mijaliśmy też dzikie, zielone łańcuchy górskie. Kondycja dróg nie należała do najprzedsiebniejszych, w związku z czym spędziliśmy w podróży całe długie godziny. Pod wieczór zaczęliśmy odczuwać głód, a nie mieliśmy już ze sobą laoskiej waluty. Na szczęście na jednym z przystanków wskoczyła w autobus para „białych” turystów, jak się później okazało – Francuzów, którzy poratowali nas w biedzie, wymieniając nam pięć euro, w sam raz na ciepłą kolację. Francuzi wysiedli w niewielkiej miejscinie, a my pojechaliliśmy dalej – ku upragnionej granicy. Jak wielkie było nasze zdziwienie, gdy o dwudziestej trzeciej autobus dojechał do celu swej podróży, a celem owym było

jakieś zupełnie nam nieznane miasto, ciągle po laoskiej stronie. Nawet o tak późnej porze znalazł się na miejscu taksówkarz oferujący nam swe usługi, cóż z tego, skoro nie mieliśmy, jak mu zapłacić. Trzeba było działać szybko, zważywszy na fakt, że w górskim klimacie znikł nagle upał, który znaliśmy z niższych partii tego kraju. Poszliśmy pieszo w kierunku miasta. Wkrótce natrafiliśmy na grupkę tutejszej młodzieży, która wyjaśniła nam na migi, że kantor otwiera dopiero o ósmej rano. Postanowiliśmy poszukać hotelu i spytać o ewentualną wymianę pieniędzy. Jeden z nich był zamknięty, kolejny – nie, lecz w słabo oświetlonej recepcji nie znaleźliśmy nikogo. W chwili, gdy akurat naciskaliśmy po raz wtóry na dzwonek, do hotelu zwlekła się grupa podchmielonych panów w średnim wieku. Wyjaśniliśmy im, że szukamy miejsca wymiany walut, ale nie rozumieli dostatecznie, o co nam chodzi. Przywołali jednak swojego kolegę, który szedł na dół w szlafroku i, jak się okazało, mówił po czesku. Był to Wietnamczyk, który na co dzień mieszkał w Pradze. Suma summarum dostaliśmy ładny pokój w niskiej cenie, za który nie musieliśmy płacić od razu. Panowie zaproponowali nam również podwiezienie do Wietnamu już nazajutrz rano. Co prawda, ich plany potem nieco się zmieniły, tak że zdani byliśmy nadal na komunikację autobusową, ale to, że rano obudziliśmy się wypoczęci i pełni energii, zawdzięczaliśmy właśnie im.

Do dziś nie wiemy, ile kilometrów dzieliło nas od Wietnamu z laoskiego miasta, w którym znaleźliśmy się przez przypadek. Ba, nie wiemy nawet, co to było za miasto! Dla jego mieszkańców czytanie mapy stanowiło nie lada problem, choćby dlatego, że pismo Azjatów zupełnie różni się od europejskiego. W każdym razie było to dość blisko. Tym bardziej zdziwiliśmy się, usłyszawszy cenę za przejazd autobusem, która przewyższała znacznie tę, którą zapłaciliśmy, jadąc tu z Luang Prabang (ta odległość wynosiła ok. 300 km). Nasze solenne postanowienie, aby nie dać się nabić w butelkę, zaowocowało więc decyzją o wypróbowaniu jazdy na stopa. Zczęsto się mozoliło, ale potem było już coraz lepiej. Po drodze podróżowaliśmy często „na pace” małych dostawczych ciężarówek. Międzynarodowa droga była tu po prostu ubitą nawierzchnią, pełną wybojów. Ale krajobraz wokół nas wynagradzał wszelkie trudy podróży. Poza tym kilku kierowców mówiło po angielsku, dzięki czemu mogliśmy poznać nieco szczegółów ich życia. Późnym popołudniem dotarliśmy wreszcie do granicy. Zatrzymaliśmy się na obiad, by wydać ostatnie laoskie pieniądze, a potem pieszo weszliśmy w okazałe graniczne budynki, gdzie urzędowali celnicy. Ci sprawdzili skrupulatnie nasze plecaki (nie znalazłszy jednak butelek trunków z ko-brą) i wymienili nam część pieniędzy na wietnamskie dongi. Mimo niekorzystnego kursu wymiany, jakiego można się przecież spodziewać na każdym przejściu granicznym świata, mieliśmy teraz przy sobie okrągły milion dongów wietnamskich w gotówce (czyli jakieś trzydzieści pięć euro). Za okazałymi budynkami na granicy, w których aż roiło się od podobizn sławnego wujka Ho, rzeczywistość mieszkańców pogranicznych wiosek nie rysowała się tak różowo. Ubóstwo aż kłuło w oczy, droga była w dużo gorszym stanie niż ta po laoskiej stronie, po ulicy walały się tony śmieci i płątały beapańskie zwierzęta, a ludzie snuli się po brudnych warsztatach, zakurzonych sklepach i skromnych domostwach. Do nas nie podchodzili od razu, ale i tak czuliśmy na sobie ich ciekawe spojrzenia. Zapytaliśmy o transport dalej, w stronę wybrzeża. Ktoś napomknął, że autobus odjeżdża dopiero jutro, więc kontynuowaliśmy naszą autostopową przygodę. Do późnego zmierzchu byliśmy w drodze. Za karoserią luksusowego jeepa,

który się dla nas zatrzymał, czuliśmy się jakby odgradzeni od tego, co na zewnątrz. Dawało nam to pozory nierealności ubóstwa wietnamskiego świata w jego wersji położonej z dala od centrów turystycznych. Widzieliśmy ciężarówkę wypełnioną drewnianymi balami, pośród których na znacznej wysokości siedzieli uczeplieni ludzie, nawet dzieci, bosi i w poszarpanych ubraniach. Całe wioski przechadzały się tu z wiadrami wody na plecach, bo dostępu do niej po prostu nie było w domach. Domy stanowiły tu przewiewne chaty, z których przeziarało na światło dzienne ubogie wyposażenie. A jednak niemal w każdym z nich znaleźć można było odbiornik telewizyjny i portrety Ho Chi Minha, legendarnego komunistycznego przywódcy Wietnamu. Późnym wieczorem nasz kierowca zatrzymał się w małej miejscinie, gdzie zamówił wraz z kolegami posiłek. My też zostaliśmy coś zjeść, a potem z pomocą miejscowych, znaleźliśmy hotelik w opłakanym stanie, lecz szczęśliwi byliśmy, że w ogóle tam istniał. I kolejnej nocy zasnęliśmy spokojni, nie wiedząc nawet, gdzie dokładnie jesteśmy.

Autobus w kierunku „cywilizacji” odjeżdżał dość wcześnie, bo już o szóstej rano. W ścisku ludzi spieszących do pracy, szkoły i w tak zwanych interesach nie mogliśmy liczyć na więcej niż na miejsce stojące. Stojąc zaś w samym centrum, byliśmy głównym punktem programu, znacznie ożywiającym monotonną jazdę o świcie. Nie rozumiejąc ani słowa, wiedzieliśmy, że temat dotyczy nas. Ludzie dopowiadali coś jeden po drugim, a potem śmiali się do rozpuku. Mój mąż podłapał konwersację z jednym młodym chłopakiem stojącym tuż obok niego, oglądali wspólnie banknoty różnych krajów z portfela tego pierwszego (niech żyje zapobiegliwość i ostrożność podczas dalekich podróży na dziko!), wspominali nazwisko jednego z polskich piłkarzy grających w niemieckiej drużynie, oglądali portretowe zdjęcia. Chłopak znał wszak trochę angielskiego, nadzwyczaj często używał jednego zwrotu: „number one”, którym określał niemal całą rzeczywistość. Kilka dni później doznaliśmy olśnienia, słysząc te słowa jako slogan w jednej z reklam orzeźwiających napojów. Poza tym, ściskani przez napierający coraz bardziej z każdym nowym pasażerem zabieranym po drodze tłum, byliśmy też przez niego specyficznie... obwąchiwani (!). Pośród Azjatów panuje bowiem przekonanie, że biali bardzo śmierdzą. Niestety, z braku znajomości lokalnej mowy, nie byliśmy pewni, jak też wypadliśmy w drodze praktycznego testu. Po upływie trzech godzin wysiedliśmy na dworcu w mieście Nam Dinh, gdzie zaopatrzyliśmy się w świeże bułeczki i wsiedliśmy w kolejny autobus, tym razem w kierunku Haiphong i zatoki Ha Long. Padał rześisty deszcz, w związku z czym podróż była bardzo usypiająca. Po przesiadce w mniejszego busa, dotarliśmy w końcu do celu podróży. Kierowca wyrzucił nas na środku szerokiej drogi, dalej musieliśmy radzić sobie sami. Pieszko dotarliśmy do kurortu położonego nad samą zatoką. Tutejsza rzeczywistość znacznie odbiegała od tej zastanej w nieznanach górskich terenach, a streścić można ją było w jednym słowie – luksus. Wkrótce znaleźliśmy pokój w pięknym hotelu, który nie kosztował drogo z racji martwego sezonu turystycznego (niedrogo, czyli jakieś 30 USD). Hotel, obok swej zasadniczej funkcji, spełniał także szeregi innych, był między innymi biurem turystycznym, w którym wykupiliśmy wycieczkę statkiem po zatoce następnego dnia (za cenę ok. 30 USD od osoby). Poszliśmy zjeść świeże krewetki z warzywami, pospacerować po plaży i nocnym bazarze, na którym aż roiło się od pamiątek z symbolami komunistycznej wspaniałości tego kraju. A potem, na wspaniałym widokowym tarasie u wejścia do naszego pokoju, nie mogliśmy się długo nadziwić, jak wielka jest tu przepaść pomiędzy bogactwem a biedą.

Nad ranem niebo spowijał gęsty kożuch chmur. Pojechaliliśmy do przystani statków i wraz ze sporą grupką turystów załadowaliśmy się na jeden z nich. Małownicza zatoka Ha Long, którą zamierzaliśmy opłynąć, jest jedną z największych turystycznych atrakcji Wietnamu. Zawdzięcza ów statut setkom spiczastych skał wystających spod powierzchni wody na kształt mnóstwa małych wysepek. Płynąc statkiem, lawirowaliśmy wśród nich, podziwiając piękno tego niezwykłego zakątka świata. Obok piękna, nie dało się tu, niestety, nie zauważyć i smutnej egzystencji zwyczajnych ludzi morza. Ci wypływali na małych łodziach i nagabywali pasażerów większych statków do kupna owoców, które mieli ze sobą. Handlarze z małymi dziećmi, podnosili je na wysokość głowy i przystawiali do okien turystycznych statków, aby tym samym zwiększyć szanse powodzenia transakcji. Jednym z punktów programu wycieczki były obowiązkowe już kajaki, więc po jakimś czasie zatrzymaliśmy się, aby na chwilę zmienić środek transportu. Na miejscu okazało się, że za wypożyczenie kajaku należy się dodatkowa opłata! Nie tylko my byliśmy tym faktem zdziwieni i zniesmaczeni, ale wkrótce trzeba nam było się doń przyzwyczaić. Wietnam to kraj wybitnie komunistyczny. Ludzie radzą tu sobie, jak mogą, a naciąganie i oszukiwanie innych należy do najpopularniejszych sposobów na przetrwanie. Poza tym lata skutecznej propagandy wymazały z oblicz większości Wietnamczyków uśmiech. W porównaniu z Tajami, na przykład, tutejsi ludzie są po prostu bardzo smutni. Wraz z mężem i dwójką Czechów zdecydowaliśmy się zamienić kajaki na małą łódź napędzaną siłą ramion wątlej kobiety. Mój mąż uiścił opłatę za ów przejazd, płacąc połowę organizatorowi wycieczki, a drugą połowę – owej kobiecie. Niestety, po opuszczeniu stateczku, biedaczka została oskubana nawet i z tego. My tymczasem popłynęliśmy dalej, w kierunku pięknej jaskini, której niezwykłość była odpowiednio wyeksponowana światłem w różnych barwach. Jaskinia była niesamowicie wysoka, a w jej wnętrzu aż roiło się od delikatnych, perłowych form skalnych, rzeźbionych tu przez wieki przez potęgę wodnego żywiołu. Spacer po jaskini trwał jakąś godzinę, po czym zwinęliśmy się z powrotem na pokład, aby zjeść lunch złożony, jak przystało na posiłek na pełnym morzu, wyłącznie z jego owoców. Próbowaliśmy ryby w pomidorach i cytrynowej trawie, ostrąg, kałamarnic i ośmiornic. Podczas obiadu, oprócz pary z Czech, poznaliśmy także sympatycznego Francuza, który okrążał w rok nasz piękny glob. Na koniec dotarliśmy do małej plaży na wyspie, której czubek wspinał się śmiało w górę. Ja wskoczyłam do wody, reszta ekipy zaś poszła w górę, podziwiać panoramę wysepek na Ha Long. Późnym popołudniem zakotwiczyliśmy u brzegu, poszliśmy po plecaki do hotelu, na świeży zastrzyk witaminowy w postaci koktajlu wyciskanego na miejscu z egzotycznych owoców i do autobusu w kierunku Hanoi, stolicy Wietnamu. Miasto zwiedziliśmy powierzchownie, z perspektywy trasy na główny dworzec kolejowy, gdzie gnaliśmy u boku znajomych nam już Czechów. Nocą Hanoi było piękne, wysiedliśmy tuż przy brzegu lśniącego od miliona światła jeziora, a po drodze mijaliśmy setki turystów i miejscowych. Ludzie siedzieli tu na chodnikach, łuskając pestki słonecznika z łupek, których ścielił się później na ziemi gruby szary dywan. Do celu dotarliśmy około dwudziestej drugiej. Pociąg do Sajgonu odjeżdżał godzinę później. Kupiliśmy bilety (52 USD za osobę, miejsca siedzące, w tysiącokilometrową podróż, trwającą trzydzieści godzin) i poszliśmy coś zjeść na miasto. Godzinę przed północą zabrzmiał gwizdek do odjazdu, pociąg szarpnął i powoli potoczyliśmy się w kierunku południa kraju.

Kolejny dzień spędziliśmy w pociągu. Nocą wyspaliliśmy się dość dobrze, dzięki ciepłym śpiworom i czarnym opaskom na oczy. Nad ranem zaczęli serwować jedzenie. Były jajka na twardo, kurczaki, ryż i zawijasy z mięsem. Wszystko to bardzo smaczne, choć mało przypominające lekkostrawne śniadanie. Za oknem przewijały się wciąż te same krajobrazy – nieskończone zielone pola ryżowe, tonące w deszczu, przemoczeni ludzie i bydło, małe osady, wartkie rzeki. W porze zachodu słońca widzieliśmy też urwisty brzeg morza, tonący w ostatnich promieniach. Chodziliśmy też na krótkie wycieczki po wrzątek, do kibelka, do umywalki i na fajkę w korytarzu. Począwszy od Laosu bowiem staliśmy się na czas podróży nałogowymi palaczami. Powodem takiego obrotu sprawy była fantastycznie niska cena papierosów (niecałe pół euro za paczkę). Gdy słońce gasło na niebie, ułożyliśmy się znów do snu. Czekala nas jeszcze jedna noc w rytmicznym stukocie kół. O szóstej rano dotarliśmy do miasta Ho Chi Ming, znanego przez nas jako Sajgon.

Poranki w dni, kiedy potem żar leje się z nieba, mają w sobie jakiś szczególny urok. Jest przyjemnie ciepło, okolica powoli budzi się do życia, a ty jesteś jedną z niewielu osób, która może to obserwować. Tak też wyglądał poranek w Sajgonie, pomimo lekkiego zmęczenia długą podróżą, chłoniliśmy z niego, co tylko się dało, radośni i ciekawi przygód. Skusiliśmy się znów na świeży sok na śniadanie i na kanapki z warzywami. Szukaliśmy miejsca, skąd odjeżdżają autobusy do Kambodży, co rusz pytając przechodniów o drogę. Po godzinie marszu udało nam się znaleźć autobus do Phnom Pen. Na granicy czekaliśmy krótką chwilę, którą zajęło wyrabianie wizy za 20 USD, a potem bez przeszkód wyruszyliśmy dalej. Kambodża z perspektywy autobusowej szyby wydawała się krajem nieco ładniejszym od Wietnamu, bardzo zielonym i podmokłym; drewniane domy stały tu niemal wszystkie na podwyższeniu. Nie brakowało oczywiście politycznie zabarwionych plakatów ze wspaniałomyślnymi rządzącymi tym krajem. Wczesnym popołudniem osiągnęliśmy cel naszej podróży, a zaraz potem zaczęliśmy rozglądać się za transportem do Siem Reap, miasteczka wypadowego do świątyni Angor Wat. Droga ku niemu ciągnęła się w nieskończoność, o co bez zastanowienia można winić jej kiepską kondycję. Po całodziennnej podróży znaleźliśmy się w końcu w zatłoczonym centrum tej iście turystycznej miejscówki. Zaczęliśmy się rozglądać za miejscem do spania. Pierwszy z hosteli, na które napotkaliśmy, był już szczelnie wypełniony. Za to w drugim, leżącym nieco na uboczu, z tabliczką potwierdzającą jego rekomendację przez przewodniki Lonely Planet, znaleźliśmy przyjemnie czysty pokój w niskiej cenie (może 8 euro za dwójkę). Następnie wsiedliśmy już zwyczajowo na rowery i udaliśmy się na poszukiwania pralni, które to z racji godzin zamknięcia przełożyliśmy na kolejny dzień. Z rana, po sycącym śniadaniu, wsiedliśmy na siodelka i ruszyliśmy ku oddalonej o jakieś sześć kilometrów od centrum Siem Reap, potężnej świątyni Angor Wat. Najpierw musieliśmy zapłacić za wstęp na całodziennie zwiedzanie – 20 USD, potem droga była nasza, a trzeba zaznaczyć, że w ogromnym skwarze zapuszczaliśmy się coraz głębiej w zieloną dżunglę. Odgłos zwierząt, żab i ptaków, jaki mogliśmy tu usłyszeć, był po prostu oszałamiający. Po chwili naszym oczom ukazał się zarys Angor Wat – największej z kompleksu świątyń Angor. Przeszedłszy wał otoczony przez wodną sadzawkę, weszliśmy po schodkach do pierwszych świątynnych galerii. Panował tu przyjemny chłód, a korytarze ozdobione wymyślnymi reliefami zdawały się nie mieć końca. Kolejne dwie galerie z murów były położone nieco wyżej od poprzednich, w samym środku zaś znajdowała się największa wieża świątyni. Zmurszałe ściany i chwiejne, nadgryzione zębem czasu schodki, nadają temu miejscu tajemniczego charakteru.

Kompleks świątyń Angkor leży na rozległym terenie około 400 km². Nie sposób więc zwiedzić ich wszystkich w jeden dzień. Wedle przewodników, dobrze poświęcić temu rejonowi tydzień, jednak chcieć i móc, w przypadku naszej wyprawy, zupełnie się nie uzupełniało. My mieliśmy zaledwie jeden dzień. W dodatku byliśmy na rowerach, więc obszar świątyń w naszym zasięgu nieco się kurczył. Tak czy siak, włożyliśmy w pedałowanie maksymalny wysiłek i przejechalśmy łącznie jakieś trzydzieści pięć kilometrów. Po drodze zatrzymywaliśmy się we wszystkich napotkanych świątyniach, z których każda miała w sobie coś wyjątkowego. Na samym końcu, po oberwaniu chmury, które pozostawiło nas mokrymi jak kaczki, trafiliśmy do świątyni Ta Prohm, która swą sławę zawdzięcza po części Angelinie Jolie, skaczącej po rozległych korzeniach drzew we wnętrzu świątyni w filmie „Tomb Raider”. Miejsce to, dzięki potężnym korzeniom drzew, rozbijającym dzieło rąk człowieka, od środka pełne jest niepowtarzalnego uroku. Byłoby wprost rajem do zabawy w chowanego! Po całodiennej eskapadzie w cień średniowiecznych budowli, wróciliśmy do Siem Reap. Mój mąż pojechał jeszcze nad jezioro, nad którym żyją krokodyle (jednak dojechał tam już po zmroku i żadnego nie zobaczył), ja przeniosłam nasze plecaki z hostelu do agencji turystycznej, skąd mieliśmy jechać nocnym autobusem nad wybrzeże Kambodży. Autobus odjechał o dwudziestą. Rozłożyliśmy się wygodnie w fotelach-łóżkach i zasnęliśmy kołysani rytmiczną jazdą.

Nazajutrz obudziliśmy się w Silhanoukville, oddalonym o niemal pięćset kilometrów od Siem Reap, nadmorskim miasteczku. Pojechalśmy tuk tukiem nad samą plażę, a tu znaleźliśmy wycieczkę na pełne morze, połączoną tradycyjnie już z nurkowaniem i lunchem. Popłynęliśmy na małą wysepkę, wolną od masowego turystycznego ruchu, gdzie plaże były po prostu rajskie. Do woli korzystaliśmy z ciepłej kąpieli, chodziliśmy po lesie, gdzie odgłosy owadów były tak silne, że nie dało się cicho rozmawiać, spacerowaliśmy bez końca po ciepłym piasku. W tym miejscu życzylibyśmy sobie zostać nieco dłużej. Uspokoić się, pozbiierać myśli, odpocząć. Niestety, trzeba nam było spieścić się do Bangkoku, skąd odlatywaliśmy w przeciagu niecałych dwóch dni. Wieczorem, na plażach Silhanoukville, usadowiliśmy się w jednym z otwartych barów i zamówiliśmy kilka drinków na spróbowanie (jeden kosztował trzy dolary, więc mogliśmy nieco zaszaleć, oblewając koniec brania okropnych antybiotyków). Zjedliśmy pyszną kolację ze świeżych owoców morza i powędrowaliśmy na autobus do Bangkoku. Tym razem nie było nam tak wygodnie, jak poprzednio. Siedzieliśmy stłoczeni na twardych siedzeniach, próbując złapać choć trochę snu. Na granicy czekaliśmy na przesiadkę w małego busa do stolicy Tajlandii. Droga trwała nieprzyzwoicie długo, gdyż na miejsce dotarliśmy dopiero o osiemnastej. Stargowawszy z kierowcą tuk tuka cenę wycieczki o połowę, w deszczu i plastikowych pelerynkach zwiedzaliśmy największe świątynie Bangkoku. Potem znaleźliśmy na szybko nocleg, poszliśmy na ostatnie zakupy i po raz ostatni do ulicznego baru, by w końcu późną nocą paść do łóżek. Po trzygodzinnym śnie, zerwaliśmy się do taksówki na lotnisko i odlecieliśmy z upalnej Tajlandii, przez Emiraty Arabskie (tu przesiadka nasza trwała, bagatelka, dwanaście godzin!) ku chłodnej, jesiennej Europie. Nasza pierwsza wyprawa do Azji zaostrzyła jedynie apetyty, by kolejny raz wybrać się w te rejony, być może na nieco dłużej. Spotkaliśmy krajobraz i kulturę tak różne od znanych nam dotychczas, a jednocześnie niezwykle pasjonujące, ciekawe i przyjazne dla każdego turysty – „świeżaka” czy też starego wyjadacza.

Aleksandra Podgrudna

Tajlandia Kambodża 2012



Termin: 30 października 2012 r. – 21 listopada 2012 r.

Trasa: Warszawa – Kraków – Berlin – Abu Dhabi – Bangkok – Siem Reap – Phnom Penh – Sihanoukville – Koh Rong – Sihanoukville – Bangkok – Abu Dhabi – Berlin – Kraków – Warszawa

Wizy:

Tajlandia – brak; Kambodża – <http://www.mfaic.gov.kh/evisa/?lang=Pol> – 25 \$

Waluta:

Tajlandia – bat – 10 THB = 1 zł (wszędzie i za wszystko zapłacimy również dolarami)
Kambodża – riel – 1000 RHL = 1 zł (głównie posługiwaliśmy się jednak dolarami, ale warto wymienić i posiadać pewną sumę rieli)

Zdrowie:

Szczepienia obowiązkowe – brak (zalecane: WZWA, WZWB, Dur Brzuszný, Polio, Wścieklizna).

Ochrona antymalaryczna – preparat zawierający DEET 50% (do nabycia na allegro, polecamy Mugga Roll-on, bardzo wydajna) – rzecz niezbędna, moskitiery nie wyciągnęliśmy z plecaka, malaron byłby przesadą).

Kłopoty żołądkowe – przestrzegając podstawowych zasad (nie pijemy wody niebutelkowanej, nie pijemy napojów z lodem, myjemy/dezynfekujemy ręce, jemy tam, gdzie jedzą mieszkańcy), uniknęliśmy większych kłopotów i sensacji.

Pogoda:

Listopad to dobra pora na wyprawę w ten rejon świata – nie jest jeszcze zabójczo gorąco, a deszcze zdarzają się rzadko i szybko przechodzą (na 3 tyg. padało 4 razy i tylko raz cały dzień, w dniu naszego wylotu).

Bezpieczeństwo: Czułam się bardzo bezpiecznie, choć zawsze należy zachować zdrowy rozsądek i pilnować swoich rzeczy, nie ważne, czy w Europie, czy w Azji. W razie kłopotów w Tajlandii funkcjonuje policja turystyczna (mniej skorumpowana i bardziej godna zaufania niż tradycyjna) – nr tel: 1155 (z lokalnej karty pre-paid).

DZIENNIK PODRÓŻY

30 października 2012 r.

Wylatujemy z Krakowa. Najpierw samolotem AirBerlin do Berlina, potem do Abu Dhabi, w którym przesiadamy się w samoloty Etihadu do Bangkoku (łącznie podróż trwa ok 30 h, cena biletu 2250 zł).

Dzień 1 (31 października)

Łądujemy w Bangkoku ok. godz. 18.00. Na parkingu przed halą przylotów są punkty, w których przydziela się taksówki, ustalając od razu cenę. Cena taksówki z lotniska w okolice Kao San Rd – ok. 16 \$ (łącznie z opłatą za autostrady). Zatrzymujemy się w hotelu Rambutti Village. Hotel bez zastrzeżeń i nawet ma basen na dachu. Szybki prysznic, krótki odpoczynek i na miasto. Jet lag daje o sobie znać. Mimo trzydziestu godzin podróży, nie chce nam się spać.

Dzień 2 (01 listopada)

Przemierzamy się albo tuk-tukami, albo na piechotę. Zwiedzamy:

- Wat Chana – świątynia najbliższej naszego hotelu, trafiamy tu przez przypadek. Warto trafić przez przypadek.
- Pałac królewski i Wat Phra Kao (Świątynia Szmaragdowego Buddy); panie – spódnice lub spodnie za kolana, chustki okrywające ramiona zostawcie w hotelu, zabierzcie t-shirty, bo będziecie zmuszone kupić na miejscu, co oznacza cenę z kosmosu za niegustowny worek, panowie – spodnie za kolana. Z ochroną kompleksu nie ma dyskusji; bilet wstępu – 350 BHT, warto, choć tłoczno.
- Targ amuletów, na który trafiliśmy zupełnym przypadkiem – także tu, gdzieś na ulicy, jemy najlepszą zupę wyjazdu (30 BHT).
- Wat Pho, czyli świątynia leżącego Buddy (jest naprawdę ogromny i robi wrażenie). Ponadto polecamy całe otoczenie świątyni: zabudowania klasztorne i szkoły masażu; bilet wstępu – 100 BHT, warto.

Zachód słońca oglądamy na nabrzeżu, podziwiając rozświetlającą się po drugiej stronie rzeki Wat Arun.

Wracamy do hotelu, po krótkim odpoczynku ruszamy na miasto na kolację. Wybieramy China Town i jest to strzał w dziesiątkę, zarówno ryba, jak i owoce morza są doskonałe, kolacja życia w śmiesznej cenie (ok. 150 BHT).

Dzień 3 (02 listopada)

Tym razem bierzemy taksówkę, bo chcemy się zorientować, czy mamy aktualne informacje dotyczące pociągu do granicy z Kambodżą. Jedziemy na dworzec Hualampong, gdzie dowiadujemy się, że pociąg kursuje dwa razy dziennie, ale aby zdążyć przed zamknięciem granicy, musimy wyjechać tym o 5.55 rano, bilet można kupić jedynie w dniu wyjazdu.

Cena biletu do stacji końcowej (Aranyaphratet) – 48 BHT. Rozkład jazdy (<http://www.etajlandia.pl/images/pics/0202/Rozklad%20jazdy%20pociagow%20w%20Tajlandii%20-%20Linia%20wschodnia.pdf>), podróż trwa ok. 7 h.

Obecnie przejście graniczne otwarte jest do godz. 20.00!

Z dworca przemieszczamy się metrem do centrum, żeby zwiedzić Lumpini Park (wysiadamy na stacji Humvit). Jest to ogromny park w centrum miasta. Po kilku godzinach spędzonych wśród zieleni z naładowanymi akumulatorami ruszamy podziwiać down town nocą, zjeść kolację i spotkać się z K. Znalezienie się z kimś w okolicach stacji BTSu – Asoke lub Nana, graniczy z cudem. Po jednej stronie mamy ogromne nowoczesne centrum handlowe, po drugiej zwykłe tajskie życie uliczne, po środku tego wszystkiego dwupasmówka, a nad nią BTS. Metropolia. Gubimy się w uliczkach, żeby znaleźć dogodne miejsce na kolację. Tuk-tuk do hotelu – 20 BHT.

Dzień 4 (03 listopada)

Wstajemy o bladym świcie, łapiemy taksówkę na dworzec (taksiarze nie są szczególnie chętni, aby wozić kogokolwiek o tej porze, a zwłaszcza za przyzwolitą, w naszym mniemaniu, kwotę. Ostatecznie płacimy ok 200 BHT). Na dworcu jesteśmy znacznie wcześniej, kupujemy bilety, rozkładamy się na plastikowych krzesłach, robimy zakupy na czekającą nas podróż.

Pociąg rusza punktualnie. Wesoła podróż trwa ok. 7 h. Na miejscu jesteśmy ok. 13.00.

Na dworcu w Aranyaphratet spotykamy uśmiechniętego policjanta policji turystycznej, który pomaga nam znaleźć tuk-tuka i ustalić cenę za przewóz do granicy. Ponieważ wizy już mamy, jedziemy prosto do granicy Aranyaprethet/Poipet. Wyjazd z Tajlandii to chwila formalności, natomiast kolejka do przejścia z Kambodżą jest długa i niezbyt wesoła. Upał, kurz i duchota odbierają siły i zapał. Zanim przekroczymy granicę, zostawiamy skan odcisków wszystkich dziesięciu palców, trzeba także zostawić kopię swojej wizy, wystarczy czarno-biała, ale musi być.

W Poipet nie ma mafii taksówkowej, a transport turystów jest zorganizowany. Mamy do wyboru albo bilet na autobus (tańszy), albo na taksówkę; decydujemy się na to drugie, ze względu na czas i wygodę i za 50 \$ kupujemy bilet do Siem Reap (jest to opcja dla leniuchów, sknery mogą iść do miasta i tam szukać tańszego przewozu). Taksówkarz nie mówi po angielsku, ale jest bardzo sympatyczny i ogromnie dumny ze swojego dokumentu prawa jazdy.

Podróż trwa ok. 5 h. Na miejscu przesiadamy się do tuk-tuka, który dowozi nas do wybranego hotelu.

W Siem Reap zatrzymujemy się w hotelu Riverside (Polecamy!).

Dzień 5 (04 listopada)

Wszędzie kręci się mnóstwo chłopaków, którzy bardzo chętnie przygarną turystów pod dach swojego tuk-tuka, nam udało się pod samym hotelem spotkać Somrosa, który nie dość, że mówił po angielsku, to zechciał zostać naszym szoferem na cztery kolejne dni w cenie, jak na naszą czwórkę, niewygórowanych 15 \$ za dzień. Gdybyście potrzebowali kogoś mówiącego po angielsku, kto was zawiezie, odwiezie, poczeka i generalnie się zaopiekuje, polecamy Somrosa, naszego tuk-tuk drivera, który sprawił, że udawało nam się unikać tłumów w Angkorze, za co będziemy mu zawsze wdzięczni. Jego tel. to: [855] 92 299 775 lub [855] 80 299 775, e-mail: imsomros@yahoo.com.

Pierwsze trzy dni wozi nas po Angkorze, czwartego zawiezie nas nad jezioro Tonle Sap. Trzydniowy bilet wstępu do Angkoru kosztuje 40 \$ i na taki się decydujemy.

Bilet jest imienny i ze zdjęciem. Pierwszego dnia udało nam się zobaczyć:

- Angkor Wat, którego zwiedzanie zajęło nam ok. 5 h w zwalającym z nóg upale.
- Basei Chamkrong.
- Zachód słońca na Phnom Bakheng (wpuszczana jest ograniczona liczba osób, tak że trzeba być nieco wcześniej).

Dzień 6 (05 listopada)

Wstajemy o godz. 4.30, aby zobaczyć wschód słońca przed Angkor Wat. Jedziemy w kompletnych ciemnościach. W okolicach świątyni spędzamy ok. godziny (zdecydowanie warto wstać o tej niehumanitarnej godzinie, wschód i atmosfera robią wrażenie!), potem biegniemy na szybkie śniadanie i ruszamy zwiedzać kolejne świątynie. Poniżej opracowana przez Somrosa kolejność, która pozwoliła nam choć odrobinę uciec od tłumów Japończyków w identycznych czapczkach:

- Ta Phrom,
- Ta Keo,
- Thommamon,
- Chau San Tevoda,
- Phmeahakas,
- Baphuon (zamknięta, więc podziwialiśmy jedynie z zewnątrz),
- Bayon.

Przed zachodem słońca wracamy do hotelu, umęczeni, ale pełni wrażeń, wyruszamy na kolację na mieście i drobne zakupy na nocnym targu.

Dzień 7 (06 listopada)

Dziś możemy pospać, po 10.00 ruszamy na nasz ostatni dzień w Angkorze. Według planu zwiedzamy:

- Prasat Prei Rup,
- Ester Mebon,
- Ta Som,
- Neak Pean,
- Preah Khan.

Ostatnia ze świątyń robi na nas ogromne wrażenie, tym bardziej jest nam żal, że to już koniec. Gdybyśmy mieli więcej czasu, z pewnością poświęcilibyśmy na Angkor cały tydzień. Do hotelu ponownie wracamy już po zachodzie słońca.

Dzień 8 (07 listopada)

Z Somrosem jesteśmy umówieni na godz. 13.00, ma nas zawieźć nad jezioro Tonle Sap. Po drodze oglądamy piękną kambodżańską prowincję z domami na palach. Są to już tereny zalewowe, choć w czasie, gdy tam jesteśmy, woda jest niska i jezioro zaczyna się kilka kilometrów dalej. W końcu docieramy na lokalną przystań, gdzie za 15 \$ od osoby, wynajmujemy łódź. Płyniemy do wioski na palach, gdzie przesiadamy się do małej łódki, którą robimy rundkę po wiosce i lesie mangrowców (5 \$), na koniec wycieczki podpływamy do pływającej restauracji na obiad. Jemy tu najdroższy (choć bardzo smaczny) w całej podróży posiłek, ponieważ mamy świadomość tego, że każdy wydany tu dolar wspiera mieszkańców wioski, nie marudzimy przesadnie na ceny.

Kończymy posiłek i pędzimy na zachód słońca na jeziorze. Słońce zachodzi spektakularnie, ale ciemno robi się z minuty na minutę, więc szybko zbieramy się w drogę powrotną. W połowie drogi otaczają nas egipskie ciemności, ryk silnika spalinowego i niezliczone gwiazdy oglądane z dziobu łodzi. Dobijamy do przystani prawie po omacku, umiejętności naszego kapitana robią na mnie wrażenie, a na ląd dostajemy się, przeskakując z jednej łodzi na drugą w zupełnych ciemnościach. Jak dla mnie super! Somros, jak zawsze niezawodny, czeka i odnajduje nas w tych ciemnościach.

Dzień 9 (08 listopada)

W centrum Siem Reap znajduje się niepozorny dworzec autobusowy, dzień wcześniej kupujemy tam bilet na autobus do Phnom Penh w cenie ok. 12 \$.

Autobus rusza z małego przystanku w okolicach centrum Siem Reap, po drodze, na większym dworcu przesiadamy się do innego autobusu, który wiezie nas już bezpośrednio do stolicy. Droga jest wesoła. W autobusie jest telewizor, a w nim lokalne przeboje karaoke (ponoć ulubiona rozrywka Khmerów), droga raz jest, raz jej nie ma, a widoki piękne i zaskakujące (konkurs na najdziwniejszą rzecz przewożoną na skutek wygrawaj żywe świny i bryła lodu). W stolicy jesteśmy po 10 h.

Na dworcu bierzemy tuk-tuka do hotelu, a zatrzymujemy się w Star Wood Inn.

Ja osobiście tego miejsca nie polecam ze względu na pokoje bez okien, ale jeżeli komuś to nie przeszkadza, to jest czysto, jest ciepła woda i nienajgorsze śniadania. Po prysznicu i chwili odpoczynku ruszamy na zwiedzanie miasta, na piechotę docieramy do placu przed Pałacem Królewskim, gdzie, w charakterze rodzinnego pikniku, trwa czuwanie żałobne po śmierci króla Sihanouka. Spacerujemy wzdłuż rzeki, skręcając najpierw w ulicę 104 (czerwona aleja Phnom Penh), a następnie 108, w kierunku centrum, aż docieramy do nocnego targu rybnego. Przy tej samej ulicy co targ znajdujemy małą, pełną Khmerów restaurację. To tu próbujemy żaby, węża, ryb i krabów. Mamy pewność, że produkty są świeże ze względu na bliskość targu, a sami widzieliśmy, że to, co jest tam sprzedawane, niejednokrotnie próbuje ucieczki przed śmiercią.

Dzień 10 (09 listopada)

Nie spieszy nam się, wstajemy po 9.00, jemy spokojne śniadanie w hotelu. Dziś przed nami ciężka przeprawa z Tuol Sleng i Polami Śmierci, ale najpierw w planach mamy Pałac Królewski. Gdy docieramy na miejsce, okazuje się, że Pałac będzie otwarty dopiero po południu, więc zmieniamy plany i tuk-tukiem jedziemy do S-11. Przeżycie jest ogromne i do spółki z upałem, wykańczające. Nikt z nas nie ma już siły na Pola Śmierci.

Pojechaliśmy zatem na rosyjski bazar, a następnie do otwartego już Pałacu Królewskiego, żeby zobaczyć słynną Srebrną Pagodę. Bilet wstępu do kompleksu kosztuje 25 000,00 rieli.

Następnym punktem zwiedzania była Wat Phnom i kolejny lokalny targ, tym razem nieco przypominający bazar pod dachem, gdzie w centrum budynku, pod kopułą, znajdują się lady z biżuterią, natomiast w odnogach budynku – stragany ze wszystkim. Miejsce ewidentnie nieturystyczne, gdyż na próby targów panie reagują pogardliwym prychnięciem.

Stąd mamy blisko do naszej ulubionej knajpki przy targu rybnym, jesteśmy nieco wcześniej niż poprzedniego dnia, więc widzimy, że przed zachodem słońca targ prawie

nie istnieje. Jemy kolejną pyszną kolację, a w drodze powrotnej do hotelu słyszymy wystrzały. Okazuje się, że przed Pałacem Królewskim, nad rzeką, ma miejsce pokaz sztucznych ogni z okazji święta niepodległości Kambodży. Mamy szczęście.

Dzień 11 (10 listopada)

W hotelu kupujemy bilet z Phnom Penh do Sihanoukville za 18 000,00 rieli.

Bus spod hotelu zabiera nas ok. 7.00 i wiezie prosto na dworzec. Droga do Sihanoukville przypomina tę z Siem Reap, raz jest, raz jej nie ma, choć tym razem znika nawet płatna autostrada. W autobusie już nie tylko karaoke, ale także teleturnieje. Jest wesoło, choć ilość decybeli przyprawia o ból głowy.

Podróż trwa ok. 7 h, na miejsce docieramy zatem późnym popołudniem.

Zatrzymujemy się w hotelu Zana House – polecamy, gdyż hotel jest nowiutki, pachnący i tani.

Po południu idziemy dowiedzieć się o łódź i miejsca noclegowe na Koh Rong. (wszystkie informacje tu: <http://www.travelfish.org/blogs/cambodia/2013/04/09/where-to-stay-on-koh-rong/>)

Wieczór to plaża, drinki i sztuczne ognie.

Dzień 12–16 (11 listopada – 15 listopada)

Rano bus zabiera nas do portu. Podróż jest koszmarem, niby krótka, ale bus jest zapakowany do granic, jest duszno, gorąco, wszyscy z plecakami i do tego niewiarygodne wertepy. Na szczęście po godzinie docieramy na przystań i przesiadamy się na łódź, którą płyniemy na wyspę. Pierwszy raz rzeczywiście psuje się pogoda, jest zimno i leje, ale gdy docieramy na wyspę, pogoda poprawia się na tyle, że spokojnie możemy doczłapać plażą do bungalowów. Zatrzymujemy się w Paradise Bungalows (mieliśmy szczęście, że znalazł się wolny bungalow. Tylko dzięki temu, że ktoś zrezygnował, znalazło się dla nas miejsce; rezerwujcie je wcześniej, gdyż są najfajniejsze na wyspie, według subiektywnej oceny, rzecz jasna (zapłaciliśmy 30 \$ za dobę w czteroosobowym domku) – <http://paradise-bungalows.com/index1.html>). W końcu odrobina wakacji na rajskiej wyspie, gdzie jest wszystko, co konieczne do szczęścia. Przez cztery dni jemy, plażujemy, robimy zdjęcia, zapuszczamy się w dżunglę, nurkujemy i jesteśmy szczęśliwymi ludźmi. Po czterech dniach połowa z nas ma dosyć byczenia i ucieka na kontynent, a druga połowa czeka na wieczorną łódź, żeby nacieszyć się ostatnimi chwilami w raju. Druga połowa przez to marudzenie ma okazję przeżyć sztorm na khmerskiej łodzi – można uznać to za bonus w postaci doznań ekstremalnych.

W Sihanoukville ponownie wybieramy Zana Guesthouse.

Dzień 17 (16 listopada)

W hotelu wypożyczamy skuterki (5 \$/dzień) i ruszamy w poszukiwaniu Rem National Park. Jazda skuterką po Sihanoukville to sama radocha. Ruch nie jest duży, wszyscy jeżdżą powoli, więc cieszymy się jak dzieci. Wiemy, że łódź z przewodnikiem możemy wypożyczyć gdzieś w okolicach lotniska, trafiamy tam bez większych problemów, a stamtąd zostajemy pokierowani do właściwego miejsca.

Za 10 \$ od osoby wypożyczamy na dwie godziny łódź z przewodnikiem, którą płyniemy do platformy widokowej. Wycieczka nie jest może najbardziej fascynująca na świecie, ale przyjemna. W drodze powrotnej do miasta wstępujemy na Victory Hill,

gdzie podziwiamy zabudowania klasztorne, stary cmentarz i spotykamy mnichów oraz stado małp. Wypędzeni przez komary wracamy do miasta. Próbuje jeszcze szukać Otres beach, a na niej prowadzoną przez Polkę knajpę Sunshine Cafe, ale niestety, zapadający szybko zmrok, zmusza nas do odwrotu.

Dzień 18 (17 listopada)

Dzień wcześniej, gdy my walczyliśmy ze sztormem, nasi towarzysze podróży nabyli bilety autobusowe do Bangkoku. Nabyli w cenie 25 \$ od osoby, więc o godz. 8.00 rano byliśmy już spakowani i gotowi do drogi. Autobusik odbiera nas z hotelu, wiezie na dworzec, gdzie przesiadamy się do autobusu właściwego, który przez całą podróż do granicy był źródłem wielu przeżyć. W skrócie mówiąc: dymił, przeciekał, jechał w przechyle i przeżył kilka innych usterek, na szczęście, ostatecznie cało dotarliśmy do granicy Koh Kong/Trat.

Tam nas wysadzono, kazano przejść granicę na piechotę (bagaze zostały przeniesione za nas), dokonać formalności i po drugiej stronie zapakować się do busa do Bangkoku (w cenie biletu). Bus okazał się klaustrofobiczny, a kierowca szalony, ale również on w ciągu kilku godzin (długość podróży zależy od stanu korków) dowiózł nas bezpiecznie do Bangkoku. Poczuliśmy się prawie jak w domu.

Do końca pobytu mieszkaliśmy w Happy House, którego dla odmiany nie polecamy, gdyż połowa wycieczki mieszkała z PLUSKWAMI!

Dzień 19 (18 listopada)

Dzień ponownego zwiedzania miasta, przemieszczanie się wodnymi tramwajami jest wygodne, tanie i atrakcyjne turystycznie. Najpierw płyniemy w poszukiwaniu słynnego flower market (który o tej porze już się niestety zwija), potem tą samą linią płyniemy do centrum, gdzie połowa z nas udaje się do Lumpin park, a druga połowa do największego bazaru Bangkoku – niestety, kilka godzin to za mało, żeby zobaczyć wszystko, jednak ponieważ chcemy tego dnia jechać jeszcze na Bangkok Baiyoke Tower II, musimy się spieszyć.

Wjazd na wieżowiec kosztuje 300 BHT, ale wart jest swojej ceny; budynek ma 84 piętra, a z tarasu widokowego panorama tego olbrzymiego miasta robi wrażenie. Warto także poczekać aż zajdzie słońce i obejrzeć panoramę po zmroku. Towarzysze broni wracają w okolice hotelu, gdzie nabywają, w jednej z miliona agencji turystycznych, wycieczkę na floating market, a my zostajemy, aby jeszcze poszpendać się po centrum.

Dzień 20 (19 listopada)

Z bólem serca wstajemy o niehumanitarnej (6.00) godz. i z półgodzinnym opóźnieniem ruszamy busem spod hotelu na floating market. Mamy do pokonania 100 km. Na miejscu zostajemy oznakowani białymi stikerami, żeby opiekun grupy wiedział, że my, to my, przesadzeni do szybkich łodzi, które mknąc kanałami, dowożą nas na miejsce, gdzie znowu przesiadamy się, tym razem do łódki napędzanej siłą mięśni. Rozpoczynamy objazd po targu, czasami płyniemy spokojnie, mijając kolejne stragany, czasami wpadamy na wodny zator. Po godzinie wysiadamy na ląd i tym razem dla odmiany możemy obejść targ. Czasu jest niewiele, więc spieszymy się, aby zrobić ostatnie zakupy i zjeść coś dobrego. Mija kolejna godzina, a musimy stawić się w punkcie zbiórki na powrót do Bangkoku.

Wieczór spędzamy przy naszym zaprzyjaźnionym busie z drinkami, głośno i wesoło żegnając się z Azją.

Dzień 21 (20 listopada)

Poranek to czas na leczenie skutków szalonej nocy w Bangkoku, ostatnie zakupy prezentowo-pamiątkowe i wizytę na targu, na którym kupić można dowolną liczbę biletów na loterię (znajduje się on gdzieś w okolicach Kao San, ale nie jesteśmy pewni gdzie, gdyż dotarliśmy tam zupełnym przypadkiem).

Po ostatnim obiedzie w hinduskiej restauracji pakujemy graty i ok. godz. 16 ruszamy taksówką na lotnisko. O 20.00 mamy samolot powrotny do zimnej i szarej Europy.

The End...

...mimo że w drodze powrotnej było wiele atrakcji, takich jak mgły, lądowanie nie tam gdzie trzeba i jeszcze kilka innych elementów, które będziemy czule wspominać.

Ogólny koszt wyprawy, przypominając, że za bilety zapłaciliśmy 2250 zł, a na miejscu specjalnie nie oszczędzaliśmy, wyniósł 5000 zł. Gdy następnego dnia po powrocie do Polski spojrzałam na witrynę biura podróży i zobaczyłam ofertę dziesięciodniowej wycieczki do Angkoru za 5500 zł, postanowiłam nigdy więcej nie korzystać z usług biura podróży i tego będę się trzymać.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Substancja wyizolowana z chińskiego drzewa howenia słodka (Hovenia dulcis) pomaga w walce z alkoholizmem. Naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles nieprzypadkowo zaczęli zajmować się badaniem składu ekstraktu z drzewa howenii i jego wpływu na ludzki organizm. W Chinach już od 500 lat używa się wyciągów z tego drzewa do łagodzenia następstw zatrucia alkoholowego, zwanego potocznie kacem.

Togo – Benin – Ghana – Burkina Faso



Termin: 14.03 – 12.04 2012

Trasa: Lome – Quidah – Togoville – Porto Novo – Cotonou – Accra – Akosombo – Cape Coast – Kakum National Park – Elmina – Kumasi – Tamale – Larabanga – Narodowy Park Mole – Bolgatanga – Navrongo-Po – Tiebele – Ouagadougou – Bobo-Dioulasso – Banfora (Pics de Sindou – Lac de Tangrela – Cascades de Karfiguéla) – Dori – Gorom Gorom – Koupela – Kande – Vallee des Tamberma – Atakpame – Kpalime – Lome

Waluta

W Togo, Beninie i Burkina Faso jest ta sama waluta – frank środkowoafrykański (CFA). W przypadku franków w Togo i Beninie istotne były nominały, im mniejsze, tym gorszy kurs. 1 euro – 658 CFA. W Ghanie niezależnie od nominału banknotu, kurs jest taki sam: 1 euro – 2,22 Ghanaian cedi (GHC), 1 cedi=100 pesewa. Walutę można wymieniać w bankach lub biurach wymiany, w Ghanie w Forex bureau, w Burkina w Western Union.

Język

W Ghanie językiem urzędowym jest angielski, a w pozostałych krajach francuski.

Zdrowie

Obowiązkowo należy zaszczepić się przeciw żółtej febrze, gdyż konieczna jest żółta książeczka z ważnym szczepieniem, którą czasami sprawdzają na granicy. Od nas jej nie wymagano. Szczepienia wykonuje się w Sanepidzie. Zalecana jest profilaktyka antymalaryczna. We wszystkich krajach występuje wysokie zagrożenie zachorowania na malarię. Kupuję więc w Paryżu spray przeciw komarom Insect Ecran z zawartością DEET (12 euro), spray przeciw komarom do odzieży Biovectrol – (9,90 euro). Profilaktycznie stosuję malarone. Mam też moskitierę. Wydawało się, że nie ma komarów, zdarzały się pojedyncze, a jednak osoby, z którymi byłam, mimo stosowanej profilaktyki zachorowały na malarię. Należy pić wodę butelkowaną i myć zęby też w takiej wodzie lub w przegotowanej. My piliśmy najczęściej popularną we wszystkich tych krajach wodę w woreczkach, sprzedawaną na ulicach, gdyż była zimna, tania i łatwo dostępna. Nie

jest ona dokładnie przebadana, ale nie mieliśmy żadnych problemów żołądkowych. W sytuacjach ekstremalnych, gdy nie mieliśmy wody, do jej uzdatniania stosowaliśmy Micropur firmy Katadyn.

Transport

W Ghanie z łatwością można podróżować środkami komunikacji publicznej. Najpopularniejsze są autobusy Towarzystwa Metro Mass, tanie, ale z wąskimi siedzeniami, wyróżniające się pomarańczowym kolorem, oraz sieć rządowa STC komfortowa, ale droga. Bardzo popularne i niezbyt drogie są liczne taksówki i taxi zbiorowe w miastach i na trasach międzymiastowych. W stolicy Ghany, Akrze, jeździmy taksówkami, są one tanie, 4–5 cedi za długi przejazd. Do różnych miejscowości jeżdżą też tro tro – rodzaj minibusów, które odjeżdżają dopiero, gdy są pełne. W Burkina Faso również łatwo podróżuje się transportem publicznym. Jest wiele sieci autobusowych dobrze zorganizowanych, tj. Rakiet i mniej komfortowy STAF. Każde towarzystwo dysponuje własnym dworcem (gare routière), a w stolicy Ouaga ta sama firma ma wiele dworców, z każdego z nich autobusy odjeżdżają do innych miast. W Burkinie najlepiej kupować bilet z jednodniowym wyprzedzeniem, zaleca się także przyjscie ok. 0.5 godz. wcześniej przed odjazdem autobusu, gdyż wyczytywana jest lista pasażerów, którzy zakupili bilet, wg której należy zajmować miejsca. W Togo i Beninie najbardziej rozpowszechnione są mototaxi. Są najpraktyczniejszym, najszybszym i najbardziej ekonomicznym sposobem przemieszczania się w miastach, ale bywają niebezpieczne. We wszystkich tych krajach popularne są mikrobusy z 16–20 miejscami, z cenami ustalonymi oficjalnie. Są one regularne i dosyć szybkie, krążą we wszystkich kierunkach, ale zanim odjadą, musi zebrać się komplet pasażerów, co niekiedy trwa długo. Do odległych wsi położonych na uboczu kursują taxi-brousse, częściej w dni targowe, wtedy zazwyczaj są zapelnione. Przy stanowiskach autobusowych i w bagażnikach bagaże narażone są na zakurzenie, dobrze mieć pokrowiec.

Inne praktyczne informacje

W miastach Ghany okresowo wyłączany jest prąd na kilka godzin. Burkina według mnie jest najgorszym krajem pod względem natrętów zaczepiających w miejscach turystycznych i za wszystko, nawet pokazanie czegoś, co jest w zasięgu wzroku, oczekujących zapłaty. Nie sposób się od nich odgonić. A już prawdziwe tortury przechodzi każdy, kto zna perfekt francuski i zacznie z nimi przypadkową rozmowę, która nie ma końca.

Jedzenie

Kupowaliśmy je na ulicy u kobiet, które wystawiały na stołach duże aluminiowe garnki z gorącymi potrawami, tj. ryż, makaron, różne sosy, kawałki mięsa, ryby lub oryginalne fufu (biała, kleista kula z manioku, niezbyt smaczna). Za każdy składnik płaci się oddzielnie. My, kupując, najpierw zaglądaliśmy do garnków, wskazywaliśmy na potrawę, a potem wymienialiśmy sumę CFA, za jaką chcemy zjeść z danego garnka. Tego typu jedzenie zawsze można było kupić wieczorem i niekiedy do południa, ale nie przez cały dzień. W środku dnia gary wystawiano czasami przy bazarach. W Beninie jedzenie jest droższe niż w Togo.

Swoją przygodę z Afryką Zachodnią rozpocząłam od Lome, stolicy Togo. Nie miałam czasu na wcześniejsze załatwianie wiz, a wizę do Togo mogłam otrzymać w Ambasadzie Togo w Paryżu w ten sam dzień. Wystarczyło rano złożyć paszport, zdjęcia,

potwierdzenie rezerwacji hotelu i wniosek wizowy, a już po południu mogłam odebrać wizę wielokrotną za 50 euro. Wprawdzie na lotnisku w Lome można było otrzymać wizę, ale przed wyjazdem nie miałam stuprocentowej pewności, a poza tym obawiałam się, że linie lotnicze również nie będą o tym przekonane i mogłyby odmówić mi lotu bez wizy. Poleciałam więc EasyJetem z Krakowa do Paryża, tam przenocowałam, przy okazji odświeżyłam trasę do najciekawszych miejsc w Paryżu. Bilet z Paryża do Lome i z powrotem, z przesiadką w Addis Abeba, w Etiopii kosztował 655 euro.

Dzień 1

Na lotnisku w Lome ląduję o 12.30. Wymieniam 20 euro (1 euro – 658 CFA – jest to bardzo dobry kurs, warto wymienić większą sumę). Stąd za 700 CFA kierowca motorka dowozi mnie do prywatnej Auberge de Lafam, wcześniej zarezerwowanej przez Internet, 1,5 km od targu fetyszy voodoo (12 euro /2os). Tu dołączam do dwójki znajomych, którzy przyjechali kilka dni wcześniej i zdążyli się już rozgościć w pokoju z wentylatorem, z łazienką na korytarzu. Na miejscu można płacić 6000 CFA/2os. Do centrum jest strasznie daleko i trzeba jechać moto-taxi. Niemile wspominam pobyt tam, gdyż właściciel za wszelką cenę chciał oferować płatne usługi, a gdy nie daliśmy się, wykorzystał sytuację, że w starych drzwiach złamał się zużyty klucz i zażądał zapłaty. Jak najszybciej jedziemy taksówką do Ambasady Ghany (1500 CFA). Aby tam dojechać, przejeżdżamy całe miasto, pokonując w ostatnim odcinku piaszczystą i wyboistą drogę, taką samą wokół ambasady (niestety, czynnej tylko do 14.00). Do centrum wracamy pieszo, mijając jezioro, zatrzymujemy się w ciastkarni z przepyszными croissantami (100 CFA). Dochodzimy do pięknej, szerokiej, piaszczystej plaży z palmami, ciągnącej się wzdłuż ruchliwej ulicy i spacerujemy, przyglądając się z daleka biesiadującym tam ludziom. Wieczorem wracamy mototaxi (700 CFA) do auberge. Mototaxi jest najpopularniejszym środkiem komunikacji w stolicy, tanim, szybkim. W Lome motorki zabierają tylko 1 osobę.

Dzień 2

Rano znów jedziemy do ambasady Ghany, tym razem mototaxi (700/os.). Wiza kosztuje 20 000 CFA, ale niestety tylko dla rezydentów. Trzeba być zameldowanym w Togo co najmniej 15 dni. Urzędnicza radzi, abyśmy spróbowali na granicy. Mototaxi dojeżdżamy do centrum (400 CFA), aby obejrzeć Pomnik Niepodległości i zwiedzić Muzeum Narodowe, znajdujące się z prawej strony budynku kongresowego, usytuowanego naprzeciw pomnika. Muzeum jest nieduże, ale ciekawe. Zmierzamy w kierunku potężnego bazaru, zaglądając po drodze do sklepów Artizana z różnorodnymi maskami i wyrobami tutejszych artystów. Bazar jest ogromny. Wchodzimy od strony kościoła, krążąc w labiryncie zatłoczonych drózek z różnorodnymi sektorami, niezwykle barwnymi, którym koloryt nadają nie tylko wyłożone towary, tj. odzież, ryby, warzywa, owoce, nasiona, ale także sami handlarze. Ceny są bardzo niskie. Stąd mototaxi (700) jedziemy na Marche des Feticheurs – targ fetyszy voodoo. Targ jest na niedużym, odkrytym, kwadratowym placu, ogrodzonym siatką, wokół której w rzędach, w sposób zadziwiająco uporządkowany, ułożone są różne części martwych zwierząt, niektóre wręcz przerażające, tj. włosy, paznokcie, pióra, czaszki małp, suszone szczury, kameleony, węże, skrzydła ptaków, a nawet głowa słonia i z mumifikowane małpy. Całość widoczna jest z dróżki obok, a przy wejściu, elegancko ubrany po europejsku

mężczyzna pobiera opłatę za wstęp w wysokości 5000 CFA. Oczywiście fetysze można kupić, można robić zdjęcia, mogą być one nawet pobłogosławione przez szamana. Czysta komercja. Wracamy pieszo na naszą kwaterę, bo to tylko 1,5 km. Wstępujemy jeszcze do kafejki internetowej (1 godz. – 300 CAF).

Dzień 3

Opuszczamy albuerge i z bagażami jedziemy mototaxi do granicy z Ghaną, to tylko 10 min od centrum, a budynek graniczny leży tuż przy plaży. Na granicy szef chce nam dać wizę tranzytową na 48 godzin, którą można przedłużyć w Akrze, ale niestety jest piątek i nie zmieścimy się w czasie, a za przekroczenie terminu grozi wysoka kara. Urzędnik proponuje nam więc wizę na miesiąc za 150 USD, taka jest oficjalna cena. Wydaje nam się to za drogo i zmieniamy plan. Wracamy znów na stronę Togo i podjeżdżamy mototaxi na przystanek, skąd odjeżdżają zbiorowe taxi w kierunku jeziora Togo. Kierowca chce nas wysadzić przy głównej drodze, na wysokości szutrowej drogi, prowadzącej do jeziora, ale stąd jest jeszcze kilka km. Godzi się jednak dowieźć nas do jeziora za dodatkową opłatą 500 CFA. Z brzegu jeziora widać wioskę Togoville, trzeba tam jednak dopłynąć pirogą, której właściciel zażyczył sobie od nas po 2000 CFA. Ponieważ znamy cenę od osób, które właśnie wróciły ze wsi, upieramy się na 500 CAF. Oczekiwanie zabiera nam sporo czasu, jednak ostatecznie płyniemy za 500 w jedną stronę, wraz z kilkoma innymi osobami, a za następne 500 wracamy. Bagaże główne zostawiamy przy jednym ze straganów i udajemy się do kościoła Notre Dame du Lac. Kościół rzymskokatolicki położony jest nad jeziorem, a w nim znajduje się cudowna figura Matki Boskiej, przypominająca o cudzie, kiedy to Maryja ukazała się miejscowemu rybakowi. Przed kościołem wystawiona jest łódka, o której mówią, że płynął nią papież Jan Paweł II, który odprawił tu mszę. Togoville jest przede wszystkim głównym centrum praktyk voodoo w Togo, jest tam dom wodza wioski. Do głównej drogi wracamy taksówką, którą akurat zamówiła jakaś miejscowa i dzięki niej płacimy tylko 500 CFA. Taksówki i motorki czekają na chętnych niedaleko brzegu, ale są drogie. Najlepiej więc trochę poczekać i dołączyć do innych. Przy głównej drodze zatrzymujemy zbiorową taxi do granicy Beninu (700 CFA). Na granicy kupujemy wizę tranzytową za 10 000 CFA, dołączając 1 zdjęcie. Zbiorową taxi jedziemy do Quidah (1500 CFA), mijając na trasie Grand Popo, z jego pięknymi plażami nad Zatoką Gwinejską. W Quidah znajdujemy nocleg w czystej i przytulnej Auberze Ermitage 2, blisko głównej drogi, lecz w bocznej, małej uliczce (6000/2 os. z łazienką i wiatrakiem). Duża tablica informacyjna o hotelu wystawiona jest przy drodze prowadzącej do centrum, po jej lewej stronie. Właściciel spryskuje pokój aerozolem p/komarom, a my rozkładamy moskitierę, chociaż komarów nie widać. Przechadzamy się po okolicy. Przy drodze ustawione są stoły z balonami do wina i butlami po różnych napojach, napełnione benzyną i olejem. Stanowią one rodzaj stacji benzynowych dla podjeżdżających tu motorków. Kupujemy jedzenie na ulicy u kobiet, sprzedających gorące potrawy w garnkach wystawionych przy drodze. Zaglądamy do środka i wybieramy makaron z sosem (200 CFA), kawałki baraniny (500 CFA) i małe kawałki ryby. Każdy kawałek kosztuje 200, a większy 300. Obok kupujemy banany, papaje, arbuzy, a do picia coca-colę (450 CFA), wodę w woreczkach (25 CFA) i butelkowaną (1,5 l – 500 CFA).

Dzień 4

Udajemy się do centrum, wymieniając pieniądze w aptece, gdyż jest sobota i banki są nieczynne. Kurs taki jak w banku. Posilamy się bagietką z gorącym mięsem i warzywami w środku (1500 CFA – drogo, bo w kawiarence, ale w dzień trudno znaleźć cokolwiek do jedzenia, gdyż garkuchnie wystawiane są na ulicach dopiero wieczorem). Odwiedzamy świątynię pytonów, mieszczącą się naprzeciw kościoła katolickiego. Za wstęp płacimy 1000 i dodatkowe 1000 za robienie zdjęć. Miły pan oprowadza nas po niezbyt dużej świątyni voodoo, omawiając cały pogański rytuał, aż w końcu dochodzimy do najciekawszego miejsca, gdzie na podłodze, ku naszemu przerażeniu wiją się dziesiątki pytonów, a przewodnik całuje je i głaszcze, a potem układa na nasze szyje, abyśmy zrobili zdjęcia. Stąd wyruszamy motorkami na 4-kilometrową Drogę Niewolników, na końcu której, tuż przy wybrzeżu, znajduje się brama symbolizująca koniec drogi lądowej dla porwanych. Na trasie ustawione są liczne figury bożków, pokazanych rozmiarów. Jest to odcinek, który po raz ostatni na swoim kontynencie przeszli czarni niewolnicy, wypływający stąd przymusowo i bezpowrotnie do Ameryki. Z lewej strony bramy znajduje się budynek z białą flagą voodoo, a nieco dalej, po prawej stoi krzyż. Spacerujemy po szerokiej, piaszczystej, ale pustej plaży, zaczepiani jedynie przez sprzedawców masek i różnych lokalnych pamiątek, które powystawiane są tu na straganach. Ceny całkiem przyzwoite, zwłaszcza masek. Tymi samymi motorkami jedziemy do Świętego Lasu, który jest zadrzewionym parkiem z rozmieszczonymi tam posągami bóstw voodoo, m.in. króla, którego dusza zgodnie z pogańskimi wierzeniami, zamieszkała w potężnym drzewie, rosnącym obok. Z parku jedziemy do hotelu po bagaże, a następnie, z głównej drogi, zatrzymaną zbiorową taxi do Cotonou, gdzie przesiadamy się do innej, jadącej do Porto Novo. W Porto Novo motorkiem za 400 CFA jedziemy do hotelu Malabo Ayikpevi, (6000 CFA), niedaleko laguny Nakoue, miejsca skąd odpływają pirogi do wioski Ganvie. Właściciel dodatkowo spryskuje silnym aerozolem, po którym wszystkie komary padają, ale jest ich niewiele.

Dzień 5

Motorkiem za 100 CFA podjeżdżamy do miejsca, skąd odpływają łódki. Ludzi jest sporo, gdyż jest niedziela; kobiety w przepięknych kolorowych strojach, z ozdobnymi chustami na głowach wyglądają dostojnie. Co ciekawe, pary małżeńskie mają identyczne stroje, a kobiety różni jedynie pięknie związane nakrycie głowy z tego samego materiału, co cały strój, niekiedy jakieś świecidełko. Wszyscy czekają w kolejce. Nam usiłują wcisnąć przejazd prywatną łódką za 6000 CFA. Czekamy cierpliwie na zbiorową pirogę i płacimy po 150 CFA. Płyniemy kanałami przez ok. 1 godz. i wysiadamy na czwartym, a zarazem ostatnim przystanku. Wchodzimy w głąb wioski, w której domy zbudowane są na wysepkach między kanałami lub na palach wbitych w dno płytkiego jeziora. Wokół nas pojawia się mnóstwo dzieciaków, które błyskawicznie znikają na widok aparatu fotograficznego. Obok domostw liczne czarne świnie. Wracamy łódką razem z tubylcami, którzy odwiedzali swoich krewnych lub uczestniczyli we mszy w kościele. Bezpośrednio po powrocie jedziemy motorkami do centrum Porto Novo, zwiedzamy Muzeum de Silva, pokazujące historię Beninu i związki afrobrazylijskie, mijamy plac ze statua pierwszego króla Porto Novo, także kościół w stylu brazylijskim, obecnie meczet. Przechodzimy przez pasaż, gdzie przy rozstawionych, długich stołach

uczują odświętnie ubrane kobiety w swych kolorowych strojach. Z ulicznych garów wybieramy pyszne kawałki ryby, aby się posilić. Ryby smażone, wędzone, gotowane są tu bardzo popularne. Motorkiem wracamy do hotelu, aby zabrać plecaki i od razu podjeżdżamy do głównej drogi, w kierunku Cotonou, gdzie wsiadamy do minibusu. W Cotonou wysiadamy na ostatnim przystanku, idziemy przed siebie jeszcze ok. 1 km, skręcając przy głównym skrzyżowaniu ze światłami w lewo i po ok. 300 m znajdujemy hotel (po przeciwnej stronie szerokiej ulicy jest serwis Hondy). Wchodzimy na górę po bardzo krętych schodach (pokój 2 os. z wiatrakiem, łazienką i wc – 6000 CFA). Wieczorem spacerujemy po centrum. Tu jemy pyszne mięso jagnięce bezpośrednio krojone z całej sztuki gotowanego zwierzęcia (500 CFA – mała porcja).

Dzień 6

Jedziemy motorkiem do Biura Imigracyjnego, położonego niedaleko portu, po wizę Beninu. Wiza kosztuje 12 000 CFA, ale ponieważ my przekroczyliśmy dopuszczalny termin ważności wiza tranzytowej, otrzymanej na granicy, czyli 48 godz., a na tłumaczenie, że przekraczaliśmy granicę w piątek, a przez weekend biuro było nieczynne, urzędnik oświadcza nam, że musielibyśmy płacić karę za nielegalny pobyt, więc w sumie wiza kosztowałaby 50 000 CFA. Usłyszawszy to, odechciewa nam się wiza i postanawiamy pochodzić jeszcze trochę po centrum, a potem udajemy się na bazar, niedaleko naszego hotelu, skąd odjeżdżają zbiorowe taxi w kierunku granicy z Togo (2000 CFA). Na granicy drżymy ze strachu, aby nie kazano nam płacić za przekroczenie ważności wiza, ale celnik jest miły, wbija pieczętkę i uśmiechając się, tylko dodaje, że byliśmy trochę za długo. Po drugiej stronie granicy inną zbiorową taxi odjeżdżamy do Lome (1000 CFA) i wysiadamy przy wielkim bazarze. W głębi bazaru, przy jednej z bocznych drózek znajdujemy hotel Foyer des Ivoiriens, w którym nocują handlarze z Wybrzeża Kości Słoniowej. Pokoje są duże, wygodne, z łazienką, papierem toaletowym, a nawet mydłem (8500 CFA/2 os.), ładne podwórko, obok bazar. Dla nas takie usytuowanie to prawdziwy raj. Możemy tu zjeść pyszne mięso z ryżem, kupić tanie arbuzy, avocado, banany i przepyszne gorące, smażone przy nas małe pączki, które kupujemy wielokrotnie, ilekroć przechodzimy obok, za każdym razem minimum 10 sztuk. A wszystko jest tu bardzo tanie, znacznie tańsze niż w Beninie.

Dzień 7

Rano motorkiem jedziemy do pobliskiej granicy z Ghaną (200 CFA). Liczymy na to, że kupimy tu wizę tranzytową i przedłużymy ją w Akrze. Dziś jest inny boss, który uznał, że wiza tranzytowa jest po to, aby tylko przejechać kraj, co jest niemożliwe w ciągu 48 godz., a nie żeby ją przedłużać. Jeśli chcemy przekroczyć granicę, musimy kupić zwykłą wizę. Choć cena jest przerażająca, nie mamy wyjścia. Kupujemy wizę na miesiąc i płacimy 120 euro lub jak kto woli 150 USD. Taka jest cena oficjalna, wywieszona na tablicy. Granica w Ghanie jest mocno skomputeryzowana, a celnicy bezwzględni i rygorystyczni, w porównaniu z prymitywnymi przejściami w Togo czy Beninie. Pieniądze wymieniamy w banku, znajdującym się zaraz za granicą, po lewej stronie drogi, dobry kurs, niezależnie od nominału banknotu, lepszy niż oferują handlarze waluty na granicy, 1 euro – 2,22 Ghanaian cedi (GHC). Na granicy handlarze walutą chodzą z potężnymi plikami banknotów i można u nich wymienić dowolną walutę. Klimatyzowanym minibusem, za 11 cedi jedziemy do Akry – 150 km. Na od-

cinku kilkudziesięciu km od granicy są kontrole policyjne i sprawdzają bagaże. Kiedy już sporo ujechaliśmy, wszyscy wysiadają i wchodzą do budynku custom control, gdzie sprawdzają nam paszporty, a mi nawet zaglądają do ostatniego nagrania na kamerze video i każą wykasować ostatnie ujęcie, chociaż nic szczególnego tam nie było. Dojeżdżamy do Tudu Bus Station w Akrze, kawałek dalej, w bocznej uliczce znajdujemy hotel Yasu, wysoki budynek, widoczny już z głównej ulicy (pokój 2/os. z wentylatorem – 28 cedi, a z air conditioner – 35 c), dalej jest King Court hotel – 35/2os. Kiedy wracamy za chwilę do Yasu, nie ma już wolnych pokoi, ale ok. km dalej, w drodze obok Standard Chartered Bank, znajdujemy duży pokój z wentylatorem, osłoną p/komarową, łazienką za 30c/2os., w hotelu New Casanova. Przechadzamy się po barwnym bazarze w pobliżu dworca Tudu. Żywimy się na ulicy. Sprzedają tu gorące mięso z kozy lub cielaka, ucinając spore porcje za 3 c.

Dzień 8

Taksówką jedziemy do Ambasady Burkina Faso (4 c). Wiżę dostajemy od ręki za 73 cedi. W Forex bureau wymieniamy euro, po b. dobrym kursie 2,24 c za 1 euro. Taxi za 5 c. jedziemy na dworzec Tudu, koło naszego hotelu i stamtąd minibusem udajemy się do Akosombo (ok. 2 godz. – 3,80 c). Bilet kupujemy na zatłoczonym bazarze, przed wejściem do busa i czekamy aż się zapełni. W Akosombo podchodzimy kawałek do biura informacji turystycznej, dotyczącej zapory, aby otrzymać zezwolenie na jej obejrzenie. Biuro czynne jest od 9.00 do 15.00. Aby wjechać na zaporę, trzeba mieć prywatny samochód, taxi tam nie jeżdżą. Grupy zorganizowane wyjeżdżają zwykle rano. Podjeżdżamy taksówką za 5c, z innymi turystami tylko do ronda, skąd już widać zaporę, ale dla lepszej widoczności schodzimy wąską ścieżką, między krzakami, tuż nad sam brzeg, skąd robimy zdjęcia. Zapora stworzyła największe sztuczne jezioro na świecie, znane jako Jezioro Wolta. Przy rondzie udaje nam się uprosić policjanta, aby zabrał nas bliżej. Z trudem, ale zgadza się, co rekompensujemy mu niewielką kwotą. Do centrum wracamy pieszo, obserwując liczne i ogromne termitiery, po obu stronach krętej drogi. Do Akry wracamy minibusem (3.80 c).

Dzień 9

Taxi za 5c. jedziemy w okolicy Osu, do zamku Christiansborg musimy jednak dojść pieszo, gdyż szlaban odgradza drogę, jako że Christiansborg Castle jest siedzibą rządu i są tam biura Prezydenta Ghany. Oglądamy go tylko z zewnątrz, gdyż jest on niedostępny dla zwiedzających (nie warto), potem schodzimy na nabrzeże i spacerujemy plażą, aż docieramy do Placu Niepodległości, oglądamy potężny łuk Niepodległości, stadion i Muzeum Narodowe. Taksówką wracamy do hotelu, a po zabraniu plecaków także taksówką jedziemy na dworzec Kaneshie, skąd minibusem odjeżdżamy do Cape Coast (6 c, 2,5 godz.). Po drodze mijamy duży zamek na wzgórzu. Wysiadamy na ostatnim przystanku, tuż obok katedry metodystów. Tuż za tym dworcem jest fort i plaża z licznymi palmami, a dalej Guesthouse Baobab, prowadzony przez Niemkę. Pokoje 2 os./25c., niestety, jest weekend i brak wolnych miejsc. Zostawiamy tu nasze plecaki i poszukujemy innego hotelu. Powietrze jest rześkie, czuje się łagodny powiew wiatru od morza. Idąc główną drogą od fortu w kierunku centrum, dochodzimy do pomnika Kraba, potem w prawo i dalej znajdujemy Haizel Guesthouse – pokój 2 os. z łazienką i wiatrakiem za 30 c., tylko takie zostały, ale na drugi dzień zwalnia się pokój jeszcze

lepszy i tańszy, bo za 20 c. i inny gorszy za 15 c. Niedaleko hotelu jest dworzec, z którego odjeżdżają minibusy do Kumasi (o 8 am – 10 cedi). Wieczorem rozglądamy się po okolicy, posilamy się jak zwykle na ulicy, zaglądając do wystawionych garnków. Tu dodatkową atrakcją są szaszłyki z mięsa i kielbaski na kiju po 1 c. Ja wstępuję do apteki, przy głównej ulicy Kotokoraba, gdzie pracuje Ukrainka Lena wraz ze swoim czarnym mężem Tomasem. Dzięki niej dowiaduję się wielu ciekawych rzeczy o okolicy i życiu tutaj.

Dzień 10

Rano wyruszamy tro-tro, czyli lokalnym minibusem z Kotokoraba street w kierunku Kakum National Park (0,5 cedi, ok. 30 km). Wsiadamy kilka km przed parkiem, przy Monkey Forest. Jest to sanktuarium zwierząt mieszkających w parku, prowadzone przez parę Holendrów, mieszkających w Ghanie od 8 lat, którzy nigdy nie byli odtąd w kraju. Przed wejściem wiszą 2 flagi: holenderska i Ghany. Zwierzęta są umieszczone w klatkach lub na ogrodzonym, pagórkowatym terenie otoczonym lasem. Na wzgórze idziemy po schodach, dochodzimy do miejsca, gdzie są żółwie błotne, a obok namioty od wolontariuszy i tu można bezpłatnie przenocować. Jest też bar, jeszcze w budowie. Za wejście i oprowadzenie płaci się 12 c., na potrzeby karmienia zwierząt. Zatrzymujemy kolejne tro-tro i dojeżdżamy pod samą bramę parku (0,5 c). Bilet 1 cedi, ale za przewodnika obcokrajowcy płacą 30 cedi. Park zwiedzamy razem z dużą grupą lokalnej młodzieży, która płaci tylko 2 c./os. Chodzimy po siedmiu chwiejących się linowych mostkach, zawieszonych nad gęstym lasem deszczowym, między drzewami na wysokości 30 m nad ziemią, zabezpieczonych po bokach siatką. Rozbawione dzieciaki mają niesamowitą frajdę, dodatkową, gdy robimy im zdjęcia, które potem oglądają na platformach widokowych, na których można zatrzymać się między kolejnymi mostami i przyrzeć roślinności. W drodze powrotnej zatrzymujemy się kilka km przed Cape Coast, w Hans Cottage, gdzie na pięknie położonym terenie z hotelem i restauracją w stawie żyją krokodyle. Przy wejściu na teren, portier żąda 1 cedi, ale wystarczy powiedzieć, że kupi się coś w restauracji i wchodzimy gratis. Kupujemy colę za 2 c., a pani Mary wrzuca do stawu chleb, po czym wyłania się całkowicie odslonięty, potężny krokodyl, a my przyglądamy się mu i robimy zdjęcia. Do Cape Cost wracamy zatrzymaną zbiorową taxi (1 c.), gdyż tro-tro są przepełnione i nie zatrzymują się. Jedziemy tro-tro do Elminy (0,75 c., 0,5 godz.), rybackiej wioski. Wsiadamy w porcie z mnóstwem łódek, upstrzonych różnokolorowymi szmatami i, mijając stragany z rybami i krabami, dochodzimy do malowniczo położonego na skalistym cyplu, dawnego portugalskiego zamku św. Jerzego (wstęp – 11 c.). Stąd udajemy się na widoczne z daleka wzgórze, gdzie znajduje się fort Świętego Jago zbudowany przez Holendrów (2 c.). Warto wspiąć się po schodach, gdyż stąd rozlega się oszałamiający widok na port i całe miasto. Zglądamy do kościoła katolickiego i kościoła metodystów. Wracamy tro-tro do Cape Coast, wsiadając niedaleko Oasis Resort Hotel, położonego nad samą plażą, wchodzimy do środka (pokoje po 35–50 c.). Zglądamy do zamku. Służył on niegdyś jako obóz przejściowy dla niewolników, których wywożono stąd do Ameryki.

Dzień 11

Wyjeżdżamy do Kumasi. Blisko naszego hotelu, obok kliniki, przed godz. 8.00 odjeżdża klimatyzowany minibus (10 cedi). My jednak decydujemy się na pomarańczowy autobus firmy Metro Mass Transit Ltd, odjeżdżający z dworca przy kościele me-

todystów. Czekamy w bardzo długiej kolejce od godz. 8, przyglądając się ceremonii pogrzebowej w kościele obok. Ale w kasie brakuje już biletów. Autobus przyjeżdża dopiero o 9.30 i cudem udaje nam się odkupić od obsługi bilet za 6 c., czyli o 2 c. więcej, ale jedziemy na trzyosobowych siedzeniach, w towarzystwie matek karmiących piersią. Autobus ma przerwę, w czasie której posilamy się w ulicznej garkuchni i kupujemy przepyszne, potężne pączki po 50 p. O 14.30 jesteśmy w Kumasi. Pieszko idziemy w kierunku Presbyterian Guesthouse prawie pustą ulicą, może dlatego, że jest niedziela, mijamy pomnik Afrykanina, kościół metodystów, kościół prezbiteriański aż wreszcie docieramy do położonego w bardzo spokojnym miejscu, ok. 5 min od dworca autobusowego dosyć drogiej państwowej sieci STC. Niestety, noclegi też bardzo drogie. Najtańszy pokój 2os. bez łazienki kosztował 30 cedi, z TV – 35 c., a z łazienką – 50 c. Z hotelu pieszko idziemy obwodnicą w kierunku dworca Alaba, z którego jutro zamierzamy jechać do Tamale, a który usytuowany jest na końcu bazaru Kejetia. Aby tam dojść, kierujemy się w stronę wysokiej katedry. Wchodzimy w rejon rozległego, największego bazaru Zachodniej Afryki pod gołym niebem, jakim jest Kejetia Market, przedzierając się między straganami. Jeszcze dalej, za bazarem widzimy budynek willowy i aż trudno uwierzyć, że jest to pałac króla Ashanti i Muzeum Pałacowe Manhyia, gdzie oglądamy pamiątki po ostatnich królach ludu Aszanti, m.in. tron. Kumasi jest bowiem dawną stolicą Królestwa Aszanti i siedzibą króla Ghany, który obecnie pełni funkcje wyłącznie reprezentacyjne i można go zobaczyć podczas licznych świąt Ashanti. Rodzina królewska mieszka obecnie w nowoczesnym pałacu, tuż za starym. Cofamy się w dół bazaru, w kierunku zoo, niedaleko którego na rozległym, zadrzewionym terenie jest Centre of National Culture z modelem wioski Aszanti i ze sklepikami z różnymi wyrobami artystycznymi. Wracając do hotelu, przeciskamy się między sprzedawcami i ich towarami i przyglądamy się ludziom Królestwa Aszanti, którzy chodzą poubierani w tradycyjne kente, zwracając uwagę żywą kolorystyką i misternym wzorem poprzecznych, barwnych pasów.

Dzień 12

Ok. 9 rano, pojawiajemy się na dworcu Akaba na końcu bazaru, gdzie dojeżdżamy taxi za 5 cedi. Akurat stoi duży autobus klimatyzowany, wsiadamy, za bilet płacimy 15 c., siedzenia podwójne, ale czekamy jeszcze 40 min, aż do całkowitego zapelnienia, w przejściach ustawiają plastikowe stołki dla dodatkowych pasażerów, siedzą nawet na schodkach przy drzwiach, mimo że obok czeka już długi na zapelnienie inny autobus klimatyzowany, ale za 20 c. Czekając na odjazd, posilamy się pysznymi i ciepłymi ogromnymi pączkami (50 p). Do Tamale jedzie też autobus z dworca STC, obok naszego hotelu, ale wcześniej o 7.00 i drogo, bo za 25 c., więc nie korzystamy. W Tamale jesteśmy po południu. Taxi jedziemy do Catholic Guesthouse, oddalonego o 3 km od dworca. Można też skorzystać z taxi zbiorowej (0,5 c./os.), a potem dojść z głównej drogi jeszcze 100 m w bok. Pokój 2 os., z łazienką i wiatrakiem – 28 cedi. Wieczorem, idąc w kierunku miasta, po prawej stronie ulicy, zatrzymujemy się przy grillu na pyszne mięsko, zamiast korzystać z restauracji hotelowej.

Dzień 13

Rano o 6.30 wybieram się na mszę do kościoła katolickiego na terenie guesthouse. Zbiorową taxi, za 0,50 c. jadę do dworca przy głównej ulicy. Tu akurat o 8.30 odjeżdża

wypełniony autobus do Larabangi, ja idę jednak jeszcze 1 km w głąb miasta na inny dworzec, z którego odjeżdża autobus do Mole NP. Jedyne autobusy odjeżdża o godz. 14.00, ale bilet trzeba kupić rano między 6 a 8, gdyż później może nie być miejsc. Kupuję bilet za 5 cedi, plus 1 c. za bagaż. Na pocztę kupuję znaczek za 1 cedi, a naprzeciw niej, na ulicznym straganie, widokówki po 1 c. Idę daleko za pocztę, mijając szkołę i dochodzę do Centrum Kulturalnego, gdzie jest dużo ciekawych wyrobów ludowych i bardzo bogata kolekcja masek. Kupuję dużo różnorodnych masek, płacąc średnio 7 cedi za sztukę. Jeszcze tylko powrót do hotelu po plecak i znów jestem na dworcu. Wsiadanie do autobusu i ładowanie potężnych bagaży do bagażnika trwa 0,5 godz. Autobus ma dłuższy postój w Larabanga, gdzie wysiada większość, wystarczający aby po uzgodnieniu z kierowcą autobusu, zatrzymać nadjeżdżający samochód i podjechać niedaleko tutejszego meczetu i krótką chwilę popatrzeć. Jest to jeden z najstarszych meczetów w Afryce Zachodniej, biały, zbudowany został ze zwykłego mułu i z tego powodu każdego roku musi przejść renowację ze względu na zniszczenia spowodowane ulewami w czasie pory deszczowej. Błyskawicznie wracamy do autobusu. O 16.30 jesteśmy przy potężnej bramie do Narodowego Parku Mole. Wszyscy wysiadają z autobusu i kupują bilet wstępu po 10 cedi/os. Po 3 km jazdy jesteśmy w samym sercu parku, gdzie są motele. Na widok cen doznajemy przerażenia. Planowaliśmy wysiąść 2 km przed bramą parku, gdzie jest Savanna Lodge – okrągłe, gliniane, ciekawie pomalowane chaty, widoczne po lewej stronie drogi, w niskich cenach, ale kierowca zapewniał, że dalej też jest motel, nie przypuszczaliśmy jednak, że tak drogi. Pokój 2/os. z air conditioner 95 cedi, z wiatrakiem 75 c, 3/os. z wiatrakiem 60 c. Na szczęście są też wielosobowe dormitory (18 c za łóżko), oddzielne dla kobiet i mężczyzn, zupełnie puste. Korzystamy z tej ostatniej opcji. Posilamy się w restauracji hotelowej: omlet z 2 jaj – 4 c., duża cola – 5 c.

Dzień 14

Rano o godz. 6.50 zbieramy się przy budynku informacji i z przewodnikiem wyposażonym w karabin ruszamy na wypatrywanie zwierzyny w 6-osobowej grupie. Obowiązkowo w krytych butach i długich spodniach. Pieszko schodzimy ścieżką do jeziora i okrążając go, przyglądamy się zwierzętom, a jest ich tu sporo. Najpierw spotykamy liczne antylopy, potem krokodyle. Niektóre wynurzają się z wody, a inne wylegują się na brzegu z otwartą paszczą. Po chwili wchodzi do jeziora słonie, najpierw 2 duże i małe słoniątko, a po pewnym czasie wkraczają jeszcze dwa potężne. Na terenie parku jest ich ok. 800. Przy jeziorze pojawiają się białe ptaki. Wchodzimy na platformę widokową przy jeziorze, ukrytą między drzewami i bacznie przyglądamy się zwierzętom z góry. Piesze safari trwa 2,5 godz. Za każdą godzinę płacimy po 3 cedi. Nasz motel położony jest tuż powyżej 2 jezior, które okrążyliśmy. Wystarczy wyjść z budynku i z góry obserwować zwierzęta, które przyszły do wodopoju. Widzimy 2 nowe słonie i mnóstwo antylop, a wokół motelu kilka guźców i małpy z małymi. Trudno uwierzyć, że jeszcze wczoraj narzekaliśmy, że tu mieszkamy, a dzisiaj jesteśmy szczęśliwi, gdyż mamy wspaniałą okazję przez cały dzień oglądać zwierzęta i to z tak bliska. Na terenie motelu nie tylko jest restauracja, ale też basen czynny od 8 do 19.30, gdzie z chęcią pływamy, oraz sklepik czynny od 7 do 18, gdzie kupujemy tanio napoje chłodzące, w tym wodę w woreczkach po 10 p. Jest też sklepik z pamiątkami regionalnymi. Wspaniałe miejsce. Spacerujemy drogą prowadzącą na teren budynków pracowników

parku, a tam spotykamy całe stada guźców i małp. Na trasie, niedaleko za informacją parku (nie mylić z informacją hotelu), jest lokalna knajpka, gdzie można zjeść taniej, np. rybę lub makaron z kawałkami mięsa, za 5 c. Jeśli ktoś chce, może wrócić tego samego dnia do Larabangi zamówioną taksówką, za 50 cedi, lub do Damongo, a stamtąd są autobusy do Tamale.

Dzień 15

Sprzed budynku informacji parku wyjeżdżamy o 4 rano do Tamale (5 c.) jedynym autobusem, zatrzymujemy się w Damongo, gdzie wsiada tłum z pakunkami, a na miejscu jesteśmy o 8.30. O 9.30 wyjeżdżamy z tego samego dworca do Bolgatanga (5 c.+1 c. bagaż). W Bolga przesiadamy się na inny minibus, jadący przez Navrongo, tu wysiadamy na skrzyżowaniu, niedaleko postoju zbiorowych taksówek jadących do granicy i do Akry. Tuż za skrzyżowaniem głównej drogi z drogą biegnącą w kierunku szpitala, zatrzymujemy się na nocleg w Guest House Peace and Love (pokój z łazienką i wiatrakiem – 21 c.). Na bazarze warzywno-owocowym, tuż za skrzyżowaniem, robię duże zakupy. Głównym produktem są tu pomarańcze i mango w przerażających ilościach i bardzo tanie – za 1 cedi – 12 mango. Miasteczko to, położone blisko granicy z Burkina Faso bardzo przypada nam do gustu. Idę początkowo drogą w kierunku szpitala, a potem połączyć się z odległej o kilka km katolickiej misji, gdzie na olbrzymim obszarze znajduje się stara katolicka katedra zbudowana z cegieł i błota, z dekoracjami ściennymi wewnątrz, przedstawiającymi tematy chrześcijańskie, postaci zwierząt i sceny życia codziennego. Jest też grota Matki Boskiej na otwartej przestrzeni, szkoła, 2 guesthouse (11 c.) oraz godne uwagi, nieco zakurzone muzeum, które specjalnie dla mnie otwiera jego opiekunka, jako że byłam późno o zmierzchu. Płacę 3 cedi i słucham interesującej opowieści oraz oglądam niskie chaty, w jakich mieszka się na wsiach, pomalowane z zewnątrz w czarne trójkąci. Zginając się wchodzę do ich środka, gdzie wyeksponowane są narzędzia, którymi posługiwano się w gospodarstwie, oraz instrumenty muzyczne, używane podczas uroczystości ślubnych i pogrzebowych. Chaty te są bardzo zbliżone wyglądem do tych, które zobaczymy później w Burkina Faso w Tiebele, za dojazd do których słono zapłacimy. Do hotelu wracam już po ciemku, w asyście przesympatycznej młodzieży ze szkoły katolickiej. Wieczorem jemy szaszłyki w barze, w pobliżu hotelu (1 sztuka za 50 pesewa, są pyszne, zjadamy duże ilości).

Dzień 16

Korzystamy z usług szewca ulicznego i krawca, a nawet fryzjera. Perfekcyjne, męskie strzyżenie żyłką wraz z myciem w zakładzie naprzeciw targu owocowego kosztuje 1 cedi. Idziemy na postój taksówek zbiorowych, niedaleko hotelu, tuż po przeciwnej stronie skrzyżowania, tej samej co bazar owocowo-warzywny. Za przejazd do granicy, do Paga płacimy po 1 c. Wysiadamy przy restauracji, ok. 1 km od granicy, obok której są stawy z ok. 200 krokodylami. Wstęp 7 cedi, dodatkowo 2 za robienie zdjęć i 4 cedi za kurczaka, którego trzeba kupić, aby popatrzeć, jak krokodyl szybko zjada ofiarę, a tym samym, aby najedzony, nie miał już ochoty na nas. Z wody wychodzą 3 potężne krokodyle, a my trzymamy je za tylne części ciała pozując do zdjęć. Bardzo widowiskowe i ciekawe. Po przeciwnej stronie drogi idziemy do zagrody, w której gospodarz w nonszalanckim kapeluszu pokazuje nam tradycyjne domy, ich wnętrza wyposażone w przedmioty niegdyś używane przez mieszkańców. Gospodarz jest niezwykle dow-

cipny, barwnie opowiada o swoich przodkach, śpiewa i tańczy wraz z gromadką dzieci, a opłata co łaska. Gorąco polecam. Zagrody te zbliżone są wyglądem do tych w Tiebele, więc, jeśli ktoś się tam nie wybiera, to warto skorzystać z tej okazji. Właściciel zagrody jest na potężnym billboardzie, reklamującym krokodyla. Pełni wrażenia, pieszo pokonujemy 1 km do granicy. Na granicy, w Ghanie zażądano od nas rachunku za opłaconą wizę Ghany, który oczywiście dawno wyrzuciliśmy. Urzędnik bardzo długo zastanawia się, jak to rozwiązać. Nie wystarczyła mu pieczęć w paszporcie z ważnym pobytem, ani dane komputerowe. Z celnikami z Burkiny nie ma problemów. Pieszko idziemy, ok., 0,5 km do dworca, skąd odjeżdżamy minibusem (1500 CFA, 30 min) do Po. Wsiadamy przy stacji benzynowej, naprzeciw której znajdujemy Auberge Agoabem z bardzo ładnym patio, z drzewem mango i papają, stołem i krzesłami (7500 CFA, wiatrak, prysznic). Jemy spadające owoce, a potem dodatkowo kupujemy olbrzymie owoce mango przy ulicy. Te duże są przepyszne, mają mięsz konsystencji kremu i są o niebo lepsze od tych małych (5 sztuk – 200 CFA). W Burkina Faso jest zatrząsienie mango.

Dzień 17

Rano prywatnym samochodem, uzgodnionym z kierowcą wieczorem za 15 000 CFA, wyjeżdżamy z Po do Tiebele, małej wsi oddalonej o 30 km, zamieszkałej przez jedną z najstarszych grup etnicznych. Do wsi można dostać się zbiorową taksówką za 1500 CFA od osoby. Odjeżdżają one z placu za posterunkiem policji wcześniej rano, między 7 a 8 godz. Najwięcej jest ich w czwartek, gdyż jest to dzień targowy. Taxi zbiorowa jedzie okrężną trasą, zahaczając o granicę z Ghaną. Problem mógłby być z powrotem, gdyż taxi wyrusza z innych miejscowości i po dojechaniu do Tiebele może być już zapelniona. My jedziemy kawałek asfaltem, a potem drogą szutrową, przy której rośnie kilka baobabów. Więcej jest ich w Tiebele. Podjeżdżamy pod ładnie wymalowaną w czarne trójkąci chatę, z której wychodzi przewodnik, jak się okazuje, musimy obowiązkowo z nim zwiedzać wieś (2000 CFA), a budynek, przed którym jesteśmy, to guesthouse, przygotowywany do otwarcia (4000 za pokój). Wchodzimy na jego dach i spoglądamy na malowane chaty, a przewodnik objaśnia nam tutejsze zwyczaje i chodzi z nami po wsi. Wieś znana jest z tradycyjnej architektury domów o grubych ścianach z gliny, bez okien, jedynie z małym otworem pozwalającym na dopływ światła do wnętrza. Domy te budowane były z myślą o obronie przed potencjalnym wrogiem i silnym słońcem. Z przodu jest bardzo niskie wejście, zginamy się więc mocno, aby zajrzeć do wnętrza, wchodzimy na dach po drabinie i oglądamy chaty z góry. Są one skupione po kilka razem, okrągłe lub kwadratowe i różnią się kształtem dachów, w zależności od tego, czy mieszkają w nich kawalerowie, panny czy małżeństwa. Taki kompleks otoczony jest murem. Brązowe ściany malowane są przez kobiety we wzory w postaci szlaczków z figurami geometrycznymi, najczęściej są to czarne trójkąty, kwadraty, owale, są też wzory jodełki, motywy religii i symbole wzięte z życia codziennego lub wierzeń. Kobiety używają kolorowego błota i białej kredy, a wykończone ściany polerują i pokrywają naturalnym lakierem zrobionym przez zagotowywanie strąków nere z afrykańskiego drzewa. We wsi jest kilka takich zagród, lecz tradycja malowania powoli zanika. Bezpośrednio po powrocie do Po o 12 w południe, wyjeżdżamy autobusem firmy Rakietą do Ouagadougou zwanego przez tubylców Ouaga. Bilet rezerwujemy dzień wcześniej (5000 CFA), a za bagaż nie płaci się, więc zostawiamy go w bagażniku, ale dobrze jest mieć worek foliowy lub pokrowiec, gdyż bagażniki są brudne, a bagaż wyrzucany

wprost na piasek (brak betonu na dworcach). Hotel znajdujemy po przeciwnej stronie dworca firmy Rakieta dla autobusów wyjeżdżających na trasę Po-Waga i odwrotnie. Za hotel L'oiseau Bleu z wentylatorem i łazienką płacimy 8500/2os., a jego nazwa, widoczna z ulicy, jest umieszczona b. wysoko na budynku. Pieszko z hotelu idziemy na bazar w okolicie Wielkiego Meczetu, obok którego jest wielki supermarket, którego właścicielem są Libańczycy. Ceny są wysokie, jak we Francji, produkty też w większości francuskie lub z krajów arabskich. Dochodzimy do Maison du Peuple, potem ulicą, gdzie na pniach drzew wykonane są ciekawe płaskorzeźby, idziemy na dworzec firmy STAF LARLE i kupujemy bilety na następny dzień do Bobo-Dioulasso (5000 CFA). Pieszko pokonujemy długi dystans, aż do Rond point des Nations Unies – ronda z pomnikiem globusa i, kierując się w prawo, spacerujemy wzdłuż szerokiej ulicy z budynkami urzędowymi, zupełnie opustoszałej wieczorem.

Dzień 18

O 10 rano wyjeżdżamy do Bobo autobusem firmy STAF, z niezbyt wygodnymi, wąskimi siedzeniami 2 lub 3-osobowymi. Taxi za 600 jedziemy do hotelu Cocotier, w samym centrum, obok ratusza, czyli Hotel de Ville i kilkaset metrów od osławionego Wielkiego Meczetu (7500 pokój 2/os. z łazienką i wentylatorem). Wokół meczetu mnóstwo przewodników nachalnie zaczepiających nas, wynikiem czego jest totalne zniechęcenie moich znajomych do zwiedzania. Oglądają tylko meczet z daleka i całkowicie rezygnują ze zwiedzania, a resztę czasu spędzają w restauracjach. Tylko jeden z przewodników mówi trochę po angielsku, wchodzę z nim na dach meczetu, słuchając szczegółowych objaśnień dotyczących meczetu, potem schodzimy do skromnych pomieszczeń wewnątrz. Meczet najciekawiej prezentuje się z zewnątrz. Wykonany z gliny i błota, z wystającymi z muru belkami, wzmacniającymi konstrukcję. One nadają mu oryginalnego, niepowtarzalnego wyglądu, dla którego chciałam tu przyjechać. Z tym samym przewodnikiem, wyjątkowo skromnym i miłym, udaję się do najstarszej części miasta, dzielnicy Kibidwe, po drugiej stronie ulicy. Przechodzimy pomiędzy chatami zbudowanymi z glinianych cegieł suszonych na słońcu i pokrytych gliną, dochodząc do rzeki, gdzie pływają „święte ryby,” a jednocześnie kobiety piorą, myją naczynia, a wokół stosy śmieci; dalej trwa proces domowego warzenia piwa. Warunki sanitarne przerażające, a przecież to centrum historyczne. Chodzę kolejno po wszystkich dzielnicach starego miasta: mużułmańskiej, animistycznej, muzyków, rzemieślniczej, wchodzę do warsztatów z wyrobami z brązu, żelaza i drewna; są tam maski i różne wyroby afrykańskie, instrumenty muzyczne. Biednie, ale ludzie dosyć mili, nikt tu nie zaczepia ani nie zmusza do kupowania. Przewodnikowi daję 1500 CFA.

Dzień 19

Ok. 9 rano zbiorową taxi (300 CFA/os.) jedziemy na dworzec Rakiety. Bilet dostajemy na 10.30 i po 2 godz. jesteśmy w Banforze. Tu spotykamy ludzi o zupełnie innym nastawieniu do turystów, przyjaznych bezinteresownie. Pomogli nam znaleźć bardzo dobry hotel Roniers, najlepszy na naszej trasie afrykańskiej, b. czysty, z dużą łazienką, wentylatorem, moskitierą, z piękną recepcją i wspaniałym położeniem, w otoczeniu magnolii i kwitnących drzew. Tak nam się tu podoba, że zostajemy 2 noce (7500+200tax/2os.)Przechodzimy przez cały bazar piaszczystą drogą, gdyż hotel jest na końcu bazaru, po jej lewej stronie. Robimy rozeznanie w cenach dojazdu do wodospadu

Karfiguela i do Pics de Sindou oraz jeziora Tangrela. Znajdujemy dobrą cenę w małym punkcie, ok. 100 m od wjazdu na dworzec Rakiety, przy głównej drodze prowadzącej na dworzec. Właściciel oferuje nam motorki z kierowcami na cały dzień, po 10 000 CFA za każdy. W cenie jest paliwo. Podpisujemy umowę, zostawiając 10 000 zaliczki i mamy zgłosić się następnego dnia o 7 rano. Wieczorem idę do kościoła, kupuję przy drodze mango, którego jest tu zatrzęsienie, a potem jem pyszną jajecznicę z cebulą i pomidorami, którą serwują na bazarze, w bocznej drodze, niedaleko naszego hotelu. Większość handlarzy przyjeżdża z daleka i zostaje na noc, więc w godzinach wieczornych od 18 do 22 i rano od 6 do 9 rozstawiają stół i ławę i jedna osoba smaży jajka. My wybieramy sobie z pudła odpowiednią ilość jajek (1 jajko 100 p.), do tego bagietkę (też 10 p.) i dodatki, tj. pomidory i czekamy, aż jajecznica będzie gotowa. Przez 2 dni jedliśmy tu przepyszne śniadania i kolacje.

Dzień 20

Ok. 8 wyruszamy motorkami na zwiedzanie okolicy. Powietrze jest rześkie, po wczorajszej burzy. Jedziemy piaszczystą drogą, mijając wioski z tradycyjnymi glinianymi chatami na planie koła, a po 1,5 godz. dostrzegamy olbrzymie, wieżyczkowate formy skalne i z naszym kierowcą wchodzimy po naturalnie uformowanych schodach w głąb tego skalnego terenu; spacerując, podziwiamy przedziwne kształty formacji skalnych na Wzgórzu Sindou. Gdy wracamy do naszych motorków, czeka na nas pan z kwitkiem do zapłaty – 1000 za wstęp i 1000 za robienie zdjęć. W drodze powrotnej zatrzymujemy się na zdjęcia przy charakterystycznych dla rejonu, małych, okrągłych domach, zgrupowanych i połączonych glinianym murem, a kiedy jesteśmy już niezbyt daleko od Banfory, skręcamy w prawo, w kierunku uroczego jeziora Tangrela. Wynajmujemy pirogę za 1000 CFA, tyle samo płacimy za wstęp i płyniemy po jeziorze, mijając pięknie kwitnące nenufary. Przewodnik robi mi z nich wianek na głowę, za co oczywiście dostaje napiwek. Dopływamy niedaleko licznej grupy hipopotamów, ich małe dają nam pokaz, unosząc się wysoko w górę w ramach ćwiczeń. Mamy szczęście, że wczoraj padał deszcz i po nocnej burzy jest chłodnawo, gdyż dzięki temu hipopotamy chętnie wystawiają ciało nad wodę, a jest ich w jeziorze łącznie 20 sztuk. Z okolicy jeziora jedziemy na skróty wąską ścieżką przez pola uprawne, sztucznie nawadniane, do wodospadu Karfiguela. Wstęp 1000 i po 150 za parkowanie motorka. Do wodospadów idziemy piękną, zacienioną aleją z mango. Najpierw schodami wspinamy się w górę i oglądamy uroczo prezentujące się cascady z dołu, a potem wchodzimy przez kolejne półki skalne jeszcze wyżej, gdzie można popływać lub popluskąć się wodą. Wracamy malowniczą trasą, zatrzymując się przy baobabach. Wyczerpani, ale usatysfakcjonowani, jesteśmy w hotelu o 16.30.

Dzień 21

W południe wyjeżdżamy autobusem firmy Rakieta do stolicy. Bilet zakupiliśmy dzień wcześniej. Mamy przesiadkę w Bobo. Rakieta jest bardziej komfortowa niż firma STAF, ma 2-osobowe, wygodniejsze siedzenia, pokryte materiałem, TV. Po drodze mijamy liczne jeziora i typowe zagrody z okrągłymi domami. Na całej trasie dziewczynki sprzedają okrągłe ciasteczka z sezamem (4 szt – 100 CFA) i mango. O 19.00 jesteśmy w Ouaga. Hotel Ouidi znajdujemy ok. 1 km od dworca Rakiety, kierując się w prawo,

przy piaszczystej drodze, równoległej do głównej (6500 CFA/2os., z prysznicem, zlewem, wentylatorem, ale wc na zewnątrz).

Dzień 22

Planujemy pojechać do Dori. Autobusy firmy STAF, ok. 1,5 km od naszego hotelu, a 0,5 km od dworca Rakiety odjeżdżają o 6.00, 10.00 i 13.00. Wcześniej rano kupujemy bilet na 10.00. Przychodzimy 15 min przed odjazdem, niestety, autobus już odjechał, przebukowujemy więc bilet na 13.00, a w tym czasie korzystamy z pobliskiej kafejki internetowej (150p/0.5 godz.). Droga do Dori jest asfaltowa, w bardzo dobrym stanie, na trasie liczne baobaby, ale ok. 120 km od Dori zaczyna się strefa pustynna z kolczastymi krzakami. Po 4 godz. dojeżdżamy do miejscowości Bani i tam psuje się autobus, reperiują go ponad godzinę, my w tym czasie podjeżdżamy trochę dalej do miasteczka, by przyjrzeć się zabytkowym, glinianym meczetom, z wystającymi belkami, położonych na 7 wzgórzach. Autobusu, niestety, nie naprawili i przesiadamy się, podobnie jak inni pasażerowie, do innego, który jedzie w tym kierunku. W Dori jesteśmy o ok. 20.00. Trafiamy do najbliższego Auberge Populaire, niedaleko od dworca STAF, wystarczy dojść do głównej drogi i przy aptece skręcić w lewo (4500/2os. za pokój z moskitierą, wentylatorem, prysznicem, zlewem, wc na zewnątrz, ale z tak małym otworem w betonie, do którego z ledwością można wycelować). Pokoje położone są z dala od ulicy, wokół dużego podwórka. Nocą powietrze jest gorące. Wieczorem orientujemy się w recepcji hotelowej, jak dojechać do Gorom Gorom na potężny czwartkowy targ. W pobliżu hotelu spotykamy ok. 25-letniego Samuela, mówiącego po angielsku, który przedstawia się jako miejscowy przewodnik, pochodzący z Gorom Gorom, pokazuje swoje ID ze zdjęciem i namawia nas, abyśmy już dzisiaj kupili u niego bilet na jutrzejszą taxi-brousse, aby mieć pewność, że pojedziemy, gdyż jedzie ona tylko raz dziennie. Jako gwarancję, daje nam kwit wzięty z bloczka od sprzedawcy ze sklepu, z zapisaną sumą 1500 CFA od osoby. Nie mamy zwyczaju płacić wcześniej, ale tak bardzo zależy nam na tym wyjeździe, że dajemy mu pieniądze, zwłaszcza, że świadkiem jest sklepikarz.

Dzień 23

Wstajemy o 5.00 rano i od razu idziemy niedaleko hotelu, do miejsca, skąd odjeżdża taxi-brousse, aby zająć miejsce, gdyż może być tłoczno, bo wiele osób jedzie na targ. Wypatrujemy Sama z naszymi potwierdzeniami zakupu biletów, ale nadaremnie. Okazuje się, że coś takiego, jak rezerwacja nie istnieje, a on jest zwykłym oszustem, którego tu znają, bo wielokrotnie wyłudził pieniądze od turystów. Angielski zna, gdyż pracował w Ghanie na budowie, gdzie spadł z wysokości i teraz wyraźnie utyka na nogę, a na prawej dłoni ma ucięte palce. Po powrocie odnaleźliśmy go w stanie upojenia w barze z alkoholem, niestety, nasze pieniądze już przepił. Tymczasem płacimy po 1500 CFA i załadowaną taxi-brousse ruszamy do Gorom Gorom. Policjanci zatrzymują pojazd zaraz po wyjeździe z Dori i sprawdzają paszporty, a drugi raz przed wjazdem do Gorom Gorom. Wszyscy współpasażerowie, to mężczyźni z Ghany, którzy jadą na targ, aby kupić taniej krowy i kozy od handlarzy z Nigru. Po 1.40 min jazdy z widokami pustynnymi docieramy bezpośrednio na bazar. Jak zwykle w tym kraju, od razu pojawia się opiekun, na szczęście jest to spokojny, młody chłopak, ale mówi tylko po francusku. Adane oprowadza nas po tym barwnym i interesującym targu, jednym z najślawniejszych w Zachodniej Afryce. Oglądamy przeróżne produkty roślinne, np. z baobau, kulki

przypominające w smaku żywicę, indygo i inne naturalne barwniki, wyroby ze skóry, tkaniny z bawełny, biżuterię afrykańską, fetysze i wiele innych wyrobów, o których ciekawie opowiada nasz przewodnik, a których nie spotkaliśmy na innych bazarach Afryki Zachodniej. Asortyment jest przeogromny. Kupujemy niektóre wyroby i wówczas możemy dowolnie robić zdjęcia, za inne płacimy po 100 p, lub dajemy kobietom małe paczuszki herbaty, które kupujemy w sklepie po 150 p. Widzimy tu wiele grup etnicznych, które zjechały tu z całego kraju i z zagranicy. Adane pokazuje nam koczowników Tuaregów, którzy przybyli tu na wielbłądach z sąsiedniego Nigru, ludzi Belli, którzy byli niegdyś niewolnikami Tuaregów, rolników Songhai i pastuchów Fulani oraz ich piękne kobiety, o delikatnych rysach twarzy, uważane za jedno z najpiękniejszych kobiet Afryki, ozdobione ciężkimi złotymi kolczykami. Idziemy na bardziej oddalony targ żywym inwentarzem, gdzie handluje się wielbłądami, owcami, kozami i krowami, a potem udajemy się w kierunku domostw, gdzie mieszka nasz przewodnik. Zaprasza nas do swojego namiotu, którego szkielet stanowi drewno, a reszta zbudowana jest z roślin. Wewnątrz siadamy na łóżku, różniącym się konstrukcją od naszych (nogi z drewna, rozwidłone u góry kupuje się oddzielnie, a na nie nakłada się drewniane pręty, na których spoczywa materac) i słuchamy opowieści o życiu tubylców, a później spacerujemy między chatami a bydłem. Nasz przewodnik dostaje od nas 4000 CFA, co go bardzo cieszy, a my o 13.30 wracamy taxi-brousse do Dori. W czwartek jest wiele taxi-brousse, gdyż sporo ludzi wraca z targu (1500 CFA). Wieczorem uczestniczę w uroczystej mszy wielkoczwartkowej w Dori, a później kupuję bilet do stolicy na dzień następny. Zarówno w Dori, jak i w Gorom Gorom brakuje owoców, nie ma zbyt dużego wyboru jedzenia, a to co jest, jest drogie (banan – 100, 2 jajka usmażone przy ulicy – 400, cola 1,5 l – 1000 CFA, woda w woreczkach – 50).

Dzień 24

Wyjeżdżamy o 10 rano, a w Ouaga jesteśmy po czterech godz. Dotarliśmy na inny dworzec firmy STAF, w pobliżu dużego kościoła katolickiego, odległy od poprzedniego ok. 2 km. W bocznej drodze, w odległości ok. 1 km od kościoła znajdujemy Hôtel de l'Entente, z dużym, przestronnym pokojem, z łazienką i wiatrakiem za 6500/2os. Z Ouaga planujemy dostać się do Togo, lecz autobusy kursują tam co drugi dzień, a bilet kosztuje 15 000 CFA, natomiast taxi-brousse odjeżdżają do granicy z odległego Gare de l'est wcześniej rano od 6.00 do 9.00 (bilet kupowany w kasie – 5000, a u kierowcy – 4000, gdy są miejsca). Nie możemy się zdecydować, jaką opcję wybrać. Ponieważ jest Wielki Piątek, wieczorem, o godz. 19.00 uczestniczę w uroczystej mszy wielkopiątkowej, która odbywa się na zewnątrz kościoła. Zajmuję wcześniej miejsce na ławce, większość przychodzi ze swoimi stołkami i krzesłami, niosąc je na głowach. Kobiety wystrojone w odświętne, kolorowe suknie, z fantazyjnie związanymi chustami na głowach, dzieci również wystrojone, z przeróżnymi ciekawymi fryzurami. Wierni śpiewają i klaszczą, wydając w szczytowych momentach głośne afrykańskie odgłosy lalalalalalala.....

Dzień 25

Ostatecznie kupujemy bilet do miasta leżącego 150 km od granicy z Togo, na autobus firmy STAF, na tym samym dworcu, z którego jechaliśmy do Dori (2000 CFA). Wyjeżdżamy o 17.00. Jedna osoba wkłada bagaże, a my szybko zajmujemy miejsce

i każdy siada, gdzie chce. W Koupela jesteśmy o 19.30. Zatrzymujemy się w centrum, w Auberge Calypse (5000/2os., prysznic i wentylator, a wc na zewnątrz. Są też pokoje z wc po 7000, ale miejsce jest tak głośnie ze względu na sąsiadującą knajpę, gdzie muzyka huczy do 4 rano, że nie warto przepłacać). Budynek dalej jest też hotel, ale w nocy nie zauważyliśmy go. Ponieważ jest Wielka Sobota, uczestniczę w uroczystej mszy, trwającej 4 godz. Liczni wierni przychodzą z własnymi krzesłami i zajmują potężny plac przy kościele. Chór młodzieżowy śpiewa pieśni, a zespół taneczny tańczy sceny zmartwychwstania, wyrażając wielką radość, spotęgowaną przez wiernych afrykańskimi odgłosami. Kiedy wracam po 1 w nocy, wierni tłumnie idą ulicą, a centrum tętni życiem, sklepy spożywcze i knajpy są otwarte, a obok naszego hotelu słychać głośną muzykę.

Dzień 26

Rano wybieram się na mszę wielkanocną na 8.00, wcześniejsza była o 6.00. Jest wiele ludzi, ale przeważają dzieci, które witają mnie, podając rękę, a potem ustawione wokół, bacznie mi się przyglądają. Tylko w Burkina Faso dzieci zawsze z własnej inicjatywy podawały rękę, często na ulicy, niejednokrotnie ustawiając się w kolejce. Okazuje się, że warto było zatrzymać się w Koupela. Wokół hotelu możemy dobrze i tanio zjeść. Są sklepiki, Internet, bazar, na którym kupuję przepyszne gorące pączki po 25/szt., potężne mango i avocado – 100/szt. Do granicy odległej o 150 km jeździ stąd bardzo dużo autobusów (3000 CFA – 2,5 godz.). Wystarczy stanąć za rondem, w kierunku Togo i zatrzymać bus. W miasteczku przygranicznym na widok naszego minibusu, kierowcy motorków dobiegają do niego z taką prędkością, że wyglądało to, jakby chcieli wszystkich porwać. Chcą koniecznie zawieźć nas na granicę, wmawiając nam, że to jeszcze 7 km stąd. Sprawdzamy to pieszo. Po 500 m jest pierwszy posterunek imigracyjny, potem idziemy jeszcze kolejne 500 m, a następnie przez miasto do miejsca postoju autobusów ok. 1,5 km. Chcemy jechać do Kande, ale jest niedziela i możemy liczyć tylko na minibusy, gdyż duże autobusy jadą bezpośrednio do Lome (9000 CFA). Ponieważ granicę zamykają o 18.00, minibusy odjeżdżają o godz. 20.00. Ok. 16.00 zaczyna się ich zapełnianie, a kierowcy obiecują, że gdy będzie komplet, odjedziemy wcześniej. Kupujemy więc bilet do Kande za 5000 CFA, ale nasz bus jedzie jeszcze do innej części miasta, gdzie ku naszemu zdziwieniu ładuje na górny bagażnik ok. 50 sztuk kóz, przebywających w zagrodzie. Wiązanie im nóg i załadowywanie trwa ok. 2,5 godz. My w tym czasie bawimy się z mużulańskimi dziećmi na podwórku, przy zagrodzie i przyglądamy się wieczornym modłom mieszkającej tu rodziny mużulańskiej. Nie wszystkie kozy mieszczą się na bagażniku, część jedzie z nami w środku, trzymana na kolanach lub z tyłu na podłodze. Zabieramy tak dużo pasażerów, że wszyscy ściśnięci są jak śledzie. Na 2-osobowych siedzeniach siedzą po 3 osoby, w tym dwie z dziećmi przy piersi, trzymanymi na kolanach. W sumie z dziećmi jest nas 25 osób, plus związane kozy. Droga do Kande jest straszliwie podziurawiona, a asfalt na brzegach postrzępiony. Ruch wzmożony. Kierowca sprytnie omija potężne dziury, jadąc zygzakiem z prawej na lewą stronę. Mknie szybko, wyprzedzając inne pojazdy, a kozy na każdej dziurze wydają płaczące odgłosy rozpacz, słyszalne z góry i z wnętrza busa, których nawet głośna muzyka włączona przez kierowcę nie zagłusza. Po drodze mijamy zabita krowę przez pojazd wyprzedzający nas, co powoduje kilkunastominutowy postój. Do Kande docieramy o 23.30. Od razu pojawiają się chłopcy z motorkami i wiozą nas do

auberge (duży przestronny pokój, łazienka, wiatrak – 3500 CFA). Uzgadniamy wyjazd do doliny Tamberma na następny dzień.

Dzień 27

O 8 rano chłopak z motorkiem czeka przed auberge. Jedziemy do szlabanu z budką, gdzie kupuję bilet wstępu do doliny. Płaci się tu obowiązkowo za przewodnika. Reszta towarzystwa zostaje w hotelu, nie chce już nic zwiedzać, gdyż natręctwo Murzynów z Burkina Faso dało im się tak we znaki, że nie mają ochoty ani widzieć, ani słyszeć tubylców. Wstęp do doliny – 1500 CFA, 5000 obowiązkowo za przewodnika, 4000 motor, którym jadę z przewodnikiem. Jedziemy ok. 30 km w kierunku Nadoba, zatrzymując się po drodze przy ufortyfikowanych wioskach położonych na tle wzgórz. Domy przypominają fortece złożone z wielu wież połączonych grubą ścianą z pojedynczym pokojem wejściowym, służącym niegdyś do łapania wroga, zbudowane są bez użycia narzędzi. Wieże pokryte są przez stożkowe dachy i służą do gromadzenia zboża. Po godz. 11 jestem z powrotem i minibusem wyruszamy do Atakpame niezwykle dziurawą drogą, co zajmuje ok. 7 godz. W Atakpame wysiadamy na początku wsi, ok. 500 m przed pocztą, gdzie jest dużo hoteli, większość jednak głośnych, z dyskoteką i barami. Wzdłuż głównej drogi stragany z tanimi dużymi mango, avocado po 100/szt. i ananasami – 200/szt. Są też stoiska z szaszłykami. Internet jest na końcu ulicy, przy skrzyżowaniu drogi do Lome i Kpalime. (Z tego skrzyżowania następnego dnia jedziemy minibusem do Kpalime). Pokój znajdujemy w katolickiej szkole Sacre Coeur od strony głównej drogi, naprzeciw Le Sahelien – głośnego i drogiego hotelu. Nieduży, ale czysty pokój z prysznicem, wentylatorem, w zacisznym miejscu kosztuje 2000/os. Wieczorem strasznie się chmurzy, temperatura z 40°C spada do 27°C i przez godzinę nieustannie leje i grzmi, a ulica zamienia się w rzekę. Po raz pierwszy od naszego pobytu w Afryce jest wyjątkowo chłodne powietrze.

Dzień 28

Motorkiem jedziemy do skrzyżowania w pobliżu Internetu za 100 CFA. Stąd udaje nam się od razu odjechać minibusem do Kpalime (2000 CFA, 3 godz.). Droga jest bardzo dziurawa, z fragmentami asfaltu, ale trasa bardzo malownicza, góry, zieleń, mnóstwo palm i niezliczona liczba termitier, o pięknych kształtach wież katedralnych. Mijamy wsie, dzieci wracające ze szkoły. Po trzech godz. jesteśmy w Kpalime, miejscowości górskiej, otoczonej górami z niezwykle zieloną roślinnością. Tuż za dworcem oglądamy dobry hotel w wysokim budynku (8000/2os.), ale my lokujemy się z drugiej strony dworca, tuż przy katedrze w Marquise Fofana Bofana, w pokoju z wiatrakiem i łazienką (7000 CFA). Od strony kościoła są sklepy z maskami (6000 za sztukę średniej wielkości). Obchodzimy wokół miasteczko, przypominające swoim położeniem nasze Zakopane. W centrum jest bazar, kupuję placki ziemniaczane smażone na ulicy (25/szt.). Góry są nieco oddalone od miasteczka, a do najwyższego szczytu Togo-Mt. Agou (989 m n.p.m.) trzeba dojechać. W górach są wodospady.

Dzień 29

Minibusem jedziemy z Kpalime do Lome (2000 CFA, 3 godz.). Początkowo dobra asfaltowa droga, potem, niestety, dziury w asfalcie, ale po obu stronach drogi piękne lasy palmowe i soczysta zieleń. W Lome minibus kończy trasę przy stacji benzynowej,

niedaleko szpitala i końcowego odcinka drogi do Ambasady Ghany. Wykorzystujemy to i udajemy się do szpitala, gdzie wykonujemy badania na malarię. Koszt 800 CFA, ale ostatecznie nic nie płacimy. Niestety, wynik u dwóch osób jest pozytywny, jak przypuszczaliśmy, bo wskazywały na to objawy, ale chcieliśmy się upewnić. Na piśmie otrzymujemy rozpoznanie – plasmodium falciparum. Możemy tutaj jeszcze skorzystać z wizyty u lekarza za dodatkowe 1000 CFA, ale analityk proponuje nam, abyśmy zgłosili się bezpośrednio do apteki, ale nie tej w szpitalu, tylko w pobliżu stacji benzynowej. Tam po pokazaniu rozpoznania wydano nam Coartem (artemether + lumefantrine) za 3500 CFA. Taxi zbiorową za 300/os. jedziemy na bazar, wysiadając w pobliżu kościoła, a stamtąd udajemy się do znanego nam już z wcześniejszego pobytu Hotelu Foyer des Ivoiriens (8500/2 os). Dzięki dogodnemu położeniu hotelu możemy swobodnie robić ostatnie zakupy na bazarze.

Dzień 30

Samolot mamy o 12.00, wyjeżdżamy więc o 9.30 motorkami na lotnisko (500/os). Przesiadkę mamy w Addis Abeba w Etiopii, potem Paryż i Kraków.

Przykładowe ceny w Beninie, Togo i Burkinie (wszystkie ceny we frankach CFA): woda w woreczkach – 25–50, 1,5 l but. – 500, coca-cola mała – 450, 1,5 l – 1000, avocado, mango – 100/szt., kawałki mięsa – 100–300, ryby – 400, porcja ryżu, makaronu – 100, sos – 100, croissant – 100–300, bagietka francuska – 100, Internet – 300/godz., przejazdy motorkiem na dłuższe odcinki w mieście 500–700, maski – min. 6000. W Beninie jedzenie jest droższe niż w Togo.

Ghana (ceny w cedi): woda w woreczkach – 50–100 pesewa, szaszłyk z mięsa – 1, porcja mięsa – 3, porcja ryżu – 1, mango – 0,50/4 szt., papaja – 1, ananas – 1–2, taxi w Accra na dłuższe odc. – 5, znaczek – 1, kartka – 1, maski – min. ok. 7

Noclegi: ceny za pok. 2 os. w CFA, a w Ghanie w cedi

Togo

Lome – "Auberge de Lafam" – 6000, "Foyer des Ivoiriens." 8500 (BP 12625 Lomé, Tel. 210846.8500), Kande – Auberge – 3500, Atakpame – "Sacre Coeur" – 2000/os, Kpaline – "Marquise Fofana Bofana" – 7000

Benin

Quidah – Hotel Ermitage nr 2 – 6000, Cotonou-guesthouse – 6000, Porto Novo – Hotel Malabo "Ayikpevi" – 6000 (blvd Lagunaire, tel. 29-21-34-04),

Burkina

Po "Auberge Agoabem" -7500, Ouagadougou: Hôtel de l'Entente-6500 (Sect.12 Niogssin Rue 12-25 Tél. 50457312), L'oiseau bleu – 8500, Hotel Ouidi – 6500, Bobo-hotel Cocotier – 7500, Banfora – Hotel Roniers-7500/2os +200tax rządowy (Annexe de Hotel Canne a Sucre, tel. 20911516/20910497), Dori- Auberge Populaire – 4500, Koupela- Auberge Calypse – 5000,

Ghana

Accra – hotel New Casanova – 30, Cape Coast – Haizel Guesthouse – 30, Kumasi-Prezbiterian Guesthouse – 30, Tamale – Catholik Guesthouse – 28, Narodowego Park Mole - dormitory 18/łóżko, Navrongo – "Guesthouse Peace and Love" – 21,

Uzbekistan



Termin wyjazdu: 30.04. – 15.05.2012

Trasa:

Warszawa – Ryga – Taszkient – Nukus – Moynak – Nukus – Beruni – Bustan – Ayaz Quala – Bustan – Beruni – Urgench – Chiwa – Urgench – Bucharą – Samarkanda – Shahrissabz – Samarkanda – Taszkient – Kokand – Taszkient – Chimgan – Taszkient

Transport: samolot – autobus – moskwić – minibus – marszruta – taxi – trolejbus – pociąg – metro

Waluta: 1 \$ – 2800–2850 somów (UZS)

Formalności, tj. wiza i zaproszenie z prowidzą agencji: 500 zł

Kilka lat temu, marząc o wyjeździe do Iranu, pomyślałem o szybkim wypadzie do Uzbekistanu. Z tranzytem przez Turkmenistan. Zasadniczo myślałem o dwóch miastach do zwiedzenia: Bucharze i Samarkandzie. Były to jednak tylko bardzo wstępne zamierzenia, bo dość szybko zorientowałem się i uświadomiłem sobie, że Uzbekistan jest zbyt ciekawym krajem, aby potraktować go pobieżnie. Tym samym narodziła się idea oddzielnego wyjazdu do Centralnej Azji. Zorientowani w temacie wiedzą, że Republika Uzbekistanu wymaga od turysty zaproszenia z Uzbekistanu. Z innych uciążliwości należy wymienić konieczność zaświadczenia z miejsca pracy, rozbudowany formularz wizowy i podanie dokładnych dat wjazdu i wyjazdu z Uzbekistanu. Zaproszenie można zorganizować samemu lub skorzystać z agencji pośredniczącej. Wybraliśmy to drugie rozwiązanie i poprzez www.wiza-serwis bardzo szybko nabyliśmy prawo do przekroczenia granicy.

30 kwietnia

Tradycyjnie wylot z warszawskiego Okęcia. Do Taszkientu poleciliśmy liniami Air-Baltic via Ryga. Dziwne linie. Z jednej strony cena biletu sugeruje normalnego przewoźnika, z drugiej zaś płatne dodatkowo jest wszystko. Począwszy od odprawy za bagaż, a skończywszy na jedzeniu i napojach na pokładzie. W trakcie lotu brak cateringu. Z uwagi na jego długość (4 godziny) warto rozważyć własną aprowizację. Lotnisko

w Rydze przypominało mi swoją kameralnością Helsinki. Tyle, że zdecydowanie gorsza jest strefa wolnościowa. W oczekiwaniu na wylot do Taszkientu, zobaczyliśmy „złote uśmiechy” Uzbeków.

01 maja

Po wylądowaniu – jak zwykle – w środku nocy, wyszliśmy na zewnątrz w poszukiwaniu zamówionego transportu na lotnisko krajowe. Zgodnie postanowiliśmy uniknąć długiej jazdy pociągiem (20 godzin !) do Nukus. Jeszcze w Polsce zdecydowaliśmy się zaoszczędzić czas i zamówiliśmy w uzbeckiej agencji bilety na lot wewnętrzny z Taszkientu do Nukus. Kierowca już na nas czekał z zabawną wersją nazwiska. Od razu zauważyłem kolosalnego i ociekającego luksusem Maybacha. A podobno Uzbekistan to kraj na dorobku?! Jazda na lotnisko krajowe nie trwała nawet 5 min. Czy jest transport za dnia nie wiem, ale na pewno o 3 rano nie ma. Wystawienie biletu oraz podwózka kosztowała nas 10 \$ na osobę. Koszt samego biletu do Nukus 75 \$. Przed wejściem na teren terminalu pobieżna kontrola, szczegółowa przy drzwiach budynku. Do odlotu zostało nam kilka godzin i zmęczenie już zaczęło dawać sygnały. Starłem się zapomnieć o ryzyku (samolot produkcji radzieckiej An-24) i szybko zasnąłem. Lot do Nukus jest krótki, trwał bowiem ledwie 2 godziny. Oczywiście po wyjściu z budynku otoczyła nas chmara taksjary. Prawie byliśmy już zdecydowani zapłacić za kurs na dworzec autobusowy. Jednak Gośka nawiązała kontakt z turystami niemieckimi i tym sposobem załapaliśmy się na taksówkę do ich hotelu. Był on położony blisko bazaru w Nukus, na którym zamierzaliśmy wymienić pieniądze. O legalnej wymianie należy koniecznie zapomnieć. Kurs oficjalny jest na tyle niski, że zupełnie nieopłacalny. Podobnie było w Birmie, choć tam należy bardzo uważnie wybrać miejsce wymiany. Wymiana jest przeżyciem niepowtarzalnym. Z powodu niskich nominałów miejscowych banknotów kilka dużych nominałem „liści sałaty” zamienia się w pękata reklamówkę somów. Dodatkową trudnością jest przeliczenie tej sterty. Naprawdę po wymianie ma się poczucie bycia milionerem. Choć jest to spora niedogodność przy płaceniu. Z bazaru marszrutką pojechaliliśmy na „dworzec autobusowy”, z którego odjeżdżają autobusy do Moynak. Chcieliśmy zobaczyć kutry rybackie osadzone na dnie jednego z największych (kiedyś) jezior świata, przez miejscowych zwanego Morzem Aralskim. Zakładam, że temat katastrofy ekologicznej akwenu i okolic jest znany. Jazda do Moynak przypomniła nam o stanie dróg w Azji. No, może nie cały odcinek był mordęgą, ale znaczna jego część. Dziury, wykroty, nierówności towarzyszyły nam przez prawie 3,5 godziny. Widoki monotonne, bez większych emocji. Na odpoczynek bez szans, bo znaczne podskoki na trasie uniemożliwiały stabilną pozycję. Po drodze były przystanki, zatem z głodu nie umrze się. W ofercie słodkie napoje i somsy, czyli większe pierożki z nadzieniem mięsno-kapuścianym. Jeszcze nie skusiliśmy się. Wreszcie dotarliśmy. Moynak od razu sprawia wrażenie miejsca, o którym świat zapomniał. Jest całkowicie odrealnione. A ciężkie chmury na horyzoncie tylko pogłębiły to odczucie. Kierowca zatrzymał pojazd naprzeciwko hotelu, który może być wszystkim, tylko na pewno nie hotelem. Ale był. I to jedynym w Moynak, nie licząc jakiejś prywatnej kwatery (podobno jest takowa!). Oybek Hotel na zewnątrz nie ma nawet małego szyldu. Weszliśmy na teren posesji niepewni, czy w ogóle działał. Drzwi były jednak otwarte, toteż weszliśmy. Po szybkim obejrzeniu pokoju – o jego standardzie później – wyszliśmy w poszukiwaniu statków. Jak na złość, zaczęło mocno padać i zostaliśmy zmuszeni poszukać

schronienia w rozsypanym domostwie. Tak przestaliśmy kilkadziesiąt minut. Dotarliśmy do dawnego brzegu jeziora. W dole znajduje się kilka ustawionych w rzędzie kutrów. Zardzewiałych i pozbawionych życia. Jak niemi świadkowie dawnych, choć niekoniecznie dobrych, czasów. Po horyzont rozciąga się monotony obraz wyschniętego dna porośniętego burzanami. Trudno uwierzyć, a właściwie jest to niewyobrażalne, że kilkadziesiąt lat temu było tu zarybione jezioro. Wydaje się to wprost niemożliwe. Nic nie zostało, co mogłoby być tego dowodem. Oprócz statków, bo komu chciałoby się przyciągnąć tutaj tyle żelastwa?! Tym samym jest to dowód niezbity. Wróciliśmy do hotelu. Ze spaceru po mieście nici, bo solidnie rozpadało się, a na dodatek padła elektryczność. Zostaliśmy w pokoju i zmęczeni zasnęliśmy. Obudziliśmy się i zeszliśmy na dół do recepcji, przypomnieć o sobie i zamówionej kolacji. Przysmażone ziemniaki z minimalną ilością mięsa. Jednak w tych warunkach była to dla nas prawdziwa uczta. Choć spożyta jedynie przy nikłym świetle latarki. Po posiłku, przechodząc przez recepcję, natknęliśmy się na innych gości hotelowych jedzących własną kolację, solidnie zakrapianą. Gdy dowiedzieli się, że jesteśmy z Polski, zaprosili nas do stołu. Nie uniknęliśmy poczęstunku. Wódka jak wódka, pyszna zaś była zakąska przygotowana ze złowionych ryb i warzyw. Uzbegy okazali się przesympatycznymi i bardzo kontaktowymi ludźmi. Przyjechali do Moynak z pobliskiego Kundradu specjalnie na połów ryb. Oczywiście podzielili się tymi rybami nie tylko z nami, ale też z trójką motocyklistów z Ukrainy. Nie obyło się bez skosztowania tych ryb usmażonych w czymś podobnym do woka metalowym naczyniu. Bardzo smaczne. Siedząc, rozmawiając, jedząc i pijąc, spędziliśmy z nimi ponad 2 godziny, aż poczuliliśmy solidne zmęczenie. Należał nam się odpoczynek.

Wydatki:

170 \$ – 2 bilety samolotowe z Taszkientu do Nukus, transport taxi i opłata za wystawienie biletów

2500 UZS – 2 chlebki na bazarze

13 000 UZS – 2 bilety autobusowe z Nukus do Moynak

200 UZS – toaleta

1000 UZS – marszrutka z bazaru na punkt przesiadkowy w Nukus.

02 maja

Wstaliśmy wcześniej rano – ok. 6.30 – i jeszcze raz poszliśmy zobaczyć statki. Słońce i niebo bez chmur, choć było naprawdę zimno. Jak się okazało, nasi znajomi z hotelu też byli rannymi ptaszkami i również postanowili wybrać się nad „jezioro”. Mieli mocne głowy, bo za kołnierz wczoraj nie wylewali wódki. W świetle rannego słońca rozległe przestrzenie, będące kiedyś jeziorem, robią mocne wrażenie. Choć jest to rezultat bezmyślnej polityki ZSRR, to jednak w pewnym sensie widok jest fascynujący. Daje solidne pole do pracy wyobraźni. W ramach spaceru dotarliśmy do pobliskiej, nieczynnej już oczywiście fabryki konserw. Opustoszała i trochę przygnębiająca. Na dłuższe zwiedzanie nie mieliśmy czasu, bo zaplanowaliśmy wczesny wyjazd. Miałem wspomnieć o hotelu. Był to chyba jeden z najskromniejszych, w jakich kiedykolwiek przyszło nam nocować. Wyposażenie obejmowało stół i 2 krzesła. O łazience wewnątrz można zapomnieć, te były dostępne z korytarza. Jak w internatach i akademikach. Pokój, w którym spaliliśmy, miał jednak balkon. Hotel sprawia wrażenie, jakby znajdował się w ago-

nii. Takie sytuacje jak wczorajsza skutecznie przedłużają jego żywot. Jednak będziemy wspominać go ciepło. Z powodu takich niezwyklej spotkań z ludźmi, przypadkowo poznanymi, o których jednak będzie się bardzo długo pamiętać. Na „dworzec autobusowy” dojechaliliśmy starym, rozklekotanym moskwiczem. Spełnia w mieście rolę transportu publicznego. Miasto jest bardzo rozciągnięte i samochód jest świetnym rozwiązaniem. Zastanawialiśmy się, jak mieszkańcom Moynak żyje się w okresie od późnej jesieni do wczesnej wiosny. Chyba jest skrajnie depresyjne. Wróciliśmy do Nukus tak jak wczoraj. Niewygodnie. Po przyjeździe do Nukus dotarliśmy marszrutką na drugi koniec miasta, tym razem prawdziwy dworzec autobusowy. Potraktowaliśmy Nukus wyłącznie jako miejsce przesiadek, może jest w nim coś interesującego, ale nie możemy się wypowiedzieć z braku choćby minimalnej wiedzy. Tam oczywiście już czekali taksiarze, których zignorowaliśmy. Choć czas naglił, bo chcieliśmy dotrzeć wczesnym popołudniem do Ayaz-Qala. To jeden z ocalałych starych fortów na pustyni. Transport może być łatwy i drogi (taxi) albo skomplikowany i tani (różne pojazdy). Do Beruni pojechaliliśmy minibusem. Jakiś czas minął, zanim zebrali się chętni. Wykorzystaliśmy go na posiłek. Pierwszy raz zjedliśmy narodową potrawę Uzbekistanu, którą jest plov. Niezłe piwo. Jazda do Beruni była monotonna, szybko przesiedliśmy się do kolejnego minibusa jadącego do Bustan. W Bustan musieliśmy ponegocjować z taksiarzami. Innej możliwości nie ma, co kierowcy skrzętnie wykorzystują. Cel osiągnęliśmy. W Ayaz-Qala nocować można tylko w jurtach, co było dla nas największą pokusą. Dookoła pustka cywilizacyjna. Bez wątpliwości jest to miejsce turystyczne, choć jednak sporo na uboczu od głównych szlaków. Sam fort jest ciekawie położony na wzgórzu, z którego rozciąga się atrakcyjna panorama okolicy. W szczególności w słoneczne popołudnie, co stało się naszym udziałem. Jurtka może pomieścić wygodnie nawet 5 osób, a wtedy cena od głowy jest niższa. Kolacja była naprawdę bardzo obfita, ośmielię się ją nazwać wyszukaną. Ilość i smak dań kapitalny. Do picia woda, zielona herbata i oczywiście wódka. Znakiem zupa, smaczne sałatki i bardzo syjący plov, to dania, które zapamiętaliśmy. Można było pogryźć orzeszki arachidowe w sezamie i ciasteczka. Poczuliśmy się wyjątkowo najedzeni, w kontraście do wczorajszej kolacji. Wieczorem wiatr hulał i wył solidnie.

Wydatki:

- 30 000 UZS – „dwójka” w Oybek Hotel w Moynak
- 1000 UZS – kurs moskwiczem w Moynak
- 13 000 UZS – 2 bilety autobusowe do Nukus
- 1000 UZS – marszrutka w Nukus na bazar (2 os.)
- 1200 UZS – marszrutka w Nukus na dworzec autobusowy (2 os.)
- 8000 UZS – 2 porcje plov
- 3000 UZS – 2 kawy
- 3000 UZS – piwo (0,5 l)
- 12 000 UZS – minibus do Beruni (2 os.)
- 3000 UZS – minibus do Butan (2 os.)
- 15 000 UZS – taxi do Ayaz-Qala

03 maja

Znowu ranna pobudka. Przed śniadaniem wybraliśmy się na spacer z zamiarem dotarcia do pobliskiego jeziora. Wydawało się być położone niedaleko, ale po godzi-

nie zrezygnowaliśmy. Mieliśmy wrażenie, że nawet nie przeszliśmy połowy dzielącego nas dystansu. A byliśmy umówieni z taksówkarzem na powrót do Bustan. Śniadanie to znowu kulinarna rozkosz. I smaczne, i obfite – miejscowe pieczywo, miód, dżem morelowy, frytki z jajkiem sadzonym (!!), herbata, Nescafe 3 w 1, słodkie bułeczki. Jak na pustynię i jurcję, to luksus. W Bustan wsiedliśmy do minibusa i szybko dojechaliśmy do Beruni, skąd autobusem (państwowym) dotarliśmy do Urgench. Tutaj złapaliśmy chyba najciekawszy środek transportu – trolejbus. Fakt, że włókł się niemiłosiernie, ale mieliśmy czas i ochotę. Poza tym uniknęliśmy słońca. Przystanek trolejbusowy w Chiwie znajduje się przy murach Starego Miasta. Stąd jest w miarę blisko do hoteli i zabytków. Po szybkim przeglądzie hoteli przy Zachodniej Bramie zdecydowaliśmy się na Isakjon & Umidabonu Hotel. Zdecydowanie warto. Stare Miasto pod bokiem, a jednocześnie cicho, bez zgiełku turystycznego. Wyjątkowo zdecydowaliśmy się na odnalezienie knajpy z rekomendacją Lonely Planet. Dulnara Cafe położona jest poza Starym Miastem. Z niego trzeba wyjść Wschodnią Bramą i przejść jeszcze kilkaset metrów. Szyld można przegapić, należy szukać go po lewej stronie. Jedzenie bardzo smaczne i niedrogie, ale, niestety, obsługa zawiodła nas. Sugeruję uważne czytanie rachunku. Pod względem organoleptycznym na pewno warto. Z energią wróciliśmy na teren Starego Miasta. Schodami wspięliśmy się na punkt widokowy, z którego starówkę widać jak na dłoni. Muszę przyznać, że w łagodnych promieniach zachodzącego słońca widok był przedni. Wieczorem znaleźliśmy restaurację z fajką wodną, która w Uzbekistanie nosi nazwę czilim. Wybraliśmy nieznany nam smak – owoców granatu. I to był strzał idealny. Dla chętnych opis jak dotrzeć. Restauracja jest poza starówką, tuż za murami, obok przystanku taxi i marszrutek. Mieści się praktycznie w parku i warto ją znaleźć.

Wydatki:

50 \$ – nocleg w jurcie wraz z kolacją i śniadaniem

15.000 UZS – taxi do Bustan

2000 UZS – kurs minibusem do Beruni

3000 UZS – 2 bilety autobusowe do Urgench

1200 UZS – 2 bilety trolejbusowe do Chiwy

13.000 UZS – fajka wodna

3000 UZS – 2 kawy

6000 UZS – 2 bilety na wieżę widokową

04 maja

To się nazywa urlop. Wczesne wstawanie w godzinach, w których zazwyczaj śpię. O tej porze dnia na Starym Miście spotyka się właściwie tylko turystów z aparatami. Wszyscy liczą na poranne światło słońca, które czyni zdjęcia ładniejszymi. W hotelu śniadania serwują dość skromne. Po wykupieniu biletu combo (czyli pakietu zwiedzanych obiektów) rozpoczęliśmy dokładne zwiedzanie Starego Miasta. Od zawiłości skomplikowanych wzorów można doznać oczopląsu. W krajobrazie tej części miasta dominują pięknie odnowione medresy. Niektóre muzea też są ciekawe, np. natury, w którym znajduje się chyba najbardziej makabryczny przedmiot, jakim jest wielki słój wypełniony płodem dziecka. Naszym zdaniem najpiękniejszym obiektem jest Mahmud Pavlon Palace, oszałamiająco zdobiony w stylu perskim – wstęp dodatkowo płatny. Nazwany na cześć legendarnego i niezwykłego zapaśnika, który został ich patronem.

W pałacu znajduje się jego grób oraz szczątki ostatniego chana. Niewątpliwie wart uwagi jest Tosh-Hovli Palace, który charakteryzuje się pięknymi sufitami. Oprócz nich sugerujemy wizytę w Islam-Hoja Medressa, Juma Mosque z imponującymi drewnianymi kolumnami oraz Kuhna Ark. Generalnie, choć starówka jest stosunkowo niewielka, to jednak uważne jej zobaczenie zabierze cały dzień. Można też oczywiście cieszyć się nią dłużej. W środku dnia postanowiliśmy odpocząć w restauracji, przy okazji jedząc obiad. Po południu wróciliśmy na szlak zabytków, a wieczorem wróciliśmy na czilim i piwo do knajpy.

Wydatki:

36 000 UZS – 2 bilety combo

8000 UZS – 2 bilety do Mahmud Pavlon Palace

4000 UZS – 2 napoje z dużej beki z napisem Mors

1400 UZS – duża woda

2400 UZS – 4 somsy

50 \$ – 2 noclegi w Islam-Hoja Hotel

05 maja

Ponownie wstaliśmy wcześniej z powodu wyjazdu do Bucharu. Pogoda zapowiadała się nie najlepsza, tj. niebo było zachmurzone. Nie zdążyliśmy dojść do postoju, gdy podjechała do nas taksówka. Cena przyzwoita, a kierowca szukał ludzi do zapełnienia auta. Kierunek Urgench. Jazda szybka i wygodna. Na dworcu autobusowym okazało się, że mieliśmy dużo czasu do odjazdu. Wcześniej trochę czytałem o stanie drogi do Bucharu, ale i tak zostałem zaskoczony fatalnym jej stanem. Dziury, wykroty i wertepy. Męka trwała kilka godzin. Za to pasażerowi siedzący obok sympatyczni i gościnni. Częstowali nas nie tylko jedzeniem, ale i wódką. Przed południem! Pomimo dużej sympatii dla gospodarzy odmówiłem. Za nieokreślony czas komfort jazdy polepszy się, bo budowa nowej drogi postępuje. Można jednak tylko zgadywać, kiedy to nastąpi. Sama jazda przez pustynię nie dostarcza ciekawych widoków. Z wyjątkiem przejazdu przez most nad dużą rzeką Syr-Darią. Planowany przyjazd opóźnił się znacznie i w Bucharze, a właściwie na jej rogatkach byliśmy przed 19. Jechaliśmy zatem prawie 10 godzin. Wysiedliśmy przy sporym bazarze. Obstąpili nas oczywiście taksiarze. Przeszliśmy kilkaset metrów i trafiliśmy na przystanek marszrutek, z którego odjechaliśmy do Ark (twierdzy). Stamtąd poznana na przystanku miła Uzbeczka poprowadziła nas do hostelu, w którym zamierzaliśmy zatrzymać się. Niestety, nie było w nim miejsc. Ale zarządzająca (!) postanowiła nam pomóc i przeszliśmy się z nią do zagłębienia hotelików w okolicy placu Lyabi-Hauz. Już po zmroku doszliśmy do New Moon Hotel, w którym zostaliśmy wskutek owocnych negocjacji Gośki. Po odświeżeniu wyszliśmy na rekonesansowy wieczorny spacer. Późną kolację zjedliśmy w jadłodajni z domową kuchnią przy placu. Skąd taka pewność? Bo na nasze pytanie, co moglibyśmy zjeść, zostaliśmy zaprowadzeni do kuchni, w której stały gary z jedzeniem. Było pysznie i niedrogo. Nawzy jadłodajni nie znam, ale znajduje się po lewej stronie placu wzdłuż handlowej alei, naprzeciwko sklepu z wyrobami metalowymi.

Wydatki:

3000 UZS – kurs taxi do Urgench

40 000 UZS – 2 bilety autobusowe do Bucharu

6000 UZS – 4 duże somsy w drodze
1000 UZS – marszruta pod Ark
24 000 UZS – obiad w jadłodajni, wraz z 2 piwami
1000 UZS – 2 małe butelki coca-coli w sklepie
1000 UZS – duża woda

06 maja

Męcząca jazda autobusem usprawiedliwiła naszą późniejszą pobudkę. Gdy zeszliśmy na hotelowe patio, to okazało się, że śniadanie jest w formie bufetu szwedzkiego. Zestaw bardzo porządny: dżem z moreli, jajka na twardo, ser biały i żółty, wędlina, pomidory i ogórki, słodkie bułeczki i naleśniki. Do picia: herbata, kawa i napój pomarańczowy. Przy placu Lyabi-Hauz znajduje się imponująca medresa Nadir Divanbegi z motywami ptaków, co jest praktycznie niespotykane w świecie muzułmańskim. Warto również obejrzeć medresę Kukeldash. Z uwagi na naprawdę silne światło słoneczne darowaliśmy sobie fotografowanie i rozpoczęliśmy zwiedzanie. Więzienie Zion tylko z zewnątrz wygląda ciekawie. Po wspięciu się schodami zrezygnowaliśmy z wejścia, bo obejrzeć można 4 małe cele z postaciami imitującymi więźniów. Można sobie darować. Twierdza (Ark) nieczynna z powodu remontu, ale w Azji Centralnej wiele zakazów można obejść z pomocą pieniędzy. Pilnujący wejścia żołnierz sam zaoferował wejście na jej teren, ale wieczorem. Za naprawdę niewygórowaną kwotę. Niedaleko parku znajdują się dwie piękne medresy. Niestety, jedna z nich Modari Khan była zamknięta, w drugiej zaś – Abdulla Khna jedynie fasada była interesująca. Zaskakujący był fakt, że na jej dziedzińcu stał stolik, przy którym siedzieli miejscowi, zabawiając się grą w karty. Na wieżę ciśnień przy meczecie Bolo-Hauz również nie można wejść. Sam meczet dał nam tak miłe wytchnienie w tych coraz cieplejszych dniach. Niedaleko twierdzy rozpościera się strefa handlu złotem i biżuterią. Raj dla kobiet kochających błyskotki. Wstąpiliśmy też do sztywnego sklepu z dywanami i kilimami. Obsługująca dziewczyna zaimponowała mi znajomością kilku języków obcych. Dywany jak zwykle przepiękne, szczególnie te jedwabne. Kryty bazar to przede wszystkim miejsce zakupów pamiątek przez turystów, ale i tam można znaleźć ciekawe przedmioty. W pamięci utkwił mi przede wszystkim piękny kilim, ale o zaporowej cenie wyjściowej 1000 \$. Trochę żałuję, że nie podjąłem rozmów. W porze obiadowej weszliśmy do jadłodajni przy placu. Tak jak wczoraj, tak i dzisiaj jedzenie było bardzo smaczne. Wzięliśmy barszcz, sałatkę pomidorowo-ogórkową i 2 butelki chłodnego Green Beer. Rozkosz. Na wieczór złożyliśmy zamówienie na plov, który podawany jest w porze obiadu. Wróciliśmy na trasę zabytków. Niedaleko bazaru, z jednej strony położone są medresa Mir-i-Arab oraz minaret Kalon, z drugiej medresy Ulugbeka i Abdul Aziz. Front tej drugiej jest bajecznie kolorowy, a wewnątrz na dziedzińcu rosły już owocujące morwy. Słodysz dojrzałych owoców wprost oszałamiała. O dziwo, na bazarach nie widzieliśmy tych owoców na sprzedaż. Bez najmniejszych wątpliwości śmiem twierdzić, że najpiękniejsze medresy świata znajdują się w Uzbekistanie. Zjedzony na kolację plov był znakomity, choć mięsa w nim zbyt wiele nie było. Smaczna potrawa, choć tłusta. Wieczorem oddaliśmy się przyjemności palenia fajki wodnej o smaku granata. W życiu lepszej nie paliliśmy, niezwykle lekka i obficie produkująca wonny dym. Znajduje się na tyłach placu, po drodze na bazar i mieści się w byłym chyba sklepie z dywanami. Nad wejściem wisi szyld z nazwą Asia – Pearl of Middle East. Wracając do hotelu, przy zbiorniku wodnym

dancing trwał w najlepsze. Cóż to za zadziwiające miejsce w świecie islamu: głośna muzyka, tańce i swobodne ubrania, a obok na stołach stoją butelki z alkoholem. Jakież kontrast z nieodległym przecież Iranem! Zupełnie inny świat.

Wydatki:

1000 UZS – duża woda

25.000 UZS – obiad (2 barszcze, 2 sałatki i 2 piwa)

4000 UZS – 2 bilety wstępu do Kalon Mosque

1500 UZS – chleb na bazarze

28.000 UZS – 2 porcje plova, 2 bachlawy, 2 piwa i dzbanek herbaty

15.000 UZS – czilim (granat)

07 maja

Wczesne pobudki weszły nam w krew. Tym razem powitaliśmy dzień o 5.55. Pogoda i światło do zdjęć optymalne. Taki ranny spacer jest jednak bezcenny. Zazwyczaj na ulicach jest wtedy cicho, ruchu prawie nie ma. Wówczas miasto odbiera się zupełnie odmiennie niż w środku dnia. Wędrując, dotarliśmy na bazar, aż do zachowanych „starych murów” miasta. Specjalnie dla nich nie warto iść aż tak daleko od centrum. Po śniadaniu zmieniliśmy hotel, ale właściwie tylko przez ścianę. Standard i catering gorszy, za to podejście do klienta i atmosfera nieporównywalnie lepsza. Cena też niższa, 20 \$ za dwójkę. Jeszcze przed południem wybraliśmy się do agencji sprzedającej bilety kolejowe do Samarkandy. Warto zadbać o to wcześniej. Przy okienku okazało się, że potrzebne są paszporty. Te zostawiliśmy w hotelu. Zostaliśmy jedynie z kopiami w ręku. Ostatecznie udało się nam nabyć te bilety, zapewniając sprzedawczynię, że mamy ważne wizy. Stąd sugestia, by nie rozstawać się z paszportem. Nie wiadomo, kiedy się okaże niezbędny. Wczesnym popołudniem zobaczyliśmy dom lokalnego patrioty i bohatera lat 30. Nazywał się Fayzulla Khojaev. W Bucharze funkcjonowała niegdyś silna diaspora żydowska, ale niewiele z tej aktywności pozostało. Przeszliśmy się na cmentarz żydowski, położony jednak nieco na uboczu. W drodze powrotnej wdaliśmy się, tj. Gośka, w pogawędkę z uzbeckim Żydem. Mieliśmy sporo wolnego czasu, to skróciliśmy w bok. Do galerii fotografii. Okazało się, że fotograf znał paru polskich aktorów. Na zdjęciach widzieliśmy m.in.. Leona Niemczyka. Wspominał nam, że wykreowany w „Faraonie” Kawalerowicza Egipt, to pustynie Uzbekistanu. Obecnie stara się o finansowanie projektu o polskich dzieciach, które trafiły do Buchary podczas II wojny światowej. Bardzo sympatyczna postać. Zostały nam dwa wyjazdy poza miasto, niestety, w różnych kierunkach. Najpierw zdecydowaliśmy się na Bakhautdin Naqshband Mauzoleum. Dojazd z centrum miasta marszrutą za minimalne pieniądze. Zaintrygowało nas ono na zdjęciach zamieszczonych w kapitalnym albumie „Skarby Orientu”. Spośród wielu bardzo podobnych do siebie kopuł, ta w mauzoleum wyróżnia się żebrowaniem na jej zewnętrznej stronie. Następnie powrót do Buchary marszrutą o tym samym numerze, ale do Ark (twierdzy). Stąd piechotą do bazaru Karvon i znowu marszrutka do Czor-Bakr. Zdecydowanie warto było. Kompletna pustka i całkowite oderwanie od gwaru miasta. Dojazd szybki i w miarę dość nieuciążliwy, za to powrót rozpatrywałbym w kategoriach tragedii drogowych. Trzeba wyjechać do Azji, żeby nie czepiać się stanu polskich dróg. Tuż przed zachodem słońca udało nam się sfotografować chyba najbardziej charakterystyczny obiekt w Bucharze – Czar Minar.

To mała kubaturowo medresa, jednak niezwykle malownicza, z czterema wieżami. Nie są to jednak minarety, jak niektórzy je opisują. Z prostego powodu, minarety są przy meczetach. Po ciepłym dniu spragnieni wstąpiliśmy do miejscowej piwiarni. Zwykłe piwo, które szalenie nam smakowało. Dodam, że dwa kufle wypilem prawie duszkiem w 5 minut. Bardzo udany dzień zwieńczyła fajka wodna o nieznanym nam dotychczas smaku – owoców kiwi.

Wydatki:

50 \$ – 2 noclegi w New Moon Hotel

42 000 UZS – 2 bilety do Samarkandy (2 klasa)

1000 UZS – duża woda

7000 UZS – 2 bilety do Fayzulla Khojaev House

2300 UZS – opłata za robienie zdjęć

1500 UZS – 2 lody na patyku w sklepie

1000 UZS – 2 małe coca-cola w sklepie (0,5 l)

1600 UZS – kurs do Mauzoleum

8000 UZS – 2 bilety do mauzoleum

2000 UZS – kurs do Ark

2000 UZS – kurs do Czor-Bakr

6000 UZS – 2 bilety do Czor-Bakr

1000 UZS – kurs z Czor-Bakr do Karvon Bazaar

42 000 UZS – obiad w kanjpie przy Bolo-Houz Mosque (8 szaszłyków, talerzyk cebuli, 2 sałatki, okraszka – pomidory i ogórki w jogurcie, 2 fanty 0,5 l, 2 czajniczki herbaty)

3800 UZS – napój z granatów (1 litr)

50 000 UZS – hammam

28 000 UZS – fajka, cola i ciemne duże piwo

08 maja

Wyjazd rannym pociągiem oznaczał ponownie wczesną pobudkę. Nawet śniadanie jedliśmy w pośpiechu. Dworzec kolejowy, z którego odjeżdżają pociągi, położony jest naprawdę daleko za miastem, ponad 16 km. Dojeżdżają tam autobusy, ale nie chcieliśmy ryzykować spóźnienia. Koszt kursu taksówką obniżył współpasażer z Niemiec, konkretnie z Lipska. Przed wejściem na teren dworca szczegółowa kontrola dokumentów, przy wejściu zaś na perony wnikliwa kontrola bagażu (bramka). Pociąg do Samarkandy – „Sharq” – odjechał punktualnie o 8. Kupiliśmy bilety chyba najtańsze, ale i tak miejsca na nogi było wystarczająco dużo. W czasie podróży steward podał nam znakomitą herbatę z dużą ilością soku cytrynowego, która mile nas orzeźwiła. Podróż minęła szybko i komfortowo. Po blisko 3,5 godzinach dojechaliśmy do miasta Tamerlana. Władcą był potężnym i światłym. Stolicą państwa była Samarkanda. Nieopodal dworca znajduje się przystanek autobusowy, na którym wsiedliśmy do autobusu nr 22. Podwiózł nas za przysłowiowe grosze w okolice Registanu. W jego okolicach zgromadziły się budżetowe hostele. Zaczęliśmy przegląd od Bohodir B&B. Dobrze wybraliśmy, bo już zostaliśmy. Cena bardzo przyzwoita, 9 \$ od osoby za nocleg ze śniadaniem. Takie miejsca lubię najbardziej. Bezpretensjonalne i zawsze pełne ciekawych osób. Na ścianie stołówki liczne ślady pobytu różnych nacji, dużo polskich. Wyróżniała się wśród nich wielka polska fla-

ga. Taki sposób manifestowania patriotyzmu jest wzorcowy. Generalnie zauważyliśmy, że Polacy są lubiani w Uzbekistanie. Po usłyszeniu odpowiedzi na pytanie skąd jesteście, najczęściej twarze Uzbeków rozjaśniały się w uśmiechu. Najczęściej pytano nas o mistrzostwa Europy w piłce nożnej (z entuzjazmem) oraz, niestety, o katastrofę smoleńską (ze współczuciem). Dużym udogodnieniem dla turystów w Samarkandzie jest niewielkie oddalenie głównych atrakcji: placu Registanu, meczetu i mauzoleum Bibi-Chanum, nekropolii Shah-i-Zinda oraz mauzoleum Timurydów (Gur-e-Amir Mauzoleum). Wszędzie można dojść i w ogóle nie zmęczyć się ani odrobinę. W nowoczesnej części miasta na bazarze kupiliśmy truskawki. Bardzo smaczne, choć nie tak obłędnie pachnące jak nasze krajowe. Ale i tak sprawiły nam wiele przyjemności, podobnie jak czereśnie. Czekając na dogodne oświetlenie, zasiedliśmy na bulwarze w pobliżu pomnika Timura. Po obu stronach szerokie jezdnie, bulwar porośnięty wysokimi i wiosennie soczysto zielonymi platanami. Mauzoleum Timurydów imponujące. Na pewno odnowione, ale wzory zdobień wewnątrz oszałamiające kunsztem i bogactwem. Same nagrobki zadziwiająco skromne, co stanowi kontrast dla ówczesnej ich potęgi. Na zewnątrz piękna budowla z urokliwą wzorzystą turkusową kopułą. Nie muszę chyba dodawać, że jest to absolutnie obowiązkowy punkt w Samarkandzie. W hotelu wypaliliśmy faję, ale była kiepska. Słabo się ciągnęła i właściwie męczyliśmy się. Nie zawsze tanio znaczy dobrze. Wieczorem zjedliśmy późną kolację w restauracji na ulicy obok Registanu.

Wydatki:

10 000 UZS – ½ ceny kursu taksówką na dworzec w Bucharze

2000 UZS – 2 szklanki herbaty w pociągu

1000 UZS – 2 bilety komunikacji miejskiej

20 000 UZS – obiad w knajpie przy ulicy Registanskaya (2 łagmany i 2 piwa Pulsar – odradzam)

2600 UZS – 2 kawy i mleko w kawiarni

6000 UZS – faja w hostelu

28 000 UZS – kolacja (2 porcje mantów, 2 sałatki warzywne i piwo Boczka 1,25 l)

09 maja

Uznaliśmy, że wczesne zdjęcia Registanu mogą być interesujące. Nie trzeba było długo czekać, żeby żołnierz (lub policjant) zaproponował nam (nie całkiem legalne) wejście na wieżę obok medresy Ulugbeka. Pewną trudność mogą sprawiać wysokie schody, po których trzeba się wspinać, oraz ciasnota wewnątrz. Nagrodą za podjęty wysiłek jest ładna panorama Samarkandy. Niezależnie od pory dnia sądzę, że warto skorzystać z propozycji. To relatywnie niewielkie pieniądze. Wróciliśmy do Bohodir B&B na śniadanie. W zestawie można dostać nawet kaszkę mannę lub kaszkę gryczaną z usmażonym jajkiem !!! Doskonały dżem i miód, żółty ser i kiełbasa oraz trochę czerstwe pieczywo dopełniają posiłek. Na kilka godzin wystarczy. Hostel znajduje się na terenie Starego Miasta, które zostało skrzętnie ukryte przed oczami turystów. Zapewne to świadoma polityka władz państwowych i miejskich. Szerokie aleje spacerowe, nowe sklepy i dorodne drzewa wyglądają cokolwiek sztucznie. Aleja prowadzi do meczetu Bibi-Chanum. Oczywiście imponuje on swoją wielkością i pięknem architektury. Na dziedzińcu wewnątrz wielka kamienna podstawka, podobno na Koran. Pewnie dla starożytnych Gigantów, bo podstawka jest słusznych rozmiarów. Po przeciwnej stronie

alei jest mauzoleum Bibi-Chanum. W porównaniu z meczetem skromne. Za meczetem znajduje się duży bazar, Sjobrskij. Dobre miejsce na zakup pamiątek i mocnego alkoholu. Wybór wódek wprost zadziwiający. Zjedliśmy tam obiad w czajchanie. Oczywiście bardzo smaczny i aż nieprzyzwoicie tani. Idąc aleją w dół i skręcając w prawo, dojdzie się do cmentarza Shah-i-Zinda. Wejście i aleja grobów zdobionych w stylu perskim zachwyci każdego fanatyka islamu. Groby są wiekowe i naprawdę piękne. Sam cmentarz też jest pięknie położony. Nowe groby znajdują się na wzgórzu i jego zboczach, co powoduje, że jest on oryginalny w swojej koncepcji. Do obserwatorium Ulugbeka miłośnicy spacerów mogą iść, ale w słońcu nie jest to dobry pomysł. Tym bardziej że autobus miejski jest szybki, a bilet kosztuje drobne. Z instrumentarium obserwatorium pozostało niewiele, właściwie tylko platforma po sekstansie. W tej materii jestem ignorantem. Na pewno warto poświęcić czas na dokładne zwiedzenie muzeum. Na koniec dnia zostawiliśmy to, co najlepsze i najpiękniejsze – Registan. Każda z trzech stojących medres jest kunsztownie zdobiona. Oszczędzę sobie opisów z oczami i achami. Choćby tylko dla tego widoku należy przyjechać do Uzbekistanu i Samarkandy. Widok bajeczny, który zostanie nam w pamięci do końca życia. Mam taką nadzieję. Ten cudowny dzień kończymy wieczorem fają w restauracji przy ulicy Registanskaya. Napomknę, że ceny wstępów w Samarkandzie są najwyższe w Uzbekistanie, ale niewątpliwie należy wszystko zobaczyć. Najdroższy jest Registan, bo 13 000 UZS, ale zapłaciłbym i 30 000 UZS.

Wydatki:

10 000 UZS – wejście na wieżę (2 os.)

1000 UZS – przejazd do obserwatorium Ulugbeka

1000 UZS – powrót w okolice bazaru

20 000 UZS – obiad na bazarze (2 szaszłyki, 2 sałatki warzywne, 2 piwa, jogurt)

1200 UZS – fanta i coca-cola w sklepie

20 000 UZS – faja i dzbanek zielonej herbaty

24 000 UZS – kolacja (2 porcje pielmieni, 2 piwa Selbast niebieskie – znakomite)

10 maja

W pobliżu Samarkandy znajduje się Shakhrisabz. To nieduże miasto w przeszłości było letnią rezydencją Amira Timura. Droga z Samarkandy jest na tyle uciążliwa, że nie sposób się tam dostać lokalnym transportem publicznym. Do wyboru zostają taksówki. Już wczoraj umówiliśmy się ze znajomym Niemcem, który również trafił do Bohodir, że wspólnie pojedziemy do Shakhrisabz. Ciężar negocjacji spadł jednak na nas. Nie obyło się oczywiście bez utarczek i nieporozumień z taksiarzami. Co za marna profesja, jakby genetycznie skażona negatywnymi cechami charakteru. A może dopiero później wykształcają się? Myślę o niepomahowanej chęci naciągnięcia turysty. Z założenia nie mam nic przeciwko temu środkowi transportu, czasami jest niezbędny. Niech jednak ceny będą w granicach rozsądku. Ostatecznie jednak z jednej taksy wysiedliśmy, z drugą pojechaliśmy. Coś mi jednak podpowiadało, że u krańca podróży będzie dym. Jazda do celu trwała ok. 1,5 godziny. Droga, co należy podkreślić, malownicza. Wije się wśród zielonych wzgórz, przybierając kształt serpentyn. Jednak trochę nas podrzucało, bo jakość nawierzchni fatalna. Przy płaceniu, tak jak przewidywałem, taksiarz chciał więcej pieniędzy, bo za 4 osoby. My na to, że cenę ustalaliśmy za samochód. To niewielka różnica, ale chodziło nam o dotrzymanie ustaleń wcześniej poczynionych. Ostatecznie

zostawiłem pieniądze w kwocie uzgodnionej, choć taksjarsz oczywiście ciskał się, że za mało. Zatem przestrzegam, że należy wyraźnie powiedzieć, że płaci się za samochód, a nie za 3 miejsca. Bo wtedy kierowca może chcieć dodatkowe pieniądze. To jest zrozumiałe. Główna atrakcja miasta to resztki pałacu Ak-Saray, letniej siedziby Timura. Czas i trzęsienia ziemi zrobiły swoje. Pozostałości głównego wejścia imponują. Wysokie na 38 metrów. Wówczas warto popuścić wodze wyobraźni i spróbować przenieść się do XIV wieku. Podobno można było wcześniej wejść na górę. Teraz było to niemożliwe. Jednak znaleźliśmy sposób na rzut okiem z góry. Wsiedliśmy na diabelskie koło w parku rozrywki nieopodal. Rundka trwała około 5 minut. Z tej perspektywy miasto prezentuje się okazale. Skoro już tu przyjechaliśmy, to oglądaliśmy wszystko jak leci. Trafiliśmy do meczetu Kok-Gumbaz. Chyba nie jest to czynny obiekt sakralny, bo w jego wnętrzu chodziliśmy w butach. Do tego wniosku skłania mnie również okoliczność, że na dziedzińcu są sklepiki z pamiątkami. Na dziedzińcu rosły drzewa morwy z dojrzałymi owocami. Daliśmy się skusić i... zaczęliśmy zjadać owoce prosto ze zwisających gałęzi. Supersmaczne. Chyba tylko polskie truskawki i poziomki są lepsze. Niedaleko meczetu znajduje się Krypta Timura i grób jego ukochanego syna, Jehangira. Pomimo życzenia Tamerlana o pochówku w Shakhrisabz, władca spoczywa w Samarkandzie. Krypta jest więc pusta i stanowi jedynie jakąś atrakcję turystyczną. Na bazarze bez problemów znaleźliśmy „kantor wymiany”. Tym razem była to drogeria. Obiad zjedliśmy w miejscowym czajhanie – znakomity. Z planowanego wyjazdu do Langar zrezygnowaliśmy. Po pierwsze mieliśmy problem z dogadaniem się, czy wiedzą, o jaką wioskę nam chodzi, a po drugie żądana cena była zdecydowanie zbyt wygórowana. Mieliśmy nosa, bo ledwie skończyliśmy rozmowę z kierowcą, rozpętała się prawie tropikalna ulewa. Ulica przy dworcu autobusowym zamieniła się w rwący potok. Zostaliśmy unieruchomieni na prawie 2 godziny. Nie pozostało nam nic innego, jak powrót do Samarkandy. Problemem okazało się znalezienie transportu. Musieliśmy pojechać marszrutką do pobliskiego miasteczka Kitow, a dopiero stamtąd złapaliśmy auto do Samarkandy. Wracaliśmy z naszym znajomym Niemcem, który zawieruszył się po przyjeździe do Shakhrisabz w okolicach pomnika Tamerlana. Niezbadane i kręte są ścieżki turystów. Po intensywnych dniach zwiedzania postanowiłem oddać się przyjemnościom i poszedłem do hammanu. Masaż i błoga atmosfera lenistwa w nim panująca znakomicie mnie odświeżyła. Kilka słów o starym mieście. Odseparowane jest od turystycznego otoczenia Registanu i jawi się ono jak ogród ukryty za bramami. Te bramy naprawdę są. W ciągu dnia zamknięte, ale można je oczywiście otworzyć. Sęk w tym, że są wkomponowane w nowe zabudowania, gdzie znajdują się sklepiki. Sądzę, że znakomita większość turystów nie zagląda w ukryte podwórka i ulice. Te otwierają się wieczorem, kiedy mieszkańcy „odzyskują” swoje teryny i stoją przy tych bramach ze znajomymi, paląc papierosy i rozmawiając. Odniosłem wrażenie, że władze wstydzą się starego miasta. Zupełnie nie rozumiem dlaczego, jest przecież autentyczne i naprawdę czyste, jak na warunki Azji.

Wydatki:

24 000 UZS – kurs taxi do Shakhrisabz (2 os.)

4000 UZS – kółko na diabelskim kole (2 os.)

6000 UZS – 2 bilety do meczetu

6000 UZS – 2 bilety do Krypty Timura

15 000 UZS – obiad (2 porcje barszczu z frytkami, 2 sałatki i dzbanek zielonej herbaty)

2000 USZ – kurs marszrutą do Kitow
24 000 UZS – kurs do Samarkandy (2 os.)
2000 UZS – 2 lody w sklepie
25 000 UZS – wizyta w hammanie
2500 UZS – Internet w hostelu

11 maja

Wczoraj późnym wieczorem szukaliśmy w sieci jakichś rozsądnych połączeń do Termiz. Pociąg kursował w inny dzień, o autobusach ani słowa. W tej sytuacji postanowiliśmy wcześniej pojechać do Taszkientu. Po śniadaniu szybko spakowaliśmy się i czekaliśmy na poprawę pogody, bo znowu lało. Jak tylko przestało, to poszliśmy na przystanek autobusowy. Jeszcze pożegnalne spojrzenie na bajeczny Registan. Przy kasie okazało się, że mieliśmy trochę szczęścia, bo sprzedaż biletów jest wstrzymana na 30 minut przed odjazdem pociągu. Tym razem mieliśmy wygodniejszą klasę, bo z fotelami lotniczymi. Do Taszkientu znowu wiozł nas pociąg „Sharq”. Piękna nazwa. Są też inne, równie atrakcyjne: „Registan” i „Nasaf”. Podróż do stolicy kraju trwała 3 godziny. Jak wydostaliśmy się z dworca, to Gośka wpadła na genialny pomysł sprawdzenia, czy pokoje gościnne na dworcu znowu mogą przyjmować cudzoziemców. Mogły! I znowu w ostatniej chwili wzięliśmy dwójkę. Doskonałe warunki, jak w hotelu 3*. Widać było, że pokoje przeszły remont. Wysoki pokój, dobrze wyglądające meble i wykładzina, łazienka odnowiona. Jedyny mały feler to złamana płyta pilśniowa w moim łóżku. Drobiazg bez znaczenia. Gorąco polecam. Nocleg, niestety, bez śniadania, za to absolutne bezpieczeństwo. Władze traktują dworce jako obiekty strategiczne i pilnie ich strzegą. Zanim podróżny wejdzie na teren dworca, najpierw przechodzi przez bramkę, okazując bilet. Osoby towarzyszące zostają na zewnątrz poza barierkami. Potem oczywiście prześwietlenie bagażu i dopiero wówczas można wejść na peron. Procedurę taką przeszliśmy w Bucharze, Samarkandzie i Taszkencie. Lokalizacja noclegu znakomita, bowiem obok dworca znajduje się stacja metra i przystanki marszrotek przydatne w wyjazdach poza miasto. Po krótkim odpoczynku wyszliśmy na miasto. Napotkany waluciarz wskazał nam knajpę nad jakimś ciekim wodnym, blisko dworca po prawej stronie. Jedzenie i piwo bardzo smaczne. Wzięliśmy plovera i łagmany oraz sałatki warzywne, te były zawsze pyszne. Potem dotarł jego kolega i przyniósł nam pomidory i ogórki, a nawet czereśnie. Następnie panowie pokazali nam trochę miasta i wieczorem wylądowaliśmy w knajpie, gdzie wypaliliśmy fajkę wodną. Do „komnaty oddycha” wróciliśmy taksówką za 2 \$. Po procedurze sprawdzania znaleźliśmy się w wynajętym pokoju.

Wydatki:

54 \$ – 3 noclegi w Bohodir (2 os.)
1000 UZS – 2 bilety autobusowe na dworzec kolejowy
70 000 UZS – 2 bilety na pociąg do Taszkientu
9000 UZS – banany na bazarze obok dworca
1000 UZS – duża woda
1000 UZS – świeży chleb
50 000 UZS – nocleg w „komnacie oddycha”
25 000 UZS – obiad (plover, 2 łagmany, 2 sałatki, 2 piwa Boczka, połówka chleba)
5000 UZS – kurs na dworzec

12 maja

Taszkient po atrakcjach Chiwy, Buchar i Samarkandy nie ma zbyt wiele do zaoferowania turystycznie. Stąd idea wyjazdu do Kokand. To jedno z miast na Jedwabnym Szlaku. Obok dworca znaleźliśmy dość czysto wyglądającą jadłodajnię, w której można było zamówić jajka sadzone, a nawet naleśniki oraz kawę. Dla nas to idealne śniadanie. Posileni, przeszliśmy podziemiem do przystanku marszrutki. Zawiozła nas pod bazar Kuyluk. Poza centrum, które jest zupełnie zdumiewające swoją czystością, Taszkient wygląda jak każde inne duże miasto. Do taksówek kursujących do doliny Fergana od końcowej stacji marszrutek trzeba podejść kilkaset metrów. Taksiarze stoją po prawej stronie i próbują złapać klientów. Nie chcieliśmy płacić za 4 osoby, toteż szukaliśmy kierowcy, który już miał 2 pasażerów. Poszukiwania zajęły nam jakieś 4 minuty. Szybko wsiadliśmy i wyruszyliśmy w drogę. Trasa wiedzie przez prawdziwe góry, a zatem widoki są przednie. Ponieważ dolina Fergana nie jest zbyt stabilna politycznie, przed wjazdem do niej przechodzi się kontrolę dokumentów. Nasze paszporty wręczyliśmy kierowcy, który gdzieś je zaniósł. Wrócił szybko i kontynuowaliśmy jazdę. Ta, niestety stała się nużąca. Postanowiliśmy nieco ją ożywić i w rytm hałaśliwej lokalnej muzyki dance zaczęliśmy wykonywać „węzowe” ruchy udające taniec. To rozśmieszyło zarówno kierowcę, jak i współpasażerki. Atmosfera stała się weselsza, a my przestaliśmy ziewać. To dziwne, bo wypaliśmy się solidnie aż do 7.30. Jazdę przerwaliśmy na „zaprawkę” gazem. Większość samochodów napędzanych jest „błękitnym paliwem”, które tutaj jest o wiele tańsze niż benzyna. Kolejka do stacji olbrzymia, kilkusetmetrowa. Staliśmy w niej ponad 1,5 godziny, zanim przyszła nasza kolej tankowania. Przerwę wykorzystaliśmy na degustację napoju z beczki i smażone w oleju placki, w stylu naszych racuchów. Choć oczywiście ociekające tłuszczem, to jednak perwersyjnie smaczne. Do tego stopnia, że wróciłem po nową porcję. Słodkie placki dla przełamania smaku maczaliśmy w ostrym sosie. Po południu, po 6 godzinach od wyjazdu ze stolicy, byliśmy na miejscu. Z uwagi na brak czasu musieliśmy sprężyć się ze zwiedzaniem. Kokand to przede wszystkim letni odrestaurowany pałac chana. Piękny z zewnątrz, wewnątrz już mało pociągający. Ponieważ to on był głównym powodem wyjazdu, to poculiśmy niejaki rozczarowanie. Zrobiliśmy spacer w poszukiwaniu innych zabytków. Zwiedziliśmy meczet piątkowy, ale za dużo niesamowitych meczetów widzieliśmy wcześniej, aby ten wywarł na nas większe wrażenie. Medresy również nie powaliły nas swoim wyglądem. Za to z rozbawieniem będziemy wspominać pana, który zaoferował się oprowadzić nas po jednej z medres i cmentarzu. Jak dowiedział się, że jesteśmy z Polski, to wpadł prawie w zachwyt. Szybko wyjaśnił, że jest wielkim fanem serialu „Stawka większa niż życie”. No i oczywiście Hansa Klossa. W jego ustach brzmiało to przezabawnie – Gans Kloss. Po prezentacji radośnie oznajmił nam cenę za usługę, którą zmniejszyliśmy o połowę. Obiadokolację przed wjazdem zjedliśmy w czajchanie. Został tylko plov, który już jedliśmy prawie codziennie. Dobry, ale już monotony. Na drogę kupiliśmy jeszcze ciepły chleb. Pieczywo w Uzbekistanie wyjątkowo nam smakowało. Powrót zajął nam też sporo czasu, ponad 5 godzin. Ponowna gazowa „zaprawka” trwała nawet dłużej niż pierwsza. W końcu po 23 wysiedliśmy przy dworcu kolejowym. Kontrola i czas na sen.

Wydatki:

50 000 UZS – nocleg

5200 UZS – śniadanie (2 jajecznice, 2 naleśniki i 2 kawy)

1600 UZS – marszrutka na bazar (2 os.)
30 000 UZS – kurs taxi do Kokand (2 os.)
600 UZS – 2 szklanki „morsa”
2000 UZS – 4 racuchy z sosem na stacji gazowej
6000 UZS – 2 bilety do pałacu chana
8000 UZS – 2 bilety do meczetu piątkowego i opłata za aparat
6000 UZS – opłata za samozwańczego przewodnika
7000 UZS – obiad
1000 UZS – chleb (lepioszka)
30 000 UZS – kurs taxi do Taszkientu

13 maja

Wczorajsze śniadanie smakowało nam bardzo i z tego powodu ponownie jedliśmy obok dworca. Nie zmieniliśmy zestawu, bo po co? Ponownie wyjechaliśmy poza Taszkient. Celem była wypoczynkowa miejscowość w górach – Chimgan. Ze stacji metra przy dworcu kolejowym (Tashkent) pojechaliśmy kombinowaną trasą do końcowej stacji Buyuk Ipak Yolli. Do przystanku minibusów, który znajduje się po lewej stronie ulicy, należy podejść kilkaset metrów. Oczywiście, należy ominąć czekające taksówki. Minibusy jeżdżą tylko do miasteczka Gazalkent. Jazda trwała ok. 50 minut., po której niezbędna była przesiadka do taksówek. Wcześniej jednak spróbowałem lodów z automatu. Rozkoszne i bardzo tanie, 500 UZS za porcję. Zjadłem natychmiast dwie. W taksówce mieszczą się 4 osoby. Dołączyliśmy do 2 par, czekających wewnątrz. Chimgan jest oddalone o pół godziny jazdy typową górską (czyli ze złą nawierzchnią i serpentynami) drogą. Praktyczna rada: należy wysiąść z auta tuż po tym, jak wjedzie ono do Chimgan, które jest bardzo rozległe. Główną atrakcją jest wjazd wyciągiem krzesełkowym na szczyt wzgórza. Niektórzy dokonują tego wyczynu na własnych nogach, ale za cenę biletu naprawdę nie warto tak bardzo się męczyć. Po wjeździe widoki są bardzo ładne, taka typowa panorama. Na okolicznych szczytach śnieg jeszcze zalegał. Dodatkowe atrakcje to jazda wierzchem na dole ewentualnie quadem po ulicy. Do Gazalkent wróciliśmy tą samą taksówką, gdyż kierowca z chęcią poczekał na nas 2 godziny. Nie wracał na pusto. Minibus zawiózł nas na stację metra w Taszkencie. Gośka chciała zakończyć pobyt w stolicy mocnym akcentem kulturalnym, ale niestety ku jej dużemu rozczarowaniu opera nie dawała przedstawień w tym dniu. W okolicach opery znaleźliśmy, oczywiście przypadkowo, bardzo klimatyczną jadłodajnię. W zasadzie była to barorestauracja. Oferowała typowe dania barowe, ale z obsługą kelnerską. W rogu przestronnej sali stał nawet stół służbowy. Prawie uroniłem łyżkę, patrząc na klasyczną chłodnię przy bufecie. Atmosfera tchnęła latami 80. XX w., ale nam się bardzo podobało. No i byliśmy głodni, a wówczas nie wybrzydząmy. Zresztą bardzo rzadko nam się to zdarzyło dotychczas. Dostaliśmy znakomity obiad z klasycznymi daniami uzbeckiej kuchni i świeże piwo z „kija”. Po niedługiej sjeście wybraliśmy się na spacer w centrum stolicy. Zostaliśmy bardzo zaskoczeni czystością na głównych placach i ulicach. Naprawdę z wielkim trudem dostrzegłem rzucony papierek albo peta. Centrum tchnie porządkiem i logicznym rozplanowaniem ulic. Właściwie alej, które są szerokie i zadbane. Po obu stronach rosną piękne stare platany, o tej porze roku bijące po oczach świeżą zielenią. W ogóle Taszkient wydał się nam bardzo przyjemnym miastem, tak całkowicie odmiennym od innych azjatyckich stolic. To była ta wielka niespodzian-

ka, która nas tutaj spotkała. Bez większego trudu mogę sobie wyobrazić kilkudniowy pobyt w Taszkencie tylko dla przyjemności przechadzania się alejkami w parkach, siedzenia w parkach i kawiarniach. Dla mających czas będzie to miły odpoczynek po trudach pałowania się po bezdrożach wiodących do miast Jedwabnego Szlaku.

Wydatki:

7900 UZS – śniadanie (2 porcje sadzonych jajek, 2 porcje naleśników, 2 kawy rozpuszczalne)

1400 UZS – 2 bilety na metro

5000 UZS – kurs do Gazalkent minibusem (2 os.)

1000 UZS – 2 porcje lodów w Gazelkent

8000 UZS – kurs taxi do Chimgan (2 os.)

12 000 UZS – 2 bilety na wyciąg krzesełkowy

10 000 UZS – powrót taksą do Gazelkent

5000 UZS – kurs minibusem do Taszkientu

1400 UZS – 2 bilety na metro

22 700 UZS – obiad w barorestauracji (łagmany, sałatki warzywne, okraszka, 3 piwa)

14 maja

Rano wyprowadziliśmy się z przydworcowej noclegowni. Sądziliśmy, że bez najmniejszych problemów oddamy nasze bagaże do dworcowej przechowalni. I przeliczyliśmy się. Zapytano nas, czy mamy bilety na pociąg!!! To był jakiś absurd. Minęło trochę czasu, zanim władza zwierzchnia pozwoliła nam zostawić plecaki. Co ciekawe, zgodzono się na to na podstawie naszych już wykorzystanych biletów. Pozbawieni plecaków mogliśmy spokojnie spędzić ostatni dzień w Taszkencie i w ogóle w Uzbekistanie. Obok dworca kolejowego znajduje się Muzeum Kolejnictwa. Zainteresowanych raczej nie było widać, choć lokomotywy imponujące. Oczywiście nie można do nich wejść, ale do jednego z wystawionych eksponatów – już tak. Był to tramwaj. Można przysiąść na chwilę i wyobrazić sobie, jak się takim pojazdem kiedyś poruszano. Wreszcie przyszedł czas na wnikliwsze opisanie metra w Taszkencie. Jest przepiękne. Od razu powala na kolana swoim rozmachem architektonicznym i kunsztem wykończenia detali. Co do materiałów, to zaryzykowałbym stwierdzenie, że na niektórych stacjach użyto marmurów. Każda stacja jest inna, te bliżej centrum mają swoje przewodnie motywy. Bez najmniejszych wątpliwości najpiękniejszą stacją jest Kosmonavtlar. Jest bardzo klimatyczna. Po wejściu na perony zaskakuje mrok, jaki panuje, stacja nie jest silnie oświetlona. Na jej ścianach umieszczono wizerunki najważniejszych bohaterów kosmosu oraz uczonych. Zauważyliśmy wizerunki Gagarina, Tierieszkowej, Mirzo Uklugbeka i Ciołkowskiego. Wbrew niektórym opisom na stacji brak jest naszego kosmonauty Hermaszewskiego. Największą wadą metra jest fakt potraktowania go przez władze jako obiektu strategicznego. Wiąza się z tym wnikliwe i szczegółowe kontrole przy wejściu do metra i bramkach wejściowych na perony oraz bezwzględny zakaz fotografowania. Wiedzieliśmy o tym, ale uroda stacji tak nas zachwyciła, że podjęliśmy próbę uzyskania pozwolenia. Niestety, skutkiem była jedynie stanowcza odmowa. Trzykrotna, bo tyle razy próbowaliśmy. Naprawdę wielka szkoda. Naszym zdaniem metro to atrakcja absolutnie nr 1 w Taszkencie. Mieliśmy dużo wolnego czasu. Chcieliśmy go przeznaczyć na muzea, ale były pozamykane, np. Muzeum Timurydów czy

Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Pozostał nam zatem bazar Chorsu i zakupy. Powierzchniowo bazar jest duży. Handluje się na zewnątrz pod krytymi dachem alejkami tematycznymi (owoce, warzywa). Jest też duża hala. Wewnątrz sprzedawane są przyprawy, od których zapachu aż kręci w nosie. Można też kupić aromatyczne przegryzki serowe, warzywne sałatki, różnego rodzaju orzeszki. Na początku zjedliśmy obiad. Szkoda, że w Polsce nie ma takich potraw jak np. łagman. Zdecydowanie moje ulubione danie w Uzbekistanie. No i te obłędnie smaczne warzywne sałatki pomidorowo-ogórkowe z dodatkiem krążków słodkiej cebuli. W pobliżu bazaru można zwiedzić meczet i me-dresę, ale nie tak ciekawe, jak w innych miastach. Brak typowych turystycznych atrakcji w Taszkencie należy zrozumieć, gdyż potężne trzęsienie ziemi w 1966 r. unicestwiło Stare Miasto. Zestaw fajansowy i uzbecka wódka to zakupy, jakich dokonaliśmy. Na koniec dnia poszliśmy do Centralnego Domu Towarowego (Uniwersum). To powrót do przeszłości, choć towary nowoczesne. Te same, które można kupić na bazarze, tylko w wyższych cenach. Zauważyłem podróbki odzieży markowych firm (znane kratki lub włosko brzmiące nazwiska). Kolację zjedliśmy w barorestauracji. Tym razem klientów było sporo. Niestety, tylko do 20, tak więc zdążyliśmy tylko zjeść i wypić piwo. Przy dworcu kawa na wzmocnienie przed późnym wylotem w środku nocy. Na lotnisko – choć położone blisko – pojechaliśmy taksówką.

Wydatki:

- 9000 UZS – śniadanie
- 2000 UZS – 2 bilety do Muzeum Kolejnictwa
- 1000 UZS – opłata za bagaż w przechowalni
- 4800 UZS – zestaw 10 kartek pocztowych w księgarni
- 2800 UZS – 4 bilety na metro
- 13 500 UZS – obiad na bazarze Chorsu (2 łagmany, 2 sałatki, 2 piwa, 2 szklanki jogurtu, ½ lepioszki)
- 1500 UZS – 2 kawy rozpuszczalne (Coffee Mix 3 w 1)
- 15 700 UZS – herbaty w supermarkecie
- 70 000 UZS – 2 komplety fajansu
- 26 000 UZS – kolacja (3 szaszłyki, barszcz, 2 sałatki warzywne, 2 połówki plovera, 2 piwa)
- 2800 UZS – 4 bilety na metro
- 6000 UZS – taxi na lotnisko

Jest kilka ważnych powodów, żeby wybrać Uzbekistan na cel wyjazdu. Smutne miasto Moynak obecnym wyglądem ostrzega przed szaleńczym brakiem wyobraźni w ingerowaniu w naturę. Choć muszę przyznać, że widok wraków kutrów stojących na wyschniętych połaciach Jeziora Aralskiego odciska się w umyśle na zawsze. Jest w nim coś abstrakcyjnego. Stare Miasto w Chiwie daje wyobrażenia, jak mogło wyglądać miasto w średniowieczu. Buchar jest najciekawszym miejscem w kraju, gdzie warto zatrzymać się na dłużej. Samarkanda ma oszałamiające swoją urodą zabytki, spośród których Registan jest naprawdę wyjątkowy. Metro w Taszkencie zupełnie niebywałe, nikt już nie buduje z takim rozmachem i dbałością o szczegóły. Uzbekistan to kraj z najpiękniejszymi madrasami, jakie kiedykolwiek widzieliśmy. To milczący świadkowie minionych czasów. Warto spotkać się z nimi osobiście, dopóki można zrobić to prawie w samotności, bez przeszkadzających tłumów.

Jacek Strejch

Z Rio de Janeiro do Santiago de Chile



Termin: 28.02 – 28.03.2012

Ekipa: 2 osoby

Przeloty: Bilet liniami Iberia z Berlina do Rio de Janeiro i powrotny z Buenos Aires (z przesiadką w Madrycie) – 3192 zł

28 lutego

Przelot Berlin – Madryt, gdzie nocujemy w schronisku młodzieżowym International Youth Hostel La Posada De Huertas przy stacji metra Plaza Espana za 10 euro od osoby.

29 lutego

Rano robimy spacer po parku w centrum miasta, gdzie podziwiamy siedzące na drzewach stada papug i kwitnące pierwsze stokrotki, oraz oglądamy z zewnątrz architekturę pałacu królewskiego. Metrem jedziemy na lotnisko i wylatujemy do Rio de Janeiro, gdzie docieramy o zachodzie słońca. Na lotnisko wypożyczamy zarezerwowane w Avis auto za 735 zł na 3 dni i jedziemy do Teresopolis w góry Serra dos Orgaos. Początkowo jedziemy drogą BR040, z której skręcamy w prawo na BR116 i nią aż do miejscowości Guapimirim, gdzie kończy się lepsza droga. Stąd kierujemy się za znakami na Teresopolis. Nocujemy przed wjazdem w góry w aucie stojącym na poboczu bocznej drogi w dżungli. W nocy oglądamy rozgwieżdżone niebo nad Mate Atlantica (las równikowe atlantyckie porastające zbocza gór na brazylijskim wybrzeżu Atlantyku). Zapowiada się na jutro piękny dzień.

1 marca

Rano ukazuje się nam cudowny krajobraz. Z zielonego dywanu lasu wystrzelają w niebo granitowe, brązowe iglice i płetwy. Zieleń lasu poprzetykana kwitnącymi na żółto i fioletowo drzewami. Droga prowadzi serpentynami do miasta Teresopolis, bazy wypadowej do parku Orgaos dos Serra. Z drogi widzimy iglicę skalną Dedo de Deus (palec Zeusa) wznoszącą się po lewej stronie na wysokość 1692 m n.p.m. W Teresopolis robimy zakupy w markecie i jedziemy do parku (wstęp 3 BRL, czynnego od 8–17).

Droga prowadzi wzdłuż rzeki z małymi wodospadami i oczkami wodnymi. Wybieramy dwa szlaki. Jeden prowadzi przez las z paprociami drzewiastymi i palmami kokosowymi po drewnianych pomostach. Drugi w górę do punktu widokowego na góry z Dedo de Deus w pierwszym planie. W trakcie wędrówki po drewnianej ścieżce spotykamy wygrzewającego się w słońcu dużego węża, który gwałtownie ucieka spłoszony przez nas. Na terenie parku znajdują się toalety z prysznicami, z których można skorzystać bez dodatkowej opłaty. Po zwiedzeniu parku jedziemy do miejscowości Nova Friburgo, zamieszkałej przez potomków Szwajcarów. Droga prowadzi przez malownicze góry porośnięte raz lasami, raz zieloną trawą z pojedynczymi kępami palm. Po drodze mijamy liczne kwitnące na czerwono i żółto drzewa. W okolicy Nova Friburgo znajduje się charakterystyczna skała w kształcie siedzącego psa (Pedra do Cao Sentado) – wejście tuż przed bramkami pobierającymi opłaty za przejazd drogą w kierunku Bom Jardim. Wyjeżdżamy szutrową drogą w górę ponad powyższą skałą i na trawie przy drodze robimy namiot. Oglądamy zachód słońca nad górami.

2 marca

Rano jedziemy do Rio de Janeiro i na dworcu autobusowym (Rodoviário) kupujemy bilet do Porto Alegre za 229,00 BRL (ok. 433 zł) na 4 marca na 10 rano, liniami Penha. Jedziemy na Corcovado – wzgórze z posągami Chrystusa wysokim na 30 m. Spod parkingu, gdzie są kasy biletowe, należy wjechać busem na górny parking, wjazd wliczony w cenę wstępu – wstęp 25 BRL od osoby. Do tego miejsca można też dojechać kolejką linową, ale minusem jest długi czas oczekiwania przy kasach. Stąd idziemy schodami na taras widokowy, z którego rozciąga się piękny widok na miasto i wybrzeże ze słynną plażą Ipanema i Copacabana. W pierwszym planie rzuca się w oczy charakterystyczna Głowa Cukru – skała, na szczycie której można wjechać kolejką linową. Corcovado wznosi się na wysokość 710 m n.p.m.

Po nasyceniu się cudownymi krajobrazami, jedziemy drogą wzdłuż zielonego wybrzeża do Parati. Zatoka usiana jest licznymi wyspami, a w skalistych zatoczkach wzdłuż wybrzeża znajdują się piaszczyste plaże. Na jednej z nich zatrzymujemy się na kąpiel. Zjeżdżamy z głównej drogi na nocleg na skraju jakiejś wioski. Kiedy już układamy się do snu w aucie, nagle podjeżdża samochód i wysiadają z niego dwaj mężczyźni z pistoletami. Jeden z podchodzi do okna, drugi stoi za nim 3 metry. Na szczęście pistolety mają skierowane lufą do ziem, a nie w nas. Po krótkiej konwersacji każą nam odjechać, bo jest to teren prywatny. Nie mają złych zamiarów, byli zaniepokojeni, bo nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Odjeżdżamy nie dyskutując i śpimy kilka km dalej przy drodze w dżungli prowadzącej do jakiegoś rezerwatu.

3 marca

Rano próbujemy wjechać w boczną drogę prowadzącą przez góry parku narodowego Bocaina. Jest ona asfaltowa przez kilka kilometrów, potem staje się gruntowa. Dojeżdżamy dokąd się da, a dalej idziemy na piechotę jakieś 3 km w kierunku przełęczy przez dżunglę. Mijamy potężne spychacze wyrównujące dziury w drodze, za parę godzin pewnie byłaby przejezdna. Po drodze mijamy skupisko drzew kwitnących na fioletowo. Po powrocie do auta jedziemy na piaszczystą plażę w okolicy Parati. Po południu wracamy do Rio de Janeiro. Znajdujemy nocleg w schronisku młodzieżowym Pura Vida hostel przy Rua Saint Roman#20 za 15 BRL od osoby (tel. 22108885).

Jedziemy na lotnisko oddać auto i wracamy autobusem z napisem „Copacabana” do schroniska.

4 marca

Rano metrem i potem autobusem jedziemy na dworzec autobusowy i o 10:00 wyjeżdżamy do Porto Alegre. Docieramy tam po 26 godzinach jazdy.

5 marca

Kupujemy bilety do Buenos Aires w firmie Pluma za 219 BRL (417 zł) na następny dzień na 17:30.

Znajdujemy wypożyczalnię aut i pożyczamy auto o godzinie 14:00 na 24 godziny. Jedziemy w góry do parku narodowego Aparados da Serra, zobaczyć głęboki na 700 m i wąski kanion Itaimbezinho oraz lasy araukarii brazylijskiej, występujące tylko tutaj. Nocujemy nieopodal wejścia do parku (otwarte od 7:00) w namiocie rozbitym obok opuszczonego kościoła.

6 marca

Rano wchodzimy do parku. Początkowo idziemy przez las araukariowy. Araukarie mają goły pień i na jego szczycie koronę z gałęzi wygiętych w łuki, skierowane wypukłością ku ziemi, odwrotnie jak w przypadku palmy. Na końcach gałęzi znajdują się skupiska grubych stożkowatych igieł. Po 30 min marszu dochodzimy do brzegu kanionu. Ma on kształt litery T. Po jego ścianach spada wodospad, na krawędziach rosną parasolowate araukarie. Całość wywołuje niesamowite wrażenie, jest on głęboki na ok. 700 m i dość wąski. Obchodzimy szlakiem jedno z ramion i z przeciwległego brzegu obserwujemy dwa spadające obok siebie na dno kanionu malownicze wodospady.

Mamy jeszcze trochę czasu i jedziemy do parku Estadual do Caracol, leżącego 8 km od Caneli, zobaczyć imponujący 130-metrowy wodospad Caracol. Spada on z przewieszzonego urwiska prosto w próżnię. Można po schodach zejść do jego podstawy.

Teraz już tylko powrót do Porto Alegre, oddajemy auto po 16:30 (liczą nam tylko za dobę, bo uprzedziliśmy wcześniej, że spóźnimy się o 2–3 godziny), biegniemy na dworzec i jedziemy autobusem do Buenos Aires.

7 marca

Autobus ma opóźnienie i do stolicy Argentyny docieramy po 14:00. Droga i krajo-brazy były monotonne. Jedyną ciekawostką była sawanna palmowa w Parku El Palmar przy granicy z Urugwajem. Zbieramy informacje, jak najlepiej dostać się do Patagonii. Wynajęcie auta nie wchodzi w grę, gdyż, aby przekroczyć granicę z Chile, trzeba wykupić bardzo drogie ubezpieczenie międzynarodowe. Jazda autobusem potrwa zbyt długo, a na dodatek bilety wcale nie są tanie. W końcu decydujemy się na samolot do El Calafate za 330 USD. Nie zastanawiamy się zbyt długo, bo na jutro rano są tylko 2 bilety – chyba czekały na nas.

8 marca

Wylatujemy o świcie, lot trwa 1 h 40 min i lądujemy w sercu Patagonii. Pogoda jest wyśmienita, bezchmurne niebo. Na lotnisku wynajmujemy auto na 3 dni i jedziemy do parku Los Glaceros, zobaczyć lodowiec Perito Moreno, spływający szerokokim na 5 km jeźdźcem do wód jeziora Argentino.

Czoło lodowca ma 60 metrów wysokości. Z parkingu prowadzą drewniane chodniki do różnych punktów widokowych. Widoki są bajkowe – biel lodowca, turkus wód jeziora i jesienne kolory otaczających gór składają się na wyjątkowy urok tego zakątka. Po nakarmieniu oczu i ducha cudownymi widokami, jedziemy do El Chalten u stóp Fitz Roya. Docieramy tam o zmierzchu i nocujemy w hostelu La Comarca.

9 marca

Rano cudowne zjawisko „zapalania” gór przez wschodzące słońce. Ognista purpura skał Fitz Roya i Cerro Torre robi niesamowite wrażenie. Cały spektakl trwa ok. 30 min, a potem granit przyjmuje swój normalny szarawy odcień. Wyruszamy na całodzienny trekking w góry. Na pierwszy ogień idzie szlak do laguny Torre u stóp Cerro Torre. Prowadzi przez lasy buka południowego. Buk południowy różni się od naszego – ma małe liście wielkości paznokcia, zmieniające jesienią kolor na czerwony. Do laguny wpada jezioro niewielkiego lodowca. Iglica skalna Cerro Torre (najtrudniejszej wspinaczkowo góry świata) robi niesamowite wrażenie. Następnie idziemy do laguny Los Tres, nazwanej tak na pamiątkę spotkania trzech podróżników, leżącej u podstawy ściany Fitz Roya. Szlak prowadzi wzdłuż licznych jeziorzek o ślicznej turkusowej barwie. Do hostelu wracamy o 23:00 po 14 godzinach marszu. Jestem wykończony, ale warto było. Cały dzień utrzymała się cudowna pogoda.

10 marca

Rano jedziemy obejrzeć kilkunastometrowy wodospad i wracamy do El Calafate. Oddajemy auto i nocujemy w mieście w hostelu Del glacier. Kupujemy na jutro bilety do Puerto Natales w Chile.

11 marca

Jedziemy kilka godzin i po południu docieramy do Puerto Natales. Znajdujemy nocleg za 6000 pesos w hostelu, których w miasteczku jest pełno. Puerto Natales leży nad Pacyfikiem i jest bazą wypadową do parku Torres del Paine, odległego o 150 km. Pogoda się pogorszyła, pada deszcz.

12 marca

Pogoda barowa, cały dzień leje. Znajdujemy wypożyczalnię Avis i pożyczamy auto z ubezpieczeniem międzynarodowym na 3 dni za 232 676,00 CLP (1578 zł) i kupujemy bilety z Puerto Natales do Puerto Montt za 69 300,00 CLP (473 zł) na 16 marca i z Santiago do Buenos Aires za 135 762,00 CLP (920 zł) na 27 marca. Transport mamy rozplanowany i nastawiamy się na wyjazd do Torres del Paine na jutro o świcie, tylko że nadal pada.

13 marca

Rano cudowna niespodzianka, mamy błękitne niebo. Pędzimy w kierunku parku Torres del Paine. Po drodze mijamy stada guanako i strusi nandu. Po 2 godz. jazdy dojeżdżamy do granic parku i po uiszczeniu opłaty za wstęp w wysokości 18 000 pesos, wjeżdżamy na drogę gruntową przecinającą park. Kierujemy się za znakami od początku szlaku do punktu widokowego na wieżę Paine. Martwimy się, bo nad górami zalega niski pułap chmur. Na szczęście nie pada, więc ruszamy na szlak. Po chwili marszu zagłębiamy się w mgłę, w której idziemy wytrwale przez 2 godziny. Po drodze mijają nas

jadący na koniach gauchos, dostarczający towary do znajdującego się na szlaku schroniska. Ale opłaca się, bo w końcu wychodzimy ponad chmury i naszym oczom ukazują się skalne szarobrazowe wieże, wznoszące się ponad mlecznoturkusowym jeziorkiem, na tle błękitnego nieba. Kolorytu dopełniają jeszcze leżące poniżej lasy lenga, których liście zaczynają zmieniać barwę na czerwonawą – w końcu mamy tutejsze babie lato.

Wracamy do auta i jedziemy drogą przez park, mijając po drodze licznie pasące się guanako. Jedziemy wzdłuż jeziora Lago Nordenskjöld, za którym widać drugą po wieżach Paine charakterystyczną dla parku Torres del Paine grupę szczytów Cuerno. Dojeżdżamy do wodospadu Salto Grande – kilkunastometrowej kaskady spienionej turkusowej wody. Jedziemy dalej wzdłuż jeziora Pehoe do mniejszego wodospadu Salto Chico i po kilku kilometrach wyjeżdżamy z parku i wracamy do Puerto Natales do hostelu.

14 marca

Rano jedziemy na Ziemię Ognistą, początkowo drogą w kierunku Punta Arenas. Krajobrazy są ciekawe, widzimy drzewa buka południowego o dziwacznych ukształtowanych przez wiatry kształtach, z konarów których zwisają mchy i porosty. Jakieś 40 km przed miastem skręcamy w lewo i jedziemy wzdłuż cieśniny Magellana do przeprawy promowej w Punta Delgada. Przeprawa trwa ok. 30 min. Towarzyszą nam białe-czarne delfiny, wyskakujące z wody koło burty promu. Po chwili jedziemy przez równinne stopy północnej części Ziemi Ognistej. Mijamy stada strusi nandu i guanako. Jakieś 70 km za miastem Rio Grande znajdujemy miejsce na nocleg. Mamy fajne auto, po rozłożeniu tylnych foteli śpimy jak w łóżku.

15 marca

Rano wita nas cudowny wschód słońca, obłoki płoną czerwienią. Tuż przed jeziorem Fagnano krajobraz się zmienia. Kończą się płaskie stopy. Na horyzoncie pojawiają się góry i zmienia się roślinność na lasy złożone z buka południowego. Zaczyna się jesień, więc drzewa mieniają się kolorami. Ostatnie 100 km drogi do Ushuaia jest wyjątkowo malownicze. Krajobrazy zmieniają się za każdym zakrętem, obok gór pokrytych kolorowymi bukami, po nagie skaliste turnie w kolorach szarym, beżowym i brunatnym. Pogoda jest słoneczna, dzięki czemu, przez nasycenie światłem, widoki są jeszcze piękniejsze. W końcu dojeżdżamy do Ushuaia. Chwilę spacerujemy po mieście, odwiedzamy centrum informacji turystycznej. Potem jedziemy do parku narodowego Tierra del Fuego – wjazd jakieś 20 km na zachód od miasta, wstęp 20 pesos od osoby. Naszym celem jest Cerro Guanako. Szlak na szczyt zaczyna się przy pięknym turkusowym jeziorze. Początkowo prowadzi przez bukowy las, cudownie kolorowy o tej porze roku. Zwracamy uwagę na jasnozieloną jemiołę, licznie pasożytującą na drzewach buka. Po około godzinie marszu wychodzimy ponad linię lasu. Zaczynają się piękne widoki na powyższe jezioro i błękitną cieśninę Beagla. Mijamy bobra stojącego przy żeremii. Tu Krzysiu wymięka i postanawia odpocząć, a ja idę dalej sam na szczyt. Docieram tam po kolejnej godzinie marszu. Na szczycie poza mną jest Anglik. Konwersujemy i robimy sobie nawzajem zdjęcia. Widoki są oszałamiające. Widzę cały kanał Beagla i miasteczko Ushuaia w dole. Za kanałem z licznymi wysepkami widać pasmo kordyliery Darwina. Siedzę na szczycie prawie godzinę i chłonę cudowne krajobrazy. Potem szybkie zejście, kąpiel w zimnym jeziorze i wyjeżdżamy z parku. Tuż przed zachodem słońca wjeżdżamy jeszcze na parking przed początkiem ścieżki do czoła lodowca Martiala. Oglądamy

widoki i po kolacji żegnamy się z górami Ziemi Ognistej. Jedziemy z powrotem do Puerto Natales. Chcemy przed północą przekroczyć granicę z Chile, żeby nie płacić ubezpieczenia międzynarodowego za kolejną dobę. Na granicy sprawdzają to bardzo skrupulatnie. Nie ma szans na wjechanie do Argentyny autem wynajętym w Chile lub odwrotnie, jeśli nie ma się wykupionego międzynarodowego ubezpieczenia OC, a to, niestety, podnosi znacznie koszty wynajmu. Ale auto opłaca się wynająć, bo zaoszczędzamy na czasie i noclegach. Śpiemy w aucie już po stronie chilijskiej w stepie.

16 marca

Po wstaniu witamy kolejny obłędnie czerwony wschód słońca.

O 16:00 mamy samolot z Puerto Natales. a jeszcze prawie 300 km przed nami, więc ruszamy w drogę. Na lotnisku miał czekać na nas pracownik z Avis, żeby odebrać auto. Nie ma go, więc dzwonimy do biura. Odpowiada, żeby zostawić klucz na lotnisku na stoliku z tabliczką „Avis”. Trochę obawiam się zostawić klucz tak na wierzchu, więc zamykam go w aucie na parkingu – wrzucam na siedzenie przez minimalnie uchyloną przednią szybę. Teraz już spokojni wsiadamy do samolotu i za niecałe 2 godziny lotu lądujemy w Puerto Montt.

Pożyczamy kolejne auto na 5 dni za 216 943 CLP (1445 zł) w firmie BUDGET i znajdujemy nocleg w hostelu za 6000 pesos.

17 marca

Jedziemy do parku Alerce Andino, gdzie rosną fitzroye (andyjski modrzew, odpowiednik północnoamerykańskiej sekwoji). Do parku są 2 wejścia oddalone znacznie od siebie, sektor Chaicas i Correntoso. Wybieramy wjazd do sektora Chaicas – w Lenca od Camino Austral odchodzi boczna szutrowa droga w głąb doliny Chaica. Wstęp kosztuje 2000 pesos. Z parkingu maszerujemy przez las deszczowy strefy podzwrotnikowej. Mijamy typowe dla tego rejonu drzewa arrayan tree – z brązową korą i pachnącymi białymi kwiatami. Zwracamy uwagę na wyrastające z ziemi olbrzymie liście z kolczastymi łodygami i olbrzymie paprocie. Trochę dalej znajduje się malowniczy wodospad na rzece Chaicas i rosnąca w pobliżu 1000-letnia olbrzymia fitzroya (Alerce Milenario). Fitzroye rosną pojedynczo, wtopione w tło innych drzew. Spotyka mnie tutaj niemiła przygoda, wchodzę prosto w znajdujące się w ziemi gniazdo os. Atakują, broniąc swego terytorium, ratuje mnie tylko refleks. W trakcie ucieczki dopada mnie i żądli niegroźnie kilka z nich – dobrze, że nie cały rój i że nie mam alergii na jad os. Traktuję to jako sygnał do odwrotu i wracamy, zobaczyliśmy, co mieliśmy zobaczyć i nie ma sensu pchać się dalej szlakiem, który prowadzi do jakiegoś jeziora (laguna Triangulo).

Pod wieczór zdążyliśmy dojechać nad jezioro Lanquihue, pod wulkan Osorno, gdzie nocujemy w prywatnym pensjonacie za 10 000 pesos.

18 marca

Następnego dnia jedziemy nad jezioro Todos los Santos (wszystkich świętych) o cudownym turkusowym kolorze. Po tym jeziorze kursują łodzie do granicy z Argentyną i dalej do Bariloche.

Z brzegu jeziora podziwiamy wznoszący się za plecami idealny stożek wulkanu Osorno, z lodowcem przykrywającym jak czapka jego wierzchołek i stoki aż do połowy. Znajdujemy na mapie odchodzącą boczną drogę, prowadzącą na stoki wulkanu.

Tuż przed zjazdem na nią znajdujemy cudownie zielone oczko wodne (laguna Verde). Droga oznaczona „Osorno” wspina się serpentynami na stok wulkanu do znajdującego się tam ośrodka narciarskiego. Z góry podziwiamy kolory skał i lodowiec pokrywający szczyt wulkanu oraz widok na taflę jeziora Lanquihue w dole. Jedziemy dalej do Pucon u stóp wulkanu Villarica. Znajdujemy nocleg w hostelu za 6000 pesos od osoby.

19 marca

Krzysiu zostaje w Pucon, gdzie chce pojeździć na rowerze i odpocząć, ja pędzę dalej, bo chcę zobaczyć lasy araukarii chilijskiej – relikw z czasów Gondwany, gdy żyły tu dinozaury. Jadę w kierunku Panamericany, na którą wyjeżdżam przed Temuco. Po ok. 150 km zjeżdżam do miejscowości Angol, skąd za znakami jakieś 40 km szutrową drogą do parku narodowego Nahuelbuta, gdzie rośnie największe poza Andami, ostatnie skupisko araukarii chilijskiej. Jestem zauroczony roślinnością tego parku. Szlak prowadzi przez las potężnych wielowiekowych araukarii – najstarsze drzewo ma 2000 lat, jest oznaczone tabliczką. Między araukariami rosną buki południowe. Drzewa są oblepione wiszącymi porostami, co wzmaga magię tego miejsca. Jestem na szlaku zupełnie sam i czuję się, jakbym przeniósł się 50 milionów lat wstecz do czasów Gondwany. Po godzinie marszu szlak wyprowadza na granitowe kopuły skalne, z których roztacza się po horyzont widok na połacie parasolowatych araukariowych lasów. Wyjątkowo widowiskowo wygląda kopulasta granitowa góra w całości porośnięta przez araukarie. Poza tym, jeszcze to popołudniowe światło dopełnia niesamowitego uroku tego miejsca. Jest to jedno z tych nielicznych miejsc na świecie o wyjątkowej florze występującej tylko w tym konkretnym miejscu. Na nocleg zjeżdżam do Angol, muszę się wreszcie wykąpać i uprać bieliznę. Nocuję w hotelu za prawie 30 USD, ale kiedyś trzeba, a tanich hosteli tu nie ma.

20 marca

Jadę do chilijskiej Niagary, wodospadu del Laja, kilkanaście kilometrów za Los Angeles, przy Panamericanie. Jest chyba jakaś fiesta, bo przy wodospadzie tłum ludzi i liczne stragany z pamiątkami. Sam wodospad ma ponad 20 m wysokości i szeroki na ok. 100 metrów, dość malowniczy. Kolejnym etapem jest park narodowy Conguilo z wulkanem Llaima o wys. 3124 m n.p.m. Kiedy dojeżdżam do parku, jest wieczór i szczyt wulkanu tonie w chmurach. Krajobraz mnie zachwyca, znów lasy araukariowe, cudowne kolory skał wulkanicznych i przepiękne kwiaty przypominające gerbery o 10 pomarańczowych płatkach i żółte podobne do storczyka o 5 płatkach. Jestem tak urzeczony krajobrazem i cudownym światłem, że zostaję na nocleg w lesie araukariowym. Chcę rano zobaczyć wulkan Llaima w całej krasie.

21 marca

Nie zawodzę się, o świecie widoczność jest doskonała, i co ciekawe, wulkan mimo że wyższy niż poprzednie, to czapę lodową ma bardzo malutką. Postanawiam iść na szczyt. Idę kilka godzin, prawie udaje mi się wejść na szczyt, brakło 100, może 200 m, powstrzymał mnie 10-metrowy odcinek śliskiego lodu, a nie miałem raków, zaś lava, po której szedłem, była świeża i bardzo ostra, wpadnięcie na nią przy poślizgnięciu groziło poważnymi ranami; musiałem więc zrezygnować. Następnego dnia okazało się, że wchodziłem od niewłaściwej strony. Od północy nie było lodu, ale z kolei wiatr

wiał od południa i zdmuchiwał wyziewy z krateru na stoki bez lodu. W każdym razie widoki i tak były niesamowite, różne kolory jeziorów lawy wpadające do zielonych lasów araukariowych leżących poniżej, biel lodowca i widok na kilka stożków wulkanicznych w sąsiedztwie, warte było tego wysiłku.

22 marca

Jestem tak zauroczony krajobrazem parku Conguillo, że wjeżdżam jeszcze do niego autem. Można przejechać przez cały park i wyjechać z drugiej strony. Wczoraj szedłem na wulkan od strony zachodniej, dziś jeżdżę po stronie wschodniej. Z tej strony wulkan jeszcze bardziej kolorowy, jest też kilka jezior z krystalicznie czystą wodą, w tym jedno turkusowe. I oczywiście araukariowe lasy; te drzewa fascynują mnie wyjątkowo, są niesamowite. Po objechaniu parku i przejściu paru krótkich szlaków jadę z powrotem do Puerto Montt, aby oddać auto. Po drodze zatrzymuję się na kąpiel w jeziorze Villarica. Woda czyściutka i ciepła. Przyjemna kąpiel z widokiem na wulkan Villarica po drugiej stronie jeziora. Na nocleg zatrzymuję się w schronisku młodzieżowym za 8000 pesos w miejscowości Puerto Varas nad jeziorem Llanquihue.

23 marca

Po południu o 17:00 mam autobus do Santiago. Mając trochę czasu, jadę ponownie do parku Alerce Andino tym razem od strony Correntoso. Idę szlakiem ok. 1,5 godziny do skupiska fitzroyi, zwanego Catedral, dalej szlak prowadzi do laguna Fria, ale brak mi już czasu, a poza tym nie wygląda, aby dalej było coś szczególnego. Wracam do Puerto Montt, oddaję auto i przez pracownika firmy zostaję podrzucony na dworzec autobusowy. Kupuję bilet za 9000 pesos i jadę do Santiago.

24 marca

W stolicy jestem ok. 7:00 rano, nie za bardzo wiem, gdzie jest wypożyczalnia aut. Wchodzę do pierwszego hotelu obok dworca i tam z recepcjonistą załatwiam wynajem auta. Dzwoni do firmy i za godzinę podstawiają auto za 122 113 CLP (822 zł) na 3 dni. W czasie oczekiwania korzystam bezpłatnie z Internetu i używam skypa do kontaktu z ukochaną w Polsce. Umawiam się, że za niewielką dopłatą oddam auto na lotnisku międzynarodowym. Wyjeżdżam z miasta na północ i jadę wybrzeżem Pacyfiku. Pojawia się inna roślinność, półpustynia porośnięta wysokimi kaktusami, niektóre kwitną na czerwono. W miejscowości La Serena skręcam w kierunku passo Negra odległej, jak wskazują drogowskazy, o 270 km. Droga początkowo biegnie przez dolinę Eloui słynną z produkcji wina, otoczoną przez nagie brązowe góry porośnięte kaktusami, potem zagłębia się w Andy. Na skraju gór znajduję miejsce nad strumieniem i nocuję w aucie.

25 marca

O świcie jadę dalej. Ostatnie 80 km drogi przed przełęczą jest szutrowe. Jakies 100 km przed przełęczą jest punkt graniczny Chile. Jeśli nie ma się ubezpieczenia międzynarodowego, można jechać tylko do przełęczy i paszport trzeba zostawić pogranicznikom. Droga do przełęczy prowadzi serpentynami przez niezwykle kolorowe góry, z paletą barw w różnych odcieniach brązu, przez różowy, pomarańczowy po ceglasty, z wstążkami zieleni wzdłuż strumieni i bielą jeziorów lodowców na tle nieskazitelного

błękitu nieba. Przełęcz znajduje się na wysokości 4753 m n.p.m. Stąd droga opada już w dół w kierunku Argentyny. W pobliżu przełęczy widać skupiska penitentów (pokutujących śniegów). Powstają one w wyniku topnienia lodu w ciągu dnia w promieniach słońca i zamarzania w godzinach nocnych. Wyglądają jak stojący obok siebie i modlący się mnisi – stąd nazwa.

Czas zjeżdżać na dół, bo ciężko oddychać na tej wysokości bez uprzedniej stopniowej aklimatyzacji.

Wracam do La Sereny i kieruję się w kierunku parku narodowego Fray Jorge, słynącego z wilgotnych lasów waldivijskich rosnących w terenie półpustynnym dzięki skraplającej się zimnej mgłę znad Pacyfiku w zetknięciu z gorącym powietrzem znad łądu. Nocuję w wiosce 2 km przed wjazdem do parku, w skromnym domku należącym do jednej z nielicznych tu mieszkańek, ale tanim – płacę 4000 pesos. W domku są 2 pokoje nie ma bieżącej wody, ale razem z sympatyczną właścicielką przynosimy plastikową bańkę z wodą.

26 marca

Rano oddaję klucze od domku i od męża właścicielki dostaję reklamówkę gruszek. Jadę przez półpustynię do parku Fray Jorge. Wokół pełno kwitnących na czerwono ogromnych kaktusów i aloesów. Nektarem kwiatów kaktusów odżywiają się kolibry. Podjeżdżam serpentynami szutrową drogą do widocznego z daleka obłoku mgły. Tuż przed nim krajobraz się zmienia. Zaczynają się kilkumetrowe powyginane drzewa z błyszczącymi zielonymi liśćmi, oblepione porostami, a w poszyciu paprocie i kwiaty o różnych kolorach – fioletowe o żółtych środkach, różowe, żółte i czerwone. Przez las prowadzi szlak spacerowy po drewnianych ścieżkach, tworzący pętlę. Znad oceanu napływają jezory mgły, przysłaniając widok. W oddali słychać tylko szum fal. Po przejściu szlaku wracam do Panamericany i jadę w kierunku Santiago. Przed zachodem słońca zjeżdżam jeszcze w kierunku widocznego na horyzoncie masywu Aconcagui i patrzę, jak zmienia się jej kolor wraz z zachodzącym słońcem. I to już koniec podróży, jadę na lotnisko. Rano o 7:00 mam samolot do Buenos Aires, a o 12:00 dalej do Madrytu.

27 marca

Dzień spędzony w samolotach. Fajny widok po starcie z Santiago, samolot przelatuje nad Andami obok Aconcagui.

28 marca

Rano przesiadka w Madrycie i po 12:00 jesteśmy w Berlinie. Jedziemy pociągiem do Poznania, widać kwitnące drzewa, wiosna już w pełni. Potem jeszcze nocny autobus do Krynicy.

29 marca

Rankiem jestem w Krynicy, ciepło 12 stopni, dobrze że już zima odeszła. Nie wiem jeszcze, że za 3 dni spadnie 30 cm śniegu.

Reasumując, ceny w tej części Ameryki Południowej znacznie wzrosły, zarówno żywności, jak i transportu, zwłaszcza ceny biletów autobusowych. Autostrady płatne, co chwila bramki do pobierania opłat, zwłaszcza w Brazylii i w Chile.

1 BRL (brazylijski real) = 1,89 zł

1000 CLP (chilijskie pesos) = 6,6 zł

1 ARS (argentyńskie peso) = 0,75 zł

Zakupy najtańsze w dużych supermarketach, ale i tu ceny trochę wyższe niż w Polsce.

W Chile alternatywne cenowo są tanie linie lotnicze SKY AIRLINES.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Rock Stadium to niezwykle interesujący projekt stadionu na świecie, który dostał prestiżową nagrodę – A'Design Awards 2013. Częściowo zostanie wykuty w skale, lecz ma mieć też trzy trybuny w ziemi. Stanie się prawie niewidoczny w pustynnym krajobrazie. Jego powierzchnia to 200 tys. metrów kwadratowych. Na trybunach zasiądzie 40 tys. widzów. Widok ze stadionu będzie się roztaczał na jeden z najwyższych szczytów Emiratów Arabskich, czyli Jabel Hafeet (1249 m). Jednopoziomowa odkryta trybuna oprze się o górę. Wejścia do niej zostaną wydrążone w skale. Trzy inne przestrzenie z siedziskami dla widzów znajdą się wokół boiska, ale w niecce wykopanej w ziemi. Zostaną przykryte płaskim zadaszeniem pokrytym piaskiem. Nie wiadomo jednak, kiedy projekt zostanie zrealizowany.

Maciej Brożyna, Maciej Śliż,
Sławomir Drozd

Kraina piekielnego lodu



Termin podróży: 28.07 – 04.08.2013

Trasa: Reykjavik – Kirkjubaejarklaustur i trzy tysiące km (wzdłuż i wszerz) po południowej części Islandii

Uczestnicy: 3 osoby

Informacje praktyczne

Przełot: Warszawa – Keflavik – Warszawa (WOW AIR – www.wow.is)

Przewodnik: „Islandia”, wyd. National Geographic

Waluta: islandzka korona (ISK)

Język: angielski jest powszechny

Wyżywienie: Najlepiej przygotowywać posiłki samemu z zakupionych produktów w supermarketach. Wychodzi najtaniej. Alkohol można kupić tylko w specjalnych sklepach o wyznaczonej godzinie. Na stacjach benzynowych jest tylko piwo bezalkoholowe, które po sprawdzeniu przez nas miało około 3%, dziwne!

Noclegi: Nocowaliśmy u naszych przyjaciół z Polski, którzy mieszkają tam na stałe. Jeśli ktoś ma namiot, to może śmiało rozbijać się na dziko. Nikt wam nie zwróci uwagi, bo panuje tam wielka gościnność.

Pogoda: Bardzo zmienna, o czym świadczy islandzkie powiedzenie „Jeśli nie podoła ci się pogoda, to zaczekaj pięć minut”.

Transport: najtaniej i najwygodniej poruszać się samochodem (terenowym). Jest bardzo dużo wypożyczalni. Sieć autobusowa jest bardzo dobrze rozwinięta, ale bardzo droga. Przejazd z lotniska na dworzec w RKV – 2200 ISK, z RKV do Kirkjubaejarklaustur ok. 6000–8000 ISK.

Kiedy zwiedzać – sezon jest bardzo krótki i trwa praktycznie 2 miesiące, tj. lipiec i sierpień (jest wtedy oczywiście najtłoczniej i najdrożej). Można również się skusić na początek września, jednak jest wtedy chłodniej niż normalnie. Nie należy jednak bać

się chłodu na Islandii, bo ciepły Prąd Zatokowy powoduje, że szczególnie na południowych obszarach temperatury są znośne, a śnieg nawet zimą pada sporadycznie.

Poniżej lista produktów:

W sklepie:

- mleko 1 l – 150 ISK
- ser w plasterkach 490 g – 460 ISK
- szynka 120 g – 370 ISK
- chleb – 440 ISK
- masło – 320 ISK
- jaja 10 szt. – 470 ISK
- czekolada – 310 ISK
- zupka chińska – 90 ISK
- kawa rozpuszczalna 100 g – 630 ISK
- w barze: Hamburger + frytki – 1200–1500 ISK
- pizza – 1500–2500 ISK
- obiad – 1500–4500 ISK

- piwo – 850–1000 ISK

W specjalnym sklepie Vinbudin:

- piwo 0,5 – od 250 ISK
- wódka 1 l – 7200 ISK
- whiskey 0,5 – 4000 ISK
- wina w sklepie od 1600 ISK, a w barach ok. 800–1000 isk za 200 ml

Stacja benzynowa:

- diesel – ok. 250 ISK
- benzyna – ok. 248 ISK
- kawa – 200 ISK
- hot dog – 850 ISK

Ceny w hotelach:

- za 2 os. pokój ze śniadaniem od 25 000 ISK
- hostel – od 6500 ISK/os whale watching – ok. 7600 ISK/os.
- przewodnik na Hvannadalshnukur – ok. 30 000 ISK/os.

Pracownicy Wydziału Wychowania Fizycznego kontynuują projekt „Rzeszów na Koronie Europy”, którego celem jest zdobycie 46 najwyższych szczytów Europy. Tym razem „wuściacy” w składzie: Maciej Śliż, Maciej Brożyna, Sławomir Drozd postanowili zdobyć najwyższy szczyt Islandii – HVANNADALSHNÚKUR (2119 m n.p.m.).

Ten najwyższy szczyt Islandii położony jest w Parku Narodowym Skaftafell (południowo-wschodnia Islandia) na skraju lodowca Vatnajökull. Pogoda w okolicach parku narodowego jest bardzo kapryśna. Bliskość największego lodowca Europy powoduje, że okolice parku pokryte są przez większą część dnia gęstymi chmurami, z których często pada. W parku Skaftafell nocować można tylko na kempingu. W niewielkiej odległości od parku zbudowano hotel, ale ceny są moskiewskie. Hvannadalshnúkur wznosi się nad powierzchnię lodowca i otoczony jest zewsząd przez pokrywę lodową, lodowca Oraefajökull (najbardziej na południe wysunięte pasmo lodowca Vatnajökull). Po raz pierwszy został zdobyty przez Norwega Hansa Frisaka w 1813 roku. Sama bez-

względna wysokość Hvannadalshnúkura może nie robi wrażenia, ale trzeba wziąć pod uwagę fakt, że na najwyższy szczyt Islandii startuje się z poziomu morza, więc trzeba pokonać ponad 2 kilometry przewyższenia podczas jednego dnia.

Przygotowanie specjalistycznego sprzętu i opracowanie całej logistyki trwało kilka miesięcy. Szczyt nie ma zastraszającej wysokości, ale z powodu tworzących się szczelin i ciągłej zmiany pogody jest dosyć niebezpieczny. Mimo naszych chęci i determinacji, będąc już na lodowcu, który jest trzecim, co do wielkości lodowcem na świecie, ma się wrażenie, że człowiek jest całkowicie zależny od natury. W pełni świadomi, że cel jest już bardzo blisko, otrzymaliśmy informację, że po dwie ekipy wspinaczy wysłano śmigłowce ratunkowe. Ponieważ lodowiec w zastraszającym tempie pod wpływem wysokiej temperatury zaczął się topić i tworząc 2,5-metrowe szczeliny, niepozwalające wrócić do bazy, służby ratunkowe Islandii ogłosiły całkowity zakaz wspinaczki do przyszłego roku, tj. 2014.

Była to dla nas bardzo przykra wiadomość, ale i zrozumiała. Kolejny raz musieliśmy przypomnieć sobie słowa Dalajlamy – „czasami nieotrzymanie czegoś, czego się bardzo pragnie, może być niezwykle szczęściem”.

Trochę zawiedzeni, ale z zapasem czasu postanowiliśmy zwiedzić jak najwięcej w tym dla nas „endemicznym” kraju. Dzięki naszym przyjaciołom Kubie Srockiemu i jego żonie Majce, którzy po ukończeniu UR wyjechali do Islandii, zakochali się w niej i postanowili tam zamieszkać, mogliśmy zwiedzać Islandię terenowym wozem; bez niego niektóre odcinki byłyby nie do przebycia. Przejechaliśmy około 3 tys. km, widzieliśmy prawdziwą Islandię, od krajobrazów rodem z księżycy – czarne plaże, popioły i rzeźby stworzone po wybuchach wulkanów, po zielone okolice pozbawione drzew i otoczone kilometrowymi terenami porośniętymi mchem.

Mieszkaliśmy u naszych przyjaciół w jednej z większych miejscowości w Islandii, bo liczącej 119 mieszkańców, o nazwie Kirkjubæjarklaustur (nie jest więc dziwne, wszyscy się tam znają). Kilka kilometrów od Kirkjubæjarklaustur znajduje się hotel „Laki”, a przy nim pole golfowe.

W zamian za zrobienie przez Maję Srocką zdjęć do hotelowego folderu, mogliśmy darmowo zagrać w golfa i być uwiecznieni na widokówkach, które dziś turyści mogą kupić i przesłać pocztą. Co do golfa, to znaleźliśmy tylko ceny w RKV i płaci się za wejście + sprzęt w tyg. 3900 ISK, w weekend 4900 ISK, a w innych miejscach kwoty zaczynają się od 1500 ISK, ale raczej z własnym sprzętem.

Przy naszej miejscowości można również zwiedzić Systrafoss – wodospad, na szczycie którego znajduje się jezioro Systravatn oraz coś dla tych, którzy lubią adrenalinę.

To coś, to skok z 8-metrowego wodospadu Stjórnarfoss. Był to dla nas nie lada wyczyn, tym bardziej że skok do wody, której dno zostało sprawdzone przez tubylców (podobno!), to podwójne ryzyko, bo oparte tylko na zaufaniu. Niektórzy z potencjalnych skoczków chętnie zeszliby z powrotem na dół, jednak bez sprzętu wspinaczkowego było to niemożliwe. Jedyny więc możliwy powrót, to po prostu skok trwający ułamek sekundy. Po tak wielkich emocjach zwiedzanie odbywało się w ciszy. Zobaczyliśmy około 15 wodospadów, z podobno 10 tys, które są tam tak codziennym widokiem, jak w Polsce korki na drogach. Ma się wrażenie, że prawie z każdego miejsca w Islandii widać jakiś wodospad. Szczególnie duże wrażenie robią: Dettifoss – największy w Europie pod względem ilości przepływającej wody (ponad 100 ton/s), Gullfoss – przez

większość turystów uznawany za najpiękniejszy, Glymur – najwyższy na Islandii (ok. 200 m), na szczyt którego prowadzi piękna trasa widokowa.

Większość atrakcji, które zostały stworzone przez naturę, jest na Islandii bezpłatnymi miejscami do dyspozycji turystów. W Polsce prawdopodobnie zostałyby zabudowane i dostępne za niełą opłatą.

Wśród takich cudów przyrody był „Geysir”. To właśnie tutaj narodziła się nazwa gejzer, którą określamy gorące źródła geotermalne na całym świecie; pod wpływem zgromadzonego ciśnienia wyrzucają one setki litrów wody na wysokość nawet kilkadziesiątu metrów. Obecnie „Geysir” wyrzuca wodę regularnie co około 10 minut na wysokość do 30 metrów.

Po drodze można wstąpić na olbrzymi krater Kerið, opłata, jaka nas czekała, to bilet wstępu 250 ISK. Niedaleko miejscowości Vik znajduje się muzeum Skógar, bez opłat można zaglądać do starych domów i gospodarstw Islandczyków sprzed 100 lat. Jedyne opłaty dotyczą zamkniętego budynku, w którym znajdują się wybrane muzealne eksponaty. Wielkie wrażenie zrobiły na nas Dyrhólaey, czyli miejsce, na szczycie którego rozpościera się widok na skały w kształcie łuków triumfalnych wyłaniających się z morza, a wokół nich czarne plaże powulkaniczne, pełne kamieni, które w Europie wykorzystuje się do masażu ciała. Na skałach setki tysięcy ptaków, będących symbolem Islandii; „Lundi” dla nas były, to po prostu „sraluchy”.

Kolejnym miejscem wartym zobaczenia jest Landmannalaugar, czyli różnokolorowe skały. Można poczuć się jak w bajce. Dookoła głowy widać było góry, mieniące się kolorami tęczy, a wszystko to stworzyła natura. To region w pobliżu wulkanu Hekla w południowej części Islandii. Teren ten jest popularnym miejscem i węzłem turystycznym w Islandii. Na tym obszarze spotykamy szereg niezwykle geologicznych elementów, jak wielobarwne Rhyolite i rozległe pola lawy. Wiele gór w okolicy ma szerokie spektrum barw, w tym różowym, brązowym, zielonym, żółtym, niebieskim, fioletowym, czarnym i białym kolorze. Jest tu dużo i skomercjalizowany kemping. Żeby skorzystać z toalet oraz kąpać się w gorącej rzeczce, nie trzeba płacić. Samochód trzeba pozostawić na parkingu przed wjazdem do parku. Są tu również wytyczone szlaki po kolorowych górach. Miejsce to jest o tyle atrakcyjne, że turyści je odwiedzający (a było ich setki), po długim trekkingu mogli wykąpać się w darmowych i gorących źródłach. Większość źródeł w Islandii jest badana przez „ichniejszy” sanepid, by czasami nie miały wysokiego stężenia siarki. Te jednak nie były badane, o czym informuje nas tabliczka ostrzegawcza. Po upewnieniu się, że ludzie wychodzący z wody, mieli skórę i wszystkie kończyny, również zażywaliśmy kąpeli. Odświeżeni, pełni sił postanowiliśmy zdobyć wulkan o nazwie „Laki” (Lakagigar – Kratery Laki – wulkan szczelinowy w południowej Islandii, na południowy zachód od lodowca Vatnajökull, niedaleko miasteczka Kirkjubæjarklaustur). Najwyższy ze szczytów osiąga wysokość 818 m n.p.m. Kratery tworzą pasmo górskie ciągnące się na długości ponad 25 km. Należy do systemu wulkanicznego Katla, do którego należy też system szczelin Eldgjá, znany z dużej erupcji w roku 934. Można do jego podnóża dojechać tylko samochodem terenowym. Ku naszemu zdziwieniu znajduje się tam informacja turystyczna, a w niej kobieta, której praca polega na zachęcaniu turystów do wspinaczki. Jest to o tyle dziwne, że w odległości 60 km wokół, nie ma niczego prócz chat górskich, postawionych na pustyniach, stworzonych z zaschniętej lawy, w otoczeniu gór i licznych jaskiń.

Każdego dnia, gdy pokonywaliśmy kolejne trasy, w oddali ukazywał się nasz lodo-
wiec, z najwyższym szczytem. Postanowiliśmy jeszcze raz zobaczyć go z bliska i tro-
chę pomarzyć. Wybraliśmy się na jezioro lodowe Jökulsárlón (najgłębsze na Islandii).
Jest to cud natury! W pełnym słońcu podziwialiśmy bloki lodowe, odszczępione pod
wpływem temperatury od lodowca i wypływające z jeziora wprost do Oceanu Atlan-
tyckiego. Podziw potęgował fakt, że płynące bryły wielkością dorównywały wieżow-
com mieszkalnym. My potrzebowaliśmy jeszcze większych wrażeń i postanowiliśmy
zobaczyć je całkiem z bliska, a nawet sprawdzić, jak smakuje lód z takiego bloku. Wy-
płynęliśmy w tym celu na środek jeziora, co jest możliwe na wojskowej amfibii, przy-
stosowanej dla turystów. Koszt takiej wycieczki 3700 ISK. Czas trwania około 45 minut,
w tym przewodnik, opowieści, fakty oraz możliwość spróbowania lodu wyłowionego
na naszych oczach z jeziora.

Wyczerpani przeżyciami, jak przystało na prawdziwych turystów, postanowiliśmy
zjeść coś typowego dla Islandczyków. Oprócz pysznej baraniny, która dobrze zrobiona
„rzeczywiście nie śmierdzi capem”, nasi przyjaciele zamówili dla nas kilka z narodowych
potraw. Wśród nich Hákarla – „zgnitego rekina islandzkiego”. Już sam obowiązujący tam
zakaz jedzenia go w pomieszczeniu zamkniętym ze względu na zapach był informacją,
że należy uciekać. Jednak by zostać prawdziwym Islandczykiem, należy jeść to, co oni.
Postanowiliśmy więc zaryzykować, bo czy może być coś bardziej ryzykownego niż skok
z ośmiu metrów do niesprawdzonej wcześniej wody? Otóż, teraz wiemy, że tak!!! Re-
kin, oprócz smrodu, nie posiada żadnych innych walorów smakowych. Jedno wiemy
na pewno, na Islandię wrócimy, ale rekina już nie zjemy. Ja osobiście zjadłem go dwa
razy w życiu – pierwszy i ostatni! Kolejnym naszym kulinarnym doznaniem było mięso
z wieloryba, które, choć pachnie jak atrament, jest bardzo dobrym i pożywnym mięsem.
Szczególnie przekonał się o tym jeden z nas, który postanowił zjeść cały, duży kawałek,
po którym utwierdził się w tym, że to mięso jest bardzo pożywne, sycące i zaspokaja na
bardzo długo, bo dzień później odbijało się koledze piórem kulkowym i kałamarzem.

Jeśli chodzi o alkohol, to zarówno dostęp, jak i ceny są ciężkie, podobnie jak w kra-
jach skandynawskich. Jeżeli moglibyśmy coś polecić, to „Brennivín” – wódka kminko-
wa, która ratuje życie, choćby po zjedzeniu zgnitego rekina, zabijając jego smak. Jeżeli
ma ktoś kłopoty z katarem bądź ma zatłakany nos, polecamy islandzką tabakę.

W ostatnim dniu naszego pobytu, kierując się w stronę Reykjavíku, warte polecenia
były:

- Dvergahamrar – (kraja krasnoludów),
- czarna plaża w Vík (pustynia z czarnego bazaltowego piasku uformowanego przez
powodzie i erupcje wulkanu),
- wodospad Seljalandsfoss – za który to można wejść i podziwiać go z każdej strony,
- wodospad Svartifoss – w największym parku narodowym w Islandii „Skaftafell” – wy-
glądający jak kościół gotycki.

Jeśli ktoś chce poczuć się, jak na ekskluzywnych wakacjach, polecamy wizytę w Blue
Lagoon kilkadziesiąt kilometrów od Reykjavíku. Jest to znany ośrodek z naturalnymi
wodami termalnymi, w którym można zażywać wszelkich terapii odnawiających nasze
ciało. Do takich zabiegów zaliczają się maseczki błotne zawierające dużo krzemionki
i siarki. Nie brakuje również barów pływających na wodzie, których jedynym minusem
są ceny. Koszt całonocnego pobytu w Blue Lagoon – podstawowy bilet – 6500 ISK.

Gorące źródła geotermalne Błękitna Laguna to jedno z najpopularniejszych miejsc na Islandii. Znajdują się na południe od drogi z lotniska w Keflavíku do Reykjavíku. Od stolicy dzieli ją 40 km. Każdego roku odwiedza ją ponad 120 tys. turystów w celach rekreacyjnych, wypoczynkowych oraz zdrowotnych. Uzdrowisko to znajduje się w miejscu licznych ciepłych źródeł i jest zasilane nadmiarem wody z pobliskiej elektrowni geotermalnej.

Nasza podróż dobiegała końca. Pełni podziwu, wrażeń oraz z lekkim niedosytem jedno wiemy na 100 % – musimy tu wrócić.

Jest kilka miejsc na świecie, do których ciągle się wraca. Jednym z nich zapewne jest Islandia.

Mimo że ktoś kiedyś chciał zniechęcić ludzi do jej zasiedlania, nazywając ją lodową wyspą, a zdecydowanie mniej gościnną wyspę „Grenlandię” nazwał zieloną wyspą, dziś wiemy, że mu się to nie udało i prosimy was, nie dajcie się zwieść.

• Rozmaitości ze świata • • • • •

Puszki, z których można zdjąć całe wieczko, aby pić jak z kubka a nie jak dotychczas jedynie przez mały otvorek, stworzyli Amerykanie. Według pomysłodawców, nowe rozwiązanie zapewni komfort spożywania napoju, sprawi, że zaczniemy się nim delektować i nareszcie zobaczymy, co tak naprawdę znajduje się wewnątrz metalowego opakowania. Nie będziemy również musieli przelewać płynu do szklanki, aby spożywać go bez obaw, że się polejemy. Ponadto nowinka wykonana jest ze stuprocentowego odnawialnego surowca. Jak na razie puszki ze zdejmowaną pokrywką są dostępne jedynie w New Jersey i Delaware, ale wkrótce mają zawojować cały świat i zmienić sposób spożywania płynów.

Spis treści

Drodzy Czytelnicy	3
www.travelbit.pl	4
W świecie globtroterów	5
OSOTT 2013	7
Konkurs na relację z wypraw	8
Radomir i Anna Kolmas	
W krainie chaczapuri, chaczkarów i nafty	11
Piotr Wiland	
Podróż do kraju kiwi i koali – Nowa Zelandia i Australia	19
Agnieszka i Tomasz Lipeccy	
Malezyjska część Borneo (Sarawak i Sabah), Brunei Darussalam i Singapur	35
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Chiny kraj 1 343 239 923 mieszkańców*	54
Danuta Wojciechowska, Adam Stępiński	
CYPR zimą – autobusami, pieszo i samochodem.....	72
Anna i Paweł Manczyk	
Filipiny	84
Piotr Masicz	
„Podróż w czasie”	97

Joanna Kusiak	
Gruzja na długi weekend majowy	102
Joanna Kusiak	
Indonezja – Bali, Gili, Jawa	106
Ewa Flak, Jarosław Kociel	
Izrael, czyli szalom w Mea Shearim.....	115
Tomasz Cukiernik	
Izrael i Jordania w marcu	127
Walenty Zajkowski	
Japonia i Korea Południowa	136
Ryszard Oszał	
Kambodża i Południowy Wietnam.....	145
Piotr Wiland	
Kambodża i Wietnam	154
Jerzy Kowalik	
Kolumbia, Ekwador (z wyspami Galapagos), Panama	168
Zbigniew Hauser, Bogumił Rzucidło	
Korea Południowa	179
Adam Stępiński	
Kraje kwitnących wiśni	186
Paweł Burchard	
Malediwy – Sri Lanka	204
Rafał W. Zarębski	
Dookoła Jukatanu – Meksyk	210
Krystyna Rynkowska	
Mongolia	218
Zuza (Katarzyna Anoszczenko) & Mundi (Rafał Robak) & Jasio Robak	
Nowy Meksyk w tempie lat osiemdziesiątych – ciąg dalszy nastąpił	221
Natalia i Mariusz Tokarczykowie (przy udziale syna Maksymiliana)	
Wyprawa pod znakiem półksiężyca – Oman i Turcja	237

Aleksandra Podgrudna Peru – Boliwia / maj 2013	251
Adam Stępiński Przez piachy Sahary i nie tylko...	262
Ewa Lisowska, Krzysztof Lisowski Rapa Nui (Isla del Pascua, Easter Island, Wyspa Wielkanocna)	275
Jan Komorowski Republika Zielonego Przylądka – wyspy „no stress”	282
Tomasz Szymkiewicz Sri Lanka – krótka wizyta w tropikalnym raju	288
Beata i Rafał Gwóźdź Trzy tygodnie wśród Tajów i Khmerów	293
Natalia i Mariusz Tokarczykowie Azja w wersji instant – Tajlandia, Laos, Wietnam, Kambodża 2012	303
Aleksandra Podgrudna Tajlandia Kambodża 2012	317
Danuta Wojciechowska Togo – Benin – Ghana – Burkina Faso	325
Leszek Czmur Uzbekistan	344
Jacek Strejch Z Rio de Janeiro do Santiago de Chile	361
Maciej Brożyna, Maciej Śliż, Sławomir Drozd Kraina piekielnego lodu	371

